



CON TIN U W E Z

FINALISTKA
NAGRÓD
NEBULA
i JOHNA
CAMPBELLA

LINDA
NAGATA

CZERWIEN

CZERWIEN

● CZERWIEN MISJA „BRZASK”

LINDA
NAGATA

Przełożył Mirosław P. Jabłoński



Dom Wydawniczy **REBIS**

POŁĄCZONA
GRUPA BOJOWA

.....

ODCINEK 1:
MRO CZNY PATROL

- Gdzieś musi się toczyć wojna, sierżant Vasquez. To życiowa prawda. Bez konfliktu o przyzwoitym zasięgu zbyt wielu międzynarodowych przedsiębiorców wojennych wypadłoby z interesu. Jeśli więc na horyzoncie nie majaczy w naturalny sposób żadna wojna, może pani liczyć, że PW się zbiorą, żeby taką sprokurować.

Mój wykład instruktażowy nie spełnia ogólnowojskowych standardów. Wygłaszam go na otoczonym murami placu apelowym fortu Dassari, gdy moja PGB - połączona grupa bojowa - przygotowuje się do nocnego patrolu. Po zachodzie słońca temperatura spadła do 35 stopni, za co wszyscy jesteśmy wdzięczni, ale nadal jest cholernie gorąco i panuje oblepiająca wilgoć pory deszczowej. Bursztynowe światła błyszczą na gładkich, czarnych, lśniących od potu policzkach sierżant Jaynie Vasquez, która zaledwie cztery godziny temu przybyła helikopterem z tygodniowym zapasem prowiantu.

Jak pozostali z nas, sierżant Jaynie Vasquez ma na sobie mundur połowy, kamizelkę kuloodporną i szary tytanowy egzozkielet. Gdy patrzy na mnie spod obrzeża brązowego neuroskalpu żołnierza PGB, wygina z powątpiewaniem łuki pięknie zarysowanych brwi. Podejrzewam, że ostrzeżono ją przede mną, jej nowym dowódcą w forcie Dassari - niesławnym porucznikiem Jamesem Shelleyem z Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych.

Nie ma problemu. Wiedza to pozytywna rzecz.

- Jak zatem PW zabiorą się do wywołania wojny? - pytam ją.

Odpowiada rzeczowo, na sposób doświadczonego podoficera:

- To przekracza moją siatkę płac, sir.

-I tak warto to rozważyć. Wyobrażam sobie, że to się dzieje tak: Wszyscy wielcy przedsiębiorcy wojenni, ci PW, których serdecznie nienawidzimy, zbierają się... nie naprawdę, ale na takie wirtualne spotkanie. Z początku są nieco sztywni - taki jest charakter kontraktora wojennego - ale potem jeden z nich mówi: „No, dalej. Potrzebujemy gospodarza kolejnej wojny. Ktoś na ochotnika?”.

- Ja, sir - zgłasza się z uśmiechem specjalista Matthew Ransom, stając przede mną do obowiązkowego przeglądu.

- To poważna sprawa, Ransom.

- Przepraszam, poruczniku.

Mimo to robię przegląd, sprawdzając wyposażenie i upewniając się, że każde złącze jego egzozkieletu jest zapięte. Jednocześnie podejmuję przerwany wątek:

- „Ktoś na ochotnika?” To dowcip, rozumiecie? Bo żaden PW nie pozwoli, żeby wojna toczyła się na jego terytorium. Zasada numer jeden: Nigdy nie zabijaj własnych podatników. Wojna to coś, co sprowadzasz na innych.

- Zgadza się, sir - mówi Jaynie cierpkim tonem, zaczynając sprawdzać sprzęt Yafiah Yeboah, szeregowej pierwszej klasy.

Chyba do niej trafiam.

W każdym razie dowcip robi swoje, lody zostają przełamane i zewsząd padają pomysły, aż jeden PW mówi: „Słuchajcie, mam. Wywołajmy wojnę w Sahelu. To sprzyjający, otwarty teren. Żadnych paskudnych dżungli. I nie całkiem pustynia, a my mamy już tam figuranta w osobie Ahaba Matugo”. To podoba się wszystkim, więc się zgadzają, i kolejna regionalna wojna, która pozwoli im pozostać w grze przez następne trzy, cztery lata, albo nawet dziesięć, jeśli wszystko pójdzie po ich myśli, toczy się

właśnie tutaj, w Sahelu w Afryce, między równikowym lasem deszczowym a Saharą.

Docieram do ostatniego elementu, przykucam w błocie obok lewego buta Matta Ransoma, gdzie obuwie jest przytroczone do ruchomej podeszwy egzoszkieletu. Wszystko wygląda dobrze, więc klepię go po wsporniku udowym i mówię:

- W porządku.

Kiedy wstaję, stelaż mojego egzoszkieletu się prostuje. Rozlegają się ciche westchnienia przegubów, gdy spony nożne unoszą mnie bez najmniejszego wysiłku z mojej strony, pomimo ciężaru czterdziestokilogramowego plecaka. Z mechanicznych przegubów rozchodzi się mdły, sterylny zapach smaru mineralnego, ledwo wyczuwalny przy organicznym smrodzie błota i psów.

Odwracam się z powrotem do Jaynie. Przerywa sprawdzanie ekwipunku i pyta:

- Więc teraz przedsiębiorcy wojenni muszą doprowadzić do wybuchu wojny, zgadza się?

- Najpierw muszą wybrać strony konfliktu, ale to się da załatwić rzutem monety. Chiny kończą jako główny poplecznik Ahaba Matugo, a Liga Arabska utrzymuje status quo...

- Poruczniku - przerywa mi Ransom - chce pan, żebym sprawdził pański osprzęt?

- Jasne. Dawaj.

Przeciągam dłonią w rękawicy po neuroskalpie, a on zaczyna szarpać złącza i sprawdzać poziomy zasilania. Wspominam przygotowania do tej wojny, które obserwowałem podczas odbywania pierwszej tury bojowej na najdalszym zadupiu Boliwii. Staram się bardzo, żeby mój głos brzmiał spokojnie.

-Więc my, Amerykanie... nie włączamy się od razu. Musimy najpierw zakończyć inną wojnę, obiecujemy zatem interweniować, gdy będą tego wymagały kwestie humanitarne, ale nie roztrząsamy, po czyjej stronie się opowiemy, bo to nie ma, kurwa, najmniejszego znaczenia. Wszyscy wiedzą, że nie znamy się na lokalnej polityce, a poza tym i tak głównie nas ona obchodzi. Niczego nie chcemy zdobyć w tym regionie. Pakujemy się w konflikt jedynie dlatego, żeby przedsiębiorcy wojenni mogli uszczęśliwić swoich akcjonariuszy. Amerykańcy podatnicy będą słuchać hurraoptymistycznych kanałów propagandowych i dawać kasę, winiąc liberałów za kiepską sytuację gospodarczą, no i jednocześnie ściągając niższą klasę społeczną do wojska, bo, no cóż, to też jest praca, a nawet PW nie potrafią przekonać Kongresu do wydania dziesięciu milionów dolarów na jednego robota bojowego, kiedy za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolców można mieć w pełni wykwalifikowanego żołnierza z krwi i kości, o wysokim ilorazie inteligencji.

Ransom robi krok do tyłu.

- Sprawdzone, sir.

Ignoruję go.

- I dlatego, sierżancie, siedzimy prawem kaduka w forcie Dassari, w kraju, którego nie chcemy i do którego nie należymy, i dlatego musimy iść na patrol tej nocy, i każdej innej, we wrogim terenie, dając ludziom, którzy także tutaj nie należą, okazję do zabicia nas. Nie jesteśmy tutaj dla chwały - nie znajdziemy jej tu - i nie mamy o co walczyć. Nasze cele to pozostać przy życiu, uniknąć ofiar wśród ludności cywilnej i zabić każdego zainteresowanego zabiciem nas. Przez dziewięć miesięcy pod moją komendą nie zginął ani jeden żołnierz i chcę, żeby tak pozostało. Czy to jasne?

Jaynie rozważnie utrzymuje obojętny wyraz twarzy.

- Tak jest, sir, jasne. - A potem, bo nie ma zamiaru dać się onieśmielić o pięć lat młodszemu porucznikowi z czterokrotnie mniejszym doświadczeniem bojowym, dodaje: -Nadzór opisał pana jako szalonego skurwysyna, sir...

Za plecami Jaynie Yafiah przykładła energicznie dłoń do ust, żeby zdusić parsknięcie śmiechu.

-...ale obiecali mi, że bez względu to, do jakiego stopnia jest pan dupkiem, to nie wpakują nas w zasadzkę,

Uśmiecham się miło.

- Kilka razy byli blisko.

Nasz fort, leżący na północno-wschodnim krańcu linii odległych umocnień granicznych, jest bardziej narażony od innych. Jest naszym schronieniem i bazą operacyjną. Pięciometrowe mury otaczają budynek koszar oraz dziedziniec o powierzchni wystarczającej do zaparkowania dwóch czołgów - nie żebyśmy je mieli, ale mamy trzy quady, stojące pod harmonijkowym zadaszeniem.

Nasze zadanie wykonujemy za min ami. Pilnujemy zakazu - polujemy na bojowników przenikających z północy, a rebelianci polują na nas. Nadzór nie zawsze dostrzega ich na czas, co jest jednym z powodów, dla których trzymamy pięć psów. Nie są oficjalnym wyposażeniem wojskowym, ale motto połączonych grup bojowych brzmi: „Innowacja, koordynacja, inspiracja...”, co oznacza, że jako PGB mamy swobodę manewru w stosowaniu własnych strategii.

- Jeszcze jedno, sir - mówi Jaynie, kiedy się odwracam. - Czy to prawda, że jest pan scyborgizowany?

- To tylko nakładka oczna. - Palcem w rękawiczce dotykam kącika oka. - Jakby wszczepione soczewki kontaktowe, które jednak odbierają i wyświetlają dano.

Złoty pasek wytatuowany wzdłuż krzywizny dolnej szczęki to antena, a w uszach mam osadzone niewielkie słuchawki, ale nie wspominam o tym.

- Nie jest pan połączony z zewnętrznym światem, co?

- Spoza strefy działań wojennych? Nie ma mowy. Jedyne link, do jakiego mam prawo, łączy mnie z Nadzorem.

- Jest więc pan połączony z Nadzorem, nawet jeśli nie nosi pan hełmu?

- Zgadza się. Wszystko, co widzę i słyszę, jest przekazywane na górę.

- Po co, sir?

Nie jest to dyskusja, w którą chcę się wdawać właśnie w tej chwili, więc zwracam uwagę na ostatniego członka naszego małego oddziału. Szeregowy pierwszej klasy Dubey Lin stoi na pomoście trzy metry powyżej gruntu, wyglądając przez strzelnicę karabinu maszynowego na otaczające nas drzewa. Dubey zbytnio polega na wzroku, ale zawsze na czas jest gotowy do drogi i nigdy nie dyskutuje. Właściwie nigdy nic nie mówi na żaden temat.

- Dubey! - wołam. - Dawaj tutaj!

- Tak jest, sir!

Zeskakuje na ziemię, pozwalając, żeby amortyzatory egzoszkieletu przyjęły wstrząs; przestrasza tym psy, które są tak zdenerwowane przed nocnym patrolem, że pokładają się jeden na drugim. Rozlegają się gniewne warknięcia, gdy kręcą się, walcząc na niby. Ransom przyłącza się, wykonując w kierunku Dubeya kilka kopnięć i ciosów kung-fu, napinając nogę egzoszkieletu i zastrzały ramienia, ale Dubey jak zawsze go ignoruje.

W szeregach PGB ochrzciliśmy nasze egzoszkielety mianem „martwych sióstr”, gdyż wszystkie elementy, z wyjątkiem ruchomych podeszew, wyglądają jak ludzki kościec. Amortyzujące zastrzały, połączone przegubem kolanowym, biegną na zewnątrz ud ku biodrom. Na plecach stelaż przyjmuje kształt klepsydry w celu zmniejszenia powierzchni profilu, kończąc się spinającym barki łukiem, który łatwo wspiera zarówno ciężar polowego plecaka, jak i dźwignię zapewniającą przełożenie, które może wytworzyć szczupły wspornik ramienia.

Pakiety mikroprocesorów rejestrują ruchy żołnierza, przekładając je instalacji na stosowne algorytmy ruchowe. Żołnierz w egzoszkielecie może zostać zastrzelony i nigdy nie padnie. Widziałem to w Boliwii. A jeśli w martwej siostrze zostało dosyć energii, może ona wynieść ciało do bezpiecznej strefy. To także widziałem. Czasami trup idzie dalej, w moich snach. Nie żebym się kiedykolwiek przyznał do tego Nadzorowi.

Jaynie naciska nieco mocniej:

- Skoro Nadzór słucha wszystkiego, co pan mówi, sir, to dlaczego pieprzy pan głupoty?

Musimy toczyć naszą grę, sierżancie. Nie musimy jej lubić. A teraz hełmy włącz!

Wszyscy kryjemy się za osłaniającymi całe twarze przyłbicami. nastawionymi na nieprzezroczystą czerń. Malutkie wenty lat orki zaczynają mi dmuchać chłodnym powietrzem w twarz, gdy obserwuję kolejne ikony pojawiające się na wyświetlaczu przyłbicy. Zapewniają mnie, że jestem w pełni połączony: z neuroskalpem, z karabinem szturmowym M-CLLa, z każdym z moich żołnierzy, z aniołem unoszącym się niewidzialnie na wysokim niebie, z przewodnikiem z Nadzoru.

-Jesteś tam, Delphi?

Słyszę cię, Shelley - odpowiada jej znajomy głos.

Nie bez powodu nazywają nas połączoną grupą bojową.

Teoretycznie każda PGB powinna mieć w terenie dziewięć par butów, ale w Dassari nie mieliśmy ich nigdy więcej jak sześć, a ze względu na transfery personelu przed przybyciem Jaynie mieliśmy zaledwie cztery. Wojsko lubi się przechwalać, że każdy członek połączonej grupy bojowej jest elitarnym żołnierzem spełniającym wszystkie wymagania fizyczne i intelektualne, o udowodnionej zdolności adaptowania się do nowych systemów i okoliczności. W tłumaczeniu oznacza to, że chronicznie brakuje nam ludzi i nikt nie ma wolnej nocy.

- Miejmy oczy otwarte - mówię przez gen-kom. - Przez kilka ostatnich nocy było tu zbyt spokojnie. Mamy zaległości.

- Tak jest, sir.

Taka odpowiedź ze strony Ransom'a to dobra wiadomość. Yafiah przeklina cicho. Sfrustrowany Dubey kopie ziemię. Tylko Jaynie tego nie chwytą.

- Wie pan o czymś, o czym my nie wiemy? - pyta przez gen-kom.

- Tylko mam przeczucie.

Hansom mówi:

- Coś, co Bóg szepcze mu do ucha.

- Poruczniku — prosi Yafiah.

Tak jak ja, wie, na co się zanoszą, ale nie próbuję ściągnąć Ransomowi cugli, gdyż ten jest moim ulubionym burakiem wszech czasów. Kocha wszystkich, ale mimo to zabije bez wahania każdego, kogo mu wskażę. Jego sposób wyjaśniania świata odstaje może od standardów, ale ten entuzjazm utrzymuje nas obu przy życiu.

- Ten tutaj, psze pani. to król Dawid - Hansom informuje Jaynie. - Saul nie śmie tknąć włosa na głowie tego człowieka, a Goliat nie może sprawić, żeby jego pociski leciały prosto w obecności porucznika, gdyż James Shelley jest wybrankiem Boga. Proszę robić, co porucznik pani każe. a może pożyje pani na tyle długo, żeby ponownie ujrzeć Frankfurt.

Ransom ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Ma pięćdziesiąt kilo mięśni więcej od Yafiah i rok więcej doświadczenia bojowego, ale przy niej jest głupim młodszym bratem. Yafiah zwraca w stronę Jaynie puste oblicze czarnej przyłbicy i mówi:

- Proszę się nie przejmować Hansomem. Jest nieco szalony. ale dobry w akcji.

Jaynie wydaje się autentycznie zaciekawiona, kiedy pyta mnie:

- Jakim cudem może pan być królem Dawidem, poruczniku? Bo przysięgłabym, że byliśmy Goliatem.

- Goliat - mrużę, wybierając wzrokiem ikonę encyklopedii na wyświetlaczu, gdyż prawda jest taka, że nie znam dokładnie historii biblijnych.

Zanim jednak mogę wysłuchać fragmentu o Goliacie, Dubey odzywa się sam z siebie, zaskakując nas wszystkich.

-Król Dawid toczył własną grę - mówi, a gen-kom wzmacnia jego nieśmiały głos. - I nie przegra Jak dla mnie, wystarczy.

Gwiżdżę na psy. Brama fortu się otwiera. Wychodzimy w księżycowy blask — nasza piątka, PGB Dassari. Kiedy nas nie będzie, fort będzie bronił się sam.

Rozpraszamy się, żeby przeczesać większy obszar i żeby jeden wybuch bomby, jedna rakietka, nie załatwił nas wszystkich. Naszą podstawową bronią jest M-CLla, znany także jako „zintegrowany taktyczny karabin Harkina”, co składa się na akronim, który mógłby polubić tylko gracz komputerowy. Ztkh wykorzystuje celownik AI do wystrzeliwania zarówno pocisków kalibru 7,62 mm, jak i programowanych granatów z wyrzutnika podlufowego. Jesteśmy także uzbrojeni w granaty ręczne: odłamkowe, hukowo -błyskowe i dymne. Subtelność nie jest naszą cnotą. Jesteśmy wyekwipowani do szybkiego i mocnego uderzenia. Wspomagani przez martwe siostry, z noktowizorami bazującymi na wzmocnieniu fotooptycznym, żebyśmy widzieli, dokąd idziemy, przez większość nocy jesteśmy w stanie przeczesać cały rejon. W sąsiedztwie fortu teren jest płaski, przeważnie uprawny, oddzielony przez wysokie płoty chroniące trzy gospodarstwa i uprawy sorgo przed wędrownymi kozami i zbłąkanym bydłem. Jednak po kilku kilometrach tereny rolnicze się kończą. Dalej to głównie rozproszone drzewa, które bardzo przypominają jodłoszyny, jakie widziałem w Teksasie. Pora deszczowa jest już mocno zaawansowana i wszystkie drzewa pokryte są listowiem, a tam, gdzie między nimi rozpościerała się naga ruda gleba, dzika trawa rośnie na chłopa wysoko. Psy buszują w niej, tropiąc rebeliantów.

Szmerze lekki wiatr, kołysząc otaczającymi mnie trawami. Wiem, że szeleszczą, ale moje mikrofony są ustawione na odfiltrowywanie białego szumu, więc prawie tego nie słyszę, za to docierają do mnie bardziej wyraziste dźwięki: ziajanie psów, ryczenie krów, piskliwe nawoływania ptaków.

Skoro trawa jest taka wysoka, to nie sięgam wzrokiem zbyt daleko, ale na wyświetlaczu przyłbicy mam rozwiniętą mapę, na której jest zaznaczone położenie wszystkich moich żołnierzy. Mapa aktualizuje się ciągle dzięki danym zbieranym przez anioła — drona o skrzydłach metrowej rozpiętości, pilotowanego przez półautomatyczną AI. Anioł czuwa nad nami. Wszystko w zasięgu obiektywów jego kamer jest nagrywane, a obraz przekazywany do Nadzoru. W gabinetach Frankfurtu, Charlestona i Sacramento nasi przewodnicy przeglądają surowy materiał, a zespoły Wywiadu puszczają w ruch programy analityczne, żeby wychwycić wszelkie sygnały które mogłyby umknąć ludzkim oczom.

Zawsze można coś zobaczyć. To jest Stary Świat. Ludzie budowali tutaj domy od początku czasu i przypuszczalnie wciąż tutaj będą. gdy nadejdzie dzień ostatni - który może nie być wcale taki odległy, jak lubimy o tym myśleć.

Taa. w dzisiejszych czasach apokaliptyczne myśli przychodzą do głowy nadzwyczaj łatwo.

W każdym razie bez względu na to. jak pusty wydaje się ten kraj. jest zamieszkały. Ludzie żyją tutaj, wychowują dzieci i hodują zwierzęta, przy czym większość z nich udaje, że nie toczy się tu żadna wojna. Nie chcemy do nich strzelać.

Zatem przy pomocy anioła przeprowadziliśmy spis powszechny ludności. Znamy nazwiska wszystkich ludzi żyjących w promieniu dwudziestu pięciu kilometrów od fortu. Znamy ich rysy twarzy, a także wzrost, wagę, płeć, wygląd i wiek. Wiemy, gdzie mieszkają, jak zarabiają na życie i jak są powiązani z sąsiadami. Korzystając ze spisu ludności, anioł może zidentyfikować człowieka z ponad kilometra, w słabym świetle i odwróconego plecami, a kiedy zyskujemy potwierdzenie tożsamości, idziemy w swoją stronę. Rzadko się zdarza, żeby miejscowi w ogóle nas widzieli, chyba że wędrujemy drogą.

A jeśli anioł znajduje kogoś, kogo nie ma na liście? Wtedy wkraczamy.

Nie każdy nieznajomy jest wrogiem. Przechodzą tędy przemytnicy i jeśli tylko nie przenoszą broni lub zakazanej technologii, przepuszczamy ich. To samo z uchodźcami wędrującymi na południe od Sahary. Rozmawiamy z nimi wszystkimi, a potem dodajemy do naszej listy.

Tuk naprawdę jednak to musimy zaleźć bojowników, zanim oni znajdą nas. To zabawa w chowanego i im lepszy anioł się staje w wypatrywaniu ludzi, tym lepszy staje się nieprzyjaciel w udawaniu, że go nie ma.

Kiedy więc ogarnia mnie nagłe przecucie zagrożenia — dudnienie serca, spinająca mięśnie pewność, że bardzo blisko znajduje się coś naprawdę niebezpiecznego - wyobrażam sobie czerwone

światło. Mój neuroskalp odbiera obraz i wyświetla go na przyłbicach wszystkich członków oddziału. Zamierają. Jaynie i Dubey podłączają się natychmiast do mojego przekazu wizualnego, tak jak powinni to zrobić. Yafiah i Ransomowi zabiera to nieco więcej czasu, ale przed upływem kilku sekund wszyscy patrzymy przed siebie, w kierunku jednego z rzadkich w naszym rejonie skalistych wypiętrzeń. To anomalia w równinnym krajobrazie: rozległa, nieregularna formacja, wznosząca się jedynie nieznacznie ponad najniższe z otaczających ją drzew. Jestem całkiem pewny, że jest naturalna, ale wygląda tak, że równie dobrze mogłaby być ruinami starożytnej piramidy zredukowanej do postaci bezkształtnej bryły przez tysiące pór deszczowych.

Delphi, moja przewodniczka, nie wypowiedziała ani jednego słowa, odkąd nawiązaliśmy łączność w forcie, ale odzywa się, gdy tylko łamię rutynę:

— Co masz, Shelley?

Skupiam się na słowie „przecucie”. To wypraktykowane stwierdzenie, więc mój neuroskalp wychwytuje je z łatwością i przekazuje Delphi.

Mówi mi to, co już wiem:

- Anioł niczego nie widzi. Sprowadzę go bliżej, żeby przyjrzał się lepiej.

- Są na wzniesieniu - szepczę jak najciszej, pozwalając, by mikrofon hełmu skompensował brak natężenia dźwięku.

Delphi nie lubi moich „przecuc”, gdyż nie potrafi ich wyjaśnić, ale była przy mnie dwa razy, gdy przewidziałem grożącą nam zasadzkę, więc nie oponuje.

Gdy anioł wznosi się na bezgłośnych skrzydłach wysoko nad wypiętrzeniem, podłączam się do jego przekazu w podczerwieni. Szukam jasnych punktów ciepła, ale widzę tylko psy i żołnierzy rozciągniętych w łuku po wschodniej stronie kopca.

Jeden z psów, kremowej barwy suka zwana Perłą, znajduje się dwa metry przede mną. Zaniepokojona moim zachowaniem, stoi nieruchomo, węsząc. Sykam na nią, skłaniając ją, żeby ruszyła naprzód. Truchta ochoczo przed siebie, ale potem zamiera nieopodal kopca. Głośnik hełmu wzmacnia jej ciche warknięcie.

- Kurwa - szepcze Yafiah przez gen-kom. - Chcę posłać tam granat.

Tak jak ja, ale nie możemy tego zrobić. Jeśli to tylko wygłupiający się wiejski dzieciak, to wszyscy możemy skończyć w pierdlu - a jedynym powodem, dla którego noszę ten mundur, jest to, że rozpaczliwie nie chcę siedzieć w więzieniu.

- Spokojnie - ostrzegam Yafiah.

Chciałbym móc nałożyć neuroskalpy psom. Wtedy być może odbierałbym obraz tego, co czują. Ale przedsiębiorcy wojenni nie chcą wyposażać znajdów. Nie chcą płacić grzywien, jeśli sprzęt poda błędne dane, więc nakładają psu neuroskalp tylko wtedy, jeśli ma specjalny rodowód i wyszkolenie - a taki pies kosztuje dwa razy tyle, co żołnierz. Nasza PGB nie ma do tego prawa.

Sykam ponownie na Perłę, ale ta opuszcza jedynie łeb i ogląda się na mnie, nie zamierzając iść dalej. Sami będziemy musieli tam wleźć.

Wizualizuję ścieżkę podejścia. Yafiah i ja idziemy na wprost, Ransom zachodzi od tyłu, Dubey i Jaynie zapewniają krycie z obu flank. Ransom odbiera obraz i rusza szybko, trzymając się z dala od kopca. Yafiah podchodzi, aż dzieli nas zaledwie trzydzieści metrów, po czym skradamy się ostrożnie.

- Tam jest - mówi Delphi swoim rzeczowym tonem. Przesyła mi nieruchomy obraz z czerwonym kółkiem otaczającym słaby ślad ciepły, jaki zauważyła na skałach na szczycie wzniesienia.

To tylko szara plamka. Ten kształt nic mi nie mówi, ale wiem, że to człowiek, gdyż jego ciepłota naśladuje otaczające go skały: żołnierz duch, zakamuflowany przed podczerwonym wzrokiem anioła przez zakapturzony strój z warstwą termiczną.

Przechodzę na widok anioła. Znak ciepły jest tak słaby, że ledwo go widzę, zanim dron wzmacnia obraz. Potem rozpoznaję go jako podparte ramię, śmierć zaciśniętą w prawej dłoni.

- Yafiah! - krzyczę - Cofnij się!

Wspomagana przez martwą siostrę, odskakuje cztery metry wstecz i pada na płask w kępie gęstej trawy. Perła wiruje w miejscu, a potem śmiga obok mnie, gdy celuję ze swojego MCLLa. Jarzący się złoty punkt wędruje po wyświetlaczu przyłbicy. Nie ma mowy, żebym zobaczył granat, ale system AI, korzystając z danych anioła i kamer hełmu, nakreślił dla mnie jego trajektorię. Otwarte kółko oznacza cel. Zrównuję je z punktem, wystrzeluję krótką serię i padam płasko, gdy nad moją głową przetacza się wstrząs i rozświecła się błyskawica. Zrywam się na równe nogi, gdy tylko to przemija. Na szczycie kopca grzechocze karabin szturmowy, a potem przez gen-kom słyszę niski, zadowolony głos Ransoma:

- Dwóch na moje konto, poruczniku.

Nie skończyliśmy jeszcze.

Delphi znajduje kolejnego ducha, jakieś dwanaście metrów ode mnie, u podstawy kopca. Ten jest błyszczącą rozmazaną plamą, dużo łatwiejszą do zauważenia — prawdopodobnie ktoś przykucnięty pod zniszczonym kocem termicznym.

Zmniejszam dystans, wykorzystując martwą siostry do wykonywania szaleńczych zygzaków; przeguby mruczą, a plecak ociera się o szkielet, gdy biegnę. Cel zauważa, że się zbliżam. Może wpada w panikę. Może jest po prostu pewny siebie. Ale odrzuca termiczną osłonę i się pokazuje. Mam raptem dwadzieścia trzy lata, ale kiedy tamten podnosi do oka karabin maszynowy i zaczyna strzelać, w zielonym lśnieniu noktowizora wydaje mi się chudym nastolatkiem.

Biegnę szybko. Jego pierwsze pociski nie przelatują blisko mnie, ale wprowadza poprawkę i zmniejsza ten rozziw, podczas gdy ja odpowiadam ogniem. Strzelam z biodra, korzystając z muszki przyłbicy w celu uzyskania odpowiedniej trajektorii. Spust odskakuje mi od palca, gdy kontrolę przejmuje moja AI. Pojedynczy strzał i dzieciak leci wstecz, wykonując pół obrotu, po czym uderza o zbocze.

- Załatwione! - grzmi Ransom przez gen-kom.

- Sprawdź to! - ostrzegam go.

- Bez obaw, poruczniku, nikt nie pozostał na szczycie.

- Podchodzę - mówi Jaynie.

Dostrzegam ją na swojej mapie.

- Widzę cię.

Wynurza się z wysokiej trawy.

- Oznaki życia? - pytam ją.

- Nie, jest martwy.

Kuca obok zwłok i używa haka ramiennego, żeby je odwrócić. Otwór po kuli widnieje dokładnie między oczami.

- Cholera, pańska AI jest dobra.

Nie czuję tego bezpośrednio, ale wiem, że mój neuro-skalp działa, stymulując mózg do produkcji kojącego koktajlu, mieszanki w pełni naturalnych chemikaliów mózgowych, która tworzy dystans emocjonalny pomiędzy mną a tym, co się stało.

Gdy Jaynie obszukuje ciało, wysysam witaminizowaną wodę przez rurkę połączoną ze zbiornikiem w plecaku. Interesują nas zwłaszcza pisemne rozkazy i pendrive'y. Na górze Ransom obszukuje tych dwóch, których zabił. Obserwuję przekaz z jego kamery hełmowej. Obaj to dzieciaki; tylko jeden ma kombinezon termiczny. Nie chcemy, żeby podobne wyposażenie walało się po okolicy, wysyłam więc Dubeya, żeby pomógł zabrać wszystko, wraz z bronią.

Takie dzieciaki nie walczą dla Ahaba Matugo. Jest współczesnym świeckim przywódcą, a oni nienawidzą go za to. Oczywiście nienawidzą także i nas. I nienawidzą ludzi w tym okręgu, bo nas zaopatrują. Zostali zindoktrynowani nienawiścią i nie zaskoczyłoby mnie, gdybym się dowiedział, że kryje się za tym jakiś PW, który zachęca do niej i finansuje ją, żebyśmy mieli zajęcie. Płotka głosi, że Wywiad rozbił podobny spisek w Boliwii, ale tamto śledztwo zostało umorzone w celu ratowania

reputacji korporacyjnej.

Wzywam Yafiah. Gwiżdżemy na psy i razem przeczesujemy teren wzniesienia, upewniając się, że nie ukrywa się tutaj nikt więcej.

*

Po rozdzieleniu między siebie zdobyczej broni wracamy na wyznaczoną nocną trasę. Zaledwie kilka minut później anioł wychwytuje czyjąś obecność. Ten człowiek jedzie na motorowerze i nie próbuje się maskować, więc szybko otrzymujemy potwierdzenie jego tożsamości.

- Grabarz Dżalal - mówi Delphi.
- Wezwałaś go?
- Sprawdzam... Nie, nie było powiadomienia. Przyjechał z własnej inicjatywy.
- Nie podoba mi się taka wyrywność.

Dżalal to miejscowy przedsiębiorca. Wojsko płaci mu za zajmowanie się ciałami wrogów, ale powiadomienia o tym, że ma pracę, otrzymuje dopiero wtedy, gdy nas nie ma już w pobliżu.

- Delphi, skąd Dżalal wie, że to nie my leżymy martwi na ziemi?
- Zna twoją reputację, Shelley. Masz jednak prawo przeprowadzić przesłuchanie w terenie.

Po namyśle przełączam się na gen-kom.

- Skupcie się obok mnie. Po drodze uwiążcie psy.

Słyszę już zawodzenie jego motoroweru. Może podąża za wonią prochu albo z kierunku naszego ognia wywnioskował po prostu, że kopiec był najbardziej prawdopodobnym miejscem starcia.

Zajmujemy pozycje w trawie, osiem metrów od siebie nawzajem, przykucnięci, żeby zmniejszyć pole naszych sylwetek, gdyż nie chcę się przekonać zbyt późno, że Dżalal zmienił drużynę. Psy leżą cicho. Są lojalne wobec nas. Wiedzą, kto im da następną miskę.

Wzrokiem anioła obserwuję zbliżający się motorower. Dżalal jedzie po ciemku. Bez włączonego światła, omija drzewa i przemyka obok zarośli, zmuszając motorower do dużej prędkości. Nie widzę, żeby dysponował jakąś bronią, ale ma plecak. Skradam się między drzewami i zajmuję pozycję do przechwycenia go.

Chrzęst opon jest głośniejszy od zawodzenia elektrycznego silnika. Kiedy niemal wjeżdża na mnie, wychodzę na otwartą przestrzeń. Celuję z ztkh w jego twarz.

Dżalal jest tak zaskoczony, że szarpie kierownicą motoroweru. Pojazd wpada w poślizg i niemal się przewraca.

- Shelley! Niech cię szlag!

Oczy Dżalala przesłania wąski, błyszczący pas wizora. Łatwo się domyślić, że działa na podczerwień, nie dziwię się więc, że widzi mnie w ciemności - ale nie może zajrzeć przez moją przyłbicę, więc skąd wie, że to ja?

Cholera. Założę się, że sam ma profile wagi i wzrostu.

- Szybko się tutaj zjawiłeś - mówię.

Odpowiada w lokalnym dialekcie, który mój hełm przekłada na swój zwykły twórczy sposób.

- Jadę do miasta. Wyruszę przed wschodem słońca. Muszę wykonać robotę najrychlej. Zgadza się?

Patrzę na jego plecak. Może zawierać granaty lub materiały wybuchowe. Najprawdopodobniej jednak ma w nim całuny.

- Nie załadujesz ciał na ten motorower.

Mruga. Potem marszczy czoło.

- Trzy?
- Trzy.
- No cóż. Czeka mnie długa noc.
- Delphi, prześlij mu mapę.

Wyświetlacz jego wizora rozbłyskuje, kiedy napływają dane.

- Dzięki, Shelley.

Próbuje uruchomić motorower, ale opieram stopę martwej siostry na oponie przedniego koła.

- Powiedz mi, co się dzieje. Co słyszałeś? Powierzchniowa temperatura policzków i czoła Dżalala podskakuje nieznacznie. Rozgląda się, starając się zorientować, gdzie mogą być moi żołnierze, ale nie widzi ich. Kiedy się odzywa ponownie, mówi szeptem, ale mój hełm wzmacnia słowa, więc słyszę je z łatwością:

- Shelley, mój wuj, on zadzwonił do mojej mamy. Powiedział, dwunastu żołnierzy z północy przychodzi prawdopodobnie następnej nocy lub dwie. Widział ich w sąsiednim gospodarstwie. Nie znam nazwy.

- Na północy?

- Tak. Północ. Nie wiem więcej.

Dwunastu. Nic dziwnego, że Dżalal tutaj przyjechał. Nie jest głupcem. Zapakuje ciała do worków, przetransportuje je, pochowa na długo przed świtem, wystawi wojsku rachunek, a potem wyjedzie stąd w cholerę, bo jeśli pogłoska jest prawdziwa, to jest bardzo prawdopodobne, że jeśli bojownicy się zjawią, wezmą go na cel jako kolaboranta.

- Uwijaj się - radzę mu, podnosząc stopę z opony i usuwając mu się z drogi.

- Tak zrobię, Shelley. Dziękuję.

Kiedy odjeżdża, wyobrażam sobie wzmożoną aktywność Wywiadu próbującego zlokalizować tuzin bojowników na północ od naszego rejonu.

Póki czegoś nie znajdą, to nie mój problem.

— Możecie ruszać - mówi Delphi.

Pojawiają się moi ludzie. Spuszczamy psy ze smyczy i ruszamy w drogę. Nikt inny nie próbuje nas zabić.

Docieramy do fortu, gdy ostatnie gwiazdy bledną na aksamitnie błękitnym niebie. Fort nas wyczuwa, rozpoznaje, otwiera wrota, gdy się zbliżamy. Psy biegną napić się wody.

Jestem zmęczony. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, ale nikt o tym nie mówi. Czyścimy martwe siostry i broń, a potem podłączamy do stelaży zasilających w sali sypialnej. Uzupełniamy zbiorniki w plecakach witaminizowaną wodą, przygotowując je do ponownego wyjścia. Na wioskowym cmentarzu słońce będzie wschodzić nad świeżymi grobami dzieciaków młodszych ode mnie o całe lata. Próbuję wykrzesać z siebie poczucie winy, wyrzuty sumienia, żal... ale nie czuję niczego. Nadzór pilnuje, żeby tak było.

Gdyby roboty były tańsze, nie musielibyśmy być tutaj.

*

Są tylko dwie kabiny natryskowe i toaletowe. Moja prywatna zasada głosi, że im mniej ci płacą, tym szybciej idziesz pod prysznic, zatem pierwsi ruszają tam Dubey i Yafiah.

— Pięć minut! - wołam za nimi z korytarza.

Yafiah odkrzykuje coś. Głos jest, stłumiony, ale mam całkowitą pewność, że to nie było „tak jest, sir!”.

Wstępuję do kuchni, biorę pięć albuminowych misek i wychodzę na zewnątrz.

Słońce nie weszło jeszcze na dobre, więc na dziedzińcu wciąż jest około trzydziestu dwóch stopni. Kiedy otwieram drzwi, psy leżą rozwalone pod płóciennym zadaszeniem, ale na mój widok zrywają się natychmiast na równe nogi i tłoczą wokół mnie.

Odrywam wieczka pięciu puszek z psim żarciem i zostaję bogiem stada, rozdzielając dzienną rację karmy. Opróżnienie misek zabiera im jakieś pół minuty. Mój ojciec przysłał nam środki przeciwko świerzbowi, pigułki antykoncepcyjne oraz pastylki przeciwko pchłom i pasożytom; karmę kupuję u lokalnego dostawcy. Wszystko to się opłaca.

Zanoszę z powrotem miski. Jaynie jest w centrum operacji taktycznych, nadal w inkrustowanym potem

T-shirtcie i spodniach. Gdy przechodzę, podnosi na mnie wzrok i kiwa głową. Kiedy nie nosimy hełmów, Dowództwo wymaga, żeby w COT zawsze ktoś był.

Dubey zwalnia prysznic. Przechodzi przede mną przez korytarz jedynie w szortach i z neuroskalpem, po czym znika w sypialni. Ransom zajmuje opuszczoną kabinę prysznicową, a Yafiah nadal leje wodę.

- Pośpiesz się, słonko! - wołam do niej.

- Zostało mi jeszcze trzydzieści sekund, poruczniku! Pewnie tak. Jest dosyć obsesyjna w podobnych kwestiach.

- Kiedy wyjdiesz, zmień sierżanta.

Czekam na jej gderliwe potwierdzenie, a potem zanoszę miski do kuchni. Gdy kończę je myć, Jaynie bierze prysznic, a druga kabina jest wolna.

Wrzucam ubranie do pralki parowej na wierzch ciuchów pozostałych członków oddziału - wszystko z wyjątkiem neuroskalpu - a potem włączam urządzenie. Kiedy wchodzę pod natrysk, neuroskalp mam nadal na głowie. Zerkam przez przepierzenie i widzę, że Jaynie także nosi swój. Dobrze. Wymaga się od nas, żebyśmy nosili neuroskalpy, kiedy mamy na sobie sprzęt, ale w strefie walk wolno nam je nosić cały czas, jeśli tego chcemy - a ja nie zaufałbym żołnierzowi PGB, który by tego nie chciał.

Neuroskalp działa zawsze, bez względu na to, czy Nadzór kieruje nami, czy nie. Instrukcja stwierdza, że stymulacja mózgu przez niego nie uzależnia, ale uważam, że należałoby to zrewidować. Zdejmuję neuroskalp tylko na dziewięćdziesiąt sekund pod prysznicem, kiedy muszę pokryć depilatorem skórę głowy.

Przygotowując się do tej chwili, pozwalam, żeby wielokrotnie przetwarzana gorąca woda obmywała mnie przez niemal minutę. Potem biorę głęboki wdech i zdejmuję neuroskalp.

Splukując go pod strumieniem wody z prysznica, liczę sekundy dla odwrócenia uwagi. Neuroskalp jest wykonany z jedwabnej tkaniny z wszytą drucianą mikrosiateczką i przypomina sportowy czepek, okrywający głowę od czoła po kark, bez zasłaniania uszu. Po doliczeniu do dwudziestu zawieszam go na haczyku.

Zdaje mi się, że łapię psychicznego doła. To nielogiczne, żeby mój nastrój załamał się tak gwałtownie, niemniej tak się dzieje. Gdy biorę z dozownika porcję depilatora, w mojej klatce piersiowej rozprzestrzenia się pusta, czarna, paniczna rozpacz.

Skupiając się na odliczaniu, rozprawdzam depilator po skórze czaszki i twarzy, tam gdzie wyrosłaby broda, gdybym jej na to pozwolił, podczas gdy gorąca woda spada mi na ramiona. Liczę, żeby nie myśleć. Przy siedemdziesięciu odchyłam głowę pod strumień wody, przy dziewięćdziesięciu nasuwam ponownie neuroskalp i dociskam go mocno do świeżo wydepilowanej skóry.

Jestem bezpieczny na następne dwadzieścia cztery godziny.

Nienawidziłem noszenia neuroskalpu podczas wstępnego szkolenia PGB - czułem się, jakby ktoś zaglądał mi cały czas do głowy - ale to mi już nie przeszkadza. Nie pozostało mi nic do ukrycia.

Kiedy wychodzę spod prysznica, Jaynie się ubiera. Przyglądam się jej; ma może metr siedemdziesiąt wzrostu, jest chuda, o małych ładnych piersiach, ukrytych już pod T-shirtem. Skórę ma ciemną, ale nie tak jak Yafiah. Moja jest brązowa. Dubey i Ransom to jedyne blade twarze tutaj.

Jaynie podnosi wzrok, zauważa moje zainteresowanie i śmieje się.

- To szybko minie - mówi, wkładając czyste spodnie.

- Cholera. Przepraszam. Wiesz, jak to jest. Pierwszego dnia jest zawsze niezręcznie.

- Znam to - przyznaje, zapinając guziki.

Odwracam się, zanim wpakuję się w prawdziwe tarapaty - wciąż jednak mam w głowie jej obraz. Żądza to chemia, ale tym samym jest uczucie do sióstr i braci. Możesz ich kochać i możesz za nich umrzeć, ale jeśli nie jesteś pokreconym skurwielem, ostatecznie, czego chcesz, to uprawiać seks z rodzeństwem. To wstręt do kazirodztwa i chociaż nie widziałem nigdy wzmianki o tym w regulaminie, każdy żołnierz PGB wie, że Nadzór doszedł do tego, jak symulować to uczucie w naszych umysłach.

Minie może dzień lub dwa, zanim to zaskoczy, ale działa zawsze. Nie mieszkamy z innymi mężczyznami i kobietami, tylko z braćmi i siostrami. Jestem jedynakiem, ale odkąd przebywam w połączonych grupach bojowych, wiem, jak to jest mieć rodzeństwo. Jesteśmy grupą uprawiającą celibat.

*

Śpię może trzy godziny, po czym słyszę Jaynie, która krzyczy na korytarzu swoim najlepszym sierżanckim tonem:

- Wstawajcie zwawo, dzieci! — Wali w moje drzwi. - Dowództwo ma dla nas nową zabawę. Nazywa się „patrowanie drogi” i macie dwadzieścia minut, żeby się zebrać, więc ruchy!

Podstawowe szkolenie odbywałem nie tak dawno temu. Jestem już na nogach, w częściowo podciągniętych spodniach, kiedy dociera do mnie, kto jest dowódcą naszego małego fortu.

- Co jest grane, do diabła?

Zapinam guziki i otwieram gwałtownie drzwi, ale Jaynie zniknęła już z korytarza. Słyszę Ransoma i Yafia, klnących w sali sypialnej po drugiej stronie holu. Ani słowa ze strony Dubeya, ale jestem pewny, że wstał i wkłada ryszunek.

Centrum operacji taktycznych znajduje się na wprost mojej kwatery. Tam znajduję Jaynie.

- O co chodzi? - pytam, opierając się o framugę drzwi.

Stoi przed pulpitem, obserwując wielki monitor i przypinając się do martwej siostry.

- Konwój przedsiębiorcy - z Vanda-Sheridan - ma się zjawić za jakieś półtorej godziny na zachodnim perymetrze naszego rejonu, bo przywozi wyposażenie do wzniesienia nowej stacji nasłuchowej na wschód od nas. To projekt priorytetowy, a my mamy sprawdzić, czy droga jest bezpieczna.

- Kurwa mać! - Podchodzę do biurka, żeby przejrzeć treść rozkazu i potwierdzić jego otrzymanie. - Nienawidzę przedsiębiorców wojennych. To kurewskie pasożyty. A Vanda-Sheridan to pierdolona bestia. Kiedy byłem w Boliwii, to klnę się na Boga, że ich miejscowy agent sprzedawał dane satelitarne naszym wrogom. Vanda-Sheridan, sierżant Vasquez, to czołowy przykład przedsiębiorcy wojennego, który gra chętnie na dwie strony, żeby przedłużyć konflikt! A teraz są tutaj, w Afryce! I troszczą się o swoje zyski!

- Tak jest, sir - mówi Jaynie. - Mamy jeszcze piętnaście minut, zanim będziemy musieli ruszyć w drogę.

Nurkuję do swojej kwatery, wkładam buty i kurtkę, a potem zmierzam do kuchni, gdzie na stole czekają napoje energetyczne. Dubey i Ransom piją już pierwszą kolejkę. Yafia pewnie jest w kiblu. Chwytam karton, odchylam głowę i opróżniam go kilkoma łykami.

- Jaynie! - wołam w głąb korytarza. - Czy podczas twojej wachty ktoś węszył wokół fortu?

- Tylko kilka kóz. Wyłączam COT, sir!

- Wykonać!

Dopijam drugi karton, wyrzucam Yafia z kabiny, załatwiam potrzeby fizjologiczne, a potem nakładam kamizelkę.

Delphi zaczyna mówić do mnie przez moją nakładkę:

- Dzisiaj quady, Shelley. Nie mamy danych wywiadowczych o obecności rebeliantów w okolicy, ale tak czy inaczej musisz zrobić rozpoznanie na miejscu.

- Jak zawsze.

Wchodzę do sypialni, zdejmuję ze stelaża martwą siostrę i przypinam ją. Chociaż bierzemy quady, to nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie musiał kogoś ściagać. Ransom sprawdza mój osprzęt. Zostawiwszy go, żeby zajął się ryszunkiem dwóch szeregowych, zdejmuję ze stelaża broń oraz hełm, chwytam plecak i wychodzę na zewnątrz.

Jaynie jest już na dziedzińcu i składa harmonijkowe zadanie, pod którym trzymamy quady. Pomagam jej sprawdzić akumulatory, poziom oleju, osłony przegubów i stan opon.

- Żadnych problemów - mówi ze zdziwieniem w głosie. Bezceremonialność panująca w mojej PGB

zawsze dezorientuje nowych. Być może nie trzaskamy tutaj obcasami i nie salutujemy, ale robimy to, kiedy trzeba, i robimy to dobrze.

- Zwycięzam w tej grze tylko wtedy, gdy wszyscy wychodzimy z niej żywi - przypominam jej.
- Racja.

Quady są dwuosobowymi pojazdami o niskim zawieszeniu, z siodełkiem Strzelca wyniesionym powyżej miejsca kierowcy, a siedzenia są tak zaprojektowane, żeby pasowały do żołnierzy w gnatach. Nie są to najszybsze pojazdy w okolicy, ale też na patrolu nie dochodzi do wielu pościgów. Są ciche, mają zasięg czterech godzin jazdy, zanim wyczerpią się akumulatory, które można naładować za pomocą mat fotowoltaicznych, a niezależne zawieszenie czterech kół czyni je zwinnymi i stabilnymi.

Dzieciaki mają skłonność walczyć o to, kto prowadzi.

- Zamawiam! - woła Yafiah, biegnąc z bronią i hełmem przez dziedziniec. - Kieruję. Jesteś moim strzelcem, Ransom.

Z zaskoczoną miną wyłania się za nią.

- Cholera. Jakim cudem zawsze...

Dubey przepycha się obok niego.

- Też chcę kierować.

Jestem nieco zdumiony, kiedy słyszę, że Dubey odzywa się sam z siebie, i chcę go ośmielić.

- Dobra. Wsiadaj. Weź dwa psy i wsadź je na siodełko Strzelca. Ja siądę za sierżantem. Hełmy włóż!

Sprawdzam połączenia swoje i wszystkich w oddziale. Potem staję przy bramie, przytrzymując trzy psy, które nie jadą z nami, podczas gdy quady wytaczają się na zewnątrz. Po zamknięciu psów zajmuję swoje miejsce i odjeżdżamy.

*

Droga biegnie przez kilka kilometrów na południe, po czym dociera do wioski, z której inna droga prowadzi nas na zachód. Mapy pokazują, że gdyby pojechać nią wystarczająco daleko, to dotrze się do miasta. Żartujemy o tym, żeby wziąć wolny dzień i znaleźć to miasto, ale to tylko taka gra. Quadami nie pokonamy nawet jednej czwartej drogi przed zapadnięciem nocy, więc zostaniemy tutaj, póki wojsko nie zadekretuje, że mamy się przenieść gdzieś indziej.

Dzisiaj musimy przejechać na zachód jakieś sto kilometrów. W tym czasie powinniśmy spotkać konwój Vanda-Sheridan. Potem będziemy jedynie osłaniać ciężarówki, póki nie wyjadą z naszego rejonu i będziemy je mieli z głowy.

Jedziemy na południe w stronę wioski z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, slalomując w celu uniknięcia dziur i najgorszych kolein. Przynajmniej droga nie jest pylista, jaka byłaby w porze suchej. Każdy kierowca utrzymuje stumetrowy odstęp od poprzednika. Yafiah i Ransom są na przedzie, ja i Jaynie za nimi, natomiast Dubey z dwoma psami na siodełku Strzelca zamyka kolumnę. Miny pułapki są tutaj rzadkością, ale licho nie śpi.

Wolę nie kierować, częściowo dlatego, że niezbyt umiem. Wyrosłem na Manhattanie, gdzie nie ma powodu jeździć autem, a prawo jazdy zrobiłem dopiero w Teksasie, gdyż wymagało tego wojsko. Przede wszystkim jednak nie prowadzę dlatego, że po drodze chcę się przyglądać otoczeniu oczami anioła.

Wysłałem go przodem, żeby patrolował naszą trasę, polecając, by podążał szerokimi zakosami i obserwował teren po obu stronach drogi. Już dotarł za wioskę. Niebawem znajdzie się na granicy swojego zasięgu - nie przewiduje się, żeby odlatywał dalej niż na dziesięć kilometrów od mojej pozycji — ale dogonimy go, kiedy dotrzemy na drugi koniec osady.

Z przodu, dojechawszy do pierwszych zabudowań, Yafiah zwalnia quada tak bardzo, że ledwo pełźnie.

- Rozjaśnić przyłbice - polecam przez gen-kom.

Noszenie hełmów jest obowiązkowe przez cały czas, gdy przebywamy poza fortem. Zwykle przyłbice

mamy czarne, żeby ograniczyć możliwość zidentyfikowania nas przez nieprzyjaciela, a poza tym stanowi to bardzo skuteczny czynnik onieśmielający. Mieszkańcy wioski jednak nie są naszymi wrogami, a moi żołnierze nie są pozbawionymi twarzy demonami.

Pierwszych kilka zabudowań to chaty z prefabrykatów, które często się przewracają, gdy od Sahary dmie harmattan, więc większość domów jest wciąż z pięknych czerwonych błotnych cegieł, z otoczonymi murami dziedzińcami, ocienionymi przez rozpościerające się gałęzie i pierzaste liście miodeł albo przez ciemniejsze, gęściejsze kopuły listowia mangowców. Na peryferiach wioski stoi wieża telefonii komórkowej, a dachy pstrzą talerze anten satelitarnych.

Kozy, kurczaki i perliczki są wszechobecne, ale w polu widzenia znajduje się tylko niewielu ludzi, głównie staruszków plotkujących pod ścianami dziedzińców. Potem mijamy szkołę. Rozlega się krzyk wyrażający ekscytację, po czym około dwadzieścioro dzieciaków w wieku od sześciu do szesnastu lat wypada z budynku na dziedziniec, wszystkie, kolorowo ubrane, śmieją się i krzyczą, gdyż mie widują nas zbyt często i uważają, że quady są super.

- Salut, żołnierze. Miło was widzieć. Dokąd dzisiaj jadziecie? Możemy iść z wami?

- Nie ma mowy! - odpowiada Yafiah. — Musicie wracać na lekcje!

Mimo to biegną obok.

- Shelley z Manhattanu! - wołają do mnie. - Yafiah z Kalifornii. Dubey z Wa-szyng-to-nu. Matthew z Georgii!

Potem orientują się, że nie widziały wcześniej Jaynie.

- Kim jesteś? Jak się nazywasz?

- To jest sierżant Jaynie - mówię.

- Skąd jesteś, sierżant Jaynie? Skąd jesteś?

Nie widzę jej twarzy, ale poznaję po głosie, że się uśmiecha.

- Z Detroit - mówi. — Z Kansas City, Chicago, Filadelfii i ze zbyt wielu innych miejscowości, żebym je pamiętała.

A potem cicho, żeby dzieciaki jej nie słyszały, chociaż mikrofon hełmu wychwytuje słowa: — To miejsce jest rajem w porównaniu z zadupiami, w jakich mieszkałam.

Dzieciaki paplają, póki nie docieramy do drogi prowadzącej na zachód, gdzie machamy im na pożegnanie. Wątpię, żeby wróciły do szkoły, ale to nie moje zmartwienie.

Droga na zachód jest asfaltowa. Kiedy tylko wyjeżdżamy z wioski, Yafiah przyśpiesza. Jaynie czeka, aż rozdzieli je odpowiedni dystans, a potem także dodaje gazu. Kiedy gnamy obok wioskowego cmentarza, spostrzegam w głębi świeże groby. Działal dobrze wypełnia swoje obowiązki i zasługuje na forszę, którą mu płacimy.

Później mijamy kolejne pola sorgo o łodygach wysokich już na ponad półtora metra, z formującymi się na szczytach kitami ziaren. Dalej obszar płaskiej czerwonej ziemi zostaje przejęty przez rozproszone drzewa i krzaki. Jak dotąd była to dobra pora deszczowa. Wszystko jest zielone, a drzewa otacza wysoka trawa, która zniknie całkowicie z ustaniem opadów. Na razie jednak jest mnóstwo paszy dla małych stad bydła. Anioł zauważa każde zwierzę i zaznacza jego pozycję na mapie. Odnotowuje także obecność dwóch wysokich, chudych wyrostków, którzy pilnują bydła. Kiedy przejeżdżamy obok nich, machają do nas długimi różgami i się szczerzą.

Widziana z tylnego siodełka quada roślinność sprawia wrażenie bujnej, ale z perspektywy anioła ujawnia się jej prawdziwa skąpość. Mało co może się w niej ukryć, co wprawia mnie w zadowolenie. Gdyby w okolicy poruszało się coś bardziej złowieszczonego od wędrującego bydła, anioł zauważyłby to. Ale wszystko jest w porządku.

Dlaczego zatem zaczynam mieć złe przeczucia w związku z całą tą wyprawą?

*

Znajdujemy się pięćdziesiąt dwa kilometry od wioski, a anioł o dziesięć kilosów przed nami, kiedy

spostrzega w końcu zbliżający się pojazd - tylko jeden, zatem to nie jest konwój przedsiębiorcy wojennego. Po minucie anioł go identyfikuje: to dobrze nam znana mała biała półciężarówka. Wybucham śmiechem.

- Uwaga! - wołam przez gen-kom. - Bibata jedzie do miasteczka z karmą dla naszych psów.
- Kim jest Bibata? - pyta podejrzliwie Jaynie.
- Dziewczyną porucznika - mówi Yafiah.

Mam uczucie, że jestem w szkole.

- Nie jest moją dziewczyną.
- Tylko dlatego, że nie chce pan wrócić do więzienia.
- Więzienia? - pyta z niedowierzaniem Jaynie. - Nie jest pan na warunkowym?

Znowu Yafiah:

- O tak, jest.
- Jest pan oficerem - protestuje Jaynie, jakby to było coś, czego nikt z nas nie zauważył wcześniej.
- To było przestępstwo honorowe - zapewniam ją.
- Nie chce nam powiedzieć, co zrobił - dodaje Dubey, ponownie zaskakując mnie tym, że włączył się do rozmowy.

- Było warto? - pyta Jaynie.

Nie jest to kwestia, nad którą mam ochotę się zastanawiać, a poza tym biały pick-up Bibaty zbliża się szybko. Jaynie prowadzi nas na pobocze drogi. Wychylam się i macham ręką, mając nadzieję, że Bibata się zatrzyma. Najpierw odnoszę wrażenie, że nie zamierza tego zrobić, ale potem naciska na hamulec i zatrzymuje półciężarówkę obok mnie. Zeskakuję z siedelka Strzelca. Ransom robi to samo i idzie wzdłuż drogi, żeby spotkać się ze mną. Podchodzimy do pick-upa z przeciwnych stron, obaj rzucając podejrzliwe spojrzenia na ładunek piętzący się ponad dach kabiny kierowcy i ukryty pod napiętą niebieską plandeką. Może tam być wszystko.

Szeptem polecam Dubeyowi przyprowadzić psy. Potem rozjaśniam przyłbicę i podchodzę do okienka kierowcy, trzymając karabin szturmowy w kołysce ramion. Szyba opada. Przez tkaninę rękawic czuję boski, sakralny chłód klimatyzacji. Co lepsze, Bibata obdarza mnie nieśmiałym uśmiechem.

Zdecydowanie nie jest moją siostrą.

- Ach, Shelley, przyjacielu. Jechałeś do mnie w odwiedziny? I to najlepsze spotkanie, na jakie mogłeś się zdobyć? Spodziewałam się po tobie czegoś lepszego!

Mam w jednej czwartej afrykańskie korzenie, z domieszką krwi europejskiej i pierwotnych mieszkańców Meksyku. Bibata każe mi myśleć o czystych, starożytnych rodach. Skórę ma czarną, ciemniejszą od Yafiah, a twarz wyrazistą i piękną, o wysokim czole, kokieteryjnych ciemnych oczach oraz ustach, które z łatwością zmieniają grymas od złośliwego uśmiechu do groźby. Nie łączy nas nic, z wyjątkiem tego, że podziwiam ją, a jej się to podoba - ale dzisiaj odnoszę wrażenie, że nie ma ochoty na słowne gierki. Jej uśmiech skrywa niepokój, może nawet gniew. Dubey spuścił psy. Zerka na nie, gdy biegną w stronę pick-upa.

- Nic ci nie jest, skarbie? - pytam ją.

Widzę broń wsuniętą między poduszki siedzeń kierowcy i pasażera, ale nie niepokoi mnie to, bo zawsze ją tam trzyma. Ransom ogląda kabinę z drugiej strony, a ona odpowiada zniecierpliwiona:

- Oczywiście, że nic mi nie jest! Zawsze jestem okej. Jest mi dobrze od początku świata. - Jej głos opada do fałszywego, zalotnego tonu. - Chociaż mogłabym się poczuć dużo lepiej, gdybyś któregoś wieczoru przejechał się ze mną moim pick-upem. Nie uważasz, Shelley? Mam przyjechać dziś w nocy i cię zabrać?

Błyskam ku niej uśmiechem.

- O Boże, tak, kochanie. Sztywnieje mi na myśl o widoku twojej pięknej twarzy otulonej nocą. Ale mama patrzy. Nie puści mnie.

Bibata robi nadąsaną minę. Psy obeszły półciązarówkę. Obwąchują opony.

- Och, biedaku. Musisz się wyzwolić i przestać być niewolnikiem paskudnych zwyczajów starej mamuśki.

- Pewnego dnia - obiecuję jej.

Odwraca wzrok, żeby spojrzeć na swoje idealnie wymanikiowane paznokcie dłoni ściskających kierownicę.

- Przyjadę jutro - mówi cicho - i przywiozę karmę dla psów.

Po jej cichym tonie poznaję, że coś jest bardzo nie w porządku. Wyobrażam sobie rebeliantów pod brezentem, ale gdyby ktoś tam był, psy dałyby jakiś znak. Pochylam się więc, niemal wsuwając się przez okienko.

- Powiedz, Bibata, co się dzieje.

Kręci głową.

- Nic. Jeszcze nic. Ale wojna się zbliża, prawda? Nie chodzi o kilku głupich chłopaków z północy, który przychodzą sprawiać kłopoty.

- Nie, nic więcej się nie dzieje. Ahab Matugo nie zjawi się tutaj.

- Ahab Matugo to nowoczesny człowiek. Może nie byłoby tak źle, gdyby to zrobił!

- Taa, nie wiem, możliwe.

Nie patrząc na mnie, kiwa głową.

- Przyjadę jutro.

Wrzuca bieg, macha do mnie i odjeżdża, a szyba okienka podnosi się, gdy auto się oddala.

Przed sobą widzę czarną maskę przyłbicy Ransoma.

- Myślę, że wiozła po prostu żywność - mówi.

Anioł przestawia moją przyłbicę na czerń, kiedy odwracam się, żeby spojrzeć wzdłuż drogi na zachód - tam, skąd nadjechała Bibata i gdzie leży odległe miasto. Potem spoglądam z góry wzrokiem anioła, ale na płaskim, rozpalonym, zwietrzałym terenie nie ma nic oprócz drzew, krzewów i bydła.

- Dubey, zbierz psy!

Gwizdnięciem przywołuje je do nogi, a Ransom i ja wracamy na siodełka strzelców. Jaynie zaczyna mnie wypytywać, ale zbywam ją machnięciem ręki i zwracam się do całego oddziału:

- Coś się dzieje. Nie wiem co, ale mam przeczucie. Bądźcie czujni.

*

Dwadzieścia minut później Delphi mówi mi, że konwój ma opóźnienie.

- Mają problem z jedną ciężarówką. Naprawa potrwa parę godzin.

Mam wrażenie, że demon skrobie mnie pod czaszką.

- Jak sądzisz, co się dzieje naprawdę? - pytam ją.

- Dowództwo chciałoby, żebyś to ty odpowiedział na to pytanie. Masz posuwać się na zachód do spotkania z konwojem, ale zbliżaj się ostrożnie. Rozeznajcie się w sytuacji, zanim się ujawnicie.

To tworzy pewien problem, gdyż quady mogą działać przez cztery godziny, zanim wyczerpią się ich akumulatory, a my musimy jechać jeszcze co najmniej przez godzinę, żeby znaleźć konwój, tak że wyczerpiemy ponad połowę pojemności elektrycznej baterii. Mamy maty fotowoltaniczne, których możemy użyć do ponownego ich naładowania, ale regulamin wymaga, żebyśmy zawsze dysponowali wystarczającym zapasem mocy na powrót do fortu.

Okazuje się, że Dowództwo jest bardziej zainteresowane losem przedsiębiorców niż tym, czy uda się nam wrócić przed nocą.

- Możecie jechać dalej - odpowiada Delphi, kiedy wyrażam swoje obiekcje. - Jeśli zdołacie rozłożyć maty słoneczne przed czternastą, to będziecie w stanie naładować częściowo akumulatory przed przejściem kolejnej ulewy.

Więc jedziemy za aniołem na zachód.

Mamy za sobą sto pięć kilometrów, kiedy dron spostrzega ciężarówki Vanda-Sheridan, zaparkowane kawał od drogi, za zasłoną zarośli, które wysoko wyrosły w porze deszczowej.

- Powiedziałaś, że są dwie ciężarówki, zgadza się? - pytam Delphi.

Widzę cztery pojazdy. Dwie to platformy z prefabrykowanymi ścianami, plastikowymi kontenerami transportowymi i elementami masztu antenowego do budowy nowej stacji nasłuchowej. Obie ciężarówki mają na białych drzwiach kabin niebieskie logo V-S. Z dwóch pozostałych jedna to terenówka. Na końcu jest pojazd, który na ulicach Manhattanu nazwalibyśmy dostawczakiem o zamkniętej skrzyni, chłodzonej przez agregat zamontowany na dachu szoferki. Zamiast podnoszonego harmonijkowego zamknięcia ma z tyłu termoizolacyjne drzwi zamykane na wielki zatrzask.

Odzywa się Delphi:

- Wywiad ocenia z siedemdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem, że jest to operacja rebeliantów...

- Urowadzenie czy zdrada?

- Możesz zakładać wrogą sytuację, póki się nie przekonasz, że jest inaczej. Piesze podejście, po kryjomu. Zidentyfikuj obecnych i rozpoznaj sytuację, zanim się ujawnisz.

Bibata mogła mieć rację co do Ahaba Matugo; wiem, że mogę walczyć po niewłaściwej stronie, ale w zasadzie to nie jest kwestia wyboru, i wkurwia mnie, że ojczysta, amerykańska firma, taka jak Vanda-Sheridan, specjalizująca się w inwigilacji, nie wykryła korupcji wśród własnych pracowników. Lub, co gorsza, że mogła ją tolerować.

- Czy Ahab Matugo zaczął przekupywać naszych dostawców?

A jeśli tak, to jak długo może potrwać ta wojna?

- Rób swoje, Shelley - odpowiada Delphi.

- Tak jest, ma'am.

*

Trzymamy się drogi, aż znajdujemy się tysiąc czterysta metrów od ciężarówek, po czym wjeżdżamy w zarośla i jedziemy jeszcze pół kilometra. Następnie przywiązujemy psy, wyłączamy quady i rozwijamy maty fotowoltaiczne, żeby akumulatory zaczęły się ładować.

Posuwamy się pieszo.

Anioł leci wysoko w powietrzu, niewidoczny w blasku wczesnopołudniowego słońca, ale pokazuje mi to, co muszę widzieć - że w pobliżu pojazdów niewiele się dzieje. Obserwuję mężczyznę, który wysiada z ciężarówki, żeby się odlać. Przez ramię ma przewieszony karabin szturmowy. Większość tutejszych podróżnych nosi broń, ale wzięcie jej na siku w odległości kilku kroków od pojazdu wydaje się przesadą.

Patrząc, jak wraca do ciężarówki i wsuwa się na miejsce pasażera. Za kierownicą jest drugi facet. Wiem, bo anioł widzi jego łokieć sterczący z otwartego okienka. Łokieć nie poruszył się od kilku minut. Zważywszy na to, że panuje taka duchota, iż powietrze wydaje się pozbawione tlenu, a popołudniowa temperatura przekracza trzydzieści siedem stopni, uznaję, że najprawdopodobniej kierowca śpi.

Miejmy nadzieję, że jego kolega dołączy niebawem do niego w krainie Morfeusza.

Podkradamy się do ciężarówek na odległość pięćdziesięciu metrów, a szelest liści zagłusza odgłosy naszego podejścia. Rozszerzamy szyk, zachowując co najmniej ośmiometrowe odstępy. Kucam za kępą wysokich traw. Przysięgam, że bujne zielone liście wydychają parę. Błoto pod nogami cuchnie krowim łajnem. Ubranie pod kamizelkę kuloodporną ma odprowadzać pot z mojego ciała, ale ten nie paruje wystarczająco szybko, więc i tak jestem mokry. Siadam, żeby poczekać na jakieś zdarzenie, które wyjaśni sytuację.

Na szczęście nie czekamy długo. Po czterech i pół minuty drzwi ładunkowe chłodni się otwierają. Pojawiają się dwaj mężczyźni. Obaj dumnie się prężą, z uśmiechami na twarzach, gdy przystają na skraju skrzyni, żeby rozejrzeć się po cudownym otoczeniu krzaków, a potem zeskakują na ziemię. Za nimi

pojawiają się trzy młode dziewczęta, naprawdę młode, dwunasto-, trzynastoletnie, o lśniącej w słońcu brązowej skórze — całej skórze, gdyż żadna nie ma na sobie ubrania.

Ransom i Yafiah klną cicho przez gen-kom, a ja zaczynam rozumieć, dlaczego Bibata wydawała się taka przestraszona. Jest niezależną kobietą prowadzącą samodzielnie interes na środku kompletnego pustkowia. Może widziała, co się dzieje, albo to podejrzewała. Lepiej udawać, że niczego się nie widzi, niż zwracać na siebie uwagę. Zadarcie z podobnymi gangsterami byłoby dla niej katastrofą.

Dziewczęta trzymają się blisko siebie, kiedy potulnie, ze spuszczonej głowami, pierzchają w zarośla. Domyślam się, że zostały wypuszczone, żeby sobie ulżyły, zanim zaczną się zabawa.

- Delphi - szepczę. - Pozwolenie na interwencję?

- Właśnie zapytałam i odpowiedź jest negatywna.

- Nie możemy po prostu...

- Nie.

- Niech to szlag! - Mój głos nie wznosi się ponad szept, ale jestem wściekły. Nienawidzę być złym facetem. — Ahab

Matugo nie toleruje niewolnictwa, dlaczego więc my się nie zgadzamy?

- Dostałeś rozkaz, Shelley. Nie daj się zwieść propagandzie. Ahab Matugo jest wrogiem.

Nieprzyjacielem, który zestrzeliwuje nasze drony wywiadowcze. Potrzebujemy tej stacji nasłuchowej, więc pozwolisz temu konwojowi podążać spoko...

Zostaje odcięta w połowie kazania, gdy moja przyłbica traci połączenie z aniołem. Nakładka także transmituje przez anioła, ale również traci z nim kontakt.

- Połączenie między hełmami działa? - pyta Jaynie.

- Słyszę cię.

- Coś w górze - poddaje Dubey. — Zakłóca anioła, ale nie łączność między nami.

- Myślicie, że mają drona? Dlaczego nas nie widzą?

- Nie zwracają na to tak naprawdę uwagi - mówi Jaynie.

To prawda.

Myślę o tym i uznaję, że poradzę sobie z sytuacją. Nie mogę porozumieć się z Nadzorem, co oznacza, że muszę polegać na własnym osądzie w terenie. A moja ocena mówi mi, że tylko sekundy dzielą nas od chwili, gdy któryś z bandytów postanowi sprawdzić dane z ich drona.

- Słuchajcie. Musimy dopilnować, żeby ci dranie nie zawrócili i nie zamordowali naszych cennych jajogłowych inżynierów, więc wkroczymy i załatwimy sprawę. Wszyscy z wyjątkiem ciebie, Yafiah. Widzisz to drzewo za sobą? To, którego konary wyrastają nad samą ziemią? Wleź na górę i daj mi znać, gdy tylko zauważysz, że któryś z tamtych się zaniepokoił. - Posługując się hakami ramiennymi, Yafiah zaczyna się wspinać. — Reszta, ostrożne podejście, standardowe odstępki. Te dranie są uzbrojone.

Wiatr wzdycha w krzakach, gorętszy od oddechu. Szeleści w wysokiej trawie, zagłuszając wszelkie odgłosy naszych postępów. Jestem teraz na tyle blisko, że słyszę rozmawiających mężczyzn i szepty przerażonych dziewczynek zaganianych z powrotem do klimatyzowanego dostawczaka. Termoizolacyjne drzwi się zatraskują.

- Poruczniku - szepcze Yafiah przez gen-kom. - Niech pan popatrzy prosto w górę. Czy to pan?

Zadzieram głowę, żeby spojrzeć we wczesnopołudniowe niebo. Widziane przez spolaryzowaną przyłbicę jest tak błękitne, że na jego widok wręcz kłuje mnie w sercu. Rozproszone na nim chmurki to czysta, jaskrawa, błyszcząca biel. Pod nimi wisi dron, unosząc się dokładnie nad nami, nie wyżej niż na poziomie czubków drzew, nieruchomy na wietrze jak latawiec. Wydaje się zrobiony ze szkła, przejrzysty, więc chmury i niebo przezierają przez niego. To dobry kamuflaż, ale jego krawędzie są wciąż widoczne, przez co łatwo go zauważyć. Podobnie jak mój anioł, to małe urządzenie, ma może metr dwadzieścia od czubka jednego śmigła do drugiego.

Yafiah chce wiedzieć, czy to mój dron, więc odpowiadam:

- Nie, to nie ja. Pozbądź się go.
- Przygotuj się na odpowiedź - ostrzega Jaynie.

Z głośnym wystrzałem z ztkh Yafiah zdmuchuje drona z nieba. Następuje drobny biały rozbłysk, a potem trzeszczą zarośla, zbombardowane szczątkami urządzenia.

- Zjeżdżaj, Yafiah! - mówię jej. - Jesteś celem. Spadaj z tego drzewa.

Kiedy zeskakuje na ziemię, przekazuję miniaturkę jej pola widzenia na swoją przyłbicę; płyty stopowe pulsują, gdy amortyzatory przyjmują na siebie wstrząs, a potem Yafiah zrywa się do biegu, oddalając się od drzewa.

Przy ciężarówkach słysząc krzyki mężczyzn. Z terenówki wytacza się strażnik z karabinem szturmowym. Podnosi broń do ramienia i zasypuje pociskami grzędę, którą Yafiah dopiero co opuściła.

- Odpowiedzieć ogniem - mówię.

Agresywny wartownik nie ma szans. Dostaje z czterech stron i pada w rozprysku błyszczącej, czerwonej krwi. Wszyscy gnamy na nowe pozycje. Wokół mnie kołysze się wysoka trawa i podrywają się chmary owadów. Z burdelu na kółkach dobiegają krzyki przerażenia, a potem niespodziewanie eksploduje za mną granat. Podmucha zwała mnie na kolana, ale po sekundzie znów stoję z podniesioną bronią. Gdy szukam wroga, w krzakach trzeszczy ogień.

Widzę go. Jest wysoki, ponury, hrodaty i ciemnoskóry. Na ramieniu ma oparty powtarzalny wyrzutnik granatów Obraca się wolno w poszukiwaniu celu. Idiota. Powinien strzelać, podpalając krzaki i trawę, żeby nas z nich wykurzyć... za późno jednak, żeby odesłać go do szkoły. Jest za późno, gdy spostrzega mnie, na wpół ukrytego w trawie. Przyłbica pomaga mi zgrać się z celem, wypuszczam krótką serię z setki i gość pada obok swojego kumpla.

Dziwaczna cisza zalega w zaroślach. Nawet wiatr umilkł. Nikogo nie widzę. Goście z burdelu wycofali się do wnętrza, zamykając za sobą drzwi.

- Ten dron nie odciął od nas anioła - mówi Dubey.

Ma rację. Drona nie ma, ale nie odzyskaliśmy połączenia z Nadzorem.

- Więc co, do diabła, blokuje anioła, nie zakłócając połączenia hełmów?

- Nie wiem, sir.

Coś innego zwraca moją uwagę - słaby dźwięk, wzmocniony przez hełm - dziewczęcy szloch.

To wprawia mnie w zły nastrój.

- Wyłaźcie na zewnątrz! - wrzeszczę. - Wszyscy! Zostawcie broń. Ręce na głowę. Już.

Przez czternaście czy piętnaście sekund nic się nie dzieje. Przebiegam w głowie możliwe scenariusze wyciągnięcia wszystkich z ciężarówki bez zranienia dziewczyn, zanim jednak opracowuję jakiś rozsądny plan, tylne drzwi dostawczaka otwierają się i ku memu zaskoczeniu źli faceci pomagają mi, wypuszczając z własnej woli jedną dziewczynkę. Pozwolili jej nawet włożyć sukienkę. Mała robi kilka kroków, a potem się zatrzymuje. Płacze i drży, pewna, że ją zastrzelimy.

- Chcecie te kobiety? - woła facet. Pojawia się w drzwiach ładunkowych; biały mężczyzna, który mówi z europejskim akcentem. Widzę, że się rozgląda, próbując mnie zlokalizować. - Weźcie je. Weźcie wszystkie. Tam, skąd pochodzą, jest ich więcej.

- Pierdol się i wyłaź tak, żebym cię widział!

Patrzy prosto w moim kierunku, prowadzony głosem, ale wątpię, żeby wiele widział. Trawa to dobra zasłona.

- Zabierz kobiety i spadaj - ostrzega mnie. - Poinformowaliśmy Sojusz, że zostaliśmy zaatakowani. Amerykańskie helikoptery przylecą tutaj za kilka minut. Znikaj, bo potem nie będziesz miał okazji.

- Idiota - prychnął Ransom.

Muszę się z nim zgodzić. Nasz wróg nie ma pojęcia, kim jesteśmy; bierze nas za gangsterów, którzy chcą go okraść.

Nie obchodzi mnie, czy rzeczywiście jest w stanie wezwać wojsko; wiem, że jakaś wiadomość już

poszła, bo kiedy transmisja mojego anioła zostaje zakłócona, jego protokół przewiduje, że ma się wycofać, aż ponownie nawiąże łączność z Nadzorem. Gdy tylko pojawi się znowu na monitorze, Delphi przejmie nad nim kontrolę. Przy odrobinie szczęścia helikoptery są już w drodze, a gdy w ruchu znajdzie się taka masa wojskowego sprzętu, to nawet skorumpowany Sojusz nie będzie w stanie przeoczyć niedostatecznego morale pracowników zatrudnianych przez przedsiębiorców.

Pozwalam więc temu kutasowi myśleć, że mnie przestraszył.

- Taa, dobra - mówię, nadając głosowi nutkę niepokoju. - Weźmiemy kobiety. Wypuść je wszystkie, bo wpakuję granat w to twoje pudło.

Facet nurkuje do środka.

- Jazda! - słyszę jego krzyk. - Wynocha!

W wąskich drzwiach pojawiają się dwie kolejne dziewczynki, w barwnych, tanich sukienkach. Bose, zeskakują na ziemię, płacząc i przytulając się do siebie.

- Powiedz im, żeby poszły do drogi po śladach opon - polecam.

Inny facet, którego dotąd nie widziałem, wychyla się z drzwi i przemawia do dziewczynek w nieznanym mi języku. Na ich twarzach maluje się wyraz bezradności, gdy potykając się, odchodzą posłusznie ku drodze.

- A teraz się wynoście - mówi Europejczyk. - Słyszysz już helikoptery.

Nie kłamie. Ja też je słyszę. Nadal jednak nie mogę połączyć się z aniołem i chciałbym to naprawić. Na dachu skrzyni dostawczaka znajduje się mała antena satelitarna. To jedyna kandydatka na źródło sygnału zakłócającego.

- Yafiah — szepczę przez gen-kom. — Obejdź ich dookoła i zaopiekuj się dziewczętami.

-Idę.

- Jaynie?

- Jestem.

- Skłonię wroga do wyjścia z ciężarówki. Nie daj im mnie zabić.

- Bez obaw.

- Też patrzę - dodaje Ransom.

Opieram palec obok spustu wyrzutnika granatów. Potem wychodzę szybkim krokiem na otwartą przestrzeń, omijając ciała strażników. W tym popołudniowym skwarze bije od nich przytłaczający smród krwi i ekskrementów.

Europejczyk zauważa mnie - a także mój mundur. Jest przerażony.

- Kim. kurwa, jesteś? - wrzeszczy do mnie. - Pierdolony durniu... złożę na ciebie raport twojemu dowódcy!

To niespecjalnie mnie przeraża, gdyż wszystko, co robię, mówię, oraz większość tego, co się dzieje w mojej głowie, jest przekazywane wprost do Dowództwa. Nie mam tajemnic. Wiedzą, że jestem dupkiem, ale i tak znajdą dla mnie zajęcie.

Śmigłowce już dobrze słychać, gdy wymierzam broń w bok ciężarówki.

- Wyłaźcie - radzę mu. — Bo zamierzam to rozpieprzyć.

- Ty pierdolony idioto! - krzyczy Europejczyk, a potem spanikowany wyskakuje z dostawczaka i spada ciężko na ziemię.

Jego stopy się ślizgają; facet się przewraca, klnąc niezrozumiale. Dwa pozostałe fiuty gramolą się za nim. Jeden wygląda na Afrykanina, drugi na arabskiego mieszańca lub może Hindusa.

- Na ziemię! - wrzeszczę, a oni padają twarzami w dół obok ich towarzysza.

Nie mam pojęcia, którzy z nich to technicy Vanda-Sheridan, a którzy prowadzą burdel na kółkach, ale mam to w dupie.

Z zarośli wyłaniają się Ransom i Jaynie, celując w nieruchomą trójkę.

- Dubey! - warczę.

Pojawia się u mego boku i razem sprawdzamy chłodnię oraz pozostałe pojazdy, upewniając się, że nie ma w nich nikogo więcej. Potem wysyłam Dubeya, żeby wyłączył antenę, ale nadal wspina się na dach dostawczaka, kiedy anioł wraca na linię. Wiem o tym, gdyż Delphi odzywa się do mnie:

- Shelley, odezwij się.
- Jestem.

Macham do Dubeya, żeby zlął na ziemię.

- Sytuacja?
- Zostaliśmy zmuszeni do interwencji, której skutkiem jest dwóch martwych wrogów, trzech pojmanych, trzy uciekinierki.

Śmigłowce krążą nad nami, wzbijając tornado pyłków i liści.

- Delphi, powiedz im, żeby nas nie zabili, dobra?
- Bez obaw, Shelley. Rezerwuję ten przywilej dla siebie.
- Hej, to nie ja zakłóciłem sygnał anioła.
- Nie został zablokowany! Obserwowaliśmy cię przez cały czas. Sygnał przychodzący docierał bez zarzutu. Słyszeliśmy każde wypowiedziane słowo.
- Nie rozumiem.

- Nikt nie rozumie. Na czas operacji anioł zaprzestał całkowicie transmisji z Nadzoru i nawet kiedy próbowałam przełączyć przekaz z twojej nakładki do lokalnej sieci komórkowej, nie mogłam się przebić - ale gdy tylko operacja się skończyła, łączność dwukierunkowa została przywrócona.

- Przez kogo?
- Nikogo! Nikt tutaj nic nie zrobił. Po prostu stało się.
- To nie ma sensu.
- Taa? Nie żartuj.

Zbyt wiele się wydarzyło, żeby dało się ukryć przestępstwo. Tak więc technicy i handlarz żywym towarem zostali aresztowani, chociaż nadal nie wiem, kto jest kim. Trzy dziewczynki są transportowane helikopterem do obozu uchodźców w głębi Sahelu - wystarczająco daleko, mam nadzieję, żeby znalazły drogę do domu.

Yafiah i Ransom nie muszą walczyć o miejsce kierowcy, gdyż wysyłam ich do prowadzenia korporacyjnych ciężarówek. Zrewidowane rozkazy polecają nam doprowadzić konwój aż do fortu Dassari i strzec go. Za dzień czy dwa dowództwo dostarczy drogą lotniczą nowych techników, żeby przejęli zadanie poprzedników. Delphi każe mi obiecać, że nie zabiję ich, kiedy się zjawią, żeby przejąć ciężarówki.

Jaynie i Dubey jadą quadami na czele konwoju. Za nimi podążają dwie wielkie odkryte ciężarówki, a na końcu ja. Utknąłem za kierownicą trzeciego quada, co oznacza, że mogę patrzeć tylko oczami anioła. Czuję się bezradny, bo nie jestem w stanie obserwować okolicy. Jadę prawym poboczem, co przynajmniej pozwala mi widzieć kawałek drogi przed ciężarówkami.

- Delphi?
- Mów.
- Widzisz jakichś innych wrogów?
- Nie. Powiedziałabym ci, gdyby tak było.

Wiem, że by to zrobiła. Wiem także, że zajmuje się innymi żołnierzami, nie tylko mną. Jest zajęta - i dlatego muszę się starać utrzymać pewną część jej uwagi.

Mija kilka kolejnych minut. Wiatr się wzmaga, błyskawica przecina łukiem zasłone czarnych chmur na południu, powietrze jest brzemienne obietnicą deszczu.

- Delphi? Anioł został zhakowany?

Mija kilka sekund bez odpowiedzi. Sprawdzam ikony. Nadal jestem połączony.

- Delphi?

- Technicy to sprawdzają.
- Rozmawiałaś z kimś przed chwilą? Powiedziano ci, żebyś nie mówiła nic więcej?
- Rozmawiałam z technikami. Nie mają nic nowego do przekazania.

Zostawiamy za sobą kilka kolejnych kilometrów. Słyszę nadciągającą ulewę: trzeszczący, dudniący szum, który przybiera na intensywności, gdy przesuwa się po równinie.

- Delphi?
- Tak, Shelley?
- Sądziłem, że nikt nie może się przedrzeć przez nasze zabezpieczenia.

Cisza.

- Jeśli nie odpowiesz, uznam, że anioł został ponownie odcięty.
- Przyjrzyj się swoim ikonom.

Deszcz uderza nagłym potopem, który zalewa mi przyłbice. Normalny widok zostaje zastąpiony symulacyjnym obrazem z obiektywów kamer hełmowych, a zniekształcenia wywołane deszczem są skompensowane.

- Co będzie, Delphi, jeśli anioł zostanie ponownie odcięty, kiedy będziemy na patrolu?
- To jest kłopot - przyznaje. - I właśnie go omawiają. Dam ci znać.

Chciałbym uczestniczyć w tej dyskusji, ale wiem, że to niemożliwe.

Ulewa mija po kilku minutach, a tam, gdzie słońce przedziera się przez chmury, szosa zaczyna parować.

- Żadnych obcych sygnałów? - zwracam się do Delphi.
- Dlaczego pytasz, Shelley? Masz jedno z tych swoich „przeczuć”?
- Nie.
- To dlaczego zachowujesz się jak nerwowy dzieciak?

Dlatego, że bez wzroku anioła czuję się bezbronny.

*

Wraz z tym, jak popołudnie się starzeje, nasze przełamane przez chmury cienie wyciągają się coraz dalej przed nami. To ulga wjechać w końcu do wioski, nawet jeśli musimy zwolnić do tempa pieszego.

Spotykamy się z chłodniejszym przyjęciem niż w czasie poprzedniego przejazdu. Bibata musiała wspomnieć o tym, co widziała lub podejrzewała, gdyż ludzie patrzą na ciężarówki podejrzliwym wzrokiem. Wypatruję jej, bo chcę powiedzieć, że załatwiliśmy sprawę, ale chociaż anioł lokalizuje jej półciężarówkę przed domem matki, Bibata nie wychodzi się przywitać. Chciałbym się z nią spotkać, ale nie mogę tego zrobić. Za samo zapukanie do jej drzwi otrzymałbym naganę za nękanie.

Pierwsza ciężarówka przejeżdża przez północny skraj wioski. Przy drodze stoi obserwująca nas staruszka o zniszczonej szarej skórze. Ma u boku małą dziewczynkę, mniej więcej w wieku tych z burdelu na kółkach. Kiedy podjeżdżam quadem, podnosi dłoń, żeby mnie zatrzymać.

Przekazuję swoją sytuację przez gen-kom.

- Zatrzymuję się na chwilę. Niech konwój jedzie dalej. Dogonię was.

Kobieta gestykuje niecierpliwie w stronę dziewczynki, która odzywa się do mnie znakomitą angielszczyzną:

- Babcia chce wiedzieć, co tam widziałeś, Shelley.

Z ulgą dzielę sto wiadomościami, pewny, że dotrą do Bibaty.

- Widziałem złych ludzi, ale już ich tam nie ma.
- Zabiłeś ich. Shelley?- pyta z ożywieniem.
- Zabiliśmy dwóch, Trzech aresztowano.

Tłumaczy babci, która o coś pyta. Mała powtarza mi to po angielsku:

- Były tam dziewczyny? Zginęły?
- Trzy dziewczynki. Żyją. Słuchaj babci i uważaj na siebie.

- Mam broń - oznajmia z dumą. - Jeśli przyjdzie po mnie jakiś łowca cipek, babcia mówi, że bym go zastrzeliła.

Jeżeli zbiory będą kiepskie, babcia może nie mieć dość jedzenia, żeby przetrwać następny rok, ale wojna jest na tyle blisko, że wydała skromne oszczędności na broń, która przypuszczalnie nie zda się na wiele, jeśli sytuacja naprawdę się pogorszy.

- Uważaj z tą bronią - radzę jej.

Obie ciężarówki wyjechały z wioski. Przyśpieszają. Rozglądam się jeszcze raz w poszukiwaniu Bibaty, ale nie widzę jej, i tak jest pewnie lepiej. To, co nas łączy, to sztuka performance'u, nie miłość. Bywałem zakochany. Znam to.

Zdejmuję nogę z hamulca i jadę dalej.

Muszę gnać jak szalony, żeby dogonić ciężarówki.

*

Do fortu docieramy o siedemnastej trzydzieści. Delphi jest równie zmęczona jak ja. Wylogowuje się, zostawiając mnie pod opieką mojego drugozmianowego opiekuna, gościa o kryptonimie Poganin.

- Cześć, Shelley - wita mnie. - Słyszałem, że miałaś pracowitą dobę.

- Jeszcze się nie skończyła.

- Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Obserwuję cię.

Poganin jest w porządku. Przeważnie dostaje mi się pod koniec długiej szychty, takiej jak ta, ale w czasie kilku misji był moim głównym opiekunem i pracujemy ze sobą na tyle długo, że nie mam nic przeciwko temu, żeby go mieć w swojej głowie. Jest skuteczny i uprzejmy, a gdy nic się nie dzieje, umie być nieobecny. Będzie się trzymał w cieniu, aż zdejmę hełm, a nie zdejmę go, póki nie znajdę się bezpiecznie w forcie, za zamkniętą bramą i z włączoną au-toobroną. Teraz muszę się zająć ciężarówkami.

Polecam Ransomowi zaparkować je po południowej stronie fortu, naczepami prostopadle do muru, co da minimalną osłonę rebeliantom. Potem ma odczepić ciągniki i obrócić je, żeby przednimi zderzakami były zwrócone do zaczepów platform. Nikt nie skradnie sprzętu ani ciężarówek, kiedy są pod moim nadzorem.

Pozostawione w forcie trzy psy są zachwycone naszym powrotem. Upuszczam plecak i poświęcam chwilę na objęcia i uderzenia obciętych ogonów. Później biorę Ransoma do pomocy w zdjęciu ze stelaża skrzynki przenośnych detektorów ruchu. Wychodzimy na zewnątrz, obaj nadal w kamizelkach i gnatach, a psy łaszą się do nas. Słońce chowa się za polami sorgo i rozpostartymi konarami miodel, podpalając chmury ogniem, kiedy rozkładamy wokół ciężarówek czujniki — dodatkowe zabezpieczenie na wypadek, gdyby jakiś duch przedostał się poza stałe detektory monitorujące aktywność w naszym otoczeniu. Kiedy kończymy, na niebie błyszczą pierwsze gwiazdy.

Gwizdnięciem przywołuję psy do fortu i włączam nowe czujniki ruchu. Ransom znika w środku.

Jest osiemnasta trzydzieści. Za półtorej godziny powinniśmy wyruszyć na nocny patrol, ale łączę się z Poganinem i dostaję pozwolenie na przesunięcie wymarszu na dwudziestą drugą.

Dubey i Yafiah są na placu, bez kamizelek i gnatów, czyszczą i przygotowują quady. Zdejmuję hełm.

- Yafiah, idziesz na patrol. Przygotuj sprzęt i trochę się prześpij.

Przeszywa mnie sztyletami spojrzeń, ale bez słowa podąża za mną do środka.

- Jaynie! - gramię.

- Tak jest, sir!

Pojawia się na progu COT, w przepoconym T-shircie i ubłoconych spodniach.

- Ty i Dubey musicie zostać dziś w nocy w domu, żeby strzec ciężarówek. Ransom i Yafiah idą ze mną na patrol.

Yafiah mruczy coś pod nosem, przepychając się obok mnie i znikając w sali sypialnej. Po kilku drinkach energetycznych poczuje się lepiej.

*

Zamykam drzwi mojej kwatery - malutkiego pokoiku wystarczającego na pomieszczenie pryczy i biurka, z którego nigdy nie korzystam. Kładąc się, myślę: Sen. Neuroskalp wychwytuje to i po chwili przez moją głowę defilują senne wizje. Jedna z nich dotyczy rekina, którego spotkałem w Teksasie.

Jestem tak przestraszony, że budzę się, mrugając w kierunku białego sufitu oprószonego czerwonym pyłem.

Mam niepokojące wrażenie, że Bóg napomina szeptem mój mózg, żeby uwolnił wspomnienia. Racjonalny umysł się opiera: mówię sobie, że dzisiejszych wydarzeń jest dość, żebym ją sobie przypomniał.

To było w Dallas-Fort Worth. Lot z Boliwii został opóźniony z powodu burz, co pozostawiło mi parę minut na złapanie połączenia do Nowego Jorku. I byłem w ponurym nastroju, gdyż mój dowódca kazał mi zostawić neuroskalp, zanim wyszedłem na przepustkę.

Pierwszą oznaką kłopotów był harmider podniesionych głosów w zatłoczonej poczekalni. Przede mną cywile wpadali tyłem na szyby, robiąc przejście falandze ośmiu ubranych na czarno najemników, którzy mieli broń boczną w kaburach. Przepchnąłem się za filar, oblany potem ze strachu, przekonany, że trafiłem na początek ataku terrorystycznego — ale nakładka nie przekazała żadnego alarmu, przedstawiając jedynie proste wyjaśnienie identyfikujące najemników jako pracowników firmy ochroniarskiej Uther-Fen, uprawnionych do noszenia broni osobistej wszędzie, nawet w węzłach transportu publicznego.

Wokół mnie podnieceni cywile podskakiwali na palcach, żeby zobaczyć najemników ponad głowami innych; pytali jednocześnie jeden drugiego:

- Kto to? Aktorka? Widzisz coś?

Także tam spojrzałem i ujrzałem kobietę, dojrzałą, ale nie starą, idącą między ochroniarzami; plecy miała proste, patrzyła przed siebie. Była wysoka i szczupła, o sztywnych złotych włosach - nie blond, ale złotych - ostrzyżonych na pazia. Oczy przesłaniały jej przyciemniane, zakrzywione soczewki ekskluzywnego wizora. Miała na sobie szary, jedwabny, sięgający kolan płaszcz, a ja odniosłem wrażenie, że ona także ma prawo nosić krótką broń i że mają gdzieś w płaszczu.

Moja nakładka zidentyfikowała ją jako Thelmę Sheridan, główną udziałowczynię firmy Vanda-Sheridan, czyli członkinię światowej elity — posiadającego ukryty skarb rekina, którego niebezpiecznie jest drażnić.

Na całym świecie było może trzy tysiące równych jej ludzi. Albo mniej.

Oszłomiła mnie otaczająca ją aura władzy; na jej twarzy widziałem bezwzględność niezbędną do osiągnięcia jej pozycji.

Podwójne drzwi prywatnej poczekalni rozsunęły się na przyjęcie jej oraz eskorty uzbrojonych ochroniarzy. Gdy drzwi się zamknęły, poczekalnię zalało morze zdumionych szeptów, okraszonych kilkoma piskliwymi wybuchami nerwowego śmiechu. Rzadko widuje się rekiny. Wszyscy obecni zdawali sobie sprawę, że pozwolono im zajrzeć przelotnie w głąb ukrytego świata.

Później poczułem się jak idiota, ponieważ dałem się po prostu onieśmielić jej bogactwu. Zastanowiłem się, co by się stało, gdybym zarzucił jej korupcję wśród jej boliwijskich pracowników. Zapewne nie skończyłoby się to dobrze. Rekiny nie osiągają swojej pozycji w świecie dlatego, że są miłe.

Nasi politycy robią mnóstwo szumu, udają, że mają władzę, ale w mroku za nimi, tam gdzie naprawdę zapadają decyzje, pływają rekiny.

Myślę ponownie: Sen. Tym razem Bóg milczy - albo jestem zbyt zmęczony, żeby Go usłyszeć.

*

Nie ma mnie przez dwie godziny. Potem Nadzór sygnalizuje neuroskalpowi, żeby mnie obudził. W COT zastaję Jaynie, nadal na wachcie; i nadal niewykapaną.

- Mamy raport na temat anioła?

- Tak jest, sir. Technicy przeprowadzili diagnostykę. Nie stwierdzono problemów. Dowództwo mówi, żeby działać normalnie.

Tak więc mój trzyosobowy patrol wyrusza w noc, strzeżony przez pięć psów i jednego chimerycznego anioła.

Gęste chmury kryją rosnący księżyc, ale w noktowizorze noc i tak jest jasna. Podążamy zgodnie ze wskazaniem mapy, którą Nadzór wyświetla na mojej przyłbicy - każdej nocy trasa jest inna - i idziemy szybko. Z początku psy uważają, że to wspaniała zabawa, ale potem zaczynają się ociążać, więc zwalniamy. Nie sygnalizują niczego podejrzanego i ja też niczego nie wyczuwam. Liczę na spokojną noc, kiedy Poganin zgłasza się z nowinami o oddziale żołnierzy duchów, w sumie dziewięciu, którzy pojawili się w rejonie na zachód od nas. Trwa wymiana ognia. Wywiad podejrzewa próbę szerokiej infiltracji, więc nocne dane satelitarne z naszego okręgu zostały ocenione ponownie.

- Znalaziono podejrzanego obiektu.

- Uściśliłbyś to? - proszę. - Mówimy o potwierdzonej obecności czy o niezidentyfikowanych sygnałach?

- Na razie sygnały. Musisz sprawdzić, czy są prawdziwe.

Wspaniale.

- Gdzie?

Na mapie za zajmowaną przez nas pozycją pojawia się jasny punkcik; na obszarze, który już zbadaliśmy.

- Dopiero co przeszliśmy tamtędy.

- Szybko się poruszacie. Musieliście coś przeoczyć.

Przesyłam mapę Yafiah i Ransomowi, którzy są o pół kilometra ode mnie, po obu stronach.

- Satelity dostrzegły niezidentyfikowane obiekty sześć kilometrów za nami. Sprawdzimy to.

- Tak jest, sir! - odpowiada entuzjastycznie Ransom. Nudził się dzisiaj.

Yafiah udaje się przekazać w tych samych trzech słowach dokładnie przeciwne uczucie.

Przeszukujemy obszar, na którym widziano podejrzanego obiektu, a także sąsiedni rejon, ale niczego nie znajdujemy. Psy nie wyczuwają żadnych podejrzanych woni, a ja się nie denerwuję.

- I co? - pytam Poganina. - Gdzie oni są? A może dzisiaj w nocy dyżur w Wywiadzie mają koty?

- Możliwe - przyznaje. - Nigdy nie wiem, kto przygotowuje raporty. Po prostu dostaję dokumenty.

Podejmujemy patrol, zmierzając ponownie na południe. Księżyc zaszedł, więc po rozpierzchnięciu się chmur ukazują się wspaniałe sklepienie gwiazd i satelitów: jasne punkty na tle matowego, ciemnozielonego nieba.

Dwadzieścia minut później dowiaduję się, gdzie jest mój wróg.

Jest trzecia trzydzieści. Anioł znajduje się na północnym wschodzie, dziesięć kilometrów dalej i na granicy swojego zasięgu, gdy spoglądam jego oczami i widzę pół tuzina kóz truchtających jedna za drugą. Kozy nie lubią wędrować nocą, więc coś musiało je spłoszyć. Posyłam drona w kierunku, z którego nadchodzą zwierzęta, i po chwili widzę, że wysoka trawa pod gałęziami drzew się porusza, jakby przechodziło tamtędy coś wielkiego.

- Poganinie.

- Widzę. Czeka. - Włącza się ponownie po dwudziestu może sekundach. - Mamy co najmniej siedem duchów.

- Niech to szlag! - To ponad osiem kilometrów wstecz, na terenie, który dopiero co przeczesaliśmy drugi raz. - Muszą mieć własnego drona. Widzieli nas, kiedy byliśmy w ich okolicy, i przywarowali.

- Nie mogą mieć drona - mówi Poganin. - Wiedzielibyśmy o tym. Przypuszczalnie skanują transmisję radiową anioła. Albo po prostu mają szczęście.

Otoczają nas gęste zarośla. Chór owadów śpiewa nadal w nocy, chociaż nie ma ich tak wiele jak wtedy, gdy wyruszyliśmy. Powietrze jest parne i spokojne, a ja jestem tak kurewsko zmęczony, że

wszystko wydaje mi się takie samo.

- Idziemy za nimi? - pytam Poganina, bo chcę to mieć z głowy i trochę pospać.

- Sprawdzam.

Tkwią nieruchomo wystarczająco długo, żeby to zaniepokoiło Yafiah.

- Nic panu nie jest, poruczniku?

- Duchy - mówię jej. - Siedmiu potwierdzonych. Tam, skąd przyszliśmy.

- Kurwa mać!

Mam dokładnie te same uczucia, ale Ransom jest uradowany.

- Super! Nareszcie coś do roboty dzisiejszej nocy.

Poganin wraca na linię.

- Dowództwo mówi, żebyście pozwolili duchom przejść. Wysyłają drona zabójcę. Rebelianci są tak daleko od jakichkolwiek ludzkich siedzib, że nikt tego nie zauważy. Przepróż w moim imieniu Ransoma.

Kontynuujemy patrol przez kolejną godzinę, aż Dowództwo lituje się nad nami i wysyła nas do domu. Gwiazdy linią nadal pełnym blaskiem, gdy fort Dassari otwiera na nasze przyjęcie swoje podwoje. Psy biegną chłeptać wodę, a potem padają wyczerpane.

Moich ludzi nie stać na ten luksus. Ekwipunek musi zostać oczyszczony, sprawdzony, naładowany i przygotowany, zanim ktokolwiek uda się na spoczynek, gdyż w każdej chwili mogą nas wezwać ponownie. Yafiah, wypiąwszy się z martwej siostry, zatacza się. Dubey łapie ją za łokieć i podaje napój energetyczny, który powinien utrzymać ją na nogach, póki nie skończy swoich obowiązków. Moje wyczerpanie przeszło w stan klarownego spokoju, w którym nie robię niczego, co nie jest niezbędne, i w którym wykonuję tylko powolne, płynne, rozmyślane ruchy. Tak jakbym był naćpany.

Złk są oczyszczone i podłączone do stelaża, w którym się ładują. To samo z hełmami, ale na razie nie pozbywam się martwej siostry.

Yafiah bierze dwuminutowy prysznic - nie muszę nawet wołać, żeby się pośpieszyła - i znika w sypialni. Ransom idzie zaraz po niej. Dołączam do Jaynie w centrum operacji taktycznych, gdzie ponownie objęła dyżur.

Niełatwo się siada, mając na sobie martwą siostrę; przekrzywiony, opieram się więc tylko biodrem o stół. Jaynie odwraca się od rzędu monitorów, unosząc gładką brew, jakby kwestionowała moje zdrowie psychiczne.

- Dlaczego nosi pan nadal kamizelkę i gnaty?

Przyglądam się ekranom. Jestem nieprzytomny ze zmęczenia, ale z pewnych powodów warto pozostać na nogach.

- Bibata przyjeżdża. Musi podrzucić żarcie dla psów.

Jaynie uśmiecha się i kręci głową.

- Wydarzenie tygodnia - dodaję na swoją obronę.

- Wie pan, że nigdy nie będzie pan mógł...

- Wiem. — Opuszczam powieki z papieru ściernego. - To tylko gra.

Orientuję się, że jestem na skraju snu, gdy głowę wypełniają mi wizje. Jest w nich Lissa w Central Parku pełnym wiosennych kwiatów, trzymająca mnie za rękę i spiskująca ze mną o ucieczce do Europy i spędzeniu tam lata. Zrobię to. Zrobię wszystko, co mówi. Nigdy więcej nie chcę kochać nikogo innego.

- Może chciałby pan zablokować przeguby martwej siostry, zanim się pan przewróci, sir? - sugeruje Jaynie z rozbawieniem w głosie.

Budzę się; sprawdzam godzinę na nakładce. Minęło niemal dwadzieścia minut. Patrę ponownie na monitory.

- Za trzy miesiące jadę na urlop. - Trochę się tym martwię. - Słyszałem, że zasady Nadzoru się

zmieniły i że w tym czasie pozwalają nam korzystać z neuroskalpów, jeśli o to poprosimy.

- Też to słyszałam. Do Nowego Jorku?

- Nie wiem. Możliwe. Mój ojciec nadal tam mieszka. Przyglądam się jej uważniej i pierwszy raz przychodzi mi do głowy, żeby ją zapytać: - A ty? Masz kogoś? Jesteś mężatką?

- Mężatką? - powtarza z niedowierzaniem. - Małżeństwo to coś dla takich ludzi jak pan, Shelley. Ci, których znam, nie biorą ślubu. To nie przynosi już żadnych wojskowych profitów. Małżeństwo jest zdecydowanie za drogie.

Wzruszam ramionami zirytowany, gdyż Jaynie ma talent do sprawiania, że czuję się jak głupi szczeniak.

To prawda, że nie tak trudno do tego doprowadzić.

- Przebył pan daleką drogę, co? - pyta.

- Taa, zapewne.

Kiwa głową.

-Wyraźnie widać, że pochodzi pan z dobrej rodziny. Pańskie zachowanie, sposób wyrażania się. Fakt, że wojsko mianowało pana oficerem pomimo tego, że jest pan na zwolnieniu warunkowym.

Wzruszam ramionami.

Wstąpienie do wojska zamraza moje akta, więc to tak, jakbym nic nic zrobił. Gdy odsłużę swoje, wyrok zostanie zatarty.

- Jakby sio nigdy nie wydarzyło.

- Taa. Po prostu dziesięcioletni życiowy objazd.

- Co więc pan zrobił? Za co pana dorwali?

- Zbiorowy gwałt i podłożenie bomby w miejscu publicznym.

Przewraca oczami.

- Co to było? Nieprawidłowe przejście przez ulicę?

Niesamowite. Zgadła za pierwszym razem.

- Taa, można tak powiedzieć.

- Co?

- Nieprawidłowe przejście przez ulicę. Nielegalne zgromadzenie. Nieodpowiednie zachowanie. To były pierwotne zarzuty. Nie o wolność walczymy, wiesz o tym, co?

- Co pan gada? Wolność? Walczymy o czek z wypłatą, prawda?

Śmieję się.

- Dokładnie tak. O twoją wypłatę, moją, właścicieli akcji.

- Co więc pan zrobił? Uczestniczył w rozruchach?

- Nie.

Ransom i Yafiah dręczyli mnie całymi miesiącami, chcąc poznać moją tajemniczą przeszłość, i nigdy nie wyjawili mi powodu, dla którego się tutaj znalazłem, ale z jakiegoś powodu mówię o tym Jaynie. Może jestem po prostu zmęczony.

- Zaczęło się od pokojowego marszu protestacyjnego, demonstracji przeciwko przemysłowi zbrojeniowemu.

Sceptycyzm wygina jej eleganckie brwi w wysokie łuki.

Zaczynam się śmiać, a ona pojmuję, że to prawda.

Pochyliła się, usta ma okrągłe z zaskoczenia.

- O mój Boże? Bez jaj? Jest pan tutaj i zabija ludzi, bo został pan uznany za winnego protestu przeciwko przemysłowi zbrojeniowemu?

- To duże osiągnięcie - mówię jej.

Zdumiona kręci głową, ale nadal nie kupuje tego w całości.

— Nielegalne zgromadzenie... to musiało być drobno wykroczenie. Jak to się zamieniło na dziesięć

lat służby w wojsku?

Teraz nie ma już sensu ukrywać prawdy,

- To był wielki marsz na Manhattanie. Nie należałem do ruchu. Byłem po prostu na ulicy, głupi dzieciak, który nie miał nic do roboty w sobotni wieczór, więc pomyślałem, że byłoby super przyłączyć się do tłumu.- Dotykam kącika oka dłonią w rękawicy. - Miałem już nakładkę. W tamtym czasie to był prototyp, nowinka.

-Wciąż są świeżynką. Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo, kto by to miał.

- Nikogo, o kim wiesz, że ją ma.

Skinieniem głowy przyznaje mi rację.

- Niemniej są rzadkością.

- I nie są tanie. Korzystałem ze swojej, żeby filmować marsz. Gliny zaczęły aresztować uczestników.

Nie mogłem w to uwierzyć. Co się stało z wolnością słowa?

To retoryczne pytanie, więc nie odpowiada.

- Kiedy zakwestionowałem zatrzymanie mnie, gliniarze nazwali to stawianiem oporu. Nagrałem to.

Zarejestrowałem każdą pieprzoną minutę zajścia. Aresztowanie mnie, rewizję osobistą, wszystko.

Gliniarze nie wiedzieli, że jestem scyborgizowany, więc to było łatwe. Później opublikowałem wideo w sieci, a ludzie zobaczyli ruiny tego, co uważali za swoje prawa obywatelskie. To dodało ogromnego bodźca ruchowi protestacyjnemu.

- Cholera, chyba widziałam ten filmik.

- Pewnie tak.

- Dokonał więc pan nielegalnego nagrania i upublicznił je pan.

- Taa, tak brzmiało oskarżenie. Władze miasta stwierdziły, że naruszyłem prawo obywateli do prywatności i naraziłem gliniarzy na odwet. Oczywiście w tamtych czasach nie dało się przejść manhattanską ulicą żeby nie zostać nagrany.

Kręci głową.

- Ma pan jaja. Shelley.

Policzki mi pałają.

- Nie bardzo. Nie podobało mi się po prostu bycie szarpanym przez gliny i byłem wkurzony.

- Hmm. Powinien pan za to zostać skierowany na terapię.

Na zewnątrz wstaje słońce, którego pierwsze promienie przebijają się przez gałęzie drzew rzucających długie cienie na drogę. Bibata zjawia się zawsze po wschodzie słońca. Obserwuję monitor ukazujący trakt biegnący na południe. wiedząc, że niebawem pokaże się tam jej pick-up.

- A co z tobą? — pytam Jaynie. — Jaka jest twoja historia?

Patrzy mi w oczy.

* *

- Nie musiałam opuścić domu, bo nigdy żadnego nie miałam. Mam za to ambicję.

- Oraz bystrość i ciekawość. Chcesz zostać oficerem?

- Złożyłam podanie.

W wojsku nadal można przyjść znikąd i skończyć jako dowódca. W cywilnym świecie to się już nie zdarza.

Oboje wzdrygamy się na dźwięk pikania peryferyjnego alarmu, ale to tylko półciężarówka Bibaty, pięć kilometrów od nas.

- Jak zawsze o czasie — mówię, zbierając się.

- Proszę się grzecznie zachowywać — ostrzega mnie Jaynie - bo mama obserwuje.

Uśmiecham się, biorę z sypialni hełm oraz karabin i wychodzę na zewnątrz. Słońce świeci w dach fortu, ale dziedziniec jest nadal ocieniony przez wschodnią ścianę. Dubey zajmuje się psami pod zadaszeniem.

- Wkładaj sprzęt - mówię mu. - Jest Bibata.

Kiwa głową, uwiązuje psy i znika w środku.

Nakładam hełm, myśląc, że przyłbica ma być przezroczysta. Mamy obowiązek być w pełnym rynsztunku za każdym razem, gdy wychodzimy na zewnątrz. To zasada i jeśli ją złamiemy, tracimy przepustki na całe dni, gdyż wojsko nie ma ochoty wypłacać odszkodowań z polis na życie.

Wizualizuję otwarcie bramy. Neuroskalp wyczuwa moją intencję i brama rozjeżdża się na boki na tyle szeroko, że mogę wyjść.

*

Stoję z boku, gdy Bibata podjeżdża tyłem do zamkniętych wrót. Platforma pick-upa jest niemal pusta: tylko dziesięć skrzynek puszkowanej karmy dla psów i koszyk kupionych w wiosce świeżych owoców, głównie mango i papaja. Okrażam półciężarówkę, przesuwając lufę ztkh pod podwoziem, żeby kamera sprawdziła, czy nie ma tam bomb, bo nigdy nic nie wiadomo.

Zanim dojdę do maski auta, Bibata jest już na zewnątrz. Obdarza mnie niepewnym uśmiechem, stojąc obok kabiny, podparta pod boki, ubrana w maskujące rudoszare spodnie i różową koszulkę bez rękawów, która opina jej wspaniały biust.

- Tym razem nie przywiozłam żadnych bomb, Shelley. - Oklepuje się dłońmi: ramiona, piersi, brzuch i biodra. - Ani broni, z wyjątkiem tej małej w szoferce.

I tak po prostu mi staje. Ona także o tym wie.

- Gotów pożegnać się z mamą, Shelley, i udać się na przejażdżkę?

- Jak cholera.

Ale wtedy za mną otwiera się brama. Oglądam się. Dubey w kamizelce i gnatach wnosi pierwsze puste bańki na wodę.

- Ale mama wciąż obserwuje - dodaję z rezygnacją.

Wysuwam haki ramienne martwej siostry i chwytam skrzynki psiego zarcia. Niosę je do fortu, a potem pomagam Dubeyowi załadować beczki na platformę pick-upa. Martwe siostry przydają się do noszenia zaopatrzenia, ale przerzucanie towarów nie jest ich głównym przeznaczeniem. Istotą tych modeli jest szybkość i zwinność. Ich nośność towarowa jest ograniczona do stu siedemdziesięciu pięciu kilogramów razem z ciężarem żołnierza. Ironia polega na tym, że kiedy trzeba nosić ładunki, najłżejsi żołnierze dźwigają najwięcej. Życie nie jest sprawiedliwe.

Wraz z Dubeyem przywiązujemy beczki. Potem wręczam Bibacie prywatną kartę płatniczą, którą przesuwa przez telefon, kasując zapłatę. Teoretycznie to armia powinna nas zaopatrywać, ale Bibata jest dużo bardziej niezawodna, więc koszt wody, owoców i psiej karmy pokrywam z własnej kieszeni. To nie tak, żebym nie miał co zrobić z forszą.

Odwraca się, żeby zerknąć na zbiorniki na wodę, pozwalając mi podziwiać swój profil.

- Przywiozę je z powrotem po południu, Shelley. - Zadziiera głowę, żeby spojrzeć na mnie. -

Wyglądasz na zmęczonego, kochanie. Idziesz teraz spać, co? Zadbaj o to, żeby śnić o mnie.

Sądzę, że to pewne.

*

Stoję długo pod prysznicem, gorąca woda spływa po mnie, przypuszczalnie wciąż ta sama, bez końca przechodząca przez system filtrujący. Wreszcie zbieram się na odwagę, żeby zdjąć neuroskalp. W szaleńczym tempie myję skórę głowy i nurkuję pod wodę, żeby opłukać łeb, a potem udaje mi się nasunąć neuroskalp z powrotem w chwili, gdy zaczynają napływać mroczne uczucia.

Jednak kojące samozadowolenie, jakiego się spodziewam, nie nadchodzi. Przyciskam nakrycie do głowy ze wszystkich stron. Leży prawidłowo, ale nic z tego nie wynika. Jakby przestało działać.

Zakręcam wodę i chwytam ręcznik. Serce mi wali, ale jestem zbyt zdezorientowany, żeby wpaść w panikę. Wtedy na mojej nakładce zapala się ikona. Dzwoni Nadzór.

Każdy, kto wstępuje do wojska, traci autonomię. W moim wypadku była to rezygnacja z części

kontroli nad nakładką. Jest moja, nie wojskowa, ale żeby ją zatrzymać, musiałem oddać zwierzchnią władzę nad nią, co oznacza, iż Nadzór może zlekceważyć wszystko, co robię, i wtrącać się, kiedy tylko ma ochotę. Normalnie wykazują się ogładą i nie robią tego, ale niekiedy zapominają o subtelności.

Bez przyzwolenia z mojej strony dobiega mnie głos, który nie należy ani do Delphi, ani do Poganina. Jakiś facet, którego nie słyszałem nigdy dotąd.

- Poruczniku Shelley...

Przerywam mu.

- Moją opiekunką jest Delphi. - Nie podoba mi się, że mam go w głowie. Spróbujcie wyjść nago spod prysznic i zobaczyć obcego siedzącego na waszym łóżku. To to samo. - Jeśli nie ma Delphi, jest Poganin. Nikt inny nie wchodzi mi do głowy.

- Nie jestem w pańskiej głowie - odpowiada ostro nieznajomy, jakby miał już do czynienia z bardzo wielu podobnymi mi niezrównoważonymi idiotami. - Łączę się przez pańską nakładkę. I wykonuję rozkazy, dokładnie tak jak pan. Nazywam się Denario. Polecono mi skontaktować się z panem pod tym adresem. Zajmuję się problemami technicznymi. Pański neuroskalp powinien przejść przegląd techniczny, więc przez kilka godzin nie będzie działać. Uznałem, że chciałby pan o tym wiedzieć.

Chcę wierzyć, że się przesłyszałem, ale nie jestem dobry w zaprzeczaniu samemu sobie. Jestem wściekły, a neuroskalp nie działa i nie może mnie uspokoić, więc wylewam złość na faceta:

- Nie wiem, kurwa, o czym mówisz. Nie ma czegoś takiego jak diagnostyka w czasie służby. To się nie zdarza.

Denario nie odpowiada. Daje mi kilka ładnych chwil na przemyślenie pewnych rzeczy... na przykład panicznego jądra ciemności, które zaczyna mi rozkwitać w głębi czaszki, oraz zupełnego braku przeciwdziałania ze strony mojego neuroskalpu.

- Wyłączyłeś go... tak?

- Został wyłączony - potwierdza Denario, czując bez wątpienia ulgę, że w końcu załamuję. - Musi pan znaleźć w COT stelaż diagnostyczny. Nałożyć na niego neuroskalp. Potem iść się zdrzemnąć. Będzie gotowy, kiedy się pan obudzi.

Zrolowuję z głowy bezużyteczny neuroskalp i gapię się na niego, ale nie ma przełącznika, żadnego sposobu, w jaki mógłbym go aktywować.

- Co się dzieje, do cholery? Kto to zlecił? Dlaczego?

- Dlatego, że polecono mi przeprowadzić diagnostykę, i zamierzam to zrobić. Nie mogę tego uczynić, póki neuroskalp nie znajdzie się na stelażu, więc im szybciej pan go tam umieści, tym szybciej odzyska pan swoją emocjonalną kropłówkę.

- Kurwa mać!

-I niech pan nie próbuje zdjąć go wcześniej ze stelaża, gdyż inaczej trzeba będzie test zacząć od początku.

Nie zawracam sobie głowy wycieraniem się. Owinąwszy się w pasie ręcznikiem, wkraczam do centrum operacji taktycznych, gdzie dyżur objął Dubey. Spod pocieszającego nakrycia własnego neuroskalpu spogląda na mnie zmartwionym wzrokiem, po czym go odwraca - wiem więc, że wie.

A ponieważ jest tutaj sam, wołam do niego:

- Co to jest stelaż diagnostyczny?

- Sprawdziłem - mówi potulnie. - A potem znalazłem dla pana.

Wstaje i podchodzi do małego podręcznego stolika ustawionego pod kątem prostym do biurka.

- Jest tutaj. To zestaw. Mogę go dla pana uruchomić, ale musi mi pan dać swój neuroskalp.

Dubey tak samo nie chce go dotykać, jak ja nie chcę mu go dać. Pewne przedmioty są zbyt osobiste.

- Sam to zrobię.

Jestem przekonany, że sprzęt jest tak prosty, iż do jego obsługi wystarczy najmniejszy iloraz inteligencji.

Dubey wraca do biurka. Otwieram zestaw diagnostyczny i przekonuję się, że rozkłada się, tworząc druciany szkielet czaszki pozbawionej twarzy. Nasadzam na nią neuroskalp, a stelaż rozbłyskuje czerwonym światłem.

Denario odzywa się ponownie w mojej głowie.

- Dobra robota, poruczniku. Teraz niech pan idzie się przespać. Rano wszystko wygląda lepiej.
- Jest rano, dupku.
- Nie tu, gdzie ja jestem.

Dubey nie mówi nic więcej i ja też nie.

Ponownie w łazience zamieniam ręcznik na szorty, a potem zmykam do pokoju, zamykam drzwi i kładę się na pryczy. Czarne jądro w mojej głowie rozkwita. Nigdy nie chciałem zostać emocjonalnym ćpunem. Co się, kurwa, ze mną stało? Kiedy miałem dziewiętnaście lat, oddałem życie za jeden głupi, krnąbrny wyskok, i nie chcę, kurwa, o tym myśleć. Nie chcę myśleć o Lissie. Nie chcę.

Jednak wspomnienia krążą w głowie wirem rozgoryczenia, aż pozostawiają mnie z dłońmi przyciśniętymi do czoła, jakbym był w stanie wyprzeć je z mózgu.

Rozlega się pukanie w głupi mały panel uchodzący za drzwi. Zanim zbieram dość energii, żeby skłąć intruza, kimkolwiek jest, drzwi się otwierają i wchodzi Jaynie ze środkiem uspokajającym. Obracam głowę, kiedy go do mnie wyciąga: pojedynczą niebieską pigułkę, zagłębioną we wnętrzu jej ciemnej dłoni.

- Rozmawiałam z Nadzorem - mówi. - Ma pan prawo do jednej dawki zapomnienia. Niech pan weźmie, poruczniku. Pomoże panu zasnąć.
- Dzięki. - Biorę pastylkę od Jaynie, ale nie łykam od razu. Ponownie patrzy na mnie badawczo. - Dam sobie radę - mówię jej.
- Wiem.

Wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Trzymam pigułkę w dłoni tak długo, że pod wpływem ciepła zaczyna się rozpuszczać jej niebieska powłoka. Odbyłem trzy rekonesanse w czasie niecałych czterdziestu godzin. Podczas ich wykonywania moje postępowanie było bez zarzutu. Nic się nie spierdoliło. Dowództwo nie było zachwycone z powodu obrotu sprawy z pracownikami Vanda-Sheridan, ale wyłączyliśmy złych facetów z obiegu, ocaliliśmy porwane dziewczęta, sprzęt jest bezpieczny na zewnątrz fortu, a nowi technicy w drodze. A potem odbyłem jeszcze jeden pierdolony patrol. Muszą wiedzieć, że mój neuroskalp jest w porządku.

A potem dociera do mnie. Sprawdzają go, zanim mnie samego ściągną na badanie diagnostyczne. Dlaczego?

Dlaczego, skoro znakomicie się spisałem?

Wtedy pojmuję.

Stoję na krawędzi otchłani i wiem, wiem, wiem.

Chodzi o króla Dawida.

Powinienem skopać dupę Ransomowi za to, że wyskoczył z tym sloganem, ale wiem, że tym właśnie się martwią, i nagle ja także się zastanawiam - skąd to wiem, kurwa? Skąd wiem, że mamy niebawem oberwać? I dlaczego nie zastanawiałem się nad tym nigdy dotąd?

Kiedy wkładam wreszcie pigułkę pod język, jest już niebieską plamą na mojej dłoni. Bóg musiał zapomnieć szepnąć mi słówko, że Szatan jest gotów zaciągnąć mnie na skraj czarnej otchłani. Nie chcę do niej zaglądać, żeby zobaczyć twarze wszystkich ludzi, których zabiłem. Więc zamiast tego zasypiam.

Ciche pukanie do drzwi: puk-puk, puk. Rytm powtarza się kilka razy. Słyszę to, ale nie jest tego dość, żeby mnie obudzić. Jednak wrzask Ransoma robi swoje:

- Jezu, Yafiah, powiedz mu po prostu.
- Prawie wstaję, kiedy drzwi się otwierają i wychyla się zza nich Ransom.
- Stelaż jest zielony.

Barbituran pozostawił mnie w stanie konfuzji.

- Diagnostyka skończona?

- Tak — potwierdza Ransom. — Wiadomość z Nadzoru mówi, że pański neuroskalp jest gotowy do użycia.

Czuję ulgę, o tak. Potem jednak pozwalam sobie na krótki moment samczej siły, bawiąc się w duchu ideą, że nie odbiorę natychmiast neuroskalpu, nie nałożę go... żeby udowodnić sobie i Nadzorowi, iż mogę bez niego żyć... ale myślę o tym tylko dlatego, że środek uspokajający nie przestał jeszcze działać.

Wstaję. Ransom otwiera szerzej drzwi, jakby się spodziewał, że wyskoczę na korytarz. To kuszące, ale zmuszam się najpierw do włożenia spodni i T-shirtu. Olewam buty, ale wychodzę z pokoju. Yafiah stoi w holu za Ransomem, przyglądając mi się czujnym wzrokiem. Zastanawiam się, ilu widziała ogarniętych szalem facetów, którzy nie mogli dostać swojej działki narkotyku. Nie żebym miał kiedykolwiek zapytać.

Od COT dzielą mnie dwa kroki; kolejne dwa od podręcznego stolika. Stelaż świeci na zielono, dokładnie tak, jak powiedział Ransom. Mój neuroskalp jest na nim, ale nie dotykam go. Zamiast tego spoglądam przez ramię, bo chcę się upewnić.

- Dostałeś wiadomość? - pytam Ransoma. - Jest dopuszczony do użycia?

Muszę być pewny, bo nie chcę, żeby test się zaczął od początku.

- Tutaj. Może pan spojrzeć.

Ransom wchodzi, dotyka głównego ekranu. Pojawia się tekst potwierdzający jego słowa. Wzdycham i podnoszę neuroskalp, martwiąc się, że będzie nadal niepodłączony, ale gdy tylko go nakładam, niepokój znika.

Mój mózg, podobnie jak mózg każdego innego żołnierza PGB, został losowo oprószony miriadem maciupkich organicznych implantów, zwanych „mikroczipami neuromodulującymi”. Położenie i funkcja każdego czipa są znane neuroskalpowi. Niektóre są chemicznymi sensorami sygnalizującymi odchylenie od stanu równowagi, a innym neuroskalp może zlecić stymulowanie wydzielania neuro-chemicznego.

Mój umysł mocno się zbiesił. Neuroskalp rejestruje to i reaguje. Wrażenie spokoju oblewa mnie tak szybko, że się zastanawiam, czy samodzielnie wprowadziłem się w ten stan - czuję się po prostu lepiej, bo się tego spodziewałem. W tej chwili jednak nic mnie to nie obchodzi.

*

Jest dopiero wczesne popołudnie, więc idę ponownie spać. Budzę się tuż przed siedemnastą, czując bez żadnego powodu gorący zastrzyk adrenaliny. Czy ktoś ogłosił krzykiem alarm? Nie pamiętam tego, ale dlaczego się obudziłem?

Po minucie jestem ubrany, w butach. Otwieram gwałtownie drzwi i wkraczam do centrum operacji taktycznych.

- Co jest grane?

Dyżur ma Ransom.

- Nic, poruczniku. Wszędzie spokój. Wszyscy śpią. Stoję za nim i przyglądam się ekranom.

Sprawdzam

wiadomości. Ale Ransom ma rację - nic się nie dzieje. Czuję się tak, jakby ktoś przystawiał mi lufę do skroni. W kuchni podgrzewam posiłek. Jedząc, przypominam sobie, o czym zapomniałem.

Nogi krzesła zgrzytają o podłogę, gdy wstaję.

- Ransom!

- Sir?

Gdy wychodzę z kuchni, stoi w drzwiach COT.

- Co się stało z Bibatą? Miała przywieźć wodę.

- Przywiozła, gdy pan spał, sir. Sierżant zapisała to. Przez kilka sekund piorunuję go wzrokiem, jakby jego winą było to, że wszystko się odbyło tak, jak powinno. Potem wracam do swojej kolacji, ale

nie jestem w stanie jeść, wrzucam więc resztę do kompostowni i wychodzę na zewnątrz.

Temperatura plasuje się w okolicy trzydziestu ośmiu stopni - nie tak źle jak na tę porę roku. Psy leżą rozwalone w cieniu zadaszania. Uderzają krótkimi ogonami, ale jest zbyt gorąco, żeby się podniosły i przywitały ze mną - jest tak samo jak każdego innego popołudnia. Wszystko jest w porządku, nic się nie dzieje, ale mój niepokój się nasila.

Zastanawiam się, czy Denario spieprzył mój neuroskalp.

A może to po prostu kac po środku uspokajającym?

Coś jest nie tak.

Wspinam się na pomost i wyglądam przez otwór strzelniczy. Ciężarówki stoją tam, gdzie powinny, i czekają na nowych techników. Droga jest pusta. Szeleści najbliższe pole sorgo, kołysane lekkim wiatrem. Gęste ogrodzenie powstrzymuje kozy. Widzę je w oddali, grzebiące w cieniu zagajnika miodel.

Wędruję dookoła pomostem, ale z żadnej strony nie widać ani nie słychać nic innego prócz szelestu liści, beczenia kóz i brzęczenia owadów. Wycieram pot z twarzy. T-shirt mam przepocony. A mój niepokój jeszcze wzrasta. Nie chcę być tutaj, wewnątrz tych murów. Chcę wyjść na zewnątrz.

Ale to szaleństwo. Jesteśmy tutaj bezpieczni.

Co jest ze mną nie tak, kurwa?

Mrugam, kiedy na mojej nakładce rozbłyskuje zielony znak zapytania. Nieznany rozmówca? Nie mam uprawnień do połączeń telefonicznych. Zastanawiam się, czy powinienem odebrać, a potem robię to, ale nikt się nie zgłasza.

- Nadzór pogrywa ze mną - mruczę.

Wracam do środka z zamiarem zadzwonienia do nich i zapytania Delphi, Poganina czy kogokolwiek, kto ma tam dyżur, czy mają, kurwa, pojęcie, co wyprawiają, ale nie docieram do COT. Ledwo stoję w progu, gdy mózg przeszywa mi nagle silny lęk. Teraz, szepcze Bóg. Cokolwiek się dzieje, dzieje się teraz!

Wiem, że to straciłem. Wiem, że pękłem, ale nie dbam o to. Zaczynam krzyczeć:

-Zrywka! Coś się zbliża. Czuję to. Zbliża się atak. Wkładać kamizelki i gnaty. Natychmiast!

Ransom wyskakuje z COT, wzrok ma dziki.

- Król Dawid?

- Wykonać! Kamizelki i gnaty!

- Tak jest, sir! - RzUCA się korytarzem ku sali sypialnej. - Wstawaj, Dubey! - krzyczy. - Yafiah! Król

Dawid mówi: kamizelki i gnaty!

Otwierają się drzwi kwatery Jaynie. Włożyła T-shirt, spodnie i buty.

- Sytuacja, sir?

- Nie wiem, kurwa! Musimy się po prostu stąd wydostać.

Delphi gada do mnie przez nakładkę. Może połączyć się ze mną w ten sposób, ale ja z nią nie.

- Wyluzuj, Shelley...

Przerywam jej, kiedy Jaynie przepycha się obok mnie do wnętrza COT.

- Kamizelka i gnaty, sierżancie! - wołam za nią, a potem nurkuję do sypialni.

Ransom, Dubey i Yafiah nakładają kamizelki kuloodporne. Dołączam do nich. Pojawia się ponownie Jaynie i patrzy na mnie, jakbym oszalał.

- Nie ma żadnych rozkazów, sir.

- Masz mój rozkaz, sierżancie. Nakładaj natychmiast sprzęt.

Widzę, że Yafiah rzUCA Jaynie niepewne spojrzenie, podczas gdy Delphi stara się mnie uspokoić. Dubey wygląda na przerażonego - swoim szalonym dowódcą? Ransom jest podekscytowany. Przypina się już do swojej martwej siostry, a ja kończę zapinać kamizelkę.

Delphi poddaje się i wyłącza. Nikt nie gada, kiedy przypinają gnaty. Trwa to może trzy minuty, zanim wszyscy są w rynsztunku. Rozdaję broń.

- Zabierać plecaki i hełmy i na zewnątrz!

Nakładam hełm, czekam, żeby wszyscy wyszli, a potem podążam za nimi do drzwi. Brama fortu się rozsuwa; psy gnają na zewnątrz. Nadzór łączy się przez gen-kom - to nie Delphi. Ktoś starszy: kobieta, której nigdy dotąd nie słyszałem, przemawia do całej mojej grupy.

- PGB Dassari, ostrzeżenie: ze wschodu nadlatują dwa myśliwce. Niski pułap...

- Nasze? - przerywam.

- Nie. Nasze mają je przechwycić, ale...

- Uciekać! - wrzeszczę do moich ludzi. Celem mają być dwie ciężarówki na zewnątrz, ale także i fort; nie może nas osłonić. Nie został zbudowany do walki powietrznej. -Wypad! Najdalej, jak dacie radę. Znikać z pola widzenia!

Dubey i Yafiah zrywają się pierwsi. Mamy się rozproszyć, więc oni to robią. Dubey pierzcha na wschód, Yafiah na północ. Jaynie i Ransom wychodzą za nimi. Jestem ostatni. Martwa siostra wyrzuca mnie w dwóch krokach poza obręb dziedzińca.

Słyszę już odległy ryk silników odrzutowych. Mam wrażenie, że zostałem zdradzony. To nie miała być wojna powietrzna. Tylko broń ręczna. Od kiedy to Ahab Matugo może sobie pozwolić na odrzutowce?

- Szukać osłony! - drę się, gdy pędzimy, żeby oddalić się jak najbardziej od trzech najlepszych celów w okolicy. -Nie dajcie się złapać na otwartej przestrzeni!

Gnam na północny zachód, przecinam drogę i skaczę przez wysoką trawę między rozrzucone drzewa. Ransom znajduje się przede mną, biegnie z całych sił i wygląda, jakby był w stanie przeskoczyć drzewa jednym susem.

Jaynie zmierza na północny wschód, w stronę zagajnika miodeł. Yafiah się zatrzymała. Jej odczyt pokazuje mi dwa luźne złącza lewej nogi.

- Yafiah!

- Naprawiam ten szajs, poruczniku!

- Ruszaj się!

Rozglądam się za Dubeyem. Jest opisanym punktem na mojej przyłbicy, zmierzającym na południe od fortu w stronę nie wiadomo czego. Tam jest tylko otwarta przestrzeń, zryte przez kozy pastwiska.

- Dubey, znajdź osłonę! - krzyczę, ale nie odpowiada. Po prostu gna dalej.

Kurwa.

Będzie tam stanowił nieodparty cel dla napędzanego adrenaliną pilota z autonomicznym działkiem.

Niech to szlag. Dlaczego, do cholery, musimy stacjonować w takim odkrytym terenie? Dlaczego nie w dżungli, w górach czy czymś takim?

Widzę już jasne punkty myśliwców nadlatujących nisko na wschodnim niebie. Mózg skręca się z przerażenia. Wiem, wiem, wiem, że muszę biec. Głos Boga w mojej głowie jest wyraźny, jak zawsze: Uciekaj! Uciekaj jak najdalej - od ciężarówek, od fortu - ale Dubey jest tylko przerażonym dzieciakiem. Nie chcę położyć na nim lagi. Nie chcę, żeby go zaskoczyli na otwartej przestrzeni.

Więc przeciwstawiam się Bogu. Zawracam i gnam za Dubeyem.

- Shelley! - drze się na mnie Delphi. - Co robisz? Nie wracaj do fortu. Trafiają cię!

- Muszę zabrać Dubeya.

- Nie! Nie ma czasu! Wpadł w panikę. Wylogował się. Jego opiekun nie może do niego dotrzeć.

Dlatego muszę za nim pobiec.

- Powiedz... jego opiekunowi... żeby go zatrzymał... -wykrztuszam między oddechami.

Jeśli Nadzór spowolni Dubeya, da mi to szansę na dogonienie go. Jeśli go dogonię, możemy zawrócić na północ ku drzewom.

Ale odrzutowce zbliżają się z nieprawdopodobną szybkością. Czuję się oszukany. Sądziłem, że będę miał więcej czasu. Okrążam fort, myśliwce są tak blisko, że ryk ich silników wprawia w wibracje moje zęby. Szukam Dubeya - i wiem, że to beznadziejne.

Jego opiekun go zatrzymał, ale Dubey znajduje się kawał drogi dalej na pastwisku, w towarzystwie przestraszonych kóz, które przebiegają obok niego, gdy się odwraca do mnie. Nie ma gdzie się ukryć, nie ma czasu, żeby szukać schronienia.

- Padnij! - rozkazuję mu przez gen-kom.

Pada.

Zawracam i biegnę w przeciwną stronę. Dziesięć długich susów do najbliższego pola sorgo. Przeskakuję przez ogrodzenie. Łodygi mają ponad półtora metra. Dojrzałe sorgo stanowi dobrą osłonę z poziomu gruntu, ale dosyć się naoglądałem oczami anioła, żeby wiedzieć, że nie zapewnia zbytnej osłony, gdy patrzeć z powietrza. Chujowo, że nie mam innego wyboru.

Przez srożenie się silników odrzutowców przebija odmienny ryk. Pocisk rozdziera z wyciem powietrze, po czym fort wylatuje w górę na trzydzieści metrów. Padam. Czerwona ziemia między łodygami jest śliska i mokra od deszczu. Grunt drży. Zwijam się w kłębek, wiedząc, że przez następnych kilka sekund wszystko będzie zależało od szczęścia.

Powodzenie mnie opuszcza. Kiedy pocisk trafia w fort, jestem zdecydowanie za blisko. Dopada mnie fala uderzeniowa. Miażdży samym dźwiękiem, posyła gwałtownie w głąb świeżo otwartej otchłani, do samego piekła, podczas gdy przed moimi oczami kłębi się wir pomarańczowego ognia i...

Na kilka sekund wymeldowuję się ze świata.

Po chwili przekonuję się, że spada na mnie deszcz błota oraz płonących stalowych i plastikowych odłamków dudniących o tył hełmu i kamizelki. Jestem wściekły. Chcę zabić kogoś w Dowództwie. Powiedzieli nam, że to wojna lądowa, pierdolona wojna lądowa.

Wzdrygam się z powodu następnego wstrząsu, ponownie ogłuszony przez kolejną potężną eksplozję. Ogarnia mnie podmuch żaru. Staram się wyostrzyć wzrok. Chcę spojrzeć na przyłbicę, sprawdzić, gdzie są moi ludzie, ale wszystko znikło. Nadzór musiał wyłączyć mój system, żeby pilot nie mógł namierzyć sygnału radiowego.

Grunt drży ponownie, gdy w górze przemyka jeden z myśliwców, a potem słyszę wstrząsające wybuchy pocisków z autonomicznego działka. Dokładnie tak, jak się tego obawiałem, piloci polują na cele na ziemi. Zamykam oczy i modlę się, żeby odlecieli... A oni odlatują. Ryk cichnie. Na zachód, myślę... w stronę kolejnego granicznego fortu.

Mój hełm włącza się ponownie. Wentylatorki dmuchają mi w twarz chłodnym powietrzem, a przyłbica zaczyna zwyczajowy restart. Próbuje się podnieść.

Leżę na brzuchu, przywalony ciężarem plecaka, ręce mam pod własnym ciałem, a głowę zwracam w bok. Próbuje odepchnąć się od ziemi, ale martwa siostra nie działa. Jej tytanowe kości nie zegną się w stawach, więc ramiona mam zakleszczone w jednej pozycji i nie mogę zmusić nóg do ruchu. Udaje mi się obrócić, kiedy budzi się wyświetlacz przyłbicy. Nie podoba mi się to, co pokazuje. Ktoś oberwał. Krytyczny stan zaznacza się grubą czerwienią, ale umysł mam wciąż oszołomiony po eksplozji, więc nie mogę sprecyzować odczytu. Poddaję się, gdy jakiś ruch odciąga moją uwagę poza wyświetlacz. Widzę mojego ulubionego buraka wszech czasów, nadciągającego mi w podskokach z odsieczą po zmiażdżonym polu.

- Jezu, Shelley.

Głos Ransoma jest drżący i nastrojony dziwnie wysoko. Albo to tylko dostało się moim uszom.

- Jezu, Jezu, Jezu - zawodzi, klękając obok mnie.

Kamizelka Ransoma wygląda na usmażoną i nie dostrzegam jego twarzy za nieprzezroczystą przyłbicą, ale widzę, że on sam porusza się bez trudności.

- Jesteś ranny? - pytam, gdyż nie zdołałem jeszcze wywołać odczytów.

- Zamknij się, kurwa! — wrzeszczy na mnie.

Strząsa z siebie plecak, zwała go w błoto, otwiera i zaczyna kopać w jego zawartości.

- Nie jestem ranny. Ransom. Zepsuła się martwa siostra. Odepnij mnie, żebym mógł wstać.

Zaskakująco trudno jest powiedzieć to wszystko. Leżę na boku, ale nagle czuję się tak, jakbym zasypiał.

- Trzymaj się, Shelley - mówi Ransom.

Jakbym mógł zrobić coś innego.

- Kto dostał? - pytam.

Nie odpowiada. Nie mam, cholera, pojęcia, co on robi.

Ponownie próbuję zgiąć ramiona, ale wysiłek przyprawia mnie o zawrót głowy.

- Daj spokój, Ransom. Odepnij złącza. Natychmiast.

- Muszę pana obrócić na plecy.

Robi to. Niebo jest pełne wrzącego dymu. Wydaje mi się, że słyszę trzaskanie ognia, ale nie jestem tego pewien. Jakby mi słuch szwankował; nic dziwnego, skoro dopiero co zostałem wysadzony w powietrze przez pocisk raketowy.

- Delphi? - pytam niepewnie, zdziwiony, że mnie nie łaje. - Jesteś tam?

- Jestem, Shelley.

Wszystko, na co mogę się zdobyć, to szept.

- Co się stało?

- Do konfliktu włączył się nowy gracz, taki z głębokimi kieszeniami.

-I Dowództwo nie wiedziało o tym?

- Nie mam pojęcia, co wiedziało Dowództwo.

Niezbyt daleko pada strzał. Wzdrygam się mocno i ponownie staram się usiąść, ale ledwo odrywam głowę od ziemi.

- Delphi, co mi jest, kurwa?

- Naładowałaś cię endorfinami - szepcze drżącym głosem.

- Oba krępulce założone - oświadcza Ransom.

To wszystko nie ma dla mnie sensu; tylko mnie złości.

- Co ty, kurwa, robisz, Ransom? Zdejmij ze mnie tę martwą siostrę!

Drugi strzał sprawia, że zamieram.

- Wróg na ziemi?

- Nie, poruczniku... to sierżant — odpowiada Ransom. -Zabija psy.

Zamykam oczy, rozumiejąc, że Delphi nafaszerowała mnie tak mocno, iż mam wizje.

- Sierżant mówi, że nie byłoby w porządku zostawić je tutaj, żeby zdechły z głodu - wyjaśnia

Ransom.

- Nie słyszę jej. Nie słyszałem, co powiedziała.

- Nie musi pan.

- Niech to szlag...

Zbieram się do wygłoszenia tyrady, kiedy dobiega mnie odgłos kroków mlaszczących w błocie.

Obracam głowę, żeby spojrzeć.

Obok nas, przez zwęglone i spalone pozostałości sorgowego pola, przechodzi Jaynie, kierując się ku drodze. Idzie sztywnym, miarowym krokiem, ściskając w dłoniach karabin szturmowy. Yafiah podąża dwa kroki za nią dokładnie w ten sam sposób, jakby ją przedrzeźniała, tyle tylko, że nie niesie broni. Pośrodku kamizelki widzę wypalony krater. Jaynie odwraca głowę, żeby na mnie spojrzeć. Yafiah nie robi tego, gdyż nie jest już rzeczywista. To jedynie szkielet martwej siostry, transportujący jej zwłoki.

- O kurwa - szepczę, obserwując ten pochód.

Jaynie podłączyła egzozszkielet Yafiah do swojego systemu. To najłatwiejszy sposób przeniesienia ciała do punktu podjęcia; oznacza to także odzyskanie egzozszkieletu. Armia będzie chciała wykorzystać go ponownie.

Spoglądam na wyświetlacz przyłbicy. Wiadomość o stanie krytycznym zniknęła. Przenoszę wzrok na

zadymione niebo.

- Gdzie jest Dubey? - pytam szeptem.

- Oberwaliśmy, poruczniku - mówi Ransom i zaczyna wreszcie odpinać złącza, żeby uwolnić mi ramiona z zastrzałów. - Dubey nie żyje. Wszyscy bylibyśmy martwi, gdyby nie kazał nam pan wtedy uciekać.

Umyka mi jakaś chwila, bo następnym, co zauważam, jest siedząca obok mnie po turecku Jaynie, z przezroczystą przyłbicą, a twarzą za nią smutną i pełną namysłu. Nie mam hełmu. Słońce wisi nisko na niebie. Świeci mi w oczy, intensywnie pomarańczowe za woalem czerni. W powietrzu czuć smród spalonych zasiewów i jest mi tak gorąco, że chce mi się rzygać.

Co ze mną? - pytam Jaynie.

- Wyjdzie pan z tego.

Nie ma mowy, żeby w to wierzyła. Widzę to na jej twarzy.

- Zabiłaś wszystkie psy?

Delikatne kreski jej brwi się schodzą, gdy patrzy na mnie badawczo. Nie odpowie na moje pytanie, gdyż sama ma niejedno.

- Co pana wprowadziło w panikę? Skąd pan wiedział, że nam przypierdolą? Wiedział pan wcześniej niż Dowódtwo. Wcześniej od Nadzoru.

Oblizuję wargi. Nagle mam tak sucho w ustach, że nie wiem, czy zdołam odpowiedzieć, ale wydobywam z siebie trzy słowa:

- Po prostu wiedziałem.

- Jest królem Dawidem — mówi Ransom. — Bóg mu powiedział, że ma nam kazać spierdalać stamtąd, i zrobił to.

- Taa? Powrót po Lin był durnym pomysłem, sir. Bóg powinien był panu powiedzieć, żeby nie strugał pan bohatera.

- Powiedział — szepczę — ale Go nie posłuchałem.

Odsłania zęby - jest wściekła - jakby nie była w stanie uwierzyć, że musi być świadkiem tak potwornej głupoty.

- Dlaczego nie, kurwa?

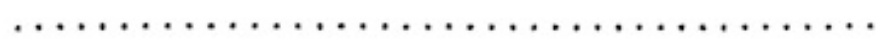
Nie wiem, co powiedzieć.

Kiedy jednak odwraca głowę, kiedy widzę, że patrzy na moje nogi, ogarnia mnie przerażenie - największe, jakiego doświadczyłem w życiu.

- Powiedz mi - szepczę.

- Obie urwane - mówi. — Tuż nad kolanami.

POŁĄCZONA
GRUPA BOJOWA



ODCINEK 2:
KRWAWE PRZENIKANIE

Obok mnie szumi sprzęt elektroniczny. Z nieco większej odległości słyszę słaby szmer płynący z respiratora. Zapach środka dezynfekcyjnego miesza się z wonią świeżo wypranej pościeli. Nie czuję zapachu ziemi ani psów.

Potem przypominam sobie: psy nie żyją.

Nie tylko psy.

Wzdrygam się i odpycham wspomnienia. Ich nieobecność objawia wielką, czarną, ziejącą otchłani... w moim ciele? Umysle? Duszy? Nie wiem nawet tego, ale byłem już wcześniej w tym miejscu, kiwając się nad krawędzią tej otchłani. Zjawiam się tutaj, kiedy nie noszę neuroskalpu.

Uczucie paniki zmiata przeszłość. Dlaczego go nie noszę? Czy ktoś mi go zabrał? Właśnie w chwili, w której uznaję, że taka musi być prawda, i postanawiam zabić złodzieja, który mi go ukradł, rozlega się surowy kobiecy głos:

- Budzi się.

Potem inna kobieta pyta niepewnie:

- Poruczniku Shelley? Słyszysz mnie pan?

Słyszę, ale im bliżej mi do pełnej świadomości, tym wyraźniej czuję, że klatka piersiowa zapadnie mi się wokół wypełniającej mnie czarnej nieobecności. Chcę wrócić ku kołyszącemu mnie zapomnieniu... albo chwycić nóż i wypuścić z wnętrza nieważką truciznę, która utrudnia mi oddychanie.

Jednak kobieta o delikatnym głosie nie chce pozwolić mi uciec. Dotyka chłodną, moką tkaniną moich policzków; najpierw jednego, potem drugiego. Wzdrygam się, okrywając się gęsią skórą. Potem otwieram oczy i wiem, że Afryka została daleko za mną.

Leżę na szpitalnym łóżku, unoszę tułów i głowę, dzięki czemu widzę kobietę w mundurze majora, która stoi w nogach łóżka i przygląda mi się przez przezroczysty pasek wizora przecinającego jej twarz. Zielone światło z boku wskazuje, że wizor pracuje w trybie nagrywania.

U boku łóżka stoi delikatnogłosa kobieta w jasnoniebieskim pielęgniarzkim kitlu; wzrok ma czujny i zaniepokojony. Odsuwa szmatkę i podnosi małą plastikową butelkę z wystającą u góry zagiętą rurką. Uśmiecha się miło.

- Poruczniku Shelley, to syrop, który poprawi stan pańskiego gardła.

Dociera do mnie, że usta mam spierzchnięte, a gardło obolałe i suche.

Delikatnie wsuwa słomkę między moje wyschnięte wargi. Usta wypełnia mi chłodny opar, nawilżając słuzówkę, aż jestem w stanie przełknąć. Pielęgniarka odstawia naczynie na stolik i obdarza mnie przelotnym uśmiechem.

- Wróć za chwilę, żeby sprawdzić, jak się pan ma -zapewnia.

Wychodzi z pomieszczenia. Drzwi zamykają się za nią.

Teraz kolej na panią major.

- Co pan pamięta z tego, co się panu przytrafiło, poruczniku Shelley?

Zastanawiam się nad jej pytaniem i przekonuję się, że pamiętam dużo więcej, niżbym chciał.

- Nie żyją - chrypię. - Yafiah i Dubey.

- Nie żyją - zgadza się major rzeczowo. - Ale dzięki pańskiej szybkiej akcji pan, sierżant Jaynie Vasquez i specjalista Matthew Ransom żyjecie.

- Nie dość szybkiej. Powinniśmy byli uciec wcześniej.

Skinieniem głowy przyznaje mi rację. Czegoś chce ode mnie. To denerwujące, więc zerkam na nakładkę, żeby zinterpretować jej nastrój. To wtedy orientuję się, że nakładka jest nieaktywna. Jediną oznaką jej istnienia jest mikroskopijne czerwone światełko w lewym dolnym rogu pola widzenia.

Oblewa mnie fala niepokoju. Warunki mojego wojskowego kontraktu stwierdzają, że nakładka ma być cały czas włączona. Mogę zostać ukarany za to, że jest nieaktywna, więc powinienem jak najszybciej rozwiązać problem, zanim ktokolwiek to zauważy.

Skupiam spojrzenie na czerwonym punkciku. Koncentracja uwagi powinna otworzyć menu, ale nic się nie dzieje.

- Poruczniku Shelley?

Ton pani major jest ostry. Zdaje się, że mówi do mnie, chociaż nie jestem pewien. Spoglądam na nią wilkiem, nagle podejrzliwy.

- Jestem wyłączony.

- Wiem. Zezwolono na to. Musimy porozmawiać.

Nazywa się Hanson i jest prawniczką. Mówi:

- Przez trzy dni, odkąd zaatakowano i zniszczono fort Dassari, znajdował się pan w stanie śpiączki farmakologicznej. W wyniku nalotu przeszedł pan podwójną amputację. Stracił pan obie nogi do wysokości powyżej kolan.

Wiem o tym, ale jej słowa to urzeczywistniają. Nie mogę dłużej udawać, że to, co pamiętam, jest jakimś oparem koszmaru, który wkrótce się rozwieje.

Major mówi dalej:

- Preferowane postępowanie polegałoby na utrzymaniu pana w śpiączce do rozpoczęcia kuracji, ale pański najbliższy krewny, który ma pełnomocnictwo w tej sprawie, odmawia udzielenia zgody.

Mrugam zdezorientowany.

- Mój tata nie zezwoliłby na leczenie?

Kiwa głową.

- Zgadza się. Z połączonej oceny medycznej i służbowej wynika, że zalecana jest interwencja Poziomu 1 - najbardziej zaawansowana, jaką dysponujemy.

Rozumiem, do czego to zmierza.

- Jest haczyk?

Wygląda na zadowoloną.

- Pańskie pytania sugerują wysoką zdolność pojmowania, poruczniku. Większość żołnierzy budzących się ze stanu śpiączki farmakologicznej nie dochodzi do siebie tak szybko, ale potwierdzam, że jest pan intelektualnie zdolny do samodzielnego podejmowania decyzji.

- Gdzie jest mój ojciec?

- Ze swoim adwokatem. - Dotyka palcem wskazującym wizora, zwracając ponownie moją uwagę na fakt, że nagrywa mnie. - Oglądają ten przekaz.

- Chcę go zobaczyć.

- Nie ma pan obecnie do tego prawa, poruczniku. Jako oficer Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych musi pan spełniać swoje obowiązki.

Jestem beznogim kaleką. Czego jeszcze ode mnie chcą? Może posadzą mnie za biurkiem obok Delphi, żebym przez następnych siedem lat, jako opiekun, starał się ocalić tuzin rozrzuconych po całym świecie szaraków przed wysadzeniem ich w powietrze?

- Musi się pan skoncentrować, poruczniku.

Ponownie odpływałem? Skupiam na niej spojrzenie i zmuszam się do słuchania.

Mówi:

- Zanim rozpoczniemy leczenie, będzie pan musiał wybrać jedną z dwóch opcji. Jeśli zgodzi się pan na terapię Poziomu 1, pozostanie pan oficerem liniowym...

- Oficerem liniowym? - Nie należy nigdy przerywać starszemu stopniem, ale jestem tak oszołomiony, że się zapominam. - Czy to możliwe?

Zaczyna jeszcze raz, z ostrością w głosie.

- Pozostanie pan oficerem liniowym w regularnym wojsku. Jeśli odrzuci pan kurację Poziomu 1, zostanie pan wydalony z wojska. Jako cywil będzie się pan kwalifikował do opieki medycznej o niższym standardzie. Będzie pan także zobowiązany odbyć co najmniej roczną karę więzienia skutkiem pańskiego zawieszzonego obecnie wyroku cywilnego.

Patrzę prosto w kamerę jej wizora, wiedząc, że po drugiej stronie mój tata obserwuje mnie i modli się, żebym skorzystał z szansy i odszedł w cholerę z wojska. Wiem, co by powiedział: Tylko rok, Jimmy, i ten koszmar się skończy.

- Jaka jest pańska decyzja, poruczniku Shelley? - pyta major.

Mój ojciec nie rozumie, że dla mnie rok odsiadki to dożywocie. Sąd zafundował mi wycieczkę po więzieniu. Postarali się, żebym wyrobił sobie jasny pogląd na to, jak by to było, w co bym wdepnął - i wiedziałem, że nie mogę się na to zgodzić. Perspektywa więzienia wyglądała wystarczająco źle przedtem, ale teraz? Byłbym przystojnym kaleką, lalką dla każdego. Wiem, że zabiłbym kogoś albo ktoś zabiłby mnie.

Niemniej nie chcę się wydać popychadłem.

- Jeśli zgodzę się zostać, dostanę z powrotem mój neu-roskalp?

Jej grymas niezadowolenia spycha mnie do defensywy.

- Potrzebuję go!

- To element wyposażenia dostępny jedynie dla personelu bojowego na froncie.

Nie ma mowy, żebym był jedynym emocjonalnym ćpunem PGB w stresie pobitewnym.

- Wiem, że Nadzór robi wyjątki.

- To kwestia do przedyskutowania z Nadzorem i pańskim lekarzem.

Czarna otchłań rozwiera się szerzej. Mikroczipy w moim mózgu są bezużyteczne bez neuroskalpu, który dyktuje im, co mają robić. Zamykam oczy, pragnąc, żeby zjawiała się Jaynie z niebieską pigułką zapomnienia. Z ciemności wyłania się jednak tylko prawny dokument, wyświetlony na mojej nakładce, która nagle obudziła się do życia - albo przynajmniej półżycia.

- Proszę przeczytać — mówi pani major. — Jeśli się pan zgadza, proszę dołączyć swój podpis.

Otwieram oczy i zmuszam się do lektury. Dokument określa moje zobowiązania i zakres leczenia. Jeśli go podpiszę, otrzymam najnowocześniejsze mechaniczne protezy, które zintegrują się z moim systemem nerwowym, dzięki czemu będę mógł ponownie biegać, skakać i się wspinać.

Patrzę na panią major.

- Dokument stwierdza, że protezy są eksperymentalne. A jeśli nie będą działać właściwie?

- Zostaną wymienione na mniej zaawansowane, a pan zostanie wydalony z wojska. Warunki są wyszczególnione w paragrafie szóstym.

Czytam dalej i dowiaduję się, że lśniące nowe nogi stanowią jedynie część umowy. Otrzymam także stały moderator, umieszczony w głowie, który zastąpi neuroskalp. Zawsze będzie na miejscu, nawet jeśli odejdę z wojska, i zawsze będzie włączony.

Jestem gotów podpisać dokument od ręki, ale zmuszam się do przeczytania go jeszcze raz. Zmuszam się do uważnego przemyślenia jego treści. Wiem, że poradzę sobie z życiem w wojsku. Jak dotąd dobrze dawałem sobie radę. To alternatywa mnie przeraża.

- Pytania? - chce wiedzieć pani major.

Zadaję kilka tylko dlatego, że uważam, iż powinienem to zrobić. Major udziela odpowiedzi, a potem pyta, czy wszystko zrozumiałem. Potwierdzam, a jej wizor to rejestruje.

W końcu macham ręką w powietrzu i kładę podpis pod dokumentem, zgadzając się na kontynuowanie służby w wojsku Stanów Zjednoczonych, gdyż oferuje mi to, czego nikt inny dotąd nie miał i co wygląda zdecydowanie lepiej od perspektywy spędzenia roku w więzieniu jako przystojny kaleka.

* * *

Po wyjściu pani major wchodzi mój ojciec.

Nie rozumie mojej decyzji.

- Na litość boską, Jimmy! Co się dzieje w twojej głowie? Do czego oni cię podłączyli?

Skórę ma o ton jaśniejszą od mojej, oczy łupkowoszare. Dzięki ćwiczeniom jest szczupły i silny, poza tym uwielbia nosić tradycyjne ubrania. Nawet teraz.

Ma na sobie spodnie khaki i markową jasnoniebieską koszulę frakową, która drwi z jego gniewu.

- Ta wojskowa prawniczka cię wrobiła. Nie ma mowy, żebyś w tym stanie mógł podejmować tak poważne decyzje, i oni o tym wiedzą!

- Tato, musisz coś zrozumieć. Nawet jeśli nie tego chciałeś, to dla mnie najlepsze wyjście...

- Bzdura.

- Nie. Posłuchaj, wiem, co robię...

- Zaciągnąłeś się na kolejnych siedem lat...

- Wiem o tym. Wiem, co to znaczy.

- ...a wojsko wypuści cię wcześniej tylko wtedy, kiedy umrzesz.

- Nie zginę, tato.

- Nie ty o tym decydujesz! - Podnosi rękę, jego kciuk i palec wskazujący są rozdzielone o milimetr.

— Tyle brakowało, żebyś umarł, Jimmy. Jeden z żołnierzy twojego oddziału, Matthew Ransom...

- Wiem. Uratował mi życie. Więc nie umarłem i nie zamierzam tego zrobić. - Potem, ponieważ odbywaliśmy już wcześniej tę sprzeczkę, dodaje: -I nie dążę do samozagłady.

Wargi ma zaciśnięte; odwraca się ode mnie. Wygląda przez okno, ramiona ma skrzyżowane na piersi. Na twarzy igra mu poranne światło, wychwytyjąc siwe pasma w jego krótkich czarnych włosach, co sprawia, że wyglądają na bujniejsze, niż zapamiętałem. Ma dopiero pięćdziesiąt jeden lat.

Gdy w milczeniu przemija powoli kilka minut, pytam go:

- Co jest na zewnątrz?

Przez jego wargi przemyka uśmiech.

- San Antonio.

- Cholera, znowu jestem w Teksasie?

- W Kelly Army Medical Center.

Chcę przeprosić za piekło, które mu zgotowałem, ale nie robię tego, bo przeprosiny sugerują, że gdyby dano ci taką szansę, to postąpiłbyś inaczej.

Chirurdzy chcą się zająć moimi nogami, gdy rany są nadal świeże, więc przez godzinę jestem przygotowywany do operacji. Nadzór musiał przewidzieć z prawdopodobieństwem większym od dziewięćdziesięciu pięciu procent, że podpiszę nowy kontrakt, gdyż zespół chirurgiczny czeka na mnie w gotowości. Ojciec żartuje ze mną, podczas gdy zmywają mi szcecinę z głowy. Czekają na zewnątrz, gdy wymuszają opróżnienie kiszek. Potem idzie ze mną, gdy wiozą mnie do sali operacyjnej. Ma kamienne spojrzenie i wiem, że jest przerażony.

Przed podwójnymi drzwiami bierze mnie za rękę i ściskają.

- Będzie dobrze - obiecuję.

*

Kiwa głową i puszcza mnie.

Kiedy po raz drugi wybudzają mnie ze śpiączki farmakologicznej, jest u boku mojego łóżka.

- Jimmy, jesteś znowu z nami?

Nie mam pojęcia, jak długo byłem nieprzytomny ani czy coś poszło nie tak. Moje spojrzenie wędruje ku nakładce, która jest aktywna. Wyświetlam datę/czas i dowiaduję się, że odjechałem na kolejnych pięćdziesiąt siedem godzin. Od pobytu w Afryce minęło już sześć dni, chociaż w tym czasie byłem przytomny zaledwie przez parę godzin.

Moje wędrujące po nakładce spojrzenie rozjaśnia ikonę, której nigdy wcześniej nie widziałem, delikatną czerwoną siateczkę jarzącą się w czarnym kółku. Zaciekawiony skupiam na niej wzrok, ale nie pokazuje się żadne menu, tylko etykietka z numerem seryjnym, który nic mi nie mówi.

- Jimmy? — odzywa się ponownie tata. Obserwuje mnie, zmarszczony z niepokoju. - Obudziłeś się?

- Taa. - Pojedyncza ochrypla sylaba.

Teoretycznie powinienem mieć teraz nogi - nie ludzkie, ale sprawne. Próbuję podnieść głowę, żeby na nie spojrzeć, ale mięśnie mam tak zwiotczałe wskutek braku aktywności, że to przerasta moje siły. Opadam na posłanie, wymieniając spojrzenia z moim starym.

- Udało się? — skrzeczę.

- Tak. - Opiera się na swoim krześle i ciężko wzdycha. - Jesteś teraz najbardziej zaawansowanym cyborgiem w armii Stanów Zjednoczonych.

Nie do końca przyszłość, jaką dla mnie planował. Zabawne, jak niekiedy toczą się losy.

- Zrób zdjęcie - mówię mu.

Krzywi się na moją prośbę, ale wstaje i odwija w nogach łóżka lekką jak piórko termiczną pościel. Potem wyjmuje telefon, komponuje kadr i błyska fleszem.

Nigdy właściwie nie widziałem swoich obrażeń - przyjąłem po prostu na wiarę, że naprawdę do nich doszło - ale chcę zobaczyć, czym się stałem.

Stuka w wyświetlacz telefonu, przesyłając zdjęcie do mojej nakładki.

- Doszło?

- Taa.

Moje nowe nogi i stopy to szary płaski tytan. Kończyny wyglądają jak stelaż martwej siostry. Duże przeguby są replikami stawów kolanowych. Mniejsze zastępują kostki stóp, a jeszcze mniejsze zapewniają ruchliwość wypustkom spełniającym rolę palców. To szkielet robota, wszczepiony w żywy organizm i napędzany pobieranymi z niego kaloriami. To koszmarnie pomyśleć, że to ja.

Ja, jakim się stałem.

Gruby gipsowy opatrunek, niemal odlew, kryje granicę między mną a maszyną. Tytanowe pręty wszczepiono w szczątki kości udowych. Ucięte nerwy obwodowe, które kontrolowały ruchy nóg, powinny być teraz połączone ze sztucznym systemem nerwowym protez. Powinienem móc zginać nogi w taki sposób, w jaki nie zginały się nigdy wcześniej, a także biegać i się wspinać - kiedy jednak próbuję poruszyć palcami stóp, a potem zgiąć kolano, nic się nie dzieje. Jakbym tam nic nie miał. Nie odbieram ze swoich nóg żadnych doznań; nie czuję bólu.

- Nie działają - mówię, ogarnięty przetaczającym się przeze mnie uczuciem paniki. Nowa ikona rozbłyskuje, jaśniejają czerwone żyłki siateczki.

- Działają - upiera się tata. - Będą działać. - Jego słowa są urywane, krótkie, zdecydowane, jakby starał się przekonać samego siebie. Zamyka dłoń na mojej w silnym, ciepłym uścisku, co mnie zaskakuje.

Przesyłam zdjęcie do albumu, a potem przenoszę spojrzenie na ojca.

- Nic ci nie jest, tato?

- Mnie nic.

Mówi takim tonem, jakbym go obraził. Ale to uzasadnione pytanie. Twarz mu zmizerniała, zmarszczki wokół oczu się pogłębiły, a kamienna emocjonalna fasada, do jakiej przywykłem, nieco się starła.

- Przejdziemy przez to - mówi.

Zmuszam się do uśmiechu.

- Nie ma wyboru, co?

- Racja. - Wyraźnie bierze się w garść, robiąc głęboki wdech i siadając prościej... i puszczać moją dłoń. - Nogi, twoje nogi, nie działają na razie, gdyż są wyłączone. To celowe. Lekarze mówią, że minie kilka dni, zanim... wygoją się pozostałe mięśnie nóg, a nerwy... muszą wrosnąć głębiej w nowe połączenia.

- W porządku. To ma sens. - Czuję ukłucie winy, ale czy kiedykolwiek mnie to powstrzymało? - Chcę zobaczyć nacięcie na głowie.

- Nic nadzwyczajnego. Dwie cienkie blizny. Nawet nie są czerwone. Chirurg spisał się naprawdę dobrze.

- Zrób zdjęcie.

Podpisana przeze mnie umowa stwierdzała, że neuro-netka zostanie wszczepiona pod skórę głowy, bezpośrednio na kość czaszki. Chirurg wyjaśnił, że wykona dwa prostopadłe nacięcia na czubku głowy, potem skalp zostanie odwinięty, co pozwoli przykleić siatkę sensoryczną do zewnętrznej powierzchni cranium. Jak w wypadku neuro-skalpu, jej zadaniem jest monitorowanie aktywności mózgu i stymulowanie wydzielania hormonów mózgowych, tyle że siatka jest permanentna. Wiem, że została pomyślnie zainstalowana, gdyż zniknęła ogromna, ciemna, miążdżąca pustka, którą odczuwałem, zanim odjechałem.

Tata współpracuje. Robi zdjęcie i ma rację: nie ma tam czego oglądać.

- Odrastają mi już włosy. - Zaczynam podnosić rękę. To wtedy zauważam brązowy rękaw otaczający moje przedramię. - Po co to?

- Monitoring. Śledzi twoje tętno, ciśnienie krwi, temperaturę. Może także miejsce pobytu, nie wiem.

-I przekazuje wszystkie dane na ojczystą planetę?

- Jeśli jest nią pokój pielęgniarek.

Rękaw nie krępuje mi ruchów, więc głaszczę ostrożnie szczecinę na głowie.

- Myślę, że skoro nie będę nosił neuroskalpu, to mogę pozwolić, żeby odrosły mi włosy.

Od razu postanawiam, że będę je strzygł na jeża. W ten sposób będą przypominały neuroskalp, nawet jeśli będą czarne, a nie brązowe, dzięki czemu w szeregach PGB nie będę zbyt przypominał świra.

Nowa ikona miga ponownie. Patrząc na nią, etykieta się rozwija i widzę numer seryjny modelu. Ze skupionym na nim spojrzeniem szepczę:

- Szukaj.

Odpowiedź przychodzi z mojej encyklopedii, która włączyła informację do nowego kontraktu wojskowego.

- Na co patrzysz? - pyta tata.

- Na ikonę. Jest oznaczona numerem seryjnym neuronetki.

- Zespół medyczny zajął się tym w pierwszym rzędzie. Czujesz jakiegokolwiek działanie?

- Niebezpośrednio. Czuję się obojętnie, ale to dobrze,

Kręci nieznacznie głową.

- Wcześniej czy później, Jimmy, brzemień tego, co się stało, spadnie na ciebie.

*

Mówi tak, gdyż nie zna działania neuronetki - a mnie nie chce się tego wyjaśniać. Sprawy są teraz w porządku. Nie ma powodu, żeby obecnie o tym mówić. Czuję się po prostu tak, jak bym się czuł, gdybym nosił neuroskalp, i chcę, żeby tak zostało.

Wieczorem dają mi pigułkę, która wycina gładko noc z biegu czasu. Kiedy przytomnieję, jest świt. Czuję się tak zdezorientowany, że sprawdzam na nakładce, czy na pewno minęła tylko jedna noc.

Próbuję usiąść. Nie udaje mi się tego zrobić, ale jestem w stanie podeprzeć się na łokciu, co pozwala mi spojrzeć na sterownik łóżka. Staram się pojąć jego działanie, kiedy wchodzi DAP - dyplomowana

asystentka pielęgniarska, podstawowa przedstawicielka niższego personelu medycznego. Jest dużą ciemnoskórą kobietą o ciepłym uśmiechu i małych oczach, którymi patrzy na mnie z zaskoczeniem zza cienkiej, przezroczystej opaski wizora.

- Dzień dobry, poruczniku. Już obudzony? Jak pan spał?
- Jak zabity.
- Poruczniku, nie używamy tutaj takich słów.

Oznaki i plakietka identyfikują ją jako specjalistkę Carol Bradford. Skutecznie przygotowuje mnie do nadchodzącego dnia, wywołując jedynie minimalne zażenowanie, a potem informuje mnie radośnie, że wracam do pracy.

- Na dziś rano zaplanowaliśmy dla pana godzinę fizykoterapii.

Łąduję w wojskowych szortach i T-shircie. Moje nowe nogi nadal nie działają, więc pielęgniarka sprowadza dwóch muskularnych szeregowców, którzy pomagają mi przenieść się z łóżka na wózek inwalidzki. Przez kilka sekund czuję zawroty głowy, gdy serce stara się wykoncypować, jak ponownie pompować krew pod górę.

Specjalistka Bradford przenosi podejrzliwe spojrzenie ze mnie na wyświetlacz swojego wizora.

- Dobrze się pan czuje?
- Wystarczająco dobrze. - Klepię rękaw monitorujący. - Domyślam się, że to zostaje?
- Tak.

Przypina mnie do fotela, a potem wzbudzam w niej niepokój, gdy pochylam się, żeby spojrzeć na sztuczne nogi.

- Znowu próbuje się pan przyprawić o zawrót głowy?

Bołą mnie ramiona, gdy chwytam się podłokietników, ale po raz pierwszy mam doskonały widok na kościste szare stopy, oparte na podpórkach fotela, na golenie - płaskie i matowe - oraz stawy kolanowe. Chcę wiedzieć, jak wygląda miejsce, w którym tytan spotyka się z żywym ciałem, ale jest ukryte pod gipsowym bandażem.

Nadal nie czuję bólu kikutów; w ogóle niczego nie czuję.

Odpycham się od podłokietników i udaje mi się usiąść prosto.

- Jesteśmy gotowi? — pyta specjalistka Bradford.

Kiwam głową. Jakoś muszę to wprawić w działanie.

*

Ćwiczenia fizykoterapeutyczne skupiają się na plecach, barkach i ramionach. Boli, ale nie na tyle, żebym chciał przestać. Proszę o przedłużenie sesji, ale nie ma tego w grafiku, pakują mnie zatem z powrotem do łóżka. Nie trzeba wiele czasu, żebym pojął, iż jestem zmęczony, zdejmuję więc T-shirt i próbuję usnąć.

Przez moją głowę maszerują ponure, senne obrazy - martwe siostry trzymające w mocnych objęciach martwych żołnierzy - a w mojej nakładce szepczą niezrozumiałe anonimowe duchy. Potem umysł zmienia tory, wyczarowując znajomy zapach, ciepły i słodki. Widzę słońce na brązowej skórze, nikłe lśnienie olejku i małe, błyszczące włoski. Lissa. We śnie gryzę ją lekko w udo, wywołując gęsią skórkę. Podniecający, odurzający zapach jej sromu strzela mi prosto w mózg, kiedy ją smakuję, wszystkie zawile fałdki.

- Shelley?
- Skąd się tutaj znalazłaś, skarbie? - pytam, a moja świadomość dryfuje pod zamkniętymi powiekami.
- Obudziłeś się?

Uśmiecham się, wiedząc, że to podchwytliwe pytanie.

- Będziesz tutaj nadal, jeśli się obudzę?
- Niech cię szlag, Shelley! Zawsze musisz być takim gówniarzem? Otwórz oczy i spójrz na mnie.

Robię oczywiście to, co mówi.

I naprawdę jest tutaj.

- Jezu - szepczę, gapiąc się na nią, na anioła, który zstąpił z mojego prywatnego nieba. Czerwone żyłki ikony neuronetki pałają czerwienią, a tętno zwalnia.

Lissa jest wysoka i szczupła, ciemnowłosa i ciemnooka - niemal pół na pół mieszanka azjatycko-europejska, z odrobiną krwi hawajskiej. Trzy małe piegi tworzą równoboczny trójkąt w kącie prawego oka oraz kolejny na płatku lewego ucha.

Dzisiaj ma na sobie krótką szarą spódniczkę i obcisłą jedwabną bluzkę bez rękawów. Lśniące włosy opadają jej poniżej ramion. Próbuje szelmowskiego uśmiechu, ale nie kupuję go. Oczy ma opuchnięte i zaczerwienione.

- Płakałaś.

- Idiota — szepcze. - Oczywiście, że płakałam.

Lissa nie jest już ze mną. Nie, odkąd wstąpiłem do wojska. Teraz jesteśmy przyjaciółmi. Dobrymi. Cały czas wymieniamy e-maile. Nie opowiada mi o swoich chłopakach; ja nie mówię jej o zabijaniu ludzi. Poruszamy większość pozostałych tematów. Ale to ostrożna przyjaźń. Kiedy byłem ostatni raz na urlopie, zapytałem ją, czy mógłbym przylecieć do San Diego, gdzie teraz mieszka. Odpowiedziała, że bym tego nie robił.

- Zapewne mój ojciec zadzwonił do ciebie.

Kiwa głową, drżąc odrobinę.

- Informuje mnie. Nie przyleciałam wcześniej, bo powiedział, żeby poczekać, aż będziesz po operacji i odzyskasz przytomność.

- Taa, najczęściej śpię.

- Przepraszam, że cię obudziłam. Tylko że... nie zostanę tutaj długo. Odlatuję dzisiaj wieczorem.

Mówi to obronnym tonem, jakby chciała utrzymać między nami pewien dystans, ale jednocześnie podnosi dłoń - delikatne silne palce o pomalowanych na brąz paznokciach. Oboje obserwujemy ruch tej ręki, poruszanej jakby własną wolą, aż koniuszki jej palców spoczywają na nagiej skórze mojego barku - elektryzujący dotyk, który podnieca mnie tak gwałtownie, że kręci mi się w głowie. Minęły ponad dwa lata od chwili, gdy znajdowałem się z Lissą w jednym pomieszczeniu. Jeszcze dłużej, kiedy ostatni raz byłem w niej, ale jestem przenoszony z powrotem do dawnych układów między nami.

Ona także.

Wyciągam po nią rękę. Wsuwa się w moje objęcia i całujemy się mocno, szaleńczo, jakby to był dzień końca świata, a my chcielibyśmy w tej ostatniej chwili się pieprzyć.

- Chodź, połóż się przy mnie - skamle.

I robi to. Upuszcza torebkę na podłogę, opuszcza poręcz łóżka, a potem kładzie się obok. Rozsiewa ustami lekkie, gorące pocałunki po mojej twarzy, szyi, piersi, sutkach, aż się wzdrygam. Ledwie jestem w stanie się usiąść samodzielnie, ale nie muszę tego robić, żeby sięgnąć pod jej spódniczkę, żeby wsunąć palce pod majteczki i poczuć gorące, mokre niebo jej cipki. Ciche, rozmarzone westchnienie, kiedy znajduję rytm jej nastroju, po czym Lissa dochodzi w kilka chwil, jej potężna ciemność drży na moich palcach, fala za falą, aż w końcu słyszę jej szept:

- Cholera, Shelley, ty dupku. Dlaczego wszystko spieprzyłeś?

Całuję jej twarz, wiedząc, że to pytanie retoryczne. Oboje wiemy, że jestem głupim gnojem.

Opiera głowę na moim ramieniu, oddychając głęboko, regularnie. Dłoń trzymam nadal między jej udami. Po kilku minutach Lissa porusza się i zaczyna zsuwać ze mnie kołdrę, ale chwytam ją za nadgarstek.

- Nie.

Dokładnie wie, o czym myślę.

- Nie chcesz, żebym widziała, jak wyglądają twoje nogi.

- Nie mam nóg.

Wrywa nadgarstek.

- Twój tata powiedział, że dostałeś nowe.

Siedzi prosto, wargi ma rozchylone, kiedy spogląda na moje krocze, gdzie szorty i kołdra nie wystarczają, żeby zamaskować dowód mojej żądz.

- W każdym razie masz nadal kutasa... i wciąż jesteś głupim kutasem.

Odsuwa przykrycie i tym razem nie powstrzymuję jej. Delikatnie usuwa z drogi spodenki, a potem opada na mnie. Próbuję się powstrzymać. Chcę, żeby to trwało wiecznie, ale dochodzę równie szybko jak wcześniej ona, spuszczać się ze zduszonym jękiem w ciepłą jamę jej ust.

O Boże, to już tak dawno.

A potem mdleję.

Kiedy się budzę ponownie, nade mną stoi pielęgniarka, wycierając mi twarz mokrą gazą i przyglądając mi się z pochmurną irytacją. Po drugiej stronie łóżka Lissa trzyma mnie za rękę ze skruszoną miną.

- Shelley? — szepcze.

W uszach mi dzwoni, a skórę mam lepką od potu, ale odpowiadam:

- Nic mi nie jest.

Pielęgniarka przewraca oczami i kręci głową.

- Mam nadzieję, że było warto.

- Bez wątpienia.

Patrzy na mnie surowo.

- Nie obchodzi mnie, poruczniku Shelley, jak dawno temu to już było. To się nie zdarzy ponownie na moim dyżurze. Nie, jeśli pan chce, żeby pańska dziewczyna została tutaj. Zrozumiano?

- Tak jest, ma'am.

Pielęgniarka ma stopień kapitana. Nie zamierzam się z nią sprzeczać.

Klepie mój rękaw monitorujący, a potem obrzuca Lisę krytycznym spojrzeniem.

- Jeśli zobaczę podniesiony rytm serca, zabronię mu przyjmowania gości.

- Tak jest, ma'am - szepcze Lissa.

Stoi nieruchomo, aż drzwi zamykają się za pielęgniarką. Potem:

- Kurwa - szepcze. - Strasznie mnie przeraziłeś, Shelley.

Wyciągam do niej rękę. Nie ujmuje jej. Pozwalam opaść dłoni na łóżko i przez jakieś dwadzieścia sekund patrzemy po prostu na siebie, oboje pragnąc pojąć, co będzie dalej.

Myszę, że Lissa wyjdzie. Prawdę mówiąc, jestem tego pewny.

Ale się mylę. Wpełza ponownie na łóżko, zwija się obok mnie, w kołysce mojego ramienia.

Wdycham jej zapach, grzeję się w ciepłe jej ciało, patrzę w jej ciemne oczy, czując, jak wymyka mi się rzeczywistość. Lissy nie powinno tu być. Nie w świecie, jaki poznałem.

W przeszłości, gdy byłem cywilem, sprawy miały się inaczej. Wtedy należeliśmy do siebie nawzajem. Kiedy jednak poszedłem do wojska, wszystko się zmieniło i moja połowa układanki przestała już do niej pasować.

Lissa jest analitykiem danych. Pracuje dla nowatorskiej firmy o nazwie Pace Oversight i jest znakomita w swojej robocie. Swojego analitycznego umysłu używa także w życiu prywatnym i naprawdę mocno się stara, żeby postępować mądrze. Nie rzuciła mnie dlatego, że się we mnie odkochała. Kiedy wstąpiłem do wojska, przemyślała nasz związek, zważyła fakty oraz szanse na przyszłość i stwierdziła, że to, co nas łączy, nie będzie się już dłużej sprawdzać. Ogłosiła więc rozstanie, zanim samotność, żal, poczucie winy i niepokój sprawią, że związek i tak zgnije.

- Dlaczego przyleciałaś? - pytam.

Irytacja marszczy jej czoło.

- Dlaczego musisz zadawać takie głupie pytania?

- To nie jest głupie pytanie. Rzuciłaś mnie, Lisso, i nie winię cię za to. To było mądre z twojej strony. A ponieważ rozmawiałaś z moim tatą, to wiesz, że zostaję w wojsku. Nic się zatem nie zmieniło z wyjątkiem tego, że częściowo jestem robotem. Dlaczego zatem przyleciałaś?

- Nadal jesteśmy przyjaciółmi - mówi, a w jej oczach wzbierają łzy. - Zawsze byliśmy. I zawsze będziemy.

Drży, starając się poskromić smutek. Jej dłoń oparta na mojej piersi jest zaciśnięta w pięść i wiem, że dotarliśmy do tego momentu gry, w której powinienem jej powiedzieć, że zasługuje na coś lepszego, niż mogę jej dać, że musi żyć dalej i pozwolić zagoić się ranie w sercu.

Ale nie robię tego. Nie jestem taki szarmancki.

- Kocham cię, Lisso. Teraz i zawsze.

Łzy płyną na mój bark, ciepłe i mokre. Po chwili Lissa opiera się na łokciu i patrzy na mnie. W makijażu policzków ukazują się wilgotne smugi. Oczy ma czerwone i cieknie jej z nosa.

- Kocham cię, Shelley. Nawet teraz, i nie wiem dlaczego.

Uśmiecham się.

Odpowiada tym samym.

Potem kładzie ponownie głowę na moim ramieniu i wzdycha.

- Nie umieraj, dobrze?

- Nie ma sprawy.

I przez jakiś czas panuje między nami zgoda.

*

Zaczynamy się budzić, gdy otwierają się drzwi. Specjalistka Carol Bradford wchodzi z tacą z lunchem. Na widok Lissy obdarza nas oboje szerokim uśmiechem.

- Słyszałam, poruczniku, że zafundował pan sobie znakomitą terapię. Całkiem słusznie moim zdaniem.

Lissa się śmieje i wstaje, wygładzając spódniczkę, tym razem bez śladu zakłopotania.

- Sprawia dużo kłopotów? - pyta, podczas gdy Bradford balansuje tacą ścisną w jednej ręce, drugą podnosząc poręcz łóżka.

- Ani trochę! Bo przez większość czasu trzymamy go w śpiączce. Prawda, poruczniku?

Muszę przyznać, że tak.

Bradford odpakuje mój lunch, ustawia przede mną tacę i podnosi zagłówek łóżka, żebym siedział.

- Dziś rano, podczas terapii, musiał pan zrobić na nich wrażenie. Zapisali pana na sesję popołudniową. - Porusza oczami, sprawdzając wyświetlacz wizora. - Za jakieś półtorej godziny. - Uśmiecha się znacząco. - Do tej pory niech pan robi, co pan chce.

Kiedy drzwi zamykają się za nią, Lissa sadza swoją słodką pupę na brzegu łóżka, ale zrywa się, kiedy uderza nią w moją tytanową goleń, wciąż niewidoczną pod przykryciem.

- Co do...? Och. - Rumieniec oblewa jej policzki. - Mogę spojrzeć?

Naprawdę nie chcę, żeby to robiła, ale tylko przez próżność.

- Jasne, nie krępuj się.

Podnosi kołdrę, przez chwilę marszczy brwi na widok tego, co widzi, a potem przykrywa mnie ponownie i siada na brzegu łóżka, tym razem ostrożniej.

- Dlaczego do tego doszło?

Obserwuje mnie ponad tacą z lunchem, z głową przechyloną na bok, jakbym był szczególnie interesującym problemem statystycznym, jestem więc całkiem pewny, że to nie jest pytanie egzystencjalne.

- Pytasz, dlaczego nie wiedziałem, co się stanie?

Kiwa głową, bo wspomniałem jej o mojej afrykańskiej

prekognicji w e-mailach.

- Dlaczego Bóg opuścił króla Dawida?

- Nie opuścił. - Próbuję puddingu waniliowego, który okazuje się zaskakująco dobry. - Ostrzegł mnie. Tylko nie załapałem tego od razu.

Opowiadam jej o wszystkim, co się wydarzyło, łącznie z anonimowym telefonem na komórkę - duch w sieci - który sprawił mnie w panikę.

Telefon ją niepokoi.

- To nie pasuje do reszty. Wcześniej to zawsze działało się w twojej głowie.

- Może wyśniłem rozmowę telefoniczną.

- Sprawdź rejestr połączeń.

Wyświetlam spis na nakładce. Pokazuje szereg kontaktów z Nadzorem i jeden niezidentyfikowany.

- To się zdarzyło naprawdę — mówię Lissie. - Ale nie ma najmniejszego sensu. Moja nakładka akceptuje wyłącznie połączenia od zatwierdzonych rozmówców.

- Chyba że ktoś w Nadzorze zmienił ci filtry.

- Dlaczego mieliby to zrobić?

- Nie wiem, kochanie. A skoro wiedzieli o zbliżających się odrzutowcach, to nie rozumiem, dlaczego nie powiedzieli ci wprost, żebyś stamtąd wypierdalał.

Później posyłam Lissę po pióro i papier. Wraca po kilku minutach, uśmiechając się i pokazując mi cienki stosik kartek.

- Nagłówek Kelly Army Medical Center. Poszłam do biur administracji, gdzie mają pełną szafkę materiałów piśmiennych. Dostarczonych parę lat temu w ramach kontraktu po otwarciu szpitala, ale rzadko kiedy wykorzystywanych.

Biorę papeterię i przesuвам palec po wytłoczonej pieczęci wojskowej. Jest piękna i oficjalna. Dokładnie to, czego potrzebuję.

- Idealnie. Dziękuję.

Odnosi pustą tacę, a ja zabieram się do pisania dwóch listów kondolencyjnych - jednego do rodziny Yafiah, a drugiego do bliskich Dubeya. Oczywiście wojsko powiadomiło już ich krewnych, ale Yafiah i Dubey zginęli pod moim dowództwem. Chcę dać coś ich rodzinom. Oficjalny list to niewiele, ale przynajmniej jest czymś trwałym, rzeczywistym i tradycyjnym - czymś, co można zachować... albo spalić.

Lissa podrzuca swoje sugestie, ale i tak wymaga to z mojej strony kilku podejść. Nie jestem biegły w ręcznym pisaniu i oczywiście nigdy w życiu nie pisałem niczego podobnego, ale w końcu się udaje. Udaje mi się nawet zaadresować obie koperty, korzystając z danych z akt służbowych. Lissa obiecuje zanieść listy do firmy wysyłkowej.

Wykonane zadanie pozostawia nas w posępnym nastroju. Siedzimy, trzymając się za ręce, ale nie myślę o Yafiah ani Dubeyu. Zamiast tego besztam się w duchu za wciągnięcie w to Lissy. Pomoc w napisaniu tych listów musiała unaocznić jej, jakie jest ryzyko - i dlaczego mnie rzuciła. Niemal słyszę jej kotłujące się myśli, gdy zastanawia się ponownie, jak by to było znowu być ze mną.

Na nakładce zapalają się czerwone żyłki neuronetki, lekkie żarzenie. Sądzę, że ikona odzwierciedla aktywność siatki, kiedy ta wypędza ze mnie mroczny nastrój.

- Nie chciałem cię zdołować, Lisso.

Wzrusza ramionami.

- To musi być dla ciebie trudne... stracić przyjaciół.

- Nie byli naprawdę przyjaciółmi. Raczej... Powstrzymuję się. Co jest ze mną nie tak? Jakbym chciał się bardziej pograć.

- Raczej co?

- Pomówmy o czymś innym.

- Nie, powiedz mi.

Jeśli tego nie zrobię, zaczniesz się sprzeczać, więc się zwierzam:

- Bardziej jak młodsze rodzeństwo.
- Och, Shelley. - Zamyka oczy i opiera mi głowę na ramieniu.
- To, co się im przytrafiło, to pech. Jak wypadek samochodowy. Odsłużyłem dziewięć miesięcy, podczas których nikt nie został poważnie ranny. To nie tak, że cały czas jest niebezpiecznie...

- Przestań, Shelley! - Odsuwa się, w jej oczach płonie gniew.

Drzwi się otwierają i oboje odwracamy się na widok specjalistki Bradford pchającej wózek, w którym zawieszę mnie na fizykoterapię.

Lissa patrzy ponownie na mnie.

- Nie niebezpiecznie? - Zsuwa się z łóżka. - Leżysz tutaj ze sztucznymi nogami!

Łapię ją za nadgarstek, gdy sięga po torebkę.

- Proszę, zostań jeszcze jeden dzień.

- Nie mogę. W nocy mam lot. Jutro muszę być w pracy. Puszczam ją. Nie mogę jej zmusić, żeby została ze mną.

Sama musi tego chcieć.

- W każdym razie cieszę się, że przyleciałaś.

Kiwa głową, odpędzając mruganiem łzy. Nie zostało nic do powiedzenia. Całuje mnie jeszcze raz i odchodzi.

Ku mojej uldze specjalistka Bradford nie zadaje żadnych pytań i prezentuje swoją radosną twarz, usadawiając mnie w fotelu na kółkach, zmotoryzowanym i programowalnym. Przytrzymuje niebieski przycisk na podłokietniku i wymawia dokładnie cel jazdy:

- Pokój jeden-jeden-cztery.
- To nie fizykoterapia.
- Poruczniku. - Marszczy brwi. - Harmonogram uległ zmianie. Ma pan spotkanie z pułkownikiem Kendrickiem. Nie sprawdza pan swoich e-maili?
- Od czasu Afryki nie. Miałem nieco rozproszoną uwagę.
- O rany. Nie chciałabym oglądać folderu pańskich zaległości.

Ja też nie rwę się do tego.

Normalnie sprawdziłbym wiadomości w COT, ale nigdy się z tym nie śpieszę, bo niemal wszystkie zawierają bezużyteczne raporty i wytyczne napisane przez kancelistów, którzy udają zajętych pracą. Nie zgadzam się, żeby materiały przychodziły na moją nakładkę, ale teraz jest moim jedynym interfejsem. Wzrokiem przeszukuję pośpiesznie drzewko menu. Kiedy dochodzę do domeny mil, podświetlam ikonę wyszukiwania i mruczę „Kendrick”. Natychmiast pojawia się wiadomość.

- Cholera, jest z Dowództwa.

Pułkownik Kendrick wzywa, mnie, żeby omówić mój ostatni przydział.

Niepokój nie zwleka. Pojawia się natychmiast. Podczas ataku na fort Dassari zginęło dwóch dobrych żołnierzy. Jeśli wojsku uda się obwinić o to kogoś, zrobią to... ale orientuję się, że przypuszczalnie to nie ja będę kozłem ofiarnym. Według mojej oceny armia wydała właśnie na ulepszenie mnie co najmniej ćwierć miliona dolarów, co nie jest zwykle przygotowaniem do procesu przed sądem wojskowym. Niemniej armia to wielogłowa hydra i jest możliwe, że nie we wszystkich łbach przebiega ten sam program. Muszę się zaprezentować najlepiej, jak mogę.

- Proszę posłuchać, nie udam się na spotkanie z pułkownikiem w stroju gimnastycznym. Potrzebny mi mundur.

- Och, nie ma takiej potrzeby. Jako pacjent ma pan prawo do nieformalnego ubioru.

Potem to dociera do mnie.

- Przypuszczalnie nawet nie mam już munduru, co?

- Pańska szafka jest pusta - przyznaje Bradford. - Może pańskie rzeczy dotrą za kilka dni.

Mam mundur w magazynie w formie Hood, ale wszystkie inne rzeczy poszły z dymem w Dassari. Muszę pamiętać, żeby złożyć nowe zamówienie.

Bradford stuka w zielony przycisk na podłokietniku wózka; pojazd zaczyna się toczyć ku drzwiom, które otwierają się automatycznie.

- Niech się pan nie martwi - mówi Bradford. - Fotel zawiezie pana dokładnie tam, gdzie ma się pan znaleźć.

Postanawiam zaufać jej w tej kwestii. Opieram się wygodnie, a fotel wyjeżdża na korytarz i skręca. Spojrzeniem wybieram na nakładce ikonę wyszukiwarki i mrużę: „Pułkownik Steven Kendrick”.

Wózek spisuje się znakomicie, lawirując w korytarzach zatłoczonych przez techników, personel pielęgniarski i pacjentów ambulatorium, a ja słucham wyciągu, który nie wydaje się obszerniejszy od moich dociekań:

- Kendrick, Steven A., pułkownik, Siły Lądowe Stanów Zjednoczonych.
- Szczegóły?
- Nie znaleziono.
- Zdjęcie?
- Nie znaleziono.

Trudno nie mieć publicznego profilu; trzeba do tego władzy. Kiedy o tym myślę, mój niepokój wzrasta. Ikona siatki mózgowej odpowiada migotaniem. Marszczę brwi, zastanawiając się, czy neuroskalp był równie aktywny. Czekam, ale niepokój nie mija. Dobra. Miło wiedzieć, że wolno mi mieć uczucia - a w tej chwili odczuwam prawdziwy lęk na myśl o konieczności wyjaśnienia pułkownikowi Kendrickowi, dlaczego zginęła połowa mojego oddziału.

Wózek dojeżdża do wind. Jedna z nich się otwiera i zwozi mnie ekspresowo na parter. Potem jadę kolejnym korytarzem do zamkniętych drzwi z numerem 114. Nie ma tabliczki z nazwiskiem. Ściskam podłokietniki fotela, żeby usiąść prościej, zdecydowany okazać zdyscyplinowanie - jeśli nie strojem, to zachowaniem.

Mija kilka sekund, podczas których nic się nie dzieje. W końcu dociera do mnie, że mój inteligentny wózek może nie być w stanie otworzyć nieautomatycznych drzwi, wyciągam się więc ryzykownie poza obrys tytanowych stóp, ale udaje mi się chwycić klamkę i nacisnąć ją. To wskazówka dla fotela, żeby przejął pałeczkę. Toczy się naprzód, odpychając wysokimi kołami drzwi.

Za nimi znajduje się bezokienna sala konferencyjna. Na przeciwległej ścianie wisi pusty monitor, nachylony ku owalnemu stołowi i sześciu fotelom, które zajmują połowę powierzchni pomieszczenia. Wzdłuż frontowej ściany ciągnie się blat z serwisem do kawy, a przestrzeń obok drzwi zajmuje kącik wypoczynkowy z sofą i dwoma tapicerowanymi fotelami. Fotele zostały odsunięte, a mały stolik wstawiono do kąta, żeby zrobić miejsce na mój wózek.

W jednym z foteli siedzi pułkownik Kendrick. Identyfikuję go na podstawie stopnia oraz plakietki z nazwiskiem na nieskazitelnym mundurze. Jest chudy, ma zielone oczy, jasną skórę i kanciaste rysy człowieka białej rasy. Nosi przezroczysty wizor, wykonany tak finezyjnie, że jest niemal niewidoczny. Muszę dobrze się przyjrzeć, żeby się upewnić, że w ogóle go ma. Włosy to siwa szczecina, jedno-lub dwudniowa, co mnie dziwi, bo chociaż włosy strzyżone maszynką są w wojsku powszechne, ogolona głowa wskazuje żołnierza połączonej grupy bojowej.

Kobieta w cywilnym ubraniu - spodnie i biała bluzka - zajmuje drugi fotel. Moja nakładka nie podaje jej tożsamości. Jest szczupła, wysportowana i nie liczy więcej niż trzydzieści lat; jest bez makijażu, jej blond włosy są zebrane w prosty koński ogon. Nie ma wizora, tylko tablet oparty na kolanach. Przygląda mi się ładnymi niebieskimi oczami, które rozszerzają się, kiedy jej spojrzenie pada na moje tytanowe nogi. Wyraz jej twarzy zdradza, że mnie zna, ale moja nakładka nie ma żadnych danych na jej temat; nie dostarcza mi nazwiska.

Fotel samodzielnie parkuje tak, że jestem zwrócony do obecnych twarzą. Przypominam sobie, żeby

zasalutować.

Oddając honory, Kendrick wygląda na lekko rozbawionego.

- Poruczniku Shelley - odzywa się głosem tak głębokim, iż wiem, że ćwiczył się w mówieniu w ten sposób. - To jest spotkanie informacyjne dotyczące pańskich doświadczeń i działań w forcie Dassari. - Nie marnuje czasu na wstępy. - Ostatniego popołudnia, kiedy pan tam był, pod wpływem emocji wydał pan swojej PGB rozkaz, żeby nałożyć kamizelki kuloodporne i gnaty. Dlaczego?

To rozsądne pytanie, ale przez kilka sekund wisi między nami bez odpowiedzi. Wiem, że pułkownikowi nie spodoba się prawda, ale to właśnie ją ma poznać.

- Miałem przecucie, to wszystko. Zbliżało się zagrożenie. Nie wiedziałem jakie. Wiedziałem jedynie, że musimy uciekać.

Kendrick zwraca się ku kobiecie, unosząc pytająco brwi. Kobieta kiwa głową, a dla mnie staje się jasne, jaka jest jej funkcja.

- Jest pani z Nadzoru, prawda? - pytam ją. - Monitorujecie mnie?

W mózgu prawda i fałsz to dwie różne rzeczy, budowane przez inne procesy poznawcze. Kiedy połączony żołnierz nosi neuroskalp - albo ma neuronetkę - Nadzór może odróżnić jego kłamstwa od prawdy z taką łatwością, jak ja czerń od bieli.

Kendrick odpowiada za nią:

- Nadzór nie jest w stanie wyjaśnić pańskiego emocjonalnego załamania tamtego popołudnia. To dochodzenie pomoże ocenić zarówno ich działania i odpowiedzialność, jak i pańskie.

Odwracam się ku niemu ze zdumieniem.

- Mojego emocjonalnego załamania?

- Co pan pamięta z tamtego dnia?

- Wszystko. Każde cholerne zdarzenie.

- Obudził się pan w stanie paniki.

- Nie, nie paniki. Strachu. Takiego, jakby się miało broń przystawioną do głowy. Wiedziałem, że muszę się ruszyć, usunąć z drogi, ale nie widziałem żadnego powodu po temu, więc próbowałem zignorować to uczucie, zaprzeczyć mu. - Zerkam ponownie na kobietę, ale wzrok ma skupiony na tablecie, który podtrzymuje kolanami. - Pomyślałem, że może ten technik Denario spieprzył coś w moim neuroskalpie. Potem otrzymałem głuche połączenie telefoniczne na nakładkę. Niezidentyfikowany rozmówca. Nikt się nie odezwał.

To go zaskakuje.

- Tego nie ma w raporcie.

- Jest w rejestrze moich połączeń przychodzących - a to nie powinno się było zdarzyć. Nie powinienem otrzymywać telefonów z zewnątrz, kiedy jestem na służbie. To było tak, jakby ktoś sobie ze mną pogrywał, próbował wyprowadzić mnie z równowagi. I udało mu się. To mną wstrząsnęło. Postanowiłem złożyć skargę na Nadzór, ale nie miałem kiedy, bo wiedziałem, po prostu wiedziałem, że kończy się nam czas.

- Nikt panu nie powiedział, co miało się stać? - pyta. - Nie otrzymał pan żadnego innego komunikatu?

- Nic. Nie przysły żadne raporty, kamery perymetryczne niczego nie wychwyciły, nawet psy były spokojne. - Klepię się w pierś. - Ale ja byłem niespokojny... i to nie było załamanie emocjonalne. Wiedziałem, że coś jest nie tak, i działałem w oparciu o tę wiedzę, ale powinienem był zaufać swoim instynktom i zareagować wcześniej. Być może wtedy Yafiah i Dubey żyliby nadal.

Kendrick przygląda mi się uważnie przez kilka rozdzierających sekund. Potem daje znak kobiecie.

- Pokaż mu, jak to wyglądało.

Kobieta stuka kilka razy w tablet, potem podnosi go i odwraca ekranem ku mnie; niebieskie oczy ma spuszczone, ale wciąż widoczne ponad ramką urządzenia. Mam wrażenie, że chce mi coś powiedzieć, ale

nie śmie.

Rozpoczyna się nagranie Nadzoru. Moja uwaga przenosi się z kobiety wprost na koszmar tamtego popołudnia. Patrę w głąb korytarza w budynku fortu Dassari, na drzwi prowadzące na zewnątrz; otwierają się, zalewając na ułamek sekundy kamerę światłem, a potem widzę w korytarzu siebie. Mam na sobie neuroskalp, T-shirt, spodnie moro i buty. Jestem gładko ogolony, spojrzenie ciemnych oczu pod brzegiem neuroskalpu mam spięte - zmęczone, ale spokojne. Jednakże po dwóch krokach w holu wszystko się zmienia. Zadzieram brodę, odsłaniam zęby. Przeżalenie wykrzywia mi rysy i drę się jak opętany:

- Zrywka! Coś się zbliża. Czuję to.
- Jezu - szepczę, gdy miga ikona neuronetki.

Kendrick macha dłonią i kobieta opuszcza tablet, zatrzymując kliknięciem film.

- Ma pan potężny instynkt - zauważa Kendrick.

Patrę mu w oczy, bo muszę pokazać, że nie boję się tego, co może ze mną zrobić - chociaż się boję.

- Wyglądam, jakbym oszalał. To sobie pan myśli, prawda? Miałem załamanie, a pojawienie się w tym momencie odrzutowców było jedynie dziełem przypadku.

- Nie, poruczniku. Nie to sobie myślę. Uważam, że ma pan prawo złożyć skargę na Nadzór. Myślę dokładnie to, co pan wcześniej zasugerował: że ktoś spieprzył pański neuroskalp. Że ktoś, kto pana zna, kto wie dokładnie, jak działa pański mózg, i kto wiedział, co ma się zdarzyć, postanowił uratować panu życie, hakując pański neuroskalp -z początku subtelnie, ale w końcu zalewając pański umysł falą paniki. Gdyby nie ten dobry samarytanin, byłby pan martwy. I tak niemal pan umarł, pomimo działania dobrego samarytanina, kiedy podjął pan głupią decyzję, żeby wrócić po Lina.

Kto? - myślę. Jak?

Potem do głosu dochodzi gniew.

- Bzdura - mówię. - To jedynie zwariowana teoria. Kto mógłby to zrobić? Nikt! I założę się, że nie ma na to dowodu, prawda? Neuroskalp zapisuje każdą modyfikację. Za każdym razem, gdy pojedynczy neuron stymulowany jest do produkcji hormonu, jest na to potwierdzenie. Znaleźliście taki rejestr?

- Nie całkiem - przyznaje Kendrick. - Znaleźliśmy wielki, dobitny brak jakiegokolwiek aktywności od chwili, w której się pan obudził, aż do momentu poprzedzającego uderzenie pierwszego pocisku.

- Co pan mówi? Rejestr został skasowany?

Kręci głową.

-Usuwanie pozostawia ślady. Najprawdopodobniej funkcja zapisu została wyłączona i nic się nie nagrało.

- Jak ktoś mógł tego dokonać?

- Brak wskazówek. Ale ten ktoś zhakował w podobny sposób pańskiego anioła podczas potyczki drogowej, którą stoczyliście dzień wcześniej.

- Kiedy nasza PGB została odcięta od Nadzoru?

- Zgadza się. To tak, jakby pański haker chciał, żeby doszło do tej walki, jakby chciał być pewny, że nie otrzyma pan rozkazu, żeby nie wkraczać.

- Chciałem tego samego. - Nie wiem, dlaczego się przyznałem. Powinienem się starać wyglądać na niewinnego... ale jak mogłem? Oni i tak wiedzą, co czułem tamtego dnia.

Kendrick odsłania zęby w czymś, co może być uśmiechem.

- Jestem pewny na sto dziesięć procent, że pan tego nie zorganizował, Shelley. Jest pan wystarczająco bystry, żeby dawać sobie radę, ale nie na tyle, żeby zhakować własną głowę.

To jest uczciwa ocena.

- Uważa pan, że to ktoś z Nadzoru? - pytam.

Po raz pierwszy odzywa się kobieta:

- To nie Nadzór, Shelley.

Kiedy z niedowierzaniem odwracam się na spotkanie jej niebieskich oczu, dostaję gęziej skórki.

- Delphi?

Kiwa głową, ale się nie uśmiecha. Zawsze była poważna.

Gapię się na nią oszołomiony, gdyż nie znam jej, chociaż spędziła w mojej głowie więcej czasu niż ktokolwiek inny. Głos Delphi to rada i pociecha, dosłownie raz za razem zawierzałem jej swoje życie, ale aż do teraz nie widziałem jej twarzy i nadal nie znam jej nazwiska, gdyż Delphi to kryptonim. Żołnierze znają swoich opiekunów jako głosy, istnienia, nic więcej.

Niezachwianie patrzy mi w oczy.

- Nigdy bym z tobą tak nie pogrywała, Shelley, wiesz o tym.

Muszę skinąć głową, bo to prawda. Wiem, że nigdy by mi tego nie zrobiła.

- Gdybym wiedziała, co ma się stać - mówi - powiedziałabym ci. Wydostałabym cię stamtąd wcześniej. Gdyby stał nade mną generał armii, zabraniając mi powiedzieć choć słowo, to i tak bym cię ostrzegła.

- Wierzę ci. - Jeśli nie mogę ufać Delphi, to komu? -Więc co się stało?

- Nie wiem. - Jej spojrzenie dryfuje ku moim nogom. -Przypadki króla Dawida...

- To tylko głupie określenie Ransoma.

- Równie dobre jak każde inne. Incydenty są badane od miesięcy. Jakim cudem wiesz to, co wiesz?

- Bóg szepcze mi na ucho.

- Albo do twojego neuroskalpu. Za każdym razem ściągaliśmy dane. Znaleźliśmy luki w zapisach, ale nigdy nic tak wyraźnego jak ostatnim razem.

- Mówisz, że ktoś pogrywał sobie ze mną przez cały czas, kiedy tam byłem?

Delphi spogląda ponownie na moje tytanowe nogi.

- Chcę w to wierzyć, gdyż inne wyjaśnienia, jakie słyszę, zawierają magiczne terminy, takie jak „prekognicja”, „jasnowidztwo” i „Bóg”.

- Nie wierzysz w Boga, Delphi?

Patrzy mi w oczy.

- Dotąd nie wierzyłam.

*

Późnym popołudniem kończę godzinną fizykoterapię, gdy na mojej nakładce wyświetla się wiadomość z Dowództwa z dołączonym powiadomieniem, że informacja została także przesłana na mój adres mailowy. Ktoś chce być pewny, że ją dostanę. Dowiaduję się, że zostałem włączony do eksperymentalnego programu, którego celem jest podniesienie umiejętności żołnierzy PGB, dysponujących adaptacjami cybernetycznymi. Szefem programu jest pułkownik Steven Kendrick, co czyni go moim nowym dowódcą. Nie wiedziałem, że nasze spotkanie było rozmową kwalifikacyjną, ale musiałem dobrze wypaść. Albo to, albo Kendrick chce mnie mieć blisko siebie, żeby móc jednocześnie sprawdzać, kto buszuje w mojej głowie.

Leżę ponownie na szpitalnym łóżku. Nakładka mówi mi, że jest pierwsza pięćdziesiąt dwie w nocy - idealna pora na dziwne myśli. Gdzieś w głębi siebie jestem świadomy drżenia paniki, ale neuronetka to blokuje. Przyglądam się jej świecącej ikonie, wyobrażając sobie moje realne „Ja” na dnie czarnej otchłani, uwięzione w ciasnym, pozbawionym światła pomieszczeniu, wrzeszczące jak wszystkie inne dusze w piekle.

Jeśli jednak moje prawdziwe „ja” jest tam zamknięte, to kim teraz jestem?

Znam odpowiedź. Jestem emo-ćpuńskim porywaczem ciał, tak dobrze sterowanym przez neuronetkę, że łatwo mi zignorować krzyki własnej przeklętej duszy. Jednak na zewnątrz jest ktoś, kto potrafi się włamać do mojej głowy Nawiedza mnie haker? Czy Bóg?

Nakładka anonsuje rozmowę telefoniczną.

Wzdrygam się przestraszony. Ostatni raz widziałem migającą zieloną ikonę połączenia zewnętrznego tuż przed tym, gdy moje życie wyleciało w powietrze. Bóg dzwonił z nieznanego numeru. Tym razem

jednak książka telefoniczna identyfikuje rozmówcę. To mój przyjaciel Elliot Weber, znany aktywista pokojowy, udzielający się na łamach strony internetowej „Machina wojenna”. Poznałem Elliota tamtej nocy, gdy zostałem aresztowany za wędrowkę Broadwayem w towarzystwie innych obywateli. Powiedział mi, żebym nie stawiał oporu. Nie posłuchałem go. Później się zgodził, żebym opublikował nakręcone przez siebie wideo.

Odbieram połączenie i w mojej głowie rozbrzmiewa głos Elliota, zdyszany i spanikowany.

- Shelley, powiedz coś - prosi. - Powiedz mi, że nie dodzwoniłem się do hardware'u w głowie umarlaka.

Z mojego gardła wrywa się nerwowy śmiech, ale cichy, żeby nie usłyszał go nocny personel.

- Może jednak się dodzwoniłeś.

- Shelley. - Głos brzmi tak, jakby Elliot miał się przewrócić z powodu ulgi. - Wiem, że nie jest z tobą dobrze, ale przynajmniej żyjesz. Widziałem cały program do samego końca, aż do uderzenia rakiety, kiedy zapalił się świat...

- O czym ty gadasz, Elliot?

- ...myślałem, że to koniec. Że nie ma mowy, żebyś to przeżył.

- Skąd wiesz, co się stało? Z kim gadałeś? Nie z moim ojcem.

Ojciec nienawidzi Elliota, bo obwinia go o moje kłopoty.

- Powiedziałem ci, widziałem program telewizyjny.

- Jaki program?

- O rany. Gdzie jesteś, Shelley?

- W Teksasie.

- Och, przykro mi.

- Powiedz mi o programie, Elliot.

- Nazywa się *Połączona grupa bojowa. Mroczny patrol*. To fabularyzowany dokument. Reality show. Wyemitowany wczoraj. Musiałeś o tym wiedzieć.

- Opowiada o życiu w PGB?

- Nie. Opowiada o twojej PGB. O twoim oddziale bojowym. Nie wiedziałeś?

Okazuje się, że wojsko nie tylko archiwizowało nagrania zarejestrowane przez moją nakładkę.

Zmontowali je z materiałem pochodzącym z kamer hełmowych oraz kamer bezpieczeństwa w bazie i stworzyli dwugodzinny reality show na temat życia i konfliktu w forcie Dassari. Elliot mówi, że program kończy się wybuchem.

- Kiedy pocisk trafia... - Głos mu się załamuje. - Myślałem, że nie będzie co z ciebie zbierać. I wtedy show się skończył. Tak po prostu. Nie powiedzieli, co się stało z tobą czy z twoimi żołnierzami.

Chcieli suspense.

- Złapałeś więc za telefon i zadzwoniłeś do trupa?

- Nie jesteś trupem. Powiedz mi, co się stało. Czy atak powietrzny był prawdziwy? Powiedz mi, czy wszyscy go przeżyli. Powiedz, co się stało z tobą.

- Czy program jest w sieci? - pytam.

- Nie wiem. Nie widziałem w nim żadnych liczb. Znalazłem go, gdyż utworzyłem alert na twoje nazwisko. Inaczej nigdy bym się na niego przypuszczalnie nie natknął.

Jestem mocno wstrząśnięty tym, że coś podobnego krąży w przestrzeni publicznej. Mam zdecydowane poglądy i nie waham się ich wyrażać. Pytam cicho:

- Ile moich tyrad dostało się do programu?

- Reżyser lubi dramat. Często ciebie pokazywał.

- A widownia?

Zaczyna się wykręcać.

- Wiesz, jak to jest. Taki wojskowy program padłby w Nowym Jorku. Jest więc emitowany głównie

w... - Głos dławi mu poczucie winy.

- W Teksasie? Gdzie ludzie nienawidzą podatków, a kochają wojny?

Elliot jest inteligentny. Zna ludzi, rozumie system i ma niezwykłą umiejętność doszukiwania się motywów wszędzie tam, gdzie ja widzę jedynie chaos. Bardzo przypomina w tym Lisę, chociaż tych dwoje nie przyznałoby nigdy, że mają ze sobą cokolwiek wspólnego.

- Myślisz, że mógłbyś tutaj przylecieć? — pytam go.

- Do Teksasu? Nie umierasz, Shelley, co? Nie wzywasz mnie do łoża śmierci?

Czuję się urażony.

- A co? Nie przyjechałbyś, gdybym umierał?

- No nie, oczywiście, że bym przyjechał. Chciałem tylko wiedzieć, to wszystko. Chcę być

przygotowany.

- Nie umieram.

- Okej, dobrze.

- Więc przylecisz?

- Taa. Będziesz miał dla mnie opowieść?

- Nie taką, którą będziesz mógł wykorzystać.

- Tajna sprawa, co?

- Obawiam się.

- Cóż, to Teksas, więc znajdę coś, o czym mógłbym napisać. Może o najnowszym ruchu

secesjonistycznym albo o skorumpowanym przedsiębiorcy wojennym.

- Przyleć szybko, dobra?

- Sprawdzę swoje plany. Shelley?

- Taa?

- Cholernie się cieszę, że żyjesz.

*

Trzeciego dnia mojego scyborgizowanego życia poznaję chirurga, który poskładał mnie do kupy. Personel pielęgniarski rozmawia o doktorze Masoudzie ściszymi głosami, w strachu przed jego geniuszem, pewne, że któregoś dnia zdobędzie Nagrodę Nobla albo zostanie co najmniej ogłoszony świętym.

Czekam na doktora Masouda w pomieszczeniu ambulatoryjnym, pozostawiony samemu sobie na rozkładanym fotelu, przypominającym te w gabinetach dentystycznych. W pokoju nie ma okien, a drzwi są zamknięte. Asystent, który mnie tutaj wpuścił, ponaciskał jakieś dźwignie mojego automatycznego wózka inwalidzkiego, który się złożył, po czym upchnął go pod ścianą, żeby „nie przeszkadzał”. Zapewnił mnie, że doktor zaraz przyjdzie, po czym wyszedł.

Minęło pięć minut. Potem kolejnych dziesięć, z których każdą odmierzyła moja nakładka. Żaden lekarz nie chce się zjawić o umówionej porze - to mogłoby sprawić wrażenie, że nie są przepracowani - ale kiedy czas oczekiwania przekracza dwadzieścia minut, zaczynam opracowywać strategię odwrotu, przewidując kroki, jakie muszę przedsięwziąć, żeby dotrzeć do fotela na kółkach. Mam właśnie wykonać pierwszy ruch, czyli wywinąć się z fotela dentystycznego, kiedy drzwi się otwierają, wpuszczając wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę o jasnobrażowej skórze, schludnie przystrzyżonych wąsach i starannie zaczesanych czarnych włosach, błyszczących w świetle lamp sufitowych.

Kiedy patrzy na mnie, w jego spojrzeniu kryje się pewna chciwość, ale także zatroskanie. Spory niepokój. Pomimo panującego w pomieszczeniu chłodu linię jego włosów ozdabiają maleńkie krople potu. Chcę poprosić Delphi o ocenę emocjonalną, ale nie jestem połączony z Nadzorem. Na razie jestem zdany na siebie. Obserwuję go, rozluźniony, ale czujny.

- Jestem Benjamin Masoud, poruczniku Shelley. Spędziliśmy w swoim towarzystwie wiele godzin, chociaż nie sądzę, żeby pan to pamiętał.

Długie oczekiwanie zirykowało mnie, więc dowcip spala na panewce. Teraz moja kolej.

- Zaczynam się niepokoić, doktorze Masoud, że nadal nie mogę się posługiwać nogami - to znaczy moimi organicznymi kończynami, tym, co z nich zostało. Nic nie czuję i nie potrafię napiąć mięśni.

Pielęgniarka wyjaśniła mi, że to nie uszkodzenie nerwów...

- Uszkodzenie nerwów? - Jego grube brwi się schodzą. Najwyraźniej powiedziałem coś niestosownego. - Kto panu zasugerował uszkodzenie nerwów?

- Ja to zasugerowałem, a pielęgniarka...

Przerywa mi ponownie:

- Powinni to byli panu wytłumaczyć. Nerwy pańskich nóg są w absolutnym porządku. To, czego pan doświadcza, to paraliż farmakologiczny, zastosowany po to, żeby na połączeniu kości z tytanem nie dochodziło do napięć podczas początkowej fazy procesu gojenia.

- Racja. To właśnie powiedziała mi pielęgniarka. Moje pytanie brzmi: czy nie jesteśmy już poza tą wstępną fazą? - Dzięki fizykoterapii mój tułów odzyskuje siły, ale to jedynie podkreśla regres kondycji dolnej połowy ciała. - Muszę zacząć ćwiczyć mięśnie miednicy i ud, gdyż inaczej zanikną do tego stopnia, że w ogóle nie będę mógł stanąć prosto, nawet jeśli robocie nogi będą działały idealnie.

- Robocie nogi? - To gorszy go nawet bardziej niż wzmianka o uszkodzeniu nerwów. Jakbym powiedział, że jego córka to kaszalot. - Protezy, które pan otrzymał, poruczniku, nie są częściami robota. To supernowoczesne urządzenia, zintegrowane z człowiekiem.

Nie wydaje mi się, żebym widział różnicę, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Nie pytam pana o moje robocie nogi. Rozumiem, że na razie nie działają, bo są wyłączone, i dlatego stanowią balast. Pytam pana o moje nogi, o to, co z nich zostało. Zajęcia fizykoterapeutyczne muszą objąć biodra i uda.

Oczy mu się zwężają. Nie sędzę, żeby przywykł do kwestionowania jego racji.

- Nie, jeszcze za wcześnie na odstawienie środków paraliżujących.

Przez kilka sekund przygląda mi się badawczo, zastanawiając się być może, czy dostał mu się właściwy pacjent.

Jeśli nie zastosuję się do jego zasad, to może zniweczyć jego eksperyment Frankensteina i nie zdobędzie swojego Nobla - ale nie stara się mnie uspokoić. Zamiast tego bierze się do mojego ego.

- To naturalne, że taki człowiek jak pan obawia się słabości i niesamodzielności, ale ma pan szczęście, poruczniku Shelley, gdyż wyzdrowieje pan.

Szczęście? Rozważam to słowo, kiedy moje spojrzenie wędruje ku robocim nogom. Szczęście. Ten koncept przyprawia mnie o gniew, ale tylko dlatego, iż wiem, że Masoud ma rację. Nie pech, tylko błędna ocena posadziła mnie w fotelu na kółkach, i mogę się cieszyć, że żyję. Że jestem jego królikiem doświadczalnym - co nie oznacza, że muszę go lubić.

Ze wzruszeniem ramion rezygnuję ze sprzeczki, poskromiony, chociaż nie do końca wdzięczny.

- Niech pan pozwoli, że pokażę panu postęp, jakiego dokonaliśmy - mówi Masoud, podchodząc do klawiatury pod martwym ekranem. Kilka kliknięć i przesunięć przywołuje na monitor dwie projekcje 3D. - To są barwnie podretuszowane i nałożone na siebie obrazy, stworzone w oparciu o skany pańskich nóg wykonane dzisiejszego ranka.

Widzę swoje kości: stare, jasnobiałe, i nowe, w najgłębszej czerni. Spotykają się w czymś w rodzaju połączenia „na jaskółczy ogon”. Spinają je bolce.

Doktor Masoud stuka ponownie w klawiaturę i połączenie jest teraz otoczone przez płaski złoty pierścień, chyba o ponaddwucentymetrowej średnicy. Wnikają w niego czerwone i niebieskie nici.

- To interfejs bioelektryczny. - Wskazuje niebieską nić. - Dzięki moim działaniom nerw wrasta w interfejs. Kiedy połączenie się ustanowi, sygnały z nerwów motorycznych pańskich nóg zostaną przełożone na impulsy elektryczne odbierane przez protezy. Kiedy do tego dojdzie - i kiedy zrezygnujemy z paraliżu farmakologicznego - odzyska pan czucie w organicznej części nóg i będzie w stanie kierować

protezami dzięki impulsom nerwowym.

Znowu stuka w klawiaturę, co odsłania kolejną warstwę obrazu. Ta ukazuje ciało wokół moich kikutów, a po zewnętrznej stronie każdego z nich niewielkie niebieskie pakiety. Ciało przenikają rurki łączące pakiety z płaskimi złotymi pierścieniami interfejsu bioelektrycznego.

Spoglądam na gruby gipsowy opatrunek na prawym kikucie. Nie miałem nic przeciwko obrazom połączonych kości, ale widok przewodów przenikających moje ciało wzbudza odrazę. Przywodzą mi na myśl pasożytnicze robaki buszujące w mięśniach.

Masoud musi wiedzieć, że jestem bliski załamania, gdyż jego głos staje się cichy i kojący:

- Rurki są tymczasowe. Służą do dozowania leków utrzymujących bezwład, przyspieszając jednocześnie wrastanie i gojenie. Pozostaną tam co najmniej przez tydzień.

Ikona neuronetki migocze i ta chwila mija.

- Kiedy będę chodził?

- Za dwa, trzy tygodnie...

- Tygodnie? - przerywam mu z prawdziwą rozpaczą.

- Tak. Proces biologiczny wymaga czasu. Dzisiaj chcę tylko oczyścić miejsce zabiegu i sprawdzić wymuszony rozrost naskórka.

Spoglądam na niego kamiennym wzrokiem, bo mówi o czymś, czego nie rozumiem.

Wskazuje ponownie obraz.

- Tutaj, gdzie tytanowe pręty wyłaniają się z pańskiego ciała. Prowokują wzrost naskórka, podobnego do tego przy paznokciach, chociaż oczywiście rozleglejszego. To powstrzyma przenikanie zarazków po odsłoniętej kości.

- Po odsłoniętym tytanie.

- Tak.

Wchodzi pielęgniarz i razem rozcinają gipsowy opatrunek, odsłaniając odrażające połączenie szarego metalu i żywego różowego ciała, pokrytego ciemnymi siniakami, żółtymi plamami i białymi trzęsawiskami martwych komórek skóry. Obok znajdują się pakiety infuzyjne i ich robacze rurki znikające w moich udach.

I to śmierdzi.

Dostaję mdłości.

- Kurwa mać - szepczę.

- Niełatwo się przyzwyczaić - mówi pielęgniarz pocieszającym tonem, używając środka dezynfekującego do oczyszczenia tej jatki.

Leżę na plecach i patrzę w sufit, ale Masoud przyciąga moją uwagę.

- Pańskie nowe nogi nie są na stałe.

To sprawia, że siadam ponownie. Pielęgniarz zakończył oczyszczanie kikutów. Teraz bandażuje prawą nogę. Więc doktor Masoud używa do demonstracji lewej. Klepie tytanowy gnat wystający z uda.

- Widzi pan, tutaj, w pręcie, są bolce. Jeśli się je wyjmie, moduł kolanowy można odłączyć w celu konserwacji lub wymiany.

Muszę skupić wzrok, żeby dostrzec trzpienie. Ich czubki są w jednej płaszczyźnie z prętem i wykonane tak precyzyjnie, że szczelina łączenia jest niemal niewidoczna.

- Oprócz bolców mamy też przewody elektryczne - wyjaśnia Masoud. — To nieco skomplikowane. Ale dolne części nóg można łatwo oddzielić. — Naciska kciukiem i palcem wskazującym przegub kolanowy. Potem obraca dłoń, ciągnie... i moja noga się odłącza.

Włosy na karku stają mi dęba i muszę zdusić krzyk.

- Jestem zabawką?

Masoud chichocze.

- Bardzo drogą.

Jest teraz bardziej rozluźniony, niż kiedy tutaj wszedł. Jeszcze się nie załamałem; przypuszczalnie żywi nadzieję, że dostał jednak odpowiedniego pacjenta.

Obraca nogę, przyglądając się badawczo jej misternej budowie.

- Pańskie nogi zostały zaprojektowane przez Joby'ego Nakagawę. Jest utalentowanym inżynierem. Ja zaprojektowałem interfejs bioelektryczny. Rezultatem jest... zdumiewające osiągnięcie, z możliwością adaptacji. - Napina robocią stopę, prostuje goleń. - Nie będzie pan przywiązany do tej jednej konstrukcji. Wraz z rozwojem inżynierii lub spodziewanymi zmianami otoczenia będzie pan mógł wymieniać protezy.

Jego samozadowolenie irytuje mnie, więc odpowiadam z sarkazmem:

- Nawet lepsze od naturalnych, co?
- Pod pewnymi względami. Możliwe.
- Dlaczego w ogóle przyłączył mi pan nogi, skoro nie mogę nimi ruszać? Dlaczego nie same zamocowania, póki nie minie paraliż?

Masoud pochyła się nad moim tytanowym stawem kolanowym i przymocowuje ostrożnie nogę.

- To kwestia psychologii, poruczniku. Nie chcemy, żeby się pan uważał za kalekę. Wojsko ma wobec pana wielkie plany.

*

Obiecanki cacanki.

Jedyny plan, jakiego jestem częścią, to kolejna sesja fizykoterapeutyczna. Wykonuję ćwiczenia ramion, grzbietu i brzucha, ale to wszystko. Potem pomimo moich protestów opiekunowie zwalają mnie z powrotem na łóżko. Tytano-wo-kostnego złącza nie można obciążać, póki się nie umocni, a nerwy muszą wrosnąć w interfejs bioelektryczny.

Siedzę wyprostowany na łóżku, patrząc na rysujące się pod kołdrą kościste kształty protez. Wolno odwijam przykrycie, odsłaniając kończyny. Przez trzy dni, podczas których byłem przytomny, nie dotknąłem tytanu.

Dotykam teraz.

Pochylam się i opieram delikatnie ręce na przegubach kolanowych. Potem wyciągam się jeszcze dalej i przesuwam dłonie po robocich goleniach.

Spodziewam się, że kości będą zimne, ale nie są. Może ogrzały się pod przykryciem od ciepła ciała. Zastanawiam się, ile energii będą wysysać z mojego organizmu. Zamarznę na śmierć szybciej niż normalny człowiek?

Badam dłońmi kształt tych nowych nóg, głaszcząc długą kość, macam elementy wzmacniające. Próbuje dotrzeć kostek nowych stóp, ale zbyt bolą mnie plecy, kieruję więc uwagę na kolana i oglądam badawczo połączenie, aż jestem całkiem pewny, że wiem, jak odłączyć dolną część nóg w sposób zaprezentowany przez doktora Masouda.

Robię to. Trzymam kończynę w dłoni, zdumiony jej lekkością; jest dużo lżejsza od naturalnej kości. Jestem także przerażony. Moje ciało nie powinno działać w ten sposób. Nie zrobiono mnie tak, żebym się rozkładał na części. Nagle chcę tylko być znowu całością, więc przymocowuję ponownie nogę. Potem opadam na poduszkę, czując się dziwnie winny z powodu przeprowadzonych badań.

Nie żebym mógł cokolwiek ukryć. Moja nakładka jest włączona. Nagrywa jak zawsze; to stanowi część mojego kontraktu.

A wojsko zrobiło z mojego popierdalonego życia reality show.

- Czy to drugi odcinek? - pytam pusty pokój. - „Shelley dostaje nowe nogi”?

Nikt nie odpowiada.

Jestem rozczarowany.

Potem dociera do mnie, że nie widziałem jeszcze *Mrocznego patrolu*. Wdrażam poszukiwanie i znajduję go, po czym wyświetlam program na nakładce. Oto znowu Yafiah i Dubey, w pełni sił.

Mieliśmy dobry oddział.

Zastanawiam się, gdzie jest Ransom i czy układa mu się z nowym dowódcą.

Przeskakuję po programie, ale dla mnie nie ma w nim prawdziwego napięcia. Wiem, co się stanie.

Jaynie pojawia się w ostatniej jednej trzeciej materiału, a potem jest po wszystkim. Elliot miał rację.

Naprawdę kończy się wybuchem.

I wiem z lodowatą pewnością, że początkiem drugiego odcinka będzie ta rekurencyjna scena, podczas której oglądam przerażający finał odcinka pierwszego.

Nic dziwnego, że jakiś genialny haker wybrał mnie, żeby się wpierdolić w moje życie.

Przypuszczalnie mam wielomilionową widownię.

*

Siedzę w fotelu na kółkach, ustawionym na szpitalnym tarasie w cieniu mizernego, kolczastego teksańskiego drzewa. Jest środek popołudnia, ale chmury łagodzą upał, więc nie ma nawet trzydziestu dwóch stopni. Taras jest rajem dla poszkodowanych żołnierzy, ale siedzimy daleko od siebie i nie rozmawiamy ze sobą.

Drzemię po dwóch długich sesjach fizykoterapeutycznych, kiedy na mojej nakładce pojawia się awatar Lissy.

- Shelley?

Patrzę na malutki obraz, gubiąc się w domysłach, skąd się wziął.

- Proszę, Shelley, porozmawiaj ze mną. Wiem, że jesteś zły. Masz prawo być...

- Nie! Nie jestem. Tylko zaskoczony. - Nie chcę, żeby przerwała połączenie, więc szukam słów. —

Spałem po prostu, a twój telefon połączył się bezpośrednio. Link otworzył się sam z siebie, jak... jak dawniej, tak jak to ustawiliśmy w Nowym Jorku... pamiętasz?

Miała pełny dostęp do mojej nakładki, mogła więc widzieć to samo co ja i rozmawiać ze mną tak, jakbyśmy byli razem. Wyłączono to, kiedy poszedłem do wojska. Nie mogę uwierzyć, że Nadzór ponownie uruchomił tę funkcję.

- Chcę cię znowu zobaczyć - mówi.

Być może Nadzór przerzucił przełącznik, ale rozkaz przyszedł skądinąd... na przykład od producenta *Mrocznego patrolu*, który pragnął czegoś dramatycznego w drugim odcinku?

Nie mogę pozwolić, żeby Lissa się w to wplątała.

- Skarbie, zanim ponownie tutaj przylecisz...

- Za późno. — Słyszę jej zażenowany śmiech. - Nie chciałam, żebyś się sprzeciwił, więc po prostu... wsiadłam do samolotu.

Przedstawiającej ją ikonie nie towarzyszy wskaźnik GPS-u. Może być wszędzie. Kiedy się jednak oglądam, szklane drzwi się rozsuwają, a ona wchodzi na taras, w jasnozielonej jedwabnej letniej sukience, z nerwowym uśmiechem.

Między moją zdumioną miną a widokiem robocich nóg jej uśmiech więdnie, ale tylko na chwilę. Kuca obok fotela, chwytając się podłokietnika dla utrzymania równowagi.

- Naprawdę nie jesteś zły?

-Naprawdę.

Kiedy jednak powiem jej o reality show, to ona będzie wkurzona.

*

Do pokoju wtaczam się pierwszy. Gdy Lissa wchodzi za mną, naciskam guzik w ścianie, żeby zamknąć drzwi. Zrzuca sandały i wchodzi na łóżko, siadając po turecku i poważnie patrząc na mnie błyszczącymi ciemnymi oczami.

- Chcę cię przeprosić...

- Nie. Musisz mnie wysłuchać. Musisz o czymś wiedzieć, a potem zdecydujesz, jak się z tym czujesz. Prostuje się i patrzy na mnie z góry czujnym wzrokiem.

- Lisso... wiesz o tym, że wojsko cały czas archiwizuje nagrania z mojej nakładki?

- Tak. Powiedziałaś mi, że to robią, ale wtedy, gdy jesteś na służbie, zgadza się?

Odwracam głowę i wpatruję się w ścianę, żeby jej twarz się nie nagrała.

- Przez cały czas, gdy nie jestem na urlopie. Wszystko, co widzę i słyszę... idzie do archiwum.

- O kurwa. - Słyszę, że jej stopy płaszcą o podłogę; kroki się zbliżają, aż staje za mną. - Chcesz mi powiedzieć, że ktoś oglądał, kiedy my...?

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek oglądał. Nie w czasie rzeczywistym. Ale istnieje nagranie. Nie żeby mogli go użyć czy opublikować. Nie podpisałaś zrzeczenia się prywatności.

- I twój przekaz jest teraz aktywny?

- Tak.

- Dzięki, że mi to mówisz... - Każda sylaba to chrupnięcie. - Możesz na mnie patrzeć, jeśli chcesz.

Oglądam się przez ramię.

Stoi z rękami skrzyżowanymi na piersiach, mierząc mnie gniewnym, płomiennym spojrzeniem.

Obracam fotel.

- Czy to wszystko, co chcesz mi powiedzieć? - pyta.

- Nie. Jest coś jeszcze.

Opowiadam jej o reality show.

- Niech to szlag, Shelley!

- Nie wiedziałem o tym. Póki Elliot nie zadzwonił do mnie.

- Jak oni mogą ci to robić?

- Posiadają mnie! Mogą robić, co chcą. Ale nie mogą wykorzystać ciebie. Jesteś cywilem i nie podpisałaś zrzeczenia.

Lissa wskazuje gestem drzwi.

- W poczekalniach i na korytarzach są kamery bezpieczeństwa. Mogą wykorzystać także tamte nagrania?

Szeptem powtarzam pytanie mojej encyklopedii, skutkiem czego pojawia się długi dokument.

Encyklopedia zaczyna mi go odczytywać, ale przerywam to, żeby się przyznać przed Lissą:

- Nie wiem.

- Załóżmy na wszelki wypadek, że mogą.

- Czy to znaczy, że zamierzasz odejść?

- Chcesz, żebym to zrobiła?

- Nie! Powiedziałem ci wcześniej, że cię kocham. Naprawdę. To ty musisz zdecydować, jak się z tym czujesz.

Jej twarz nie zmienia wyrazu.

- Przyleciałam tu dzisiaj, bo miałam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia, ale to nie będzie nam dane. Wierzę ci, Shelley, ale nie ufam wojsku. Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Niech tak zostanie.

Nie jestem pewien, czy możemy... i to napawa mnie nadzieją. Więc nie oponuję.

- Jak długo zostaniesz tym razem?

Uśmiecha się, niewątpliwie przejrząwszy mnie na wylot.

- Odlatuję dzisiaj wieczorem, jak poprzednim razem. Stajesz się drogim hobby.

Podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. Trwa niezręczne dla mnie milczenie.

- Chcesz iść na spacer albo co?

Odwraca się na tle rozświetlonego okna, więc trudno mi dostrzec jej twarz.

- Nie. Chcę pogadać o królu Dawidzie. Pracuję nad teorią, która to wyjaśnia.

Jestem zaskoczony. Także pułkownik Kendrick wysnuł teorię, ale chcę usłyszeć, co Lissa ma do powiedzenia.

- Zamieniam się w słuch.

- Bez obrazy dla twojego przyjaciela Ransoma, ale nie kupuję jego teorii, że przemawia do ciebie

Bóg.

- Nie powiem mu.

Błyska uśmiechem.

-I zamierzam zacząć od oczywistości - że droga do twojej głowy wiedzie przez neuroskalp. Sądzę, że cię zhakowano.

Nie wyglądam na odpowiednio zaskoczonego.

Ocenia mój brak reakcji i kiwa głową.

- Zatem słyszałeś to już. Cóż, dobra. Przynajmniej wojsko stara się to wyjaśnić.

- Czy twoja teoria posuwa się dalej?

- Odrobinę. - Wraca na łóżko, gdzie siada ponownie ze skrzyżowanymi nogami, głowę ma zadartą, a

wzrok zapatrzony w dal. - Trzeba zrozumieć, że istotą analizy marketingowej jest oddzielenie przyczyny i skutku od zbiegu okoliczności. W Pace Oversight posługuję się naprawdę Potężnymi programami analitycznymi. Wykorzystałam jeden do pewnych działań badawczych, żeby się przekonać, jakie wzory mogłyby się ujawnić. Mogą one wskazać źródło, zdarzenie początkowe.

- Polujesz więc na ewentualnego hakera? Wiesz, kto to jest?

Zaciska usta i kręci głową.

- To nie jest właściwe pytanie. Pytanie brzmi: Co? Co to jest?

Czekam, żeby mi to powiedziała.

- Świat posługuje się potężnie rozbudowaną, samoodnawiającą się chmurą obliczeniową. Programy analityczne, takie jak wykorzystywane w Pace Oversight, są zdecydowanie zbyt skomplikowane, żeby ktokolwiek je rozumiał. Są tak złożone, że stały się częściowo autonomiczne, zaprojektowane do samoregulacji.

- Zatem nikt nie kieruje skomplikowanym programem, któremu udało się mnie zhakować. W porządku.

- Cóż... to może wydawać się szalone, ale uważam, że nie możemy zakładać, że ktoś nim kieruje. Poważne autorytety dyskutują na ten temat, odkąd tylko zaczęliśmy zmierzać ku biologicznie inspirowanym dziedzinom...

Przerywa w pół zdania, gdy jej brązowe policzki oblewa rumieniec.

W nagłej ciszy słyszę, że moje serce bije bardzo głośno. Ikona neuronetki zaczyna migać.

- Wydaje mi się, Lisso, że wiem, dokąd zmierzasz. Pamiętaj jednak, że cokolwiek mówisz, Nadzór to usłyszy.

Bierze głęboki wdech.

- Nieważne. Nie zrobiłam nic nielegalnego. Jeśli chcą się bawić ze mną w ciuciubabkę, to nie mam nic przeciwko temu. Uważam, że program przerodził się z półautonomicznego we w pełni autonomiczny, że wyrósł poza pierwotne algorytmy, że rozbudowuje się i działa bez nadzoru w oparciu o Bóg jeden wie jakie protokoły. Zanim zapytasz - nie mówię o jakiejś wielkiej, rozbestwionej, zabójczej AI, świadomej nagle swojego istnienia. To, że jest to zbuntowany program, nie oznacza, że ma świadomość. Nawet nie musi mieć instynktu samozachowawczego - tylko algorytmy adaptacyjne.

-I uważasz, że to coś włamało mi się do głowy? Jakiś zbiegły program? - Jeśli zważyć na temat i wagę naszej rozmowy, głos mam dziwnie spokojny. — Dlaczego ma to być bardziej sensowne od tego, że ktoś nim kieruje?

- Rzecz w stopniu złożoności. Nie chodzi tylko o ciebie. Dziwne zdarzenia zachodzą wszędzie, w rodzaju tych, które nazywamy „prekognicją”, „intuicją”, „przypadkiem”, „szczęściem”, „cudem”, „błogosławieństwem”, „przekleństwem”, „idealną porą”. Tych słów używamy, gdy szanse nie są losowe. Im bardziej szukam podobnych zdarzeń, tym więcej ich znajduję. To jak sto milionów chochlikowych rąk, popychających ludzkość w tę czy w inną stronę. Dochodzi do zakłócenia na giełdzie, liczby sprzedaży się nie aktualizują, przepada rezerwacja lotnicza... i zmieniają się losy, obierając nowe kierunki. Pomyłka

telefoniczna sprawa, że wieloletni wrogowie wyjaśniają sobie dzielące ich różnice. Dwudziesta osoba na liście oczekujących dostaje się na studia, bo odpowiednia wiadomość nie dotarła nigdy do poprzednich dziewiętnastu. Nie zmienia się światło uliczne, przez co spóźnia się autobus, tworząc okno czasowe, w którym piosenkarka spotyka blogera muzycznego, zapoczątkowującego jej karierę. Celowe zdarzenia wiodące do... nie wiem dokąd.

Oboje podskakujemy na dźwięk rozniewanych głosów na korytarzu za zamkniętymi drzwiami. Dwóch kłócących się ze sobą facetów. Nie rozumiem słów, ale wiem, kim są rozmówcy.

Lissa ogarnia połowę.

- To twój tata.
- Taa, i Elliot.
- O cholera! - Zeskakuje z łóżka. - Co on tutaj robi?
- Poprosiłem go, żeby przyleciał.
- Dlaczego?

Waham się, bo nie bardzo wiem. Głosy jednak przybierają na sile, więc kieruję wózek ku drzwiom, otwieram je Przyciskiem i wyjeżdżam na korytarz.

- Jeśli chce pan znaleźć winnego tego, przez co przechodzi - mówi Elliot - to niech pan wini społeczeństwo tego kraju, które uważa każdy konflikt...

Ojciec przerywa mu z tłumioną wściekłością:

- Pozwoliłeś mu wierzyć, że mógł coś zmienić...

Pielęgniarka za biurkiem wygląda na oburzoną. Ostrzega ich:

- Proszę przenieść się ze swoją kłótnią na dół, zanim wezwę...
- Tato! - przerywam jej. - Elliocie!

Zatrzymuję fotel na kółkach, kiedy obaj zwracają ku mnie przestraszone twarze.

Ojciec ma firmę w Nowym Jorku, ale założył tymczasowe biuro w pokoju hotelowym, żeby móc mnie codziennie odwiedzać. Podchodzi do mojego boku, ściska mi ramię, a potem wymieniają z Lissą pocałunki w policzek.

Elliot jest zbyt zaskoczony, żeby się ruszyć. Gapi się na mnie z otwartymi ustami i z przerażeniem w oczach. Odwraca wzrok z taką miną, jakby miał mdłości.

- O Boże, Shelley...

Sądzę, że powinienem był go ostrzec, ale, cholera, wiedział, że jestem ranny. Ciekawe, co się spodziewał zobaczyć?

- Dzięki, że przyszedłeś, Elliot. - Pielęgniarka piorunuje nas wzrokiem. - Chodźmy na taras.

Wydaję polecenie wózkowi i nie czekając na zgodę któregośkolwiek z pozostałych, zmierzam do windy. Doganiają mnie w chwili, gdy jej drzwi się otwierają.

Podczas jazdy na dół Elliot stoi przy panelu z podświetlonymi przyciskami, patrząc na moje robocie nogi.

- Nie widziałem równie wyrafinowanych protez.
- Znasz mnie. Zawsze na topie.
- Jimmy - odzywa się tata. - Prosiłeś go, żeby się tutaj zjawił?

Zamiast wyjaśnić, opowiadam mu o reality show. Ma przy sobie tablet, więc kiedy wydostajemy się na zewnątrz, on i Lissa sadowiają się na ławce w ocienionym kącie tarasu i zaczynają oglądać program, przy czym Lissa marszczy brwi, opierając się o bark ojca, żeby widzieć.

Elliot i ja patrzymy na siebie.

- Powinieneś był mnie ostrzec.
- Myślałem, że zadzwonisz przed przylotem.
- Taa, powinienem był. Ale w samolocie oglądałem *Mroczny patrol* - dwa razy. Nigdy dotąd nie widziałem niczego podobnego. Naprawdę nie miałeś pojęcia, że to montują?

- Nie.

- Po drodze z lotniska konferowałem z redaktorami „Machiny wojennej”. Wszyscy widzieli show i dogadaliśmy się. Napiszę o tym artykuł.

Nie to chcę usłyszeć.

- Nie ma mowy, Elliot. Nie obchodzi mnie, czy rozmawiałeś z moim dowódcą. Nie chcę udzielić wywiadu.

- Kim jest twój przełożony?

- Zapomnij o tym.

- Dobra, dobra. Musiałem spróbować. Ale powiedz mi jako przyjaciel - pod koniec nagrania, kiedy wiedziałeś, że nadlatują myśliwce, czy to było naprawdę?

- Nie wiedziałem, że nadlatują. Miałem tylko złe przeczucie.

- Rzeczywiście złe.

Czeka, żebym coś jeszcze powiedział, ale mam rozproszoną uwagę, gdy wracam pamięcią do rozmowy o drugiej nad ranem, starając się sobie przypomnieć, dlaczego jego przyjazd tutaj uważałem za dobry pomysł.

- Czy mówiłem przez telefon, o czym chcę z tobą pogadać?

- Nie bardzo. Coś o tajnych sprawach.

Ja też to pamiętam, ale to nie ma najmniejszego sensu. Nie mogę rozmawiać z Elliotem o tajnych sprawach... i nie w tym rzecz, żebym znał wiele sekretów. Wobec upublicznienia *Mrocznego patrolu* na całym świecie wszyscy wiedzą o mojej prekognicji — a co z błędzącym programem autonomicznym, który może się przedrzeć przez najlepsze wojskowe zabezpieczenia informatyczne? To teoria Lissy, do której doszła na własną rękę, a Lissa nie została zobowiązana do zachowania tajemnicy.

Niemniej ze względu na kwestie bezpieczeństwa i osobę nowego dowódcy, z którym mam do czynienia, nie był to może najlepszy moment, żeby prosić o przyjazd mojego kontrowersyjnego przyjaciela, działacza na rzecz pokoju -co sprawia, że w głowie zaczyna mi świtać niepokojące podejrzenie. Czy to tylko ja rozmawiałem z Elliotem o drugiej nad ranem? Czy też uczestniczyło w tym coś jeszcze, zachęcając mnie do zadania pytania: „Myślisz, że mógłbyś tutaj przylecieć?”.

- Shelley, jesteś z nami?

Skupiam na nim uwagę.

- Zachowywałem się normalnie podczas naszej rozmowy?

- Taa, całkiem zwyczajnie jak na drugą nad ranem.

Kiwam głową. Nawet jeśli zbuntowany program Lissy istnieje naprawdę, to nie mogę go winić o każdy popełniony przeze mnie błąd. Nie jestem marionetką. W Sahelu podczas każdego incydentu z udziałem króla Dawida miałem wybór, może z wyjątkiem tego ostatniego dnia, kiedy wiedziałem, że musimy uciekać.

To prowadzi do kolejnego pytania, na które Elliot z pewnością zna odpowiedź.

- Co zamieniło walkę w Sahelu w wojnę powietrzną? Wiesz coś o tym?

Prycha.

- Mogłeś zapytać mnie o to przez telefon. Wojna zamieniła się w konflikt powietrzny, gdyż Ahab Matugo wykorzystał wszystkich. Przekonał jakiegoś bogatego przedsiębiorcę wojennego, żeby mu dostarczył dwa myśliwskie shikry z pilotami. Plotka głosi, że obiecał temu dostawcy, że jeśli konflikt się rozszerzy, to sprzeda więcej shikrów obu stronom. Potem jednak, gdy zmiądzzył graniczne forty, zwrócił się przeciwko handlarzom broni i oskarżył ich o eskalację walk, co zapewniło mu zawieszenie broni, podczas gdy zagraniczni uczestnicy zastanawiają się nad tym, czy chcą uczestniczyć nadal w grze, jeśli działania wojenne się nasilą.

- Zostaliśmy więc złożeni na ołtarzu zawieszenia broni?

- W zasadzie tak.

- Oberwał nie tylko fort Dassari, co?

- Nie. Cztery forty. Ale wy byliście pierwsi. Pozostałe ewakuowano, zanim shikry tam dotarły.

Kiwam głową, ponownie wściekły z powodu śmierci Yafiah i Dubeya. Gdybym zaufał był podszeptom Boga, czy też błędzącego autonomicznego programu - bez względu na to, co jest prawdą...

Moje uzalanie się przerywa przybycie trzech żandarmów. Wchodzą przez rozsuwane drzwi i zmiierzają wprost do nas. Interesuje ich Elliot.

- Panie Weber, poproszono nas, żebyśmy wyprowadzili pana z terenu szpitala.

- Z czyjego polecenia? - pyta spokojnie Elliot.

- Panie Weber, proszę po prostu wyjść z nami.

- Jest moim gościem - mówię.

Jeden z żandarmów salutuje.

- Mamy rozkazy, sir.

Zdaję sobie sprawę, że nie mogą podejmować samodzielnych decyzji.

- Nie aresztujecie go?

- Nie, sir. Tylko wyprowadzimy na zewnątrz.

Patrzę na Elliota.

- Czy twoje nazwisko jest na liście ludzi obserwowanych ze względu na interesy bezpieczeństwa narodowego?

- Nie powinno być. Złożyłem pozew, żeby je stamtąd usunąć.

- Dobra, sprawdzę to, ale na razie musisz iść z nimi.

Unosi brwi w zdumieniu.

- Tak po prostu? Tak posłusznie wykonujesz rozkazy?

Sztynnieję.

- Takie jest teraz moje życie. Muszę zadbać o to, żeby działało.
- W tym właśnie problem, Shelley. Nie będzie działało. Jesteś zatrudniony przez przedsiębiorców wojennych, a ich głównie obchodzi, co się z tobą stanie.

Wtrąca się żandarm:

- Panie Weber, musi pan wyjść z nami. Natychmiast.
- Nie - mówi Elliot łagodnie. - Nie wyjdę. Musicie mnie aresztować.
- Nie, Elliot - proszę. - Nie rób z tego cyrku dla mediów.
- Nie martw się, Shelley. To ci nie nabruździ w papierach. Chodzi o zasadę. Zgodnie z procedurą. Żandarmi go aresztują. Jestem pod wrażeniem spokojnego profesjonalizmu obu stron - i

protestującego, i glin.

Nie tak było w Nowym Jorku, gdzie ludzie spotkali się z przemocą, a niektórzy na koniec mieli twarze zalane krwią.

*

Pułkownik Heather Gleason, administratorka Kelly Army Medical Center, chmurzy się, informując mnie:

- To ja kazałam usunąć pana Webera.
- Elliot Weber jest szanowanym dziennikarzem, ma'am. Był moim gościem i nie łamał żadnych przepisów.

Ma dobrze wyćwiczone protekcyjne spojrzenie.

- Poruczniku Shelley, pan Weber jest dobrze znanym wywrotowcem. Jest dla mnie jasne, że wykorzystał pana, żeby wejść na teren szpitala, niewątpliwie po to, żeby poznać stan rannych żołnierzy, takich jak pan, i rozszerzyć swoją antymilitarną kampanię.

- Ma'am...

- To podobni mu tak zwani dziennikarze prowokują akty przemocy przeciwko armii. Jak dotąd czternaście ofiar śmiertelnych w wyniku krajowego terroryzmu, wymierzonego w obiekty wojskowe. Anarchiści, secesjoniści, prawicowi i lewicowi radykałowie wykorzystują gospodarczą stagnację kraju, żeby rozpalić wrogość przeciwko nam.

Koncentruję się na opanowaniu gniewu. Zdecydowanie może mi odmówić prawa przyjmowania wszelkich gości, ale nie zamierzam dać jej pretekstu do tego; nie w sytuacji, gdy ojciec i Lissa siedzą w poczekalni przed drzwiami jej gabinetu.

- Poruczniku, przypominam panu, że jest pan oficerem. Jako taki nie powinien pan zadawać się z wywrotowcami pokroju pana Webera. Usilnie doradzam panu ograniczenie kontaktów z nim oraz jemu podobnymi. Podsumowując: nie cofnę rozkazu. Odmaszerować.

Jak Boga kocham, chciałbym zrobić w tył zwrot i wymaszerować z jej biura. Muszę jednak skłonić fotel, żeby wywiózł mnie na zewnątrz. Pułkownik Gleason wstaje, obchodzi biurko i otwiera przede mną nieautomatyczne drzwi, co pogłębia moje upokorzenie. A robi się jeszcze gorzej.

Oprócz taty, Lissy i recepcjonistki za pulpitem w poczekalni znajduje się też specjalistka Bradford. Na widok pani pułkownik staje na baczność i salutuje sztywno, aż drzwi gabinetu zamkną się ponownie. Potem naskakuje na mnie:

- Poruczniku Shelley! Chce pan, żeby mnie zdegradowano? Doktor Masoud doznał niemal załamania, kiedy się dowiedział, że jest pan zamieszany w naruszenie zasad bezpieczeństwa...

- To nie było naruszenie.

- A poza tym - ciągnie, jakbym nie miał o wiele wyższego stopnia - nie ma pan prawa hulać bez końca po szpitalu. Ma pan leżeć w łóżku. Zalecenie lekarza.

Ojciec wstaje z sofy. Wymieniamy pochmurne spojrzenia. Wiem, co chce powiedzieć, ale nie daję mu do tego okazji.

- To nie była wina Elliota, tato, że wpakowałem się w kłopoty. Byłem głupim dzieciakiem i

podjąłem złą decyzję. Winisz go tylko dlatego, że nie chcesz winić mnie.

- Byłeś głupim dzieciakiem - przyznaje. - Weber powinien był to wiedzieć i kazać ci skasować to cholerne nagranie, ale pozwolił ci je umieścić na popularnej stronie i w ten sposób odebrał przyszłość tobie, Lissie i mnie.

- Nie na zawsze, tato.

- O to się modlę. Nieustannie. Że przetrwasz jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną noc. Że wrócisz do domu.

Nie mogę na to nic odpowiedzieć. Lissa sprawia wrażenie, jakby chciała po prostu wymiksować się z tego. Ratuje nas specjalistka Bradford.

- Muszę... odwiedzić pana do pokoju, sir.

Mój ojciec jest dżentelmenem, nawet jeśli jest wkurzony. Żegna się przy windzie, dając mnie i Lissie parę godzin, zanim będzie musiała jechać na lotnisko. Siedzimy w moim pokoju i rozmawiamy o wszystkim z wyjątkiem tego, co znaczymy dla siebie nawzajem.

*

Budzę się w ciemności.

Nakładka informuje mnie, że jest tuż po północy. Sprawdzam pocztę, mając nadzieję znaleźć jakąś wiadomość od Elliota, który poinformowałby mnie, że został zwolniony, ale niczego nie ma, gdyż odcięto mi dostęp. Żadnych połączeń z siecią zewnętrzną. Tak samo jak w strefie działań wojennych.

To może być pokłosie wizyty Elliota, ale domyślam się, że AI otagowała moją rozmowę z Lissą, tę zawierającą określenia „błądzący program autonomiczny”, „neuroskalp” i „Pace Oversight”, i jakiś żywy człowiek zaczął w końcu tego słuchać. Przepuszczalnie mój dostęp do sieci pozostanie zablokowany tak długo, aż Wywiad dojdzie do wniosku, że nie nastąpiło naruszenie protokołu bezpieczeństwa.

Rano nadal nie mam połączenia z siecią. Jadę w fotelu na kółkach na fizykoterapię, próbując ustalić, komu mam się poskarżyć, kiedy przez link w mojej nakładce, zarezerwowany dla Nadzoru, odzywa się pułkownik Kendrick:

- Shelley. Sala konferencyjna. Natychmiast.

Nie zwraca sobie głowy przedstawianiem się. Nie musi tego robić.

- Tak jest, sir.

Informuję wózek inwalidzki o zmianie planów, ten łączy się z systemem wind szpitalnych i przed upływem dwóch minut wtaczam się do pomieszczenia numer 114. Kendrick przytrzymuje dla mnie otwarte drzwi.

Spodziewani się przesłuchania dotyczącego Lissy albo tyrady na temat mojej przyjaźni z Elliotem, ale się myślę. Pułkownik zamyka drzwi, trzaskając nimi zdecydowanie.

- Udało się panu rozdrażnić rekina.

- Co? Kogo? - Orientuję się, że znam odpowiedź. - Thelmę Sheridan.

Patrzy na mnie jak na robaka, którego trzeba rozdeptać.

- Skąd pan to, kurwa, wie?

- To jej techników aresztowaliśmy w Dassari i to jej ciężarówki wyleciały w powietrze wraz z fortem.

- To niepowodzenie gównu ją obchodzi. Prawdopodobnie nawet nadal o nim nie wie, ale poprosiła o rozmowę z panem. Będzie tutaj za około półtorej minuty.

- Jezu.

- Albo cholernie blisko - przyznaje Kendrick.

- Czego ode mnie chce?

- A czego chcą wszyscy? Pragnie wiedzieć, jak się pan dowiedział o nadlatujących odrzutowcach. Oberwała. Ktoś ją wystawił. Może zhakował, gdyż jej analitykom nie udało się wykryć myśliwców - i wartość giełdowa akcji Vanda Sheridan poleciała na łeb na szyję. Zwykle przedsiębiorcy wojenni stoją

murem za sobą, ale wbiłby nóż w plecy dawnemu przyjacielowi, gdyby można było zbić na tym forszę.

- Co więc pan chce, żebym jej powiedział?

Patrzy na mnie jak na idiotę.

- Prawdę oczywiście.

- Chce pan, żebym jej powiedział, że ktoś lub coś, co wiedziało z wyprzedzeniem o ataku

powietrznym, włamało się poprzez Nadzór do mojego neuroskalpu?

Kręci głową jak człowiek zmęczony życiem.

- Wie pan, że tak właśnie było, poruczniku? Jest pan tego pewny?

- Nie - przyznaję. - To tylko hipoteza robocza.

- A my nie chcemy dezorientować rekina spekulacjami.

- Powiem jej więc, że nie wiem.

- Powie jej pan to i powtórzy tyle razy, ile będzie trzeba, a będzie pan przy tym uprzejmy i czarujący. Pomimo niedawnego niepowodzenia nadal ma dość kasy, żeby kupić wszystko, co zechce.

Absolutnie wszystko... a ma już w Kongresie pluton swoich zombi. Niech więc pan pilnuje swojej niewyparzonej gęby i nie da jej pretekstu do powołania komisji kongresowej.

- Tak jest, sir.

- Powiedziano mi, że nadal bardzo łatwo się pan męczy.

Kiwam głową niezobowiązująco.

- Niech więc pan jej to uświadomi i wypierdala z tego pokoju najszybciej, jak pan zdoła.

Pułkownik wychodzi. Przed upływem minuty drzwi otwierają się ponownie i pojawia się Thelma Sheridan. Kiedy widziałem ją w Dallas-Fort Worth, otaczali ją uzbrojeni ochroniarze, ale dzisiaj jest sama.

Jest wysoka i zmizerowana, ma jasną cerę, płaską twarz i lekko skośne oczy, które płoną nad zapadniętymi policzkami. Obcięte tuż poniżej uszu włosy lśnią metalicznie miedzianą barwą - nie złotą, jak zapamiętałem. Nosi doskonale skrojoną garsonkę. W dekolcie w serek błyszczą złoty krzyżyk. Nie ma wizora, ale odsłuch na prawym uchu i łuk małych mikrofonów tworzących przejrzystą linię na policzku.

- Dziękuję panu za pańską służbę, poruczniku Shelley - mówi takim tonem, jakim sierżant sztabowy mógłby powiedzieć: Siadać, i morda w kubeł!

Przechodzi obok mnie. Jej długie ciało składa się wdzięcznie, gdy siada na sofie. Kolana razem, dłonie złożone na podołku. Mówi dalej, nie przejmując się brakiem odpowiedzi z mojej strony:

- Zważywszy na sposób, w jaki został pan oficerem, przebieg pańskiej służby jest zaskakująco imponujący. Liczba skutecznych akcji powstrzymania przeciwników, za jakie był pan odpowiedzialny w forcie Dassari, jest niemal... niewiarygodna?

Przerywa na chwilę, przyglądając mi się ciekawie. Właśnie oskarżyła mnie o kłamstwo lub sfałszowanie historii bojowej albo o jakąś bardziej ponurą zbrodnię, sprowadzającą się do tego, że zdołałem zabić mnóstwo rebeliantów, unikając jednocześnie śmierci. Spoglądam na nią moim dobrze wypraktykowanym, kamiennym spojrzeniem.

Naciska nieco mocniej.

- Wie pan, i ja to wiem, że na pańską karierę ma wpływ coś więcej niż zwykłe szczęście czy zręczność. Niekiedy Diabeł wynosi nas tylko po to, żeby zrzucić z większej wysokości.

W Dallas-Fort Worth otaczała ją aura grozy. Nadal otacza. Próbuję zmienić kierunek przesłuchania, żeby się stąd wydostać.

- Powiedziano mi, że ma pani do mnie pytania.

- Zdawał pan sobie sprawę z ataku powietrznego, zanim do niego doszło, poruczniku. Kto pana ostrzegł?

- Nie zdawałem sobie sprawy z nalotu, proszę pani. Nie wiedziałem, że nadlatują myśliwce.

- Widziałam wideo z tego zdarzenia. Wiedział pan, że coś się dzieje.

Mówię jej to samo, co mówiłem wszystkim innym:

- Tak, proszę pani. Miałem przeczucie.

- Jest pan jasnowidzem?

- Nic o tym nie wiem.

- Biblia nakazuje nam: „Nie znajdzie się pośród ciebie nikt, kto by uprawiał wróżby i czary”.

Księga Powtórzonego Prawa, 18,10.

Kilka przemądrzałych odpowiedzi walczy ze sobą o pierwszeństwo wypowiedzi, ale Kendrick polecił wyraźnie, żebym nie wkurzał Sheridan. Trzymam się swojego kamiennego wyrazu twarzy.

- O ile wiem, nigdy nie zajmowałem się wróżbami ani czarami, proszę pani.

- Jest pan wykorzystywany, poruczniku. Nie wiadomo, w jakim celu, ale po świecie hula swobodnie jakaś siła ingerująca w ludzkie sprawy. Zbudowaliśmy jej dom, kiedy stworzyliśmy Chmurę. Teraz porusza się wśród nas, przenikając każdy konflikt, każdą transakcję, obserwując, manipulując... i wcale nie ma na uwadze naszej pomyślności.

Włoski na karku stanęły mi dęba. Właśnie potwierdziła teorię Lissy, ale ta usłyszana z ust Sheridan niesie współczynnik szaleństwa, który sprawia, że pragnę uciec z pokoju.

- Proszę pani - odzywam się ochryplym głosem. - Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Spojrzenie ma płomienne. Nie mruga.

- Myślę, że pan wie. Ta siła wybrała sobie narzędzia, a pan jest jednym z nich, poruczniku Shelley. Narzędziem jednorazowego użytku, do wykorzystania i wyrzucenia.

Szukam ucieczki w tym, czego żałuję.

- Jestem oficerem w wojsku, proszę pani. To wszystko.

Równie dobrze mogłem się nie odzywać. Stuka się palcem w głowę, blisko kącika oka.

- Ja też byłem narzędziem. Nosiałam wizor. Główne serwery mojej firmy były połączone z Chmurą. Ale zhakowano nas. Subtelnie. Zostaliśmy spenetrowani w sposób niepozostawiający śladów, skradziono nasze prywatne dane, po czym wykorzystano je przeciwko nam. Przeciwko panu. Skutkiem zbiegu okoliczności naszym analitykom nie udało się wykryć transferu dwóch myśliwców odrzutowych do arsenału Ahaba Matugo, a nasze satelity nie wypatrzyły ich na ziemi. W wyniku tego Vanda-Sheridan nie wydała ostrzeżenia.

Nie, w wyniku tego fort Dassari wyleciał w powietrze, a Yafiah i Dubey obrócili się w popiół... ale nie mówię tego na głos, gdyż chcę, żeby ta rozmowa dobiegła końca.

- Wykrycie tego to zadanie dla Wywiadu, proszę pani.

- Diabeł otacza pana swoją opieką, poruczniku, ale nie zawsze tak będzie. Proszę wyznaczyć, co pan wie, niech pan zrzeknie się swojego daru, odetnie od Chmury, która jest jego domem, i stanie w obronie świata, który dał nam Bóg. Gdyż Diabeł jest wszędzie. Jest plamą krwawej czerwieni, która przenika wszystkie sprawy Człowieka, a wojsko nie jest w stanie pana obronić.

Przełykam z trudem, nieprzywykły do podobnego natężenia szaleństwa.

- Jeśli to wszystko, proszę pani.

Kiwa głową i wstaje. Potem przypomina sobie, żeby mi wręczyć wizytówkę. Biorę ją, gdyż to wymaga mniejszej liczby słów niż odmowa.

- Dojdzie do rozrachunku — ostrzega mnie. - Niech pan się upewni, że stoi po właściwej stronie.

Wyprostowana wychodzi z pokoju, stukając obcasami o podłogę; rekin odpływa, żeby terroryzować inną płotkę. Jest przedsiębiorcą wojennym dysponującym niezmiernym bogactwem, większym od zasobów wielu krajów, ma dostęp do wyrafinowanych systemów broni... i staje do walki z informatycznym straszidłem, które być może nawet nie istnieje.

Mrugam, gdy monitor na ścianie budzi się do życia. Patrzy na mnie pułkownik Kendrick.

- Wygląda pan jak jeleni złapany w światła reflektorów, Shelley. - Pokazuje w uśmiechu zęby. - To,

co pan właśnie usłyszał, to wariacka desperacja. Vanda-Sheridan przeżywa ciężkie chwile, próbując dotrzymać kroku globalnemu rynkowi.

- W jej wyobrażeniu to wojna religijna, sir. Diabeł ha-kuje ludzkie systemy.

- Niemal z całą pewnością mogę panu zagwarantować Shelley, że to nie Diabeł włamuje się do pańskiej głowy, Niech pan bez potrzeby nie demonizuje wroga. Wywiadowi podoba się to, w jaki sposób myśli pańska dziewczyna. Zawierają kontrakt z Pace Oversight, żeby się przekonać, co z tego wyjdzie, ale do obecnych danych najlepiej pasuje to, że w najgorszym razie mamy do czynienia z półautonomicznym programem zaprojektowanym w celu hakowania naszych żołnierzy - i zdecydowanie zamierzamy się go pozbyć. Odmaszerować.

- Sir!

Marszczy z niecierpliwością brwi.

- Moja nakładka...

- Została wyłączona na mój rozkaz do czasu, aż zwiększymy bezpieczeństwo. Wydadzą panu standardowy tablet. Przekonajmy się, czy umie się pan nim posługiwać.

Jego obraz znika.

- Kurwa.

Nienawidzę tabletów, trudno się nimi posługiwać. Nawet te obsługiwane wzrokiem wymagają jednej wolnej ręki; ekrany dotykowe wymagają dwóch. Nie podoba mi się także kwestia ich zabezpieczenia, gdyż obraz na ekranie może zostać skopiowany przez każdą dobrze ustawioną kamerę.

- Wizor byłby lepszy, sir! - mówię do ściany.

Oczywiście nikt nie odpowiada, więc wyrzuciwszy wizytówkę Sheridan do najbliższego kosza na śmieci, kieruję się do drzwi... za którymi natykam się na czekającego na mnie w korytarzu Elliota.

Jestem zaskoczony jego widokiem, ale żandarmeria musi wiedzieć, że jest tutaj; jego obecność została zarejestrowana, kiedy przekroczył drzwi Kelly AMC.

- Dostałeś nakaz sądowy? — pytam go.

Elliot uśmiecha się i unosi oba kciuki .

- Gdybyś sprawdził pocztę, tobyś wiedział.

- Nie mogę. Moja nakładka jest ponownie wyłączona.

Elliot ma do czynienia z system prawnym od bardzo dawna. Wie, jak działa, wykorzystuje go, żeby załatwić to, co chce, i iść tam, dokąd chce... i wie dosyć, żeby nie przekroczyć nigdy granicy - chociaż lubi może nakłaniać innych ludzi, żeby to zrobili. Tak uważa mój tata. I to ojca mam na myśli, gdy mówię do Elliota:

- Wiem, że prosiłem cię, żebyś tutaj przyleciał, ale to był zły pomysł.

- Naciskają na ciebie?

Nie chcę tego przyznać, więc tylko wzruszam ramionami, ale wiem, że żaden nakaz sądowy nie powstrzyma administratorki szpitala od zabronienia mi przyjmowania gości, jeśli będzie niezadowolona z obecności Elliota.

- Wyprostowałem sytuację - zapewnia mnie. - Naprawdę. W zamian za obietnicę, że nie złożę pozwu, otrzymałem prawo do odwiedzania cię w czasie twojej rehabilitacji - w celu napisania historii o prawdziwym człowieku z *Mrocznego patrolu*.

- Daj spokój. Powiedziałem ci, że nie chcę udzielić wywiadu.

- Jasne, wiem. Potrzebuję tylko trochę materiału wideo. To pretekst, żeby być tutaj.

- Posłuchaj, muszę iść. Mam fizykoterapię.

Nie ukrywam swojej irytacji, ale Elliot udaje, że tego nie dostrzega.

- Pójdę z tobą. To się przyda jako materiał zdjęciowy.

Mój fotel jedzie, a Elliot idzie obok.

- Wiesz, kogo widziałem po drodze tutaj? — pyta. — Thelmę Sheridan. Wychodziła stąd. No, to

jest wywiad, który chciałbym zrobić.

Po plecach przebiega mi dreszcz. Nie mogę poskromić chęci obejrzenia się przez ramię, częściowo spodziewając się widoku czerwieni przesączającej się przez ściany.

- Wiesz, kim ona jest, prawda? - ciągnie Elliot. - Van-da-Sheridan? Przedsiębiorca wojenny, do którego należały ciężarówki z *Mrocznego patrolu*?

- Tkwi po uszy w szaleństwie.

Spogląda na mnie z zadumą, gdy wsiadamy do windy.

- Możliwe. Człowiek musi być niemal szalony - obsesyjny, zdeterminowany, obłąkany w dążeniu do celu - żeby w takim stylu wejść na szczyt. Zdrowi psychicznie ludzie nie mogą dotrzymać mu kroku.

Winda zatrzymuje się i wsiada do niej dwóch cywilów, a Elliot zaczyna zaznajamiać mnie z tym, o czym sądzi, że powinienem wiedzieć.

- Thelma może być nieco bardziej spięta niż zwykle, gdyż akcje Vanda-Sheridan dołączają. Jedną z ich specjalności są satelity szpiegowskie oraz wyrzutnie równikowe do umieszczania ich na orbicie. Ostatnio mają jednak problemy. Niesprawne rakiety. Satelity wyłączają się w tajemniczy sposób. Gubią się dane. Z powodu tego, co zaszło w Dassari, departament obrony złożył pozew przeciwko nim.

Winda przystaje ponownie. Mój wózek uznaje, że jesteśmy na właściwym piętrze. Elliot wysiada ze mną i dodaje:

- Jeśli Vanda-Sheridan nie przekupi odpowiednich sędziów, mogą stracić kontrakt.

Przebiega mnie dreszcz; uderzam w przycisk zatrzymujący fotel.

- Te ciężarówki Vanda-Sheridan... wiozły sprzęt do budowy ruchomych wież radarowych. Powinny były zostać uruchomione tego dnia, kiedy nadleciały shikry, ale nie doszło do tego, bo aresztowałem techników.

A jeśli moje spotkanie z pedofilami w cieniu drzew nie było przypadkiem? Jeśli był to jeden z owych niewytłumaczalnych zbiegów okoliczności, o jakich mówiła Lissa? Diabeł nie miałby obiekcji co do prostytuowania dziewczynek, żeby opóźnić wzniesienie wieży radarowej.

Podnoszę wzrok na Elliota.

- Gdyby ta wieża działała, wiedzielibyśmy o nadlatujących samolotach.

- Nie możesz się o to winić.

Może i nie, ale jeśliby poderwano myśliwce obrony lub wystrzelono rakiety, Vanda-Sheridan mogłaby nadal radzić sobie dobrze na giełdzie.

Ujmuję głowę w dłonie, przekonany, że tracę zmysły. Elliot kuca obok mnie.

- Nic ci nie jest, Shelley?

Zmuszam się, żeby usiąść prosto. Elliot nie słyszał o przesączającej się przez wszystko czerwonej plamie; nie zna teorii Lissy.

- To pierdolony efekt motyla - mówię. - Gdybym nie stracił kontaktu z aniołem, Nadzór wycofałby mnie, nie aresztowałbym tamtych techników, a mój oddział byłby w tej chwili na patrolu.

*

Być może podsunąłem Elliotowi temat do rozmyślań, gdyż po spędzeniu zaledwie kilku minut w sali fizykoterapii uznaje, że musi coś sprawdzić, i wychodzi.

Później jem z ojcem lunch w kafeterii, gdzie odnajduje mnie sierżant z kwatermistrzostwa. Wydaje mi obiecany tablet - urządzenie wielkości dłoni, z załadowanymi wcześniej moimi danymi i domeną wojskowej poczty.

- Nie przegapię więc żadnych istotnych powiadomień dotyczących modyfikacji umundurowania lub liczby zwierząt dozwolonych w obiektach wojskowych - mówię tacie.

- Mogę do ciebie dzwonić na to ustrojstwo?

- Taa, mają adresy wojskowe i cywilne.

Wysyłam numer jemu i Lissie, a potem konfiguruję tablet z moimi cywilnymi kontami. Kiedy to jest

załatwione, składam zamówienie na nowe umundurowanie.

- Kolejny ekscytujący dzień w Kelly AMC.
- Możesz się nudzić przez długi, bardzo długi czas -oświeca mnie tata.
- Jesteś pewny, że tego dla mnie chcesz? Wiesz, że to nigdy nie wychodzi na dobre.

Skinieniem głowy przyznaje mi rację.

- Wracam do Nowego Jorku, Jimmy. W biurze rozgrywa się jakiś dramat. Muszę tam być.

Nie jestem zaskoczony.

- Pewnie mamy szczęście, że pozwolili ci zostać tutaj tak długo. Tato... chcę, żebyś wiedział, że cię kocham i naprawdę jestem wdzięczny, że jesteś tutaj i przechodzisz ze mną przez to wszystko.

Chwyta mnie za ramię.

- Uważaj na siebie i wpadaj do domu. To wszystko, o co proszę.

*

Informacje krążą w tajemniczy sposób. Dowodzi tego Lis-sa, kiedy dzwoni do mnie po południu, budząc mnie z chaotycznego snu, w którym Ransom mówi mi, że jestem oblubieńcem Boga, a shikry pikują na nas obu. Wdzięczny za obudzenie, przykładam telefon do ucha.

- Cześć, kochanie.

Nie słyszę w odpowiedzi żadnych miłych słówek, tylko wyzwanie:

- Wiem, z kim rozmawiałaś dziś rano.

Ogarnia mnie poczucie winy, ale jestem wciąż przymulony, więc muszę przejrzeć listę w głowie. Był mój ojciec, fizykoterapeuta, Elliot, Kendrick...

- Z Thelmą Sheridan - mówi Lissa.

Siadam prosto, serce wali mi jak młotem. Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć, ale Lissa nie potrzebuje tego.

- Moja szefowa rozmawiała przez telefon z przedstawicielem Vanda-Sheridan. Odkryli, że Pace Oversight negocjowało kontrakt badawczy z wojskiem. Wiedziałaś o tej umowie?

Kendrick wspomniał mi o tym, ale nie powinienem przekazywać tego, co powiedział.

- Zakładam, że wiesz — mówi niecierpliwie. — Vanda -Sheridan chce w to wejść. Moja szefowa nie była zainteresowana, ale trzymała ich przedstawiciela przy telefonie wystarczająco długo, żeby się przekonać, że tamci opracowują teorię podobną do naszej. Sądzę więc, że moja hipoteza nie jest taka szalona, jak ci się zdawało.

Muszę być z nią szczery.

- To, co się dzieje w Vanda-Sheridan, nie stanowi wzorca zdrowia psychicznego.

Obdarza mnie cichym śmiechem.

- Dobra, nie mogę temu zaprzeczyć. Przedstawiciel Vanda-Sheridan zmiękł, kiedy zrozumiał, że moja szefowa nie zamierza dopuścić ich do gry. Zagroził, że poinformują wojsko, że Pace Oversight jest narażone na szwank z powodu mojego związku z tobą.

- Twoja szefowa wie o nas?

- Oczywiście. Powiedziała ich przedstawicielowi, żeby robił, co uważa za słuszne, i rozłączyła się.

Po pięciu minutach odbiera telefon od oszalałego łącznika z wojskiem, który mówi, że Thelma Sheridan groziła ci w czasie waszej rozmowy, że istnieją dalsze obawy związane z bezpieczeństwem i że w żadnym wypadku nie powinniśmy dopuścić do tego, żeby Vanda-Sheridan uczestniczyła w kontrakcie.

Szokuje mnie, że wojsko ujawniło tak wiele.

- Są zdecydowani zablokować twoje badania.
- Bardzo by chcieli, ale nie bierzemy tej umowy.
- Co? Dlaczego?

- Pace Oversight chce wyłączności na wszystko, co odkryjemy. Jeśli istnieje program błędzący, to działa poprzez Chmurę, zatem to nie jest sprawa wyłącznie wojskowa. Zdaniem mojej szefowej, jeśli

przeprowadzimy badania samodzielnie i jeśli uda się nam odkryć, jak i dlaczego działa zbuntowany program, będziemy w stanie przekuć tę wiedzę na ogromne pieniądze.

Absolutnie nie podobają mi się implikacje tego, co słyszę.

- To o to chodzi, Lisso? O forszę?

Zanim odpowiada, kilka sekund upływa w milczeniu.

-Tak. W Pace Oversight tak. To wizja pieniędzy pozwoli mi wykonać tę robotę, a ja chcę to zrobić.

Chcę wiedzieć, co się dzieje. Chcę to zrozumieć.

- Co to oznacza dla ciebie i dla mnie?

- To, że nie będę pracowała w ramach umowy z wojskiem, więc nie pójdę do więzienia, jeśli

powiem ci, co odkryłam. - Ponownie ten cichy śmiech. - Mogę jednak zostać wyrzucona z roboty.

- I stracić całą tę forszę.

- W twoim wypadku, Shelley, nigdy nie chodziło o pieniądze.

*

Następnego dnia w moim pokoju zjawia się szpitalny portier. Zerka nieśmiało zza drzwi.

- Poruczniku?

To młodziak, ma może dziewiętnaście lat. Cywil, więc nie muszę zwracać sobie głowy ceremoniałem.

- Cześć. Co cię sprowadza?

Wsuwa się do pomieszczenia.

- Widziałem pana w *Mrocznym patrolu*. To był pan, prawda?

- Taa, ja. - Pierwszy raz ktoś ze szpitala wspomina o programie.

- Bardzo mi się podobał. Dał mi do myślenia, wie pan?

Mam całkiem jasny pogląd, dokąd to zmierza, i nie podoba mi się to.

- To, czego pan tam dokonał - ciągnie. - To ważne. Liczy się dla ludzi. Chcą w tym uczestniczyć.

- Ludzie tam umierają - przypominam mu.

Wzrusza kościstymi ramionami.

- Ludzie umierają też tutaj, w starym, dobrym San Antonio. W zeszłym roku zastrzelił się mój brat.

Parę miesięcy temu dwoje moich przyjaciół zginęło w wypadku samochodowym. Chcę stąd wypierdalać i naprawdę żyć, zanim umrę.

Mówi mi, że zapisał się już na egzaminy dla rekrutów, więc życzę mu powodzenia.

Po tym zdarzeniu wiadomość o *Mrocznym patrolu* się rozprzestrzeniła. Po kilku dniach mogę przysiąc, że widział go cały personel szpitalny i połowa pacjentów. Oberwało mi się nie raz za mój cynizm i antywojenne tyrady, ale program bardzo poruszył większość ludzi. Jeśli wojsko stworzyło go, żeby poprawić swój wizerunek, to *Mroczny patrol* trzeba zaliczyć do sukcesów.

Niepokoi mnie jednak, iż ludzie przyjmują moją pre-kognicję jako dar, błogosławieństwo, nadnaturalną umiejętność. Nikt tego nie kwestionuje; nie bardziej, niż ja to robiłem w terenie. Kiedy personel pielęgniarski zaczyna nazywać mnie królem Dawidem, postanawiam skopać Ransomowi tyłek, jeśli kiedykolwiek jeszcze go spotkam.

- Wie pani - jęczę do specjalistki Bradford - właśnie skończyłem czytać historię króla Dawida...

- Co pan powie, poruczniku! - entuzjazmuje się z sarkazmem, zmieniając mi opatrunki na nogach. -

Naprawdę poświęcił pan czas na czytanie Biblii?

- Tak. I nie ma tam ani słowa o tym, żeby Dawidowi urwało nogi.

- Dawid słuchał Boga. Nie był taki uparty jak pan. Nie ociągał się. Musi pan otworzyć serce przed Bogiem, poruczniku. Poprawić się i szybować wysoko, gdyż każdy widzi, że On ma plany wobec pana.

- Myślałem, że Bóg ma plany wobec wszystkich.

- Oczywiście, że tak. Ale posługuje się panem, żeby dotrzeć do milionów innych.

- Taa. I to mnie martwi. Bardzo.

*

Lissa telefonuje co wieczór. Sporządza model Boga albo przynajmniej odcisków Jego stóp w Chmurze. Mówi mi, że Thelma Sheridan ma ważne powody, żeby wpaść w paranoję.

- Z jej firmą dzieją się naprawdę dziwne rzeczy. Wiedziałeś, że jest żoną byłego najemnika?
- Zalewasz.

- Taa. Od dwudziestu lat. To ona jest mózgiem i motorem Vanda-Sheridan, ale Carl Vanda... - Lissa przerywa. - To brzmi jak teoria Elliota, ta, o której zawsze gadacie, o wielkich przedsiębiorcach, którzy się zbierają i tworzą własne rynki zbytu.

- Wywołując kolejną wojnę.
- Tak. Branżowa plotka głosi, że w firmie to jest rola Carla Vandy. Lub była. Cztery tygodnie temu uczestniczył w kraksie lotniczej. Awaria silnika, spowodowana drobnym niedopatrzeniem podczas przeglądu. Złamał sobie kręgosłup. Doznał poważnych obrażeń organów wewnętrznych. To było dokładnie w czasie...

- Czekaj. Daj mi zgadnąć. Dokładnie wtedy, gdy Ahab Matugo położył łapę na shikrach?
- Bingo! To mógł być przypadek, że Carl Vanda został usunięty ze sceny w tak krytycznej chwili...
- Kolejny z tych dziwnych zbiegów okoliczności, o jakich mi opowiadałaś?
- Właśnie. Przez jakiś czas będzie dochodził do siebie.

Rzecz nie dotyczy tylko Vanda-Sheridan. Lissa widzi skutki wszędzie wokoło.

- Mogą być pozytywne lub negatywne - mówi. - Zaczynam jednak uważać, że w pewnym stopniu dotyczą każdego. Nie musimy tego zauważać, gdyż w stosunku do większości ludzi to działanie jest subtelne...

- Nie wobec mnie.
- Jasne, ale dzięki reality show wzmacnia twoje znaczenie, wykorzystując twoją historię do wpływania na miliony innych.

Słucham dudnienia swojego serca.

- Lissa? Nie jesteś pierwszą osobą, która mi to mówi. Carol Bradford powiedziała dokładnie to samo. Sądziś, że to błędny program włożył te słowa w jej usta? Uważasz, że podsunął ci tę myśl?

Następuje chwila milczenia. Potem Lissa się odzywa:

- Łatwo wpaść w paranoję, rozmawiając o takich sprawach... ale na świecie jest nieskończona liczba zmiennych, przypadek zawsze odgrywa rolę. Nie jesteśmy marionetkami. Ale jeśli nawet program manifestuje się jedynie od czasu do czasu, żeby sfabrykować dziwny zbieg okoliczności, to wystarczy tego, żeby wpłynąć na los ludzi. To znaczy wszyscy mamy jakiś obraz samych siebie, prawda? Sądzę, że program wpływa na to wyobrażenie, wykorzystując nasze przekonania, nadzieje, oczekiwania, dając każdemu z nas szansę zabłyśnięcia w naszej prywatnej historii.

Patrzę chmurnie na tytanowe nogi, wyciągnięte bez życia na łóżku.

- Ja nie błyszcę.
- To jeszcze nie koniec, skarbie.

Możliwe, że nie dla mnie. Ale koniec dla Yafiah, Du-beya, dla wszystkich tych bezimiennych zwłok, które wysłałem na wioskowy cmentarz. Dlaczego ich los nie miał znaczenia?

W rogu mojego pola widzenia budzi się ikona neuro-netki.

Prawdę mówiąc, nie chcę błyszczeć. Uważam, że kiedy Bóg snuje plany, lepiej się trzymać z dala.

*

Po czternastu dniach doktor Masoud dokonuje drobnego zabiegu chirurgicznego polegającego na usunięciu rurek, które do tytanowo-kostnego interfejsu w moich udach dostarczały mieszaną hormonów wzrostu i środka paraliżującego. Kiedy zszywa drobne rany, paraliż farmakologiczny zaczyna ustępować. Pierwszy raz od ocknięcia się w szpitalu czuję w udach lekki ból. Napinam okaleczone mięśnie i czuję, że twardnieją. Nie jest to nic wielkiego, ale po tylu dniach bez żadnego wrażenia, że nogi należą do mnie,

jestem szczęśliwy.

- Nie nałożę już opatrunków gipsowych - mówi Masoud. - Nie są dłużej potrzebne. Proces gojenia jest mocno zaawansowany, kikuty są suche, a naskórek wrósł.

- Więc jestem uzdrowiony?

Uśmiecha się.

- Przeszedł pan długą drogę.

Próbuję unieść jeden kikut. Jest ciężko. Mięśnie są słabe z powodu nieużywania, ale udaje mi się oderwać udo od podłoża na jakiś cal. Robocie nogi ciągną jak balast.

- Nadal nie działają.

- Będą działać - obiecuje Masoud z ojcowskim uśmiechem. Oczy ma jasne. Wiem, że marzy o swojej Nagrodzie Nobla.

Następnego dnia idę na spotkanie z moim stwórcą.

Joby Nakagawa jest inżynierem, który zaprojektował moje nogi. W szpitalnym podziemiu, naprzeciwko kostnicy, ma wielki pokój zabaw, znany także jako laboratorium. Doktor Masoud stoi w wejściu, czekając na mnie, gdy wytaczam się z windy.

- Proszę, proszę - popędza mnie niecierpliwie. - Czekają na pana sporo zaciekawionych obserwatorów.

Nie żartuje. Zgromadził się tutaj niewielki tłum - co najmniej dwanaścioro ludzi, wszyscy elegancko ubrani. Stoją w grupkach po dwoje, troje, wnosząc swój wkład do szumu rozmów, który cichnie ze zdumiewającą szybkością, kiedy wjeżdżam do pomieszczenia. Wszyscy odwracają się, żeby na mnie spojrzeć. Jediną znaną mi osobą jest pułkownik Gleason, administratorka Kelly AMC. Pozostałych uznają za akademików lub kierowników korporacji. Kilkoro pozdrawia mnie słowami bądź uśmiechami. Inni wyglądają na spiętych.

W pomieszczeniu zdecydowanie wyczuwa się nastrój podniecenia.

Z sufitu nad moją głową zwieszają się modele samolotów, sterowców i statków kosmicznych, a pod ścianami lśnią stelaże z cybernetycznymi częściami ciała, czarnymi i szarymi. Kolejne mechaniczne części zagracają stoły warsztatowe stojące z boku pomieszczenia. W rogu cicho szumi drukarka 3D, wykonując jakiś projekt, którego nie widzę.

Doktor Masoud wiezie mnie obok widzów ku rozległemu, puszystemu, beżowemu dywanowi. Otaczają go trzy kamery na trójnogach. Po przeciwnej stronie stoi odchylna ode mnie konsola, nie widzę więc wirtualnej klawiatury. Pod sufitem podwieszony jest monitor. Zarówno konsola, jak ekran znajdują się na takiej wysokości, że można się nimi posługiwać na stojąco.

Za konsolą stoi niski mężczyzna. Wzrok ma skupiony na monitorze, a jego dłonie unoszą się i skaczą nad klawiaturą. Ma jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, ale jego atletyczna budowa ujawnia czas spędzony na siłowni. Nie wygląda na więcej niż trzydzieści lat. Pochodzenie ma mieszane - częściowo japońskie, zgodnie z nazwiskiem, i może skandynawskie, po przodkach z drugiej strony. Włosy ma blond, niemal pozbawione koloru, tak jak zarost na policzkach, a cerę tak bladą, iż podejrzewam, że nie wychodzi nigdy na tekszańskie słońce; pod azjatyckimi powiekami lśnią zielone oczy.

- Joby? - odzywa się Masoud z wahaniem. - To jest porucznik Shelley.

- Taa, domyślam się - warczy Joby.

Stuka nadal bezgłośnie w klawiaturę, podczas gdy wszyscy przyglądają się mu - małemu księciu przykuwającemu uwagę oddanej publiczności.

Już go nie lubię.

Oglądam się, żeby spiorunować wzrokiem Masouda.

- Powiedział pan, że stanę dzisiaj na nogach.

- Najpierw musimy pana uruchomić - odzywa się Joby. Pisze jeszcze przez chwilę, a potem spogląda w górę z psotnym uśmiechem. - Jestem gotowy. A pan?

- Co pan musi zrobić? - pytam podejrzliwie.

- Tylko przerzucić włącznik. Masoud kierował wrastaniem nerwów w pańskie nogi. Powinien pan być mniej czy bardziej zintegrowany z systemem mechanicznym. W każdym razie - wzrusza ramionami - możemy spróbować.

-I nogi będą działać? Będę mógł nimi poruszać?

- Miejmy nadzieję. - Podnosi ręce, trzymając rozcapierzone palce nad konsolą. - Gotów?

Joby nie napawa mnie otucha, ale moja cyborgizacja zaszła zbyt daleko, żeby się wycofać.

- Taa, jestem gotów. Niech pan robi swoje.

- Super. - Jego ręce opadają jednocześnie ku konsoli, ale potem się wstrzymuje. - Przypuszczalnie powinienem pana ostrzec, że nie robiliśmy jeszcze tego z człowiekiem.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, z sadystycznej antycypacji w jego oczach poznaję, że mam przerąbane. Próbuje zaprotestować, ale zanim jestem w stanie wydobyć z siebie choćby jedną sylabę, Joby dotyka palcami klawiatury.

Paraliżujący ogień strzela z moich ud do bioder, a ja z krzykiem składam się wpół na skutek gwałtownego i bolesnego skurczu, wypadam z fotela na kółkach i zwijam się w pozycji embrionalnej na dywanie, skamłając, gdyż brakuje mi tchu, żeby nadal krzyczeć, gdy ogień strzela w górę kręgosłupa...

...i odpływa.

Biodra i plecy nadał bolą - kłające, przykre skurcze -ale to jest do zniesienia. Przez chwilę dyszę, dławię się i szlocham, zagłębiając palce w dywan. Ikona neuronetki lśni, gdy biorę się w garść i rozwijam supeł ciała.

- Co to, kurwa, było? - szepczę, podczas gdy tłumek obserwatorów gada szaleńczo.

Podciągam się do pozycji siedzącej i nie myśląc o tym, zginam lewe kolano, a potem prawe. Wszyscy milkną. To wtedy się orientuję, co właśnie zrobiłem. Zamieram, patrząc zszokowany na robocie kolana, a Joby drapie się po głowie i mówi:

- Ups! Natężenie sygnału było odrobinę za duże.

- Dupek! - warczę.

Ale nie potrafię odwrócić wzroku od moich cybernetycznych kolan. Działają. A także bolą. Czuję przenikliwy ból mechanicznych stawów, a tytanowe nogi rwą jak przy zespole sztywnej łydki.

Najchętniej wiłbym się z bólu. Zamiast tego prostuję lewą nogę i zginam ponownie. To samo robię z prawą kończyną. Obserwatorzy mruczą, ale ignoruję ich, skupiając się na zginaniu robocich stóp.

Ruch, jaki wykonują, nie przypomina ludzkiego.

Stopy okazują się tytanową układanką, podzieloną w dwóch kierunkach. Prostuję je, a wtedy ich elementy tworzą pięć długich segmentów ułożonych wzdłuż linii brakujących kości. Kiedy podkulam palce, podłużne elementy schodzą się, momentalnie i bez śladów łączeń, a stopa zgina się wzdłuż poprzecznych linii podziału... Podwija się tak dalece, iż paluchem dotykam spodu pięty.

Powtarzam to kilka razy, żeby się przekonać, że nie jest to złudzenie wywołane bólem. Pot zalewa mi oczy. Wycieram go wierzchem dłoni. Wycieram twarz przemoczonym rękawem T-shirtu i orientuję się, że cały się pocę. Nawet rękaw monitorujący na przedramieniu pociemniał od wilgoci.

Moja publika milknie. Kiedy podnoszę wzrok, kilkoro obserwatorów jest na tyle przyzwoitych, żeby sprawiać wrażenie zszokowanych, natomiast reszta, w tym doktor Masoud, czeka z zapartym tchem, jakby w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach byli pewni, że trafili zwycięski los na loterii.

Joby jest jedyną osobą w pomieszczeniu, która nie patrzy na mnie. Zajmuje się swoją klawiaturą; skupiony wzrok wlepia w monitor zawieszony nad konsolą.

- Joby - warczę - co miałeś, kurwa, na myśli, mówiąc, że nie próbowałeś tego nigdy z człowiekiem?

Przestaje klikać i patrzy na mnie; brwi ma uniesione w grymasie, który można zinterpretować jako przeprosiny.

- Ktoś musiał być pierwszy. Okazuje się, że napięcie różniło się dziesięciokrotnie. - Zadziera głowę. - Możesz wstać?

Zastanawiam się nad tym i dochodzę do wniosku, że podniesienie się to jedyny sposób, żebym mógł dotrzeć do niego na tyle blisko, by go udusić. Stawiam stopy płasko na podłodze. Ich segmenty zwierają się w obu osiach, dając mi solidną podstawę. Odpycham się dłońmi od dywanu, aż tyłek odrywa się od podłogi.

Kucam na robocich nogach.

Zdają się tak mocno zwarte, jakby to był odlew, tak sztywne, jakby nie dało się ich ruszyć. Czuję przenikliwy dreszcz paniki, gdy dociera do mnie, co mogłoby się stać gdyby te nogi kosmity zablokowały się kiedyś naprawdę., albo poruszały się wbrew mojej woli. Pomimo bólu nie są częścią mnie.

- Dosyć - mówi doktor Masoud. Podchodzi do mnie z wyciągniętymi rękami, jakby zamierzał przytrzymać mnie w parterze. - To za wcześnie, poruczniku Shelley.

- Nie dotykaj mnie - ostrzegam go i wstaję.

Próbuję wstać.

W istocie przewracam się na plecy. Gruba wyściółka pod dywanem ratuje mnie przed rozłupaniem sobie czaszki, ale i tak jest tego blisko. Jęczę, gdy Masoud szczeka:

- Dostyć! Wyłącz go, Joby. To nie zabawa.

Jestem cholernie pewny, że nie. To moje życie.

- Zostaw to! - Przewracam się na brzuch. - Nie wyłączysz mnie, doktoru. Nigdy! Nie tak brzmi umowa.

Podpieram się ramionami. Podciągam nogi pod siebie, zginając kolana, moje robocze stawy. Przyjmuję tę samą pozycję co poprzednio.

Masoud wisi nade mną.

- Jimmy...

- Nie jesteś moim ojcem. Nie nazywaj mnie Jimmy.

- Poruczniku, musi się pan nauczyć posługiwać tymi protezami. To nie to samo co nogi, które pan stracił...

- Sądzę, że już do tego doszedłem.

- Jeden niewłaściwy ruch i może pan poważnie się zranić...

Przerywa, gdy próbuję ponownie wstać. Tym razem robię to powoli, ostrożnie. Moje uda - to, co z nich zostało - drżą z wysiłku. Stawy biodrowe wydają się tak słabe, jakby miały się poddać. Ale kolana i kostki... wydają się solidne. Stabilne i mocne. Zablokowane w odpowiedniej pozycji.

Stoję.

Czuję się jak olbrzym.

Muszę być co najmniej o pięć centymetrów wyższy, niż byłem.

- Kurwa mać - mówi Joby z krzywym uśmiechem. - Naprawdę jestem dobrym inżynierem ciała.

Jest dobrym inżynierem, ale i tak go nienawidzę.

- Słuchaj, Joby, kiedy nauczę się chodzić, to cię uduszę. Co ty na to?

Jego uśmiech się poszerza.

- Powinienem cię wyłączyć? - zastanawia się. - Czy podkręcić napięcie?

Rzucam się ku niemu.

Wyłącza mnie.

*

Doktor Masoud jest wściekły.

- Zdaje pan sobie sprawę, ile forsy w pana zainwestowano? Jak dużo badań? Ile przyszłych losów zależy od rezultatów pańskiego przypadku?

Siedzę na stole w ambulatorium, przyciskając zakrwawiony gazowy wacik, służący jako tymczasowy opatrunek, do rozcięcia na skroni, którego się dorobiłem, gdy moja głowa odbiła się od krawędzi konsoli Joby'ego. Mały paw kocha swoją władzę. Załatwił mnie, zanim zdołałem się do niego zbliżyć. Nie cieszy mnie to, ale mój kwaśny humor nie może równać się z nastrojem Masouda. Jest taki wściekły, że w powietrzu lata plwocina. Dosłownie. Czuję krople na policzku.

- Nie ma pan pojęcia, na co pana stać - mówi głosem, który dudni w ciasnym pomieszczeniu. - Żadnego. Nie ma pan pojęcia, czym się pan stał!

Mam wrażenie, że stłukłby mnie, gdyby mu uszło to na sucho. Zaczynam się nawet martwić o jego żonę oraz dzieci i o to, przez co przechodzą, ale kiedy oczyszcza ranę, a potem skleja jej brzegi, jego wielkie dłonie są lekkie jak piórko. Kontrast jest surrealistyczny.

Masoud i moja cywilna fizykoterapeutka. Jen Krause, spiskowali ze sobą w celu stworzenia dla mnie planu treningowego. Jen jest siwowłosą kobietą średniego wzrostu, ukrywającą szerokie barki i wydatny biust pod zwyczajnym białym, laboratoryjnym kitlem. Uśmiecha się do mnie po babcinemu, przyciągając uprząż wiszącą u szyny sufitowej.

- Przywyknięcie do mechanizmu sygnału zwrotnego w twoich nogach wymaga czasu. Uruchomimy więc cię w uprzęży, dzięki której nie będziesz mógł upaść...

- Wobec mnie to się nie sprawdzi, Jen. - Dość mam bycia przypasanym, związanym, przenoszonym. Mam znowu nogi. Działające. - Pozwól mi dojść do tego. Skorzystam z równoległych poręczy, żeby nauczyć się chodzić.

Jen patrzy z dezaprobatą na doktora Masouda, który stoi za moim wózkiem. Nic nie mówi, więc Jen próbuje ponownie:

- Nie, Shelley, po prostu nie mogę na to pozwolić. Możesz się zranić...
- Biorę to na siebie.
- ...a twoje doświadczenia będą wykorzystane do udoskonalenia programu dla innych żołnierzy.
- Taki program nie istnieje. Posłuchaj, jestem wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, ale nie wiesz, czego teraz potrzebuję. Nikt tego nie wie, gdyż jestem pierwszym człowiekiem, który usiłuje chodzić na takich nogach. Jeśli nie poradzę sobie przy poręczach, przyznam się. Póki co robię po swojemu.

- Pozwól mu - warczy Masoud. Wyobrażam go sobie z kijem baseballowym, wzniesionym nad moją głową i gotowym do użytku, jeśli spierdolę mu jego Nagrodę Nobla. - Shelley jest prawdziwym mężczyzną. Nie potrzebuje rozpieszczania.

- Cieszę się, że mamy jasność.
Mam więc użyć równoległych poręczy.

Samo wstanie z wózka i sięgnięcie do nich to ćwiczenie na koncentrację. Jen wisi nade mną, ale udaje mi się podnieść bez jej pomocy.

- Zabierz fotel - mówię jej. - Już go nie potrzebuję.

Staram się nie okazać, że cierpię, ale prawda jest taka, że nogi mnie bolą - i to nie tylko ich ludzkie fragmenty. Ból obejmuje także robocze kończyny, generowany przez mechanizm sprzężenia zwrotnego, który pozwala mi czuć ich istnienie, pozycję oraz siłę, z jaką chcę, żeby działały. Zaczynam się pocić.

- Jakiś problem? - pyta Masoud cierpko.
- Joby miał sposób regulacji sygnału zwrotnego. Potrzebuję tego.
- Zbyt silne sprzężenie zwrotne?
- Możliwe. Nie wiem.
- Zapytam go o to. Chcesz usiąść na chwilę?
- Nie.

Masoud rozmawia z Jobym przez telefon. Zostawiam go z tym. Wzrok mam skupiony na wprost siebie, a dłonie zaciśnięte w śmiertelnym uchwycie na poręczach; napinam mięśnie ud, podnoszę prawą stopę, przesuwam do przodu, a potem opuszczam. Czuję, że pięta styka się z podłożem pierwsza, a później ciężar ciała przenosi się na przód, aż stopa staje się płaska, a ja odzyskuję pełną równowagę. Serce wali mi jak młotem, dłonie mam śliskie od potu i ku-rewsko mnie boli, ale poza tym to był idealnie normalny krok. Powtarzam to z lewą stopą i przesuwam dłonie dalej na podporach. Prawa, lewa, prawa, lewa. Poluźniam uchwyt na poręczach, kiedy jestem w połowie ich długości, i wspieram cały ciężar ciała na nogach. Ból narasta, ale idę dalej, jeden powolny krok za drugim, aż docieram do końca.

Jest tam moja terapeutka i czuwa nade mną.

Ponownie ściskam mocno poręczę i zawracam. Rękawkiem T-shirtu wycieram pot z oczu i ruszam tym razem odrobinę szybciej; dłonie muskają drążki, ale w istocie nie wspierają się na nich. Docieram do końca. Nikt nie wiwatuje, nawet ja. Nogi drżą mi z wysiłku. Wiem, że muszę usiąść, ale nie chcę korzystać z fotela na kółkach. Rozejrzawszy się, zauważam szereg plastikowych krzeseł pod przeciwległą ścianą.

Wiem, że potrafię tam dotrzeć. Przeszedłem dwukrotnie większy dystans, nie tracąc równowagi. Puszczam poręczę i ruszam w tamtą stronę. Jen znajduje się natychmiast u mego boku.

- Złap mnie za ramię, jeśli poczujesz, że się przewracasz - mówi ponurym głosem.
- Nic mi nie jest.

To niemal prawda. Jeśli upadnę, to dlatego, że poddadzą się mięśnie ud i bioder, a nie z powodu robocich nóg. Zaciskam zęby i skupiam się na zrobieniu kolejnego kroku, na niczym więcej. I robię go. Docieram do krzeseł. Ale co teraz? Świta mi, że siadanie to skomplikowany proces, który wymaga wykonania obrotu oraz kontrolowania napięcia mięśni miednicy, kolan i kostek. Jeszcze tego nie próbowałem, więc przewracam się w przód, chwytam oparcia krzesła, a potem przekręcam biodra i padam z łomotem na siedzenie. Opieram się i zaciskam powieki, gdy ból przeszywa mi kręgosłup.

- Imponujące - mówi Jen. - Jednak cierpiałbyś mniej, gdybyś wszystko robił wolniej.

Otwieram oczy i się uśmiecham.

- Nie do wiary, jak to znakomicie działa. - Potem się prostuję. Masoud idzie ku mnie, zerkając na swój tablet. - Joby jest kurewskim geniuszem - mówię mu. - To tak, jakby nogi wiedziały, że są nogami. Wiedzą, jak napiąć i usztywnić kolano oraz kostkę. Wiedzą, jak rozłożyć obciążenie na podeszwie stopy.

- Wiedzą to tylko dlatego, że zaprojektowałem interfejs nerwowy - mówi ostro Masoud.
- Taa. To też imponujące. Mam nadzieję, że dostanie pan swojego Nobla.

Odwraca wzrok od mojej twarzy. Odzywa się ponownie, ale nie do mnie.

- Zatem na moją odpowiedzialność. Musimy otworzyć to połączenie. Po prostu zrób to. — Słyszę jedynie jego wypowiedzi, gdyż słowa rozmówcy są kierowane bezpośrednio do jego ucha przez pętlę audio, którą nosi.

Mrugam ze zdumienia, gdy na mojej nakładce zapala się ikona. To zielone kółko dostępu do sieci, i tak po prostu - na przekór rozkazowi Kendricka, bo doktor Masoud polecił to zrobić - jestem ponownie w Chmurze, z której ładuje się nowy program. Instaluje się aplikacja. Wiadomości migają u dołu pola widzenia zbyt szybko, żebym zdołał je przeczytać, a potem pojawia się nowa ikona: wąski, czerwony, poziomy pasek, opatrzony wartością liczbową - 71%.

Masoud podnosi wzrok znad swojego tabletu.

- Widzi pan to?
- Tak.
- Niech pan użyje wzroku do regulowania napięcia. Niższe w lewo. Wyższe w prawo.
- Jakie jest najwyższe napięcie?

Prycha z chłodnym rozbawieniem.

- Nie takie, jakiego doświadczył pan dziś rano.

Cieszy mnie to.

Pasek zaczyna blaknąć i znikać z pola widzenia, ale kiedy skupiam na nim spojrzenie, czerwony blask się nasila. Przesuwam wzrok w lewo i pasek się cofa, natomiast wyświetlacz numeryczny odlicza wstecz: pięćdziesiąt, czterdzieści, trzydzieści, dwadzieścia. Kiedy siła sygnału maleje, ból w nogach zmienia się w odrętwienie. Zmniejszam do zera i nie czuję nic z wyjątkiem masy protez obciążających kikuty organicznych ud.

Mimo że całkowicie wyłączyłem sprzężenie zwrotne, nogi działają nadal. Podnoszę prawe udo, prostuję nogę w kolanie, wyciągam stopę. Dosyć łatwo to zrobić i nie doświadczam bólu, ale nie ma też czucia. Wiem, że to działa jedynie dlatego, że to widzę.

- Co pan czuje? - pyta Masoud.
- Nic. Jakby noga nie należała do mnie.

Zwiększam siłę sygnału. W pobliżu dwudziestu dwóch

Procent czuję ponownie obecność kończyn. Przy trzydziestu dziewięciu nogi stają się moje i korzystam z sygnału zwrotnego, żeby prowadził mnie, gdy stawiam stopę. Przy sześćdziesięciu czterech procentach odbieram znacznie silniejsze sprzężenie, niż mi się to podoba - nogi mnie bołą. Mimo to podnoszę aż do stu procent, bo chcę wiedzieć, co się stanie - co mogłoby się stać, gdyby ktoś lub coś zdobyło kiedykolwiek dostęp do systemu.

Jestem przygotowany na ból, nie padam więc z krzykiem na podłogę, kiedy wzdłuż kręgosłupa przesuwa się piekące rwanie.

Masoud rozmawia z Jobym.

- Ustaw system na maksymalnie dwadzieścia pięć procent. Nie. Nie będzie potrzebował dokładniejszej propriocepcji. Zrób to.

Pasek się nie zmienia, ale ból znika. Czuję serce, dudni mi w uszach. Masoud odzywa się ponownie, ale spojrzenie wciąż wbija w tablet, więc dopiero po chwili uzmysławiam sobie, że zwraca się do mnie.

- Propriocepcja to świadomość ułożenia własnych kończyn. Im wyższa siła sygnału, tym precyzyjniejsza będzie pańska kontrola nad protezami.

- I tym bardziej będzie bolało?

Pochmurnieje.

- To pierwsza generacja. Proces przekazywania sygnału zostanie udoskonalony.

- To wszystko już jest kurewsko zdumiewające - mówię mu, bo to prawda. Niemniej zauważyłem wadę. Klepię się po organicznym udzie. - Tutaj jest urządzenie generujące siłę sygnału, prawda?

- Nie w pańskiej nodze, tylko wewnątrz protezy. Dostosowaliśmy siłę sygnału wyjściowego. Nie może pan zrobić sobie krzywdy.

- Ale to jedynie regulacja software'owa, co? A program można zhakować. Czy można się dostać do urządzenia i wyregulować je w ten sposób, żeby nie mogło wygenerować potężnego sygnału, który usmażyłby mi układ nerwowy?

Kamienny wyraz jego twarzy wskazuje, że nie jest to kwestia, którą chciałby omawiać.

— To prototyp — przypomina. — Z czasem system zostanie udoskonalony.

*

Kiedy zaczynam znowu chodzić, jest niedziela. Pierwszych parę dni jest trudnych, nie z powodu jakiegoś problemu z nogami, ale dlatego, że mięśnie pleców, bioder i ud sflaczały z braku ruchu. Ćwiczę intensywnie podczas fizykoterapii, a kolejne godziny spędzam na chodzeniu po szpitalu. Wyściełane podeszwy moich tytanowych stóp stukają cicho o winylową podłogę, a ja nabieram sił.

W czwartek nauczyłem się chodzić po schodach, więc wymykam się na klatkę schodową, gdzie ćwiczę wchodzenie i schodzenie. Nikt osobiście nie przychodzi sprawdzać, co się ze mną dzieje, ale rękaw monitorujący pozwala personelowi pielęgniarskiemu wiedzieć, gdzie jestem i co robię.

Po godzinie na nakładce pojawia się wiadomość z Dowództwa, zawiadamiająca mnie o priorytetowym e-mailu wysłanym na konto poczty wojskowej. W połowie kondygnacji schodów zatrzymuję się, żeby go przeczytać. E-mail zawiera rozkaz wyznaczający mi nowy przydział. Pobyt w Kelly Army Medical Center dobiegł końca.

*

Odkąd Lissa wróciła do San Diego, rozmawiamy ze sobą każdego wieczoru. Mówimy o jej pracy, a ona zawsze chce, żebym jej opowiedział o postępach mojej terapii. Rozmawiamy jednak także o innych sprawach: o rodzicach i przyjaciółach, o zabawnych zdarzeniach, głupocie polityków, o tym, kto się pobiera, a kto rozstaje... o wszystkim z wyjątkiem naszej sytuacji. Nie przyleciała ponownie, żeby się ze mną zobaczyć, nadal więc nie wiem, na czym stoimy.

Siedzę na schodach, wdychając stęchłe powietrze i smród betonu. Gdzieś poniżej słychać tupot stóp, otwierają się skrzypiące drzwi, zatrząskują z hukiem, a potem zalega cisza.

Skupiam wzrok na ikonie Lissy i moja nakładka telefonuje do niej. Po chwili słyszę jej głos:

- Cześć, Shelley. - Wydaje się zaskoczona i lekko zaniepokojona. To nie jest pora naszych zwykłych rozmów.

- Wiem, Lisso, że jesteś w pracy...

- Bez obaw.

- Właśnie dostałem rozkazy. Przenoszą mnie.

- O Boże! Kiedy? Dokąd?

- W poniedziałek.

- W poniedziałek?

- Nie wybieram się daleko. To jakiś ośrodek cybernetyczny nieopodal Austin. To będzie jednak sześć tygodni bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym.

- Mogą to zrobić?

- To wojsko. Mogą robić, co chcą.

- Ale mówiłeś, że dostaniesz urlop!

- Nie udało się. Może nie było czasu. Może się boją, że jeśli wypuszczą mnie na ulicę na dłużej niż na parę dni, wkurzę się na jakiegoś wieśniaka i skopię mu tyłek moimi nowymi cybernetycznymi udoskonaleniami.

- To nie jest śmieszne.

Biorę głęboki wdech.

- Mam jednak wolny weekend.

- Co to znaczy?

- Dostałem przepustkę na weekend. Mogę wyjść ze szpitala. Nie wolno mi jednak opuszczać okolic San Antonio, więc nie mogę polecieć do San Diego...

-I tak z całym tym żelastwem nie przeszedłbyś przez bramkę na lotnisku.

- Hmm, racja. Nigdy o tym nie pomyślałem. Ale ty możesz przylecieć tutaj, Lisso. Możemy zamieszkać w hotelu.

Milczy przez chwilę. Potem pyta:

- Co z twoją nakładką?

Już wiem, że wygram.

- Nie musimy się nią przejmować. Kiedy jestem na przepustce lub urlopie, rejestracja ustaje. To zawsze było w umowie. GPS będzie włączony, ale to wszystko. Przyleć więc. Proszę. Jutro. Wychodzę w południe.

- Jutro jest piątek - mówi zaskoczona.

- Taa. Mam długi weekend. Możemy być ze sobą do poniedziałku rano. Proszę, Lisso. Proszę, proszę, przyleć.

Śmieje się cicho, gardłowo.

- Shelley wydaje się spragniony.

- Shelley umiera.

- Dobra, skarbie. Ty załatwiasz pokój w hotelu. Ja odbiorę cię w południe ze szpitala. A teraz zjeżdżaj. Muszę pogadać z szefową i zarezerwować bilet na lot.

*

Masoud zarządził codzienną ocenę moich postępów, mam więc umówiony stały termin fizykoterapii o czternastej, ale do tego czasu jestem panem swojego losu. Wracam na górę i uderzam do pielęgniarek, żeby się dowiedzieć, gdzie jest naprawdę dobry hotel w mieście. Mają z tego ubaw, ale niebawem zostaje osiągnięta zgoda co do luksusowego apartamentu z widokiem na jezioro Travis.

Potem wracam do pokoju i wyjmuję z szafy mundur, który wisi tam, odkąd go dostarczono. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to w ten weekend nie będę potrzebował wielu ubrań, ale muszę w czymś wyjść ze szpitala - wiem, że jakieś jastrzębie oko w łańcuchu dowódczym zasłoby bielmem, gdyby zauważono, że wychodzę ze szpitala w wojskowym T-shircie i szortach.

Przymierzam więc nowy mundur.

Wisi jak na strachu na wróble. Jestem pewien, że Masoud zna mój nowy wzrost i wagę z dokładnością do milimetra i grama, ale najwyraźniej istnieje rozbieżność między jego danymi a specyfikacją munduru. Mam na sobie uniform skrojony na mężczyznę, jakim byłem.

Kiedy w małym łazienkowym lustrze patrzę na obwisłą koszulę mundurową, dociera do mnie, jak bardzo straciłem nawadze. Spodnie są jeszcze gorsze. Wydają się puste tam gdzie wiszą na tytanowych kościach, i ponieważ nogi są co najmniej o pięć centymetrów dłuższe, portki są za krótkie. To samo z wyjściowymi butami. Nowe stopy są dłuższe a także węższe od ich organicznej wersji.

Ogarnia mnie rozdrażnienie. Zamawiam dłuższe spodnie, ale nie mam pojęcia, jak uda mi się kiedykolwiek włożyć buty. Nie żebym ich w ogóle potrzebował, ale stanowią część umundurowania, a ja nie słyszałem nigdy o odmianie żołnierza z cybernetycznymi stopami.

Przebieram się ponownie w T-shirt oraz szorty i wychodzę z butami wyjściowymi w ręce, ściągając na siebie kilka ciekawskich spojrzeń oraz uśmiechów ze strony odwiedzających i personelu pielęgniarskiego. Dzielę windę z rodzimi cywili: tata, mama i dwie małe dziewczynki. Rodzice wlepiają wzrok w ściany, a córki przyglądają się moim robocim nogom szeroko otwartymi oczami. Mam nadzieję, że nic przyśni się im koszmary.

Winda zjeżdża jedynie na parter. Żandarm musi użyć klucza, żeby wysłać mnie do piwnicy. Idę obok kostnicy do laboratorium Joby'ego i łapię za klamkę, ale drzwi są zamknięte na klucz. Walę w nie. Mija kilka sekund, po czym słyszę obrót klucza w zamku. Znowu atakuję drzwi i tym razem się otwierają.

Nikogo za nimi nie ma. Otwieram je szerzej, zbliża się do mnie odgłos truchających kroków. Nogi. Wolno stojące robocze nogi, krótsze od moich, połączone powyżej kolan zwykłą poprzeczką. Joby siedzi po turecku na dywanie i steruje upiorną zabawką. Zmuszają do stepowania wokół mnie, kiedy idę przez pokój, ale nie okazują, że jestem pod wrażeniem.

- Buty nie pasują.
- To co? Weź większe.
- Żadne ludzkie buty nie będą pasowały na te stopy-

Dźga palcem w przycisk konsoli sterowniczej i robocze nogi zaprzestają swojego radosnego tańca, po czym przystają spokojnie na skraju dywanu. Joby marszczy brwi, patrząc na moje stopy, a następnie piorunuje mnie wzrokiem.

- To głupota, żebyś nosił buty. Twoje stopy są gibkie. Są chwytne. Jeśli wsadzisz je do butów, pozbawisz się tej funkcji.

- Jestem wdzięczny za to, jak się do nich przyłożyłeś. Jak powiedziałem wcześniej, jesteś kurewskim geniuszem, ale to jest wojsko. Muszę nosić mundur.

Wydyma wargi. Ale płacą mu ci sami ludzie, co i mnie. Wie o tym.

Pozostawiwszy konsolę na dywanie, wstaje z westchnieniem i bierze ode mnie buty.

- Witaj, Becky. - Podnosi buty i patrzy na nie. - Widzisz je?

Nie mówi do mnie, nie trzyma telefonu i nie używa wizora.

- Słuchaj - mówię. - Masz nakładkę?

Mruga do mnie.

- Nie jesteś tutaj jedynym cyborgiem.

Jestem pod wrażeniem. Pierwszy raz spotykam kogoś, kto na pewno używa nakładki.

- Potrzebuje butów - mówi Joby do Becky - które będą pasowały na stopę o długości dwustu osiemdziesięciu sześciu milimetrów... Taa, zaraz. Potrzebne mi są na pięć minut temu. Zjesz lunch

później. - Upuszcza buty na blat stołu warsztatowego. - To będzie łatwe. - Dopiero po chwili uzmysławiam sobie, że znowu zwraca się do mnie. - Musimy jedynie wykonać amortyzującą otoczkę, która będzie pewnie obejmowała mechaniczną stopę.

- Taa - mówię. - Łatwizna.

Ignoruje mnie, i słusznie. Przyglądam się, gdy miesza trzepaczką lepki biały płyn. Wlewa go do wnętrza zbyt małych butów, wypełniając je po brzegi. W ciągu kilku minut płyn zastyga w żel, miękki odlew wnętrza obuwia. Joby zanosí odlewy do drukarki 3D, skanuje je do jej pamięci, a po-tem rozciąga cyfrowy obraz, żeby odpowiadał moim nowym stopom. Później ściąga ich obraz z planów inżynierskich nakłada go na odlew wnętrza buta i odejmuje różnicę, pozostawiając wizerunek wydrążonej, wyściełanej skarpety. Poleca drukarce ją powielić, a mnie pyta, czy chcę zagrać w bilard.

*

Następnego dnia w południe czekam w cieniu szpitalnego portyku na Lisę, która ma mnie stąd zabrać. Mam na sobie służbowy mundur i nowe, większe buty. Odwiedzający wchodzą i wychodzą. Niektórzy zerkają na mnie, inni kiwają zdawkowo głową, ale nikt się nie gapi. Moich nóg i stóp nie widać; prezentuję się jak zwyczajny żołnierz.

Na mojej nakładce pojawia się miniaturowy awatar Lissy - „Już jestem” - gdy wynajęty biały sedan przejeżdża przez punkt kontrolny na początku podjazdu.

Uśmiecham się i chwytam małą torbę turystyczną. Gdy auto wjeżdża pod daszek, widzę Lisę przez przednią szybę. Oczy ma wybałuszone, a usta okrągłe z zaskoczenia.

- Naprawili cię - mówi zdumiona, kiedy wsuwam się na miejsce pasażera.

Pochyliam się i otrzymuję pocałunek. Bardzo namiętny. Potem patrzę jej w oczy i mówię:

- Załatwiłem nam wcześniejsze zameldowanie.

Jakby trochę brakowało jej tchu, więc tylko się uśmiecha i wrzuca bieg, natomiast ja podaję GPS-owi cel jazdy.

W recepcji melduje nas starsza wesoła kobieta. Ponieważ mamy tylko dwie małe torby podróżne, sami idziemy do apartamentu. Przeciagam kartę po czytniku na drzwiach, które się otwierają, ukazując wnętrze. Eleganckie meble są rozmieszczone gustownie na grubym dywanie, wszędzie widać efektowne dekoracje, świeże kwiaty stoją w dwóch wazonach, dobre obrazy ozdabiają ściany.

- Rany, ci w Kelly wiedzieli, o czym mówią, kiedy mnie tutaj wysłali!

Lissa wydaje okrzyk radości, zrzuca sandały ze stóp i tańczy we frontowym pokoju, wirując, a jej spódniczka unosi się wokół jej cudownych nóg jak płatki kwiatu. Na zewnątrz popołudniowe słońce odbija się brylantowo od powierzchni wody jeziora Travis. To piękny widok, ale Lissa zaciąga zasłony.

- Nic oprócz nas - mówi. - Nie istnieje nic prócz nas.

Pragnę jej tak mocno, że się boję, iż sprawię jej ból.

Pierwszy raz to po prostu czysta żądza. Jestem niezdarny, z początku nie wiem, jak się posługiwać nogami, i całe zajście jest śmiechu warte. Ale szybko jest po wszystkim, po czym próbujemy ponownie... a potem znowu.

Sypialnia jest beczasową jaskinią. Leżymy na rozległej rozciągłości kremowobiałej pościeli. Przyglądam się temu, jak piersi Lissy wznoszą się i opadają, poruszane płytkim oddechem, w półśnie. Jestem świadom nacisku jej dużego palca u nogi na szarej metalowej kości mojej goleni i zastanawiam się, jak może to znieść, ale nie pytam.

Niech się zatrzyma świat, myślę. Teraz. Tutaj.

Dlaczego miałbym kiedykolwiek pragnąć czegoś więcej od tego?

Lissa bierze głębszy wdech i otwiera oczy. Spoglądają w moje.

- Obawiam się przyszłości - szepcze. - Jak to będzie, kiedy cię stracę.

- Nie stracisz.

Ale szare gnaty są już w naszym łóżku i oboje wiemy, że to obietnica, której dotrzymanie nie zależy

ode mnie.

- Sześć tygodni - szepczę.

Jest poniedziałek, przed świtem. Siedzimy w aucie pod portykiem szpitala, głowy mamy przytulone i zbieramy odwagę, żeby się pożegnać. Na mojej nakładce świeci się ikona neuronetki, co oznacza, że poprawia mi nastrój - zgaduję zatem, że można się czuć jeszcze gorzej, niż się czuję teraz.

- Zadzwoń wcześniej, jeśli będę mógł, ale nie licz na to

- Będą ci mieszać w głowie.

- Lisso...

- Chcą cię zamienić w uniwersalnego żołnierza - upiera się wściekłym szeptem, jakby ktoś na zewnątrz samochodu mógł to usłyszeć. - To jedyny powód, dla którego cię izolują. Postarają się pozbawić cię twoich wartości i zasad etyki, żeby zastąpić je nowym zestawem cech. A ty jesteś bezbronny. Nawet nie wiesz, czy jesteś nadal człowiekiem.

- Po to jest to szkolenie. Chcą, żebym się zintegrował z protezami, chcą doprowadzić do tego, żebym postrzegał nogi, neuronetkę, a nawet głos Delphi jako część siebie, a nie coś, o czym muszę myśleć, czy coś, co może mnie krępować, gdyż tego rodzaju wątpliwości mogą mnie spowolnić.

Patrzy na mnie wzrokiem, który mówi, że jestem żalnym durniem.

- Ich nie obchodzi twoje dobro, Shelley. Jesteś eksperymentem, a oni chcą sprawdzić, do czego jesteś zdolny.

Wzdycham i opieram się w fotelu, ale moja ręka ściska nadal mocno jej dłonie. Nie chcę, żeby odjechała.

- Masz pewnie rację. Przeżyłem jednak Dassari, przejdę i to. - Potem pytam, bo muszę wiedzieć. - Zostaniesz ze mną, Lisso?

Ściska mi mocniej dłoń.

- Nie wiem, jak możemy sprawić, żeby nam się udało.

- Też nie wiem, ale chcę spróbować.

Słyszę jej ciche westchnienie.

- Dzwon, kiedy będziesz mógł. Zobaczymy, jak będzie. Powiniennem czuć ulgę, że mnie nie opuszcza, ale wahanie z jej strony odczuwam jak odrzucenie. Staram się ukryć gniew, lecz ona wie.

- Nie chodzi o ciebie, Shelley. Wiesz, że cię kocham.

- Ale wolałabyś nie.

Patrzy mi prosto w oczy; nie umyka spojrzeniem, kiedy pyta:

- Dlaczego miałabym chcieć kochać żołnierza, skoro wiem, że zostaniesz dokądś wysłany na pół roku, rok, może dłużej? I że zawsze grozi ci niebezpieczeństwo? Kto by, kurwa, tego chciał, Shelley?

- Nie o to chodzi. Powinnaś chcieć mnie.

- Chcę. Stąd mój problem.

Udowadnia to kolejnym długim pocałunkiem, po czym żegnamy się szeptem. Wsiadam z auta i patrzę, jak Lissa odjeżdża. Potrzebuje czegoś więcej niż tylko miłości. Jej logiczny umysł domaga się, żeby nasz związek miał sens - a nie ma. Nie dla niej.

Link mojej nakładki rozbłyskuje i blednie, dając mi znać, że znowu jestem połączony z systemem. O szóstej rano mam się stawić na fizykoterapii w celu oceny sprawności i siły, a potem mam wyjechać do Centrum Ludzkiej Inżynierii, Integracji i Szkolenia - CLIS. Nikt mi tego nie powiedział, ale stawiam na „pozorowaną walkę”. Wojsko poszłoby na to.

*

Cywilny świat oddziela ponadtrzymetrowej wysokości siatka zwieńczona drutem kolczastym i strzeżona przez czujniki peryferyjne, ale krajobraz po obu stronach ogrodzenia wygląda dokładnie tak samo: płaski teren podtrzymujący skąpą roślinność, na którą składają się zagajniki niskich, rozrzuconych drzew oraz szeleszcząca między nimi brązowa trawa sięgająca kolan.

CLIIS leży daleko od wszystkiego. Na mojej nakładce ikona sieci jest czerwonym kółkiem z przekreślającym je iksem, co świadczy o braku sieci komórkowej. Mogę jedynie odbierać sygnał GPS, pozwalający mi śledzić nasze postępy na mapie, która przycupnęła w kącie mojego pola widzenia.

Kiedy skupiam na niej spojrzenie, mapa przesuwa się bliżej środka. Jest nałożona na nieaktualny obraz satelitarny, według którego jedziemy prostą gruntową drogą biegnącą Przez pustkowia. Tak naprawdę nawierzchnia jest twarda.

To szeroka jezdnia ograniczona białymi pasami, a jej asfalt jest tak ciemny i gładki, jakby go położono wczoraj.

Przekreślone czerwone kółko staje się zielone, gdy nakładka wykrywa nową sieć. Do Nadzoru płyną dane, w tym określające moje położenie, odnotowując automatycznie moje przybycie do CLIIS; potem zostaję odłączony. Zielone kółko gaśnie. Tak jak mapa - zaczyna się obiecane odosobnienie. Jedyne link, jakim teraz dysponuję, łączy mnie z Nadzorem.

Wzdycham i wracam do rzeczywistości.

Jadę na fotelu pasażera wojskowego SUV-a, prowadzonego przez Mandy Flynn, szeregową pierwszej klasy, która stosuje się ściśle do nakazanej prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Do ośrodka zostało trzynaście kilometrów. Jesteśmy niemal na miejscu, gdy szeregową Flynn rozgląda się ukradkiem zielonymi oczami, po czym mówi:

- Tam jest jelen.

To pierwsze słowa, jakie wypowiedziała z własnej woli, odkąd niemal dwie godziny temu zabrała mnie sprzed Kelly AMC.

Flynn ma insygnia żołnierza PGB. Zapytałem ją o to natychmiast, gdy tylko ujrzałem jej ogoloną głowę, jedynie w połowie ukrytą pod czapką. Zdumiewa mnie, że jest jedną z nas, bo jest drobniutka: chude sto pięćdziesiąt kilka centymetrów. Nawet jeśli się nosi egzozkielet, wzrost i siła mają znaczenie, ale Flynn musiała przejść kwalifikacje i trzeba ją za to podziwiać. Ma zaledwie osiemnaście lat i nie wachała jeszcze prochu.

Odważa się rzucić na mnie okiem, a potem dodaje:

- Nikomu nie wolno polować na jelenie. Jest kara za zastrzelenie zwierzęcia podczas zajęć poligonowych.

- Zastrzełaś jakiegoś?

Odwraca wzrok i uśmiecha się nieśmiało, półgębkiem.

- Nie miałam jeszcze okazji, sir. Czekamy na przybycie pierwszego cyborga, zanim wydadzą nam przydział i broń.

Patrę przed siebie na niewielki ośrodek, który pojawia się w polu widzenia. Betonowy plac apelowy, przyszpilony do ziemi przez maszt flagowy. Opasuje go droga, oddzielając z jednej strony od piętrowego budynku, który moja nakładka identyfikuje jako koszary, a z drugiej od wyższego od nich budynku, oznaczonego jako kompleks sportowy, plakietki znikają, gdy tylko je przeczytam. Na przeciwległym końcu czworokąta rozciąga się centrum cybernetyczne: szary, parterowy budynek, charakteryzujący się brakiem okien.

Wszystko wygląda na nowe i świeżo wzniesione. Asfalt jest czarny, beton jasny, budynki czyste. Teren to ściółka i wątłe młode drzewka podtrzymywane linkami. Przed koszarowcem stoją zaparkowane dwa auta, służbowe sedany.

Nie widzę ani śladu personelu.

- Dostarczyłaś pierwszego cyborga, Flynn.

Obrzuca mnie nerwowym spojrzeniem od stóp do głów, ale mam na sobie mundur, nie widzi więc protez.

- Pana, sir?

- Tak.

- Wygląda pan jak człowiek.
Nie mogę się opanować. Śmieję się.

*

Oficjalnie dowódcą CLIIS jest pułkownik Kendrick, ale nie ma go w ośrodku. Mało kto jest. Gdy Flynn parkuje SUV-a, ruchem głowy wskazuję personel zebrany przed koszarami na moje powitanie. Jeden oficer i czterech żołnierzy,

- To wszyscy - mówi. - Z wyjątkiem szeregowego Johnsona. Musi być na służbie w COT.

Oficerem dyżurnym jest major Keith Chen, chudy, siwowłosey doktor kinezylogii, którego zadaniem jest wymyślić, jak szkolić cyborga takiego jak ja. Wszyscy inni mają ogolone głowy, noszą wizory i dystynkcje PGB.

Chen przedstawia mnie sierżantowi Aaronowi Nolanowi, najstarszemu stopniem podoficerowi. Nolan to wielki facet, niemal tak duży jak Ransom, o okrągłej twarzy płaskim nosie i skórze pociemniałej od słońca. Pod czapką połową nosi neuroskalp. Tak jak dwaj specjaliści. Wszyscy trzej są weteranami. Szeregowi to koty.

- Kendrick wybrał wszystkich osobiście - informuje mnie Chen, odprawiawszy pozostałych. - Zna pan motto PGB - „Innowacja, koordynacja, inspiracja”. Kendrick przegląda akta i profile psychologiczne personelu, żeby stworzyć elitarne zespoły odzwierciedlające te cechy.

- Sądziłem, że to ośrodek szkoleniowy dla scyborgizowanych żołnierzy.

- Każdy żołnierz PGB jest scyborgizowany. Pan nieco bardziej niż inni. Pana zadaniem jest udowodnić, że pod koniec tego okresu szkolenia będzie pan gotów do służby w terenie. Reszta jest tutaj, żeby pana w tym wspomóc. To opłacalna inwestycja, zważywszy na to, że od pańskiego powodzenia zależy program o potencjalnej wartości rzędu miliardów dolarów.

- No to zero stresu.

Obdarza mnie rozbawionym spojrzeniem.

- Myślałem, że poznał pan już pułkownika Kendricka?

W koszarach wszystko lśni nowością. Kwatery oficerskie mieszczą się na pierwszym piętrze. Jest ich sześć. Chen zajmuje jedną, ja dostaję drugą. Reszta stoi pusta.

- Zjawiliśmy się tutaj w połowie zeszłego tygodnia - mówi Chen. - To wtedy budowniczowie oddali oficjalnie ośrodek do użytku.

Idziemy do Centrum Cybernetycznego, gdzie pokazuje mi gabinety, sale zajęć i konferencyjne. Co najmniej połowa kubatury nie została jeszcze zagospodarowana.

- Są plany stworzenia warsztatów elektronicznych, wyposażonych w drukarki 3D - informuje mnie Chen. - Także wysoce wyspecjalizowanych ośrodków medycznych, jeśli pojawią się fundusze.

Centrum Cybernetyczne dysponuje również kuchnią, chociaż brakuje kucharzy. Układ jest dokładnie taki sam jak w forcie Dassari, z gotowymi posiłkami, które każdy odgrzewa sobie w mikrofalówce.

Podczas lunchu Chen mówi o mojej roli.

- Jest pan naszym pierwszym żołnierzem o zintegrowanych protezach. Nie wiem, co pan potrafi, i pan tego nie wie. Znalazł się pan tutaj w celu określenia podstaw. Ja jestem tutaj, żeby panu pomóc.

Zaczynamy o czternastej. Stawiam się w wojskowym T-shirtcie i szortach, potem zastanawiam się nad sportowym obuwiem. Teoretycznie stanowi część sortu mundurowego, ale mam wyznaczyć ramy dla scyborgizowanych żołnierzy, więc uznaję, że buty nie są wymagane.

Flynn trafia za biurko dyżurnego. Gdy przygląda się moim nogom, na jej twarzy maluje się lęk.

- Nadal w większości jestem człowiekiem - zapewniam ją.

Kiwa głową, chociaż nie jestem pewien, czy mi wierzy.

*

Zastaję Chena w sali gimnastycznej, ogromnej konstrukcji, w większości pustej. Dodatkowe pomieszczenia zagraca sprzęt siłowy, ale podłoga głównej sali jest wolna: z materacami, wykładziną

oraz ścianą wspinaczkową z boku.

Tak jak ja, Chen ma na sobie T-shirt i szorty, ale poza tym buty. Marszczy brwi na widok moich robocich stóp, a potem patrzy na mnie, oczekując wyjaśnień. Przedstawiam swoje argumenty, pokazując mu, w jaki sposób działa stopa, jak mogę wydłużyć ją w tył i w przód lub rozciągać na boki. Muszę się skoncentrować, żeby osiągnąć to, co chcę.

- Trudno panu kontrolować delikatne ruchy? - pyta.
- Nie ćwiczyłem wiele. Ludzi to niepokoi. Wyglądam przez to jak pierdolony kosmita.
- Dolina niesamowitości - mruczy.

Nie znam tego określenia, ale zanim łączę się z encyklopedią, Chen podaje własną definicję.

- Dolina niesamowitości to określenie odrazy, jaką większość ludzi odczuwa w obliczu rzeczy, zwłaszcza ożywionych, które są niemal ludzkie, ale nie do końca. Pochodzi z dziedziny robotyki, z obserwacji typowych reakcji na roboty humanoidalne. Ten sam problem dotyczy klasycznych protez. - Ruchem głowy wskazuje moje nogi. - Pan spotka się z silniejszą reakcją, bo pańskie kończyny są ruchome i wydają się niemal żywe.

- Zna pan faceta, który je zaprojektował? Joby'ego Nakagawę?
- Widziałem jego dzieła. Nigdy go nie spotkałem.
- Nie chciałby pan. To palant. Mogę pana jednak zapewnić, że kwestia szacunku dla uczuć moich kolegów żołnierzy nie wchodziła w zakres jego filozofii inżynierskiej. Miał na względzie funkcjonalność, która znacznie przewyższyłaby ludzką, jeśli zdołałby to osiągnąć.
- Zobaczmy, czy mu się udało. Zaczniemy od prostych rzeczy. Nauczył się pan od nowa chodzić niemal naturalnym krokiem. A umie pan biegać?

*

Zaczynam powoli, od lekkiego truchtu. To coś odmiennego od chodzenia. Kolana zginają się zbyt głęboko. Również kostki. Tracę równowagę, zbyt pośpiesznie usiłuję to naprawić i się przewracam. Nie przywykłem do padania. To żenujące i frustrujące, i zdarza się raz za razem. Zbyt blisko zaprzyjaźniam się z szorstkim splotem wykładziny.

- Co będzie, jeśli zawiodę? - pytam Chena.

Po ostatniej wywrotce leżę na plecach, krzywiąc się na widok siniaków, których pomimo wyściełanego podłoża dorobiłem się na barkach i ramionach. Sufit wydaje się wisieć kilometr wyżej.

Chen staje nade mną, nie przejmując się moim dramatyzowaniem.

- Za wcześniej, żeby mówić o niepowodzeniu.
- Zabiorą mi nogi? Przyczepią je komuś innemu? Czy zamkną program?
- Zintegrowaną protetykę wspiera duży kapitał. Będzie się pan musiał mocno postarać, żeby samodzielnie zastopować to finansowanie.

- Więc po prostu zabiorą mi nogi. - Rzygać mi się chce na myśl o byciu rozłożonym na części.
- Ja je zabiorę, jeśli pan nie wstanie i nie zacznie znowu ich używać.

Przyglądam się badawczo jego twarzy i nie jestem wcale pewny, czy żartuje. Wstaję więc i próbuję ponownie.

Przy obiedzie Chen namawia mnie, żebym się nie zniechęcał.

- To, przez co pan teraz przechodzi, to proces biologiczny. Bioelektryczny interfejs mobilizuje pańskie ciało do wytworzenia subtelniejszych powiązań oraz wzmacnia selektywnie te, które działają najlepiej. Jak każdy proces wzrostu, wymaga to czasu, ale niech pan się tego trzyma, a zyska pan możliwie najlepszą kontrolę nad swoimi nogami.

- Co oznacza „możliwie”? - pytam, wygarniając bułką sos z foremki paczkowanej pieczeni. - Do jakiego stopnia odzyskam moją naturalną ruchliwość?
- To pan ma się o tym przekonać.
- Bo nikt wcześniej tego nie próbował?

- Owszem. Widziane przeze mnie symulacje sugerowały szerokie pasmo możliwych rezultatów. Nie chcę możliwości. Chcę obietnic.

- Na jaki zakres ruchów zostały zaprojektowane te protezy?

- Podłączone do komputera i kierowane przez nadążny program ruchowy, są w stanie imitować wszystko, co potrafi zdrowy człowiek, a nawet więcej. To nie mechanika pana ograniczy, Shelley, tylko interfejs z pańskimi nerwami, pański finezyjny kontroler motoryki. To zespół, o którym wiemy najmniej, ale w którym kryje się potencjał. To adaptacyjny element systemu - i najbardziej nieprzewidywalny. Prowadzono symulacje, ale dane są niemiarodajne. - Mruży oczy. - Zatem to pan musi stwierdzić, co pan potrafi.

Gwiżdżę, biorę kolejny rogalik i pytam:

- Skoro Masoud potrafi odbudować moje nerwy, to dlaczego, do kurwy nędzy, nie wyhoduje mi nowych nóg? Czy może nie wymyślił jeszcze tej sztuczki?

- Niech pan zapyta ponownie za parę lat. Cywilne laboratoria ostro nad tym pracują i wojsko włączy się do tego, jeśli to będzie wyglądało obiecująco. - Długo pije wodę, a potem patrzy na mnie z namysłem. - Co o tym myślę? Jeśli regeneracja kończyny będzie trwała miesiące czy lata, wojsko w to nie wejdzie. Poza tym Dowództwo może woleć tytanowych żołnierzy o wymiennych częściach.

Opieram się na krześle i gapię na niego.

- Nie chcę tego przyznać, ale brzmi to bardzo przekonująco.

*

Następnego dnia nie przewracam się tak często, a kolejnego prawie już wcale, jedynie biegam po linii prostej.

- Niech pan okrąży salę - poleca mi Chen.

Koncentruję się na wzięciu pierwszego zakrętu, ale stawiam zbyt mocno prawą stopę, więc zataczam się na ścianę.

- Nie tak ostro! - woła Chen. - Niech pan przestanie myśleć i po prostu biegnie.

Nie słucham go. Na następnym rogu skupiam się na poprawnym wykonaniu każdego kroku, co oznacza, że zwalniam. Stawiając precyzyjnie stopy, poruszam się ledwo szybciej, niż gdybym szedł. Nagle Chen wyrasta przede mną. Muszę rzucić się w bok, żeby nie wpaść na niego.

- Na ukos! - krzyczy. - W poprzek sali.

Przeszedłem długie i ciężkie szkolenie, kierowany podobnym głosem, więc podrywam się, żeby wykonać rozkaz - a on doskonale wiedział, że tak zareaguję. Jestem w połowie przekątnej, kiedy się orientuję, że nie upadłem.

- Skręt w prawo! Teraz! - Nawykły do musztry głos Chena odbija się echem od sufitu.

Robię, co każe.

- A teraz szybciej!

Podrywam kolana, wydłużam krok... i przestaję myśleć o każdym drobnym ruchu. Przyjmuję na wiarę, że to potrafią i w kilku skocznych susach przebiegam w poprzek całą salę. To miłe doznanie, czuję się swobodnie. Chcę więcej. Narasta we mnie oczekiwanie.

- Idę na zewnątrz.

Chen jest wymagający, ale nie jest tępem. Daje gestem znak, żebym robił, co chcę, i rusza za mną, gdy zmierzam do drzwi.

Jest wczesne przedpołudnie. Tekszańskie słońce pali beton placu apelowego, ale to początek października, więc powietrze jest chłodne. Nikogo wokół. Tylko flaga powiewa, furkocząc na wietrze z południa.

Zaczynam truchtać drogą w kierunku Centrum Cybernetycznego. Tempo mam wolne; wiem, że to naprawdę zaboli, jeżeli przewrócę się na asfalt. Ale po pierwszych stu metrach nudzi mnie to, więc przyspieszam nieznacznie... a niebawem jeszcze trochę.

Jakbym zbiegał ze wzgórza. Czuję podniecający pęd. Zawsze lubiłem biegać, zwłaszcza średnie dystanse: piętnaście, dwadzieścia kilometrów. Te nowe nogi nie ważą nawet w przybliżeniu tyle, co poprzednie, więc jestem tak lekkostopy, że wydaje mi się, iż ponownie mógłbym biegać tamte odległości.

Sadzę susy przed Centrum Cybernetycznym, skręcam w stronę koszar i ruszam sprintem.

Wtedy pojmuję, że rzecz nie w lekkości nowych nóg. Czuję, że wzmagają mój impet. Podobnie jak martwa siostra, wraz ze wzrostem prędkości dają większy odrzut moim stopom - symulowany bieg ze wzgórza, gdy podczas biegu spadziłość wirtualnego zbocza wzrasta proporcjonalnie do prędkości. Nie jestem cybernetycznym superbohaterem - wytrenowany sprinter nadal zostawiłby mnie we wzbijanym przez siebie kurzu, ale po tym, gdy urwało niii nogi, szybki bieg jest odurzający... i przez chwilę myślę Jedyńie o tempie, a nie o tym, dokąd zmierzam. Kiedy podnoszę wzrok, przede mną majaczy niski mur, ograniczający teren ośrodka. Za późno, żeby wyhamować. Jedyńą możliwością jest go przeskoczyć.

Prawa stopa odbija się od szczytu muru, a potem lecę w wysoką trawę po drugiej stronie. Młóćę ramionami, starając się utrzymać równowagę, ale to nie całkiem się udaje. Spadam, wzbijając obłok kurzu, a wokół mnie zrywa się do lotu obłok szarańczy.

Ponownie ląduję na plecach, z sercem walącym tak mocno, jakby miało mi eksplodować w uszach. Dyszę, biodra i uda mam jak galareta. Od połączenia kości wznosi się piekący ból, wlewając się do kręgosłupa. Zerkam na ikonę kontrolki sygnału zwrotnego z nóg, a ona się rozjaśnia, ale odwracam spojrzenie, nie regulując napięcia. Po tym, co zrobiłem, ból wydaje się potrzebny. Urzeczywistnia doświadczenie.

Mrugam, patrząc w błękitne niebo, które jest tak jasne, że zaczynają mi łzawić oczy. Wiatr szumi w trawie, ale nie tłumi odgłosów biegu.

- Shelley! - woła Chen, okrążywszy kamienny mur.

Nie widać mnie w trawie, więc podnoszę rękę.

- Tutaj.

Prze hałaśliwie w moją stronę, cień przesłania jasność nieba.

- Co, do diabła? Jesteś ranny?

Uśmiecham się.

- Nie sądziłem, że będę kiedykolwiek tak biegał.

- Walnąłeś się w głowę?

Kłęka obok mnie.

- Nic mi nie jest. Tylko... chyba załatwiłem swoje organiczne części. - Udaje mi się usiąść. - Jezu, uda mi drzą.

- Kiepska kondycja - stwierdza Chen. - Po zachodzie słońca możesz zacząć od biegu na półtora kilometra. Potem zaczniemy zwiększać dystans.

W ciągu następnych dziesięciu dni nauczyłem się kluczyć, slalomować, czołgać i do pewnego stopnia wspinać po ścianie w sali gimnastycznej. I codziennie Chen wkłada buty i biega ze mną przed świtem, zawsze zwiększając mi dystans, aż robimy trzynaście kilometrów - połowę odległości do granicznego ogrodzenia i z powrotem.

Nie chodzi jedynie o sprawność i wytrzymałość. CLIIS leży kilkanaście kilometrów od najbliższej powiatowej drogi, na kompletnym odludziu, co oznacza, że w wypadku ataku terrorystycznego w okolicy nikt nas nie obroni. Dostaję więc hełm i nowy egzoskielet, poznaję kody do szafek z bronią oraz amunicją i ćwiczę, aż dzięki neuronet-ce potrafię otworzyć je myślą. Potem, ponieważ mam doświadczenie bojowe, a Chen nie, przydziela mi dodatkowe zadanie kierowania operacjami obronnymi, gdyż - jak powiedziała mi administratorka Kelly AMC - zawsze istnieje zagrożenie krajowym atakiem terrorystycznym.

Mamy już plan obrony, przygotowany i umiejętnie wdrażany przez sierżanta Nolana, zaznajamiam się więc jedynie z procedurami i ćwiczę wraz z innymi reagowanie na sytuacje kryzysowe, co opiera się

niemal wyłącznie na wykorzystywaniu bezodrzutowych granatników, bo to jest najcięższe uzbrojenie, jakim dysponują połączone grupy bojowe.

Poza tym mam zaległości, jeśli chodzi o kwalifikacje dowódcze, co oznacza prawdziwą naukę. I odbywam sesje z dojeżdżającym psychiatrą, który chce wiedzieć, jak sobie radzę z traumą okaleczenia. Mówię mu prawdę: W ogóle sobie nie radzę. Robi to neuronetka i to mi wystarcza.

Każdej nocy padam na łóżko tak wyczerpany, że zostaje mi pół minuty na tęsknotę za Lissą, po czym zapadam w sen.

To też może być sprawka neuronetki.

- Jakie żywisz uczucia wobec oglądających cię ludzi? - pyta psychiatra. - Czujesz się niepewny bądź zawstydzony, kiedy uważają cię za cyborga?

- O co panu chodzi? - pytam podejrzliwie. - Przybywa nowy personel?

Wiem, że mnie nigdzie nie przeniosą, bo nie minęła nawet połowa sześciotygodniowego okresu mojego odosobnienia.

Nie lubi zgadywania.

- Denerwujesz się tym?

Zastanawiam się. Połowa poborowych w CLIIS unikała mnie przez dwa dni, a kiedy nie mogli już dłużej tego robić, starali się usilnie nie zauważać moich nóg - póki ich do tego nie zmusiłem. Kazałem im dokładnie obejrzeć protezy, pokazałem działanie przegubów, rozciąganie się stopy. Z początku czuli się zakłopotani, ale misterne mechanizmy są fascynujące, więc to ich wciągnęło. Potem nauczyli się czuć swobodnie w mojej obecności, a protezy nie przyciągały zbyt dużej uwagi - póki nie zacząłem treningu biegowego. Wtedy, gdy tylko mogli, zbierali się, żeby obserwować moje ćwiczenia, i jestem całkiem pewny, że robili zakłady, jak szybko potrafię biegać.

Odpowiadam na pytanie psychiatry:

- Nogi to tylko kolejny element wyposażenia, do jakiego żołnierze muszą przywyknąć. Jeśli którykolwiek z nich nie poradzi sobie z tym, przyślę go do pana.

Ku memu zdumieniu uśmiecha się.

*

Wychodzę z koszar, Chen podąża za mną. Idziemy na kolację do małej kafeterii w Centrum Cybernetycznym. Słońce już zaszło, ale panuje długi, niebieski zmierzch. Gdzieś daleko wyje kojot. Gdy cichnie, słyszę cichy pomruk odległego silnika. Brzmi to jak helikopter.

Oglądam się na Chena. Kręci głową i wyjmuje telefon, wiedząc tyle, co ja.

Może to tylko cywilny śmigłowiec gdzieś w okolicy powiatowej drogi, ale póki go nie zidentyfikujemy, trzeba postępować zgodnie z protokołem. Wchodzę z powrotem do koszarowca. Dyżur za biurkiem w centrum operacji taktycznych ma szeregową Flynn.

- Jakiś ruch powietrzny w pobliżu? - pytam ją.

Wygląda na zaskoczoną.

- Ruch powietrzny, sir?

I odwraca się do monitorów.

Rozlega się mechaniczne zawrodożenie, gdy włącza się alarm peryferyjny.

- Nadlatuje niezidentyfikowany helikopter! - krzyczy.

Jestem już w połowie schodów prowadzących do mojego pokoju, gdzie mam swój ekwipunek. Półtorej minuty zajmuje mi nałożenie kamizelki i gnatów. W drodze do drzwi wciskam na głowę hełm i zostaję połączony automatycznie z PGB.

Na wyświetlaczu przyłbicy dostrzegam pozycje moich podwładnych. Pierwszy wyekwipowany żołnierz dociera do holu jednocześnie ze mną. Przyłbicę ma nieprzezroczystą, ale mój wyświetlacz identyfikuje go jako specjalistę Samuela Tuttle'a. Wizualizuję kod szafki z bronią i zamek otwiera się ze szcęknięciem.

- Potwierdź gen-kom!
- Gen-kom potwierdzony, sir!
- Działanie obronne. Otwarcie ognia wyłącznie na rozkaz.
- Tak jest, sir!

Delphi jest nagle ze mną.

- Raport sytuacyjny, Shelley.

Jestem tak zaskoczony, że niemal upuszczam granatnik, który dopiero co wyjąłem z uchwytu.

- Cholera, Delphi!

Od czasu Afryki pierwszy raz mam ją w głowie.

Wciskam broń do rąk Tuttle'owi, a ten wybiega na zewnątrz.

- Jaka jest twoja sytuacja? - nalega Delphi.
- Zbliża się niezidentyfikowany śmigłowiec. Nie ma pozwolenia. Organizujemy obronę.
- Zarejestrowane - potwierdza i milknie.

Następnym wyekwipowanym jest sierżant Nolan, a potem zjawia się reszta - nie dość szybko. Lepiej się spisywaliśmy na ćwiczeniach. Wydaję broń, zamykam szafkę i skaczę ku drzwiom. Teraz nie ma wątpliwości, że to odgłos helikoptera. Nie dalej jak o półtora kilometra. Sposstrzegam go - czarny kształt nisko nad ziemią, lecący mimo zmięchu z wyłączonymi światłami.

Gnam na wyznaczoną pozycję - bunkier za koszarami. Jest tam już Flynn, która trzyma na ramieniu wyrzutnik rakiet, wycelowany w zbliżające się zagrożenie. Broń jest niemal tak duża jak ona sama, ale Flynn panuje nad nią, używając zastrzału lewego ramienia do podparcia ciężaru, podczas gdy jej prawa dłoń wisi nad spustem.

Sprawdzam na przyłbicy pozycje żołnierzy. Jeszcze dwanaście sekund i wszyscy są na miejscach. Wtedy ponownie włącza się Delphi.

- Alarm odwołany - mówi z rozdrażnieniem w głosie.

Powtarzam to swojej PGB.

- Alarm odwołany. Zabezpieczyć broń.

Obok mnie Flynn wydaje głębokie westchnienie ulgi, opuszczając wyrzutnię rakiet, gdy śmigłowiec - nadal z wyłączonymi światłami - zbliża się do placu apelowego.

- Kim jest ten kutafon? - pytam Delphi.

- Twoim dowódcą.

Pułkownik Kendrick. Palant. Wiedząc, że musi mnie słyszeć, zwracam się do Delphi:

- Cieszę się, że wróciłaś w porę. Gdybyś spóźniła się o kilka sekund, kazałbym Flynn zdmuchnąć go z nieba.

- Znowu ocaliłam ci tyłek — mówi. — Bądź grzeczny, Shelley. Muszę spadać.

Robimy zbiórkę na placu na powitanie pułkownika Kendricka. Okazuje się, że nie przybywa zwyczajnie helikopterem, ale go pilotuje. Ląduje, wyłącza silnik i przez pięć następnych minut strofuje nas za zbyt wolną organizację obrony.

Potem jednak rozchmurza się i daje mi całe pięć minut na schowanie broni oraz pozbycie się zbroi i gnatów, zanim się stawię na obowiązkowe spotkanie.

W sali konferencyjnej Centrum Cybernetycznego Kendrick trzaska o blat stołu długą, prostokątną, aluminiową walizeczką tego rodzaju, w jakim przenosi się drogą broń lub sprzęt naukowy.

- Przywiozłem ci prezent od Joby'ego.

Rzucam oskarżycielskie spojrzenie na majora Chena, który siedzi po drugiej stronie stołu. Delikatnie kręci głową; nie wie, o co chodzi Kendrickowi. Przysuwam się więc bliżej. Pułkownik unosi brwi, ubawiony moją ostrożnością. Potem otwiera kasetę, rozkładając ją jak muszlę mięczaka. W wyściółce obu pokryw znajdują się robocie nogi, złożone z kolan, kostek i stóp. Chen wstaje, żeby się przyjrzeć.

- Joby wierzy w ewolucję - oświadcza Kendrick. - Poznaj swoją wersję 2.0, poruczniku.

Przywieziony przeze mnie technik dokona wymiany twoich kończyn.

Odsuwam się obrażony.

- Co złego z nogami, które już mam?

Wzrusza ramionami.

- Joby'emu nie podobają się wyniki diagnostyczne. Coś związanego z tarciem i zużyciem punktowym.

Dla mnie to nowość, że protezy samoistnie generują raporty dotyczące ich działania.

- Ach, i redukują maksymalną siłę możliwego sygnału zwrotnego, żeby zhakowanie systemu cię nie unieruchomiło. Prosiłeś o to, prawda?

Przyznaję, że tak, i jestem pod wrażeniem, że Joby mnie słuchał.

- Chcę, żebyś dziś wieczorem dokonał wymiany protez -ciągnie Kendrick - ponieważ jutro sprowadzamy dodatkowy personel w celu skompletowania dwóch pełnych połączonych grup bojowych. Potem zaczniemy zajęcia poligonowe. Rozpaliłeś oczekiwania, Shelley, i osiągnąłeś w krótkim czasie lepsze wyniki, niż ktokolwiek na to liczył. Spodziewamy się ćwierćmiliardowego grantu, jeśli w czasie tego programu treningowego osiągniesz zdolność do działania w terenie.

- A co da ta forsa z grantu?

- Funkcjonalne scyborgizowane kończyny dla kolejnych znakomitych żołnierzy, takich jak ty.

Znakomitych?

- Niech pan ze mną nie pogrywa, sir.

- O czym, kurwa, mówisz?

- To nie wyniki mojej służby mnie tutaj przywiodły. Zjawiłem się po prostu w odpowiednim czasie i w odpowiednim stanie.

- Jezu, Shelley, myślisz, że zaryzykowałem ten program dla jakiegoś przypadkowego ochłapu z maszynki do mięsa? Jesteś tutaj, bo twój profil psychologiczny odpowiada moim najwyższym wymaganiom. Inteligentny, potrafiący się przystosować, zdeterminowany. Cholernie dobry żołnierz...

Nie mogę znieść robienia mi wody z mózgu.

- Wykonuję swoją robotę, to wszystko! - Ale nawet to nie jest prawdą. - Próbowałem ją wykonywać. Skrewiłem. Zginęli ludzie.

- To była wojna! Posłuchaj, widziałem *Mroczny patrol*. Wiem, że lubisz dramatyzować, lubisz myśleć, że załatwił cię system. Kiedy jednak wojsko zaoferowało ci kontrakt oficerski, szczęście uśmiechnęło się do ciebie. Każdy dostaje swoje miejsce w świecie, swoją najlepszą rolę. Większość ludzi przez całe życie próbuje dojść do tego, co to jest, ale nie ty. Los postawił cię od razu w miejscu, w którym miałeś się znaleźć...

- Kurwa! Nie byłem...

- Milczeć, kurwa!

Poskramiam się, żeby się nie zamachnąć.

- Możesz okłamywać samego siebie - ciągnie Kendrick - ale mnie nie wciskaj kitu. Zdecydowałeś o pozostaniu w wojsku. Jaki kutas zrobiłby coś takiego tylko po to, żeby uniknąć roku odsiadki w więzieniu o złagodzonej rygorze? Jesteś twardy. Mógłbyś odsiedzieć swoje i żyć do śmierci z konta tatusia. Postanowiłeś jednak pozostać w wojsku, bo jesteś żołnierzem. Nawet jeśli nie potrafisz przyznać się do tego przed sobą samym, należysz tutaj, i to jest twoja rola. Zakłamany bohater swojej własnej historii.

- Z całym należnym szacunkiem, sir, niech się pan pierdoli.

- Najlepszy sposób wypierdolenia mnie to zawalić ten program. Jesteś prototypem. Twoje wyniki wpływają bezpośrednio na przyszłość moją, na przyszłość tego programu oraz na przyszłość wszystkich innych żołnierzy pragnących otrzymać te same korzyści, jakie stały się twoim udziałem.

Mówi tak, że brzmi to jak pozytyw, ale wiem, do czego zmierza.

- To korzyści, jakie otrzymujemy tylko wtedy, gdy zostajemy w wojsku. Ten program to tylko recykling doświadczonych żołnierzy w celu ponownego wysłania ich do akcji.

Kendrick nawet nie mruga okiem.

- Zgadza się.

Chen przypomina nam o swojej obecności, odsuwając fotel i siadając ponownie. Odzywa się szczerym głosem, odpowiednim do przedstawienia rozemocjonowanemu nastolatkowi nieprzyjemnych, twardych prawd o świecie:

- To kwestia budżetów badawczych i finansowania. Zwerbowanie, ocena i wyszkolenie przeciętnego żołnierza piechoty kosztuje ponad ćwierć miliona dolarów, a połowa rekrutów wymięka po drodze. Taką samą kwotę można zainwestować w przywrócenie sprawności doświadczonemu żołnierzowi. A jeśli zostanie zabity? - Wzrusza ramionami. - Następuje jednokrotna wypłata odszkodowania z polisy na życie, bez żadnych dalszych wydatków na opiekę zdrowotną.

Kendrick zamyka aluminiową walizkę.

- Mówiąc prosto, program cyborgizacji nie dojdzie do skutku, jeżeli nie da nam przewagi w walce. Wysłanie w teren wyszkolonych i doświadczonych żołnierzy to przewaga. Czy to jasne, Shelley?

- Tak jest, sir, jasne.

- Masz zamiar storpedować ten program?

Chcę mu powiedzieć, że tak. Tak, zamierzam wykoleić wasz program, bo mam po dziurki w nosie tego, że ty i podobni tobie ludzie pogrywają ze mną. Ale nie jestem w stanie tego wykrztusić. Słowa utykają mi w gardle, bo to jest kłamstwo. Jeśli wylecę z tego programu, to wylecę z wojska... a kim wówczas będę? Gdzie się wpasuję?

Nie w tym rzecz, żeby podobało mi się w wojsku. Ale tylko to znam.

- Poruczniku? - naciska Kendrick. - Nie usłyszałem twojej odpowiedzi.

Prostuję ramiona i mówię prawdę:

- Nie jest moim zamiarem storpedowanie pańskiego programu, sir.

Kiwa głową.

- Dobrze. Miło mi to słyszeć. Nie chciałbyś mieć we mnie wroga, synu.

W to akurat łatwo mi uwierzyć.

*

Elementy podkolanowe moich robocich nóg można odjąć w kilka sekund, ale doktor Masoud ostrzegł mnie, że wymienienie całej protezy będzie bardziej skomplikowane. Denerwuję się nieco z tego powodu; dużo bardziej po poznaniu cywilnej techniczki. Jest delikatną, niską kobietą, nie wyższą od Flynn, chociaż odrobinę cięższą, ubraną w zielony wojskowy T-shirt i spodnie khaki, przejawiającą wrogi stosunek do swoich działań.

- Niech cię szlag, ty mała wredna suko - szepcze, gdy jeden z bolców mocujących moją lewą nogę nie pozwala się wyjąć.

Leżę w rozkładanym fotelu dentystycznym, patrząc w sufit i czekając na ogłoszenie przez nią zwycięstwa, co następuje po kilku sekundach.

- Mam cię, chuju. Kto następny?

To już trzeci sworzeń, który rzucił jej wyzwanie, przyzwyczajam się więc do trwającej narracji.

- Wyjdiesz po dobroci? No, proszę, ty mały flirciarzu. Jesteś ostatni.

Upuszcza bolec do metalowej kuwety, gdzie leżą pozostałe. Unoszę głowę i tułów, żeby widzieć, jak odejmuje protezę.

Jej szczyt jest wydrążonym walcem, który niczym rękaw nachodzi na pręt wystający z mojego okaleczonego uda. Tytanowe części rozdzielają się, odsłaniając kolorowe sploty nieprawdopodobnie cienkich drucików łączących nadal obie części. Kobieta spina ze sobą oddzielne wiązki, a potem ciągnie za nie delikatnie - „Wyłażże, ty mały, śliczny upierdliwcu” - aż odsłania szereg złączy.

- Żadnych więcej pieszczot. Stary bierze sobie młodszą dupę.

Marszczy brwi. Potem spogląda na mnie jasnobrązowymi oczami.

- Wie pan o tym sterowaniu, które Joby zafundował panu do regulacji sygnału zwrotnego z protez?

To odpowiednia chwila, żeby przesunąć wskaźnik na zero.

Nie mam ochoty sprzeciwiać się jej radzie. Reguluję wzrokiem wskaźnik, wyłączając czucie w nogach.

- Gotowe.

Rozłącza pierwszy konektor, a potem patrzy na mnie pytająco. Wzruszam ramionami, bo nic nie czuję.

- Dobrze — mówi.

W kilka chwil odłącza wszystkie. Odkłada na bok odpiętą protezę, bierze nową, wsuwa palec do wnętrza jej drażzonego walca i wyciąga stamtąd jasne sploty kolorowych kabli, każdy z miniaturowym gniazdkiem na końcu.

- Wyglądają strasznie wątko.

- Cholera, taa - przyznaje. - Delikatne, kapryśne małe zdziury.

Kładzie nową protezę na podłodze przed fotelem, a potem zaczyna łączyć przewody z tymi wiszącymi z mojej nogi. dopasowując gniazdzka kolorami.

- Włóż, mały gnoju. Mam cię. Włóż, ty mały gówn...

- Zatem jeśli któreś z tych połączeń się obluzuje, to jestem ugotowany, co?

Przerywa pracę, żeby spojrzeć na mnie zmrużonymi oczami.

- Jest ich więcej, niż trzeba. - Wraca spojrzeniem ku miejscu swojego działania. - Włóż, dupku, włóż...

Wreszcie wszystkie są połączone.

Wpychając delikatne przewody do walca, pyta:

- Martwi się pan?

- A powinienem?

- Okablowałam pierwszą parę pańskich nóg, i wytrzymało. To też wytrzyma. A jeśli nie, to może mi pan przysłać swojego ducha, żeby mi o tym opowiedział.

- Założę się, że świetnie dogadujesz się z Jobym.

- Taa - mówi z sarkastycznym rozmarzeniem. - Uwielbia mnie. Tak długo, jak nigdy, przenigdy nie popełnię błędu. Trzech jego ostatnich techników nie do końca dorosło do tych oczekiwań.

Mocuje ponownie bolce i zabiera się do drugiej nogi. Kiedy jestem w końcu poskładany do kupy, podkreścam sygnał zwrotny, licząc na coś przyjemniejszego od lekkiego, uporczywego bólu, do którego przywykłem, ale doznania są dokładnie takie same.

- Jesteś pewna, że w tym zestawie nie ma nic nowego?

Obdarza mnie krzywym uśmiechem.

- Powiem Joby'emu, że pan pytał. Ale proszę mi zaufać - został pan zmodernizowany.

*

Wzmocnienia przybywają następnego ranka o dziesiątej czterdzieści pięć dwoma monstrualnymi SUV-ami. Widziałem listę żołnierzy, więc wiem, kogo się spodziewać. Tamci nie. Stoję wraz z majorem Chenem, pułkownikiem Kendrickiem i sierżantem Nolanem, gdy nowo przybyli wysiadają z pojazdów - siedmiu weteranów PGB i trzy koty. Wraz z sześcioma obecnymi już w CLIS żołnierzami PGB dysponujemy pełną obsadą dwóch połączonych grup bojowych.

Nie dowodziłem pełną grupą od czasu szkolenia. Nie mogę się tego doczekać.

Przybyły sierżant wydaje komendę.

- Brać ekwipunek i w szeregu - zbiórka!

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Sierżant Jaynie Vasquez ma zajebisty musztrujący głos. Przed upływem minuty jej żołnierze stoją przed nami na baczność w szeregu, z wojskowymi workami na

plecach, ztkh na ramionach oraz złożonymi egzozskiekietami u stóp. Weterani noszą neuroskalpy pod czapkami regulaminowych mundurów.

Jaynie odwraca się, żeby przedłożyć swoje dokumenty nam, oficerom CLIIS. Kiedy mnie widzi, robi wielkie oczy. Przysięgam, że przestaje oddychać, gdy opuszcza wzrok na moje nogi. Mam mundur połowy, ale nie noszę butów. Jej spojrzenie zawisa na tytanowych stopach, po czym Jaynie spogląda na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

- Sierżant Jaynie Vasquez melduje się na służbie.

Na jednym końcu szeregu stoi Matt Ransom i gapi się na mnie, jakby nie był do końca pewny, że to ja.

Pułkownik Kendrick wygłasza krótką mowę powitalną, której nikt nie słucha, a potem każe nowo przybyłym rozejść się, żeby mogli zakwaterować się w koszarach. Jaynie podchodzi do mnie z podejrzliwym błyskiem w oku.

- Myślałam, że będzie pan już teraz cywilem, sir.

- Dostałem propozycję nie do odrzucenia. Miło cię widzieć, Jaynie.

Minę ma ponurą. Zerka przez ramię na Ransoma.

-A ja się zastanawiałam, dlaczego trzymają nas razem. - Wraca spojrzeniem do mnie. - Będzie odcinek drugi? Kolejny *Mroczny patroli*

To samo przyszło mi do głowy, kiedy zobaczyłem na liście ich nazwiska.

-Na to wygląda, co? - A ponieważ wiem, że wierzy nie w tę historię, co trzeba, dodaje: - Nic nie wiedziałem o *Mrocznym patrolu*, Jaynie. Powiedziałbym ci, gdybym wiedział.

- Tak jest, sir. - W jej oczach kryje się wątpliwość. - Sir?

- Tak?

- Nie nosi pan neuroskalpu.

Nie pyta o moje nogi, bo wie, co naprawdę się liczy.

- Wyewoluowałem. - Klepię się po głowie. - System jest wszczepiony. Teraz to część mnie.

Jaynie zastanawia się nad tym, ale jeśli ma jakąś opinię, zachowuje ją dla siebie.

- Gratuluję, sir. To pewnie pokrzepiające, być zintegrowanym. - Salutuje, podnosi złożone gnaty martwej siostry i odchodzi, żeby dopilnować swoich żołnierzy.

Domyślam się, co się dzieje w jej głowie. Nie chodzi jedynie o głupi program telewizyjny, który burzy nam życie, a o przekonanie, że w kolejnym odcinku konflikt musi eskalować. Nie wiem, dokąd rzuci nas kolejny przydział, ale prawdopodobnie będzie tam bardziej niebezpiecznie niż w forcie Dassari - jakie mamy zatem szanse, że przeżyje cała trójka?

Ransom nie podziela naszych czarnych myśli. Kiedy Jaynie go zwalnia, jest natychmiast przy mnie.

- Jezus, poruczniku, myślałem, że już po panu, sądziłem, że wyślą pana do domu. Cholera. Dobrze pana widzieć i, jasny gwint, to superstopy!

- Taa? Tylko popatrz.

Pokazuję mu, jak się zginają. Przygląda się zafascynowany, bez śladu płochliwości okazywanej przez rekrutów.

- To najbardziej zdumiewająca rzecz, jaką widziałem.

- Przeguby kolanowe też są super. Gdyby nie ty, Ransom, nie byłoby mnie tutaj. Uratowałeś mi życie. Chcę ci za to podziękować.

Kręci głową.

- To był najgorszy dzień w moim życiu, ale powinienem był wiedzieć, że Bóg pana wspomůže. Uczynił pana na wpół kuloodpornym.

Trenujemy razem przez trzy kolejne tygodnie, przechodząc od ćwiczeń kondycyjnych, przez musztrę, do zajęć poligonowych, które mają sprawdzić spójność oddziału i moją zdolność dowodzenia niejedną, ale dwoma połączonymi grupami bojowymi. Kendrick nazywa oddział „podwojoną PGB”. Szesnastu żołnierzy, którzy działają jak jeden zespół. Pułkownik towarzyszy nam czasami na poligonie, wyposażony

w kamizelkę i gnaty, ale równie często zostawia wszystko na mojej głowie. To sprawdza się tylko dlatego, że Kendrick osobiście wybrał najlepszych ludzi. Jaynie i Nolan są uzdolnionymi i doświadczonymi podoficerami, którzy wspierają mnie i mówią mi, kiedy daję dupy; nadzorowani przez nich żołnierze są entuzjastyczni i zainteresowani, a koty chcą się uczyć.

To fajna zabawa.

Ale trwa sześć tygodni, wyczerpuje fizycznie i psychicznie oraz prowokuje pytania, na które brak jak dotąd odpowiedzi.

Kendrick twierdzi, że jesteśmy tutaj, żeby dowieść zalet moich robotycznych usprawnień, i to niewątpliwie prawda. Jednak samo potwierdzenie moich bojowych kwalifikacji nie wymaga obecności elitarnego oddziału, który oddano mi pod komendę, nie mogę więc oprzeć się wrażeniu, że szkolimy się w związku z jakimś nadciągającym konkretnym zagrożeniem - chociaż nie otrzymaliśmy jeszcze rozkazów.

Nadzór angażuje się w większość naszych zajęć poligonowych, przy czym opiekuje się mną Poganin. Za każdym razem, gdy się włącza, pytam go o program błędzący - co mu powiedziano, co usłyszał. Powtórzyłem mu złowieszcze słowa Thelmy Sheridan - „plama krwawej czerwieni, która przenika wszystkie sprawy Człowieka” - i w naszych krótkich rozmowach określenie to przekształca się w słowo „Czerwień”, naszą nazwę nieznanego.

- Miałeś wiadomości od Czerwieni, Shelley? - pyta mnie, a ja mówię, że nie.

Wprowadzono nowe zasady bezpieczeństwa, nowe szyfrowanie, i nic nie wtargnęło w obszar mojego mózgu, przynajmniej od chwili zainstalowania neuronetki. Chcę wierzyć, że Nadzór poznał sposób na to, jak trzymać Czerwień z dala od mojej głowy, ale nie ogłosili tego. Może po prostu nie mają całkowitej pewności. W każdym razie nie ma przeciwnych dowodów. Ale ta niewiedza mi ciąży.

Poza tym jest sprawa Lissy. Za trzy dni wybywam z CLIIS. Mam prawo do dwutygodniowego urlopu - ale przez cały czas, który tutaj spędziłem, nie rozmawiałem z Lissą ani nie wymieniałem z nią e-maili, więc nie mam pojęcia, czy nadchodzące dwa tygodnie spędzimy razem. Nie wiem, czy będzie jeszcze chciała mnie widzieć.

Wyrzucam to z głowy. Dziś w nocy prowadzimy grę wojenną. To ćwiczenie zaliczające - będą je obserwować VIP-y z wojska i spoza niego, które zdecydują o wysokości finansowania programu cyborgizacji.

Jest wpół do drugiej w nocy i moja podwojona PGB stoi na skraju placu. Mamy na sobie kamizelki, gnaty i plecaki polowe, na głowach hełmy z nieprzezroczystymi przyłbicami i jesteśmy połączeni ze sobą i z Nadzorem. Wyglądamy na gotowych do walki, ale za amunicję służą nam ćwiczebne gumowe pociski - dużo huku, ale mało działania -choć egzozskielety mają zdalne wyłączniki, które mogą odciąć nam zasilanie i rzucić nas na ziemię, jeśli nadzorująca nas AI uzna, że zostaliśmy zabici.

Obserwujemy helikopter transportowy lądujący na placu. Nasze hełmy tłumią ryk silników, ale gdy maszyna siada przed nami, musimy się zaprzeć, żeby nie ulec podmuchowi wiatru od jego łopat. Boczne drzwi się odsuwają, stopnie rozkładają i z wnętrza śmigłowca wysiada dwanaścioro ludzi w cywilnych ubraniach - przedsiębiorcy, dziennikarze i przedstawiciele wojska.

Pułkownik Kendrick i major Chen stoją w gotowości, żeby ich powitać. Obaj są w mundurach polowych, ale żaden nie jest wyekwipowany do walki ani nie mają hełmów.

Stanowią nasze ludzkie oblicze, ściskają dłonie gościom, po czym kierują ich na bok. Wizory błyskają zielonymi światłkami zapisu, tablety nas filmują - siedemnaścioro pozbawionych twarzy żołnierzy elitarniej podwojonej PGB CLIIS.

Koncentruję się na żołnierzach, a nie na gościach, ale moja nakładka rejestruje ich i podsuwa etykietkę identyfikacyjną: „Elliot Weber”. Przenoszę spojrzenie, nie obracając głowy, i widzę go, jak ściska dłoń pułkownikowi Kendrickowi. Elliot miał napisać artykuł o mojej rehabilitacji. Przydzielono mu miejsce w śmigłowcu, żeby mógł kontynuować ten temat? Wydaje mi się to nieprawdopodobne i

żywię mgliste podejrzenie, że Eliot usłyszał pogłoski o Czerwieni.

Nie ma czasu, żeby się tym przejmować.

Pułkownik Kendrick ma pętlę audio, która łączy go z gen-komem.

- Rozpocząć ćwiczenia - mówi. - Poruczniku, proszę zainicjować operację.
- Rozumiem. Wyruszamy.

Bez zbędnego słowa moja podwojona PGB wsiada do czekającego śmigłowca. Obserwatorom musimy się wydawać bezimiennymi automatami zaprogramowanymi do bezbłędnego działania.

*

Helikopter startuje. Po jedenastu i pół minuty zostajemy wysadzeni pośród ciemnego zadupia.

Przyglądam się uważnie terenowi przez noktowizor. Jest płasko, mniej więcej jak wszędzie tutaj. Sucha trawa sięga do kolan, widać kilka niskich drzew rozsianych po okolicy. Niebo jest czyste, pełne gwiazd, ale noktowizor odziera je z piękna. W powietrzu czuć spaliny z helikoptera i zapach suchej trawy. Prawie nie ma wiatru.

Kiedy śmigłowiec odlatuje, na mojej przyłbicy pojawia się mapa. Nasza PGB jest zaznaczona na jej obrzeżu. W centrum znajduje się cel, otagowany jako Czarne Laboratorium Operacyjne Wroga, niecałe jedenaście kilometrów od nas. Z krótkiej odprawy wiem, że nasz cel to atrapa mobilnego laboratorium broni biologicznej, przykryta siatką maskującą i przycupnięta w korycie wyschniętego potoku poniżej skarpy wznoszącej się na wysokość trzydziestu metrów ponad otaczający ją teren.

Kendrick znajduje się nadal w CLIIS, ale przez gen--kom powtarza nam cel misji:

- Dotrzeć na miejsce. Wyeliminować przeciwnika. Zabrać z laboratorium wszelkie dane i próbki, po czym wrócić tutaj w porze śniadania.

Śniadanie jest o piątą trzydzieści.

- Jakie są aktualne dane wywiadowcze o wrogu, sir?
- Siła obronna oceniana jest na dziesięciu do dwudziestu ludzi. Standardowa broń osobista, ręczne wyrzutnie pocisków raketowych i granatniki. W pobliżu nie ma żadnych czołgów, ale możliwe są transportery opancerzone.

- Drony, sir?

- Nie wiadomo. Jeśli zobaczycie jakiegoś, zestrzelić.

- Zrobi się.

To nie mają być ćwiczenia z ostrą amunicją, tylko intensywna zabawa w laserowego berka, ale Kendrick na pewno znajdzie sposób, żeby to urozmaicić.

Przechodzę jeszcze raz wzdłuż szeregu, dokonując dokładnej inspekcji żołnierzy. Nie różnimy się niczym z wyjątkiem wzrostu. W kamizelkach trudno jest nawet odróżnić mężczyzn od kobiet, ale moja przyłbica przypisuje każdemu żołnierzowi nazwisko, wiem więc, kto jest kim. Dziesięcioro to weterani walk, sześcioro koty, ale wszyscy to pierwszorzędni żołnierze.

- To cicha operacja - przypominam im. - Kryjemy się, póki nie natkniemy się na zewnętrzne czujniki. Wtedy wchodzimy szybko i ostro.

Niepokoi mnie, że nie znam przeciwnika. Wiem tylko, że nie są to żołnierze CLIIS, bo to my nimi jesteśmy.

- Słuchajcie swoich opiekunów. Znajcie pozycje reszty żołnierzy PGB, ale oczy miejcie szeroko otwarte. Cały czas obserwujcie wszystko, co się wokół was dzieje. - Zwracam się do Jaynie. - Sierżant Vasquez? Prowadźcie.

- Pojedynczy rząd! - szczeka Jaynie. - Formować szyk!

Jaynie jest na szpicy. PGB ustawia się za jej plecami.

Będziemy szli gęsiego, żeby nie rzucać się w oczy. Zajmuję pozycję jako czwarty w rzędzie, a sierżant Nolan zamyka stawkę.

Posuwamy się szybko, sadząc susy w suchej trawie, a wspomagające nas martwe siostry pozwalają

nam bez wielkiego wysiłku pokonywać ponad półtora kilometra w osiem minut, dźwigając jednocześnie ciężar naszych plecaków, kamizelek i broni. Anioł jest wysoko nad nami, co zabezpiecza go przed ogniem z ziemi.

Zostawiamy za sobą osiem kilosów, a trawa ustępuje pojawiającym się coraz częściej zagajnikom niskich, ciernistych drzew, kiedy zgłasza się Poganin.

- Shelley.
- Jestem.
- Odbieramy sygnały elektromagnetyczne, wskazujące rozmieszczone czujniki. Przekazuję na twoją mapę.

Wokół celu rozkwita pierścień bladych punkcików, ale informacja dociera zbyt późno. Jesteśmy już wewnątrz kręgu sensorów. Przesyłam obraz Jaynie.

- Wiedzą, że nadchodzimy - ostrzegam ją, dysząc podczas biegu.
- Rozumiem, sir.

Łączę się ponownie z Poganinem.

- Jakiś ślad... wrogiego drona?
- Jak do...

Niebo rozświecła błysk i w pół zdania tracę łączność z Poganinem oraz informacje pochodzące od anioła. Po ziemi przetacza się wstrząs - symulowany odgłos rakiety, która wyeliminowała drona.

- Anioł spadł - informuję towarzyszy.

Bez drona żadne z nas nie połączy się z Nadzorem, ale nadal możemy porozumiewać się między sobą. To dokładnie tak jak w Dassari, kiedy Czerwień zablokowała łączność mojej PGB ze światem zewnętrznym, tyle tylko, że dzisiejszej nocy jestem pewny, że to Kendrick pozbawił nas anioła. Jeśli mu się zdaje, że mnie dezorientuje, to się myli.

- Stać! - mówię przez gen-kom.

Kiedy szereg się zatrzymuje, przesyłam wszystkim mapę czujników.

- Jesteśmy wewnątrz perymetru nieprzyjaciela, który już wie, że się zbliżamy. Jest mnóstwo innych wewnętrznych alarmów, przez które musimy przejść, ale nie przejmujcie się nimi zbyt wiele. Wchodzimy ostro, działamy szybko. Zobaczają, gdzie byliśmy, ale nie będą wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Słyszę chór zdecydowanych „Tak jest, sir!”.

- Ma być cisza radiowa. Skoro nie mamy oczu anioła, nie ma sensu ogłaszać naszych pozycji w paśmie elektromagnetycznym. Więc pozostaniecie offline. Jedyne wyjątki - jeśli zostalibyście oddzieleni i potrzebowali pomocy. Będziemy na nasłuchu. Dowódcy drużyn, zbierzcie po cichu swoich ludzi.

Czteroosobowe drużyny zostały wyznaczone już wcześniej. Ich dowódcami są obaj moi sierzanci, specjalistka Vanessa Harvey, weteranka z Boliwii, oraz specjalista Matt Ransom. Dwa koty idą z każdym sierzantem, i po jednym z pozostałymi drużynami, co daje wszystkim pewne szanse na przeżycie tej nocy.

Harvey i Ransom oddalają się ze swoimi drużynami w przeciwnych kierunkach, żeby okrążyć cel. Spróbują wejść na urwisko i zająć nieprzyjaciela od tyłu. Jaynie i No-lan utworzyli z członków swoich drużyn tyralieri, aby podejść blisko. Idę między nimi z M-CLla w dłoni. Posuwamy się szybko, posługując się noktowizorami, żeby przepatrywać dokładnie grunt w poszukiwaniu min lub drutów rozciągniętych między drzewami.

Dwa kilometry przed laboratorium natykamy się na przeciwnika. Przyłbica wychwytuje drobny ruch na wprost mnie. Wyświetlacz eksponuje go, żeby zwrócić moją uwagę - pręt widziany przez moment za zasłoną gałęzi. Instynkt podpowiada, że to lufa karabinu, ale nie obchodzi mnie to. Przyłbica namierza. Ja tylko celuję i strzelam.

Hełm tłumi dźwięk, a przyłbica przyciemnia ogień wylotowy. Dostrzegam ciało padające w tył na ziemię. Wzdrygam się, zaskoczony. Strzelam gumowymi pociskami, nie kulami. Nie ma mowy, żeby mogły powalić kogoś z taką siłą. To musi być skutek działania wyłącznika, ale nigdy dotąd tego nie

widziałem.

Rzucam się naprzód, między drzewa, i znajduję trafionego żołnierza. Leży na plecach, nogi ma proste, unieruchomione przez wyłączoną martwą siostrę, ramiona zablokowane u boków, a przyłbicę przezroczystą - pozbawioną zasilania - co oznacza, że oficjalnie jest martwy. Przyglądam się dokładnie jego twarzy. Nie znam go, ale w oczach błyszczy mu nieskrywana irytacja, która wywołuje u mnie uśmiech. Nie może jednak mieć mi tego za złe, gdyż pozbawiony noktowizji widzi mnie jedynie jako cień pośród cieni. Chociaż ramiona ma przyszpilone przez egzozkielet, to wolna dłoń wyraża jego opinię o nocnych wydarzeniach -pokazuje mi środkowy palec.

Też się pierdol, brachu.

Może to jednak nie jest uraza. Po prostu wie, co nastąpi za chwilę.

- Padnij! - krzyczy Jaynie gdzieś na lewo ode mnie.

Robię to. Od strony zajmowanej przez Vasquez pozycji leci z wyciem rakietą, lawirując między drzewami. To zabawka w porównaniu z prawdziwym pociskiem, ale wciskam przyłbicę w ziemię, gdy rakietą eksploduje z hukiem w rozbłysku światła. Potem zrywam się, korzystając z połączonej mocy czterech kończyn martwej siostry.

Niemal przedobrzam. Muszę obrócić się w powietrzu i uderzyć siłownikiem prawego ramienia w pień drzewa, żeby na nie nie wpaść. Kiedy jednak padam na ziemię i poruszam się na czworakach, ogień maszynowy, który był bez wątpienia przeznaczony dla mnie, bezużytecznie kreśli błyszczące smugi kilka kroków za mną.

Zostawiam Strzelca Jaynie. Po kilku krokach znajduję się na skraju drzew. Białe kropki gwiazd na tle ciemnozielonego nieboskłonu noktowizji przesłania niskie, strome urwisko. Na zboczu toczy się walka. Pociski smugowe rysują poziome linie, a ludzkie sylwetki nurkują i wyskakują zza skromnych osłon. Skoro wróg jest zajęty, zmierzam ku laboratorium.

Otwiera się przede mną suchy parów, w którym kryje się kontener transportowy, osłonięty siatką maskującą i posadowiony na przyczepie o szerokich terenowych oponach. Rzucam do jaru granat i padam na ziemię, gdy rozbłysk światła strzela pod niebo. Potem biegnę zakosami, żeby uniknąć strzałów, o których wiem, że padają ze zbocza.

Seria smugaczy leci w miejsce, w którym byłem przed chwilą. Rzucam się w stronę parowu, o włos unikając drugiej serii. Potem wymiana ognia na zboczu przybiera na sile. Walka jest na tyle zacięta, że atakujący przestają się mną interesować albo, kto wie, może zostają wyeliminowani, ale w każdym razie przez kilka sekund nikt do mnie nie strzela.

Zerkam do wądołu. Na piasku przed laboratorium twarzami w dół leżą dwie postaci. Celuję i strzelam, pakując pociski w obie sylwetki, żeby AI unieruchomiła ich martwe siostry na czas trwania potyczki. Potem skaczę do jaru.

Do drzwi laboratorium prowadzą metalowe wiszące schodki. Umieszczam granat na najwyższym stopniu, a potem odskakuję na skraj parowu. To trzy metry, ale dzięki martwej siostrze docieram tam jednym susem, po czym przetaczam się poza jego krawędź, gdy granat wybucha.

Na zboczu eksplodują dwa kolejne granaty, a potem zapada cisza.

Leżę płasko na ziemi, gdy spośród drzew wynurzają się ostrożnie dwie postaci. Na podstawie wzrostu i postawy ciała moja przyłbica identyfikuje Jaynie i jednego z naszych kotów, szeregowego Julia Hoanga.

- Jest pan tam, Shelley? - pyta Jaynie, nie korzystając z gen-komu.

Hełm wychwytuje słowa i wzmacnia je, więc ją słyszę.

- Tutaj. Nie zabij mnie.

Podkulam nogi, kucam i wędruję na czworakach ku odległej o kilka kroków krawędzi, żeby spojrzeć w głąb parowu. Używane przez nas granaty to głównie światło i huk, ale drzwi do kontenera zostały tak spreparowane, żeby odskoczyły na skutek wstrząsu.

- Laboratorium otwarte. Chodźmy.

Wewnątrz znajdujemy wyściełane opancerzone skrzynki, w których elegancko ułożono szklane fiołki. Każę Hoangowi rozdzielić kasety między nasze plecaki, po czym ja i Jaynie szukamy sprzętu komputerowego. Znajdujemy trzy tablety. Każde z nas bierze jeden; wszystko jest podzielone, więc będziemy mieli coś dla Wywiadu, nawet jeśli wydostanie się stąd tylko jedno z nas - a potem wychodzimy.

Jaynie i Hoang wyłażą z parowu, a ja podążam za nimi. Potem przerywam ciszę radiową:

- Włączyć lokalizatory.

Rozkaz wychodzi przez gen-kom. Wszystkie hełmy odpowiadają automatycznie, wysyłając informacje o położeniu ich właścicieli. Skupiam wzrok na ikonie mapy PGB, która się rozwija. Ransom, Flynn, specjaliści Samuel Tuttle i Jayden Moon są widoczni na zboczu skarpy jako wciąż żywi. Oba koty, które były w ich zespołach, są oznaczone jako zabite, natomiast Harvey i szeregowej Layli Wade nie widać wcale - co oznacza, że AI uważa je za wysadzone w powietrze, a sprzęt za tak mocno uszkodzony, że nie może się zalogować.

- Ransom! Pozostali wrogowie?

- Urwisko czyste, sir!

Za sobą, w lesie, dostrzegam sierżanta Nolana i jego dwóch żółtodziobów, a także specjalistkę Fernandez, oznaczoną jako ranną.

- Nolan?

- Nadal dwóch między drzewami.

- Strzelaj do wszystkiego, co się rusza, oprócz nas.

- Zrozumiano.

- Laboratorium i żleb czyste. Ransom, umieść trans-pondery na naszych poległych, a potem złaż na dół.

- Tak jest, sir.

Zrzuciwszy plecak z ramion, wydaję laboratoryjną zdobycz i przekazuję ją Jaynie.

- Weź Hoanga i jednego kota Nolana. Obejdź zagajnik od południa. Kiedy wyjdiesz ze strefy walki, gnaj do koszar. Będziemy za tobą.

- Do zobaczenia na miejscu, sir.

Wyruszają. Spomiędzy drzew wynurza się i dołącza do nich postać, a Ransom sprowadza z urwiska naszych pozostałych żołnierzy.

Kiedy wszyscy opuszczają parów, polecam Ransomowi i Tuttle'owi wysadzić laboratorium w powietrze. To tylko udawanie, ale i tak mają zabawę.

Potem się rozdzielamy, żeby zapolować na pozostałych obrońców. Nolan kieruje nas do lasu. Wydaje mu się, że wie, gdzie ukrywa się pozostała dwójka, ale gdy zbliżamy się do podejrzanej pozycji, zdaję sobie sprawę, że się myli.

Idziemy luźną tyralierą, jeden o trzy metry od drugiego. Ransom jest na prawo ode mnie, Jayden Moon po lewej. Przedemną leży zwalone drzewo. Jego węzły pień spoczywa na ziemi, ale korzenie muszą nadal trzymać się piaszczystej gleby, gdyż liście ma zielone. Bóg szepcze mi do ucha, że to tam czeka przeciwnik, a my zaraz się o tym przekonamy w przykry sposób.

- Padnij! - krzyczę.

Moon się waha, ale Ransom mnie zna. Jemu nie trzeba powtarzać. Walimy się na ziemię, gdy zza gałęzi powalonego drzewa błyska oślepiający ogień wylotowy broni automatycznej. Strzelam w odpowiedzi, ale Ransom podejmuje poważniejsze kroki.

- Uwaga, granat! - wrzeszczy.

Wciskam przyłbicę w ziemię, gdy wybucha pocisk hukowo-błyskowy. Hełm osłabia wstrząs, ale na ułamek sekundy, kiedy przenoszę się z powrotem do Dassari, zagłębiam palce i haki zastrzałów

ramiennych w ziemię. Zaraz potem jednak neuronetka likwiduje uczucie przerażenia.

- Moon? - pytam przez gen-kom.

Brak odpowiedzi. Jestem całkiem pewny, że nie żyje.

- Nolan?

Opowiada przez gen-kom:

- Przepraszam za to, sir.

- Sytuacja?

- Nic mi nie jest.

- Ransom?

- Super, sir!

Zgłaszają się wszyscy inni.

Wstaję i idę policzyć ciała wrogów.

- Dwaj potwierdzeni. To wszyscy, Nolan?

- Wszyscy, o których wiem.

- Gra skończona - mówi Ransom. - Zwyciężyliśmy.

Umieszczam transponder na ciele Moona. Piorunuje

mnie wzrokiem, tak samo jak mój martwym przeciwnik, ale nie ma powodów się skarżyć.

- Kiedy następnym razem każę ci paść, zrób to.

Odwraca wzrok. Przypuszczalnie także chce mi pokazać środkowy palec, ale jest na to za cwany.

Anioł wraca na linię, przekazując słowa Kendricka do żołnierzy obu stron.

- Zabezpieczyć broń i pozwolić wstać poległym - poleca dramatycznym tonem, który nie robi na nikim wrażenia. - Ogłaszam pokój między wami. Uściskajcie się jak kochające się rodzeństwo.

Moon wierci się, tak jak dwaj załatwieni przez Ransoma granatem hukowo-błyskowym.

- Zabezpieczcie broń - przypominam im.

Moon wstaje na równe nogi.

- Poruczniku, skąd pan wiedział, do diabła, że mają nas załatwić?

Znakomite pytanie; chcę, żeby to Kendrick na nie odpowiedział.

- Pułkowniku? Doszło do kolejnego naruszenia zabezpieczeń?

- Cholerny król Dawid - odpowiada Kendrick.

Spoglądamy wszyscy na wschód, w stronę zbliżającego się warkotu helikoptera.

- Oznacz lądowisko, Shelley - mówi Kendrick. - PGB CLIIS zostaje wycofana pierwsza. Mamy do omówienia pewne sprawy.

*

Śmigłowiec zaledwie w kilka minut przenosi nas z powrotem do CLIIS, ale w tym czasie nie mam nic więcej do roboty, jak zastanawiać się nad tym, co zaszło - i gdy tak o tym dumam, ogarnia mnie złość. Zgodziłem się na wszczęcie neuronetki. Jeśli chodzi o emocje, to jestem okablowany. To część mojej pracy i nie skarżę się z tego powodu, ale Nadzór ma obowiązek strzec mnie przed ingerencjami z zewnątrz, a oni zawiedli. Kolejny raz.

Wkurza mnie to.

Krwawa plama przesącza się przez ich zapory i wpływa na mnie. Jak dotąd Czerwień jest po mojej stronie, ale nikt nie wie dlaczego, i nie ma żadnego powodu, żeby sądzić, że już tak zostanie.

Niekiedy Diabeł wynosi nas tylko po to, żeby zrzucić z większej wysokości.

Thelma Sheridan jest szalona, bez dwóch zdań, ale to nie znaczy, że jest głupia. Pewnego dnia, kiedy to będzie zgodne z jej planem, Czerwień może mi zafundować stan paniki właśnie wtedy, gdy jedynie spokój i rozsądek mogłyby ocalić życie moje oraz otaczających mnie ludzi. Zatem nie jestem już Dawidem, tylko Saulem - odrzuconym przez Boga i poległym na polu walki wraz z moimi żołnierzami.

Lądujemy na placu i gdy tylko drzwi śmigłowca się odsuwają, wyskakuję na zewnątrz.

- Kendrick!

Otwiera prywatne łącze z moim hełmem.

- Odprawa. Natychmiast. Pokój sto dziesięć.

Nie zdejmując martwej siostry i z ztkh w ręce, wkraczam do Centrum Cyborgizacji. Z otwartych drzwi największej sali konferencyjnej wylewa się gwar rozmów zgromadzonych tam obserwatorów, ale pułkownik Kendrick jest w mniejszym pomieszczeniu. Otwieram drzwi pokoju 110 i zastaję go przy owalnym stole, siedzącego plecami do wejścia. Zasadniczo nie jest całkiem sam. Na blacie znajdują się dwa tablety. Z jednego spogląda na mnie nieznana mi generał, a z drugiego cywil.

Cywil jest delikatnym, pulchnym dwudziestoparolatkiem o ciemnych oczach, charakterystycznych dla mieszkańców Bliskiego Wschodu, ciemnych włosach i z popołudniowym zarostem na twarzy.

- Witaj, Shelley - mówi. Głos potwierdza to, co już podejrzewałem: to Poganin.

- Zjawilo się - oświadczam. - Włamało się do mojej głowy tak samo jak w Dassari. Wasze nowe zabezpieczenia nie zadziałały.

Poganin krzywi się, ale odpowiada generał z ekranu tabletu.

- Wiemy o tym, poruczniku Shelley. Odkrycie przyczyny to priorytetowe zadanie.

Patrzę na nią ponownie. To starsza kobieta o wyblakłych niebieskich oczach i stalowosiwych włosach zaczesanych do tyłu. Moja nakładka identyfikuje ją w encyklopedii i wyrzuca tag: generał brygady Harmonii Trager, dowódca Nadzoru.

- Obserwowaliśmy włamanie - wyjaśnia Poganin. - Dziś w nocy byłeś moim jedynym podopiecznym, więc widziałem, jak się to stało. Strumień danych płynący z twojej neuronetki wygasł na jedną i trzy dziesiąte sekundy.

- Tyle to trwało? Jeden koma trzy sekundy?

- Owszem - potwierdza Poganin. - Poza tym wszystko w normie. Wpadło, zostawiło wiadomość na neuronetce i się ulotniło.

Patrzę na Trager.

- Jeden koma trzy sekundy to więcej niż dość, żeby zmienić przebieg walki. I nie chodzi tylko o mnie. Jeśli mogą zhakować mnie, to mogą to zrobić z każdym żołnierzem PGB.

- Siadaj, Shelley - mówi Kendrick. - I zamknij się.

Spoglądamy na siebie wilkiem, ale on jest pułkownikiem. Ja tylko porucznikiem, który robi, co mu każą.

Zaczynam odpinać złącza, bo martwa siostra nie jest zaprojektowana do siadania. Potem wychodzę z oporządzenia, wieszam na nim broń i zajmuję miejsce.

- Generał Trager, Nadzór miał wiele tygodni na wyeliminowanie słabego punktu.

- Do diabła, poruczniku. Nie jesteśmy w stanie załatać wyłomu, skoro nie wiemy, gdzie on jest.

- Jakim cudem możecie nie wiedzieć?

- To sięga bardzo głęboko, Shelley - odzywa się Poganin. - W jakiś sposób potrafi obejść wszystko, co mamy.

- Reality show...

- Nie ma z tym nic wspólnego - wpada mi w słowo Trager. - Nie bawimy się panem dla podkreślenia dramaturgii.

- Ale Czerwień tak.

- Czerwień? - Kendrick spogląda na mnie ze swoją dobrze wypraktikowaną miną, która mówi: Jesteś idiotą? Jaka Czerwień? Czerwone Chiny? Kto jeszcze tak mówi, do cholery?

- Po prostu Czerwień - wyjaśnia Poganin. - Tak to nazywamy.

Wzdycham i opieram się w fotelu, zastanawiając się, czego Kendrick mi nie mówi.

- To określenie Thelmy Sheridan. „Plama krwawej czerwieni”, która przenika wszystko.

- Mam nadzieję, że nie pozwoliłeś, żeby szaleństwo pani Sheridan wlało ci do głowy. Już masz

tam tŁok.

Nie daję się podpuścić i zwracam się ku Trager.

- Czy zhakowano te¿ innych ŹoŁnierzy?
- Nie ma pan uprawnieŃ do prowadzenia takiej rozmowy.

Jestem przekonany, że odpowiedź oznacza „tak”.

W ramce tabletu jej palce stukaję w klawiaturę.

- Opracowywana teoria głosi, że za tą infiltracją kryje się jeden z przedsiębiorców wojennych, siedzący głęboko w naszym systemie łączności. Kontrahenci obronni zwykli toczyć krótkie rozgrywki. Zrobili forszę, przygotowując się po prostu do następnej wojny. Potem zrozumieli, że mogą wykorzystać członków Kongresu do zorganizowania kolejnych konfliktów i zwiększenia sprzedaży. Po drodze wielcy przedsiębiorcy pochłonięli małych, a jeden z ocalałych musiał zadać sobie pytanie: Dlaczego ograniczać się do polityków? Dlaczego nie wpływać także na przebieg walk?

Marszczę brwi, zastanawiając się, dlaczego pani generał mi to mówi. Co chce osiągnąć? Nie mam tajemnic. Jako dowódca Nadzoru wie o tym. Mo¿e więc dezinformuje mnie, gdy¿ uważa, że jestem łącznikiem Czerwieni?

- To wychodzi poza ramy wojska - stwierdzam ostrożnie. - Być mo¿e istotnie jakiś przedsiębiorca wojenny wynalazł system infiltracji naszej łączności, ale uważam, że CzerwieŃ go przejęła. Gdyby panował nad tym kontrahent, ukrywałby to, co robi. Nie wracałby cięgle po to, żeby mnie wykorzystywać.

- Zgadzam się - mówi Kendrick. - I Źaden PW nie ma organizacyjnej spójności pozwalającej osiągnąć ten poziom infiltracji i kamuflowania ka¿dego śladu ingerencji. W jakimś momencie ktoś popełniłby błąd, a nie doszło do niego.

- Więć to CzerwieŃ - stwierdzam.

Kendrick opiera się w fotelu, z łokciami na podłokietnikach, z dŁoŃmi splecionymi na piersi.

- Skoro chcesz to tak nazywać. Czemu nie, cholera? Można to nazwać, jak się chce, bo nie wiemy, co to jest, nie wiemy, jak to działa, ale wydaje się nam, że wiemy, czego chce.

To mnie porusza. Pochylam się, żeby usłyszeć ka¿de słowo, gdy¿ plany Czerwieni pozostaję dla mnie nieprzeniknionę tajemnicę.

Kendrick uśmiecha się, co można uznać za przejaw czarnego humoru.

- Zebrane przez nas dowody wskazuję na to, że celem jest radykalna zmiana sytuacji. Obalenie Goliata i wyniesienie Dawida, a kiedy Dawid urośnie zbytnio, to wbicie w ziemię także i jego.

To metafora, ale mi umyka.

- Ma pan na myśli przedsiębiorców wojennych czy kraje?

- Wszystko - mówi Kendrick. - Nas wszystkich. To, co zintegrowano z Chmurę, jest nara¿one na ciosy. Ty. Ja. Ka¿dy połączony ŹoŁnierz. Ahab Matugo. Ka¿dy punk na ulicy, sunący przez życie z włączonym wizorem. A także Thelma Sheridan. Usiłowała odciąć się od Chmury, ale nie mo¿e się odłączyć od wszystkich i wszystkiego, co jest związane z Chmurę.

Podejrzewam, że pułkownik pogrywa sobie ze mnę tylko po to, żeby się przekonać, ile bzdur łyknę, ale nie obchodzi mnie to.

- Musimy się więc tego pozbyć.

- Łatwiej powiedzieć, ni¿ zrobić.

- Nie ma sposobu?

- Zawsze jest jakiś sposób, synu, jeśli tylko jesteŃmy gotowi zapłacić odpowiednię cenę.

Czekam, ale kiedy nie rozwija tego, naciskam:

- Zapłacimy?

- Sprawa jest w komisji. Tymczasem traktuj to jak kolejny punkt w terenie, który musimy zdobyć, promując interesy naszego kraju.

Nie wierzę własnym uszom.

- Po prostu żyć z tym? To mi pan radzi?
- Co ci pozwala myśleć, synu, że masz wybór?

* * *

Po prostu żyć z tym.

Składam gnaty martwej siostry, łapię hełm i ztkh, po czym idę do koszar. Świt zaznacza niechętnie na wschodzie swoją obecność ledwo widoczną bladą poświatą. Noc nadal włada niebem, wypełniając je gwiazdami i jasnymi iskrami szybujących satelitów. Umieszczone wzdłuż chodnika światła przypowierzchniowe rzucają bursztynowy blask na beton, ukrywając obecność ośrodka przed wypatrującymi nas z góry i uniemożliwiając mi jednocześnie zobaczenie czegokolwiek powyżej kolan.

Zauważam więc Jaynie dopiero wtedy, gdy się do mnie odzywa.

- Ransom mówi, że Bóg nadal do pana przemawia.

Zerkam w mrok i po chwili ją dostrzegam. Siedzi po turecku na płaskim obrzeżu pustej donicy ogrodowej, która obejmuje róg koszarowca. Podchodzę do Jaynie, kładę sprzęt na ziemi i też siadam, z bronią opartą na tytanowym kolanie. Kiedy wyciągam przed siebie nogi, moje stopy na tle słabo oświetlonego betonu wyglądają jak artefakty kosmitów.

Przekazuję Jaynie zgodną opinię:

- Bóg przyjął postać błędzącego autonomicznego programu, który zinfiltrował Chmurę. Zostałem zhakowany. Nie ja jeden.

Jej głos dochodzi z ciemności:

- Jaja pan sobie robi?
- Nie.

Dzielę się z nią moimi skromnymi informacjami na temat Czerwieni, bo chcę skazać ją prawdopodobnie zastrzeżonymi danymi wywiadowczymi. Dzięki temu, gdy poprosi o przeniesienie do innego oddziału, Kendrick niemal na pewno odmówi, a ja będę miał w garści uzdolnionego podoficera.

- Czerwień - szepcze. - Zatem to prawda.
- Co?

- Że na zewnątrz istnieje coś, co kieruje ludzkość ku zgubie.

Dreszcz przebiega mi po grzbiecie. Jaynie jest rzetelna: bystra, sceptyczna, godna zaufania. To starsza siostra której nigdy nie miałem, gotowa przywołać mnie do porządku, gdy zacznę się biesić. Nadprzyrodzone bzdety to nie jej działka.

- O czym ty mówisz, Jaynie?

- Musi pan więcej wychodzić do świata, poruczniku. Dzieją się dziwne rzeczy. Ludzie dokonują wyborów, co do których nigdy by pan nie pomyślał, że tak postąpią. Zna pan Moona? Jego siostra rzuciła bez powodu pracę w fabryce. Powiedziała mu, że padł na nią jakby czar i zrozumiała, że nie jest jej powołaniem spędzić życie na pilnowaniu, żeby każdy z dziesięciu milionów cukierków był porządnie zawinięty w papierek. Matka Tuttle'a odeszła od nieroba, z którym żyła przez dziewięć lat, kiedy naszło ją tak silne wrażenie, że czas coś zmienić, że nie potrafiła się mu oprzeć. Młodszy brat Ransoma był zdecydowany się zaciągnąć, ale po obejrzeniu *Mrocznego patrolu* wycofał dokumenty, spakował plecak i wyruszył z grupą młodzieży, która zajmuje się dobroczynnością - porzucając wszelkie szanse na płatną robotę. I słyszałam opowieści o bogatych dzieciakach, takich jak pan, którzy podpisują kontrakty wojskowe bez żadnego istotnego powodu.

- Miałem ważny powód.

- Nie wszyscy mają. - Jej but drapie o beton. Głos ma cichy, ale kpiący. - Ludzie mówią: „Przejrzałem na oczy”. Albo: „Bóg zasiał niepokój w moim sercu”. Lub: „Pierwszy raz w życiu zrozumiałem, po co znalazłem się na świecie. Po prostu wiedziałem”.

- To źle? - pytam. - Nie wygląda mi to na szaleństwo.

- To cholernie podejrzane. Wszyscy zostaliśmy zhakowani?

- A ty?

- Wiedziałałabym o tym?

- Masz jakikolwiek powód, żeby uważać, że tak?

- Tak. Trafiłam do finału pańskiego reality show, prawda? Do tego nie powinno było dojść.

Właśnie skończyłam turę. Miałam obiecany urlop, ale w ostatniej chwili przyszły nowe rozkazy i wylądowałam w Dassari.

- Całe tygodnie czekałem na nowego sierżanta. Mieliśmy braki kadrowe. Wiesz, że nigdy nie ma dość personelu dla wszystkich oddziałów.

Otwierają się frontowe drzwi Centrum Cyborgizacji i oboje się wzdygamy, a ja odruchowo sięgam po karabin - już drugi raz jestem bliski wycelowania broni w dowódcę, bo to właśnie Kendrick wychodzi z jasnego światła wylewającego się z wnętrza budynku.

Wstaje. Jaynie także się podnosi. Poranek zaczyna się rozjaśniać. Może na wschodzie jest dosyć światła, żeby Kendrick nas dostrzegł... ale jestem pewny, że już wie, że tu jesteśmy.

- Musi się pan nauczyć większej dyskrecji, Shelley - mówi, podchodząc bliżej i dając mi znać, że śledził wątek naszej rozmowy, rejestrowanej przez moją nakładkę. Nie jestem zaskoczony. Wiedziałem, że ktoś będzie słuchał.

Odwraca się do Jaynie.

- Co z tego, Vasquez? Naprawdę chce pani popierać tę historię o informatycznym duchu? Zacząć winić Czerwien o wszystko, co poszło nie po pani myśli?

- Kogoś muszę winić, sir.

Kendrick wybucha śmiechem; rzy głośno prosto z trzewi.

- Tak właśnie robimy, chociaż dawniej nazywaliśmy to po prostu powodzeniem. Niech pani nauczy się pomagać szczęściu i przestanie straszyć samą siebie. Wiemy, że wróg istnieje. To duży krok naprzód.

Idzie w swoją stronę i znika w koszarach.

- Przy panu nie ukryje się żadna tajemnica, co, sir? - Pyta Jaynie.

Schylam się po martwą siostrę.

- Żadna - przyznaję. - Dobrze jest mieć to na względzie.

* * *

W środku czeka Elliot, opierając się o pulpit dyżurnego Służbę ma Jayden Moon, już wykąpany, przebrany i zirytowany obecnością Elliota, który niewątpliwie wyjaśniał mu zależności między wojną, polityką i przedsiębiorcami wojennymi.

Kiedy wchodzę, Moon wygląda tak, jakby mu ulżyło.

- Poruczniku, pan Weber chce się z panem widzieć.

Elliot odwraca się i mierzy mnie wzrokiem z góry na dół - od ogolonej maszynką głowy po robocie stopy.

- Shelley. Nie mogłem uwierzyć, że to ty byłeś tam dzisiejszej nocy. Kiedy widziałem cię ostatni raz, nadal siedziałeś w fotelu na kółkach.

Zdobywam się na przemądrzały uśmiech, bo gdybym wyglądał na zaniepokojonego, Elliot zapytałby dlaczego.

- Uważam, że protezy się sprawdziły. Nie jestem komiksowym cybernetycznym superwojownikiem, ale daję radę. Niebawem powinienem dostać oficjalny certyfikat. Zostanę uznany za zdolnego do służby polowej, co oznacza, że program Kendricka otrzyma pokaźny grant. - Idę ku schodom, niosąc M-CLla i martwą siostrę. - Na długo przyleciałeś? Nie odlatujesz dzisiaj rano?

Dotrzymuje mi kroku.

- Nie, nie. Wciąż muszę zrobić z tobą wywiad. Krótki - dodaje szybko, kiedy zaczynam protestować. - Daj spokój, to tylko historia o prawdziwym człowieku, gwiazdzie *Mrocznego patrolu*. Wojsko chce,

żeby to zrobić. Popierają ten program protetyczny. Dlatego tutaj jestem.

Są inne powody, dla których jest tutaj, związane z naszą rozmową telefoniczną o drugiej nad ranem. Zaczynamy wchodzić po schodach.

- Trudno uwierzyć, że piszesz obecnie propagandowe teksty dla wojska - mówię.

Przystaje na podeście, mierząc mnie wzrokiem.

- Wiem, że masz wiele na głowie, Shelley, ale nie jestem twoim wrogiem.

Może to prawda. Mam nadzieję, że tak. Ale nie zamierzam pozwolić, żeby obciążał mnie winą. Idę dalej.

- Sprawy nie są proste - mówię. - Nie z tobą i nie z wojskiem.

Może docieram do niego.

- Uważasz, że mam inny powód, żeby być tutaj? - pyta, kiedy docieramy na górę. - Dobra. Masz rację.

Krocę dalej, aż dochodzę do drzwi kwatery. Martwa siostra zaczyna mi cholernie ciążyć, otwieram więc drzwi i wkładam ją do środka. Potem odwracam się do Elliota.

- Słyszałem pogłoski... - mówi.

Podnoszę dłoń w rękawicy i Elliot urywa. Stukam się palcem obok oka, żeby mu przypomnieć, co tam mam.

- Nie mów tego, jeśli nie chcesz, żeby wojsko to słyszało.

- Jeśli nie wiedzą, to są w głębszej dupie, niż nawet ja im to przyznaję. - Krzyżuje ramiona na piersi i zadziera brodę, jakby prowokował mnie do sprzeczki. - Myślę, że ten pomysł zrodził *Mroczny patrol*, Shelley, ale szerzy się pogłoska, że żołnierze połączonych grup bojowych zostali zinfiltrowani - zhakowano ich przez neuroskalpy.

Instynktownie przyjmuję kamienny wyraz twarzy.

- Gdzie to słyszałeś?

- W Chmurze. Nie w żadnym konkretnym miejscu. To jedna z tych rzeczy, o których ludzie gadają... i to skłoniło mnie do namysłu. W Kelly AMC, kiedy przyjechałem cię odwiedzić, nie byłeś zbyt pewny, dlaczego chciałeś, żebym się tam zjawił. Zacząłeś tego żałować. Pamiętasz, o co mnie zapytałeś?

Pamiętam, ale zaprzeczam ruchem głowy.

- Zapytałeś: „Zachowywałem się normalnie podczas naszej rozmowy?”.

- I co odpowiedziałeś?

Marszczy brwi.

- Posłuchaj, rzecz w tym, że miałeś wątpliwości co do własnych zdolności poznawczych.

- Odpowiedziałeś, że zachowywałem się zwyczajnie.

- Taa, zgadza się. Nadal tak jest. To tylko w momentach króla Dawida robi się dziwnie. - Unosi brwi, jego spojrzenie zaprasza mnie do udzielenia wyjaśnień.

Zamiast to zrobić, wycofuję się.

- Muszę się przespać.

Wślizguję się do pokoju i zdecydowanie zamykam za sobą drzwi.

*

Kiedy biorę prysznic, dyktuję raport z nocnych działań poligonowych, co pozwala mi się zwalić na łóżko w chwili, gdy słońce wynurza się spod horyzontu. Blask za zamkniętymi żaluzjami jest jak wybuch jądrowy.

Zamykam oczy i zawsze aktywne ikony nakładki rozjaśniają się nieznacznie, ale kiedy je ignoruję, stają się tak przejrzyste, że niemal niewidzialne. Odpływam, widząc śnione obrazy zamiast ikon, gdy w dolnej jednej trzeciej mojego pola widzenia wyskakuje prostokątne okienko wiadomości, przez co ze wzdrygnięciem wracam na jawę: „Dostępna sieć publiczna”.

Otwieram ponownie oczy i dostrzegam smugi nuklearnego ognia przesączające się przez żaluzje.

Nadzór odłączył mnie od sieci, gdy tylko przejechałem granicę strzeżonego terenu CLIIS i ma tak zostać jeszcze przez trzy dni, póki nie wyjadę na urlop. Dlaczego jestem zatem połączony teraz z Chmurą?

Może to nagroda, o której Kendrick zapomniał wspomnieć? A może pomyłka. W zasadzie nie obchodzi mnie to.

- Połącz mnie z Lissą - szepczę.

Ale ktoś właśnie dzwoni do mnie, i to jest ona.

- Lissa? - pytam zdumiony.

Słyszę jej głos, cichy, zdyszany, przestraszony:

- O mój Boże, Shelley. To naprawdę ty? Nie sądziłam, że uda mi się połączyć, ale chciałam po prostu... od jak dawna jesteś w sieci?

- Od kilku sekund. Szlaban zniknął. Miałem właśnie do ciebie dzwonić. Czy to nie dziwne? Że zatelefonowałam dokładnie wtedy, gdy...

Dociera do mnie, że naprawdę jest to niezwykle.

- Jezu, Czerwień mnie włączyła.

- Czerwień?

- Tak.

Nie muszę jej tego wyjaśniać.

- A więc wrócił - szepcze.

- Król Dawid - potwierdzam.

- Zatem nowe zabezpieczenia nie zadziałały. Nic dziwnego...

- Co wiesz o nowych zabezpieczeniach, Lisso? Powiedz mi, co się dzieje!

- Nie wiem, ile mogę ci powiedzieć. Pamiętasz, że wojsko chciało zawrzeć umowę z Pace

Oversight, żeby nadzorować nasz projekt?

- Twoja firma odrzuciła ofertę.

- Wojskowi wrócili. Bezpieczeństwo narodowe. Racja stanu. Współpracujemy z nimi od tygodni i...

boję się, że za dużo powiedziałam.

- To znaczy? Co wiesz?

- Zawsze, gdy z tobą rozmawiam, Shelley, ktoś tego słucha. Słuchają i teraz, prawda?

Wstaję i zaczynam chodzić. Moje robocie stopy stukają o płytki podłogi, przecinam skośne smugi blasku, który mnie niemal oślepia.

- Nie musisz nic mówić.

Ale chcę wiedzieć.

Lissa chce mi powiedzieć.

- Łączniczka wojskowa, z którą współpracuję - nie znam jej nazwiska - zatelefonowała do mnie niemal godzinę temu... tak wcześnie, że wiedziałam od razu, że coś jest nie tak. Bałam się o ciebie. Nie chcę, żebyś znowu oberwał.

- Nic mi nie jest. Nie martw się.

- Chciała poznać mój najlepszy pomysł na pozbycie się... Czerwieni.

- Dopiero co rozmawiałem z Kendrickiem... o tym samym. - Powstrzymuję się, żeby nie powiedzieć za dużo, ale Lissa rozumie.

- To najważniejsze pytanie - mówi - a odpowiedź nie jest prosta, gdyż Czerwień nie jest czymś jednostkowym. Sądzę, że wyrosła z wielu programów marketingowych i inwentaryzacyjnych...

- Marketingowych? Żartujesz? - Sugestia generał Trager, że program stworzył przedsiębiorca wojenny, ma dla mnie więcej sensu.

- Uważasz, że to banalne?

- Taa.

- Obecnie najbardziej zaawansowane programy służą analizie konsumenckiej. Są wszędzie,

rejestrują i analizują wszelkie aspekty naszego życia. Ilość informacji zebranych o każdym z nas jest niewyobrażalna — ale to tylko jeden aspekt. Na ile mogę powiedzieć, Shelley, część tego programu, Czerwień, działa na całym świecie i się powiela, więc to nie jest tak, że można zwyczajnie „wyciągnąć wtyczkę”.

Kendrick powiedział dokładnie to samo, a kiedy zapytałem, czy nie ma sposobu na pozbycie się tego, odparł: „Zawsze jest jakiś sposób, synu, jeśli jesteśmy gotowi zapłacić odpowiednią cenę”.

A ja spytałem: „Zapłacimy?”.

- Jaka jest cena za pozbycie się Czerwieni? - pytam Lisę. - Co musielibyśmy zrobić?

- Sądzę, że musielibyśmy wyeliminować środowisko, w którym istnieje... zniszczyć Chmurę. To przekazałam wojskowym i obawiam się, że mogą to zrobić.

Kendrick powiedział, że zagadnienie rozważa komisja.

- Nikt nie może zlikwidować Chmury — podkreślam. - To wszechobecny, przepełniony system.

- Chcemy tak myśleć. - Głos ma cichy, przerażony. - Ale to nieprawda. Naukowe zauroczenie, skarbie. Cały nielokalny transfer danych odbywa się za pośrednictwem ograniczonej liczby urządzeń zwanych centralami. Usuń ich garść...

Jej wypowiedź urywa się w pół zdania, ale ikona połączenia z siecią świeci się nadal na zielono. Oddzwaniem do Lissy, ale nie dochodzi do połączenia.

Kilka sekund później ktoś uruchamia alarm obronny placówki.

Wnętrze koszar wypełnia grzmiące dudnienie, gdy wszyscy starają się przywdziać kamizelki i gnaty.

Potrzebuję dwóch minut, żeby się ubrać i nałożyć osprzęt. Wciskam na głowę hełm i obserwuję ikony pojawiające się na przyłbicy. Jestem połączony z neuronetką, z ztkh, z rosnącą liczbą moich żołnierzy oraz z siecią CLIIS - ale łącze z Nadzorem wyblakło. Nie wita mnie głos Delphi. Nikt w ogóle się do mnie nie odzywa.

Wizualizuję łącze z pułkownikiem Kendrickiem.

- Co jest?

- Zostaliśmy zaatakowani. Dopilnuj, żeby wszyscy twoi żołnierze byli w pełnej gotowości i w sprzęcie.

Malutkie wentylatorki hełmu owiewają moje rozpalone policzki przyjemnym, chłodnym powietrzem. Chwytam broń i otwieram z rozmachem drzwi.

U szczytu schodów stoi Elliot, w bokserkach, jakby właśnie wyskoczył z łóżka. Obraca się gwałtownie, żeby spojrzeć na mnie, na jego ściągniętej twarzy malują się strach i szok; mruży oczy, starając się przekonać samego siebie, że facet za anonimową czarną przyłbicą to ja.

- Shelley?

Między nami otwierają się drzwi kwatery Chena i major wychodzi na korytarz w kamizelce, ale bez gnatów. Prześlizguję się obok niego ku podestowi schodów. Nie ma czasu na gadanie z Elliotem, ale i tak przystaję i dłonią w rękawicy dotykam jego ramienia.

- Elliot, nie wiem, co się dzieje, ale sytuacja jest poważna. Trzymaj się z dala i bądź przygotowany na wszystko.

Zeskakuję ze schodów od razu na podest, pozwalając, żeby amortyzatory nóg martwej siostry przyjęły wstrząs lądowania. Kolejny skok i jestem w lobby. Jest puste, jeśli nie liczyć nieznanego mi z nazwiska szeregowego, który na stanowisku za biurkiem wygląda na przerażonego.

Drzwi kwater żołnierzy są otwarte; mężczyźni po jednej stronie, kobiety po drugiej. W korytarzach panuje chaos gdyż wszyscy wypadają z pokoi i dopinają nadal zatraski martwych sióstr, zmierzając nieporadnie w stronę holu. Niektórzy mają hełmy w dłoniach zamiast na głowach.

Widzę Jaynie, która wkracza w zamęt w pełnym rynsztunku i w hełmie na głowie.

- Trzydzieści sekund! - krzyczy bez pośrednictwa gen--komu. - Macie trzydzieści sekund na zbiórkę w lobby w pełnym oporządzeniu albo skopię wam tyłki!

Po swojej stronie sierżant Nolan zachęca w podobny sposób facetów, odwracam się więc do szeregowego strzegącego biurka podoficera dyżurnego.

- Meldujcie.

To chudy dzieciak o wielkich wystraszonych oczach. Podaje mi kartkę wyjętą z drukarki - coś, czego prawie nie widuję, odkąd jestem w wojsku.

- Wiadomość od generała z fortu Hood, sir.

Temat: STOPIEŃ ALARMU CZERWONY:

EKSPLOZJA NUKLEARNA W POBLIŻU DALLAS

Treść: W okręgu Dallas doszło do eksplozji, którą z dużym stopniem prawdopodobieństwa określono jako wybuch ładunku jądrowego małej mocy. Cały personel wojskowy ma się stawić natychmiast w swoich jednostkach. Jeśli nie jest to możliwe, personel powinien się zgłosić w najbliższej jednostce wojskowej.

Szczegóły niebawem.

- Zbiórka! - wrzeszczę, gdy żołnierze wlewają się do lobby.

Sierżanci wpychają ich do szeregu i chaos przeradza się w porządek: cztery równe szeregi po pięć osób. Moich szesnastu żołnierzy PGB ma na sobie kamizelki i gnaty oraz hełmy na głowach. Na końcu każdego szeregu stoi żołnierz ubrany jak major Chen, w mundurze polowym i w kamizelce, ale bez martwej siostry i hełmu, tylko z pętlą audio. Stanowią personel pomocniczy. Jest ich w sumie pięcioro, wliczając szeregowego nadal siedzącego za biurkiem dyżurnego. Widzę tylko ich twarze; wszyscy wyglądają na przerażonych.

Ja też jestem przerażony.

Chcę wiedzieć, czy wybuchła tylko jedna bomba... czy były inne, w innych miastach? Czy doszło do eksplozji w San Diego? Czy Lissa żyje, czy też słyszałem przez telefon jej ostatnie słowa? Dlaczego, do kurwy nędzy, rozmawialiśmy o wyeliminowaniu Chmury? Nawet jej nie powiedziałem, że ją kocham, a ona się bała. Już się bała.

A ojciec? Żyje?

A ci stojący przede mną żołnierze? Jak długo przetrwają podczas wojny, która z całą pewnością musi wybuchnąć?

Wszyscy podnoszą wzrok, gdy pułkownik Kendrick schodzi z pierwszego piętra w kamizelce, gnatach i w hełmie na głowie. To delikatna operacja, jeśli zważyć, że stopy martwej siostry są dłuższe od głębokości stopni, ale robi to zrećźnie.

Za nim podąża major Chen. Przyłbica nie zasłania jego surowego oblicza. Nie wątpię, że otrzymał zawiadomienie o czerwonym alarmie, wsuwam więc wydruk do kieszeni i staję na baczność - jak i wszyscy inni.

Kendrick zatrzymuje się na czwartym stopniu od podstawy schodów. Anonimową fasadą przyłbicy lustruje żołnierzy. Odzywa się przez gen-kom:

- Nasz kraj został zaatakowany. Podłożone ładunki nuklearne zdetonowano w pobliżu Dallas, Miami, Alexandrii...

Dyscyplina pęka i po nazwach kolejnych miast rozlegają się westchnienia i jęki.

- ...Chicago, Seattle, San Jose i...

Sztynnieję. Skądś wiem, że ostatnim wymienionym miastem będzie San Diego. Rozpaczliwie chcę, żeby to nie była prawda, ale pułkownik wypowiada tę nazwę i to urzeczywistnia. Żar tryska ze wszystkich porów mojego ciała i ikona neuronetki się rozpala. Mówię sobie: Lissa nadal żyje, i zmuszam się do słuchania Kendricka.

- Podejrzewa się, że ładunki to przewoźne bomby o sile wybuchu dziesięciu kiloton, wywołujące poważne zniszczenia w zabudowie w promieniu niecałego kilometra od punktu zero oraz znaczne oparzenia i obrażenia popromienne w promieniu półtora kilometra. Na razie nie wiadomo, kto jest

odpowiedzialny za atak ani jaki był jego cel, ale jego zakres oraz liczba w pełni sprawnych urządzeń nuklearnych wskazuje na to, że wróg jest dobrze zorganizowany, dobrze uzbrojony i przypuszczalnie dobrze ulokowany w strukturach naszej obronności. Co oznacza, że to robota kogoś z wewnątrz, działanie, które naraziło na ryzyko nasz kraj, nasz system, nasz styl życia. Nasze systemy łączności są przeciążone. Będziemy działać, nie oczekując jednostkowej opieki ze strony Nadzoru, ale łączność między hełmami musi być cały czas aktywna. Wasze rozkazy polecają wam obsadzić przydzielone stanowiska obronne, a jeśli jakikolwiek nieuprawniony pojazd lub osobnik naruszy naszą przestrzeń powietrzną lub naziemną... Do diabła! Jeśli jakiegokolwiek podejrzanego zwierzę wychynie z nory, rozwalcie je ku chwale ojczyzny. Ruszać!

*

Moja ikona dostępu do sieci cywilnej świeci się cały czas na zielono, zapewniając mnie, że mogę skorzystać z łączności pocztowych, ale próby rozmów telefonicznych i pytania -do Lissy i ojca - nie docierają. Być może sieć cywilna została po prostu odcięta od Chmury. Może Chmura jest przeciążona. A może znikła.

Kendrick i Chen są połączeni z systemem satelitów wojskowych przez anioła, który obserwuje nas z góry, ale reszta nas jest odcięta, skoro ikony Nadzoru wyblakły. To decyzja podjęta przez Dowództwo. Istnieje realna groźba, że nadmierny tłok w eterze może sparaliżować resztki naszego systemu komunikacji, więc łączność jest dozwolona jedynie na wysokich szczeblach.

Zatem wraz z dwoma sierżantami przejmujemy obowiązki będące zwykle w gestii Nadzoru i kontrolujemy posterunki obronne, żeby się upewnić, że broń jest w pogotowiu i nikt nie śpi. Poranek przemija bez prób wrogiej interwencji. Gdyby nas zaatakowano, to przyniosłoby niemal ulgę. Przynajmniej byłoby co robić, zamiast rozmyślać o losie ukochanych osób.

Tuż po południu Kendrick łączy się jedynie ze mną. Jego niski głos dudni w głośnikach hełmu.

- Shelley. Narada dowództwa. Pięć minut.

- Tak jest, sir!

Nigdy dotąd nie byłem taki zadowolony z uczestnictwa w naradzie.

*

Wchodząc do sali konferencyjnej, zdejmuję hełm. To to samo pomieszczenie, w którym się spotkaliśmy przed świtem - wydarzenie, które odbyło się w innym wieku, w innym świecie. Są tutaj pułkownik Kendrick i major Chen, ale brak wirtualnych oficerów. Chociaż tablety znajdują się nadal na stole, są wyłączone, a ich ekrany puste.

Monitor ścienny przekazuje obraz satelitarny jednej z sieci telewizyjnych. Dźwięk jest wyłączony, ale napisy mówią mi, że widzę potężny zator drogowy powstały w wyniku ucieczki ludzi z Alexandrii.

Siedzący za stołem konferencyjnym major Chen podnosi na mnie wzrok; jego twarz to surowa maska.

- Mediocci nazwali to „Komą”. Wybuchy zniszczyły siedem spośród głównych krajowych central informatycznych. Wszystkie zostały zbudowane tak, żeby przetrwać huragan klasy piątej, ale nie bliskie eksplozje jądrowe. Telekomunikacja naziemna została podzielona na moduły regionalne, z których większość zablokowała się na skutek intensywności przesyłu w ciągu kilku minut od chwili zero. Satelity nie ucierpiały, co pozwala mediotom uprawiać dowolną propagandę, ale ich uprzywilejowana pozycja jest zagrożona. Sieć energetyczna siada, gdyż jej obciążenie jest sterowane poprzez Chmurę, a w Stanach Zjednoczonych Chmura zniknęła.

Lissa powiedziała, że w celu pozbycia się Czerwieni musielibyśmy zlikwidować środowisko, w którym funkcjonuje. Nie chce mi się wierzyć, żeby wojsko miało w tym swój udział.

- Ofiary śmiertelne? - pytam, stojąc wciąż w pełnym rynsztunku, z hełmem pod pachą.

Chen mruży oczy, kręci głową.

- Na tym etapie liczby to fikcja. Zniszczenia są przypuszczalnie znaczne. Logicznie jest zakładać, że celem nie były same budynki. Na skutek ataku musiały zginąć setki wysoko wykwalifikowanych

techników, którzy dozorowali i naprawiali te urządzenia. Bóg jeden wie, ile czasu potrwa przywrócenie łączności bez ich pomocy.

- Rozmawiałem rano z moją dziewczyną - przyznaję się. - Z Lissą Dalgaard. Tuż przed zdetonowaniem bomb. Doradza wojsku, dzieląc się wynikami badań nad Czerwienią. Powiedziała, że to jest to - cena za załatwienie jej. Lissa obawiała się, że zrobi to wojsko. - Moje spojrzenie wędruje ku Kendrickowi. Muszę znać prawdę. - Zrobiliśmy to?

Kendrick ma nadal na sobie kamizelkę, ale zdjął martwą siostrę, złożył ją i umieścił za fotelem. Jak ja był na nogach całą noc. Na jego twarzy widać zmarszczki zmęczenia. Oraz gniew. Odchyła się w fotelu i krzyżuje ramiona na piersi, namyślając się, co ze mną zrobić... chyba zastanawia się, czy ma wyjąć pistolet i mnie zastrzelić. Tak czy inaczej, wiem, że mam przejebane.

Wali pięścią w stół.

- Kiedy o tym rozmawialiście, poruczniku Shelley?

Prostuję się.

- Dzisiaj rano, sir.

Odpycha fotel i wstaje. Jego dłoń spoczywa na klapce kabury pistoletu.

-I według twojej oceny Siły Lądowe Stanów Zjednoczonych są zdolne przeprowadzić w ciągu godziny, z pogwałceniem konstytucji Stanów Zjednoczonych, skoordynowany atak nuklearny na amerykańskiej ziemi, jak kraj długi i szeroki?

Jestem zbyt głupi, żeby się bać.

- Powiedział pan, że to zagadnienie rozważa komisja, sir.

- Komisja! Znasz podstawową cechę komisji, poruczniku? To żółwie tempo! Czy też twojej ekskluzywnej manhattańskiej szkole nie udało się wpoić ci żadnej praktycznej wiedzy o świecie?

- Nie wydaje mi się, żeby wykonali szczególnie dobrą robotę, sir.

- To kurewska prawda! Zostałeś przydzielony do CLIIS, gdyż spodziewano się, że masz w czaszce sprawny mózg, ale jeśli dasz mi kolejny powód do przypuszczeń, że nie ma w niej nic prócz sfermentowanej spermy, to anuluję twój kontrakt i przekażę cię stanowym władzom więziennym, które nam ciebie sprzedały!

Lubię Kendricka. Podziwiam jego bezpośredniość, ale uznaję, że nie jest to odpowiednia chwila, żeby mu to powiedzieć, i dla odmiany trzymam głowę na kłódkę, stojąc na baczność z kamiennym spojrzeniem wbitym w szarą plamę pozostałą po komarze zmiądzonym na ścianie.

Może to mu wystarcza. Odwraca się i zaczyna chodzić po pomieszczeniu. Staje gdzieś za mną.

- Kim jest twój wróg, poruczniku? W świetle tego, co wiesz.

Zastanawiam się. Chmura zniknęła. To nie może być zbieg okoliczności. To musi być uderzenie przeciwko Czerwieni. A kto o niej wie? Kto jest zdolny przeprowadzić zmasowane uderzenie przeciwko niej... Kto jest na tyle szalony, żeby tego dokonać?

- Prawdopodobnym kandydatem wydaje się Vanda-Sheridan, sir.

- To nie było takie trudne, co?

Nadal stoi za mną. O ile wiem, trzyma broń wycelowaną w moją potylice, ale mimo to ryzykuję pytanie:

- Są jakieś dowody?

- Nie moja działka. Wywiadowi podoba się w tym wypadku kandydatura Thelmy Sheridan, ale ona wykorzystuje, jako fasadę miejscowych biblijnych onanistów, którzy nazywają się Armią Niepodległego Teksasu. Wzięli na siebie odpowiedzialność za atak i oświadczyli, że ich celem jest oderwanie stanu od Unii. I chociaż jestem pewny, że wielu naszych współobywateli byłoby zachwyconych tą wiadomością i z radością pomachaliby na pożegnanie stanowi Samotnej Gwiazdy, to prezydent zdecydował inaczej. - Podchodzi do swojego fotela, widzę go więc znowu oraz to, że jego pistolet tkwi nadal w kaburze. Odwraca się, ale nie siada. - Prezydent ogłosił stan wyjątkowy, upoważniając wojsko do reakcji na ten przejaw buntu, ale istnieje pewna trudność.

Przenoszę spojrzenie z martwego komara na spotkanie wzroku Kendricka. Jest zimny. Zimny jak nie wiem co...

i pojmuję nagle, na czym polega komplikacja, gdyż to jest to, co sam bym zrobił, gdybym zamierzał podzielić USA.

- Nie zdetonowali wszystkich swoich atomówek, prawda, sir?

- Nie. poruczniku Shelley. Pojazdy pułapki z kolejnymi ładunkami nuklearnymi są zaparkowane w pięciu okręgach metropolitarnych. Zostaliśmy zapewnieni, że jeśli zostanie to w jakikolwiek sposób rozgłoszone albo dojdzie do prób ewakuacji mieszkańców, niektóre albo wszystkie ładunki zostaną zdetonowane. Jeśli pojazdy stracą kontakt ze stałym sygnałem satelitarnym wysyłanym przez Armię Niepodległego Teksasu, broń zostanie aktywowana.

- Czuwak.

- Zgadza się.

- Które miasta?

- Ta informacja nie jest istotna dla naszej misji.

Wyobrażam sobie jeden z ładunków w niewinnie wyglądającym SUV-ie, zaparkowanym w manhattańskim garażu w pobliżu apartamentowca, w którym mieszka ojciec. Gorzej jest się domyślać czy wiedzieć na pewno?

Nie żebym miał wybór.

- Jakie mamy zadanie, sir?

- Zgodnie z żądaniem terrorystów wprowadza się plan wycofania z Teksasu całego personelu wojskowego. Ty i ja nie ruszamy się donikąd. Pozostaniemy na terytorium nieprzyjaciela wraz z połączonymi grupami bojowymi CLIIS, czekając na instrukcje.

Zapewniono mnie, że trwają intensywne wysiłki zmierzające do zlokalizowania przywódców powstania. Uważa się, że posiadają oni kody dezaktywujące, które wyłączą urządzenia jądrowe. Zadanie, które spada na nas - gdyż jesteśmy na miejscu, w sąsiedztwie podejrzanego terenu, wyszkoleni i w gotowości — polega na odnalezieniu i przejęciu owych kodów bez uruchomienia przy tym czuwaka lub

dopuszczenia do celowego zdetonowania którejkolwiek bomby.

Zaciskając zęby — mocno - jestem w stanie powstrzymać się przed powiedzeniem tego, co myślę. Najwyraźniej Kendrick i tak to słyszy.

- Co musi zostać zrobione, zostanie wykonane, poruczniku. Czy to jest możliwe, to już nie twoje zmartwienie.

Zerkam na Chena... licząc, że dostrzegę może jakąś wskazówkę, że to wszystko jest sfingowane, że nic z tego nie jest prawdą. Jednak za maską spokoju na jego twarzy wyczuwam kryjącą się rozpacz.

Na monitorze pojawia się nowy obraz przedstawiający kolejkę mężczyzn w cywilnych ubraniach, dzierżących broń automatyczną. Większość jest po trzydziestce, większość sprawia wrażenie pozbawionych kondycji, ma za to nadwagę. Ramiona ozdabiają im opaski, niebieskie jak część flagi Teksasu, wszystkie z białą gwiazdą. Faceci stoją z kamiennymi twarzami przed drucianą siatką, do której Wszystkich odcinków przymocowane są tabliczki zapaprane z grubszą niebieską farbą w sprayu, nie na tyle gęstą, żeby zakryć napis: „Własność rządu federalnego”.

Nie wiem, czy ogrodzenie otacza stację meteorologiczną czy magazyn broni, ale na ulicy przed mężczyznami leży z podwiniętymi nogami martwa Latynoska, z której tułowia sączy się krew i której martwe oczy patrzą w niebo. Obok niej widać podziurawiony kulami transparent protestacyjny. Dostrzegam jedynie pierwsze napisane na nim słowo: „Lojalny”.

A więc opór już się zaczął. Męczennicy umierają.

- Nie rozumiem - mówię, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - W Teksasie jest więcej sztuk broni palnej niż mieszkańców. Vanda-Sheridan nie może wierzyć, że ci ludzie będą po prostu siedzieć bezczynnie, gdy ich stan przejmie przedsiębiorca wojenny...

- Nie? - pyta Kendrick. - Nie, jeśli jedyne wiadomości, jakie przechodzą przez satelity, zapewniają panowanie firmie Vanda-Sheridan? Nie, gdy wojsko ich opuszcza, nie podając żadnego powodu? Kontrolowanie środków przekazu daje wielką przewagę... także to, że ma się w kieszeni gubernatora i burmistrzów wszystkich większych miast.

- Sir, Lissa była w San Diego, kiedy... kiedy wybuchł ładunek. Wie o Czerwieni. Pracowała na kontrakcie wojskowym. Jest cenna. Czy jest jakikolwiek sposób...

- Umieściłem ją już na liście ratunkowej, synu. Żaden z nas nie może uczynić nic więcej z wyjątkiem uderzenia w Thelmę Sheridan tak mocno, jak ona rąbnęła w nas.

- Syndrom królowej świata - mówi Chen z goryczą. - To przekleństwo naszego gatunku, że psychopaci zawsze chcą być u władzy.

*

Vanda-Sheridan specjalizuje się w satelitach szpiegowskich, zatem nasze pierwsze zadanie polega na niezauważonym opuszczeniu CLIIS. To znaczy: żadnych helikopterów, żadnych SUV-ów. Pójdziemy pieszo. Satelity i tak mogą dostrzec naszą obecność, ale pierwszej wojennej nocy

ANT będzie miała na głowie większe zmartwienia od kilku uciekinierów rozproszonych po pastwiskach.

Czekamy do zapadnięcia pełnej ciemności, licząc na zachmurzenie, ale od zatoki nadciąga tylko zwykła warstwa smogu.

Mam na sobie martwą siostrę, hełm oraz plecak, a w nim racje żywnościowe, zapas wody, amunicji i apteczkę pierwszej pomocy. W kieszeniach kamizelki mam granaty rozpryskowe, hukowo-błyskowe oraz dymne, no i niosę M-CLlA, którego podlufowy wyrzutnik załadowany jest programowalnymi granatami.

Jest nas osiemnaścioro; szesnaścioro z zaciągu podwojonej PGB z CLIIS oraz ja i pułkownik Kendrick.

Kiedy czekamy na rozkaz wymarszu, Jaynie łączy się tylko ze mną.

- Poruczniku Shelley?

- Co jest?

- Mylił się pan, sir.

Czuję się jak dzieciak winny wielu wykroczeń i niemający pojęcia, o które chodzi.

- Nic niezwykłego - przyznaję. - Strzelaj. W czym dokładnie?

- W Dassari opowiedział mi pan pewną historię. Powiedział pan, że przedsiębiorcy wojenni nie dopuściliby nigdy do wojny na własnym terytorium. Kurwa, sir, jeśli prawdą jest to, co powiedział nam pułkownik Kendrick, Vanda-Sheridan właśnie doprowadziła do wojny we własnym kraju. W naszym kraju.

- Hmm. Wychodzi na to, że się pomyliłem.

Naciska nieco mocniej:

- Pamięta pan zasadę numer jeden? Nie zabijaj własnych podatników.

- Masz cholernie dobrą pamięć, Jaynie. Chyba nie mam Pojęcia, o czym gadam.

- Nie do końca się pan mylił, sir. Powiedział pan w Dassari, że tam się nie ma o co bić, i to była prawda. Teraz jest jednak inaczej, a na stole leży coś więcej od fortun kilku rekinów. Chcę tylko, żeby pan wiedział, że osłaniam pana.

- Cholera, Jaynie, przerażasz mnie.

- Dobrze jest się bać, Shelley. To zdrowe.

Uśmiecham się pod nosem.

- W takim razie nigdy nie czułem się zdrowszy. Pilnujmy się nawzajem, dobra? I wszystkich innych.

- Jasne.

Kendrick włącza się przez gen-kom. Zastanawiam się, czy słuchał, ale mówi tylko:

- Możesz ruszać, Shelley. Widzimy się po drugiej stronie.

- Tak jest, sir.

- Hoo-yah! - drze się Ransom, a mój hełm tłumi automatycznie dźwięk.

- Hoo-yah! - odpowiada cały oddział.

Ruszam, bo moim zadaniem jest wyjść jako pierwszy. Wspomagany przez martwą siostrę, odrywam się od ziemi jednym susem, kierując się na północny wschód. Na mapie wyświetlonej na przyłbicy malutki żarzący się punkt mojego istnienia oddala się z nieznośną powolnością od lśniącego statku bazy CLIS. Anioł obserwuje to z góry.

Powietrze jest nieruchome; noc nieziemska w swojej ciszy. Jestem najgłośniejszym obiektem w okolicy, który dyszy i w dudniącym rytmie łamie suchą trawę. Księżyc nie wzeszedł jeszcze. Mrowie gwiazd błyszczy za woalem rzadkiego smogu. Wśród nich szybują satelity, ale dzisiejszej nocy nad Teksasem nie przelatują żadne samoloty.

Moja nakładka zlicza mijające sekundy. Pokonanie pierwszego kilometra zajmuje mi trzy minuty i czterdzieści pięć sekund. To wtedy zauważam drugi świecący punkt oddzielający się od macierzystego statku: Ransom zmierzający w nieco innym kierunku. Pozostali członkowie oddziału wyruszą w ciągu godziny, z przerwami co dwie, trzy minuty. Rozproszonych w czasie i przestrzeni trudniej nas będzie zlokalizować. Tyle, jeśli chodzi o teorię.

Gdzieś na zachodzie wyje kojot. Poskramiam pragnienie, żeby biec szybciej. Naszym podstawowym celem jest potajemne dotarcie do terenów wiejskich. Nawet nie wiemy jeszcze, dokąd zmierzamy.

*

Do ogrodzenia na obrzeżach ośrodka są dwadzieścia cztery kilometry. Przebiegam je przed upływem dwóch godzin - i nie mam obtartych stóp. Czuję narastające zmęczenie, ale neuronetka trzyma je w szachu.

Zatrzymuję się przy płocie na tyle długo, żeby napić się wody i przyjrzeć mapie, rejestrując każdy punkt konstelacji naszej rozproszonej podwojonej PGB. Jeśli ktokolwiek będzie miał kłopoty, wysiądzie mu sprzęt, zostanie ranny lub zachoruje, rozkaz Kendricka poleca zostawić go samemu sobie. Nie podoba mi się to. Nikomu się nie podoba. Domyślałam się jednak, że Armii Niepodległego Teksasu daleko jeszcze

do ugruntowania swojej władzy wewnątrz stanu i że ranny żołnierz musi się bardziej obawiać kojotów niż zdrazieckiej milicji Vanda-Sheridan. Taką w każdym razie mam nadzieję.

Odwróciwszy się z powrotem ku ogrodzeniu, wysuwam haki ramienne martwej siostry i skaczę w górę. Zaczepiam haki o górny pręt płotu i je blokuję. Wiszę, ale nie czuję ciężaru, gdyż wspieram się na stopach martwej siostry. Od drugiej strony ogrodzenia oddzielają mnie trzy zwoje drutu kolczastego, rozpięte na szczycie pod różnymi kątami. Przecinam je kolejno, uchylając się przed ich sprężystym odrzutem. Potem, dzięki hakom, podciągam się na tyle wysoko, żeby przełożyć nogę na drugą stronę. Ponownie na ziemi, sadzę dalej susami na północny wschód.

Niedługo potem docieram do autostrady stanowej. Leżę przez chwilę przyczajony, nasłuchując, czy panuje na niej ruch. Kiedy nic nie słyszę, przeskakuję siatkę, gnam przez drogę i pokonuję kolejne ogrodzenie.

Malejący księżyc, który majaczy nad wschodnim horyzontem, wygląda na stary i zmęczony. Jego żółty blask wydobywa z ciemności pudełkowaty kształt ranczerskiego domu, stojącego osiemset metrów dalej przy drodze. Słyszę ujadanie psa, ale nie brzmi ono zbyt groźnie.

Idę dalej.

O pierwszej aktualizuje się moja mapa. Nie jestem połączony z Nadzorem, przypuszczam więc, że to Kendrick wysłał nowe rozkazy. Mam iść na wschód, a potem na południe, gdzie w odległości trzynastu kilometrów i dwustu metrów przetnę drogę powiatową. „Rozłożyć się biwakiem -głosi polecenie. Czekać na transport”.

Alleluja. Nie będziemy musieli przebiec całej drogi do celu, bez względu na to, gdzie się on znajduje. Bo Teksas, jakby nie było, to kurewsko duży stan.

*

Kurewsko duży stan, z mnóstwem wojska, zarówno rezerwistów, jak i w służbie czynnej.

Zanim nasza grupa zebrała się ponownie na poboczu drogi, Nadzór połączył się jakoś z miejscowym młodziakiem, który po spędzeniu roku w Sahelu przebywa w domu na urlopie. Nadają mu wojenny awans na specjalistę i mówią, że działa teraz za linią wroga, po cywilnemu. Uważa, że to super.

Bierze ojcowską osiemnastokółową ciężarówkę do przewozu bydła, jedzie zygzakiem na wąskiej drodze, po czym wpada w kontrolowany poślizg, pozostawiając na nawierzchni piękne ślady opon, które kończą się tuż przed rowem, gdy szoferka zatrzymuje się na przeciwległym poboczu. Czegoś takiego nie uczymy się na Manhattanie.

Czwórka z naszej PGB gna, żeby odkręcić jedno z kół. Ustawiają je pod kątem, żeby się wydawało, że oś jest zgięta. To cały fortel, jaki jesteśmy w stanie zorganizować, zanim Kendrick warknięciem każe się nam rozproszyć.

Oddalam się na południe, pędząc sprintem osiemset metrów wzdłuż drogi na wyznaczoną mi pozycję. Wspomagany przez martwą siostrę, pokonuję ten dystans w trzy minuty, ale moje organiczne części tego nie pochwalają.

Drżąc, padam na ziemię w cieniu rzadkich, karłowatych zarośli. Dyszę tak mocno, że przez chwilę system wentylacji przyłbicy nie może nadążyć z odraszaniem.

Moim śladem na drodze dudnią kroki kilku osób, ale cichną jedne po drugich, zanim dotrą do mnie. Tylko jeden biegacz pokonuje cały dystans. Sprawdzam na mapie przyłbicy i przekonuję się, że to Ransom. Zarośla trzeszcza, gdy oznaczający go jasny punkt opuszcza jezdnię naprzeciwko mnie. Reszta podwojonej PGB jest rozciągnięta wzdłuż całej drogi aż do unieruchomionej ciężarówki.

Jestem tak wyczerpany, że nie bardzo wiem, czy będę w stanie podnieść się ponownie. Ciało boli, a nerwy mam tak wrażliwe, że sygnał zwrotny z protez niebawem mnie okulawi. Przełączywszy się z wyświetlacza przyłbicy na nakładkę, wywołuję zainstalowaną przez Joby'ego aplikację sygnału zwrotnego i przesuwam jej pasek w dół.

Gdy ból mija, słyszę w oddali niski warkot zbliżającej się ciężarówki. Chociaż wiedziałem, że

nadjeżdża, wzdrygam się i gmeram w poszukiwaniu pistoletu otrzymanego od Kendricka. Wydaje się mały i bezużyteczny, ale i tak obchodzę się z nim ostrożnie, chroniąc go przed piachem.

Na przyłbicy miga trzykrotnie zielone światło, anonsując bezpośrednią łączność z Nadzorem.

- Pozostań na pozycji - szepcze mi Delphi do ucha.
- Przyjąłem - odpowiadam cicho. - Czy Nadzór jest wszędzie podłączony?
- Tak. Wszyscy są w dobrych nastrojach.

Moje usta układają się w bezdźwięcznym „Dzięki”, które neuronetka wychwytuje i wysyła.

Nadzór istnieje po to, żeby pomagać nam unikać fatalnych błędów, a dziś w nocy, w związku z tym, że w naszych szeregach jest sześcioro nowicjuszy i że wszyscy żołnierze mają zawroty głowy z wyczerpania, potrzebujemy wszelkiego możliwego wsparcia - bo jeśli podczas naszej misji dojdzie do jakichkolwiek pomyłek, to Boston może wylecieć w powietrze.

Właściwie to nie mam pojęcia, czy bomba jest w Bostonie. Udaję tylko, że tam jest, gdyż w głębi serca wiem, że celem secesjonistów jest Manhattan; to musi być Manhattan. Symbole są potężne, a Nowy Jork symbolizuje zgodę, różnorodność, przeszłość, przyszłość... i wielki środkowy palec pokazany takim terrorystom jak Armia Niepodległego Teksasu.

Migają czerwone żyłki ikony neuronetki, zwracając ponownie moją uwagę na tu i teraz oraz narastający rumor nadjeżdżającego pojazdu. To ciągnik kontenerowy należący do teksańskiej Gwardii Narodowej. Wywiad poszukiwał go od chwili, gdy został zrabowany z użyciem broni przez renegatów lojalnych wobec ANT. Przewozi działa, co jest interesujące, chociaż bez związku z obecną sytuacją, gdyż żadne z nas nie przeszło szkolenia artyleryjskiego. Nie chcemy tej ciężarówki dla jej broni. Potrzebujemy jej, gdyż należy do ANT. Jeśli zdołamy odzyskać pojazd bez hałasu, to powinno się nam udać przejechać nim kilkaset mil, zanim ANT się zorientuje, że coś jest nie tak.

Mój oddech zwalnia, a bicie serca stanowi głębokie dudnienie w tle. Nie wiadomo, jak blisko podjedzie ciężarówka do miejsca naszego sfingowanego wypadku, zanim się zatrzyma. Jeśli kierowca jest podejrzliwy, może chcieć zawrócić, gdy tylko zobaczy, że coś jest nie w porządku. Ale to wiejska wąska droga o miękkich poboczach. Może nie uda się zawrócić z wielką naczepą, a moje zadanie polega na tym, żeby kierowca nie miał nawet czasu tego spróbować.

W płaskim terenie dźwięk niesie się niesamowicie daleko. Mijają całe minuty, zanim ciężarówka nadjeżdża. Leżąc rozplaszczony na ziemi, myślę o teksańskich skorpionach. Wyobrażam sobie, jak pełzają wokół mnie. Albo tarantule.

- Przygotuj się - szepcze Delphi.

Z kąta, pod jakim mam zwróconą głowę, widzę ponad zaroślami jedynie blask reflektorów pojazdu.

Przełączam się na widok z anioła, patrzę więc w dół z pozycji drona krążącego wolno nad drogą.

Obserwuję,

jak zbliżająca się ciężarówka przejeżdża pod nim. W oddali widać ustawiony pojazd do przewozu bydła, którego reflektory świecą przez ogrodzenie z drutu kolczastego na puste pastwisko. Bursztynowe światła wyznaczają kontur kabiny. Młodziak kuca obok „wykoślawionego” koła, ale kiedy reflektory zbliżającego się pojazdu Gwardii go muskają, prostuje swoją chudą sylwetkę i odwraca się, machając ręką, żeby nadjeżdżająca ciężarówka zwolniła.

Światła hamulcowe kradzionego pojazdu rozbłyskują jaskrawą czernienią, a potem przyłacza mnie wibrujący zgrzyt hamulców pneumatycznych.

- Założę się, że przysypiał - szepczę do Delphi.

Jest profesjonalistką, więc nie odpowiada.

Hamulce zostają zwolnione. Ciężarówka przetacza się

obok mnie z prędkością poniżej dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Potem się zatrzymuje. Stoi przez niemal minutę z warczącym silnikiem. Owiewają mnie spaliny z diesla.

Młodziak rusza w stronę pojazdu. Światła reflektorów ukazują go w cienkim T-shircie i obcisłych

dżinsach. Widać jak na dłoni, że nie jest uzbrojony. Nie stanowi zagrożenia.

Niemniej w szoferce nie widać śladu ruchu. Jeśli kierowca nie ma telefonu satelitarnego - co mało prawdopodobne - to podejmując decyzję, jest zdany na siebie.

- Delphi, on chce wysiąść i otworzyć ogień. Dowództwo nie może poświęcić tego chłopaka. Młodziak się zatrzymuje. Nadal jest w odległości ponad pięćdziesięciu metrów.

- Przygotuj się, Shelley — mówi Delphi.

Obraz z anioła znika, nie pozostawiając nic, co mogłoby rozproszyć moją uwagę.

Znajduję się za kabiną, w ciemności obok drogi. Podkulam nogi. Czekam, przekładając pistolet do lewej ręki.

W szoferce opada szyba; z wnętrza wysuwa się łokieć i rozlega się niepewny głos:

- Siema.

- Siema, psze pana! - odpowiada chłopak; wcielenie niewinności o północy. - Ma pan podnośnik do ciężarówek?

- Jezuu, mały - jęczy kierowca. - Nie wozisz własnego?

- Wchodzisz, Shelley — mówi Delphi.

Ruszam, wykorzystując całą moc wspomagania, jaką dysponuję. Pierwszym susem docieram na skraj asfaltu. Kierowca słyszy uderzenie płyt martwej siostry. Odwraca się, żeby spojrzeć, zapominając o lusterku bocznym. Wykonuję kolejny ruch.

Drugim skokiem docieram na stopień pod okienkiem kabiny, które się błyskawicznie zamyka. Szofer jest tak przerażony moim bliskim sąsiedztwem, że rzuca się w poprzek siedzenia, zostawiając szybę na wpół podniesioną. Na wszelki wypadek łapię za klamkę drzwiczek, ale są zablokowane, więc wsuwam broń przez pozostałą szczelinę, jednocześnie chwytając się drugą ręką zewnętrznego stalowego uchwyty, żeby nie spaść.

Kierowca leży nadal rozciągnięty w poprzek siedzeń, ale postanawia walczyć i wymierza kopniak, celując w dłoń, w której trzymam pistolet.

Mierzę w jego twarz. Z łatwością mógłbym go zabić, ale Kendrick powiedział, że nie powinienem tego robić; nie wolno mi też rozbić szyby. Nie chcemy, żeby ciężarówka nosiła jakieś ślady uszkodzeń. Cofam gwałtownie dłoń.

- Zabijesz mnie, to wysadzisz w powietrze Nowy Jork! - wrzeszczy tamten.

Wiedziałem.

Jebaniec.

- Sięgnij w dół i w lewo - mówi Delphi. - Obok podłokietnika. Wyłącz te wszystkie przyciski.

Jeden to zasilanie.

- Nie mogę. Mam w ręce pistolet.

Mimo to sięgam. Kierowca ponownie usiłuje mnie kopnąć. Tym razem walę go mocno łufą pistoletu w gołe nogi. Nie mogę się dobrze zamachnąć, ale uderzenie jest silne. Zatyka go; na kilka sekund paraliżuje go ból.

Włącza się Ransom przez gen-kom:

- Poruczniku, potrzebuje pan pomocy?

- Dawaj tutaj!

Wskakuje na próg, ogromny w swojej martwej siostrze. Nie widzę tego przez czarną przyłbicę, ale wyobrażam sobie, że się szczyrzy.

Ja nie.

- Odblokuj drzwi! Nie chcę krwi w ciężarówce.

- Tak jest, sir!

Sięga przez otwarte okienko, szukając po omacku elektrycznego zamka.

Słyszę kliknięcie i odchylam się, żeby Ransom mógł otworzyć drzwiczki. Cały czas trzymam się

stalowego uchwytu, ale popełniam błąd nowicjusza. Gdybym złapał go hakiem martwej siostry, osprzęt przyjąłby na siebie cały ciężar, ale teraz to prawe ramię musi utrzymać wszystko - mnie oraz masę martwej siostry i czterdziestokilogramowego plecaka. Jęczę. Kiedy drzwi się otwierają, niemal wyrывa mi ramię ze stawu, nie jestem więc w dobrym nastroju, gdy się pakuję do wnętrza kabiny.

Moje samopoczucie nie poprawia się na widok kierowcy, który wyjął pistolet z zamiarem wycelowania go we mnie. Kolbą własnej broni walę go w krocze, a on wydaje okrzyk, który urywa się natychmiast, gdy ból zapiera mu dech w piersi. Jego pistolet spada na podłogę. Hakiem ramiennym chwytam faceta za pasek spodni i ciągnę za sobą, wycofując się z szoferki. Ransom łapie kierowcę, zanim ten spadnie na nawierzchnię drogi.

- Niech cię szlag, Shelley! - drze się Kendrick. Nie widzę jego twarzy za czarną przyłbicą, ale głos słyszę podwójnie -na żywo i przez gen-kom. - Mówiłem ci, żebyś załatwił to delikatnie!

Spoglądamy obaj na kierowcę — Nadzór zidentyfikował go jako Troya Butlera - skulonego na asfalcie w pozycji embrionalnej, jęczącego i tulącego swoje klejnoty.

Do moich uszu dociera harmider głosów, gdyż hełm wychwytuje i przekazuje mi ściszone rozmowy członków oddziału. Słyszę sierżanta Nolana i specjalistę Tuttle'a, którzy przykręcają ponownie koło ciężarówki do przewozu bydła, słyszę sierżant Vasquez i specjalistkę Harvey, które przeprowadzają inwentaryzację broni znalezionej na pace skradzionego pojazdu Gwardii Narodowej. Porozumiewają się krótkimi zdaniami, bo wszyscy się śpieszymy. Mamy wyruszyć za siedem minut, ale Kendrick chce przesłuchać jeńca.

Trzymam nadal pistolet pułkownika, więc wskazuję nim Troya Butlera, drżącego na asfalcie.

- Sir, powiedział pan tylko, żeby go nie zabijać, i gość żyje.

Kendrick podnosi głowę. Poprzez powierzchnię czarnej pustki jego przyłbicy nie jestem w stanie dostrzec choćby cienia wyrazu twarzy, ale wyobraźnię mam bogatą.

- Czy miałem dodać: „Nie kastruj go”? Myślałem, że można tak założyć.

- Nic mu nie uciąłem. Facet dramatyzuje. - Sięgam w dół i łapię dobrego starego Troya za ramię. -

Wstawaj, kmiocie, zanim wsadzę ci pistolet do dupy.

Rzeczywistość się załamuje. Czy ja to powiedziałem? Puszczam Troya i cofam się, przekonany, że ktoś, kogo nie znam, wślizgnął się do mojej duszy.

- Cholera, Delphi - szepczę. - Czym mnie szprycujesz?

- Cokolwiek to jest, Delphi - odzywa się Kendrick -zmniejsz dawkę o kilka kresek.

Osiemset metrów dalej silnik bydlęcej ciężarówki zwiększa obroty, a sierżant Nolan wydaje krzykiem polecenia.

Kendrick szturcha Troya Butlera czubkiem buta.

- Radzę ci natychmiast wstać, szeregowy Butler, bo wszyscy jesteśmy zmęczeni i zdenerwowani, a mój naćpany porucznik mógłby bardzo łatwo sprawić, żeby twoje ciało zniknęło na tym zadupiu końca świata.

Groźby wypowiedane przez Kendricka nigdy nie wydają się puste. Troy Butler rezygnuje z jęków i wzięwszy się w garść, staje niepewnie na asfalcie. Nie ma munduru, ale jest istotnie gwardzistą narodowym. Wybiera ten moment, żeby sobie o tym przypomnieć. Prostuje plecy, ściąga barki i salutuje Kendrickowi.

- Szeregowy pierwszej klasy Troy Butler melduje się na rozkaz, sir.

Kendrick krzyżuje ramiona na piersi.

- W samą porę, kurwa.

Mam ochotę podnieść pistolet i rąbnąć nim Troya w tył zdradzieckiej czaszki, ale Delphi czuwa nade mną.

- Wyluzuj - szepcze.

- Poruczniku Shelley - zwraca się do mnie pułkownik. -Myślę, że najlepiej będzie, jeśli odzyskam

swoją broń.

- Oddaj mu ją - ostrzega mnie Delphi.

- Przestań gderać — syczę przez zaciśnięte zęby, ale wychodzę zza pleców Troya i zwracam

Kendrickowi pistolet.

Na drodze bydlęca ciężarówka prostuje swój skład; tylne światła błyszczą, gdy pojazd zaczyna się oddalać.

Troy nie śledzi wzrokiem jej odjazdu - obserwuje mnie. Chociaż utrzymuje pozycję zasadniczą, wzrokiem podąża za mną; ręce mu drżą. Nadal mam swój ztkh i sądzę, iż obaj się zastanawiamy, czy Kendrick pozwoli mi go zastrzelić.

- Szeregowy Butler - mówi pułkownik. - Powiedziano mi, że ma pan młodszą siostrę, Trinę Butler, która mieszka obecnie w Fargo. Zgadza się?

Troy już się mnie nie boi. Całą uwagę skupia na Kendricku.

- Sir, moja siostra nie ma z tym nic wspólnego! - odpowiada łamiącym się głosem. - Ma dwoje dzieci...

- Jareda i Beth - stwierdza pułkownik sympatycznym tonem. - Mam rację?

- Proszę, sir. Popełniłem dzisiaj błąd...

- Macie cholerną rację, że to był błąd, szeregowy! A kiedy rozejdzie się wieść, że brat Triny jest zdrajcą...

- Sir, proszę!

- ...że należy do grupy terrorystycznej, która zaatakowała bronią jądrową amerykańskie miasta i wyeliminowała Chmurę...

- To nie jest jej wina!

- To nie będzie nikogo obchodziło. Ludzie chcą krwi. Oko za oko. Dla ich dobra wzięliśmy waszą siostrę i jej dzieci pod naszą kuratelę.

Troy okazuje się bystrzejszy, niż mi się zdawało.

- Co pan chce, żebym zrobił, sir? - pyta potulnym tonem.

- Dokładnie to, co robiłeś. Prowadź ciężarówkę. Pokazuj dokumenty na punktach kontrolnych, na których będą tego wymagali. Bądź entuzjastycznym zwolennikiem teksańskiej rewolucji... i nie wygadaj się, że wiesz nowy ładunek. Nadzór będzie cię obserwował moimi oczami. Jeśli coś pójdzie nie tak, i nie obchodzi mnie, czy z twojej winy, czy po prostu w wyniku pecha, twoja siostra i jej dzieciaki znikną. Czy to wystarczająco jasne, szeregowy Butler?

- Tak, sir. Jasne, sir. Dziękuję za możliwość naprawienia błędu, który popełniłem dzisiaj rano. Nie zrobiłbym tego, sir, gdybym nie oglądał tylu filmów. Te kłamliwe cioty z Hollywood sprawiają, że to wygląda jak zabawa.

- Weekendowa balanga - zgadza się pułkownik. Potem, przytłumionym głosem, który wskazuje na to, że jest połączony, dodaje: - Vasquez, dajesz tutaj. Porucznik jest nieco spięty, więc myślę, że pozwolimy mu odpocząć. Pojedziesz ze mną z przodu, pilnując naszego lojalnego szeregowego Butlera.

- Idę, sir.

Jaynie potrzebuje trzech sekund, żeby pojawić się w otwartych drzwiach naczepy Gwardii Narodowej. Kiedy truchta w naszą stronę, na wyświetlaczu mojej przyłbicy pojawia się sporządzony przez nią spis sprzętu. Jak twierdził Wywiad, pojazd przewozi działa oraz całe mnóstwo amunicji artyleryjskiej.

Nie podoba mi się, że zostaję odprawiony przez Kendricka, ale nie chcę także dzielić szoferki z Troyem Butlerem, więc nie oponuję. Zamiast tego wyładowuję złość na żołnierzach wracających od bydlęcej ciężarówki.

- To nie jest niedzielny spacer! Ruchy! Odjeżdżamy za trzy minuty!

Przyśpieszają kroku. Salutuję kpiąco Kendrickowi, kiwam głową Jaynie i idę na tył pojazdu, chcąc

sprawdzić, czy między uzbrojeniem jest dosyć miejsca, żeby się położyć i przespać.

*

Nie ma.

A my mamy rozkaz pozostać w pełnym rynsztunku.

Stoję tuż przed otwartymi drzwiami kontenera, licząc żołnierzy wchodzących do środka. Obok mnie stoi Jaynie, która czeka, żeby zamknąć i zablokować klapę, natomiast sierżant Nolan jest już w środku, dublując moje rachunki i popędzając ludzi, żeby się przesuwali w głąb przestrzeni ładunkowej.

Martwe siostry, tak zwinne i sprawne na otwartej przestrzeni, okazują się niezdarne, gdy żołnierze gramolą się po paletach z amunicją i przeciskają obok dwóch wielkich dział. Kontener nie jest wyładowany po brzegi, ale na podłodze nie ma zbyt wiele wolnego miejsca. Łączę się z Kendrickiem, który siedzi w kabinie, mając baczenie na jeńca.

- Musimy się pozbyć części ładunku.
- Może pan tam wpakować wszystkich swoich ludzi czy nie?

Sprawdzam swoje rachunki - na zewnątrz zostaliśmy tylko ja, Ransom i Flynn.

- Zmieścimy się, ale będzie ciasno.
- Nie chcę ryzykować, że zostaniemy odkryci. To tylko Parę godzin, więc zamknijcie drzwi i rozłokujcie się najwygodniej, jak się da.

Włącza się Jaynie.

- Gotów, poruczniku?

Wystawiam kciuki w górę.

Zamyka jedno skrzydło drzwi, a potem drugie. Opadają zasuwki, pręty ryglujące wskakują na miejsca.

Przez moment jest zbyt ciemno, żeby wzmacniacz optyczny noktowizji poradził na to cokolwiek. Potem zapala się parę latarek ledowych. Flynn trzyma jedną w zębach pełzną po paletach, żeby się przedostać na tył.

- Uwaga! - ostrzega Kendrick przez gen-kom. - Ruszamy za chwilę.
- Trzymać się! - warczy Nolan, po czym stosuje się do własnej rady, kucając obok Ransoma w ciasnej przestrzeni pod lufą pierwszego działa.

Wykonuję ten sam manewr, żeby usiąść. Martwa siostra nie ułatwia tego, ale okazuje się, że to możliwe. Jestem zwrócony plecami do drzwi ładunkowych kontenera, robocie nogi mam zgięte w sztucznych kolanach. Ciężarówka zaczyna się toczyć. Słyszę zgrzytanie opon na nawierzchni, gdy Troy zmienia biegi.

Łączę się ponownie z Kendrickiem.

- Będzie problem z powietrzem.
- Jeśli ktokolwiek zacznie się dusić, to jestem pewny, że Nadzór powiadomi mnie o tym.

Przełączam się do Delphi.

- Jesteś tam?

Odpowiada natychmiast:

- Aż do końca wojny.
- Wychwyciłaś jakiegokolwiek sygnały od Czerwieni?
- Chmura padła, Shelley. Czerwień zniknęła. Teraz tylko ja mieszam ci w głowie.
- Nie wiem, czy podoba mi się bycie zwykłym śmiertelnikiem.

Nie odpowiada. Pogaduszki nie są profesjonalne.

- Kiedy mieszasz mi w głowie - zwracam się do niej - staraj się nie zamieniać mnie w mafijnego zabójcę.

- Prześpij się, Shelley.

Jakbym miał jakiś wybór. Ikona neuronetki gaśnie i od jeżdżam.

Głowę wypełniają mi sny, które pierzchają, gdy odzyskuję gwałtownie świadomość. Nie pamiętam

choćby jednego obrazu, ale umysł zamulają mi strzępki strachu. Mam wrażenie, jakbym wrócił do rzeczywistości, w której pułapkę jesteśmy schwytni, my wszyscy, więźniowie bezsensownych zmagani, które nie zmieniają nigdy ani jednej pierdolonej rzeczy na świecie. Walczę z majaczącym uczuciem paniki. Nie jest to łatwe, kiedy oddycha się dusznym, stęchłym powietrzem wnętrza kontenera, w którym za perłowym blaskiem uspiionych ikon wyświetlacza przyłbicy widać jedynie ciemność.

Potrzebuję czegoś, na czym mógłbym zawiesić wzrok, i muszę wiedzieć, gdzie jesteśmy, otwieram więc mapę. Z początku nie jestem w stanie niczego z niej pojąć. To tylko plątanina linii na bezsensownym, pofałdowanym tle. Piję przez rurkę witaminizowaną wodę z zasobnika na plecach, żeby wprowadzić do organizmu trochę kalorii, a potem sprawdzam godzinę. Jedziemy od dwóch godzin i dwunastu minut.

Hełm odsiewa hałas z drogi, wzmacniając cichsze dźwięki: drapanie rozporki gnatów o podłogę, szelest ocierających się tkanin, czyjs cichy, suchy kaszel. Ktoś - Ransom lub Nolan - porusza się, uderzając wspornikiem o płytę mojej prawej stopy. Cofam nogę i spoglądam ponownie na mapę. Tym razem jestem bardziej rozbudzony, więc to, co widzę, ma sens. Uznaję, że znajdujemy się gdzieś na południowym wschodzie od Dallas.

Kendrick odzywa się przez gen-kom:

- Zbliżamy się do punktu kontrolnego. Jestem ukryty z Vasquez na pryczy za siedzeniami. Zamierzamy przejechać bez kłopotów, więc żadnego ruchu, hałasu ani świateł - ale bądźcie gotowi do walki.

Zanim zdołam się zaprzeć rękami, ślizgam się nieznacznie, gdy ciężarówka przyśpiesza. Wsłuchuję się w odgłosy z systemu audio hełmu, licząc na to, że się dowiem, co się dzieje na zewnątrz, ale nadal jedziemy, więc dobiegają mnie jedynie dźwięk silnika i opon na asfalcie oraz grzechot luźnego bolca w drzwiach.

- Jeśli nas odkryją - ciągnie Kendrick ze śmiertelnym spokojem - odpowiadamy szybko i zdecydowanie. Załatwiamy wszystkich na posterunku, i to zanim powiadomią o naszej obecności przez radio.

Doprawdy? A jak to się ma stać? Z pewnością ktoś będzie siedział obok zapory przy radiostacji lub z telefonem satelitarnym w garści. Ja bym tak zrobił. „Załatwcie wszystkich, zanim reszta się dowie” - to przechwałki su-perbohatera. Oceniam nasze szanse na sukces jak jeden do stu - a jeśli skrewimy, Nowy Jork wyleci w powietrze. Zero stresu. Boże, mam nadzieję, że Troy naprawdę kocha swoją siostrę. Mam nadzieję, że umie dobrze kłamać.

Postanawiam zignorować rozkaz Kendricka, żeby siedzieć cicho na dupie. Jeśli mam walczyć, to chcę iść do boju tak lekki, zwinny i szybki, jak to tylko możliwe. Zsuwam więc z siebie plecak. Nie ma sensu dźwigać dodatkowego ciężaru albo ryzykować, że w zwarciu zawadzę nim o coś.

- Spokojnie - ostrzega mnie Delphi. - Celem jest uniknięcie walki.

Skupiam się na słowie „zrozumiałem”. Neuronetka wychwytuje je i przekazuje, zwalniając mnie z obowiązku wypowiedzenia go na głos. Ale to, że nie chcemy wdać się w walkę, nie oznacza, że się w nią nie uwikłamy.

Powoli, w ciszy, się obracam. Podciągam pod siebie nogi, aż jestem w pozycji kucznej, zwrócony twarzą do drzwi kontenera. W dłoni mam M-CLLa. Palec obok spustu.

Myślę: „Powiadom Ransoma i Nolana”.

- Masz złe przeczucie? - pyta Delphi.

Zirytowana.

Słyszę za sobą cichy trzask wsporników, a potem czuję dotyk między łopatkami. Sprawdzam położenie członków zespołu i upewniam się, że mam za sobą Ransoma, a obok mnie kuca Nolan.

Ciężarówka zatrzymuje się, jej dieslowski silnik pracuje, luźny bolec nadal grzechocze. Z zewnątrz nie docierają do mnie żadne inne dźwięki.

- Widoczni trzej nieprzyjaciele - informuje Delphi, przełączając mnie na obraz z anioła. - Wszyscy

uzbrojeni w karabiny szturmowe.

W noktowizji z góry widzę nieznaną mi skrzyżowanie dróg przecinających aż nazbyt znajomy krajobraz. Chociaż jechaliśmy ponad dwie godziny, nadal tkwimy w środku zadupia, na takim samym płaskim, nijakim pustkowiu, gdzie jedynym pionowym wychnieniem dla oczu są ogrodzenia z drutu kolczastego.

Prawem kontrastu na skrzyżowaniu coś się dzieje.

Bezpośrednio przed ciężarówką Gwardii Narodowej stoją dwa duże pick-upy, zaparkowane bokiem w poprzek drogi, blokując przejazd. Trzeci znajduje się na poboczu, a jego reflektory oświetlają drogę po stronie naszego kierowcy. Wróg numer 1 stoi na stopniu ciężarówki i zagląda przez okienko szofera, opierając kolbę karabinu w zgięciu łokcia. Nie widzę muszki, gdyż lufa wnika do kabiny. Numer 2, facet z ogromnym brzuchem, stoi niżej na asfalcie; jego postawa zdradza czujność, a broń trzyma w obu rękach w pozycji przez pierś. Numer 3 to wąski cień, który skrada się ostrożnie wzdłuż kontenera, zmierzając na jego tył.

- Ktoś jeszcze? - pytam Delphi, patrząc na pick-upy.

- Nic nie wskazuje, żeby ktoś pozostał w pojazdach - odpowiada - ale brak na to potwierdzenia.

Kendrick nawiązuje ponownie kontakt przez gen-kom, ale nic nie mówi. Zamiast tego przekazuje na nasze głośniki to, co sam słyszy. W tej chwili jest to wysoki głos faceta, który wyjaśnia z przekonaniem życiowe prawdy, zaciągając z południowym akcentem:

- Słuchaj mnie, Troy, mój przyjacielu. Wiem, żeś jest lojalnym synem rewolucji, ale prawda jest taka, że nie masz listu przewozowego. Nikt więc nie będzie stratny, jeśli reszta nas wspomocze się nieco twoim ładunkiem. W końcu Wszyscy musimy z czegoś żyć.

Gdy Troy odpowiada, jego głos jest silniejszy.

- Słodki Jezu - mówi. - Koleś, mógłbyś zabrać mi sprzed twarzy tę pierdoloną lufę?

Numer 3 dociera na tył ciężarówki. Oczami anioła widzę, że próbuje obrócić rygiel blokujący drzwi kontenera; słyszę brzęk i stukot mechanizmu, ale zamek nie pozwala go otworzyć. Numer 3 cofa się do punktu, skąd widziabinę. Hałas silnika jest zbyt głośny i grzechocze zbyt wiele żelastwa, żebym mógł go usłyszeć, ale wygląda na to, że woła coś w stronę szoferki. Koleś potwierdza to, mówiąc:

- Zabiorę ci giwerę sprzed twarzy. Troy. kiedy dasz mi klucz do kontenera.

Daj mu klucz, myślę, gdyż Kolesia lubię jeszcze mniej niż Troya.

Troy także za nim nie przepada.

- Daj mi chwilę. Klucz jest na górze, w szafce obok pryczy.

- Taa? - mówi Koleś. - Upewnij się, że bierzesz klucz, bo inaczej twój mózg ozdobi sufit.

- Wyluzuj - burczy Troy. Słyszę odgłosy towarzyszące szukaniu - skrzyp butów na winylowym siedzeniu? - a później głos Troya nabiera siły: - Ja znowu nie taki oddany rewolucji.

Szczęknienie... stłumione głosy... potem ponownie odległy głos Troya:

- Masz. Trzymaj.

- Wsiądź na minutkę - mówi Koleś.

Wzrokiem anioła widzę, że zeskakuje ze swojej grzędy u drzwi szoferki, które się otwierają, i Troy schodzi na asfalt. Idą obaj na tył ciężarówki, tłuścioch z karabinem wlecze się za nimi.

- Shelley, Ransom, Nolan - szepcze Kendrick przez gen-kom. - To wasze przedstawienie. Nie postrzelcie się nawzajem i postarajcie się nie trafić Troya. Reszta przy-warować i nie wkraczać bez rozkazu.

Anioł pokazuje mi trzech ludzi stojących za ciężarówką i jednego nieco z boku. To Troy, który ustawił się poza bezpośrednią strefą ognia. Naprawdę jest dużo mądrzejszy, niż na to wygląda.

Koleś trzyma latarkę, której promień oświetla tył kontenera. Numer 3 się schyla, żeby otworzyć zamek. Kiedy słyszę metaliczne szczęknienie, a potem zgrzytanie rygla, porzucam przekaz anioła i patrzę własnymi oczami, jak jedno skrzydło drzwi otwiera się powoli. Przez szczelinę wpada światło latarki i

liże moją przyłbicę. W noktowizji widzę jedynie bezkształtny zielony blask.

Strzelam jednak krótką serią.

- Kurwa! - wrzeszczy Koleś, latarka znika, a ja wiem, że spudłowałem.

Drzwi się zatraskują.

Rzucam się i walę w nie barkiem. Kiedy się otwierają, uderzając z trzaskiem o burzę, wyskakuję i posyłam serię w miejsce, gdzie ostatnio stał grubas, gdy widziałem go z perspektywy anioła. Wciąż tam jest. Kiedy moje robocie stopy dotykają nawierzchni drogi, pada z dwoma dziurami w piersi. Broń grzechocze o asfalt.

Obracam się, szukając kolejnego celu, ale Kolesia i Numeru 2 nigdzie nie widać. Z boku pojazdu dobiega grzechot broni krótkiej. Cofam się, szukając osłony za otwartymi drzwiami kontenera, ale w trakcie tego ruchu lewą nogę wykręca mi skurcz wywołany uderzeniem mocy, jakiej nigdy dotąd nie czułem. Kolano wygina się w bok. Do biodra strzela parzący ból. Tracę równowagę i padam, ale wciąż mogę obrócić się na brzuch, trzymając ztkh w dłoniach.

Wiem, że Ransom i Nolan wyskakują z ciężarówki nad moją głową, ale nie śledzę ich wzrokiem. Szukam celownika na moim wyświetlaczu.

Pojawia się, a ja celuję i posyłam serię, gdy obok mnie pryskają odłamki nawierzchni. Okazuje się, że moim celem jest Koleś. Pociski trafiają go w pierś, na moment podrywając jego ciało w powietrze, po czym grawitacja wali nim o asfalt. Nie rusza się.

- Gdzie jest Numer 3? - wołam przez gen-kom.

- Załatwiony - odpowiada Kendrick spokojnym, rozważnym tonem. - Gdzie nasz jeńiec?

Odwracam się, żeby spojrzeć w miejsce, w którym stał Troy, zanim zaczęła się strzelanina. Teraz jest tam Nolan

- Mam go, sir - mówi sierżant.

Troy leży brzuchem do ziemi, z rękami na głowie. Musiał paść na pierwszy strzał. Cwaniak.

- Podnieś go - poleca pułkownik. - Żyjesz, Shelley?

- Tak jest, sir. Czysto?

- Lepiej, żeby tak było, cholera, ale chcę sprawdzić.

- Robi się.

Przetaczam się i siadam, ból w biodrze zniknął tak szybko, jak się pojawił. Nade mną większość naszej podwojonej PGB tłoczy się w otwartych drzwiach kontenera, wszyscy oznaczeni nazwiskami. Wybieram jedno na chybił trafił.

- Harvey. Weź Fernandez i Hoanga. Przeczeszcie okolicę. Sprawdźcie, czy wszystko w porządku. Zeskakują ochoczo i znikają za ciężarówką.

- Tuttle! Ty, Moon i Wade, sprawdźcie pick-upy.

- Reszta niech zbierze ciała - dodaje Kendrick - i złoży je na pace jednej półciężarówki.

Wszyscy skaczą mi nad głową, lądując z grzechotem na nawierzchni drogi. Kilkoro zanoszą szeptem pod niebo żarliwe podziękowania za świeże powietrze, które nie jest wcale takie czyste, gdyż wypełnia je woń prochu, ale w porównaniu z mdlącym zaduchem wnętrza kontenera jest upajające.

Kiedy żołnierze znikają, sprawdzam lewą nogę, zginając robocie kolano i prostując kostkę. Nie wywołuje to nawrotu dziwnego elektrycznego uderzenia, które obezwładniło mnie wcześniej. Podciągam więc nogi pod siebie i podnoszę się ostrożnie. Kiedy opieram ciężar ciała na nodze, jest stabilna.

Wtedy, tuż nad lewym kolanem, zauważam w bojówkach coś, co wygląda jak otwór po kuli. Schylam się, żeby się temu przyjrzeć; wkładam w otwór mały palec i się przekonuję, że to naprawdę dziura.

Ktoś wychodzi zza ciężarówki. Wyświetlacz przyłbicy mówi mi, że to Jaynie.

- Oberwał pan? - pyta.

- Chyba tak.

Wyjmuje małą latarkę ledową i kuca, żeby się przyjrzeć. Wsuwa palec w otwór; krzywi się, zmacawszy tytanową kość.

- Chyba jest tam wgłębienie. - Spogląda na mnie z niepokojem. - Wciąż pan działa?

Podnoszę i opuszczam stopę.

- Na to wygląda.

Spada mi poziom adrenaliny i zaczynam się trząść, zwłaszcza gdy dociera do mnie, jak mało brakowało, żeby pocisk trafił mnie w żywe ciało.

Wciąż przykucnięta Jaynie oświetla nawierzchnię drogi wokół nas.

- Mam. - Wstaje, odchodzi kilka kroków i podnosi coś z asfaltu.

- Proszę, to chyba należy do pana.

Wyciągam rękę. Jej latarka oświetla zniekształcony pocisk.

Doktor Masoud zasugerował kiedyś, że moje robocie nogi są lepsze od naturalnych. Muszę przyznać, że mógł mieć rację. Szybciej biegam, nigdy nie zwichnę sobie kostki czy kolana, a kule odbijają się od tytanu, zamiast roztrzaskiwać mi kości.

- Ile żyć zamierza pan zużyć przed dwudziestymi czwartymi urodzinami, poruczniku? — pyta Jaynie.

- To zależy od tego, ile mi zostało.

Ścisza głos.

- Nadal jest pan królem Dawidem? Bóg jest wciąż po pana stronie?

Zastanawiam się nad irytującym wrażeniem, jakiego doznałem w kontenerze, ale było to przeczucie pozbawione zimnej pewności wskazówek podsuwanych przez Czerwień.

Wsuwam pocisk do kieszeni.

- Delphi uważa, że Czerwień zniknęła. Zatem teraz to wyłącznie kwestia szczęścia.

*

Sierżant Nolan i dwa koty zostają z zadaniem pozbycia się pick-upów. Jaynie wraca z Troyem do szoferki. Reszta Kendrick wysyła ponownie do kontenera. Wpychamy się między wielkie działa i palety z amunicją. Pułkownik zamyka drzwi ładowni i po chwili ciężarówka jedzie dalej. Kendrick uważa, że jeśli nie zdobędziemy kodów dezaktywujących przed świtem, to przegramy.

Nadzór przekazuje informacje wywiadu, przedstawiające nasz cel. Zawierają dossier siedemdziesięciu jeden osób, co do których uważa się, że są obecne na miejscu, przy czym liczba ta obejmuje wynajętych ochroniarzy. Jest również architektoniczny szkic przestrzenny, wskazujący punkty oporu, a także pogładowe nagranie wideo trasy, którą podążymy. Oglądam cały materiał z rosnącym niedowierzaniem.

- Delphi - mruczę.

- Jestem.

- Kto stworzył ten raport, do cholery?

- Informacje dostarczył Wywiad.

- Wiem o tym. Ale jeśli mają wewnątrz kogoś, kto może sfilmować trasę naszego wejścia, to dlaczego ten agent nie zabierze po prostu kodów?

- Niemożliwe. W środku nie ma sprzymierzeńców. Jeśli trzeba, strzelaj, żeby zabić. Żadnych wyjątków.

- To szaleństwo. Ktoś musiał nakręcić ten materiał. Kto to jest?

- Nie wiem, Shelley. I ty nie musisz. Masz tylko wiedzieć, dokąd idziesz i czego szukasz. W środku stracisz ze mną kontakt. Więc przeciwicz to sobie teraz. Później nie będziesz mógł pytać.

* * *

Budowla ma kryptonim Czarny Krzyż. To zimnowojenny relikw, dysponujący w latach sześćdziesiątych XX wieku tajnymi funduszami, a potem sprzedany po cichu teksańskiemu ranczerowi i nafcierzowi w podziękowaniu za jakąś zapomnianą polityczną przysługę. Ranczer chciał to mieć jako

schron na czas Armagedonu, tak na wszelki wypadek, gdyby Bóg nie zjawił się osobiście w dzień Sądu Ostatecznego, żeby zabrać wiernych.

Ośrodek ma przyzwoite zabezpieczenia. Otaczają go kamery. Prowadzi do niego jedna gruntowa droga. Ma kształt niskiego, rozłożystego wzgórza porośniętego wyschniętą trawą, skubaną przez chude bydło. W innym otoczeniu wypiętrzanie mogłoby być naturalnym wzniesieniem, ale w tej okolicy jest jedyną wypukłością nieubłaganie płaskiej powierzchni. Tuż poniżej szczytu wzgórza rozsiadła się antena satelitarna. Nie wolno nam jej rozwalić. To czuwak wysyłający ciągły sygnał do satelity geostacjonarnego, który przekazuje go dalej, do ładunków jądrowych w Nowym Jorku i w innych ładnych miejscach. Jeśli sygnał zaniknie, bomby wybuchną.

Wejście do Czarnego Krzyża prowadzi przez podwójne szerokie wrota, wstawione w sztuczne wzgórze. Są też kominy wentylacyjne, w sumie trzy, które sterczą wokół wzniesienia. Żaden nie jest wystarczająco obszerny, żeby dało się nim zejść na dół, a wszystkich bronią grube kraty i strzegą kamery. Zostały dołączone do mapy z czysto akademickich powodów.

Nadzór uznał, że wejść możemy jedynie przez główną bramę. Nie szkolono nas nigdy do finezyjnych działań, więc nasz atak nie będzie subtelny. Jeśli drzwi są zamknięte, wywalimy je ładunkiem wybuchowym i wkroczymy do środka, korzystając z wynikłego zamieszania.

Wewnątrz znajduje się teren zborny, oznaczony jako poziom 1. Wielka winda opada na poziomy 2 i 3, ale my pójdziemy schodami. Poziom 2 to tunel prowadzący ze wschodu na zachód, do którego przylegają kwatery mieszkalne.

Poziom 3 to tunel z północy na południe, w kształcie hantli na której jednym końcu znajduje się magazyn żywności a na drugim sterownia.

Ochronę zapewniają doświadczeni najemnicy, zidentyfikowani jako pracownicy Służby Ochrony Uther-Fen. Wszyscy obcokrajowcy, mówiący kiepsko po angielsku. Raport sugeruje, że to celowy wybór. Mało prawdopodobne, żeby ANT w pełni ufała wynajętym pomocnikom, w związku z czym bariera językowa stanowi kolejne zabezpieczenie, utrudniające najemnikom poznanie tajemnic ich mocodawcy i przejęcie kontroli nad urządzeniami nuklearnymi.

„Brutalna akcja” to nasza taktyka: wchodzimy szybko, uderzamy mocno. Błyskawicznie załatwiamy wroga, zanim zdoła zareagować. Uznaję plan za jeszcze bardziej niedorzeczny niż nasz atak na posterunek kontrolny. Muszę przyznać, że się udało, ale na blokadzie mieliśmy do czynienia jedynie z trzema kiepsko wyszkolonymi żołnierzami. Służba Ochrony Uther-Fen będzie dysponować lepszymi ludźmi.

Kilka razy odtwarzam zaplanowaną drogę wejścia. To zdumiewająco szczegółowe nagranie, zwłaszcza jeśli zważyć, że nie mamy nikogo w środku. Odwiedzam każde pomieszczenie, zaglądam do każdej szafy. Przyglądam się uważnie twarzom wszystkich morderczych zdrajców, kryjących się w środku, oraz ich nazwiskom, a także twarzom i imionom ich dzieci, których jest kilkoro.

- Delphi, co z tymi dzieciakami?
- Jeśli trzeba, strzelaj, żeby zabić - powtarza. - Żadnych wyjątków. - Potem dodaje łagodniejszym tonem: -Możesz przyjąć propozycję kapitulacji, jeśli nie spowolni cię to. Tylko pamiętaj, jeśli tamte bomby wybuchną, zginie dużo więcej dzieci.
- Rozumiem.

Nie mogę pozwolić, żeby cokolwiek stało między mną a kodami dezaktywującymi. Mogę jedynie mieć nadzieję, że ktoś na tyle kocha tamte dzieci, żeby usunąć je z linii ognia.

Wywiad ustalił, że potrzebne nam kody są na pendrivie wiszącym na szyi nowo wprowadzonego na urząd prezydenta Niepodległego Teksasu. Jest to wysoki, chudy, jasnowłosy, zarozumiały burak w wieku może trzydziestu lat, zwany Blue Parker, niewątpliwie z powodu ładnych niebieskich oczu. Jest fotogeniczną twarzą rewolucji - oraz kozłem ofiarnym, gdy niepodległościową sprawę diabli wezmą, chociaż wątpię, żeby już to pojął.

Z niecierpliwością czekam na to, żeby spotkać prezydenta Blue Parkera i pomóc mu zrozumieć

wątpliwe podstawy jego tytułu.

*

Kiedy docieramy wreszcie do celu, jest trzecia czterdzieści sześć nad ranem. Wysypujemy się z kontenera i formujemy pod osłoną drzew. Krowy obserwują nas w świetle księżyca; niektóre zaczynają się oddalać.

Delphi wyświała na mojej przyłbicy jasnozielony szlak przez pola.

- To jest trasa, którą musicie iść - mówi. - Jest tak wyznaczona, żebyście uniknęli kamer bezpieczeństwa. Nie zbaczajcie z niej.

- Rozumiem.

Oglądam się na ciężarówkę. Troy siedzi nadal w kabinie. Specjalistka Fernandez i szeregowy Antonio wsiadają do szoferki. Ich zadanie polega na eskortowaniu Troya, który poprowadzi ciężarówkę w kierunku, z którego nadjechaliśmy. Jeśli się to okaże możliwe, spotkają się z sierżantem Nolanem. Obok otwartych drzwi kabiny stoi Kendrick, patrząc w górę na Fernandez.

- Róbcie, co mówi wam Nadzór - przypomina im przez gen-kom. - I nie zwracajcie na siebie uwagi.

- Tak jest, sir.

Kendrick życzy im powodzenia, pokazując zadarte w górę kciuki. Potem zatrzaskuje drzwi i się odsuwa. Kiedy ciężarówka odjeżdża, zostaje nas trzynaścioro.

- Cholera - odzywa się Ransom przez gen-kom. - Miałem nadzieję, że pobawimy się tymi wielkimi działami.

- Nadal czeka nas mnóstwo radochy - przypomina mu Moon.

- Zabawa w napierdalankę - potwierdza pułkownik, lustrując nas wzrokiem zza czarnej przyłbicy. - Tej nocy na naszą korzyść przemawiają dwa czynniki. Po pierwsze, nasz przeciwnik jest zdekoncentrowany. Mieszkańcy Teksasu okazali się dużo mniej entuzjastycznie nastawieni do secesji, niż ANT na to liczyła, więc jej przywódcy muszą zwalczyć powszechny sprzeciw. Po drugie, ANT się wydaje, że już wygrali wojnę. Uważają, że nóż, który trzymają nam na gardle, jest wystarczająco ostry, żeby wojsko nie odważyło się kontratakować. To nigdy nie jest bezpieczne założenie.

Słychać cichy, zadufany w sobie śmiech.

- Sprawdźcie więc złącza martwych sióstr, uporządkujcie zasobniki i upewnijcie się, że macie maski i pojemniki z tlenem.

Po tej ostatniej uwadze szeregi żołnierzy przebiega pomruk. Kendrick go ignoruje.

- Nie używajcie masek, póki nie dostaniecie takiego rozkazu. Schodzimy głęboko i nie możemy oddychać przez cały czas ze zbiorników. Do rzeczy-jesteśmy sześć kilometrów od celu. Wiem, że wszyscy jesteście zmęczeni, i mam to w dupie. Albo dziś w nocy wygracie tę wojnę, albo zginiecie, próbując to zrobić. Czy to jasne?

- Tak jest, sir - odpowiadam, przyłączając się do chóru cichych, potwierdzających pomruków, gdyż nikt z nas nie jest na tyle głupi, żeby krzyczeć tutaj, w pierwotnej ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu przez muczenie krowy.

- Nie zbaczajcie z trasy podanej przez Nadzór - ostrzega pułkownik. - Jeśli na drodze jest grzechotnik, rozdepczcie go. Nie obchodźcie niczego, gdyż inaczej uaktywnicie peryferyjną kamerę. Zrozumiano? Jazda!

- Szczęśliwa trzynastka — szepcze Tuttle poza komunikatorem, kiedy mijam go, żeby zająć miejsce w szyku.

- Jak cholera - odpowiadam szeptem.

Wygranie tej wojny to zadanie trzynastu żołnierzy pozostałych z naszego oddziału.

*

Idziemy w jednym rzędzie; PGB podąża za mną, gdy maszeruję trasą wyznaczoną przez Nadzór. Po pierwszych dwóch kilometrach płoszę krowę żującą paszę w cieniu drzewa oświetlonego blaskiem

księżycu. Zwierzę parska i odbiega wolnym truchtem, niepokojąc towarzyszek.

Nie podoba mi się to. Jeśli ktoś w Czarnym Krzyżu obserwuje obraz z kamer bezpieczeństwa, to może zechcieć wiedzieć, co spłoszyło krowę, ale zastrzelenie jej wywołałoby dużo większe zamieszanie.

- Delphi?
- Jestem.
- Żadne diabelskie oko nie obserwuje nas z góry?
- Mają drona, ale jest uziemiony. Awaria sprzętu.
- Pomyślny zbieg okoliczności.

Nie odpowiada, ale bardziej niż dotąd podziwiam wstępne rozpoznanie wykonane przez Wywiad.

Niebawem od wzgórza oddziela nas jedynie zagajnik ciemnych drzew i czterysta metrów otwartej przestrzeni.

Nieopodal zarośli pasie się sześć krów. Jedna obserwuje nas czujnie. Jest większa od pozostałych i nabieram mocnego przeświadczenia, że to byk.

- Uwaga na el toro - mówię przez gen-kom.

Włącza się Kendrick:

- Olej el toro. Nie łamać szyku.

Wtedy odzywa się Lissa. Wiem, że głos, który słyszę, nie może być prawdziwy, ale słowa brzmią tak wyraźnie jak za pierwszym razem, kiedy wypowiedziała je w szpitalu:

- Nie umieraj, dobrze?

Bóg wrócił i miesza mi we łbie.

Staję jak wryty, unosząc rękę, żeby ostrzec idącego za mną Tuttle'a.

- Stój.

To kiepskie posunięcie, jeśli zważyć na byka. Interpretując nagły postój jako wyzwanie, bestia parska, opuszcza łeb i uderza kopytem o ziemię.

Tuttle opiera się o mój bark i wyciąga głowę, żeby zobaczyć, co mnie zatrzymało.

- Ma pan coś?

Kendrick chce wiedzieć to samo.

- Co jest, Shelley?
- Nie jestem pewien.

Byk prycha ponownie, a potem truchta wolno w naszą stronę, poddając nas próbie i zamiatając ogonem. Dociera do mnie, że obserwuje go ktoś jeszcze, i musimy zniknąć w cholerę z pola widzenia, zanim nas znajdzie.

- Padnij! - rozkazuję. - Na ziemię!

I pomimo groźby w postaci byka wszyscy stosują się do polecenia, z Kendrickiem włącznie. Słyszę skrzypienia, chrzęsty i ciche dudnienia, gdy walą się na ziemię. Idę w ich ślady, tak jak Tuttle. Byk staje, zaskoczony nagłym zniknięciem przeciwnika. Podnoszę głowę, żeby zerknąć między drzewami na wzgórze-cel.

Przez zasłonę roślinności widzę ogień wylotowy z lufy. Słyszę uderzenia pocisków w ciało... i byk opada na kolana, z rykiem ścinającym krew w żyłach. Dobiega nas odgłos wystrzałów; przestraszone krowy uciekają. Między ryknięciami byka słyszę odległe okrzyki - radosne, zwycięskie wiwaty. Potem kolejne dwa strzały i byk pada ostatecznie, wydawszy chrząknięcie. Jego rżenie rozlega się nadal głośno w nocnej ciszy, ale zwierzę już nie ryczy.

- Delphi?
- Właśnie przekazano spóźniony raport z Wywiadu -mówi ze stłumioną furią. - Dwaj ochroniarze Uther-Fen robią obchód wokół wzgórza.

- Tuttle - odzywa się Kendrick. - Potrzebujemy snajpera. Idźcie naprzód z porucznikiem i załóżcie stanowisko.

Tuttle i ja skradamy się wśród drzew, podążając ścieżką wybraną przez Nadzór. To, że najemnicy strzelają do bydła, wskazuje na to, że albo się nudzą, albo są pozbawieni nadzoru, i mogą nie mieć pojęcia o zasięgu toczącej się wokół nich wojny. Oznacza to także, że mają noktowizory, a my nie chcemy dostarczyć im bardziej kuszących celów. Zatrzymujemy się na przeciwległym skraju zagajnika.

Kiedy pomagam Tuttle'owi ustawić trójnog jego karabinu, broń Uther-Fen odzywa się ponownie i kolejna krowa zaczyna ryczeć, tym razem na wschód od nas. Kendrick zjawia się przy nas. Pyta mnie przez pojedyncze łącze:

- Co zaszło?
- Wyhalucynowałem głos, sir. To było ostrzeżenie.
- Cholera, chcesz mi powiedzieć, że Thelma Sheridan poświęciła tysiące istnień, załatwiła Chmurę i rozpoczęła wojnę - wszystko po to, żeby się pozbyć Czerwieni - a ona wciąż tam jest i krwawi poprzez zgliszcza?

- Tak jest, sir.
- Dobra nasza - szepcze Delphi tylko do mnie.
- Przygotuj się, poruczniku! — warczy zde gustowany Kendrick. - Wchodzisz jako pierwszy.
- Chcę mieć za sobą Ransoma.
- Wykonać.

Przełączam się na gen-kom.

- Ransom, masz dziesięć sekund. Przesuń się na początek szyku. Czołgaj się, póki nie znajdziesz się wśród drzew. Gdy ruszę, idź za mną.

- Tak jest, poruczniku! - odpowiada z entuzjazmem golden retrievera.

Wlepiam wzrok we wzniesienie. Wygięte, węzlaste pnie drzew zasłaniają nasze sylwetki w podczerwieni, ale nie blokują mi widoku. Widzę wpuszczoną w głąb skarpy bramę Czarnego Krzyża, a na zboczu bezpośrednio nad nią dwóch zabójców krów z Uther-Fen - małe postacie stojące kilka stóp od siebie, jedna z lornetką, a druga z karabinem. Snajper nie korzysta z trójnogu; nic dziwnego, że potrzebował kilku strzałów, żeby zabić byka.

Tuttle kładzie się na brzuchu. Anioł podał dokładną odległość do celu i wysokość, a Kendrick mierzy temperaturę powietrza i siłę wiatru. Jeden z najemników Uther-Fen padnie na pewno. Pytanie brzmi, czy Tuttle zdoła wziąć na cel drugiego na tyle szybko, żeby jego także powalić.

- Bądźcie gotowi do natarcia na mój rozkaz - zwraca się pułkownik do PGB.

Zadaniem Tuttle'a jest załatwienie dwóch zabójców krów bez zamieszania, które mogłoby zaalarmować kogoś wewnątrz, ale bez względu na to, czy mu się to uda, czy nie, wkroczymy szybko i mocno. Nawet jeśli obrońcy będą wiedzieli, że nadchodzimy, na przygotowanie się nie będą mieli więcej czasu niż parę minut - i to w bitewnym zamieszaniu pokładamy naszą szansę na zwycięstwo.

- Oczyszczam ci wyświetlacz przyłbicy - mówi Delphi.

Mapy i ikony znikają. Nie pozostało nic, co zasłaniałoby mi teren, kiedy będę biegł ku wzgórzu.

Słyszę, że ktoś przesuwa się za mnie. Przypuszczam, że to Ransom, ale się nie oglądam ani nie odzywam. Skupiam uwagę na wzgórzu, gdy Tuttle oddaje pierwszy strzał. Drugi pada dwie sekundy później. Widzę, jak jeden z Uther-Fen się przewraca, gdy pocisk wyrывa mu krater w piersi. Drugi pocisk Tuttle'a nie doszedł jeszcze celu, gdy Kendrick mówi:

- Ruszaj, Shelley.

Tuttle może mi strzelać nad głową, jeśli musi posłać kolejną kulkę.

Wyskakuję z zagajnika i gnam sprintem. Nadal nie wiem, jaka jest sytuacja drugiego z Uther-Fen, ani nie jestem pewny, czy Ransom biegnie za mną, ale liczę na to, że tak. Wierzę, że mój oddział mnie kryje, i ufam Delphi, że ostrzeże mnie, jeśli coś się zmieni.

Jestem w połowie drogi do wzgórza, kiedy przekazuje mi wieści:

- Dwa potwierdzone trafienia, ale jedno ciało leży w polu widzenia kamery znajdującej się nad

wejściem.

Nie marnuję czasu, żeby wydyszeć odpowiedź. Nie ma o czym gadać. Obrońcy wiedzą o nas, ale nie ma to znaczenia. Albo załatwimy ANT teraz, albo jesteśmy martwi.

Delphi zaczyna odliczać dystans, jaki pozostaje mi do przebiegnięcia, zanim znajdę się na tyle blisko, żeby użyć wyrzutnika grantów.

- Pięćdziesiąt metrów, czterdzieści, trzydzieści, dwadzieścia... Drzwi się otwierają - mówi. - Padnij! Biegnę dalej, wyciskając z wysiłających się płuc jedno słowo:

- Licz!

- Na pozycji! Teraz!

Opadam z poślizgiem na kolano i podnoszę do ramienia M-CLLa, stabilizując broń. Nie patrzę na cel. Na mojej przyłbicy zapalił się błyszczący złoty punkt i jedyną liczącą się teraz dla mnie rzeczą jest nakrycie tego punktu kółkiem celowniczym. Przesuwam je. Kółko pokrywa punkt. AI naciska spust i wystrzeliwuje granat z rury pod lufą.

- Padnij, Shelley!

Rzucam się płasko na brzuch, wciskając przyłbicę w pył gruntowej drogi. Przełączam się na widok z kamery hełmu Kendricka, żeby zobaczyć wybuch. Granat miał pierwotnie wywalić drzwi, ale ktoś otworzył je w chwili, w której zintegrowałem strzał, więc AI przeprogramowała granat, żeby dotarł do wnętrza.

Wybuch następuje za drzwiami, otwierając je na oścież i wyrzucając czyjeś ciało w powietrze niczym szmacianą lalkę. Z kuli ognia wylatuje wirujący cylindryczny przedmiot.

- Co to? — pytam szeptem Delphi.

- Granatnik przeciwpancerny, który był wycelowany w ciebie.

Nic, o czym chciałbym myśleć.

Podrywam się ponownie. Tym razem Ransom jest u mego boku. Ścigamy się, zmniejszając dystans dzielący nas od potrząskanych drzwi. Wśród szczątków leżą dwa ciała. Pakuję po pocisku w każde z nich, żeby mieć pewność, że nie wstaną. Kiedy przeskakuję nad nimi, uderza mnie ohydny smród - zawartość flaków, produkty spalania materiału wybuchowego i zwęglone ciało.

Staję z boku drzwi. Machnięciem ręki wysyłam Ransoma na ich drugą stronę. Wsuwam lufę M-CLLa za róg i zataczam nią szybki łuk, żeby moja AI mogła zajrzeć do wnętrza. Cofam broń powoli, żeby zobaczyć dokładnie, co tam jest. Zauważam tylko jednego wroga. Leży w rogu na podłodze, jego skręcone ciało się tli.

- Droga wolna - mówi Delphi.

Wsuwam się do wnętrza, Ransom za mną.

Nie użyliśmy granatnika przeciwpancernego do wywalenia głównej bramy, gdyż nie chcieliśmy ryzykować zapadnięcia się terenu zbornego poziomu 1. Nawet zwykły granat sprawił, że pomieszczenie świeci się żarem, wypełnia je cuchnący dym i jest niemal pozbawione powietrza. Kusi mnie, żeby sięgnąć po maskę przymocowaną do piersi, ale Kendrick nie wydał jeszcze polecenia użycia tlenu, a mamy do przebycia długą drogę.

Dwa pociski trafiają powalonego najemnika, a potem ruszam do stalowych drzwi przeciwpożarowych u szczytu schodów i ustawiam się obok klamki.

- Otworzysz je - mówię Ransomowi.

- Tak jest, sir.

Cofa się pod ścianę, gdzie są zawiasy.

Gotów do otwarcia ognia, trzymam karabin jedną ręką, z kolbą opartą o zastrzał biodrowy martwej siostry. W drugiej ręce mam granat rozpryskowy. Jeśli drzwi są zamknięte, będziemy musieli je wysadzić, a to nas spowolni. Liczę na to, że nie są zamknięte. Ransom ujmuje klamkę dłonią w rękawicy.

- Gotów, poruczniku?

- Tylko na szerokość granatu - ostrzegam go. - Potem zatrzaśnij je i spieprzaj.

Naciska klamkę i ciągnie. Drzwi nie są zamknięte na klucz. Wyjmuję zawleczkę granatu i przez powstałą szczelinę rzucam go na klatkę schodową. O przeciwną stronę drzwi uderzają kule, wybrzuszając stal, tak że Ransom nie może ich zamknąć.

- Z kopa - radzę mu.

Daję ognia w szczelinę. Ransom robi krok wstecz. Następuje przerwa w nawale ogniowej. Ransom wykorzystuje ten moment i kopie w drzwi, wspierany przez całą siłę wspornika nogi martwej siostry. Zatrząskują się z hukiem.

- Spadaj! - wrzeszczę do niego.

Rzuca się ku wyjściu i jednym susem wypada na zewnątrz. Ja tuż za nim.

Granat eksploduje. To podwójny wybuch - bum! bum! — jeden wstrząs więcej, niż mogę przypisać mojemu małemu granatowi rozpryskowemu. Wibracja przenika przez płyty stóp. Kiedy zaglądam do środka, stalowe drzwi przeciwpożarowe, wyrwane z zawiasów przez wybuch, znajdują się po przeciwnej stronie pomieszczenia, ciśnięte na betonową ścianę.

- Ci idioci próbowali nas wysadzić - mówi Ransom. -Zamiast tego sami wylecieli w powietrze.

- Na to wygląda.

Domyślam się, że wystrzelili granat w stronę uchylonych drzwi, ale pocisk nie opuścił klatki schodowej. Tam na dole będzie przypalone, poszarpane mięso.

Podkradam się do poczerńiałej framugi i wysuwam za róg lufę karabinu. Na podeście poniżej leżą dwa ciała. Żadnych żywych celów w polu widzenia.

- Można schodzić - mówi cicho Delphi.

Dwie lub trzy kondygnacje w dół i stracę łączność z aniołem.

- Żegnaj, Delphi - szepczę i zeskakuję od razu na pierwszy podest, śliski od krwi. Łąduję między dwoma ciałami, Pozwalając, żeby martwa siostra zamortyzowała wstrząs.

Opieram się o gorącą betonową ścianę, robiąc miejsce Ransomowi.

Zerkam na mapę i widzę Vanessę Harvey na szczycie schodów, Jaydena Moona krok za nią, a dalej resztę nadciągającej PGB.

Wychylam się, żeby spojrzeć na niższy podest schodów. Nie widzę nikogo, obracam się więc i skaczę ponownie, mając za sobą Ransoma. Nasza taktyka polega na szybkim posuwaniu się naprzód i pozbawieniu przeciwnika okazji do zdetonowania ładunków - jednak poziom 2 leży głęboko pod powierzchnią gruntu. Mamy do przebycia sześć kondygnacji schodów, a zanim tam dotrzemy, napotkamy ogień nieprzyjaciela.

Gdzieś tam na dole kuli się Blue Parker. Wie, że nadchodzimy. Próbuję pojąć, co się dzieje w jego głowie. Bomby jądrowe to jego jedyna forma nacisku, wątpię więc, żeby je zdetonował, póki nie zrozumie ponad wszelką wątpliwość, że przegra. Nawet wtedy... cóż, jest fanatykiem. Rzeczywistość może rąbnąć w taki umysł i odbić się od niego bez żadnego efektu, co mi nie przeszkadza. Im dłużej będzie do niego docierało, co się dzieje z jego sławetną rewolucją, tym więcej będziemy mieli czasu, żeby zwyciężyć.

Ransom i ja spadamy na trzeci podest, gdzie wita nas ogień broni palnej: nawała pocisków, które uderzają w ściany, sufit i podstawę betonowych schodów nad nami, posyłając we wszystkie strony deszcz odłamków.

Rzucam się w róg ciasnej przestrzeni. Ransom pada na brzuch. Vanessa Harvey skacze z podestu nad nami, obraca się... i dostaje prosto w przyłbicę. Impet strzału rzucają na ścianę zaledwie o metr ode mnie, po czym Harvey osuwa się po niej do pozycji siedzącej. Przyłbica jest wgięta i pokryta pajęczyną pęknięć, ale nie została przebita. Pierś Vanessy unosi się ciężko, a spod przyłbicy spływa na nią krew.

- Odezwij się, Harvey - mówię.

- Kurwa - charczy przez gen-kom. - Złamali mi nos.

- Oczyść drogę, Shelley — wcina się Kendrick.

Nie ma innej drogi, jak tylko naprzód.

Sprawdzam, co na wyświetlaczu. Połączenie z Nadzorem zniknęło. Łączność tylko z hełmu do hełmu.

Osobista AI pomoże mi celować, ale nie będzie strzelać. Zatem ten obowiązek spada na mnie.

Opieram palec obok spustu wyrzutnika granatów.

- Uwaga, granat! - ostrzegam przez gen-kom.

Nie wiem, jaki zasięg ma sygnał w klatce schodowej, ale najbliżsi żołnierze będą wiedzieli, co się święci.

Przeskakuję na drugi koniec podestu, wysuwam lufę broni poza wygięcie poręczy i nie patrząc, wystrzeliwuję granat. Ransom chwytą za mój plecak i ściąga mnie na podłogę, obok Harvey. Granat wybucha.

W ograniczonej betonowej przestrzeni jedynie hełm ocala mi słuch. Ściana ognia strzela ponad nas, wznosząc się w kominie klatki schodowej. Ci na wyższym podeście padają na beton albo kryją się po kątach.

Fala ognia utrzymuje się tylko kilka sekund. Zapada cisza, ale nam udało się ponownie spalić większość tlenu. Pozostaje jedynie przedostać się jak najszybciej na poziom 2.

- Podnieś Harvey - mówię Ransomowi.

Podciągają, żeby stanęła na nogi.

- Nic mi nie jest! - warczy Vanessa i uwolniwszy się z uchwytu, skacze poprzez dym na niższy podest.

Podążam za nią, a Ransom za nami. Wobec braku aktywnego oporu po kilku sekundach docieramy na poziom 2. Betonowe ściany są popękane na skutek wybuchu, a na podłodze leżą kolejne dwa ciała, oba w czarnych uniformach Uther-Fen. Drzwi przeciwpożarowe wiszą krzywo na zawiasach.

Naszym celem jest poziom 3, ale potrzebuję powietrza, wywalam więc kopniakiem drzwi i omiatam bronią korytarz za nimi - w polu widzenia nie ma nikogo. Podnoszę z podłogi pusty magazynek i blokuję nim drzwi.

To poziom mieszkalny. Wszystkie pokoje są zamknięte. Kendrick zeskakuje z wyższego podestu i ląduje obok mnie.

Łapie Harvey za zastrzał ramienia, zanim Vanessa jest w stanie ruszyć dalej.

- Zostajesz tutaj. - Popychają w stronę otwartych drzwi, żeby usunąć ją z drogi zeskakującego na dół Moona. - Hoang! Johnson! Pomóżcie Harvey zabezpieczyć poziom drugi.

- Tak jest, sir! - mówi Harvey, oddzielając każde słowo. Jest wściekła z powodu wyłączenia jej z akcji.

Ransom znika w dole. Moon rusza za nim. Odwracam się, żeby podążyć za nimi, ale wstrzymuje mnie odgłos stłumionej eksplozji.

- Co, do diabła?

- Vasquez wyłącza windę.

Mamy teraz tylko jedną drogę wyjścia.

Ruszam za Moonem i Ransomem.

Od celu dzielą nas kolejne trzy kondygnacje schodów. Skacząc w martwych siostrach, docieramy tam szybko. Od naszego wejścia na teren zborny poziomu 1 minęło zaledwie sto dziesięć sekund.

Drogę blokują nam kolejne drzwi pożarowe. Nie słyszę niczego spoza nich, ale jestem pewny, że czeka tam na nas co najmniej tuzin dobrze uzbrojonych ochroniarzy z gorącym powitaniem.

Według mapy klatka schodowa otwiera się na korytarz pięciometrowej szerokości, łączący oba końce hantli, która tworzy poziom 3. Po przeciwnej stronie holu jest winda towarowa, którą Jaynie dopiero co unieruchomiła. Szafki magazynowe z żywnością i wodą są na jednym końcu, a pomieszczenie kontrolne na drugim.

Chciałbym wysadzić drzwi ogniowe, ale to pożarłoby tę resztkę tlenu, jaka pozostała w szybie klatki schodowej, mogłoby uszkodzić sieć elektryczną zasilającą sterownię, a także trwałoby zbyt długo. Zajmuję więc pozycję obok drzwi i przygotowuję się do otwarcia ich. Ransom przesuwają się za mnie, gdzie w wypadku strzelaniny osłoni go ściana. Moon przyczynają się po drugiej stronie drzwi. Jako kolejna zeskakuje na dół szeregową Layla Wade. Każę jej stanąć za Moonem. Nie ma już miejsca na nikogo innego, jeśli nie miałyby stać na wprost drzwi ogniowych.

- Niech nikt nie schodzi na dół! - rozkazuję przez gen-kom.

Sięgam do klamki. Muszę odblokować drzwi i otworzyć je kopniakiem.

- Czekaj, Shelley! - woła Kendrick przez gen-kom.

Ignoruję moją wskazówkę i pokonuje jednym susem ostatnią kondygnację schodów, wypełniając wolną przestrzeń na wprost drzwi. Potem odwraca się i spogląda w górę.

- Wszyscy maski włoż! Potem macie przywarować. Nie schodzić na poziom trzeci bez rozkazu.

Zarzuca karabin na ramię i wyjmuję maskę z tytanowej kasety. Wsunąwszy dłoń pod przyłbicę, trzymam maskę przy nosie i ustach i klnąc na stratę czasu, daję inteligentnej tkance dziesięć wymaganych sekund na przylgnięcie do skóry. Gdy tlen zaczyna płynąć, biorę ponownie do ręki M-CLla, ale teraz, gdy mam w organizmie więcej O_2 , zaczynam myśleć.

Jestem absolutnie pewny, że gdy drzwi się otworzą, z drugiej strony buchnie nawała ognia.

Naprawdę nie chcę, żeby mi odstrzelono rękę.

Spoglądam na Kendricka. Zdejmuje plecak. Wyjmuje z niego zbiornik z tlenem i wsuwa go do kieszeni kamizelki.

Naprawdę nie chcę, żeby mi odstrzelono rękę. Poświęcam chwilę na wypięcie prawej nogi ze stelaża martwej siostry.

Kendrick widzi, co robię.

- Kurwa, co jest, Shelley? - Głos tłumi mu maska tlenowa.

Tak jak mnie.

- Wykorzystuję zasoby, sir.

Stopa cyborga może się zginać w rozmaitych kierunkach i chwycić z siłą dłoni, ale w przeciwieństwie do niej jest wymienna. Balansując na jednej nodze, zginam drugą, po czym chwytam stopą klamkę.

- Kurwa mać - mówi Kendrick.

Pułkownik każe Moonowi cofnąć się kilka kroków, po czym zajmuje jego miejsce przy drugiej ościeżnicy drzwi. To zmusza Wade do cofnięcia się aż do podnóża schodów.

- Przykucnij - polecam jej.

Kendrick także kuca.

- Ransom, Moon - mówi gdy tylko drzwi się otworzą, macie obaj wrzucić do korytarza granaty hukowo-błysko-we. Zablokuję drzwi plecakiem. Zrozumiano?

- Tak jest, sir. - Ransom wyjmuję granat z kieszeni napierśnej.

Ponownie chwytam klamkę roboczą stopą.

- Dobra, Shelley - mówi Kendrick. - Zróbmy to.

Drzwi otwierają się do środka. Naciskam klamkę i kopię w nie z całych sił.

Stają otworem, ich skrzydło obraca się o sto osiemdziesiąt stopni, a wtedy śmiertelny chór broni automatycznej rozbrzmiewa gromem w klatce schodowej. Co najmniej jeden z pocisków trafia w tytanową stopę. Impet uderzenia wytrąca mnie z równowagi, obraca i rzuca na Ransoma. który wali mnie barkiem w tułów i przyspila do ściany, więc nie mogę upaść, kiedy rzuca obok mnie granat. Kątem oka widzę, że Kendrick posyła łobem plecak w stronę wejścia. Kiedy granaty eksplodują z przyprawiającym o zawrót głowy wstrząsem, drzwi przymykają się jedynie częściowo.

Ransom przetacza się w tył po ścianie, a moja przyłbica ciemnieje, żeby osłonić mi wzrok przed

blaskiem. Zanim się rozjaśnia, opadam do przykłąku i jak najszybciej zapinam ponownie złącza mocujące nogę do wspornika martwej siostry. Czuję parzący sygnał zwrotny z kończyny. Stopa nie jest strzaskana, ale przeguby nie działają właściwie, i nie mogę ustawić jej całkiem płasko.

Pieprzyć to. Joby może mi zawsze zrobić nową.

Tymczasem Moon, Ransom, Kendrick i Wade prują pociskami w chaos na poziomie 3.

Dołączam do nich. Nadal przykucnięty, trzymam ztkh w ten sposób, że lufa jest za drzwiami, a ja korzystam z kamery celowniczej i strzelam do wszystkiego, co się rusza. Korytarz po drugiej stronie drzwi wypełniają dym i krzyki. Ransom, strzelając, pochyla się nade mną, więc słyszę jego chrząknięcie, kiedy obrywa. Znika z mojego pola widzenia, odrzucony na klatkę schodową. Po drugiej stronie framugi drzwi Moon pada plecami na ścianę. Za mną rozlegają się krzyki, ale nie pochodzą od Moona ani Ransoma. To kobieta. Zerkam przez ramię - Wade leży z potrzaskanymi nogami, z których tryska krew.

Kurwa mać.

- Nakaoka! - wrzeszczę. Ze wszystkich, których mamy, jej najbliższej jest do sanitariusza. - Na przedzie! Ranna!

- Idę, sir!

Wraca ranny Ransom i znowu pochyla się nade mną. Zapiera się barkiem o framugę drzwi, oddycha szybko i płytko, i coś kapie mi na rękawice. Patrząc na dłonie i przekonuję się, że to pot, a nie krew. Kamizelka musiała go ocalić.

Wade nie ma tyle szczęścia. Jej stan staje się krytyczny, zaznaczony automatycznie w postaci czerwonego napisu na wyświetlaczu mojej przyłbicy: tętno - 210, aktywność mózgu - zanikająca.

- Vasquez! - grzmi Kendrick. - Teraz byłaby odpowiednia chwila!

- Idę, sir!

Kończą mi się cele. Strzelanina ustaje. Uciszyliśmy obrońców... i Wade też już nie krzyczy. Nakaoka zeskakuje z góry klatki schodowej, gdy tułowiem Wade wstrząsają spazmy płytkiego, panicznego oddechu.

- Moon? - warczę. - Sytuacja?

- Ambulatoryjna. Niekrytyczna.

- To samo - mówi Ransom, zanim zdążę zapytać.

Na podeście powyżej pojawia się Jaynie z bronią o lufie z wylotem o dużej średnicy. Nakaoka i Wade blokują Podstawę schodów, więc Jaynie przeskakuje nad poręczą i ładuje tuż za mną. Jej broń jest nielegalnym miotaczem chemicznym, którego nie powinniśmy mieć na stanie.

- Kendrick! Skąd to się wzięło, do cholery? Nie widziałem tego w planach bitwy.

Myślałem, że nakazał nałożenie masek, żeby chroniły nas przed atakiem wroga: nie sądziłem, że to my złamiemy prawo międzynarodowe.

Jaynie przepycha się obok mnie.

- Nie wszyscy muszą o tym wiedzieć, poruczniku.

Miotacz chemiczny wydaje dźwięk popcornu, gdy Jaynie posyła wachlarzem szereg cylindrycznych pojemników w głąb zadymionego holu.

- To tajemnica.

Sytuacja Wade na moim wyświetlaczu się aktualizuje: tętno - 0, aktywność mózgu - płaska linia.

- Naprzód! - rozkazuje Kendrick.

Obracam się i skaczę w głąb korytarza.

*

Dym wypełnia powietrze. Spoglądam w prawo, w lewo, znowu w prawo. Nikt się nie rusza. Nikt nie strzela. Podłogę pokrywają kałuże krwi sączącej się z ciał w mundurach Uther-Fen. Nikt nie krzyczy. Nikt nie jęczy. Z pewnością wszyscy nie mogą być martwi? Co za paskudny gaz miała Jaynie w tych cylindrach?

- Tuttle! - grzmi Kendrick przez gen-kom. - Ty, Fevella i Flynn! Na dół, na poziom trzeci! Rozwała strzałami dwa obiektywy kamer pod sufitem.

Wśród poległych nie widzę cywili, ale obu końców korytarza strzegą nadal stalowe drzwi.

Zastanawiam się, czego będzie trzeba do wysadzenia ich z zawiasów, bez zawalenia stropu, gdy spada spod niego wielki szary szczur i ląduje z pluskiem w kałuży krwi. Spoglądam w górę i widzę zawieszony pod betonowym sufitem przewód wentylacyjny oraz wiązkę rur. Potem szturcham szczura czubkiem stalowej płyty stopy martwej siostry. W wąskim czole zwierzęcia znajduje się obiektyw kamery. Z tyłu czaszki wychodzi drucik anteny leżącej płasko na grzbiecie. Wyjaśnia się zagadka, skąd Wywiad wiedział, co się dzieje na dole.

Ransom schyla się, żeby się przyjrzeć.

- Cholera - mówi głosem stłumionym przez maskę. - Czy to roboszczur?

Kendrick zerka na cyborga, kiedy przechodzi, żeby uważnie się przyjrzeć poległym najemnikom.

- Sukinsyn oprzyrzadowany jak Shelley. Neuronetka, kamera, przekaźnik. Reszta z nas to pierdolone starocie. - Wskazuje zwłoki z odstrzeloną gryką. - Ten! Moon, Ransom, zawleczone to ścierwo na koniec korytarza.

Chwytają ciało pod ramiona i ciągną je przed drzwi pomieszczenia kontrolnego, zostawiając na podłodze krwawą smugę i odciski stóp. Nie jest to gorsze od jatki, jaką widziałem w drodze na dół, nie bardziej przerażające od rozszarpanych ciał rozciągniętych u moich stóp, ale widok krwawego szlaku obezwładnia mnie i zamieram, odnosząc wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

Ktoś szturcha mnie w ramię.

- Poruczniku - mówi Jaynie. - Jest pan z nami? Lepiej niech się pan czegoś napije, zanim pan zemdleje.

Oddala się truchtem za Kendrickiem. Chwytam rurkę wodną, wsuwam ją pod maskę tlenową i upijam haust wody. Tuttle, Fevella i Flynn wyskakują po kolei z klatki schodowej z bronią w rękach, kręcąc głowami w poszukiwaniu celu. Wskazuję gestem sterownicę.

- Idźcie za sierżant.

Następna zjawia się Nakaoka.

- Nic nie mogłam zrobić, poruczniku.

- Wiem.

Piję kolejny łyk wzmocnionej wody, a potem wsuwam rurkę pod kamizelkę. Mam zawroty głowy, jestem niemal oszołomiony. Może moja maska jest nieszczelna. Może to Wyczerpanie psychiczne. To się zdarza. Komórkom mózgowym brakuje substancji odżywczych, produkty przemiany materii się kumulują, myśli płaczą, a neuronetka nie jest w stanie tego skompensować. Może tego dokonać tylko czas, a my go nie mamy. Ogarnąwszy się psychicznie, przyzywam zgiętym palcem Nakaokę, po czym truchtamy oboje na drugi koniec korytarza.

W dziewięć osób tłoczmy się przy drzwiach pomieszczenia kontrolnego. Jaynie ustawia ludzi w rzędach, żebyśmy nie przeszkadzali sobie, gdy wpadniemy hurmem do środka. Przesuwam się na front, świadom każdej upływającej sekundy. Kendrick trzyma przytroczony do ściany skaner DNA. Obudowa urządzenia jest z plastiku; płaska, biała, w kształcie kropli, z mikroczuJNIKIEM na wąskim końcu.

- Niech pan spróbuje pod szczęką - mówi Moon, podtrzymując w górze zwłoki, które Kendrick kazał tu przywlec. - Tam mogła się zebrać krew.

Kendrick tak robi, a potem spogląda na wyświetlacz.

- Miałeś rację. - Moon i Ransom odsuwają ciało z drogi, a pułkownik odwraca się do klawiatury przy drzwiach. - Przygotuj żołnierzy, Shelley - mówi, wystukując kod.

Mój umysł nadal nie nadąża. Przez chwilę nie mam zielonego pojęcia, co mamy zrobić po drugiej stronie drzwi.

- Kurwa - szepczę.

Kendrick obraca przyłbicę w moją stronę, dłoń ma uniesioną nad przyciskiem z kluczem.

- Blue Parker! - warczę. - Brać go żywcem. Potrzebne nam kody ma w pendrivie zawieszonym na szyi. Nie niszczyć sprzętu! On też jest potrzebny. W razie konieczności strzelać, żeby zabić. Celować dokładnie.

Kendrick potwierdza kod wejściowy.

Drzwi otwierają się do wewnątrz z głośnym szczęknięciem. Moon uchyla je ostrożnie, a potem odskakuje przed wystrzelonym z wnętrza pociskiem. Jaynie wysuwa zza rogu lufę garłacza, wsadza jego wylot w szczelinę i strzela.

Spoglądam w górę na przewód wentylacyjny. Przechodzi na wylot przez betonową ścianę. Gaz naszego pierwszego ataku chemicznego powinien był przeniknąć do środka. Jeśli ludzie są tam przytomni, to dlatego, że też mają maski.

A my nie mamy czasu.

Kopię w drzwi i skręcam w prawo, tam gdzie powinien być strzelec.

Pomieszczenie jest obszerne. Wiem, jak wygląda, dzięki raportowi Wywiadu. Tylna część to pudła i kanistry: jedzenie, części elektroniczne, broń. Tę część ograniczają ścianki działowe. Z boku są dwa małe przeszklone kantorki. Na środku pozostałej przestrzeni wznosi się wieża serwera z konsolami po dwóch przeciwnych stronach, chociaż używana jest tylko jedna, a druga to wsparcie. Nad konsolami wiszą wielkie rozświetlone monitory. Naprzeciwko kantorków znajduje się mały aneks kuchenny z lodówką i mikrofalówką, stół, sofa oraz kolejne monitory nastawione na gadające głowy mediotów, którzy nadzorują przepływ informacji.

Pomieszczenie zalewa jasny blask dziennego oświetlenia, w którym wyraźnie widzę strzelca. To młoda blondwłosa dziewczyna, która ma na twarzy staromodną maskę przeciwgazową, utrzymaną na głowie paskami. Rozpoznaję ją na podstawie jej dossier. Na imię ma Allison, lat czternaście, i z morderczą furią w oczach celuje we mnie z wielkiego pistoletu.

Oboje naciskamy jednocześnie na spusty. Wystrzelony przez nią pocisk wali mnie w pierś niczym pięść. Impet rzuca mnie na ścianę, a dziewczyna przewraca się do tyłu z czerwonym kwiatem wykwitającym w miejscu krtani.

Nie mogę oddychać.

Niemniej jestem nadzwyczaj spokojny - i to dzięki samemu sobie. Ikona neuronetki nawet się nie żarzy. Umysł mam wypalony; emocje też.

Omiatam wzrokiem pomieszczenie, widząc ciała rozrzucone na podłodze. Nie tyle, ilu się spodziewałem. Obrońcy muszą się ukrywać w przejściach między zmagazynowanymi zapasami.

Ilu z nich ma maski gazowe i broń?

Tuttle łapie mnie za ramię.

- W porządku, poruczniku?

Klatkę piersiową ściska mi spazm, biorę ze świstem oddech. Pocisk jest srebrną matową monetą rozpląszczoną na mojej kamizelce.

- Znajdź Blue Parkera - polecam Tuttle'owi, a potem wrzeszczę przez gen-kom: - Znaleźć Blue Parkera! Natychmiast!

Obracamy ciała - niezbyt delikatnie - rejestrując nazwiska i twarze. Większość nadal żyje. Co do kilku nie jestem zbyt pewny. Specjalista Fevella odhacza ich na liście. Dodajemy wszystkich, o których wiemy: cywili w głównej części pomieszczenia kontrolnego, martwych ochroniarzy, trzynaścioro dzieciaków, których Harvey znalazła na poziomie 2. Suma to pięćdziesiąt dziewięć osób, ale wiadomo, że w zabudowaniach Czarnego Krzyża przebywało siedemdziesięciu jeden ludzi. Przeczesujemy więc przejścia w magazynie i znajdujemy kolejnych siedmiu nieprzytomnych. Brakuje pięciu cywili, wśród których jest Blue Parker.

Kiedy wracam do głównej części sterowni, zastaję Kendricka przy konsoli. Przyglądam się

ponownie, gdyż nie ma na głowie hełmu. Nadal ma na twarzy maskę tlenową, ale hełm spoczywa na podłodze u jego stóp.

Od unitarki wpaja się nam, że w czasie akcji bojowej hełm pozostaje na głowie. Kropka. Koniec dyskusji. Zdejmij go podczas ćwiczeń poligonowych, a będziesz musiał zacząć szkolenie od początku. Kendrick zdjął hełm, gdyż rozmawia przez telefon satelitarny Czarnego Krzyża. Kiedy widzi, że na niego patrzę, pokazuje mi środkowy palec.

Ale i tak słucham, podkreślając głośność zewnętrznych mikrofonów hełmu, żeby docierał do mnie głos jego rozmówcy. Rozmawia z Wywiadem. Upewnia się, że sygnał docierający do podłożonych ładunków jądrowych jest wciąż generowany, wiemy więc przynajmniej, że czuwak jeszcze nie zadziałał. A jeśli bomba może zostać zdetonowana z jakiegoś innego miejsca?

Nie minęło jeszcze sześć minut od rozpoczęcia ataku, ale jeśli nie znajdziemy Blue Parkera, jeśli nie wyślemy kodów dezaktywujących, to wszystko na nic.

Kendrick odsuwa mikrofon telefonu od ust. Czułość moich mikrofonów zmniejsza się automatycznie.

- Shelley, zbierz tylu ludzi, ilu potrzebujesz, żeby nawiązać łączność, i idź na górę. Nastąpi przekaz danych.

- Pójdę z panem - mówi Ransom.

- Nie — sprzeciwia się Jaynie. — Potrzebuję cię tutaj. Fevella, Nakaoka i Flynn, idziecie z porucznikiem. Shelley, może pan zabrać Hoanga z poziomu drugiego? Harvey już go nie potrzebuje.

- Tak jest, ma'am — mówię z minimalną jedynie szczyptą sarkazmu w głosie. Moja sierżant objęła dowództwo nad oddziałem, ale nie oponuję, gdyż chwila jest krytyczna, a Jaynie podjęła właściwą decyzję. Wraz z przydzieloną mi grupą gnam w stronę klatki schodowej.

Fevella zostaje u jej podnóża. Nawiązuję połączenie z Juliem Hoangiem i każe mu zająć stanowisko na schodach. Nakaoka zostaje kilka kondygnacji nad Hoangiem, a potem zostawiam za sobą Flynn. Pokonanie pod górę tylu stopni, nawet w martwej siostrze, to wyzwanie, i zanim opuszczam Flynn, opróżniam zbiornik z tlenem. Zrywam maskę, wspinając się po drugiej od góry kondygnacji schodów, i dławię się gorącym, stęchłym, cuchnącym powietrzem. Z dołu ściga mnie powiew. Bóg jeden wie, ile jest w nim nadal toksyn. Nie czuję się najlepiej, nie wiem, czy to z powodu trującego gazu, wyczerpania umysłowego, pozbawionego tlenu powietrza czy też doła emocjonalnego.

Łapię jednak chwilę oddechu. Jestem jedną kondygnację schodów nad Flynn i jedną poniżej szczytu, kiedy mój hełm łączy się z aniołem, z którego spływa strumień danych. Przesyłam je Kendrickowi. Info przeskakuje od hełmu do hełmu żołnierzy stojących na schodach, a sekundę później słyszę głos pułkownika:

- Odebrałem.

Sprawdzam, co otrzymaliśmy.

To tylko zdjęcie magazynu z tyłu pomieszczenia kontrolnego. Musiał je zrobić jeden z roboszczurów, który tuż przed tym, zanim gaz przesaczył się przewodami klimatu, zacji, przekazał obraz na zewnątrz. Widzę człowieka w masce gazowej, wciskającego się do kryjówki pod skrzynkami. Obok stoją dwaj cywile, gotowi go tam zamknąć, jak sądzę. Wiem, że ten facet to Blue Parker, gdyż na łańcuszku na szyi dynda mu nadal pendrive. W jego dłoniach widzę tablet.

Oblewa mnie zimny pot, gdyż wiem, jaki mają plan. Jeśli wszystko okaże się stracone, Blue podłączy pendrive'a do tabletu i wyśle zdalnie kody.

Chcę wrócić na poziom 3, ale nie mam już tlenu, a i tak wszystko się rozstrzygnie, zanim dotrę na dół.

Nie chcę zostać w tym miejscu, bo na podeście leżą dwa spalone ciała i na klatce schodowej cuchnie prochem, wymiocinami, gównem i krwią.

Wspinam się wyżej po jednym stopniu.

Teraz, skoro mam ponownie łączność z aniołem, Delphi wraca do mojej głowy.

- Zostań na schodach, jesteś potrzebny jako przekaznik informacji. - Stara się mówić groźnie, ale jej

głos nieco drży, jak tamtego dnia, gdy wybuch oderwał mi nogi.

Opieram się o framugę wyrwanych drzwi pożarowych i patrzę poza bramę wejściową obszaru zbiornego na poziomie 1. Ramy skrzyconej i potrzaskanej framugi obejmują idylliczny obrazek teksańskiej nocy - wyschnięte pastwisko i węzłaste drzewa, oddane w noktowizji. Tylko kilka minut minęło od chwili, gdy utorowaliśmy sobie drogę w głąb Czarnego Krzyża.

Zastanawiam się: gorzej jest wiedzieć czy nie?

- Pieprzyć to - szepczę i łączę się przez łańcuszek przekaźników z kamerą hełmu Kendricka.

Łapię przekaz dokładnie w chwili, w której Ransom otwiera zapadowe drzwi. Tuttle świeci do środka.

Byłoby super, gdybyśmy mieli czym zakłócić bezprzewodowy sygnał z tabletu.

Ale nie mamy.

Mamy tylko to, co było dostępne w CLIIS.

- Wyciągnijcie go — mówi Kendrick.

Jaynie i Tuttle chwytają Blue Parkera pod pachy i wywlekają go z kryjówki. W prawej dłoni ściska tablet. Pen-drive nie wisi już na jego szyi. Jest wsunięty do jednego ze slotów tabletu.

Skurwiel zaczyna skrzeczeć.

- Wysadzę to! Wysadzę! Wysadzę! Wysadzę!

Wstrząsa mną dreszcz; zamykam oczy, nienawidząc go, nienawidząc każdej sylaby wykrzyczonej wysokim, spanikowanym głosem.

- Wysadzę to! Wysadzę! Nie dotykajcie mnie, bo to wysadzę!

To dlaczego, kurwa, tego nie robi?

Zapada cisza.

Otwieram oczy i widzę Blue Parkera, pod którego brodę wciśnięty jest pistolet.

- Posłuchaj - mówi Kendrick głosem tak niskim, że bębniaki w uszach wpadną mi zaraz w rezonans. - Obaj wiemy, że nie chciałeś naprawdę zamordować dziesiątków tysięcy ludzi. Założę się, że to nie był nawet twój pomysł.

I wiem, że nie chcesz dodać do tego kolejnych dziesiątków tysięcy ofiar, bo pójdziesz za to do piekła na całą wieczność, a gdy Diabeł obedrze cię ze skóry, to cię wydupczy na rozpalonych węglach.

Zaczynam się pocić, chociaż Kendrick nie mówi wcale do mnie. Kiedy pułkownik grozi, nietrudno mu uwierzyć. Blue Parker wierzy. Zaczyna płakać.

- Daj mi kod dezaktywujący - żąda Kendrick.

- Jest na pendrivie - wykrztusza Parker. - Jest oznaczony.

Jaynie odbiera mu tablet. Ekran jest czarny, zablokowany hasłem dostępu.

- Cztery, trzy, dwa, jeden - mówi Parker drżącym głosem.

- A potem bum? - pyta go Jaynie.

- Nie! Przysięgam.

Kendrick patrzy jej przez ramię, gdy Vasquez wstukuje hasło. Na wyświetlaczu wykwita lista plików. Jest tam wszystko, w porządku alfabetycznym:

Denver, odpalenie Denver, rozbrojenie Nowy Jork, odpalenie Nowy Jork, rozbrojenie

- Najpierw Nowy Jork - mówię.

- Dalej, Vasquez - poleca pułkownik. - Nowy Jork. Zrób dobrze porucznikowi.

A jeśli to nie zadziała? Jeśli Nowy Jork pierwszy wyleci w powietrze? Zaciskam powieki, gdy Jaynie uruchamia program dezaktywujący.

- Delphi, powiedz mi.

- Brak jeszcze raportu.

Sekundy mijają. Potem Delphi zwraca się do wszystkich przez gen-kom:

- Bomba w Nowym Jorku się rozbroiła.

Rozlegają się okrzyki radości na klatce schodowej, a potem ciche wiwaty z głębi schronu.

Zręczne palce Jaynie ocalają następnie Atlantę, a kiedy nagradzają to wzniesione kciuki, pozbywa się raka z Denver, Filadelfii i Phoenix.

Skończone, prawda? Załatwiliśmy ANT.

Pragnę w to wierzyć, ale coś słyszę. Odrzutowce. Brzmi to jak w Afryce, wściekły ryk silników na granicy słyszalności. Nie przerażają mnie jednak, gdyż wiem, że muszą być nasze — chcę je zobaczyć. Chcę wyjść na zewnątrz, znaleźć się pod gwiazdami i przekonać się, że świat nie umarł. To przymus. Chcę tego tak bardzo, że drży mi serce. Wyłączywszy gen-kom, wołam do Flynn w głębi klatki schodowej:

- Powiedz wszystkim, żeby podeszli jedną kondygnację w górę. Nie przez gen-kom.
- Sir? - W głosie Flynn brzmi niedowierzenie.
- Poza gen-komem - powtarzam. - Nie blokujcie połączenia. Wychodzę na zewnątrz.

Flynn przekazuje rozkaz na dół. Słyszę, jak powtarza go Nakaoka. Gdy Flynn wspina się hałaśliwie po stopniach, opuszczam swoją pozycję u szczytu klatki schodowej i ruszam w stronę wyjścia.

Odrzutowce są coraz bliżej. Nie widzę ich, ale ryk silników zbliża się błyskawicznie. Nadlatują z zachodu: szybkie i ciemne, na niskim pułapie. Hełm tłumi hałas, ale dźwięk i tak wibruje mi w kościach, wstrząsa posadami świata. Przez moment mi się wydaje, że Delphi krzyczy coś do mnie, ale to musi być moja wyobraźnia... czasem słyszy się głosy w białym szumie.

Na wschodzie błyska światło. Jasna biel. To nie słońce. Rakietą - ogromna, wielostopniowa - nienormalnie wysoki strumień odrzutu, wznoszący się nie wiadomo skąd. Co najmniej piętnaście kilometrów dalej, ale blask ognia pierwszego stopnia przegania noc.

Vanda-Sheridan nie tylko produkuje satelity; także umieszcza je na orbicie.

Rakietą wznosi się pionowo w górę. Nie potrafię powiedzieć, jak daleko.

Odrzutowce przelatują nad moją głową. Myśliwce: widzę blask ich dopalaczy, a po równinie przetacza się naddźwiękowy grom. Potem wystrzelują dwa pociski, ciągnące za sobą świecące smugi; wysforowują się przed samoloty i suną łukiem w górę, kursem przechwycenia rakiet, która zaczęła skręcać powoli na północ.

Pociski ścigają ją, ale to beznadziejne. Nigdy jej nie dogonią.

Wtedy zawodzi układ sterowania rakietą. Sądzę, że zakłócają go piloci myśliwców, wpływając na jej system nawigacyjny. Pocisk obraca się dziobem w dół i eksploduje.

Przez małe ułamek sekundy patrzę na kulę ognia, ale naprawdę jej nie widzę. To jak Bóg albo pączkujący zarodek nowego wszechświata - coś, co nie jest przeznaczone dla oczu człowieka. Przerazenie wyłącza wyższe funkcje mózgowe, kontrolę przejmuje instynkt. Oczy się zamykają. Obracam się i rzucam w tył, nurkując w zbawczą ciemność poziomu 1. Ląduję na przedramionach. Wsporniki martwej siostry przyjmują początkową energię uderzenia, a potem walę o beton piersią i przyłbicą. Szpila bólu przeszywa potylicę, czarnego, pozbawionego światła... nie ma już światła. Nic nie widzę, nawet w noktowizji, ale nie muszę widzieć. Wiem, gdzie są schody. Flynn jest zaledwie jedną kondygnacją poniżej. Potem Nakaoka, a później Hoang i Fevella.

Dlaczego nie słyszę ich przez gen-kom? Dlaczego nie mam na wyświetlaczu żadnej ikony? Ani na przyłbicy, ani na przekłętej nakładce nie widzę żadnego sygnału.

Pieprzyć to. Zamiast tego wołam:

- Flynn, uciekaj na dół. Na dół! Na dół!

Z wysiłkiem stosuję się do własnej rady. Albo usiłuję to zrobić, gdyż martwa siostra się nie rusza. Jej przeguby są unieruchomione i nagle to jest znowu Afryka, a ja jestem uwięziony w zepsutym rynsztunku.

Dociera fala uderzeniowa wybuchu.

Przez mózg przetacza mi się ryczący biały szum, betonowa podłoga drży, rozlega się rozdierające skrzeczenie, które brzmi, jakby zapadał się stalowy świat, a potem deszcz jego fragmentów spada mi na

plecy i dudni o hełm.

Chcę się dostać do klatki schodowej. Rozpaczliwie. Z całych sił walczę z zastygłym przegubem łokciowym prawego ramienia martwej siostry, zmuszając je do zgięcia się, aż jestem w stanie dosięgnąć złącza na lewej ręce. Odpinam je i zabieram się do następnego. Uwalniam lewe ramię, a wtedy to już łatwizna, odpiąć pozostałe zatrzaski i wytoczyć się z osprzętu, zostawiając przy nim plecak.

Moje robocie nogi jednak nie działają wcale lepiej od martwej siostry. Nic nie czuję. Nie odbieram żadnego sygnału zwrotnego.

Pieprzyć to.

Czołgam się po podłodze. Nic nie widzę, ale chcę do tej klatki schodowej.

Kiedy do niej docieram, na zewnątrz robi się cicho. W powietrzu czuję smak kurzu. Chwytam się framugi i podciągam do pozycji siedzącej. Moje nogi to martwy balast i nadal nie ma śladu życia na mojej nakładce. Nadal nic w gen-komie, a wyświetlacz przyłbicy jest martwy, martwy, bardzo martwy. Powinienem móc widzieć przez nią, kiedy całą elektronikę szlag trafi, ale nie widzę. I niewiele też słyszę. System audio nie działa.

Łamię więc podstawową zasadę operacji bojowych i zdejmuję hełm.

Nadal nic nie widzę, ale teraz słyszę grzmiący głos Ransoma, który zaciąga z południowym akcentem.

- Podest piąty, klatka schodowa czysta.

Słyszę dudnienie stóp co najmniej dwóch martwych sióstr, wspinających się po schodach.

- Podest szósty, schody czyste.

- Nie wchodźcie tutaj!

Próbuję to wykrzyzczeć, ale głos mam tak ochrypły, że brzmi to jak pomruk, który odbija się od betonu.

- Na zewnątrz eksplodowała pierdolona bomba atomowa.

- Shelley? - woła Ransom tak głośno, iż przysięgam, że pod wpływem hałasu z sufitu spadają na podłogę kolejne odłamki.

Ignorując moją radę, biegnie pod górę. Nie jest sam. Wreszcie widzę liźnięcie światła, niebieskobiałego, jak promień z latarki ledowej, ale to światło rozpada się na setki fragmentów, niczym błyszczące odłamki szkła.

- Niech cię szlag, Shelley! - Teraz to Kendrick i jest wściekły. - Dlaczego, do kurwy nędzy, nie masz hełmu na głowie? Dlaczego nie mówisz przez gen-kom? Gdzie, do diabła, jest twój osprzęt?

Nie mogę odwrócić wzroku od tych odłamków światła Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego.

- Co to, kurwa, za światło?

- Co?

- Jakim cudem widzi pan cokolwiek przy tym potrzaskanym świetle?

Słyszę ciche westchnienie przegubów jego martwej siostry. Po dźwięku poznaję, że jest tuż przede mną, ale widzę jedynie to porąbane światło - odpryski i fasety.

- To jakby patrzeć oczami muchy.

Wtedy światło strzela mi wprost w potylicę, jak rozgrzane do czerwoności szydło. Z bólu zaciskam powieki i szarpnię w tył głowę, waląc nią o framugę.

- Kurwa.

- Powinieneś mieć na łbie pieprzony hełm!

- Jest zepsuty! Nic w nim nie widzę ani nie słyszę!

- Co mu jest? - pyta Ransom.

Też chciałbym wiedzieć.

- Skąd wiesz, że to był ładunek jądrowy? - pyta Kendrick.

- Widziałem kulę ognia.

- Patrzyłeś na nią? Jeee-zu. - Każda sylaba to chłaśnięcie jego gniewu. - Muszę ci zaświecić w

oczy. Patrz poza mój bark i nie mrugaj.

- Nie widzę pańskiego pieprzonego barku.
- No chyba.

Z trudem otwieram oczy i światło pojawia się ponownie, ale tym razem nie jest takie jaskrawe.

- Święty Panie - mruczy Kendrick. - Masz szczęście, sukinsynu. Sądzę, że to nakładka.

Powierzchnia jest popękana jak roztrzaskana szyba.

- Może pan sobie załatwić nowe soczewki, poruczniku - mówi Ransom. - Naprawić to.
- Taa. - Zakładając, że świat na zewnątrz nadal istnieje. Opieram się o framugę i staram się o tym nie myśleć. - Jak wszyscy inni na dole?

Gdy Kendrick wstaje, słyszę szum przegubów jego martwej siostry.

- Wiesz, że straciliśmy Wade. Poza tym drobne obrażenia i żadnych oberwanych stropów na skutek wybuchu jądrowego. Ci chłopcy z okresu zimnej wojny umieli budować schrony przeciw atomowe.

Mówię mu o rakiecie i o myśliwcach, które przyleciały znikąd, żeby powstrzymać ją w locie nad tym pustkowiem.

- Ci piloci... gdyby się nie zjawili, to uderzyłaby może w Austin, San Diego albo jakieś bardziej oddalone miasto, ale nie dopuścili, żeby do tego doszło. Posłali raketę na ziemię. A ona mogła po prostu pozwolić jej spaść, ale nie zrobiła tego. Zdetonowała ładunek. Anihilowała ich, sir.

Kendrick klnie cicho przez jakieś dwadzieścia sekund. Potem się opanowuje.

- Możesz wstać?
- Nie. Nogi mi wysiadły, tak jak hełm i osprzęt.
- Impuls elektromagnetyczny - mruczy Kendrick. - Ta bomba załatwiła twoje obwody. Trzeba cię przeprojektować. Jesteś zbyt podatny na ciosy.
- Mam wrażenie, że neuronetka też padła.
- Jeśli tak, to myślenie o tym nic ci nie pomoże. Trzeba cię rozebrać, bo twoje ciuchy mogą być skażone.

Pozbywam się z łatwością kamizelki kuloodpornej, kurtki i T-shirtu. Pomagają mi ze spodniami.

- Dobra, Ransom - mówi Kendrick. - Zabierzmy go na dół. Weź go pod drugie ramię.
- Pożalujecie znoszenia mnie na dół, kiedy będziecie musieli wtaszczyć mnie z powrotem na górę.
- Poradzimy sobie.

Wloką mnie sześć kondygnacji w dół schodów, na poziom 2, gdzie są przetrzymywani pozostali przy życiu terroryści. Światła są nadal włączone - oszczędne ledy emitują radosny blask słoneczny.

- Wygląda jak pieprzony obraz Picassa.

Sadzają mnie na płytkach pod natryskiem. Ktoś odkręca kran z lodowatą wodą, a jej strumień spada mi na głowę i barki.

- Kurwa mać.

Wsuwają mi w dłoń plastikową butelkę. Chwytam ją.

- Umyj się cały - rozkazuje Kendrick. - Ransom, dopilnuj tego.
- Tak jest, sir.

Dzięki Bogu woda robi się cieplejsza.

*

Kilka minut później siedzę na czyimś łóżku w jednym z pokoi poziomu 2, trzymając butelkę wody, którą Ransom wygrzebał w magazynie Czarnego Krzyża. Otwieram butelkę i upijam łyk. Woda jest zimna, niewitaminizowana, więc obolałe gardło piecze mnie jak wszyscy diabli. Także oczy zaczynają boleć jak jasna cholera, bo zniszczone soczewki nakładki naciskają na rogówkę. A siniak, który zarobiłem od kuli młodej dziewczyny, sprawia, że klatka piersiowa dokucza mi przy każdym oddechu.

- Witam, poruczniku.

To Flynn.

- Ukradłam dla pana jakieś ubrania.
- Nie mundur Uther-Fen?
- Nie, sir. Cywilki. Będzie panu ciepło w czasie ewakuacji.

Ponieważ nie widzę, co robię, pomaga mi. Są tam pulower i miękkie spodnie.

- To kurtka - wyjaśnia, kładąc mi na kolanach szorstki materiał. - Na czas, gdy pan będzie gotów do drogi.

- Wiadomo, kiedy to nastąpi?

Odpowiada Kendrick; jego głos dochodzi z okolic drzwi:

- Niedługo. Wywiad będzie chciał rozebrać to miejsce na kawałki, co oznacza, że będziemy ewakuowani jak najszybciej.

- Mój sprzęt. Plecak, broń, wszystko... jest wciąż na poziomie pierwszym.
- Zostawimy to na wypadek, gdyby było skażone. Jak twoja głowa? Nastrój siada?
- Taa.

Nie ma wątpliwości, że neuronetka zdechła. Jej zadanie polega na regulowaniu chemii mojego mózgu, ale nie robi tego i nie czuję się dobrze. Szybko ogarnia mnie depresja; wpadam przez jakiś wewnętrzny wymiar w ciemność, która z każdą mijającą minutą ciąży coraz bardziej.

- Nie mam żadnych psychotropów - mówi Kendrick. - Będziesz musiał wytrzymać.
- Taa... wie pan, to pieprzony cud, że straciliśmy tylko Laylę Wade.
- Taa, racja. Posłuchaj, nie wiem, czy słyszałeś, ale Blue Parker przyznał, że to gniazdo żmij ufundowała Thelma Sheridan. Gotów jest dostarczyć dowodów, jeśli będzie mógł pójść na jakiś układ.
- Mamy więc dowód. - Pragnę wierzyć, że Sheridan nie wywinie się z tego, ale pieniądze potrafią zniekształcić lub usunąć fakty. - Myśli pan, że będzie w stanie się wykupić z tego?

- Spróbuj.
- Nie możemy jej na to pozwolić, pułkownik.
- Wyluzuj. Dosyć już zrobiłeś jak na jedną noc.
- Taa. Nie wiem nawet, ilu ludzi zabiłem. Zastrzeliłem dziecko. Musiałem to zrobić, bo Sheridan postanowiła rozpętać wojnę. Pierdoloną wojnę. Bo za pieniądze można kupić wszystko.
- Absolutnie wszystko - zgadza się Kendrick. - Broń jądrową, rewolucję, bezmózgich fanatyków. Myślę o czternastoletniej Allison, która zrobiła, co mogła, żeby wpakować mi kulę w serce.
- Uważa pan, że za pieniądze można sobie kupić czyste ręce?

Kendrick prychnął.

- Rekin nie ma poczucia winy. Gdyby było inaczej, nie zajmowałyby takiej pozycji w świecie. Miałem na myśli własne ręce, ale sądzę, że on o tym wie,
- Zrobiliśmy dzisiaj dobrą rzecz, Shelley. A kiedy cię znowu okablują, poczucie winy zniknie.

*

Przybywają wzmocnienia. Cywilni więźniowie zostają ewakuowani, a potem Kendrick przekazuje władzę nad Czarnym Krzyżem zespołowi z Wywiadu. Ransom informuje mnie, że wszyscy przybyli noszą dozymetry. On i Tuttle muszą wywindować mój tyłek z powrotem sześć kondygnacji w górę. Obaj są dużymi facetami. Pod moim dodatkowym ciężarem przeguby ich martwych sióstr zaczynają się poddawać i ślizgać, ale w końcu udaje się im wpakować mnie przez tylne drzwi do czekającego chinooka. Nie chcę być niesiony choćby jeden krok dalej, niż to jest konieczne, więc mówię im:

- Posadźcie mnie na skraju ławki.

Tuttle odpowiada coś, ale nie mam już hełmu, niczego, co by wzmocniło mój słuch, więc z powodu ryku silników nie jestem w stanie zrozumieć jego słów.

- Mów głośniej, do cholery! - Moja neuronetka padła i nerwy mam na wierzchu. - Myślisz, że mogę cię słyszeć w tym hałasie?
- Mówię tylko, że z przodu jest mnóstwo wolnych miejsc!

- Oddział może mnie obejść. Posadźcie mnie.

- Tutaj - mówi Ransom. - Zróbmy to.

Sadzają mnie na skraju ławki. Jeden z nich schodzi grzmiącym krokiem po rampie.

- W porządku, poruczniku? - pyta Ransom, ujawniając tym samym, który z nich został.

- Taa - kłamię. - A ty?

- Boli przy oddychaniu, ale nie mam połamanych żeber.

- Skopałbym ci tyłek, gdybyś mnie włókł po schodach ze złamanymi żebrami.

- Tak jest, sir.

Rozlega się głuchy odgłos, kiedy zrzuca plecak, po czym wpycha go pod ławkę. Słyszę, jak odpina gnaty, przygotowując się do lotu - teoretycznie powinien to robić na zewnątrz maszyny, ale nic nie mówię.

Odgłosy kroków i wywołane zmęczeniem przekleństwa mówią mi, że przybywają kolejni żołnierze.

Plecaki spadają na podłogę z głośnym dudnieniem. Złożone truchła martwych sióstr szczękają i grzechoczą ładowane na stelaże na górze. Potem ławka się ugina, gdy Ransom siada obok mnie.

- Masz na mnie oko?

- Osłaniam pana, sir. To wszystko.

- Ja tak samo... nie żebym był w stanie zrobić teraz wiele dobrego.

- Tam na dole był pan jak demon z piekła rodem, sir.

To chyba komplement. Odbieram go jak cios w dołek.

Z przyzwyczajenia przesuwam wzrok, żeby sprawdzić sytuację oddziału na wyświetlaczu przyłbicy, której nie mam. Klnę pod nosem. Jestem odcięty od gen-komu, więc nie wiem, gdzie są moi ludzie i co się naprawdę dzieje, nie mogę również o nic zapytać wszystkich naraz, ale wciąż jestem oficerem i mogę stać się wrzodem na dupie, jeśli tylko zechcę. Podnoszę głos i porozumiewam się w starym stylu:

- Zgłosić się! Kto tu jest?

- Sierżant sprawdza już stan osobowy przez gen-kom -odzywa się jakaś kobieta; głos ma niski i nosowy i z początku go nie poznaję. Potem dociera do mnie, że to specjalistka Harvey, która mówi ze złamanym nosem.

- Cholera, Harvey! Powiedziałem, że sprawdzam listę obecności.

- Tak jest, sir.

- Gdzie jest pułkownik Kendrick?

Mamy wyznaczony porządek odliczania — w dół stopni wojskowych, w górę alfabetu.

- Pułkownik ewakuuje się później - odpowiada Jaynie od strony opuszczonej rampy.

- Czyli pani jest następna, sierżant. Zgłaszać się!

- Vasquez.

- Fevella.

- Harvey.

- Moon.

- Nakaoka.

- Ransom.

- Tuttle.

- Flynn.

- Hoang.

- Johnson.

Następuje chwila ciszy, kiedy powinna się zgłosić Wade. Potem słyszę grzechotanie kolejnej martwej siostry wkładanej na górną półkę, tąpnięcie kolejnego plecaka wsuwanego pod ławkę.

- Może się pan przesunąć, sir? - prosi Jaynie.

Przybliżam się do Ransoma, robiąc jej miejsce na skraju ławki.

- Cały sprzęt odpowiednio zmagazynowany? - pytam ją.

- Tak jest, sir.

Jęczą mechanizmy, gdy zamyka się tylna kłapa śmigłowca. Silnik chinooka zwiększa obroty.

Pochyliłam się ku Jaynie. Walę czołem w jej hełm.

- Mamy informacje o grupie sierżanta Nolana?

Nolan i dwóch szeregowych zostali w punkcie kontrolnym zdrajców z zadaniem pozbycia się półciężarówek.

- Nie byłam w stanie zapytać o to Nadzoru, sir.

- Nie znamy więc sytuacji Femandeza i Antonia?

Zostali wysłani z Troyem ciężarówką Gwardii Narodowej.

- Jeszcze nie, sir.

- Jezu! - wykrzykuje Ransom z drugiej strony. - Zdawało mi się, że oberwałem tylko dwa razy, ale mam w kamizelce trzy rozpląszczone pociski! A to dopiero przód. Założę się, że na plecach mam odłamki granatu. - Czuję, że przechyla się na mnie, gdy chinook zaczyna się wznosić. - Hej, sierżant, ile pani ma?

- Nie było mnie na pierwszej linii ataku - odkrzykuje Jaynie. - Zero.

Pamiętam, że zostałem postrzelony raz w robocią stopę i raz w pierś przez Allison. Dotykam tułowia i krzywię się z powodu siniaka; przesuwam dłoń ku środkowi, gdzie tkanka jest spuchnięta. Kula trafiła dużo bliżej krtani, niż sądziłem. Gdyby to było odrobinę wyżej, nie byłoby mnie tutaj.

Po prostu pech, myślę.

Nie. To nie jest to, co myślę. Nie chcę umierać. Nie chcę.

Muszę się przekonać, czy Lissa żyje. Chcę ją ponownie zobaczyć, a także ojca i Elliota. Ale neuronetka nie działa i nic nie powstrzymuje czarnej pustki przed wnikaniem do mojej piersi.

Czuję, że Jaynie opiera się o mnie. Wzdrygam się z powodu wilgotnego ciepła oddechu na moim uchu.

- Zdjęła pani hełm, sierżant?

- Muszę pana zapytać poza gen-komem. Dlaczego wyszedł pan na zewnątrz?

Wszyscy w oddziale mają na głowach hełmy, które potrafią wychwycić szept na tle hałasu silnika.

- Słyszać nas.

- Wszystkim kazano wyłączyć wzmacniacze dźwięku, sir. To tylko pan i ja. Dlaczego więc wyszedł pan na zewnątrz? Pułkownik wrzeszczał, żeby pan został.

Delphi też do mnie wołała. Słyszałem jej głos na tle białego szumu odrzutowców.

- Mój system audio nie działał prawidłowo. Może z powodu zakłóceń pochodzących od odrzutowców.

Jaynie naciska mocniej:

- Dlaczego więc wyszedł pan na zewnątrz?

- Po prostu chciałem.

Naprawdę bardzo chciałem.

- Kiepsko, że Bóg oberwał. Mogła pana ostrzec, żeby został pan w środku.

Przebiega mnie dreszcz. Jaynie nie wie, że Czerwień nawiedziła mnie, gdy zbliżyliśmy się do Czarnego Krzyża.

Czerwień była zawsze po mojej stronie i ostrzegała mnie szeptem przed niebezpieczeństwem... kiedy jednak usłyszałem nadlatujące myśliwce, coś w mojej głowie domagało się, żebym wyszedł na zewnątrz. Dlaczego?

Chyba wiem. Do ostatniej chwili przed wybuchem wszystko, co widziałem, było transmitowane przez anioła i zachowane dla potomności.

- Nieźle podkręciłem dramaturgię - mówię Jaynie. - Nie uważasz? Mocne zakończenie odcinka drugiego, gdy jestem świadkiem wyparowania pilotów.

- To nie jest temat do żartów, sir. - Słyszę ostrość w jej głosie.

- Nie żartuję. Czerwień wróciła, Jaynie, i pogrywała sobie ze mną. Z moim sprzętem. Wypchnęła mnie przez te pierdolone drzwi.

Czuję, że Jaynie się odsuwa. Uważa, że oszalałem. Może i tak.

Jednak po kilku minutach czuję ponownie na uchu jej oddech.

- Nie chcę być marionetką. Musimy to wyeliminować.

- Czerwień? Cały ten popierdolony epizod wydarzył się dlatego, że Thelma Sheridan chciała ją załatwić. Zabiła dziesiątki tysięcy ludzi i użyła w kraju broni jądrowej... a Czerwień wciąż tu jest! Chcesz się jej pozbyć? To musisz zagrać ostrzej, niż zrobił to rekin. Potrafisz to zrobić?

- Nie chcę z tym żyć.

Pytam ją o to, o co zapytał mnie Kendrick:

- A dlaczego uważasz, że masz wybór?

Nie odpowiada. Potem już w ogóle nie odzywa się do mnie.

W końcu gdzieś lądujemy.

Silnik cichnie, łatwiej jest cokolwiek usłyszeć. Jaynie podnosi się; Ransom również, ale zostawia hełm na siedzeniu - fakt, który odkrywam, gdy uderzam o niego łokciem. O stelaż grzechoczą martwe siostry, zdejmowane z niego. Z gadaniny wnoszę, że zostaliśmy przetransportowani do San Antonio i że wydano pozwolenie zdjęcia hełmów. Informacja musiała przyjść przez gen-kom, ale ja nie jestem podłączony. Nie słyszę Chmury. Nie widzę świata. Nie mogę chodzić. Chcę w coś walnąć pięścią.

Płynnemu wyciu elektrycznego mechanizmu opuszczającego rampę zjazdową towarzyszy podmuch powietrza pachnącego kurzem i paliwem odrzutowym.

- Harvey, zajmij się porucznikiem — mówi Jaynie napiętym głosem. Nietrudno sobie wyobrazić, że nadal jest na mnie wkurzona.

- Tak jest, sierżant. - Najwyraźniej to Vanessa Harvey stoi tuż przede mną. - Dawajcie to na górę! - woła. A potem łagodniejszym tonem: - Nie uwierzy pan w to, poruczniku.

- W co?

- Sprowadzili dla pan wózek inwalidzki.

To stary model, bez elektroniki, ale przysłano z nim opiekuna, żeby mnie pchał.

Nastał świt. Wiem to dzięki fioletowym odpryskom światła na tyle słabego, że nie razi mi oczu, gdy jestem wieziony po asfaltobetonie. Tupot stóp podążających za mną moich żołnierzy jest pocieszającym dźwiękiem. W przedzie pojawia się białe sztuczne światło. Jaśniej, przeganiając brzask błyszczącymi fragmentami o takiej intensywności, że schylam głowę. Koła fotela przetaczają się przez próg, a powietrze staje się duszne i nieruchome. Jestem we wnętrzu, w którym nie działa klimatyzacja. Wokół jest mnóstwo ludzi. Trzaska migawka aparatu i flesz błyska mi w twarz. Pochylam głowę jeszcze niżej i zasłaniam dłonią oczy.

- Co się, kurwa, dzieje? - warczę do nikogo w szczególności.

- Sesja foto - odpowiada Tuttle. Potem do jego głosu zakrada się strach, gdy szepcze: - Cholera! Generalicja!

Teraz naprawdę chcę w coś walnąć.

Wszędzie wokół mnie kręcą się ludzie i mówią ściszymi głosami. Nadal zasłaniam twarz dłonią, gdy wózek się zatrzymuje.

- Poruczniku Shelley - słyszę męski głos, który brzmi podejrzenie znajomo. - Chcę podziękować panu i pańskiemu oddziałowi za to, czego dokonaliście dzisiejszej nocy. Wasze bohaterstwo ocaliło niezliczone istnienia ludzkie, i wszystkim wam należy się wdzięczność całego narodu.

To cholerny prezydent.

Nie żebym na niego głosował.

Kendrick jednak skopałby mi tyłek, gdybym dał temu głośno wyraz albo nie zachował się z odpowiednią godnością oficera armii Stanów Zjednoczonych. Opuszczam więc rękę na podłokietnik,

prostuję się i otwieram oczy na ból górnych świąteł. Wokół rozlegają się westchnienia i szept, które dowodzą, że moje oczy muszą wyglądać bardzo źle, ale olewam to. Patrzę ogólnie w kierunku, w którym powinien się znajdować prezydent.

- Dziękuję, sir - mówię wciąż ochryplym, szeleszczącym głosem.

Ktoś dotyka mojej prawej dłoni. Jestem tak przestraszony, że szarpnięciem wbijam się w głąb fotela.

- Niech pan uściśnie dłoń prezydentowi - szepcze mi Jaynie do ucha.

Kurwa mać. Ale wykonuję swoje zadanie. Zebrawszy się ponownie w sobie, podnoszę głowę. Tym razem mam więcej do powiedzenia.

- Przepraszam, sir. Nasza PGB komunikuje się za pośrednictwem komunikatów przekazywanych przez gen-kom, ale nie jestem już podłączony. Awaria sprzętu. A moja sierżant nie miała okazji poinformować mnie o naszych planach.

To ostatnie mówię przez zaciśnięte zęby, żeby dać znać Jaynie, że mam gdzieś, jak bardzo jest na mnie wkurzona, i że zamierzam skopać jej tyłek, gdy stąd wyjdziemy. A potem wyciągam dłoń.

Prezydent ją ujmuje.

- Nie ma potrzeby przeproszać, poruczniku Shelley. Poznanie pana to dla mnie zaszczyt.

Następnym punktem programu okazuje się zabranie szalonego cyborga z pola widzenia, co jak najbardziej mi odpowiada. Opiekun pcha wózek obok potrzaskanych kształtów, które interpretuję jako ludzkie sylwetki. Za moimi plecami trzaskają nadal migawki i błyskają flesze, dokumentując wędrówkę prezydenta witającego się z każdym członkiem naszej podwojonej PGB w podziękowaniu za służbę.

Odgłosy uroczystości zostają wkrótce w tyle. Słyszę cichy szum kół wózka toczących się po płytkach podłogi, zdumione szept moich żołnierzy, którzy uciekają przed sesją fotograficzną, i dudnienie ich butów. Sanitariusz skręca wózkami za róg. Powietrze chłodnieje nieco. Moi żołnierze nie podążają za nami. Słyszę, że idą dalej korytarzem. Rozstanie z nimi przeraża mnie.

- Co jest, do diabła?

Przed sobą słyszę głos:

- To ja, Shelley.

Sądzę, że opada mi szczęka, co wychodzi na dobre, bo Lissa dotyka ustami moich warg i obejmując mnie za głowę, obdarza długim, bardzo długim pocałunkiem. Ze wszystkiego, co mogłoby mi przyjść do głowy, pierwsza pojawia się myśl, że bardzo się cieszę, iż Kendrick kazał mi wziąć prysznic.

Moje wargi dotykają jej ust, gdy szepczę:

- Liss, nie wiedziałem nawet, czy żyjesz. Kendrick powiedział, że ktoś spróbuje cię wydostać...

- Wydostali. Nic mi nie jest. Sprowadzili mnie tutaj. - Odsuwa się. - Major Chen jest tutaj.

Chen ujawnia swoją obecność, mówiąc spokojnym, pragmatycznym tonem:

- Chcę pana pochwalić, Shelley, że zrobił pan to, co należało.

- Dziękuję, sir, ale to zwycięstwo pułkownika Kendricka.

W myślach wracam do Czarnego Krzyża. Ponownie słyszę odrzutowce, ponownie chcę je zobaczyć - muszę je zobaczyć, więc wychodzę na zewnątrz - i obserwuję raketę zaczynającą spadać.

- Spieprzyłem to pod koniec, majorze. Ale chcę podziękować za wyciągnięcie stamtąd Lissy.

- To także było zwycięstwo Kendricka.

Drzwi zamykają się z cichym szczęknięciem. Nie jestem pewny, czy Lissa jest nadal z nami.

Odzywa się Chen:

- Shelley, muszę panu coś powiedzieć. Wszystko, co się wydarzyło, wszystko, czego był pan świadkiem przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, jest tajne, wyłącznie dla wtajemniczonych. Nikomu nic pan nie powie bez mojej aprobaty.

- Rozumiem, sir. Gdzie jest Lissa?

- Jestem tutaj, Shelley.

- Nie powie pan niczego Lissie.

- Tak jest, sir. Rozumiem.

Chen podchodzi bliżej. Teżęję, gdy ujmuje mój nadgarstek.

- To dla pana. - Wkłada mi do ręki coś zrobionego z materiału. Badam dotykiem znajomy kształt: gładka, mocna tkanina z wszytą siateczką mikrodrucików. To neuroskalp. - Ma wstępnie zainstalowany pański profil.

Siedzę, trzymając neuroskalp w dłoniach i bojąc się go nałożyć. A jeśli nie będzie działał? Jeżeli impuls elektromagnetyczny rozwalił mikroczipy w moim mózgu, to neuroskalp na nic mi się nie przyda. Będą mi musieli zainstalować nowe mikroczipy. Nawet nie wiem, czy to możliwe.

- Shelley? - Głos Lissy jest napięty z niepokoju. - Nic ci nie jest?

Ale mikroczipy są organiczne, czyż nie? A struktury organiczne są odporne na impulsy elektromagnetyczne.

Przestań pierdolić, mówię sobie. Po prostu nałóż go.

Pochylam głowę i nasuwam neuroskalp, przyciskając mocno do skóry głowy. Nie mogę docisnąć tak mocno, jak bym chciał - włosy urosły mi na niemal na centymetr - ale nawet jeśli sygnał przedostanie się choćby częściowo, będę wiedział, że mikroczipy działają.

Wstrzymuję oddech. Dwie sekundy, trzy... i czuję ogarniające mnie wrażenie lekkości równoważącej ciężar cieni w mojej głowie. Zalewa mnie fala ulgi. I wdzięczności.

Przesuwam po neuroskalpie dłoń w rękawicy. A gdy jestem absolutnie pewny? Wtedy uśmiecham się do Lissy.

- Nic mi nie jest, skarbie. Wszystko w porządku.

**POŁĄCZONA
GRUPA BOJOWA**

ODCINEK 3:
MISJA „BRZASK”

Lissa i ja kulimy się na tylnym siedzeniu wojskowego SUV-a. Chen siedzi z przodu obok kierowcy. Pojazd należy do dobrze uzbrojonego konwoju wiozącego żołnierzy CLIS do Kelly Army Medical Center. Od zdetonowania bomb minęły dwadzieścia cztery godziny. Na ulicach San Antonio panuje wymuszony spokój. Lissa opisuje mijane barykady i punkty kontrolne, pilnowane przez żołnierzy Gwardii Narodowej, ograniczających ruch cywilny. Poruszać się wolno jedynie wojsku, policji, straży pożarnej i karetkom pogotowia ratunkowego.

Lissa opowiada o zniszczonych samochodach zastawiających ulice - w niektórych nadal siedzą zasmucone rodziny - szczątki pozostałe po wczorajszym tsunami ulicznego ruchu, gdy milion ludzi usiłowało opuścić miasto.

Światła na skrzyżowaniach nie działają, wszystkie sklepy są zamknięte, a na niebie widać z rzadka obłoki dymu.

- Nie widzę jednak żadnych dużych pożarów - mówi Lissa. - Ani śladów plądrowania. W San Diego było gorzej. Tutaj, z wyjątkiem wraków aut, nie ma prawie zniszczeń.

Istnieją jednak zniszczenia podskórne, w systemie nerwowym miasta, w jego kolektywnym cybernetycznym mózgu. San Antonio jest głęboko pogrążone w Komie.

* * *

— O Boże - mówi Lissa. — Szpital zamieniono w obóz warowny.

Ledwo się teraz toczymy, być może z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę.

- Są zasieki z drutu kolczastego i żandarmeria z psami... oraz setki cywilów. Wszyscy stoją w długiej kolejce i chcą się dostać do środka.

- Zajmą się nimi - pocieszam ją, mając nadzieję, że to prawda. - W każdym razie nie wylądujesz tam. Zostajesz ze mną.

Major Chen dogaduje się przez telefon z ochroną szpitala. Niebawem przy samochodzie zjawiają się dwaj żandarmi. Jest też pielęgniarka. Nakłada mi rękaw monitorujący na przedramię, zanim jeszcze przeniosą mnie na wózek, a potem żandarmi eskortują nas do wnętrza.

Zasilanie działa, czego dowodzi pracująca klimatyzacja oraz górne światła, które w moich oczach rozłamują się na jaskrawe fragmenty. Najwyraźniej lobby jest pełne ludzi, ze wszystkich stron padają pytania i odpowiedzi, słychać jęk bólu i jakiś wysoki, przerażony głos.

- Są ranni? - pytam.

- W większości cywile z drobnymi obrażeniami — odpowiada pielęgniarka. - Sporo z nich przebywa tutaj nadal, gdyż nie mają jak się dostać do domu.

Przemieszczamy się szybko przez lobby i docieramy do czekającej windy.

- Lissa?

- Jestem tutaj.

Drzwi windy się rozsuwają i ruszamy, mijając gabinety; nie wiem jakie, ale słyszę głosy lekarzy omawiających przypadki pacjentów i ustalających strategie działania.

- Przygotowaliśmy dla pana priorytetowy plan, poruczniku Shelley - odzywa się pielęgniarka. - Teraz jedziemy na badanie, a potem zaczniemy kurację. - Wózek się zatrzymuje. - Pani będzie musiała

zaczekać na zewnątrz.

- Nie. - Prostuje się, ogarnięty nagłym lękiem, że jeżeli Lissa ponownie mi się wyślizgnie, to może zniknąć na zawsze. - Lissa zostaje ze mną!

- Wyluzuj. Shelley - ostrzega mnie major Chen surowym głosem. - Nie musisz się martwić o Lisę. Nie po to wyciągnęliśmy ją z San Diego. żeby ją zgubić na ulicach San Antonio.

- Nic mi nie będzie, Shelley - mówi Lissa.

Tętno wali mi w uszach, ale noszę neuroskalp. który nie pozwala mi żywić zbyt długo irracjonalnych leków Lissa całuje mnie w policzek i znika.

- Nie martw się - szepcze.

Zostaję wwieziony do jakiegoś pomieszczenia. Drzwi się zamykają. Czuję, że ktoś jest ze mną. chociaż nie wiem kto. póki nie odzywa się major Chen:

- Shelley, zostaniesz tutaj, w Kelly AMC. przez co najmniej tydzień, zanim poskładamy cię z powrotem do kupy. W tym czasie będziesz zachowywał maksymalną ostrożność w trakcie kontaktów z otoczeniem.

- Tak jest, sir. Powiedziałem panu, że rozumiem zasady bezpieczeństwa.

- Żądam absolutnego podporządkowania się.

- Majorze...

- Nie wspomnisz o Czerwieni - nigdy o niej nie słyszałeś. Nie będziesz z nikim rozmawiał o misji w Czarnym Krzyżu, nawet z Lisą. Nie wymienisz przy nikim nazwiska Thelmy Sheridan czy nazwy jej firmy ani nie zasugerujesz, że wiesz o jej roli w buntowniczym powstaniu. Jeśli o ciebie chodzi, nie znasz jej. a ona nie bierze w tym wszystkim udziału. Czy to jasne?

- Tak.

Rozumiem potrzebę milczenia, ale jestem wyczerpany i okaleczony, głód wierci mi dziurę w brzuchu i boli mnie każdy mięsień, jaki mi jeszcze pozostał. Do tego wszystkiego nie chcę słyszeć, że Chen wątpi we mnie.

- Co, do diabła, każe panu sądzić, że nie możecie mi zaufać? To nie zostanie zatuszowane, prawda? Pułkownik Kendrick powiedział, że mamy zeznanie Blue Parkera.

- Mamy zeznanie, sprawa nie zostanie zatuszowana a ty nie poruszysz już nigdy żadnego z tych tematów.

- Dobra. - Czas to zweryfikuje. Na razie mam inne zmartwienie. - Lissa wie o Czerwieni.

- To chyba jej teoria - mówi Chen z sardonyczną nutą w głosie.

- Będzie chciała rozmawiać o swojej teorii. Ja będę chciał słuchać.

- To zrozumiałe. - Głos mu mięknie. - Layla Wade otrzyma pośmiertny awans na specjalistkę.

Pojutrze w CLIIS odbędzie się jej pogrzeb. Wiem, że chciałbyś w nim uczestniczyć, ale będziesz musiał zostać tutaj.

- Niech pan zaczeka, nie mogę...

- Nie.

- Nawet nie jestem ranny.

- Masz nadzieję, że nie jesteś ranny, ale nie znamy jeszcze stanu twoich oczu. Musimy jak najszybciej postawić cię na nogi, więc dziś wieczorem ściągamy tutaj samolotem chirurg oftalmolog, która specjalizuje się w nakładkach. Zbada cię jutro z samego rana.

Bierze mnie za rękę i wkłada w nią telefon.

- Z Nadzoru. Mówią, że jest sterowany głosem. Trzymaj go przy sobie i odbieraj, kiedy zadzwoni. Sieć jest dziurawa, więc nie ma pewności, ale spróbujemy połączyć się z tobą w czasie ceremonii pogrzebowej.

Wychodząc, zostawia uchylone drzwi. Słyszę, jak mówi do Lissy:

- Ma pełny grafik badań. To trochę potrwa.

Ich kroki oddalają się i przez następne dwie godziny jestem mierzony, ważony i badany. Mówią mi, że nie zostałem napromieniowany i że byłem na tyle daleko od wybuchu, że nie doznałem znaczących skutków biologicznych, ale nie dadzą mi nic zjeść, póki nie wezmę kolejnego prysznicza.

Neuroskalp siedzi na głowie lepiej, gdy mam wydepilowane włosy.

Nadal jednak nie dostaję nic do jedzenia. Wkładam T-shirt i szorty, a potem odwiedza mnie specjalistka Bradford - ta sama DAP, która opiekowała się mną wcześniej.

- Nie spodziewałam się, że zobaczę pana tak szybko, poruczniku Shelley.

- Nie spodziewałem się, że tu trafię. Co słychać?

- Och! Pożaluje pan, że pan zapytał - mówi, ujmując uchwyty mojego wózka. - Ale ruszajmy w drogę. Przykro mi, że ja to panu mówię, ale jego królewska mość prosił, żeby pan go odwiedził.

- Masz na myśli doktora Masouda?

- Czy nie tak powiedziałam?

Słyszę dudniące kroki dwóch żandarmów, którzy przyłączają się do nas, kiedy wjeżdżamy w trajkot i ruch panujące na korytarzu.

- Tak czy owak, mamy tutaj koszmar. Jedna trzecia personelu nie przychodzi do pracy, pacjenci napływają z Dallas, na oddziale ratunkowym są cywile. Wszystkiego brakuje - zauważył pan z pewnością, że tym razem nie dostał pan luksusowego modelu fotela na kółkach? I nie ma ani jednego wolnego pokoju. Musieliśmy zestawić trzy łóżka, żeby mieć dla pana separatkę.

- Przykro mi.

- O, nie, nie. Specjalne rozkazy w pańskiej sprawie. Także specjalna eskorta.

Dociera do mnie, jak to wygląda.

- Nie jestem więźniem.

Chichocze.

- Aha. Wszyscy nasi pacjenci tak myślą.

Zajmujemy windę. Żandarmi nie pozwalają wsiąść z nami nikomu innemu.

- Proszę zaczekać na następną windę - mówi jeden z nich, gdy drzwi się zasuwiają.

Nie wiem, czy są tutaj, żeby mnie chronić przed odwetem, czy pilnować, żebym trzymał gębę na kłódkę. Przypuszczalnie i jedno, i drugie.

* * *

Masoud czeka na mnie i nie jest w dobrym humorze. Widzę go w postaci niezidentyfikowanego cienia, który przesłania światło. Sprawdzając bioelektryczny interfejs moich nóg, mówi niewiele. Dłonie ma pewne i delikatne jak zawsze, ale poci się i wyczuwam jego niepokój. Przygotowuję się na wybuch gniewu z jego strony, gdy uzna, że to moja wina, iż nie otrzyma swojego Nobla.

W górę moich kikutów przebiega seria drobnych elektrycznych wstrząsów, a potem Masoud chrząka z zadowoleniem z głębi gardła.

- Interfejs nie ucierpiał, poruczniku. Zawiodły nieekranowane procesory Nakagawy. — Jest taki szczęśliwy, że wręcz chichocze. — Zawiadomię go.

- Nie przyjmie tego dobrze, co?

Masoud śmieje się otwarcie.

- Joby nie lubi się przyznawać, że może się mylić.

Kilka minut później spoczywam na fotelu dentystycznym w piwnicy, wpatrując się w dziwaczne wzory rzucane przez światło lamp sufitowych, podczas gdy techniczka Joby'ego odejmuje mi nogi. Jego gabinet znajduje się po drugiej stronie korytarza, ale on sam nie przychodzi mnie obejrzyć - nie żebym się skarżył z tego powodu.

- Założysz poprzednią parę nóg? - pytam techniczkę.

- Joby mówi, że to tylko czasowe. Nie może zmontować nowych kończyn z dnia na dzień.

Wzruszam ramionami.

- Stare działały dobrze.

Kiedy zaczyna łączyć z trzaskiem konektory elektryczne, w górę kręgosłupa strzela mi palący ból, ale jego natężenie opada szybko do mglistego pieczenia.

- Zmniejszyłam czułość - wyjaśnia techniczka - bo teraz nie możesz tego robić sam.

Prostuję nogę, a potem zginam ponownie.

- Załatwmy drugą.

Nadal nie widzę nic prócz potrząskanych świateł i cieni, ale i tak jestem w stanie wyjść na korytarz, gdzie czeka specjalistka Bradford.

- No proszę, poruczniku Shelley! I co mam teraz zrobić z wózkiem inwalidzkim?

Okazuje się, że Lissa też tutaj jest.

- O mój Boże. Shelley! Ty chodzisz!

- Części zamienne - prycha za moimi plecami techniczna. - Łatwo go naprawić.

Major Chen powiedział wcześniej coś podobnego w CLIIS.

Nie wątpię, że Dowództwo prowadzi notatki.

Wyciągam rękę: Lissa ujmuje ją. Potem zwracam się tam, gdzie, jak mi się zdaje, stoi Bradford.

- Można wrzucić coś na ruszt?

- Co pan powie na witaminizowaną wodę? - pyta wesoło. ponieważ następnym punktem programu jest zabieg w celu naprawienia i aktualizacji mojej neuronetki, jedynie w znieczuleniu miejscowym.

Skarżę się:

- Jestem wyczerpany. Nie możecie mi podać narkozy i po prostu mnie uspić?

Odpowiedz brzmi „nie”, więc przez cały czas siedzę z unieruchomioną głową, a mój pusty żołądek zawiązuje się na węzeł złości. Jednak przed upływem godziny jest po wszystkim.

Chirurg przykleja mi z powrotem skórę głowy do czaszki, pielęgniarka obserwuje mnie przez następną godzinę, a potem wolno mi jest udać się w końcu do mojej separatki.

Przychodzi do mnie Lissa. Podczas gdy na ślepo władam widelcem, żeby pożreć posiłek przyniesiony przez DAP, Lissa siedzi na krześle obok łóżka i zaznajamia mnie z sytuacją.

- Major Chen pragnie zmiany kontraktu z Pace Oversight. w związku z czym musiałabym pracować w strzeżonym ośrodku w Austin.

- To dobrze. Nie chcę, żebyś wracała do San Diego.

Żandarmi stoją na zewnątrz na korytarzu, ale drzwi są zamknięte i odcinają większość hałasu powodowanego przez toczące się wózki oraz dźwięki rozmów przechodzących ludzi.

- Boję się o ciebie, Shelley.

Zamieram z widelcem pełnym ryżu w połowie drogi do ust, zastanawiając się, ile jej powiedziano. Nawet zanim jeszcze wybuchły bomby, Lissa się domyśliła, że Czerwień wróciła do mojej głowy. Post-Koma - to wciąż istnieje. Powinienem się tego bać, ale się nie boję.

Wkładam ryż do ust i żuję wolno.

- Co się dzieje na świecie? - pytam. - Słyszałaś coś? Czy inne kraje także znalazły się na celowniku?

- Nie sądzę. Ktokolwiek to uczynił, starał się odizolować Stany Zjednoczone, odłączyć nas od Chmury.

- I udało mu się.

- Tylko częściowo. Wciąż istnieje łączność satelitarna, jeśli kogoś na nią stać, i nadal funkcjonują lokalne sieci informatyczne... przynajmniej wtedy, gdy jest elektryczność. Nie, jeśli to była próba wyłączenia Chmury, to chybiona,

Waham się, niepewny, ile mogę jej powiedzieć; ostatecznie decyduję się pozostać przy tym, co już wie.

- Czerwień utrzymała mnie przy życiu. Przeważnie jest po mojej stronie, chociaż nie wiem

dłaczego. Nie rozumiem, jaki to ma cel. Powiedziałaś, że to program marketingowy. Ale co to znaczy? Że Czerwień chce nam po prostu coś sprzedawać?

Śmieje się. To szeleszczący, chłodny dźwięk, jak trzeszczenie szkła, które jeszcze nie pękło.

- Jasne, możliwe. Rzecz w tym, że nas zna. - Słyszę, że Lissa wstaje. Dotyka mojego barku, jej palce przesuwają się powoli w dół ramienia. - Wyobrażam sobie, że ma wszędzie macki, którymi sięga do rejestrów kupna i sprzedaży, świata gier komputerowych, forów, skrzynek mailowych, sieci społecznościowych, rozmów telefonicznych, linii lotniczych, bankowości, rachunków za media, rejestrów rozrywek, lokalizacji GPS, kamer bezpieczeństwa - do wszystkiego. - Jej palce wracają na mój bark. - Może wiedzieć o nas więcej niż współmałżonek lub kochanek. Mogła zrozumieć, kim w istocie jesteśmy i czego naprawdę chcemy - aż po marzenia, do których nie chcemy się przyznać przed samymi sobą - a potem posterować nami na nowe ścieżki, które zoptymalizują nasze istnienie, poprowadzą nas w stronę najlepszej dla nas egzystencji.

- To o tym mówiła Jaynie - stwierdzam. - Tuż przed Komą opowiedziała mi o ludziach, którzy zdecydowali się nagle obrać nowy kierunek życia.

- Wydaje mi się, że o to chodzi. - Jej głos drży.

- Lisso? - Sięgam po jej dłoń; zamykam ją w swojej. Sięgam wyżej, żeby znaleźć jej gładki policzek, i czuję łzy. - O co chodzi, skarbie?

- O ciebie, Shelley - odpowiada ostrym tonem. - Spójrz na ścieżkę, którą ty obrałeś. Spójrz na to, kim się stałeś.

Robiłem to już wielokrotnie, i prawda jest taka, że nie planowałem nigdy takiego życia. Tamtej wiosny w Nowym Jorku... złożyłem już podanie na studia magisterskie. Dostałbym stypendium, a w końcu posadę w firmie ojca. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby iść do wojska. Wyśmiałbym każdego, kto by to zasugerował. A potem udostępniłem w sieci tamto wideo i moje życie uległo zmianie.

- Skarbie, to nie była sprawka Czerwieni. Sam wymyśliłem, że mogę coś zmienić.

- Wmawiasz to sobie.

- Daj spokój, Lisso. Mój ojciec chce winić Elliota o to, co się stało. Teraz ty chcesz winić Czerwień. Oboje musicie zaakceptować fakt, że to byłem ja. Ja postawiłem się na tej ścieżce.

I nie potrzebuję nikogo - ani niczego - na co mógłbym zwałać winę.

Sądzę, że pułkownik Kendrick miał rację, kiedy powiedział, że należę do armii, że miałem szczęście, znajdując swoje miejsce, ale to nie było szczęśliwe zrzęczenie losu dla Lissy. Zdradziłem ją, obierając to życie.

Chcę, żeby mnie pocałowała, ale się odsuwa. Jest na mnie zła, a to nie jest to, czego chcę.

- Lisso...

- Nie żałujesz niczego, prawda?

Jakby wiedziała, o czym myślę.

- Żałuję bardzo wielu rzeczy, ale to nie Czerwień wybrała dla mnie ten los. To wszystko, co mówię. Czerwień to coś nowego. Nie istniała w zeszłym roku. Sądzę, że jej brzask nastąpił mniej więcej wtedy, gdy zostałem przeniesiony do Sahelu.

- Akurat. To wtedy otworzyły ci się na nią oczy.

- Nie. Wtedy stała się realna. Niemniej wciąż tego nie kapuję. Jaki ma cel? Dlaczego program marketingowy ingeruje w nasze życie?

Odpowiada z sarkazmem, który rzadko u niej słyszę:

- Cóż, nie mogę być tego pewna, ale frajerzy bez grosza przy duszy to kiepscy klienci, nie uważasz? To tak absurdalne, że muszę się roześmiać.

- A więc Czerwień tworzy zoptymalizowanych klientów. Szczęśliwych małych konsumentów, którzy będą kupować coraz więcej wszelakiego badziewia?

Milczenie jest tak zimne, że aż trzeszczy. Lissa wyjdzie stąd; wiem to.

- Przepraszam, Lisso...

Słyszę ciche parsknięcie, a potem chichot.

- Wiesz, kiedy tak mówisz, brzmi to głupio i płytko. -Wzdycha. - Ale tak właśnie sędzę... a ludzie, którzy zagrażają systemowi, jak ci fanatycy, którzy odcięli nas od Chmury...

- Zmiażdżyliśmy ich.

Wraca do boku łóżka, ujmuję moją dłoń i całuje ją.

- Pracował pan dla Czerwieni, poruczniku.

Obejmuję ją ramieniem i przyciągam do siebie, licząc na to, że nie przewrócimy tacy. Całuję ją w policzek.

- To pewne, że Yafiah i Dubey wyciągnęli zły los.

Nie mówię jej o Allison, dziewczynie, którą zastrzeliłem na samym dnie Czarnego Krzyża, ale ona także wylosowała czarną gałkę.

- Nikt z nas nie liczy się zbytnio - stwierdza Lissa. -Jeśli mierzyć to w kategoriach całego świata.

- Powiedziałaś to wszystko Chenowi?

- Większość.

- Kiedy wyjeżdżasz do Austin?

- Powiedziałam mu, że nie jadę. Dopóki mogę być z tobą. - Obraca głowę, jej wargi muskają moje.

- Powiedział, że przypuszczalnie mamy dla siebie tydzień.

- Taa, mnie powiedział to samo.

- Potem pojedę do Austin. Sędzę, że uczestnictwo w tych badaniach to moja nowa ścieżka losu.

*

Tego wieczoru zjeżdżamy na dół do kafeterii, gdzie podczas posiłku oglądamy propagandowe stacje informacyjne - albo przynajmniej Lissa ogląda. Ja tylko słucham. Są z nami żandarmi - kolejna zmiana. Lissa szepcze mi do ucha, że zachowują się jak agenci tajnych służb, lustrując cały czas personel i odwiedzających, którzy tłoczą się przy stolikach. Dźwięk w telewizorze jest nastawiony tak głośno, że słyhać go ponad nieustannym, stłumionym szmerem rozmów.

Medioci rozmawiali z wielu uciekinierami i politykami. Dyskutują o różnych miejscach wybuchów. A potem dają przebitkę rzecznika prasowego Białego Domu, odczytującego oficjalne oświadczenie: „We wczesnych godzinach porannych oddział wojska wdarł się w zachodnim Teksasie do podziemnego schronu, znanego jako Czarny Krzyż, uważanego za kwaterę główną Armii Niepodległego Teksasu. Znalaziono tam niejakiego Blue Parkera, rzekomego przywódcę ANT, którego aresztowano”.

Lissa ujmuję moją dłoń; ściska ją z niepokojem. Major Chen powinien był jej powiedzieć, że nie mogę mówić o tym, gdzie byliśmy i co zrobiliśmy, ale to nie znaczy, że nie potrafi się tego domyślić.

Rzecznik prasowy nie odpowiada na pytania i dodaje jedynie: „Opublikujemy dodatkowe szczegółowe informacje, gdy tylko zostaną one potwierdzone”. Nie wspomina o kodach dezaktywujących ani o niezdetonowanych bombach atomowych. Prezydent nie ujawnia tych informacji, co jest zrozumiałe - istnieje realne ryzyko, że to wywołałoby panikę.

Medioci kontynuują swoją robotę. Mówią o promieniowaniu, nadchodzących procesach sądowych, dochodzeniach w Kongresie, rodzinach pozbawionych dachu nad głową, liczbie ofiar śmiertelnych. Starają się wyglądać na szczerze zatroskanych, ale maski od czasu do czasu opadają. W tle ich współczującego tonu słyszę oszałamiającą ekscytację. Uwielbiają ten nowy świat, w którym mają władzę nad przepływem informacji w całym kraju. Póki Chmura nie działa, rządzą Ameryką przez satelity; wreszcie mówią nam, jakie są fakty, i ukrywają te, które im się nie podobają. Wreszcie piszą historię. A ich wersja głosi, że mózgiem Armii Niepodległego Teksasu był Blue Parker. Ani słowa o zaangażowaniu Thelmy Sheridan; żadnej wzmianki o jej firmie. Przypuszczam, że medioci nie wiedzą o niej. Przypuszczalnie rząd milczy na ten temat, bo chce ją aresztować.

Potem słyszę ją — Thelmę Sheridan — jest w telewizji. Wcale się nie ukrywa, nie unika

aresztowania. Mediota pytają o opinię.

- Vanda-Sheridan specjalizuje się w inwigilacji i ochronie. Ma pani jakieś podejrzenia, co poszło nie tak? W jaki sposób broń nuklearna trafiła w prywatne ręce?

- Nie dowiemy się tego, póki nie zakończy się śledztwo - odpowiada Sheridan. - Jednak kwestie bezpieczeństwa sprowadzają się niemal zawsze do jednej rzeczy - braku wystarczających funduszy na wsparcie infrastruktury zapewniającej bezpieczeństwo. Skoro Kongres domaga się nieustannie cięć w przemyśle obronnym, to jest prawdopodobne, że póki nasi przywódcy nie wezmą na siebie obowiązku całkowitej ochrony kraju, tak jak są do tego zobowiązani, to będziemy świadkami kolejnych ohydnych aktów terroru ze strony niezrównoważonych ludzi.

Myślę o tych dwóch pilotach, którzy oddali życie za powstrzymanie rakiety, której celem było San Antonio. Nagle cieszę się, że wyszedłem na zewnątrz, żeby być tego świadkiem. Ktoś musiał to widzieć.

- Shelley? - pyta Lissa. - Dobrze się czujesz?

Lissa nie wie o rzeczywistych działaniach Thelmy Sheridan.

A jeśli suka kupiła sobie niewinność? Jeśli opłaciła wystarczającą liczbę urzędników rządowych i kongresowych zombi. żeby zapewnić sobie immunitet, a wszelkie dochodzenia okażą się jedynie fikcją?

Major Chen obiecał, że nie dojdzie do zatuszowania sprawy, ale może tak tylko mu powiedziano.

- Lisso? Muszę wrócić do pokoju.

Trzymam ją za ramię, a ona mnie prowadzi. Żandarmi obejmują wartę za drzwiami, a ja wyjmuję telefon otrzymany od Chena i proszę o połączenie z pułkownikiem Kendrickiem. Działa jak zaczarowany i dzwoni trzy razy. zanim pułkownik odbiera go półprzytomny:

- Co. do cholery...? Shelley? Dlaczego nie śpisz? Tak jak ja spałem parę sekund temu?

- Kupiła sobie wolność? - pytam.

- Cholera. Wiesz, jaki mam z tobą problem, Shelley? Że nie wiesz, kiedy się nie wychylać i trzymać gębę na kłódkę.

- Właśnie w ten sposób do tego doszło, sir. Zbyt wielu ludzi siedziało na dupie i nic nie mówiło, kiedy wiedziało, że wokół nich źle się dzieje. A jeśli jedna osoba, jedna organizacja - odwracam się tyłem do Lissy, osłaniam mikrofon dłonią i szepczę - ma dość zasobów, żeby sfinansować wojnę domową, zaatakować bronią nuklearną siedem miast, załatwić Chmurę i wyjść z tego obronną ręką, to ile czasu minie, zanim jakiś jeszcze bardziej szalony dupek zamieni nas wszystkich w parę?

- Nie ujdzie jej to na sucho - mówi Kendrick, oddzielając każde słowo. - I jeśli chcesz przyłożyć do tego rękę, to się natychmiast zamknij.

Rozłącza się.

Stoję przez chwilę, po czym odejmuję telefon od ucha.

- Shelley? - odzywa się Lissa. Po brzmieniu jej głosu poznaję, że odeszła w stronę drzwi.

- Przepraszam, skarbie.

Odwracam się i wyciągam do niej ramiona. Podchodzi do mnie. Obejmujemy się. a ja drżę. gdyż dociera do mnie. jak niewiele brakowało, żebym ją stracił. Gdyby w San Diego znajdowała się bliżej punktu zero. nie żyłaby już. Bardzo wielu ludzi nie żyje, ponieważ przez dziesięciolecia tacy ludzie jak mój tata, wujek i rodzice Lissy - porządni obywatele - finansowali po cichu wojnę za wojną, bo łatwiej jest płacić podatki, niż zaryzykować utratę środków do życia, próbując zmienić system. Nasze milczenie pozwoliło na kumulację bogactwa w rękach takich ludzi jak Thelma Sheridan. którzy doszli do przekonania, że mogą kupić absolutnie wszystko, z niewinnością włącznie.

*

Rano idę na wizytę u chirurga oftalmolog. która przyleciała z Kalifornii. Kiedy prowadzony przez Lisso i eskortowany przez kolejną zmianę żandarmów wchodzę do oddanego do jej dyspozycji gabinetu, lekarka wita mnie z entuzjazmem zarezerwowanym dla gwiazd.

- Porucznik Shelley! Póki chwilę temu nie zobaczyłam pańskich akt. nie wiedziałam, że będę leczyć

właśnie pana. — Ma młody głos i wyraża się wytwornie, z akcentem z Zachodniego Wybrzeża. - Wojsko poinformowało mnie, że chodzi o bohatera wojennego, ale nie powiedzieli, że to będzie Lew z Czarnego Krzyża.

- Kto?

Lissa prowadzi mnie do fotela; siadam.

- Tak pana nazwali w programie dokumentalnym..

- Jakim programie?

Lissa także jest zdziwiona.

- Jedynym dokumentem, jaki widzieliśmy, jest *Mroczny patrol*.

- Ten jest nowy. Pokazali go zeszłego wieczoru na piątym kanale. Nazywa się *Krwawe przenikanie*, do Czarnego Krzyża doprowadziła korupcja krwawo przenikająca nasz rząd. Ja... nie mogę uwierzyć w to, czego pan i pańscy ludzie musieliście dokonać tam na dole, w tym starym schronie przeciwoatomowym. Poruczniku Shelley, chcę panu podziękować za waszą służbę, odwagę oraz za to, że zapobiegliście wybuchowi kolejnych bomb. Gdybyście nie zdobyli kodów dezaktywujących... - Łapie oddech. - Jeden z ładunków, które nie eksplodowały, znajdował się pół mili od domu moich rodziców.

Zatem odcinek drugi został już wyemitowany.

- Dzisiaj będzie już na normalnych kanałach - dodaje lekarka.

Co takiego powiedział Ransom? „Tam na dole był pan jak demon z piekła rodem, sir”. Uważał to za komplement, ale wątpię, żeby mój ojciec widział to w ten sam sposób. Oszczędziłbym mu tej wiedzy, gdybym mógł.

Okulistka zabiera się do pracy i odkleja zniszczoną soczewkę nakładki ocznej, unosząc moją prawą powiekę. Kiedy prostuje się, z pęsetą w dłoni, znowu widzę.

- Święty Boże. - Ledwo oddycham, patrząc na zdumiewający widok w postaci plakatów mobilizacyjnych na ścianach oraz uśmiechniętej twarzy lekarki.

Jest młoda, drobna, szczupła, o jasnej cerze, ma czarne oczy i czarne włosy zaplecione w warkocz opadający na plecy. Z kształtu twarzy i wykroju ust poznaję jej czysto japoński rodowód.

- Tak jest lepiej? - pyta.

- Jeszcze jak.

Odwracam się, żeby przyjrzeć się z podziwem Lissie czekającej przy drzwiach. Ma na sobie białą bluzkę i szare spodnie. Czarne włosy związała z tyłu głowy; na jej twarzy błąka się nerwowy uśmiech.

- Wyglądasz cudownie - mówię, uśmiechając się szeroko.

Po usunięciu obu soczewek lekarka bada mi oczy.

- Bardzo dobrze, poruczniku, że miał pan opuszczoną przyłbicę, kiedy rozpętało się piekło.

Przyłbica jest zawsze opuszczona. Nie da się jej podnieść, ale nie mówię jej tego.

- Trzeba kilku dni na wygojenie rogówek, zanim założymy nowe nakładki, ale wygląda na to, że nie doszło do żadnych trwałych uszkodzeń.

Później Lissa mówi mi, że nie chce, żebym miał nowe nakładki.

- Jeśli nie będziesz ich miał, Nadzór nie będzie mógł patrzeć twoimi oczami, a wojsko nie będzie właścicielem każdej minuty twojego życia.

- Muszę je mieć...

- Zrób to dla mnie, Shelley.

- Nie mogę, Lisso. Potrzebuję ich. Pozwalają mi kontrolować sygnał zwrotny z nóg.

- Możesz to robić wizorem.

- Nie mogę go nosić w czasie akcji!

- To trzymaj się od niej z daleka! Widziałeś już dosyć walk. Odbyłeś swoją turę, przysłużyłeś się krajowi. Niech ktoś inny wcieli się w rolę bohatera.

- To nie rola, Lisso. Nie prosiłem o to.

- Gówno prawda, że nie prosiłeś! Co mi powiedziałeś wczoraj po południu? Że sam wybrałeś tę ścieżkę. Wybrałeś ją, Shelley. Czekają cię ciche, dostatnie, spokojne życie, a ty je odrzuciłeś, ale nie byłeś na tyle męski, żeby się do tego przyznać - żeby powiedzieć ojcu „Nie, dzięki” i odejść. To dlatego opublikowałeś to wideo. Nie chodziło o prawa obywatelskie. Chciałeś po prostu narobić zamętu, zmienić swój los, obudzić smoka - przystąpić bez poczucia winy do odgrywania roli bohatera. I udało się. Jesteś Lwem z Czarnego Krzyża...

- Jezu, Lisso. Nie widzieliśmy jeszcze tego programu. Nawet nie chcę go oglądać.

- Oczywiście, że nie. Przecież odegrałeś już rolę. Pora na następną. Zgadza się?

- To nie jest rola! To obowiązek!

Do mnie należy ostatnie słowo, bo Lissa wychodzi.

Nie idę za nią.

* * *

Później tego ranka telefonuje major Chen z CLIIS i oglądam pogrzeb Layli Wade na wyświetlaczu telefonu. Potem pytam go, czy wie o *Przenikaniu*.

- To niewiarygodne, jak szybko to zmontowali. Wcześniej rano odbył się pokaz w Dowództwie, ale dziś wieczorem powinienes móc to obejrzeć. Jest bardzo dobrze zrobione, Shelley. Coś, z czego można być dumnym. Coś, wokół czego kraj może się zjednoczyć.

- Ale... Lew z Czarnego Krzyża, majorze? Naprawdę?

- Cóż poradzisz? - pyta retorycznie. - Musisz to po prostu zaakceptować. Kraj potrzebuje bohatera.

*

Lissa wraca tuż po lunchu. Drzemię, ale kiedy drzwi się otwierają, siadam na łóżku. Żaluzje są opuszczone. Światła zgaszone. W mroku nie bardzo widzę jej twarz, nie potrafię więc ocenić, czy przyszła po to, żeby zostać czy się pożegnać.

- Lisso...?

- Trzymam się tego, co powiedziałam - mówi łagodnie.

- Tak jak ja. Potrzebuję nakładki i wrócę do czynnej służby.

- Wściekłam się, Shelley, bo chcę, żebyś był bezpieczny. Ale to głupie. Szkoda czasu na gniew i nie ma sposobu na to, żeby trzymać cię w puchu. Mamy sześć dni. Wybaczysz mi?

Uśmiecham się.

- Czy to nie powinna być moja kwestia?

- Dupek.

Próbujemy, bardzo cicho, wybaczyć sobie nawzajem. Przynajmniej teraz, zanim dostanę nowe nakładki, nikt nas nie obserwuje.

Krwawe przenikanie puszczają wieczorem i przekonuję się że major Chen ma rację - jest bardzo dobrze zrobione. Nasz atak to decydująca misja. Zdobywamy kody rozbrajające. Ocalamy miasta. Jesteśmy bohaterami... i nie pada ani jedno słówko o Czerwieni czy choćby wzmianka o Thelmie Sheridan.

Już więcej się tym nie przejmuję.

W następnych dniach żandarmeria trzymają się blisko mnie. Jestem wdzięczny za ich obecność. Kelly AMC jest zatłoczone przez personel medyczny, pacjentów i odwiedzających. Ludzie rozpoznają mnie, kiedy przechodzę koniarzami. Przystają, żeby mi uściśnąć rękę, dziękują za moją służbę, ale kiedy zaczynają zadawać pytania o Czarny Krzyż, żandarmeria interweniuje uprzejmie wyuczoną kwestią: „Ze względu na bezpieczeństwo narodowe porucznik nie może w tej chwili odpowiadać na żadne pytania”. Potem poganiają mnie w dalszą drogę. Nie muszą mieć do czynienia z protestującymi, natarczywymi dziennikarzami czy cywilami, gdyż Kelly AMC zostało zamknięte dla wszystkich z wyjątkiem upoważnionych gości. To mi ułatwia sytuację.

Minus polega na tym, że żandarmeria nie pozwoli mi opuścić terenu szpitala.

- Ograniczenia ze względu na bezpieczeństwo wymagają, żeby pozostał pan w strzeżonej strefie - dla pańskiego dobra.

Gdybym miał co robić, nie skarżyłbym się, ale nie mam żadnych badań lekarskich. Główne zadanie na ten tydzień polega na tym, żebym pozwolił organizmowi dojść do siebie.

Dzwonię do pułkownika Kendricka, żeby bronić swojego stanowiska, ale nie odbiera telefonu. Dzwonię więc do majora Chena.

- Chcę tylko pospacerować na zewnątrz, zobaczyć, co się dzieje, pomóc, jeśli mogę.

Wiem, że Kelly AMC jest oazą światła, zasilania i trzech posiłków dziennie. Za drutem kolczastym jest inaczej.

Major Chen nie weźmie tego pod rozwagę.

- Musi pan przyjąć, że jest pan celem dla sympatyków

ANT i każdego wściekłego dziennikarza, który zdołał kupić bilet do San Antonio. Niech pan z tym nie walczy, Shelley. Ma pan przy sobie Lisę. Niech pan odpoczywa, jak długo się da.

Robię, co mogę.

Tydzień po wydarzeniach w Czarnym Krzyżu chirurg oftalmolog instaluje mi nowe nakładki. Ładuję oprogramowanie i konfiguruję konta, podczas gdy wymieniają mi odbiorniki w uszach. Przed południem otrzymuję priorytetowego maila od techniczki Joby'ego, która wzywa mnie na dół po odbiór nowych nóg.

Nowe protezy są grubsze i wyglądają solidniej od poprzednich, chociaż instaluje się je dokładnie tak samo.

- Są cięższe? - pytam techniczkę, robiąc na próbę kilka kroków w jej gabinecie.

Uśmiecha się do mnie. Potem korzysta z wizora, żeby skontaktować się z Jobym.

- Porucznik skarży się na ciężar nóg. Powiedziała ci, że zauważy.

- Nie skarżę się. Byłem tylko ciekawy...

Wzrusza ramionami.

- Idzie tutaj.

Drzwi otwierają się z trzaskiem. Joby ma czerwoną twarz, a wzrok wściekły.

- Jeden gram! - wrzeszczy na mnie. - Na każdą nogę. Skarżysz się na różnicę rzędu jednego grama?! Nawet nie możesz tego poczuć! Kończyny nie są znacząco cięższe. Jedynie wyglądają solidniej, gdyż procesory są otoczone nie-przenikliwą elektromagnetycznie izolacją.

- Doprawdy? - Nagle chcę się przekonać, jak bardzo Joby potrafi się wściec, czepiam się zatem jakości jego roboty. - Ta izolacja - czy to jakiś gówniany materiał, który trzaśnie przy pierwszej okazji, kiedy gwałtownie się obrócić?

Możliwe, że posunąłem się za daleko. Joby przestaje oddychać. Stoi znieruchomiały, przesywając mnie morderczym spojrzeniem. Nie sądzę, żeby był uzbrojony, ale nie chcę się o tym przekonać na własnej skórze. Kiedy w końcu opanowuje się na tyle, żeby być w stanie mówić, głos ma niski i chrapliwy.

- Podwójne ścianki tytanowe. Rzucam ci, kurwa, podwójne wyzwanie, żebyś uszkodził te protezy. Dalej, zrób to. Śmiało. Wiedz tylko, że usmazysz się dużo wcześniej, zanim wysiądą ci nogi.

Kiwam głową.

- Będę pamiętał.

Robi w tył zwrot i przechodzi sztywnym krokiem na drugą stronę korytarza. Drzwi jego laboratorium zatrząskują się z hukiem, który wprawia w wibracje cały sprzęt w pokoju techniczki; ktoś w głębi holu wygląda przez uchylone drzwi kostnicy.

Techniczka obraca się w fotelu, ramiona ma skrzyżowane na wielkich, miękkich piersiach uśmiecha się od ucha do ucha.

- Jest nieco drażliwy, gdy chodzi o jego pracę - informuje mnie.

A potem wybucha śmiechem.

*

No i skończone. Naprawili mnie, a Kendrick o tym wie. Dzwoni, gdy idę do swojego pokoju.

- Masz cywilki. - To nie jest pytanie. Nie wątpię, że wie o mnie wszystko. - Włóż je. Spakuj swoje rzeczy i się wypisz. Za pół godziny odbiorę cię sprzed wejścia.

- Dokąd jedziemy?

- Na lunch.

- A potem?

- To się jeszcze okaże.

Serce mi wali, gdyż wiem, że to jest to. Kendrick obiecał, że Thelmie Sheridan nie ujdzie płazem to, co zrobiła, a ja będę miał swój udział w doprowadzeniu jej przed oblicze sprawiedliwości. Chcę tego. Chcę w tym uczestniczyć.

Lissa nie zgłasza się, gdy telefonuję do niej, ale po chwili przysyła esemesa, że jest na spotkaniu z majorem Chenem.

Odpowiadam, że muszę się z nią zobaczyć. Potem dzwonię do administracji szpitala, żeby dać znać, że wyjeżdżam, ale Kendrick mnie uprzedził; jestem już wypisany. Wkładam cywilne ciuchy, które kupiłem w szpitalnym sklepie - koszulę i bojówki - oraz nakładki na stopy, przysłane przez majora Chena z OLIIS, żebym nie szokował swoim wyglądem cywili. Potem pakuję rzeczy.

Nie ma tego wiele. Mam parę wojskowych T-shirtów, bluzę z kapturem i nowy mundur polowy. Z łatwością mieszczą się w małej torbie i jeszcze zostaje sporo miejsca. Ponownie próbuję się dodzwonić do Lissy, ale połączenie zostaje przekierowane na pocztę głosową.

Wtedy wkracza Elliot Weber. Nie wierzę własnym oczom. Ostatni raz widziałem go w CLIIS tego dnia, gdy padła Chmura.

- Elliot! Skąd się, do diabła, wzięłeś? I jak przeszedłeś obok strzegących mnie żandarmów?

Stoi przede mną z zakłopotanym uśmiechem.

- Kendrick wystawił mi przepustkę.

- Zrobił to?

- Taa. Od wybuchu rewolucji tkwiłem w CLIIS. Kendrick przywiózł z powrotem żołnierzy, ale ciebie wśród nich nie było. To mnie cholernie przeraziło, ale w końcu powiedział mi, że żyjesz.

- Trochę oberwałem.

- Wiem. Kendrick pozwolił mi oglądać telewizję. Widziałem drugi odcinek. Wiesz, jak cię nazywają?

- Taa, wiem.

- Lew z Czarnego Krzyża.

- To nie był mój pomysł.

- Shelley, chcę ci podziękować za to, co zrobiłeś tamtej nocy... ty i reszta oddziału. - Wyciąga dłoń. Ujmuję ją odruchowo - krótki, oficjalny uścisk ręki - ale ze zdumieniem przyjmuję do wiadomości, że Elliot aprobuję naszą brutalną, agresywną akcję.

- To nie zmienia mojej opinii o fabrykowanych wojnach - dodaje.

Uśmiecham się, czując się swobodnie na znajomym gruncie.

- Jak ci się udało uciec w końcu z CLIIS?

- Kendrick. Zaoferował mi podwózkę. Wiedziałeś, że ten facet umie pilotować śmigłowce?

Czuję ukłucie żądła podejrzliwości. Dlaczego Kendrick miałby sprowadzić tutaj Elliota właśnie dzisiaj?

- Co takiego powiedziałem, Shelley?

Może dopatruję się w tym zbyt wiele. Może naprawdę była to pierwsza okazja do ewakuowania Elliota z CLIIS. a Kendrick zamykał po prostu niedokończone sprawy przed następną operacją.

Dociera jednak do mnie, że to test mojej wierności, miara zaangażowania w misję, w której nie

będzie miejsca na dwuznaczne lojalności czy wątpliwości... ale to nie Dassari. To poważna sprawa. Nie będę opowiadał o tym zadaniu. Nie doznaję konfliktu uczuć. Doprowadzenie Thelmy Sheridan przed oblicze sprawiedliwości to właściwa rzecz. Uważam, że Elliot zaaprobowałby to. Az do dzisiaj nie usłyszałem z jego ust ani jednego słowa poparcia dla działań militarnych - kiedy jednak historia jest opowiedziana właściwie, to przekonuje nawet cyników.

Uśmiecham się przeprasza i podnoszę bagaż.

- Zjawiliś się w najgorszym możliwym momencie. Muszę lecieć.

Łapie mnie za ramię.

- Czekaj, wiem, że jesteś teraz wielkim bohaterem wojennym, ale poświęć mi minutę przez pamięć dawnych czasów.

Zaskakuje mnie, i to nieprzyjemnie. Przyjmuję kamienny wyraz twarzy.

- Chcesz zrzucić na mnie winę?

- Chcę, żebyś posłuchał. Chcę, żebyś pomyślał o tym, kim jesteś i gdzie się znajdujesz, gdy z tkwisz w pułapce -robi zamaszysty gest - tej wojskowej Nibylandii. w której wszyscy myślą tak samo jak ty.

- O czym ty gadasz?

- O przepływie informacji. Zanim doszło do Komy, robiłem pewne badania. Pewna grupa z Austin pokazała mi wstępny raport, wraz z trójwymiarowym modelem stworzonym na podstawie ich danych. I wiesz co? Wcale nie było wielkiego przepływu. Nie, kiedy Chmura była nadal cała...

- Słuchaj, naprawdę nie mam teraz czasu na wykład naukowy.

- Wysłuchaj mnie, Shelley. To jest ważne i dotyczy ciebie. Teoretycznie dostępne powszechnie informacje powinny płynąć w Chmurze swobodnie, ale nie dzieje się tak, gdyż ludzie filtrują to, co odbierają. W związku z tym Chmura jest podzielona na miliony bąbli - ścisła razem dłonie -między którymi informacje przemieszczają się z trudem. Filtry przepuszczają pewne pomysły, a inne blokują...

- Co z tego? Nikt nie ma czasu na słuchanie tego wszystkiego.

- ...więc każdy z nas zostaje złapany w pułapkę własnej małej rzeczywistości. Jeśli spojrzysz na to, Shelley, ile jest takich filtrów, to w pewien sposób jest zdumiewające, że większość Amerykanów wie, kto jest ich prezydentem. Niektórzy jednak nie wiedzą nawet tego, i to nie z powodu bariery językowej...

Próbuję mu przerwać:

- To kwestia tego, gdzie mieszkasz i kogo znasz.

- I kogo wybieramy na znajomych.

- Wybieramy na przyjaciół ludzi, którzy podzielają nasze przekonania i zainteresowania. Tak jest od zawsze.

- Teraz w większym stopniu... albo przynajmniej tak było przed Komą. W przeszłości ludziom trudno było przenosić się między grupami. Teraz to łatwe. Przeprowadzamy się do wielkiego miasta.

Przenosimy się na północ lub na południe. Przeszukujemy Chmurę, żeby znaleźć ludzi, którzy nas rozumieją. Wpasowujemy się lepiej dzięki odrzuceniu starych przekonań i przyjęciu nowych.

Może Elliot mówi o mnie, nie wiem, ale to nie jest rozmowa, którą chcę prowadzić.

- Muszę zejść na dół.

Wyciąga ramię, jakby chciał mi zablokować drogę do drzwi.

- Cofnij się i obejrzyj, Shelley. Nie widzisz, jak bardzo starasz się nie słyszeć, co do ciebie mówię?

Jakbyś się bał tego, co mogę powiedzieć.

Naprawdę?

Elliot bierze moje wahanie za zaproszenie do kontynuowania.

- To nie jest statyczna sytuacja. Filtry stają się mocniejsze. Ludzie dzielą się na coraz mniejsze i mniejsze grupki, a liczba szeroko rozpowszechnionych niemów - poglądów lub faktów, znanych niemal wszystkim w obrębie dużej, powiązanej grupy, takiej jak ludność USA - zmniejsza się gwałtownie albo przynajmniej zmniejszała się, zanim doszło do Komy. Dziwnie to zabrzmiało, ale sądzę, że obecnie w

Ameryce te same informacje są powszechniej znane niż wówczas, gdy Chmura stanowiła jedność.

- Dlatego, że jedyne informacje, jakie otrzymujemy, pochodzą od mediotów.

Wymijam Elliota w drodze do drzwi; uderzam w przycisk i otwieram je.

- Naprawdę muszę iść.

- Odprowadzę cię.

Żandarmi wyglądają tak, jakby kamień spadł im z serca.

- Panie poruczniku - odzywa się jeden z nich - mamy rozkaz odprowadzić pana do wyjścia.

- Chodźmy więc.

Personel pielęgniarski wciąż porusza się w szaleńczym tempie, ale obecność żandarmów oczyszcza nam przejście. Nie chcę rozgłaszać, że wyjeżdżam, kiwam więc głową i uśmiecham się w stronę znajomych twarzy. Elliot jest pogrążony w wyjaśnieniach i ignoruje otoczenie.

- Chodzi o perspektywę. Nie w tym rzecz, żeby wszystko, co wiemy, było błędne czy niekompletne, ale w tym, że to, co wiemy i uznajemy za oczywiste dla wszystkich, nie jest takie.

Na windę czekają dwie młode asystentki pielęgniarskie. Jedną znam. Uśmiecha się.

- Witam, poruczniku Shelley — szepcze w trakcie monologu Elliota.

Druga patrzy na mnie zachwyconym wzrokiem. Jeden z żandarmów ze znudzoną miną obrzuca je spojrzeniem od stóp do głów, natomiast Elliot zapomina, że słyszą go inni ludzie.

- Pomyśl o Armii Niepodległego Teksasu - mówi. - Uważali, że mieszkańcy stanu podzielają ich przekonania...

- Nikt nie podzielał ich przekonań! - odzywa się pierwsza asystentka z prawdziwą pasją w głosie. - A porucznik Shelley dopilnował, żeby dostali to, na co zasłużyli.

Jej gniew konsternuje żandarmów. Stają między mną a kobietami; Elliot wygląda na zaintrygowanego. Najeżdża winda.

- Poruczniku - mówi żandarm, wskazując gestem, żebym wszedł.

Polecają kobietom poczekać na kolejną kabinę.

- Lew z Czarnego Krzyża - mówi Elliot, gdy zjeżdżamy. - Sądzę, że sława ma swoje przywileje.

- Opuść sobie.

Drzwi się rozsuwają. Tydzień po Komie wszyscy uciekinierzy zostali usunięci z lobby. W przeciwieństwie do wyższych pięter tutaj panuje spokój; widać tylko kilkoro ludzi. Sprawdzam godzinę na nakładce. Trzy minuty do przybycia Kendricka, a ja nie widziałem jeszcze Lissy.

Gdy przechodzimy przez hol, Elliot sprawia wrażenie zniechęconego.

- Wcale do ciebie nie dotarłem.

- Oczywiście, że tak. Zabiłeś mi klina.

Upuszczam torbę na krzesło w pobliżu szklanych drzwi i odwracam się do żandarmów.

- Mam nadzieję, że wasze następane zadanie okaże się nieco bardziej zajmujące.

- Tak jest. Dziękuję.

- To był dla nas zaszczyt.

- Jeśli czekasz na Kendricka - wtrąca Elliot - to jedźcie srebrnym sedanem z rządowymi tablicami rejestracyjnymi.

Nie komentuję.

- Cholera, Shelley! - Jego gniewny ton niepokoi ponownie żandarmów, ale próg spostrzegawczości Elliota jest wysoko postawiony i nie zauważa tego. - Przerażasz mnie. Ludzie odcinają się od wszystkich innych z wyjątkiem własnego plemienia; to mnie przeraża. Wszyscy wiemy, do czego to prowadzi. Ale jest gorzej, gdyż powstające wokół nas filtry niekoniecznie pochodzą z naszego wyboru. Wygląda na to, że działa jakiś czynnik zewnętrzny, który kieruje rozdziałem informacji i izoluje nas od siebie nawzajem.

Patrzę na niego ze zdumieniem.

- Czynnik zewnętrzny?

- To zabrzmiało jak szaleństwo... cóż, może nie dla ciebie... może słyszałeś już o tym? O

informatycznym jestestwie w Chmurze? O autonomicznym programie kontrolującym przepływ informacji w celu przykrojenia naszej percepcji świata?

Nie wspominałem nigdy Elliotowi o Czerwieni i nie było o niej wzmianki w drugim odcinku reality show. Sam do tego doszedł. Myślę, że wielu ludzi doszło do tego.

Odwracam się i wyglądam przez szklane drzwi. Nic nie mówię, ale milczenie może być uznane za potwierdzenie.

- Zatem pogłoski są prawdziwe - stwierdza Elliot. - Zostałeś zhakowany. To wyjaśnia króla Dawida.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Mnóstwo ludzi zadaje pytania, Shelley. Ten raport, o którym ci mówiłem? Został zamówiony przez Ahaba Matugo.

Ahab Matugo... Wysłał myśliwce, których nie powinien był posiadać, żeby rozwalić graniczne forty, naruszyć status quo wojny w Sahelu, wymusić zawieszenie broni i doprowadzić do nowych negocjacji pokojowych. Powinienem go nienawidzić, ale nie jest tak, i to nie neuronetka obdarza mnie aureolą świętego, tylko przekonanie, że na jego miejscu postąpiłbym dokładnie tak samo.

Srebrny sedan przejeżdża przez punkt kontrolny.

- To Kendrick - potwierdza Elliot.

- Dobra. Mam nadzieję, że wrócisz do Nowego Jorku bez zbytnich problemów.

Drzwi rozsuwają się; żandarmi salutują.

- Nie rób nic głupiego - prosi Elliot.

- Nie zamierzam.

Nie widziałem się z Lissą, ale mówię sobie, że zobaczymy się później. Wrzucam torbę na tylne siedzenie i wsiadam do samochodu.

*

Kendrick nosi cywilne ubranie. Jego wizor, zwykle tak przezroczysty, że niemal niewidoczny, pociemniał do postaci dymnego szkła przesłaniającego mu oczy. Na głowie wyhodował kilkuniedniową siwą szczecinę. Nie ma neuroskalpu.

- Wyłącz to - mówi swoim głębokim głosem, gdy samochód sunie przed siebie. Nie kieruje tych słów do mnie.

Na mojej nakładce rozbłyskuje ikona, a potem gaśnie.

- Jesteś na przepustce - informuje mnie Kendrick, przejeżdżając obok zewnętrznych straży. - Niełatwa rzecz do załatwienia w czasie kryzysu, kiedy naród potrzebuje każdego żołnierza. Ale jesteś na przepustce, twoja nakładka niczego nie rejestruje, a Nadzór nie patrzy twoimi oczami.

Nie tylko funkcja nagrywania została wyłączona. Ikona sieci to czerwony iks.

- Znowu jestem odłączony. - Tym razem nie ma nawet linku do Nadzoru. Mam dostęp jedynie do moich własnych systemów.

- Przywyknij.

Zrobię to, jeśli będę musiał.

Rozluźniam się, rozsiadając się wygodnie. Uciekinierzy, którzy po zamachach zgromadzili się przed szpitalem, zniknęli. Leżąca wzdłuż sennej ulicy kolczatka, chroniąca teren szpitala, wygląda jak rozjechane zwierzę.

- Słyszał pan, co mówił Elliot? - pytam Kendricka.

Kręci głową; nie w zaprzeczeniu, ale zde gustowany.

- Słucham tego od tygodnia. Uważa, że każdy z neuro-skalpem jest pieprzoną marionetką. Jak sądzisz?

- Nie jestem tutaj dlatego, że jestem marionetką.

Amerykańska Koma jest rzeczywistością i nie zanosi się na to, żeby szybko przeminęła. Z wiadomości wiem, że gospodarka dołuje. Brakuje paliwa, i z tego powodu ustał transport towarów, a także dlatego, że nikt nie wie, dokąd powinny trafić. Kelly AMC to oaza napędzana generatorami i bateriami słonecznymi, ale w realnym świecie przerwy w dostawach prądu zdarzają się cały czas, żeby zrównoważyć niedostatki energii. Ruch lotniczy jest ograniczony i jedynie bogacze mogą sobie pozwolić na rosnące opłaty za łącza satelitarne. Kolejne rzesze Amerykanów tracą codziennie pracę... natomiast reszta świata uczy się żyć bez nas.

Wyreżyserowała to Thelma Sheridan.

Obracam się do Kendricka.

- A więc kupiła sobie czyste ręce? Wie pan o tym na pewno?

Kiwa głową, wpatrując się w drogę przed nami.

- Tak.

- Obiecał pan, że nie ujdzie jej to płazem.

Zerka na mnie.

- Jesteś gotów coś zrobić w tej sprawie?

Głos mam spokojny, ale serce mi wali.

- Tak.

Patrzy na mnie z ponurą dezaprobatą.

- Lew z Czarnego Krzyża gotów wskoczyć w to z bronią ziejącą ogniem!

- Taa, zastosowaliśmy tę taktykę w Czarnym Krzyżu, ale nie jestem pewny, czy sprawdzi się ponownie.

- Zastanów się dobrze, Shelley. Dlaczego chcesz to zrobić?

Widzę ponownie tamte odrzutowce. Widzę pilotów, którzy sprawili, że rakieta Thelmy Sheridan spadła na ziemię, zanim zdołała dotrzeć do San Antonio, Austin czy w jakieś inne miejsce, gdzie ludzie toczą po prostu swoje życie.

- Bo trzeba.

- Od tego nie ma odwrotu.

- Wiem o tym.

- Czyżby? Wyruszamy na rekina. Rozumiesz, że bez względu na to, do jakiego stopnia nam się powiedzie, ta sprawa będzie zawsze wisiała nad naszymi głowami?

- Zatem to partyzancka operacja? Zastanawiałem się.

- Do tego doszło. Prezydent to performer, a zombi z Kongresu robią wyłącznie to, co im każą ich panowie, podczas gdy nikt wyższy rangą od nas nie ma prawa domagać się wymierzenia sprawiedliwości. - Wzrusza ramionami. — Cóż, tak to powinno być. Ludzie muszą sami wymierzyć sprawiedliwość. A więc tak, to rebeliancka akcja. Jeśli pójdziemy, to na własną odpowiedzialność. Nie będziemy reprezentować wojska. Nie będziemy przez nie finansowani. Nie będziemy przez nie chronieni. Będziemy zdani wyłącznie na siebie. - Zerka na mnie ponownie. - Nadal jesteś pewny, że chcesz wejść do gry?

Po prawej stronie przed nami jest stacja benzynowa, taka wielka, z sześcioma wysepkami dystrybutorów, ale tylko jedna jest czynna, a kolejka oczekujących samochodów ciągnie się za róg, w głąb przecznicy. Gdy przejeżdżamy obok, część kierowców zwraca ku nam czujne spojrzenia. Potem jeden człowiek rozpoznaje mnie - widzę to w jego oczach - i otwiera usta, jakby wołał: „Hej, czy ty jesteś...?”.

Taa, pierdolony Lew z Czarnego Krzyża. To ma wartość propagandową, i nie tylko dla wojska.

- Sir, jeśli nie finansuje nas armia, to kto?

- Prywatne źródła.

Czekam na dalsze wyjaśnienia, ale nie następują. Pułkownik ma spojrzenie skupione na drodze, dając

mi czas na przemyślenia. Chciałem w to wejść, a on na razie mi ufa. Chcę wiedzieć więcej, ale prawdziwe pytanie brzmi. Czy muszę? Albo czy ja ufam jemu?

- Ile pan wie, pułkowniku? Jak głęboko pan w tym siedzi?

Kiwa głową jakby do siebie.

- W samym centrum.

Jest zaledwie pułkownikiem, ale ma wpływy, władzę i poparcie - większe, niżby to wynikało z jego stopnia - i zaryzykował to wszystko podczas ataku na Czarny Krzyż. Ryzykował życie.

- Dobra więc. Wchodzę w to.

Zerkam w boczne lustro, częściowo spodziewając się widoku błyskających świateł jadącej za nami żandarmerii, która każe się nam zatrzymać na poboczu, ale za nami sunie tylko kilka aut. wszystkie cywilne.

- Widzisz z tyłu agentów federalnych? - pyta Kendrick, hamując przed czerwonym światłem.

- Nie. sir. Jeszcze nie.

Przyglądam się samochodom defilującym nam przed nosem: radiowóz policyjny i siedem aut cywilnych. To wszystko. Światła się zmieniają i przejeżdżamy przez skrzyżowanie. Kendrick zjeżdża na prawy pas.

- Jaki mamy plan, sir?

- Plan sprowadza się do aresztowania Thelmy Sheridan i postawienia jej przed sądem.

Sprawiedliwym sądem. Takim, który naprawdę weźmie pod uwagę zgromadzone przeciwko niej dowody.

- Ale skoro kupiła sobie już niewinność...

- Proces nie będzie się toczył tutaj. Odbyło się dochodzenie wstępne. Rozmawiałem z prowadzącymi je agentem, który powiedział mi, że zebrane przez jego grupę dowody są niepodważalne, ale Sheridan zamiotła je pod dywan pod pretekstem, że to są ściśle tajne informacje. Nie mamy więc wyboru.

Korzystamy z zasady prawnej znanej jako „prawo międzynarodowe”. To trzęsawisko. Zrezygnujemy z suwerenności i ustanowimy precedens, którego będziemy żałować, ale to wszystko, czym dysponujemy.

- Prawo międzynarodowe - mruczę, zerkając na nakładce na ikonę encyklopedii. Encyklopedia podaje szeptem krótką definicję. Dowiaduję się, iż „prawo międzynarodowe” to koncept zarezerwowany dla tak poważnych przestępstw, że są w istocie zbrodniami przeciwko ludzkości. Pozwala dowolnemu krajowi lub organizacji międzynarodowej na wniesienie oskarżenia bez względu na to, gdzie doszło do aktu kryminalnego.

- Zrozumiałeś? - pyta mnie Kendrick.

- To znaczy, że postawimy ją przez obcym sądem. W Hadze? - Wydaje mi się, że z mocy ONZ sądzi się tam obalonych dyktatorów.

- To był nasz pierwszy wybór. Nie udało się.

- Gdzie zatem?

Mruży oczy; w jego uśmiechu kryje się gorycz.

- Znaleźliśmy tylko jednego przywódcę państwowego, na tyle zdeterminowanego, żeby to zrobić. Ahab Matugo zgodził się sądzić ją za zbrodnie wojenne i ludobójstwo. Dowody zostały przekazane. Trwa kompletowanie międzynarodowego składu sędziowskiego. Naszym zadaniem jest dostarczyć panią Sheridan. Należy przy tym spełnić pewne wymagania. Musimy udowodnić jej tożsamość za pomocą DNA. Poza tym Thelma Sheridan nie może ponieść żadnego uszczerbku. Nie może nosić śladów torturowania bądź maltretowania, bo inaczej Matugo nie przyjmie jej albo nie zgodzi się na proces.

Zdumiewa mnie to, co słyszę, ale czuję także ulgę.

- Nie miałem pojęcia. To jest przynajmniej coś... chlubnego. Myślałem, że po prostu...

Nie chcę tego powiedzieć, ale Kendrick wie, o czym myślę.

- Sądziłeś, że ją zabijemy?

Patrzy na mnie, ale nie chcę spojrzeć mu w oczy.

- Kto w tym uczestniczy? - pytam.
- Ty, ja, Vasquez...
- Nie Jaynie. Nie przekroczy prawa.
- Tak, Vasquez. I twój kumpel. Matt Ransom
- To na potrzeby tego pierdolonego reality show?

Kendrick zerka w lusterka i wjeżdża na drogę dojazdową prowadzącą na autostradę.

- Tak mi powiedziano. Odcinek trzeci. Nie mam pojęcia, jaki dureń wymyślił ten program, ale działa na naszą korzyść.

- Chcecie, żeby ludzie wiedzieli, co robimy?
- Jak cholera.

Ruch jest niewielki; większość ludzi nie ma żadnego powodu, żeby dokądkolwiek jechać, a transport towarów także ustał, więc w kilka sekund osiągamy prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

- Jeśli przeżyjemy, program zostanie zaprezentowany jako fikcja, ale rekiny będą znały prawdę: ze istniejemy i możemy na nie zapolować, nawet jeśli nie zrobią tego politycy.

Kręcę z niedowierzaniem głową.

- Jest pan szalony. Kto jeszcze bierze w tym udział?

- Pozostali żołnierze CLIS.

- Chen powiedział, że wybrał ich pan osobiście.

- Zdradził ci to?

- Zatem to prawda?

- Jesteśmy oddziałem specjalnym. Mamy pewne wspólne cechy charakteru, w tym poczucie sprawiedliwości, które nie jest wcale tak powszechne, jak chciałbyś w to wierzyć.

- Sprawiedliwość ponad lojalnością?

- Nie ma zaszczytu w byciu lojalnym wobec skorumpowanego systemu.

- Przygotowywał się pan od dawna. Na długo przed tym, zanim do tego doszło.

- Nie tylko ja.

- Kto jeszcze? Kto za tym stoi?

- Nie publikuję listy.

- Chen należy do tego?

- Tak.

- Domyślam się, że Czerwień nie była nigdy częścią waszych planów.

Kendrick marszczy brwi.

- Czerwień to dzoker w talii. Nie mogę nic z tym zrobić poza liczeniem ze wszystkich sił, że jest po naszej stronie.

- Czasami jest - mruczę w zadumie - a czasami nie. Sadzę jednak, że na razie mamy wspólne cele.

Patrzy na mnie pytająco.

- Zdaniem Lissy to właśnie może być celem Czerwieni: stworzenie zoptymalizowanego społeczeństwa o najwyższym potencjale konsumenckim. Nie dojdzie do tego nigdy, jeśli psychopaci podobni Thelmie Sheridan będą wszystko unicestwiać.

- Taa? Mam nadzieję, że masz rację. Nie usłyszysz ode mnie słowa skargi, jeśli otrzymamy nieco pomocy ze strony sił nadprzyrodzonych.

Włącza kierunkowskaz i wjeżdża na drogę prowadzącą w stronę centrum miasta. Na ulicach panuje ruch.

- Dokąd jedziemy?

Doczekuję się odpowiedzi, gdy Kendrick skręca na podjazd luksusowego hotelu.

- Misja zaczyna się dziś w nocy, a możemy z niej nie wrócić. - Wjeżdża do boksu parkingowego. - Spotykam się więc z żoną. Lissa też tu jest.

To wszystko, co chcę usłyszeć. Sięgam do klamki.

- Czekaj. - Pasek jego wizora robi się przezroczysty. Przygląda mi się badawczo z dłonią uniesioną nad kierownicą. -Chcę się upewnić, że rozumiesz, aż po same jaja, że to nie jest zabawa. Zadanie jest niebezpieczne, i to nie tylko dla nas. Jeśli - i kiedy - wyjdzie na jaw, kim jesteśmy, rekiny zaatakują nas, a także ludzi, których kochamy.

- O kurwa.

Oblewa mnie zimny pot. Wiem, że Kendrick ma rację.

— Moja żona wie, co robić - ciągnie pułkownik. - Rozmawialiśmy o tym od dłuższego czasu. Mamy przyjaciół. Ty też ich masz. Zaopiekują się twoim ojcem. A Lissa będzie bezpieczna, bo będzie pracowała z Keithem Chenem w strzeżonym ośrodku. I nie, nie zamierzam ci powiedzieć gdzie. Im mniej wiesz, tym bezpieczniej dla wszystkich innych.

— Dobra.

— Jesteś zatem nadal z nami?

Kurwa.

— Mógłbym się wycofać, gdybym chciał?

— Formalnie nie. Jeśli nie zamierzasz iść wprost do FBI, to należysz już do spisku. Więc jak będzie? Chcesz ocalić własny tyłek, zostając świadkiem koronnym?

Co by powiedział, gdybym odparł, że tak, chcę się wycofać? Próbowaliby mnie powstrzymać? Nie widzę, żeby miał przy sobie broń. Ale to jałowe rozważania, bez związku z sytuacją.

— Nie ma mowy, sir, żebym się wycofał. Z całą pewnością jest to kurewsko szalona misja, ale i tak to właśnie należy uczynić. Chcę w tym uczestniczyć. Bez względu na konsekwencje chcę się przekonać, że sprawiedliwości stało się zadość...

Przerywam, orientując się, jak to brzmi.

— Cholera. Niech mnie pan tylko posłucha! Sądzę, że każdy pierdolony terrorysta na świecie powiedział mniej więcej to samo.

— Prawdopodobnie.

— Wie pan, że dokładnie w ten sam sposób wpakowałem się w kłopoty w Nowym Jorku?

— Zajmując stanowisko?

— Taa, ja cię sunę.

— Nie, dziękuję. Nie mnie. A teraz wysiadaj. O północy spotkamy się przy samochodzie.

Chwytam torbę i wchodzę do hotelu.

* * *

Na wprost nóg łóżka jest gazowy kominek. Lissa i ja spędzamy tę noc przy jego migotliwym blasku. Nie rozmawiamy o żadnych ważnych sprawach; nie z początku. Wszystko jest radością i zabawą, seksem i korzystaniem z room service'u - wybór skromny z powodu Komy, ale wciąż niezły. Nie piję alkoholu i ona też nie, ale oboje jesteśmy tak rozbawieni i swawolni, jakbyśmy obalili butelkę wina.

Nie chcę marnować czasu na sen, ale śpię i tak. Kiedy się budzę, Lissa przygląda mi się z uśmiechem na pięknej twarzy. Bieremy razem prysznic, a potem wracamy do łóżka. Nie muszę ukrywać protez pod kołdrą. To mamy już za sobą.

Całujemy się przez jakiś czas, a potem Lissa odsuwa się i opiera głowę na przedramieniu. Po jej minie poznaję, że robi się poważnie.

- Keith mi powiedział, że masz nowe zadanie i że nie będzie cię przez jakiś czas.

- Keith? - pytam szczerze zdezorientowany.

Unosi brew.

- Dla ciebie to major Chen, żołnierzu.

- Ach, racja.

Patrzy na mnie, domagając się dodatkowych informacji.

- Wiesz, że nie mogę ci mówić, co robimy.

Czeka, obserwując mnie z cierpliwością sfinksa. Nie chcę jej wkurzyć, więc mówię to, co, jak mam nadzieję, zapewni jej spokój.

- To krótka misja. Specyficzne zadanie, po którym powinniśmy wrócić do domu.

- Jak długo?

- Nie wiem. Może kilka dni. Jeśli potrwa dłużej, dam ci znać. Przysięgam.

- Lepiej, cholera, żebyś to zrobił.

Czuję się, jakby udało mi się właśnie uchylić przed lecącym pociskiem.

- A co ty będziesz robić dla Keitha?

- Mnóstwo analiz statystycznych w poszukiwaniu zdarzeń, które dały początek zjawisku, oraz wynikającego stąd wzorca rozwojowego półautonomicznych systemów w obrębie Chmury. - Wzdycha ze skruszoną miną. - Nie mogę panu powiedzieć nic więcej, sir.

Uśmiecham się, chwytam ją i toczymy się ze śmiechem po łóżku, ale robi się późno. Północ podkrada się coraz bliżej, przynosząc ze sobą poczucie osamotnienia.

- Lisso. - Leżymy obróceniami twarzami do siebie, patrząc sobie w oczy z odległości paru centymetrów. Dotykam cudownej krzywizny jej policzka. - Świat zwariował, wiesz o tym. Kiedy będziesz pracowała z majorem Chenem... jeśli kiedykolwiek poczujesz się nieswojo w związku z tym, co każe ci robić, jeśli kiedykolwiek najdą cię wątpliwości co do legalności, etyki tej pracy, to chcę, żebyś się wycofała, dobrze?

Przysięgam, że nieruchomieją wszystkie molekuły jej ciała. Czas zastyga w miejscu, kiedy patrzy na mnie czarnymi oczami - ciemny marmur, promieniujący żar - spojrzenie, które wydobywa z mojego umysłu rzeczy, jakich nie powiedziałem. Czas rusza ponownie, gdy Lissa stawia mi czoło, mówiąc:

- Zamierzasz zrobić coś głupiego, prawda? Dokładnie tak jak poprzednio.

Nie mogę temu zaprzeczyć, ale nie mogę też potwierdzić. Jedyne, co mi pozostaje, to powiedzieć:

- Kocham cię. Zawsze kochałem. I zawsze będę kochał.

- A ty jesteś dupkiem! Zawsze byłeś. I zawsze będziesz.

- Lisso...

-I tak cię kocham. - Kiedy to mówi, głos się jej załamuje; w oczach pojawiają się łzy.

Całujemy się i obejmujemy, wtulamy się w siebie, skóra do skóry, policzek do policzka, piersi, brzuchy, krocza i uda - aż do początków moich protez. Nie możemy znaleźć się ani trochę bliżej. To chwila, którą zachowuję w umyśle. Nie chcę o niczym myśleć. Pragnę tylko być z nią, ale północ nadchodzi wielkimi krokami, a ja się boję.

- Jeszcze jedna sprawa, Lisso. Musisz pamiętać, że rekiny kontrolują mass media, zwłaszcza teraz, i możesz usłyszeć rzeczy...

Przerywam, nie wiedząc, ile mogę jej powiedzieć.

- Jakie rzeczy?

Całuję ją w ucho.

- Takie, w które nie będziesz chciała uwierzyć. Jeśli je

usłyszysz, to wiedz, że nie są prawdziwe. Obiecuj mi, że w nie nie uwierzysz.

Nie ma bladego pojęcia o czym mówię, ale kiwa głową na znak zgody i mówi:

- Będę tutaj. Będę czekała.

*

Temat: Nowy przydział

Treść: Witaj, Tato. Otrzymałem nowe zadanie. Ponownie za granicą. Powinienem powiadomić Cię o tym, gdyż z powodu obecnej sytuacji - Koma - być może przez jakiś czas nie będę mógł się kontaktować z Tobą. Ale nie martw się. Rozumiesz? Nie wolno ci się martwić. Wróć. Obiecuję. Kocham Cię,

Jimmy

*

- Umrzemy dzisiaj w nocy - mówi Kendrick.

- Co? Niech pan czeka. - Wiem, że Lissa może poznać prawdę od majora Chena, ale... - Mój ojciec nie może sądzić, że zginąłem. Nie mogę mu tego zrobić.

Jest pierwsza dwadzieścia jeden w nocy, a ja siedzę na miejscu pasażera w starym blackhawku Kendricka stojącym przed hangarami wojskowymi. Od czasu do czasu z pasów startowych odrywają się cywilne samoloty; mam nadzieję, że Elliot znalazł miejsce w jednym z nich.

Kendrick siedzi za sterami. Skończył sprawdzanie systemów i wirnik w górze nabiera obrotów. Mamy na sobie kombinezony lotnicze i hełmy PGB, ale nie jesteśmy połączeni z Nadzorem i lecimy bez gnatów czy kamizelek. Nie potrzebujemy ich, gdyż w teorii to tylko rutynowy lot do CLIIS.

- Dzisiejszy wypadek nie zostanie nagłośniony przez media - zapewnia mnie pułkownik swoim niskim głosem dudniącym w głośnikach hełmu. Posługujemy się gen-kodem ze zwyczajowym szyfrowaniem, żeby nasza rozmowa pozostała między nami. - Prezydent nie pozwoli na ujawnienie faktu, że Lew z Czarnego Krzyża zginął w zamachu zorganizowanym przez żywiących urazę powstańców. Jednak ludzie, którzy powinni o tym usłyszeć, zostaną poinformowani. I gdy będą się starali dowiedzieć, kto uderzył w Vanda-Sheridan, to nasze nazwiska nie znajdą się na szczycie listy podejrzanych, bo nie będziemy żyli.

- Prawda wyjdzie w końcu na jaw.

- Taa, cholera. Ale zanim do tego dojdzie, zyskamy trochę czasu, żeby ochronić ludzi, na których nam zależy.

Rozmawia z wieżą i otrzymuje zgodę na start.

- Śmiało, włącz swoją nakładkę w tryb nagrywania.

Robię to, chociaż nadal jestem odłączony.

Ruszamy w noc, wznosząc się szybko, żeby przelecieć wysoko nad przedmieściami. Dzisiejszej nocy powłoka chmur wisi nisko i po kilku minutach przelatujemy na drugą stronę. Gwiazdy są tutaj jaśniejsze i liczniejsze, niż je kiedykolwiek widziałem, nawet w Afryce, i do tego zamieszkane. Nad naszymi głowami dostrzegam przelatujące trzy satelity, ale tylko jeden odrzutowiec pasażerski.

Sięgam za siedzenie i wyjmuję stamtąd dwie plastikowe torby. Każda zawiera uprząż do desantowania się ze śmigłowca. Wyjmuję jedną, upewniam się, że nie jest splątana, po czym podaję ją Kendrickowi.

Chciałem, żebyśmy założyli uprząże jeszcze na ziemi, ale pułkownik się sprzeciwił. Nie chciał, żeby ktoś w hangarze zaczął zadawać pytania. Gdy Kendrick pilotuje helikopter, pomagam mu przełożyć uprząż przez nogi, a potem zapinam klamrę w pasie.

- Nie zmiądz sobie jaj - radzi mi, gdy zakładam swoją.

-Taa, mam dosyć żywe wspomnienia z unitarki.

Powinienem być zdenerwowany, ale nie jestem, i to nie dlatego, że neuronetka nadmiernie się wysila - nie widać nawet śladu jej ikony - a raczej z powodu stanu niewiary. W głębi duszy jestem przekonany, że nic z tego nie dzieje się naprawdę. Szczególnie łatwo uwierzyć w to tutaj, wisząc w pozbawionym kierunków przejściu między ciemnością a gwiazdami.

-Jesteśmy na pozycji - mówi Kendrick. Skupia się na przyrządach sterowniczych, skoncentrowany na utrzymaniu nas w jednym miejscu.

Rozglądam się. Spodziewamy się spotkania z innym śmigłowcem, ale nie widzę go.

- Przypnij linę — poleca mi.

Unosimy się w pustce, którą w górze młóćą śmigła, a pod nami panuje ciemność. Z wahaniem otwieram drzwiczki. Wpada przez nie zimny wiatr. Zerkam w dół, ale poza płozą niewiele widać; brak poczucia wysokości. Odsuwam bardziej drzwi. Noc jest spokojna, jedyny wiatr, z jakim muszę się

zmagać, pochodzi od rotora. Wychyliwszy się, patrzę w tył. Nawet bez przestawienia przyłbicy na podczerwień widzę to: czarną linię. Porusza się jak łeb węża, myszkuje, poszukując punktu zaczepienia. Zaciskając jedną dłoń w rękawicy mocno na uchwycie, wychylam się i łapię zaczep, a potem wsuwam go w słabo świecące gniazdo sprzęgu. Mechanizm kabla wsuwa się i zatrząskuje. Szarpnię, żeby się upewnić.

- Trzyma - potwierdza Kendrick. - Jazda.

Podążam spojrzeniem za biegiem czarnego kabla, ale widzę go jedynie na odcinku kilku pierwszych stóp. Skupiam się na terminie „noktowizja”. Neuronetka wychwytuje to, przekłada na potrzeby przyłbicy i ciemność odpływa, ukazując na drugim końcu liny niewykrywalny helikopter, z drzwiami otwartymi na przyjęcie mnie.

Chwytam karabinek wiszący u uprząży, wyciągam rękę i zaczepiam go o linię. Siedzisko fotela się zapada. Oglądam się przez ramię i widzę przykucniętego za mną Kendricka, gotowego podążyć w moje ślady.

Nic z tego nie wydaje się realne.

Skaczę.

*

Opadam tylko kilka stóp, o długość łącznika z karabinkiem, a potem ślizgam się po linii. Pojawia się strach, ale przytłumiony. Powietrze jest rzadkie i zimne, ale oblewa mnie pot. Czuję szarpnięcie. To musi być podążający za mną Kendrick. Gdyby kabel się odłączył, spadłbym na łeb na szyję. Wślizguję się jednak do luku niewykrywalnego śmigłowca. Przebiegam kilka kroków, wytracając impet, a moje robocze stopy stukają o podłogę maszyny. Jeden z członków załogi, anonimowy za przyłbicą hełmu, jest na posterunku i odczepia mój karabinek.

- Wolny!

Chwiejnie usuwam się z drogi Kendrickowi, który wpada za mną do luku.

- Dwóch na pokładzie! - Słyszę ten sam głos. - Odłączam kabel.

Odwracam się, żeby wyrzucić przez otwarte drzwi ładowni. Nasz helikopter, błyszczący światłami nawigacyjnymi, leci sam. Oddala się od nas, opadając ku powłoce chmur, a potem znika w nich. Lina zwija się nadal, wciągana przez śmigłowca; pod chmurami wybucha pomarańczowy ogień eksplozji.

*

Kendrick przesyła mi dokument. Otwieram go na wyświetlaczu przyłbicy. Tytuł brzmi:

ZAPOZNANIE Z MISJĄ

KRYPTONIM: „BRZASK”

- „Brzask”? - pytam go.

Jesteśmy przypięci w fotelach pasażerów, zwrócenii plecami do przegrody. Załoga znajduje się z przodu maszyny.

- Powiedziano mi, że to kwestia propagandowa. To pierwsza jawna akcja podjęta przez organizację, chociaż w żadnym wypadku nie pierwsza, jaką zaplanowali zaangażowani w to ludzie.

Przeoglądam informacje dotyczące zadania. Dowiaduję się, że chociaż Thelma Sheridan jest Teksanką, to zlokalizowała swoją Fortecę Apokalipsy na poszarpanym, skutym lodem wybrzeżu Zatoki Alaskiej. Podziwiam ją za to. Żaden szanujący się prepers nie powinien nigdy chcieć obserwować agonii świata z przytulnego brzegu tropikalnej wyspy.

Forteca znajduje się na niskim urwisku. Budowla ma obłą fasadę z szeregiem okien wyglądających na morze. Z przelatującego samolotu albo z łodzi wygląda na skromną konstrukcję, niezwykłą jedynie za sprawą odosobnienia. ale jej większość kryje się w skale.

Stanowi tylko fragment odludnych posiadłości Thelmy Sheridan. Droga, wijąc się serpentynami, opada z grani ku prywatnemu lotnisku z pasem startowym o długości kilometra. wyrytym w dnie doliny. Wzdłuż pasa umieszczono dwa duże hangary, zbiornik paliwa, garaż z flotą pługów śnieżnych i dwupiętrowy betonowy sześcian, w którym przebywa tuzin pracowników.

Jednym z nich jest opisany w informacji o misji Lucius Perez, dwudziestosiedmioletni technik, który nadzoruje zabezpieczenia Fortecy Apokalipsy. Perez należy do naszego spisku. Dla mnie jest jego najważniejszym elementem. Ma nam pomóc dostać się do środka, a potem wydostać się stamtąd.

Wracam do początku dokumentu i czytam go jeszcze raz. Podoba mi się plan, który prezentuje. Podoba mi się dużo bardziej od bezpośredniego ataku, jaki przypuściliśmy na Czarny Krzyż. W zdradzie nie ma w zasadzie nic heroicznego, ale jest skuteczna.

* * *

Organizacja, której Kendrick nie określa żadnym innym mianem, objawia swój talent logistyczny, gdy lecimy na północ. Na prywatnym lotnisku w zachodnim Teksasie przebieramy się w cywilne ciuchy, a potem przesiadamy się do dwusilnikowego turbośmigłowca, który Kendrick pilotuje na północ, do Albuquerque. Tam spotykamy się z kobietą, którą pułkownik przedstawia jako Anne Shime. Jest szczupła, drobna i siwowłosa, o wojskowym stylu bycia.

Ogląda mnie od stóp do głów. Robocie nogi zapewniają sobie jedynie przelotne spojrzenie; to moje oczy przykuwają jej uwagę. Jakby chciała przewiercić je wzrokiem, żeby mi zajrzeć do głowy.

- Nie zobaczy pani Czerwieni - informuję ją. - Przez większość czasu jest nieobecna.

Przyjmuje to do wiadomości skinieniem głowy.

- Czerwień jest czynnikiem, którego nie możemy kontrolować. To mnie irytuje, ale popierałam włączenie pana do tej misji. Oglądałam *Mroczny patrol* i *Krwawe przenikanie*. Bez względu na powód uczestniczy pan w fabule, która wciąż się rozgrywa. Nie można być tego pewnym, ale uważam, że pańska obecność będzie sprzyjała misji. Żyjemy w dziwnych czasach, poruczniku Shelley. Musimy się do nich przystosować. - Wyciąga rękę. - Z całego serca życzę panu powodzenia.

- Dziękuję pani.

Przesiadamy się do małego, prywatnego, pięcioosobowego odrzutowca. Kendrick i ja przypinamy się w fotelach pasażerów i wykorzystujemy czas lotu na sen. Pułkownik nakłada swój neuroskalp i zasypia, zanim dojeżdżamy do końca pasa startowego. Czekam, aż znajdziemy się w powietrzu, i dopiero wtedy myślę: Sen. Potem też odjeżdżam. W drodze do Juneau lądujemy dwukrotnie w celu uzupełnienia paliwa. Największy cud tej podróży: pomimo poświęceń i trudności z powodu Komy za każdym razem czeka na nas cysterna z paliwem.

** *

Pogoda nam sprzyja i możemy lecieć z Juneau na północ, po czym lądujemy na zasypanym śniegiem polu, które Anne Shima nazywa optymistycznie lotniskiem. Przedziera my się przez śnieg na skraj wody, gdzie wsiadamy do małej łódki, przycumowanej do pływającego doku na środku zimnego zadupia. Shima ujmuje rumpel, polecając nam odcumować.

Morze jest szkliste i ciemne. Tak daleko na północy. a blisko końca roku, dzień szybko odchodzi. Kiedy płynie my wzdłuż wybrzeża, wokół nas zapada błyskawicznie noc. Kilka gwiazd błyszczący przez porwane woale nisko wiszących chmur.

Po godzinie łódź wpływa do kolejnego doku, tym razem śliskiego od lodu. Ktoś czeka na nas ze świecą latarnią u stóp. Kiedy się schyla, żeby złapać rzuconą przeze mnie cumę, poznaję sierżanta Aarona Nolana, jak my w cywilnym traperskim stroju, ale z wojskowym neuroskalpem.

- Dobry wieczór, pułkowniku Kendrick, poruczniku Shelley.

- Dobrze pana widzieć, sierżancie.

Ściśle trzymamy się stopni, trwając przy strukturze przeszłości tutaj, w naszej chwiejnej terażniejszości.

Po przycumowaniu łodzi zabieramy nasz sprzęt. Nolan idzie pierwszy z latarnią. Podążam za nim, a za mną Kendrick. Shima z latarką zamyka pochód. Wydeptana ścieżka w świeżym śniegu prowadzi do schroniska myśliwskiego, kilkanaście metrów za tablicą informacyjną. To nowoczesny parterowy budynek o ciemnym deskowaniu i szerokich oknach. Zza żaluzji sączy się jedynie słaby złoty blask.

Nolan otwiera pchnięciem drzwi. Jesteśmy w brudnym przedsionku, oświetlonym przez ledy. Gdy otwieram drugie drzwi, uderza mnie podmuch przygniatająco dusznego powietrza wraz z radosnym chórem: „Hoo-yah!”.

To nie powinna być zabawa, ale kiedy się rozglądam, nie mogę powstrzymać uśmiechu. Matt Ransom, Jaynie Vasquez, Mandy Flynn, Samuel Tuttle, Vannesa Harvey i Jayden Moon - wszyscy są na miejscu. Wraz ze mną i Kendrickiem to dwie trzecie weteranów ocalałych z Czarnego Krzyża.

Nolan nie uczestniczył w ataku; pozostał, żeby usunąć dowody strzelaniny w punkcie kontrolnym, ale wykonał swoje zadanie. Jest jednym z nas.

Wśród obecnych jest tylko jedna osoba, której nie znam - wysoki, pleczysty, siwowłosy facet. Moja nakładka loguje jego twarz, ale nie jestem podłączony, więc nie mogę uruchomić wyszukiwarki, żeby go zidentyfikować. Na tym zadupiu sieć komórkowa prawdopodobnie i tak nie działa, ale Kendrick przedstawia nas sobie.

- Shelley, to jest pułkownik Trevor Rawlings, emerytowany pułkownik armii USA, z trzydziestodwuletnim stażem służby. Pułkownik kieruje początkowym stadium operacji i będzie naszym głównym punktem kontaktowym w czasie trwania całej misji.

Rawlings wyciąga dłoń, a ja ją ujmuję.

- Podjął pan odważną decyzję, poruczniku, zjawiając się tutaj. Poleciałem pana do tej akcji.

- Wszyscy dokonaliśmy takiego samego wyboru, sir. Schronisko jest udekorowane ze spartańskim umiarem - białe ściany, jasne drewno i stalowe wykończenia, ale efekt ginie pod natłokiem ekwipunku i broni wyłożonej na podgrzewanej podłodze i stołach barwy miodu. Obchodzę pomieszczenie, wymieniając uściski dłoni i powitania - pierwszy raz widzę członków mojej PGB w cywilnych ubraniach, a oni oczywiście mogą powiedzieć to samo o mnie. Patrzymy na siebie i staramy się nie śmiać. Ransom zaskakuje mnie, biorąc w niedźwiedzi uścisk, więc walę go po plecach, co zdaje się doceniać. Potem odwracam się do Jaynie, która wita mnie z nieśmiałym uśmiechem.

- Odcinek trzeci, sir?

- Tak słyszę. Do cholery, dlaczego tutaj jesteś, Jaynie? Ze wszystkich weteranów CLIIS uczestnictwo Jaynie zdumiewa mnie najbardziej. Starła się o przyjęcie do szkoły oficerskiej i w innym świecie, w jakiejś pomyślniejszej alternatywnej historii, zostałaby wzorowym oficerem. Ale w naszej rzeczywistości? Jej kariera była przypuszczalnie skończona, zanim się zaczęła, skażona w powijakach związkiem z nami.

Jej uśmiech się poszerza.

- Pułkownik Kendrick obiecał mi dużą nagrodę.

To mnie zaskakuje.

- Robisz to dla pieniędzy?

- Pieniądzy, sir? - Pod krawędzią neuroskalpu jej twarz stanowi obraz wcielonej niewinności o wielkich oczach. — Robię to dla nagrody w postaci zmiażdżenia srających złotem przedsiębiorców wojennych.

Kręcę głową.

- Cholera, Jaynie. Sądziłem, że ty jedna jesteś rozsądna.

Jej dobry humor pryska. Patrzy na mnie tym pytającym wzrokiem, który widziałem aż nazbyt często podczas wspólnego pobytu w forcie Dassari.

- Czy Czerwień nawiedza pana nadal, sir?

- Wciąż tam jest, Jaynie, jeśli o to pytasz, ale nie pogrywała ze mną od czasu Czarnego Krzyża... przynajmniej nie w taki sposób, żebym to zauważył.

- Kendrick mówił, że pracuje się nad tym. Nie tylko tutaj w Komalandzie. Także poza nim, gdzie nadal jest dobry przepływ informacji. Ale chce pan wiedzieć, co myślę?

- Taa - mówię zdziwiony. - Chcę.

Jaynie nieczęsto wygłasza własne opinie, ale jest cholernie inteligentna.

- Sądzę, że większość ludzi, którzy cokolwiek o tym wiedzą, nie chce się pozbyć Czerwieni. Chcą ją kontrolować, bo kto pierwszy zrozumie, jak się to robi, pokieruje sprawami.

Kiwam głową. To ma sens.

Jaynie mówi dalej:

- Nawet jeśli nie da się jej kontrolować... jeśli dałoby się analizować, co robi i co może uczynić w następnej kolejności, to można by wiedzieć, kiedy zainicjować atak. a kiedy się powstrzymać.

Skaczę myślą ku Lissie, zagrzebanej w strzeżonym ośrodku, gdzie próbuje zrozumieć Czerwień. Kendrick radził mi nauczyć się z nią żyć... ale Jaynie ma rację. Lepszą sztuczką byłoby się nauczyć nią posługiwać.

*

Będziemy działać jako PGB, więc na sprzęt zgromadzony w pomieszczeniu składa się wszystko, co jest potrzebne żołnierzowi połączonej grupy bojowej w czasie alaskiej zimy - termoizolacyjne ubrania maskujące, termoizolacyjne obuwie, samoogrzewające się rękawice, kamizelki kuloodporne, hełmy, karabiny M-CL1a, amunicja, materiały wybuchowe i oczywiście egzozskielety. Jest nawet anioł, który dryfuje nad schroniskiem w oczekiwaniu na towarzyszenie nam podczas misji. Cały dostarczony ekwipunek jest nowy i nic z niego nie pochodzi z wojska. Nic nie jest nawet oznakowane jako należące do jakiegoś konkretnego wyposażenia. Będziemy równie anonimowi jak organizacja kryjąca się za „Brzaskiem”.

Neuroskalpy są jedynym wojskowym wyposażeniem, jakiego będzie używał oddział. Każdy z nas przywiózł własny. Dysponuję oczywiście neuronetką i robocimi nogami, ale to są teraz moje części.

- Hej, Shelley - mówi Ransom. - Popatrz na to.

Dostał małe plastikowe pudełko, może dwadzieścia na dziesięć centymetrów, wysokie na osiem. Pilnuje się, żeby trzymać je poziomo. Boki ozdabiają otworki. Trzyma je pod światłem, kiedy zaglądam do środka. Coś się tam rusza. Słyszę drapanie łapek.

- Roboszczury - mówi Kendrick, zabierając pudełko. - Trzy, chociaż nie wiemy, czy przeżyją w zimnie.

Przed świtem temperatura ma spaść poniżej zera.

Shima pomaga nam posegregować wyposażenie, pilnując, żeby każdy otrzymał swój rozmiar. Wkładam termoizolacyjne bojówki w biało-szary wzór maskujący. Plecak jest z tego samego materiału. Pakuję go uważnie; każdy przedmiot umieszczony precyzyjnie na swoim miejscu. Dostarczono nam mnóstwo amunicji i materiałów wybuchowych, biorę więc praktycznie tak dużo, jak potrafię unieść. Kendrick poleca nam wziąć trzydniowe racje żywnościowe; na wszelki wypadek. Mamy też letnie mundury, na zmianę podczas lotu do Afryki.

Moją podstawową bronią jest wciąż M-CL1a, ale Rawlings ma dla nas wszystkich prezenty: kompaktowe beretty. Podnoszę moją do światła i uważnie przyglądam się broni. Nie ma numeru seryjnego; nic, co pozwoliłoby wysledzić ofiarodawcę.

Tylko kilkoro z nas firmuje tę akcję swoimi nazwiskami.

Nie mam pojęcia, jak głęboko sięga konspiracja, jak szeroki może mieć zasięg. Kendrick stwierdził, że należy do jądra organizacji, ale o finansowaniu powiedział jedynie tyle, że pochodzi z prywatnych źródeł.

Podnoszę wzrok i przekonuję się, że Rawlings mnie obserwuje. Skinieniem głowy wskazuje berettę.

- Interesuje pana, kto nas finansuje. Kto zapłacił za ten sprzęt? Kogo było na to stać?

Mógłbym przysiąc, że wszyscy obecni w pomieszczeniu byli skupieni na pakowaniu się, ale kiedy pułkownik wypowiada te słowa, zapada cisza. Lepiej załatwić tę sprawę teraz, niż brnąć dalej z brzemieniem wątpliwości na barkach.

- Miałoby to sens, gdybyśmy zostali wyposażeni przez jakiegoś rywalizującego przedsiębiorcę

wojennego.

- Miałoby - zgadza się Rawlings. - Ale w tym pokoju nie ma korporacyjnej torsy. Jesteśmy finansowani dzięki dotacjom pojedynczych osób, które nadal wierzą, że powinniśmy mieć rząd sprawowany przez naród i dla narodu, a nie uprowadzony przez światowe elity. Przez trzy lata gadaliśmy i planowaliśmy, a potem znowu trochę gadaliśmy, ale, na Boga, dość już gadania. Skoro mechanizm sprawiedliwości zawodzi, to sprawiedliwość trzeba wymierzać innymi metodami. To jest nasze zadanie, poruczniku. To jest wasze zadanie.

Łatwo o cynizm, gdy padają piękne słówka, ale przeprowadzona przez moją nakładkę analiza mimiki Rawlingsa wskazuje, że pułkownik jest szczery, a poza tym dokonałem już wyboru, wszedłem w to bez reszty, więc dla mnie jego gładka mowa brzmi dobrze.

- Tak jest, sir. Jesteśmy tutaj, żeby postawić Thelmę Sheridan przed sądem. - Wkładam berettę do przypinanej kabury i umieszczam ją na wierzchu plecaka. - Tylko to się teraz liczy.

Rawlings kiwa z aprobatą głową.

- Miej jasne cele, a będzie ci dane je osiągnąć.

Kendrick odwołuje mnie na stronę. Dołącza do nas Shima z tabletem.

- Shima zdobyła oprogramowanie dla twojej nakładki, które pozwoli ci się podłączyć do gen-komu. Traktuj to jak system wsparcia. Autoryzowaliśmy także drona do przyjmowania standardowego przesyłu z twojej nakładki oraz do przekazywania połączeń od ciebie do pułkownika Rawlingsa.

- Tak jest, sir.

Shima podnosi wzrok znad tabletu.

- W czasie trwania misji anioł będzie jedynym odbiorcą sygnału z pańskiej nakładki i połączy cię jedynie z pułkownikiem Rawlingsem. Nie musisz się martwić o bezpieczeństwo tego linku. Tak samo jak z hełmami, wszystkie rozmowy będą szyfrowane i utajnione, zanim przejdą przez łącze satelitarne.

Przesuwa ikonę na tablecie. Na mojej nakładce budzi się symbol linku.

- Połączenie z aniołem potwierdzone - mówi.

- Gen-kom?

- Robi się.

Pojawia się nowa ikona.

- Mam.

Wykonujemy próbę przekazu dźwięku.

- Działa - stwierdza Shima.

- Dobrze - mówi Kendrick. - Teraz wyłącz to. Na początku będziemy utrzymywać ciszę w eterze.

Przypinamy się do dostarczonych nam martwych sióstr, dostosowując długość wsporników i testując mechanizmy. Potem hełmy. Łączę się z neuronetką, z ztkh, z czekającym na zewnątrz aniołem, ze wszystkimi członkami oddziału. Brakuje tylko Delphi. Działamy bez Nadzoru, ale w końcu tak samo musieliśmy postępować wewnątrz Czarnego Krzyża.

Jesteśmy gotowi do drogi. Ściskamy dłonie Anne Shimy i pułkownika Rawlingsa, który mówi:

- Z Bogiem.

Potem wychodzimy gęsiego na zewnątrz. Jesteśmy samozwańczą dziewięcioosobową strażą obywatelską. Licniejszą niż mój oddział w Dassari. Mówię sobie, że to wystarczy.

Musi wystarczyć.

*

Opuszczamy schronisko o dwudziestej pierwszej siedem. Niebo jest zachmurzone, co sprawia, że temperatura utrzymuje się powyżej pięciu stopni. Mamy szczęście, że nie wieje wiatr. Od Fortecy Apokalipsy dzieli nas dwadzieścia siedem kilometrów. Wysuwam Jaynie na szpicę. To dobra decyzja; Vasquez narzuca zdecydowane tempo. Trzymamy się równolegle do linii brzegowej, kilkaset metrów od niej, idąc rzędem i kryjąc się wśród drzew, kiedy się da, ale później w nocy ma padać śnieg, więc nie

martwię się zbyttnio zostawianymi śladami.

Pomimo braku wiatru jest kurewsko zimno. Na nogi cyborga nie ma to wpływu, ale one oddziałują na mnie. Są pochłaniaczami ciepła. Nie ma znaczenia, że noszę śnieżne buty i termoizolacyjne bojówki. Pozbawione ciepłoty ciała i krążenia kończyny przyjmują temperaturę otoczenia na odcinku od stóp do kolan. Powyżej nich doznaję wrażenia, jakbym miał lodowe pręty wrazone w kości kikutów ud.

Przynajmniej nigdy nie odmrozę sobie palców stóp.

Przez niemal całą pierwszą godzinę marszu słyszymy niezbyt odległe wycie wilków. To niepokojący dźwięk, który utrzymuje mnie w stanie czujności. Potem jednak zaczyna sypać śnieg, odgłosy nocy cichną, a moje zmysły ulegają zawężeniu. Noktowizja informuje mnie, gdzie mam postawić nogę, pokazuje mi Vanessę Harvey sześć kroków przede mną, ale to wszystko, co widzę. Przez następne dwie godziny brniemy przez kolaż drzew i śniegu, który wszędzie wygląda tak samo, więc łatwo odnieść wrażenie, że drepczemy w kółko.

Ale wysoko nad nami czuwa anioł. Jeśli ktokolwiek z nas zboczy o krok czy dwa ze szlaku, na mapie naszej trasy, którą mam wyświetloną cały czas na przyłbicy, zaczyna pulsować czerwony punkt. Nikt więc nie może się zgubić. Ale oszaleć z nudy? Po przejściu szesnastu kilometrów wydaje się to realną możliwością.

Na dwudziestym drugim kilometrze anioł wykrywa elektroniczny ślad, który nie należy do nas.

Wszyscy kucamy z bronią gotową do strzału.

Fortecy Apokalipsy strzegą kręgi elektronicznych czujników, wykrywających ruch, ciepło, emisje elektromagnetyczne... ale kontroluje je technik Lucius Perez, który dzisiejszej nocy, na okres kilku godzin, miał je wyłączyć.

Jeśli tego nie zrobił, nasza misja skazana jest na niepowodzenie.

Serce mi wali, gdy czekam, aż anioł dokona analizy sygnału. Tęsknię za głosem Delphi; brak mi Nadzoru.

Obraz na wyświetlaczu przyłbicy odświeża się: transmisja pochodziła z małej łodzi rybackiej przepływającej nieopodal wybrzeża. Jeśli mamy szczęście, nie ma nic wspólnego z nami.

* * *

O północy obchodzimy podnóże grani, zaledwie kilka kroków od oceanu. Śnieg pada nadal, gromadząc się na stromym zboczu i zalegając ciężko na wznoszących się nad nami drzewach. Poruszamy się cicho, bo jesteśmy blisko celu.

Niebawem brzeg staje się płaski i docieramy do skraju drogi pokrytej grubą warstwą śniegu. Jaynie unosi rękę; sygnał zatrzymania się jest przekazywany wzdłuż szeregu. Nie posługujemy się gen-komami, a jedynie pasywnie odbieramy sygnały, żeby zminimalizować naszą aktywność elektromagnetyczną.

Idę naprzód wraz z podążającym za mną Kendrickiem. Stoimy obok Jaynie, oglądając się na grań, którą dopiero co obeszlśmy. Droga wspina się na nią dwoma długimi serpentynami. Skądś tam z góry spogląda na morze Forteca Apokalipsy, a w przeciwnym kierunku droga biegnie ku lotnisku, ciągnąc się przez osiemset metrów wzdłuż wybrzeża.

Słyszę fale uderzające o brzeg, ale ich dźwięk nie jest wystarczająco mocny, żeby zagłuszyć odległe dudnienie silników. Patrząc oczami anioła, spodziewam się dostrzec skuter śnieżny albo może samolot rzucający wyzwanie burzy. Jednak hałasujące silniki należą do dwóch automatycznych pługów śnieżnych, które poruszają się tam i z powrotem po pasie startowym, żeby był w stanie nadającym się do użytku.

*

Szturmowaliśmy Czarny Krzyż, gdyż wówczas liczyła się każda chwila. Gdybyśmy musieli, zaatakowalibyśmy także Fortecę Apokalipsy, ale dzięki pomocy naszego sojusznika, Luciusa Pereza, mamy nadzieję wywabić Thelmę Sheridan na zewnątrz. Znalezienie zdrajcy gotowego wyłączyć zabezpieczenia to decydujący element najlepszych planów ataku.

* * *

Kendrick wyjmuję z plecaka skrzynkę z roboszczurami i wręcza mi ją.

- Zanieś je na szczyt grani. Nie staraj się zbliżyć do budynku. To niewarte ryzyka. Wypuść je i wróć na dół, zanim śnieg przestanie padać.

Zastanawiam się, kogo wziąć ze sobą. Ransom jest zbyt duży, żeby się bawił w podchody. Flynn za mała. Kendrick potrzebuje obu sierżantów, więc klepię w ramię Moona - jest najbliżej - i zginam palec. Na mapie widocznej na wyświetlaczu przyłbicy anioł wytycza mi trasę. Patrzę na nią i czuję, że włoski stają mi dęba na karku.

Pokazawszy Moonowi, żeby czekał, brnę w śniegu, aż docieram do Kendricka.

- Pułkowniku.

Zwraca przyłbicę w moją stronę.

- Co tu jeszcze robisz?

- Nie jesteśmy połączeni z Nadzorem i jedynie pasywnie odbieramy sygnały, kto więc polecił aniołowi, żeby mi wyznaczył trasę w górę grani?

Zanim odpowiada, mija kilka sekund.

- Musimy się śpieszyć. To wygląda na dobry szlak... a jeśli Czerwień opiekuje się tobą, to tym lepiej.

Ma rację, chociaż nie mogę zapominać, że to Czerwień kazała mi wyjść z Czarnego Krzyża, i to nie dlatego, że się o mnie troszczyła. Sądzę, że chciała mieć świadka ostatnich chwil życia dwóch pilotów myśliwców, a tylko ja byłem pod ręką. Wiem, że Czerwień nie jest po mojej stronie, ale ufałem jej w przeszłości i przeżyłem, więc do diabła z tym.

Kiwam ponownie na Moona i ruszamy wytyczoną trasą.

Martwe siostry ułatwiają nam wspinaczkę.

Gdy zbliżamy się do szczytu grani, w polu widzenia nad nami pojawia się światło. Sygnalizuję Moonowi, żeby zwolnił. Skradamy się przez następne trzy czy cztery metry. Las przed nami rzadnie, widzę więc, że światło pada z okien w obłej ścianie Fortecy Apokalipsy, od strony morza. Nie ma żaluzji, szyby nie są przyciemniane. Mój wzrok sięga do wnętrza, gdzie na kominku płonie ogień, w noktowizorze biały. Obok siedzi ktoś w wyściełanym fotelu, z pochyloną głową, czytając coś z tabletu. Wyobrażam sobie, że to Sheridan, która spokojnie kontempluje śmierć milionów ludzi, podczas gdy jej mąż, Carl Vanda, leży na szpitalnym łóżku gdzieś w podziemiach budynku, lecząc się z obrażeń.

Moon zbliża swój hełm do mojego.

- Chce pan podejść bliżej?

- Nie. — Nie mogę ryzykować, że zostaniemy zauważeni. Jeśli zaprzepaścimy element zaskoczenia, nasza misja spali na panewce, narażając nas na zdecydowany kontratak w sytuacji, gdy nie mamy możliwości ewakuowania się z Fortecy Apokalipsy. - Wypuścimy szczury tutaj.

Jeśli Kendrick wie, jak je kontrolować, to nie powiedział mi tego. Nic o nich nie wiem. Mam po prostu nadzieję, że są wyszkolone do pewnych zachowań. Klękamy na śniegu, stawiamy skrzynkę między sobą i otwieramy ją. Trzy szczury wysuwają nosy, węsząc. Przechyliam pudełko i wytrząsam zwierzęta na śnieg. Tak samo jak szczury w Czarnym Krzyżu, każdy ma oczko kamery między własnymi oczami i giętką antenę wystającą z tyłu czaszki. Kiedy szczury połączą się z aniołem, naruszą ciszę radiową naszej operacji, ale w pobliżu zabudowań, z całym ich elektronicznym wyposażeniem, ich sygnały nie będą się wyróżniać.

Obserwując je, mam wątpliwości, czy dotrą do budynku. Naprawdę nie lubią zimna. Jeden staje na tylnych łapach; drugi wskakuje Moonowi na but.

- Sukinsyn! - szepcze, strzepując go i zataczając się w tył.

- Nie rozdepcz ich!

Drżące szczury tulą się do siebie nawzajem.

Powinienem spróbować zanieść je bliżej zabudowań? Kucam i wyciągam ostrożnie dłoń w rękawicy. Nie boją się, więc podnoszę jednego. Obraca łeppek; wzrok malutkich czarnych oczek skupia się na

światle padającym z budynku; słyszę cichy pisk.

- Myślę, że przyciąga je światło.

Kładę szczura z powrotem na ziemi. Z gruntu nie widzi światła okien, ale pamięta najwyraźniej kierunek, bo gdy tylko czuje pod łapkami śnieg, zaczyna pędzić susami w górę zbocza. Dwa pozostałe podążają za nim.

Moje spojrzenie przyciąga jakiś ruch z boku budynku. Coś się tam kryje w cieniu? Nawet w noktowizorze nie widzę dokładnie - tylko ruch i niezidentyfikowany kształt. Przełączam się na widok z anioła, ale dron znajduje się nad lotniskiem, zbyt daleko, żeby mieć dobry widok na Fortecę Apokalipsy.

- Widzisz to? - pytam szeptem Moona.

- Pies? Wygląda jak wielki pies... ale dziwny.

Przynajmniej nie ma wiatru, który poniósłby nasz zapach w górę zbocza.

- Chodź. Spadajmy stąd.

Wycofujemy się najciszej, jak potrafimy.

*

Jesteśmy w połowie grzbietu, kiedy słyszę z dołu głośny trzask: pęknięcia gałęzi pod ciężarem śniegu? stłumionego wystrzału? Zaniepokojony, że zostaliśmy odkryci, podnoszę dłoń, żeby powstrzymać Moona. Chwyciwszy się zlodowaciałej gałęzi, wychylam się poza skłon zbocza i spoglądam w dół. Anioł cofnął się nieco znad pasa startowego. Śledzi wszystkich żołnierzy wzrokiem kamer, oznaczając ich pozycje na moim wyświetlaczu bez względu na to, czy kryją się pod drzewami, czy nie. Wygląda na to, że wszędzie panuje spokój. Tylko Nolan, Tuttle i Flynn są w ruchu, oddalając się swobodnym krokiem od drogi, w poprzek której zauważam przeciągniętą błyszczącą nić.

- Wszystko spoko - mówię Moonowi. - Rozciągają linę.

Trzask, który usłyszałem, pochodził od wystrzelonego z broni pneumatycznej bolca, wbitego w drzewo.

Kiedy docieramy do podstawy urwiska, zastajemy Flynn balansującą na barkach Aarona Nolana i mocującą wysoko na drzewie bliższy koniec liny. Celem operacji jest przetransportowanie przez drogę większej części naszego oddziału bez pozostawiania śladów.

Zespół Nolana musi przejść pierwszy. Jego zadanie polega na poprowadzeniu czołowej grupy na lotnisko, skąd będą mogli zapanować nad betonowym blokhauzem, żeby udaremnić opór ze strony mieszkających tam pracowników. Nolan skontaktuje się także z Lucusem Perezem, zatem gdy tylko lina zostaje napięta, zjeżdża po niej Flynn, pierwsza z jego oddziału.

Chwytam wspornik ramienia martwej siostry Nolana i ciągnę go za sobą, żebyśmy mogli się naradzić z Kendrickiem. Zbliża się Jaynie, żeby posłuchać.

- Widzieliśmy z Moonem coś poruszającego się na zewnątrz budynku. Wyglądało dziwnie. Z początku uznałem, że to wielki pies, ale nie wiem naprawdę, co to takiego.

- Bądźcie czujni - mówi Kendrick. - Jeśli zejdzie na dół, rozwalcie go.

Tuttle śmiga w poprzek drogi, a po nim Moon. Popycham Harvey i ona jest następna. Kendrick pochyła ku Nolanowi głowę w hełmie, przekazując mu ostatnie instrukcje:

- Pamiętajcie, trzymajcie się nisko, ale miejcie oczy szeroko otwarte. Nie zdradzajcie swojej obecności. Kiedy robi się gorąco, musicie odpowiedzieć szybko i zdecydowanie.

- Tak będzie, sir.

- Jeśli wpadniecie w tarapaty, jesteśmy zaledwie kilka minut za wami. Ale nie pakujcie się w kłopoty.

- Jasne, sir.

Pomagam Kendrickowi podczepić Nolana. Sunie w poprzek drogi. Po dotarciu na drugą stronę daje nura w las, a jego grupa podąża wężykiem za nim.

Następni są Kendrick i Ransom; zajmują pozycje po drugiej stronie drogi. Zostajemy tylko Jaynie i ja.

Podnoszę ją, żeby odczepiła linę od drzewa. Po przeciwej stronie Kendrick wyjmuję pas ładunków wybuchowych - małych białych pakietów rozmieszczonych na białym przewodzie - który przymocowuje do końca liny nośnej. - Jaynie zwija linę i teraz w poprzek drogi leży rząd ładunków, niewidzialnych na tle śniegu.

Sprawdzam czas. Za siedem minut pierwsza. Następny etap misji polega na wywabieniu Thelmy Sheridan z Fortecy Apokalipsy. To zadanie spada na Luciusa Pereza. Dokładnie za czternaście minut zatelefonuje do niej, żeby zapytać, czy jej mąż - ranny były najemnik Carl Vanda - już śpi.

Thelma odpowie, że tak. Przypomni mu, że religia zabrania jej rozwodu, a potem wsiądzie do ratraka i pojedzie na lotnisko, żeby spędzić w towarzystwie Pereza skradzioną godzinę... bo nawet zimne serce rekina może się rozkoszować namiętnością sekretnego kochanka.

Nie będzie to pierwszy przypadek, gdy imperium upadnie z powodu nierozwagi.

*

Śnieg przestał padać, ale chmury się utrzymują, więc kiedy stoję nieruchomo w cieniu drzew, nie widzę gwiazd. Pas startowy jest oczyszczony, a samoczynne pługi jadą w stronę garażu. Nolan pokonuje ostatni odcinek drogi w lesie graniczącym z hangarami; Harvey, Tuttle, Moon i Flynn są tuż za nim. Po drugiej stronie drogi czekają niewidoczni Kendrick i Ransom, a Jaynie zajmuje pozycję obok mnie. Nie ma rozmów. Znamy swoje role. To tylko kwestia czasu.

Dwie minuty po pierwszej sprawdzam przekaz od robo-szczurów. Pierwszy ukazuje jedynie czarny ekran. Podświetlając spojrzeniem komendy, cofam nagranie wideo, aż widzę jakiś obraz. Z punktu obserwacyjnego wysoko na drzewie. Cofnąwszy nagranie jeszcze bardziej, widzę oddalający się budynek i otaczające go śnieżne pole, gdy roboszczur jest unoszony w powietrze. Musiała go upolować sowa.

Przełączam się na drugi materiał. Ten pokazuje coś, co biorę za śnieg, w zbliżeniu, z horyzontem w pozycji pionowej. Domyślam się, że szczur nie żyje. Kiedy cofam nagranie, staje się jasne, że gryzoń nie pokonał nawet połowy dystansu dzielącego go od zabudowań. Nie wiem, czy zabiła go sowa, zimno czy coś innego.

Jak można sądzić z drżenia obrazu, trzeci szczur nadal żyje. Wycofał się w głąb szczeliny, której otwór obrysowuje trójkątny kontur wokół pola widzenia. Noszona przez zwierzę kamera celuje w śnieżne pole, przypuszczalnie to pod rzędem oświetlonych okien. Kiedy patrzę, coś przesuwają się pod nimi. Nie wiem co.

Sprawdzam godzinę. Pierwsza siedem.

Lucius Perez powinien dzwonić w tej chwili. Zastanawiam się, czy kochał w ogóle Thelmę Sheridan, czy tylko udawał, żeby przyspieszyć swoją karierę.

Cyfry na moim zegarze zmieniają się, rosnąc minuta po minucie, aż pokazują pierwszą jedenastą.

W przekazie pochodzącym od żyjącego nadal szczura słyszę warkot silnika. Światła reflektorów strzelają ku wierzchołkom drzew, a potem omiatają śnieg, gdy pojazd wyjeżdża po rampie z podziemnego garażu. Odwracam się i patrzę na grań w chwili, gdy światła ukazują się na drodze.

Thelma Sheridan czuje się bezpieczna. Kupiła sobie nietykalność, rozsiewając dość pieniędzy i przysług, żeby jej nazwisko nie pojawiło się w oficjalnych relacjach związanych z Komą, a poza tym to jest Las Apokalipsy. Wie, że czujniki wykryłyby nawet szukającą jedzenia wiewiórkę. Nie ma powodu spodziewać się zasadzki.

Warkot silnika narasta, gdy gąsienicowy pojazd śnieżny dociera do podnóża urwiska. Kiedy wyrównuje pozycję, światła jego reflektorów omiatają drogę przede mną, rozświetlając noktowizor. Przyłbica to kompensuje i widzę Thelmę Sheridan w szklanym błęku kabiny. Musiała podkręcić ogrzewanie, bo nie ma kurtki, tylko cienki, biały jak duch sweter z długimi rękawami. Jedzie ostrożnie, wyrzucając pióropusze śniegu spod szerokich gąsienic. Gdy dojeżdża do naszej pozycji, Kendrick detonuje ładunki wybuchowe.

Oślepiający błysk, gejzery śniegu, rozbłyskujące światła stopu; pojazd przechyła się w przód i zsuwa

do kanału wyrwanego w śniegu. Nie zatrzymaliśmy jednak maszyny, tylko ją spowolniliśmy. Za chwilę Thelmie uda się wyjechać z rowu albo włączy wsteczny i się wycofa.

Ruszam sprintem. Dzięki martwej siostrze łatwo mi skakać w kopnym śniegu. Rzucam się na okienko po stronie pasażera pojazdu, uderzając w nie łokciem gnatów. Szyba rozpryskuje się do wewnątrz, a Sheridan obraca w moją stronę lufę pistoletu dużego kalibru. Odłamki hartowanej szyby obsypują jej twarz, co zmuszają do cofnięcia się w momencie strzału. Kula przebija dach.

Ransom przyskakuje z drugiej strony kabiny. Uderza hakiem ramiennym w okienko. Sheridan ignoruje go na tyle długo, że ma czas wystrzelić dwa kolejne pociski, które mają mnie zniechęcić, ale kiedy szyba za nią się roztrzaskuje, odwraca się, żeby wymierzyć broń w Ransoma. Sięgam przez rozbite okienko, odblokowuję zamek drzwi, otwieram je i opadam kolanami na siedzenie.

Ciasno jest w kabinie, gdy się ma na sobie martwą siostrę. Działam ostrożnie, ale szybko, i chwytam Sheridan za nadgarstek w chwili, gdy kieruje pistolet w moją stronę. Palec ma wciąż na spuście. Dach przebijają dwa kolejne pociski. System audio hełmu tłumi huk strzałów, ale przekazuje zawodzące syreny na wzgórzu. Sheridan musiała włączyć cichy alarm, gdy eksplodowały ładunki na drodze.

Trzymając ją mocno za nadgarstek, drugą ręką wykręcam jej broń z dłoni. Ransomowi udaje się otworzyć drzwiczki kierowcy. Przebiera nogami, żeby się utrzymać na poruszającej się gąsienicy, ale mimo to udaje mu się schwytać Sheridan w niedźwiedzi uścisk.

- Wyciągnij ją! - rozkazuję, puszczając jej nadgarstek.

Rzuca się wstecz. Oboje wpadają w śnieg.

Wpełzam na siedzenie kierowcy, włączam przekładnię na luz i zaciągam hamulec.

Na wyświetlaczu uaktywnia się ikona gen-komu. Nie ma już sensu przejmować się naszym śladem elektromagnetycznym, więc Kendrick przywrócił nam łączność. Ponownie możemy wysyłać i odbierać info.

Wyskakuję z pojazdu po stronie kierowcy.

Ransom trzyma Sheridan twarzą do śniegu. Klęczy obok niej, przyszpilając jej nadgarstki do podstawy kręgosłupa, a Kendrick zaciąga plastikowe kajdanki. Zanim jednak udaje mu się ją spętać, Jaynie woła przez gen-kom:

- Kryć się! Atakują!

Podnoszę wzrok i widzę sześć małych rakiet ciągnących świetliste ogony i lecących ku nam łukiem ze szczytu wzgórza.

- Uwaga na paczkę niespodziankę! - ostrzegam. - Przypuszczalnie nie są wybuchowe.

Gdyby tak było, zabiłyby również Thelmę Sheridan.

- Wycofać się! - poleca Kendrick.

Nie spętał jeszcze rąk Sheridan i nie ma teraz na to czasu. On i Ransom chwytają ją za ramiona, podrywają na równe nogi i niosą między drzewa.

Mam już ruszyć za nimi, gdy coś na grani zwraca moją uwagę: metaliczny blask, gnający z nieprawdopodobną szybkością w dół stromego zbocza i kompletnie lekceważący drogę.

- Wróg na ziemi!

Dopadam drzew jednym susem, korzystając z siły nóg martwej siostry. Może pięć metrów przede mną jest Jaynie. Oboje odwracamy się i spoglądamy w górę, gdy w świetle rakiet rozjarza się śnieg na drodze. Żadnego wybuchu jednak. Tylko seria trzasków, jakie w Czarnym Krzyżu wydawała chemiczna broń Jaynie.

- Maski! - gramię, ale kiedy sięgam do kieszeni kamizelki, gdzie trzymam swoją, powietrze wypełnia metaliczny pisk i wiem już, że się mylę. Rakiety nie przenosiły środków chemicznych. — Mikrodrony! Przygotować się do obrony!

Niech szlag trafi wszystkich przedsiębiorców wojennych i ich eksperymentalne bronie!

Maska zostaje w kieszeni. Zamiast niej chwytam karabin i unoszę lufę, gdy trzy, potem cztery, potem

pięć malutkich helikopterków opada poniżej gałęzi drzew. Drony mają cienkie cylindryczne korpusy podwieszane pod wirnikami metrowej średnicy. Pod kadłubem, który chyba zawiera źródło zasilania, jest obrotowa broń. Widzę dwie lufy obracające się na moje spotkanie.

Wybieram jednego i zestrzeliwuję. Mikrodron eksploduje w postaci oślepiająco białego rozbłysku, ale jednocześnie w szczyt mojego hełmu uderza pocisk i padam dupą na śnieg. Słyszę kolejny wybuch, i następny, wraz z ciągłą kanonadą strzałów. Kula rykoszetuje z brzękiem od mojej protezy. Inna rozpląszcza się na kamizelce na barku. Krzyczę nieskładnie, bo kurewsko boli, ale głowę trzymam w górze i gdy pojawia się kółko celownicze, najeżdżam na nie i strzelam. Kolejna eksplozja. Celuję ponownie. Strzał. Podwójne tapnięcie... i nie widzę następnego celu.

- Sytuacja? - warczy Kendrick. - Shelley?

Gramolę się nieudolnie w śniegu. Mija kilka sekund, zanim stoję na nogach.

- Mamy wroga na ziemi!

- Jest pan ranny, poruczniku?

- Kopnięcie muła! Wróg się zbliża, sir! - Słyszę to w lesie, coś szarżuje na nas i miażdży śnieg w rytmie pędzącego konia.

- Rozwal to! - mówi Kendrick. - Vasquez, postrzeliły cię?

- Posiniaczyły. - Głos Jaynie to szept spomiędzy zaciśniętych szczęk. Potem dodaje: - Co to, kurwa, jest?

Wystrzeliwuje granat między drzewa.

Moja przyłbica czernieje w następstwie eksplozji. W odpowiedzi wali broń dużego kalibru. Padam płasko na śnieg, ale głowę trzymam w górze, broń wymierzona z grubsza w stronę wroga i gdy pojawia się kółko celownicze, najeżdżam na nie i też wystrzeliwuję granat.

W ułamku sekundy, zanim pocisk wybuchu, mogę się dobrze przyjrzeć temu, co mnie atakuje. To czworonożny robot potwór, wyższy od owczarka alzackiego. Widziałem prototypy podobnych urządzeń, ale żadne nie poruszało się z podobną zręcznością. Wygląda jak mechaniczny szkielet wilka, chociaż nie ma prawdziwej głowy, tylko krzyżak z oczami kamer. Samopały przymocowane po obu stronach kręgosłupa się obracają; jeden w stronę Jaynie na lewo ode mnie, a drugi w stronę Kendricka i Ransoma, którzy osłaniają Thelmę Sheridan gdzieś po mojej prawej ręce, głębiej między drzewami.

Tuż przed tym, gdy wybuchu mój granat, robowilk uskakuje w bok.

Wprost ku Jaynie.

Wybuch powoduje zaczernienie mojej przyłbicy. Zanim jeszcze wyświetlacz się rozjaśnia, zrywam się na równe nogi. Między drzewami spadają połamane gałęzie i grudy śniegu, a Jaynie leży na brzuchu i strzela do zbliżającego się potwora - bach!, bach!, bach!, bach! - stały rytm, a każdy pocisk trafia wilka, krzesząc iskry na jego szkielecie, ale nie spowalniając go ani na jotę. Stwór wyskakuje w powietrze, wieżyczki jego karabinów obracają się w dół. Celują w Jaynie.

- Rozwal to! - krzyczy Ransom.

W jego głosie słychać rozpaczliwe pragnienie walki — walka to jedyne, co zna - ale teraz jest odpowiedzialny za Sheridan. Z rozkoszą rozwaliłbym dla niego robowilka, ale monstrum jest już zbyt blisko Jaynie. Wybieram więc inny spust.

Oko, myślę, licząc na to, że moja AI to zrozumie. Pojawia się kółko celownicze. Strzelam.

I kamera oka potwora, ta bliższa mnie, eksploduje. Wilk daje ognia z jednego z karabinów, ale pociski ryją śnieg za Jaynie.

Teraz jest już niemal na niej — zostanie stratowana - ale wtedy Jaynie uderza jednocześnie hakami ramieniowymi i podeszwami stóp martwej siostry w podłoże, rzucając się w bok, a potem zrywa się na równe nogi i zamiata w powietrzu lufą karabinu, żeby ponownie wycelować w robowilka.

Teraz oboje znajdujemy się po jego oślepionej stronie. Nie mogę strzelać, bo Jaynie oddziela mnie od celu. Ona sama nie strzela, bo kule nic nie poradzą, a znajduje się zbyt blisko, żeby odpalić kolejny

granat. Obracający się robowilk odwraca od niej łeb. Jaynie cofa się, żeby pozostać poza polem widzenia jego działającego oka. Skaczą zakosami, żeby uzyskać czystą pozycję strzelecką, i wtedy po raz pierwszy od wybuchu strzelaniny widzę Kendricka. Wyszedł naprzód, zostawiwszy Ransoma z pojmaną. Stoi między drzewami z bronią gotową do strzału ponad metr ode mnie.

- Zabieraj stąd swój tyłek, Vasquez! - ostrzegają.

Jaynie skacze aż do samej drogi, a robot obraca się

szybko, przyciągnięty przez głos Kendricka. Pułkownik naciska spust swojego ztkh, wystrzelując granat. Robię to samo, podczas gdy robowilk zamierza wykończyć nas obu synchronicznym ogniem z karabinów grzbietowych. Widzę, jak obracają się lufy, i ponownie rzucam się w śnieg. Kendrick próbuje zrobić to samo, ale zbyt wolno. Pociski dużego kalibru trafiają go w brzuch - i wtedy eksplodują granaty.

Zrywam się, gdy tylko przetaczają się oba wybuchy. Najpierw rozglądam się w poszukiwaniu robota. Jest zdruzgotany, nieruchomy, zaryty do połowy w śniegu. Następnie szukam Kendricka. On także leży. Od grani słyhać ryk silnika pojazdu śnieżnego.

- Jaynie, pilnuj drogi!

- Robi się!

Pędzę susami ku pułkownikowi, kucam przy nim. Dwa otwory w kamizelce wypełnia krew i rozlewa się na śnieg. Zrzucam z siebie plecak i szukam w nim apteczki.

Ransom wychodzi z aresztantką z lasu. Sheridan ma ręce skrępowane z przodu, a on ją częściowo niesie, a częściowo wlecze w moją stronę.

- Poruczniku! - odzywa się poza gen-komem z wściekłością w głosie, jakiej nigdy dotąd nie słyszałem u niego. - Co się, kurwa, stało? Gdzie był król Dawid? Dlaczego nie ostrzegł pan pułkownika? Musiał pan wiedzieć, co nas czeka!

Nie wierzę własnym uszom i nie chcę teraz tego słyhać.

- Zamknij się, kurwa, i wsadź jeńca do pojazdu.

Zasypuję ranę antyseptykiem.

- Musiał pan wiedzieć!

- Kurwa mać, nie wiedziałem! Okej?

Najszybciej jak się da zdejmuję z Kendricka kamizelkę, rozpinam kutkę i podciągam T-shirt. W brzuchu ma dwa krwawe kraterki.

Na drodze Jaynie wystrzeluje granat. Wybucho w oddali, gdzieś u podnóża zbocza.

- Mamy minutę — mówi.

Ransom nadal się nie ruszył.

- Musiałeś wiedzieć, Shelley.

- Shelley? - pyta Sheridan, podchwytyjąc moje nazwisko. - Porucznik Shelley?

Opanowanie i władczość w jej głosie każą mi podnieść wzrok. Obserwuje mnie z odległości kilku kroków, drżąc w uchwycie Ransoma, gdyż ma na sobie jedynie dziergany pulower, długą spódnice i cienkie domowe pantofle. Zimno pozbawiło jej twarz kolorów, ale kiedy zwraca się do mnie, w głosie nie słyhać ani krztyny strachu.

- Bóg nie ostrzegł pana przed tym, co was tutaj czeka, poruczniku Shelley, gdyż to nie Bóg do pana przemawia...

- Zamknij się! - wrzeszczy na nią Ransom, jakby wiedział, co Sheridan zamierza powiedzieć.

Odwracam się ponownie do Kendricka, ręce mi drżą, gdy przyciskam opatrunek do jego ran.

- ...to był Diabeł, i Diabeł pana zdradził.

- Zamknij się!

Zewnętrzny krwotok Kendricka ustał, ale Ransom stracił pierdolony rozum.

Jaynie podchodzi do niego zamaszystym krokiem i strofuje go:

- Specjalisto Ransom, niech się pan zachowuje, jak przystoi żołnierzowi Stanów Zjedn... - Urywa,

bo Ransom nie jest teraz żołnierzem amerykańskim.

Obracam Kendricka i nakładam opatrunek na rany wylotowe.

Jaynie próbuje jeszcze raz:

- Przekaż mi aresztantkę, Ransom. Pomóż porucznikowi.

Zerkam w górę. Ransom nie stosuje się do rozkazu. Ani się nie przeciwstawia. Nie wiem, co robi. Po prostu stoi tam i trzyma Sheridan. Żałuję, że nie widzę jego twarzy.

Opuszczam Kendricka z powrotem na śnieg i wstaję. Dreszcze Sheridan przybrały na sile. Jest na najlepszej drodze do hipotermii, może odmrożeń, a jeśli zjawi się przed sądem posiniaczona, z poczerniałymi palcami i gnijącymi uszami, Ahab Matugo nie zgodzi się na proces - ale Thelma Sheridan nie jest gotowa się poddać. Patrzy na mnie, jakby widziała moją twarz poprzez czarną zasłonę przyłbicy, i mówi:

- Ostrzegałam pana, że zbliża się dzień Sądu Ostatecznego. Czerwień przysłała pana tutaj.

Kontroluje pana. Jest pan sługą Diabła. Wszyscy jesteście, i zostaniecie wtrąceni do piekła!

Jestem wstrząśnięty, kiedy słyszę, że nazywa to tak samo jak ja - Czerwienią.

Ransom także jest wstrząśnięty, ale z innego powodu.

- Nie waż się tak mówić do Shelleya - mówi, potrząsając nią. - To Bóg zachowuje go przy życiu.

- Do cholery, Ransom, to nie ma znaczenia! Jaynie, weź ją!

Jaynie wyciąga rękę po Sheridan, ale Ransom wyrывa jej pojmaną. Kendrick udowadnia, że jest przytomny, szepcząc:

- Kurwa, Shelley, zrób coś.

Próbuję odebrać Ransomowi aresztantkę.

- Ransom, przekaz mi ją...

Sheridan wypluwa kolejne szalone słowa, załóżąc mu bardziej za skórę:

- Jesteście narzędziami. Każde z was. Narzędziami, którymi posłuży się Diabeł, zanim strąci was w otchłań!

- Zamknij się!

Chwytam Ransoma za ramię. Uderza mnie łokciem martwej siostry w pierś. Wiem, że nie chce mnie skrzywdzić. Jest tylko zbyt wściekły i przerażony, żeby myśleć.

Mimo to kurewsko boli. Cios wytrąca mnie z równowagi, pozbawia tchu i klnę się na Boga, że gdyby nie kamizelka, połamałby mi żebra.

Nigdy nie traktowałem poważnie fantazji Ransoma na temat króla Dawida, ale on chyba tak. Jest tak, jakbym go zdradził, bo nie zdołałem przewidzieć pojawienia się wilka i pozwoliłem mu postrzelić Kendricka. A do tego jeszcze Sheridan mu dopieka. Jest tak wstrząśnięty zarzutem, że nie chroni nas Bóg, tylko Diabeł, że traci panowanie nad sobą. Przewraca Sheridan twarzą w śnieg. Potem wyjmuje pistolet otrzymany od Rawlingsa i wymierza w nią, obierając najprostszy sposób uciszenia pojmanej.

Brak mi tchu, żeby na niego krzyknąć. Rzucam się natomiast, wspomagany przez martwą siostrę. Jaynie także rusza na niego, ale ja uderzam go pierwszy. Walę Ransoma w bark. Obaj się przewracamy, pistolet wylatuje mu z rąk, wiruje w powietrzu i ląduje tuż za Sheridan. Leżę na boku, usiłując przytrzymać Ransoma, kiedy widzę, co się dzieje: Sheridan gramoli się w śniegu na kolana i zagarnia pistolet.

Nie wiem, dlaczego ręce ma skrępowane z przodu... może dlatego, że pięćdziesięcioletnie kobiety nie są niebezpieczne? Ale ta jest, a mnie nie wolno jej postrzelić. Nie mogę jej nawet uderzyć, bo jeśli Sheridan ucierpi, Ahab Matugo jej nie przyjmie.

Puszczam Ransoma i klękam z wysiłkiem. Sheridan zwraca ku mnie broń. Trzęsie się z zimna. Nie mam pojęcia, jak dobrze strzela. Istnieje spora szansa, że chybi, a jeśli nie, to kamizelka może mnie ochronić. Rzucam się więc w stronę broni... ale Ransom już stoi. Odtrąca mnie w bok w chwili, gdy pada strzał.

Pocisk uderza w jego kamizelkę, pozbawiając go tchu i na wpeł obracając. Gdy Ransom jest nadal wytracony z równowagi, Sheridan zbliża się do niego szybko niczym Al obleczone w ciało. Jaynie nie jest w stanie jej powstrzymać. Ani ja. A Ransom nie myśli trzeźwo. Zabije ją, wiem o tym, i misja spali na panewce.

— Nie zrań jej, Ransom!

Patrzy na mnie, nie na nią, a ona wykorzystuje tę okazję. Ransom ma kamizelkę. Hełm i przyłbica ochronią mu głowę, ale Thelma Sheridan jest przedsiębiorcą wojennym. Wie, jak działa sprzęt. Zna jego słabe punkty. Staje przed Ransomem, wraza mu lufę pistoletu pod dolną szczękę, żeby zapanować nad drżeniem dłoni, i naciska spust. Głowa Ransoma odskakuje w tył. Krew spryskuje uniesioną twarz Sheridan. Jeszcze dwa razy strzela mu szybko w mózg, zanim chwytam broń, a Jaynie chwytają.

Ciało Ransoma załamuje się; jego stan wyświecła się na mojej przyłbicy, jakby to była jakaś pierdolona gra komputerowa: „Matthew Ransom, martwy”.

— Kurwa! — wrzeszczę. - Cholera, cholera, cholera.

Jestem o krok od załamania się. Neuronetka nie nadąza z kompensowaniem mojej wściekłości i rozpacz. Jaynie wie o tym. Zagarnia Sheridan, wykorzystując siłę wsporników ramieniowych, i niesie ją przez śnieg do pojazdu.

— Ja pierdołę, zabiła go! — krzyczę w stronę pleców Jaynie.

Ransom leży u moich stóp, kałuża krwi plami śnieg.

Przenoszę wzrok z ciała na trzymany przez siebie pistolet. Chcę wbić jego lufę w potylicę Sheridan; chcę wpakować kulę prosto w jej mózg.

- Ransom, ty pierdolony idioto - szepczę poza gen-komem.

Nie mogę jednak cofnąć czasu, a misja jeszcze się nie skończyła. Musimy ruszać. Zaczepiam więc zastrzał ramieniowy o szkielet martwej siostry Ransoma i ciągnę go przez śnieg, po czym upuszczam w pobliżu Kendricka. Zbieram swój sprzęt. Pistolet trafia do plecaka; plecak na barki. Podnoszę ztkh i zarzucam go na ramię. Zabezpieczywszy sprzęt, odwracam się do Kendricka. Jeden hak ramieniowy obejmuje sztabę barkową jego gnatów, drugim zaczepiam Ransoma. Potem ruszam przez śnieg, wlokąc ich obu za sobą.

Od otwarcia ognia minęły cztery minuty i czterdzieści pięć sekund.

- Kolejne pojazdy zjeżdżają ze wzgórza - informuje mnie Jaynie przez gen-kom.

- Odebrałem.

Sheridan siedzi na miejscu pasażera, ręce ma związane za oparciem fotela, stopy spętane i unieruchomione.

Jaynie pomaga mi wydobyć Kendricka z jego osprzętu i wsadzić go na tylne siedzenie. Ma niskie ciśnienie krwi, ale jego stan wydaje się stabilny.

- Pułkowniku, jeśli pan może, proszę rozjaśnić przyłbicę.

Robi to. Oczy ma przymknięte, usta skrzywione z obrzydzenia lub bólu.

- Zabierz nas stąd do kurwimaci - szepcze.

- Robi się, sir.

Zeskakuję na ziemię i zamykam drzwiczki. Plan zakładał, że to Kendrick będzie kierował. Mogę to zrobić, jeśli będę musiał, ale chcę trzymać broń.

- Umiesz tym jeździć, Jaynie?

- Miałam lekcję dziś rano.

- Jest więc twój.

Rzucam broń i sprzęt Kendricka na pakę, a potem Jaynie pomaga mi włączyć tam ciało Ransoma. Wraca do kabiny i wrzuca bieg. Słyszę coś, co brzmi jak silniki dwóch kolejnych pojazdów. Widok na serpentynę drogi zasłaniają mi drzewa, przełączam się więc na przekaz z anioła i widzę pojazdy gnające ku podstawie wzgórza. Kolejny jest nieco wyżej na zboczu.

Jaynie wyjeżdża z rowu, który wywaliliśmy w drodze.

- Jedziesz, Shelley? - pyta przez gen-kom.

- Taa. - Odwracam się i przeskakuję przez rów\ a potem podciągam się na skrzynię ładunkową pojazdu, zajmując miejsce obok ciała Ransoma. - Gazu.

Gdy Jaynie przyśpiesza, pojazdy śnieżne docierają do podstawy wzgórza. Wyrzucane spod gąsienic pióropusze śniegu utrudniają dokładne zlokalizowanie naszej pozycji. Mam przy sobie karabiny Kendricka i Ransoma. Biorę jeden, wydaję dwa granaty z jego magazynka i ładuję do swojego. Potem celuję w drogę i strzelam.

- Sytuacja? - pyta Jaynie.

Niewiele widzę spoza obłoków śniegu, przełączam się więc na widok z anioła. Nie dostrzegam żadnego pojazdu na drodze, ale potem zauważam je w lesie.

- Próbują nas okrążyć.

Jednak manewrowanie między drzewami spowolniło maszyny, a do lotniska nie jest daleko. Mam kurewską nadzieję, że sierżant Nolan przejął tam kontrolę. Łączę się z nim.

- Sytuacja, Nolan?

- Zdążycie, poruczniku?

- Sytuacja!

- Zgodnie z planem Lucius Perez się ujawnił. Jest z nim Flynn. Wraz z pilotem przygotowują samolot do startu. Znaleźliśmy dwanaścioro pracowników Vanda-Sheridan i zamknęliśmy ich na najwyższym piętrze blokhauzu.

- Ochroniarze?

- Czterej z Uther-Fen... dwóch być może nie żyje.

- Co z resztą?

- Personel techniczny. Nieco poturbowany. Nic poważnego. Powiedzieli nam, że na wzgórzu jest jeszcze czterech najemników.

- Dokonałiśmy aresztowania, ale ścigają nas. Dwa pojazdy w lesie po obu stronach drogi.

- Harvey i Tuttle są na stanowiskach u wylotu drogi. Zapewnię wam osłonę ogniową. Słyszysz, Harvey?

- Odebrałam - odpowiada Vanessa.

Nadal obserwuję pościg oczami anioła. Pojazd po stronie oceanu niemal zrównał się z nami.

- Harvey, jeden z najemników może znaleźć się w twojej okolicy wcześniej od nas.

- Mam nadzieję, sir.

- Nie pozwól im przejechać. Mogliby spróbować podziurawić pas startowy albo go zablokować. - Ja bym tak zrobił; uniemożliwiłbym start samolotu. - Nolan, kiedy maszyna będzie gotowa?

- Przeprowadzają samolot na koniec pasa startowego, od strony lądu. Z powodu gór musimy wystartować w kierunku oceanu.

- Rozumiem.

- Co do pilota, poruczniku... - Wahanie w głosie Nolana mówi mi, że ma złe wiadomości. - Póki co, ona współpracuje, ale nie należy do spisku. Nie wie, co się dzieje. Perez obudził ją i powiedział, że czekają nagły lot... to wszystko, co wie. Uważa, że to porwanie.

- Perez mówił, że pilot jest wtajemniczony.

- Taa. Wydaje mi się, że chyba zapomniał jej o tym powiedzieć.

Musimy więc porwać niewinną kobietę.

Stwierdzam, że nie lubię Pereza. Zdradził Thelmę Sheridan, zdradził pilotkę i w moim mniemaniu zamierza zdradzić także i nas.

- Czekaj. - Łączę się z Flynnem. - Uważaj Pereza za wroga. Nie dopuszczaj go w pobliże sterów. Skuj go, jeśli musisz. Jak się trzyma nasza pilotka?

- Perez ją obłaskawia. Myślę, że ona chce go walnąć, ale zerka cały czas na moją broń. Czuje respekt.

- Jeśli nie będzie współpracowała, zastrzel Pereza. Nie potrzebujemy go już.

- Tak jest, sir.

Mapa na wyświetlaczu mojej przyłbicy lokuje nas dwieście metrów od lotniska, kiedy za jednym pojazdem wybucha kula ognia. Następują trzy krótkie serie z broni automatycznej, chyba z ztkh.

- Sytuacja? - pytam.

- Jeden pojazd załatwiony - melduje Harvey.

- Drugi się wycofał - dodaje Tuttle.

Ścigający nas pojazd jest wciąż na drodze za nami, ale nie dogania nas.

Oczami anioła widzę maszerujących Harvey i Tuttle'a w miejscu, gdzie droga łączy się z lotniskiem. Nie widzę Nolana i Moona, ale mapa umiejscawia ich w pobliżu pierwszego hangaru.

- Kogo muszę zabrać? - pytam.

- Zajmę się tym - odzywa się Nolan. - Zdobyłem pojazd szybszy od waszego.

- Parę minut zajmie nam przetransportowanie jeńca i rannego do samolotu.

- To cholernie duży samolot, sir. Sugeruję, żebyście nie marnowali czasu i wjechali wprost do środka.

Przez chwilę muszę się nad tym zastanowić.

- O jakim samolocie mówisz, sierżancie?

- O starym C-17 Globemaster. PW mają zawsze najlepsze zabawki.

- Słuchasz, Jaynie?

- Tak jest, sir. Wjeżdżamy na pokład.

Drzewa się rozstępują. Patrząc w przód i widzę hangary oraz dwupiętrowy blokhauz, w którym mieszkają pracownicy. Budynek stoi wzdłuż pasa startowego. Pługi śnieżne dobrze się spisały. Pas jest czysty, w tym tarmakowa nawierzchnia przed hangarami. Na drodze nie stoi nawet żaden płot.

- Niech się pan mocno trzyma, Shelley - ostrzega Jaynie.

Czuję, że redukuje bieg. Pojazd się przechyla, gdy wjeżdżamy na pierwszą pryzmę śniegu odrzuconego przez pługi. Wspinamy się na nią, a potem śnieg zapada się pod gąsienicami, rzucając nas skosem w dół; na tarmak schodzi niewielka lawina.

Nie wiem, jak dobrze poradzi sobie pojazd na twardej nawierzchni, ale zaraz się przekonamy. Jaynie skręca pod kątem prostym i jedziemy teraz równolegle do pasa startowego. Z cienia hangaru wyjeżdża pick-up. W noktowizorze widzę kierowcę, który zostaje zidentyfikowany na wyświetlaczu przyłbicy jako Nolan. Postać na skrzyni ładunkowej to Moon. Jadą bez włączonych świateł. Mijamy półciągarówkę na coraz wyższych biegach. Gąsienice dudnią na twardej nawierzchni, wprawiając pojazd w tak silne wibracje, że wydaje mi się, iż obluzują mi się kości.

- Co to, kurwa, za zawieszenie? - jęczy Kendrick przez gen-kom.

- Już niedługo, sir - odpowiada Jaynie.

Opieram stopę na zwłokach Ransoma, żeby jego ciało nie wypadło. Anioł pokazuje mi ścigający nas pojazd, który zatrzymał się dwieście metrów dalej na drodze, tuż poza polem widzenia Harvey. Nie mam pojęcia, gdzie przepadła druga maszyna.

Anioł podąża za mną. Przemieszcza się na koniec pasa po stronie lądu, gdzie czeka na nas ogromny samolot, którego światła nawigacyjne, wyznaczające skrzydła, kadłub i ogon, oślepiają w noktowizji.

Pomimo hałasujących gąsienic słyszę wystrzał z granatnika. Po nim wymianę ognia karabinowego. Głos Nolana:

- Raport, Tuttle.

- Pierdolone sukinsyny - przeklina Tuttle bolesnym szeptem.

To wkurza Nolana.

- Raport, Tuttle! Oberwałeś?
- Kopnięcie muła. Dwaj nieprzyjaciele wyeliminowani, sierżancie. Być może dwaj kolejni uciekli za hangar.

- Odpuść - mówię. - Ładujemy się do samolotu.

Jaynie kwestionuje moją decyzję:

- Mogą nas trafić rakieta podczas startu, poruczniku.
- Pierdolić ich. Mamy ich królową. Myślisz, że gotowi są ją spalić?
- Przekonamy się.

*

Nolan zawija pick-upem, żeby zabrać Tuttle'a i Harvey. Kilka sekund później przejeżdża obok pojazdu śnieżnego. Zanim docieramy do samolotu, Harvey i Moon są już na ziemi, gotowi strzelać do wszystkiego, co się poruszy wokół nas. Tuttle jest we wnętrzu samolotu, a Nolan czeka u podnóża rampy, oświetlony blaskiem padającym ze środka. Zeskakuję ze skrzyni ładunkowej, gdy Jaynie wyrównuje tor wjazdu na rampę.

Anioł jest nad nami. Zerkam ostatni raz przez jego kamery. Ścigający nas pojazd śnieżny dotarł do końca drogi. Nie widzę nikogo więcej. Tuttle meldował o dwóch ewentualnych zbiegach, ale dotąd ich nie zauważyłem.

- Przywołuję anioła - ogłaszam przez gen-kom, a potem wysyłam polecenie do drona, żeby wylądował.

Pojazd grzechocze na rampie.

- Harvey, Moon, natychmiast do środka. — Nadbiegają truchtem. Stalowe podkładki ich stóp dudnią na metalowej klapie. Ruszam za nimi, a za mną dryfuje anioł w postaci półksiężyca o metrowej rozpiętości ramion - ostatni członek naszej PGB.

W przepastnej, pustej przestrzeni ładunkowej C-17 pojazd śnieżny wygląda niepozornie. Ściany wyznaczają rzędy złożonych siedzeń, a nad nimi ciągną się półki na ekwipunek. Wyżej panele białych, prostokątnych świateł lśnią tak jasno, że mój hełm wyłącza automatycznie noktowizję.

- Odliczyć - mówię, gdy gen-kom odfiltrowuje większość hałasu pochodzącego od silników.

Odpowiedzi padają w wyznaczonym porządku.

- Kendrick. - To szept.

- Shelley - mówię.

- Vasquez.

- Nolan.

- Harvey.

- Moon.

- Tuttle.

Zamieramy wszyscy, czekając na zgłoszenie się Flynn. Ogarnia mnie strach, gdy się nie odzywa.

- Szeregowa Flynn! Jesteś tam?

-W kokpicie, sir. Ale pominęliśmy Ransoma... - Głos się jej załamuje. - O cholera. Przepraszam, sir.

- Tuttle! - warczę. - Podnieś klapę. Nolan. ty do przodu. Dopilnuj bezpieczeństwa w kokpicie. Jeśli pilotka albo Perez nie będą chcieli współpracować, daj mi znać. I każ pilotce zabrać nas stąd w cholerę.

- Załatwione, sir! - Rusza, ale potem przystaje. Wsuwa dłoń do kieszeni, po czym wyjmuje z niej nowoczesny telefoniczny tablet. - Niemal zapomniałem. Odebrałem to Perezowi.

Wręcza mi urządzenie, a potem sadzi susami w głąb pustej przestrzeni ładunkowej; płyty stóp jego martwej siostry dudnią o aluminiowy pokład. Znika na drabince prowadzącej do kokpitu.

Oglądam telefon, upewniam się, że jest wyłączony, i wsuwam go do kieszeni.

Nasz los zależy teraz od pilotki - oraz od tego, jak bardzo najemnicy Thelmy Sheridan cenią sobie życie swojej pracodawczyni. Huk silników narasta, samolot wibruje, gdy zaczynamy startować.

Tuttle kieruje Moonem podczas przymocowywania pojazdu śnieżnego do pokładu.

- Kiedy z tym skończycie, rozłóżcie nosze dla pułkownika.
- Tak jest, sir.
- Jaynie i Harvey, zabierzcie aresztantkę z pojazdu. Upewnijcie się, że ma skrupowane ręce i nogi.
- Robi się.

Idę się przyjrzeć Kendrickowi leżącemu nadal na pace. Zdjął hełm, który leży obok jego stop, ale odłączył pętlę audio i zaczepił za ucho, żeby być nadal połączonym z gen -komem. Opiera się bezwładnie o siedzenie, pocąc się pomimo zimna. Oczy ma przymknięte, ale porusza gałkami, żeby na mnie spojrzeć.

- Jak się pan ma, sir?
- Chujowo. Dlaczego nie jesteś z przodu?
- Nolan się tym zajmuje.
- Nie wiesz, czy jesteśmy na właściwym kursie.
- Sprawdzę, gdy będziemy w powietrzu.

Związana Sheridan siedzi na wpół obrócona na przednim fotelu; obserwuje mnie i w końcu wygląda na lekko zaniepokojoną; jej zamyśloną twarz plami krew Ransoma. Jaynie otwiera drzwi po stronie pasażera i wspina się do kabiny pojazdu śnieżnego. Zdjęła wcześniej plecak i martwą siostrę, porusza się więc swobodnie w ograniczonej przestrzeni. Sheridan obraca gwałtownie głowę, żeby spojrzeć na Jaynie, gdy drgania samolotu przybierają na sile podczas rozpędzania się na pasie startowym.

Jeżeli Carl Vanda zamierza zapobiec startowi, musi to zrobić teraz.

Przyglądam się, gdy Jaynie przecina plastikową opaskę, którą Thelma była przywiązana do środkowego fotela. Jestem gotów interweniować, gdybym musiał, ale Sheridan nie jest głupia. Nie ma dokąd uciec, nikt nie może przybyć jej z odsieczą. Jeszcze nie. Współpracuje więc i wychodzi z pojazdu, gdy C-17 odrywa się od ziemi.

- Lecimy - mówi Nolan przez gen-kom.

Nikt nie wiwatuje.

Jaynie i Harvey ujmują Sheridan za ramiona i ją prowadzą.

- Pańska kolej, sir - zwracam się do Kendricka.

Korzystając z siły wsporników ramieniowych, podnoszę go z tylnego siedzenia. Jęczy z bólu, ale nie mogę nic na to poradzić. Tuttle i Moon pomagają mi położyć go na przygotowanych przez nich noszach.

- Zostań z pułkownikiem, Moon. Zrób, co możesz.
- Jasne, sir. - Nie brzmi to przekonująco.

Zabieram Tuttle'a ze sobą. Po drodze przystajemy, żeby sprawdzić, co z Sheridan. Ręce ma luźno skrupowane za plecami, nogi w kostkach przytroczone do wsporników siedzenia.

- Bolał mnie barki - skarży się mocnym głosem, słyszalnym doskonale pomimo huku silników.

Nie odpowiadam. Harvey siedzi trzy miejsca dalej, w pełnym oporządzeniu, pilnując jej.

Daję znak Tuttle'owi. Wracamy do pojazdu śnieżnego po ciało Ransoma i kładziemy je pod ścianą ładowni. Z pomocą Jaynie wyjmujemy resztę sprzętu.

Przełączam się na gen-kom.

- Nolan, nie skręciliśmy jeszcze na północ? Nadal lecimy nad oceanem?
- Tak jest, sir.
- Powiedz pilotce, że zamierzam otworzyć tylną klapę.

Mamy oblecieć pół świata. Chcę maksymalnie zwiększyć dystans, jaki pokonamy, zanim zaczną się martwić o uzupełnienie paliwa, co oznacza, że nie chcę wieść zbędnego balastu.

Podczas gdy Tuttle opuszcza klapę, Jaynie pomaga mi odpiąć od podłogi mocowania pojazdu. Wchodzi do jego kabiny, wrzuca wsteczny bieg i wyskakuje. Patrzymy, jak maszyna toczy się do tyłu. Dojeżdża do krawędzi rampy i spada. Obserwuję ją w noktowizorze; obraca się i koziołkuje, rozpoczynając długi spadek do Zatoki Alaskiej.

Od momentu, gdy Kendrick odpalił ładunki wybuchowe, co zapoczątkowało nasz atak, działaliśmy tak szybko, że byłem jedynie półświadomy narastającego bólu: głębokiego, bezlitosnego rwania, spowodowanego przez uderzenia pocisków w czasie strzelaniny z mikrodronami, oraz słabego, piekącego sygnału zwrotnego z robocich nóg. Neuronetka moduluje doznania, ale nie może zredukować wszystkiego do zera... i zaczyna mnie boleć dużo bardziej, gdy się uspokajam w czasie tych ciągnących się sekund, podczas których obserwuję spadanie pojazdu.

Boli nie tylko mnie. Będziemy musieli sprawdzić obrażenia wszystkich członków oddziału i zażyć środki przeciwbólowe, jeśli uda się nam przekonać Nadzór...

- Kurwa.

Nie ma Nadzoru. Nie ma Delphi. Jesteśmy zdani na siebie.

Nolan zgłasza się przez gen-kom:

- Sir, rozmowa przychodząca na telefon satelitarny samolotu. Dzwoni Carl Vanda.

Tuttle zamyka klapę, a Kendrick odzywa się szeptem, który zaczyna się stawać niewyraźny.

- Zabieraj tyłek do kabiny, Shelley, i obejmij dowództwo.

*

W kokpicie jest ciemno, jarzą się jedynie instrumenty pokładowe i małe lampki. Blask wyławia z mroku cztery fotele: dwa z przodu dla pierwszego i drugiego pilota oraz dwa za nimi dla załogi. Miejsce pilota zajmuje szczupła, blada kobieta o ostrych rysach i krótkich jasnych włosach, przypłaszczonych pałąkiem słuchawek interkomu. Odwraca się, żeby spojrzeć na mnie wielkimi, przerażonymi oczami. Nawet w słabym świetle widzę, że drżą jej ręce.

Nolan siedzi na miejscu drugiego pilota. Zdjął osprzęt, ale wciąż ma na głowie hełm. Za jego plecami widzę naszego sojusznika, Luciusa Pereza, którego rozpoznaję na podstawie zdjęcia z odprawy przed akcją. Ma na uszach słuchawki, jak pilotka.

Naprzeciwko niego, anonimowa w swoim hełmie, siedzi Flynn. Pragnąłbym wykopać Pereza z kokpitu, ale nie chcę, żeby Sheridan go widziała, więc stoję.

Nolan wskazuje gestem pilotkę, po czym przedstawia mi ją przez gen-kom:

- To jest Ilima LaSalle, sir. Służyła w lotnictwie wojskowym.

Przerzucam połączenie z gen-komu na nakładkę i zdejmuję hełm, przestając być w jej oczach jedynie anonimowym bandziorem. Nolan wręcza mi słuchawki interkomu, żebym mógł stłumić hałas silników i porozumiewać się swobodnie z Ilimą. Poprawiam położenie mikrofonu. Kiedy podnoszę wzrok, Ilima patrzy na mnie ze zdumieniem, z którego wynika, że mnie poznaje.

- James Shelley - mówi przez interkom.

Nie mam nic przeciwko wykorzystaniu statusu celebryty.

- Który odcinek widziałaś, Ilimo? *Krwawe przenikanie?*

- Oba.

- Musisz wiedzieć, że wszyscy obecni to weterani z Czarnej Krzyża. Nie mamy zamiaru cię skrzywdzić i osobiście przepraszam cię za to, że zostałeś zamieszana w tę misję. Powiedziano nam, że zgodziłaś się nam pomóc.

- Nie zgodziłam się. Nie wiem, co się dzieje, i nie mam pojęcia, co tu robicie.

- Naszym zadaniem jest postawienie Thelmy Sheridan przed trybunałem. To ona, Ilimo, dostarczyła bomby atomowe, które spowodowały Komę.

Ilima odwraca ode mnie wzrok. Ma w oczach przerażenie, ale, co dziwne, nie wygląda na zaskoczoną.

- Podejrzewałaś to? - pytam.

- Nie! Ale... wcześniej przewoziłam ładunki, które mnie zastanawiały. - Odwraca się do mnie ponownie. - Co się ze mną stanie?

- Musisz pilotować ten samolot. Jesteś tutaj jedyną osobą, która to potrafi, muszę więc wymagać od

ciebie pełnej współpracy. Nie pozwolę, żeby ta misja się nie powiodła. Kiedy jednak dostarczymy Sheridan na miejsce, zostaniesz uwolniona, cała i zdrowa. Rozumiesz?

- Tak, sir. Rozumiem, sir.

Jesteśmy bohaterami, więc łatwiej jej uwierzyć, że jej nie skrzywdzimy.

- Gdzie jest telefon satelitarny? - pytam.

- Ma pan interkom. Muszę pana tylko połączyć.

- Nie, nie mnie. - Nie chcę zostawiać Carlowi Vandzie zapisu mojego głosu, więc się odwracam do Pereza. - Ty z nim pogadasz.

- Nie! On musi uważać, że ja także jestem zakładnikiem.

- Więc mu to powiedz. I że nie jesteśmy gotowi z nim rozmawiać. Jeśli będzie siedział cicho, skontaktujemy się z nim w sprawie okupu, kiedy znajdziemy się w bezpiecznym miejscu.

Zostawiłem ztkh z bagażami, ale mam przy sobie berettę. Nie tę, którą Sheridan zabiła Ransoma - nigdy więcej nie chcę dotknąć tej broni - ale tę otrzymaną od Rawlingsa. Jest czysta, przypięta w kaburze na udzie. Wyjmuję pistolet i wykorzystuję jego zabójczy kształt do przydania wagi moim słowom.

- Zrobiłeś swoje, Perez, i więcej cię nie potrzebuję. Jeśli piśniesz Vandzie choć słówkiem, że to nie jest porwanie dla okupu, zabiję cię.

Pomimo chłodu panującego w kokpicie na policzki Pereza występuje pot.

- Powiem... powiem wszystko, co chcesz.

Ilima przełącza rozmowę do niego. Ja słucham. W głosie Carla Vandy słychać pewien wysiłek, co wskazuje na odniesione przez niego obrażenia, ale kiedy rozmawia z Perezem, który nie potrafi opanować jąkania, ma spokojny i zimny ton. Cieszę się, że wziąłem Luciusa na muszkę. To mu pomaga przekonująco sprawiać wrażenie, że jest przerażony.

Gdy tylko najważniejsze informacje zostają przekazane, przerywam połączenie. Potem każę Nolanowi wyłączyć telefon satelitarny. Łączność stanowi ryzyko i nie chcę więcej niespodziewanych rozmów.

Wraz z Ilimą przeglądamy plan lotu. Polecimy nad biegunem, trasą północnego „wielkiego koła”, a potem na południe, nad Atlantykiem. Jeśli nie będę musiał, nie wlecę w przestrzeń powietrzną żadnego kraju.

Na szczycie drabinki prowadzącej do kabiny pojawia się Jaynie. Zdjęła hełm. Na jednym uchu błyszcząca pętla audio, a w drugie ma wetkniętą słuchawkę. Jej głos dobiega do mnie przez nakładkę.

- Musi pan przyjść do pułkownika.

Zdejmuję słuchawki interkomu. Jaynie podaje mi inne, w formie zatyczek do uszu. Kiedy zanurzamy się w blask ładowni, moje oczy z trudem przystosowują się do niego.

- Weź mój hełm - mówię do Jaynie, wręczając go jej po drodze w głąb samolotu. - Ustaw go tak, żeby kamera była cały czas skierowana na naszego jeńca. Nie chcę, żeby ktoś wniósł przeciwko nam jakieś bezpodstawne oskarżenia.

- Tak jest, sir.

- Potem zbierz całą broń i zamknij w magazynku. Przynieś mi klucz.

- Coś jeszcze, sir?

- Ustalasz już kolejność wacht?

- Tak.

- Dziękuję, sierżant.

Przy Kendricku jest Moon. Gmera przy zaworze kroplówki, z której przezroczysty płyn sączy się przez wenflon do ramienia pułkownika. Podobnie jak Jaynie, Moon zdjął hełm i ma na jednym uchu pętlę, a w drugim słuchawkę.

- Jakiś problem? - pytam go.

- N...nie jestem pewny. Znaleźliśmy zestaw ratunkowy i wciąż nadaje się do podania dożylnego, ale jakiś rok temu mnie w tym przeszkolono. Cholera. Żałuję, że nie mogę się skonsultować w tej sprawie z

Nadzorem.

Sprawdzam wenflon. I mnie się wydaje w porządku.

- Dajesz sobie znakomicie radę sam, Moon.

Ale nawet gdyby był w pełni wykwalifikowanym sanitariuszem, to nie sądzę, żeby mógł wiele zrobić dla Kendricka. Pułkownik wygląda źle - jest w szoku, oddycha płytko. Chociaż ma otwarte oczy, to zdaje się mnie nie widzieć, kiedy klękam obok niego.

Podczas lotu z Dassari otrzymałem znakomita opiekę medyczną. Kendrick nie może na to liczyć. Do czasu następnego tankowania będziemy lecieć co najmniej trzynaście godzin. Nie możemy wylądować z obawy, że nie pozwolą nam ponownie wystartować. A w powietrzu nie możemy dla niego niemal nic zrobić.

Nawiązuję z nim prywatne połączenie.

- Jak się pan czuje, pułkowniku Kendrick?

Mruga oczami, porusza nimi, skupia na mnie wzrok. Gen-kom odfiltrowuje hałasy samolotu i wzmacnia jego głos... który i tak brzmi słabo i śmiertelnie ponuro.

- Trzeci odcinek okazał się zabójczy.

- Taa.

- Wszystko jest teraz w twoich rękach. Shelley... bez względu na to, jak kurewsko mnie to przeraża. Nie pozwól, żeby przeciwnik załaził ci za skórę... i nie spierdol tego.

- Pułkowniku, pan...

- Zamknij się... nie chcę tego słyszeć. Jeśli potrzebujesz z kimś... pogadać... gadaj z Vasquez. I konsultuj się... z Rawlingsem.

- Zrobię tak, sir.

- I dokończ...

- Wykonamy zadanie, sir.

Zamyka oczy. Oddech ma płytki. Obserwuję go przez kilka minut, a siedząca po przeciwnej stronie ładowni Sheridan chce wiedzieć, co naszym zadaniem robimy. Pilnuje ją Harvey. Ona jedna nosi nadal hełm. Zwraca ku więźniarce anonimową, nieczułą twarz i nie odpowiada.

Odstępuję od Kendricka, wypinam się z martwej siostry, składam ją i umieszczam tam, gdzie są inne.

- Przymocuj je - polecam Tuttle'owi. - Plecaki też.

Zwłoki Ransoma leżą nadal na podłodze. Muszę coś z tym zrobić.

Pytam Moona, gdzie jest zestaw surwiwalowy. Kiedy mi pokazuje, przeszukuję go i z ponurą ulgą znajduję trzy worki na zwłoki. Tuttle pomaga mi włożyć ciało Ransoma do jednego z nich. Staram się nie patrzeć na twarz zabitego. Nie odszedł spokojnie; wskazują na to odstrzelony tył i czubek głowy. Chcę wiedzieć, dlaczego Czerwień nie ostrzegła go, dlaczego pozwoliła mu umrzeć? Nie wierzę, że jego życie nie miało znaczenia, że był jedynie halabardnikiem. Chcę, żeby żył.

Wysyłam Tuttle'a do pomocy Jaynie przy zabezpieczaniu uzbrojenia. Potem opadam na jedno z wolnych siedzeń i łączę się z pułkownikiem Rawlingsem. Unieruchomiony w ładowni anioł szyfruje połączenie, poprzez sieć satelitarną dociera do przypadkowo wybranej bramki serwera, który dokonuje przesyłu przez prywatną sieć - i Rawlings odbiera.

- Gratuluję, poruczniku. Faza pierwsza zakończona.

- Dotarł do pana pełny raport? - pytam.

- Wszystko. Zapisy z kamer hełmowych i z pańskiej nakładki.

- To wie pan, że Matthew Ransom nie żyje. A pułkownik Kendrick...

- Misja trwa - przerywa mi Rawlings obcesowo. - Musi pan wykonać test DNA.

Ahab Matugo nie pozwoli nam wylądować w Niameju, który obrał za stolicę, póki nie udowodnimy, że przywożona przez nas aresztantka jest naprawdę Thelmą Sheridan.

- Test DNA to następna rzecz, sir.

Co oznacza, że muszę porozmawiać z jeńcem.

Moja głowa pogrywa ze mną. Przebłysk sekwencji wspomnień: to, jak włoski stanęły mi dęba na karku tego dnia, kiedy rozmawiałem z Sheridan w Kelly AMO; rozdzierający umysł nuklearny blask anihilujący pilotów. którzy zniszczyli raketę; odskakująca głowa Ransoma, gdy pierwszy pocisk przeszył mu mózg.

Będę potrzebował wsparcia Jaynie.

*

Hałas silników zagłusza nasze kroki, więc Thelma Sheridan nie zauważa, że podchodzimy do niej. Siedzi zgarbiona na swoim miejscu, utrzymując się na jego krawędzi, żeby zmniejszyć nacisk na skrępowane za plecami ręce i skute w kostkach nogi. Na kolanach ma rozłożony koc, ale nadal wygląda na przemarzniętą. Niemal mi jej żal - póki na jej krótkich włosach miedzianej barwy nie dostrzegam plamek zakrzepłej krwi Ransoma.

Mój hełm jest przytroczony dwa siedzenia dalej, jego kamera obserwuje ją, obserwuje nas. Harvey siedzi po drugiej stronie aresztantki, oddzielona od niej dwoma miejscami. Zauważa nas i wstaje. Ze skierowaną na jeńca pustą przyłbicą hełmu melduje:

- Poruczniku, ta suka to bełkoczący psychozabójca. Nie wiem, czy kiedykolwiek otrząsnę się z jej idiotyzmów.

- Zrób sobie przerwę, Harvey.
- Z przyjemnością, sir.
- Wróć za dziesięć minut - mówi Jaynie.
- Tak jest, sierżant.

Sheridan zauważa odejście Harvey. Podnosi głowę... i widzi mnie. Cienie grają na jej zapadniętej twarzy. Nie jest jednak tchórzem; muszę jej to oddać. Bierze się w garść i siada prościej.

- Porucznik James Shelley - mówi na tle hałasu silników. - Pożaluj się pan tego dnia.

Wyłączam się z gen-komu.

- Już go żałuję, proszę pani.

Ogląda mnie od stóp do głów, rejestrując wszystkie szczegóły.

- Nie jest już pan w wojsku, prawda, panie Shelley? Nikt tutaj nie nosi stopni. I ukradliście mi samolot. Jesteście zwykłymi terrorystami.

Wszystko się zgadza.

Oddycham powoli, głęboko, zdecydowany nie stracić nad sobą panowania. Czerwone żyłki ikony neuronetki pulsują niemal w rytm dudniącego bicia mojego serca. Rozpaczliwie pragnę, żeby w samolocie panowała cisza.

- Przyszedłem pobrać próbkę pani DNA.
- Dla kogo pan pracuje?
- Muszę mieć wymaz z policzka.
- W pańskich oczach widzę Czerwień.

Za plecami mam Jaynie z lateksowymi rękawiczkami na dłoniach, trzymającą wacik. Odwracam się do niej i pytam bezgłośnie: „Gotowa?”. Kiedy kiwa głową, szybko stosuję dławiący chwyt - nie ma mowy, żebym zaryzykował, że Jaynie zostanie ugryziona bądź kopnięta. Sheridan sztywnieje, ale się nie wrywa. Może być szalona, ale nie jest głupia.

Jaynie wsuwa do jej ust palce, a potem wacik, i pobiera próbkę. Puszczam Sheridan i się odsuwam. Patrzy na mnie, spokojna i opanowana.

- Nie jest za późno, żeby się pan uratował, panie Shelley, ale wszystkie nasze dni są policzone.

Spoglądam ku przodowi, szukając wzrokiem Harvey, pragnąc, żeby wróciła i żebym mógł się tchórzliwie wycofać.

Jaynie jest kilka siedzeń dalej i przenosi próbkę DNA na czystą folię w celu przeprowadzenia

automatycznej analizie.

- W jaki sposób porucznik mógłby się uratować? - pyta, przekrzykując panujący hałas.

Oboje, Sheridan i ja, obracamy się, zaskoczeni pytaniem, ale ona otrząsa się pierwsza.

- Jesteśmy bardzo blisko - mówi i chociaż podnosi głos, wydaje się normalną osobą - spokojną, zainteresowaną i ani trochę nie wytrąconą z równowagi. - Należę do konsorcjum finansującego szeroko zakrojone prace badawcze, które mają na celu podminowanie Czerwieni. Projektowany jest cyberwirus - znajduje się niemal w fazie testów - który po wpuszczeniu do Chmury wytropi każdy przejaw Czerwieni, każdy algorytm, aż Chmura zostanie oczyszczona.

- Skąd wiecie, że to się sprawdzi? - pyta Jaynie, nie podnosząc wzroku.

- Gdyż najtęższe umysły informatyczne mówią mi, że, tak będzie.

Jaynie spogląda na mnie i mówi głośno:

- Poruczniku, jeśli istnieje sposób...

Przełączam się na prywatny link.

- To bzdura, Jaynie. Nie istnieje żaden magiczny eliksir informatyczny.

Jej twarz przybiera kamienny wyraz.

- Skąd pan może to wiedzieć? Wirusy niszczą programy cały czas...

- Gdyby istniało coś, co mogłoby załatwić Czerwień. to już by się to stało. Czerwień posługuje się wirusami. Musi to robić.

Może Sheridan potrafi czytać z ruchu warg. Pochyla się w stronę Jaynie i mówi:

- Musisz zrozumieć, że on nic nie może na to poradzić. Czerwień przemawia przez niego.

- Sierżant, skończyła pani test?

- Nadal trwa, sir.

Przełączam się na gen-kom.

- Dawaj tutaj, Harvey.

Test dobiega końca; urządzenie automatycznie przesyła wyniki pułkownikowi Rawlingsowi oraz na adres dostarczony przez Ahaba Matugo.

Przychodzi Harvey. Każę jej rozciąć pęta, a potem ona i Jaynie eskortują naszą masową zabójczynię do toalety. Kiedy wraca, pętam jej nogi, ale ręce zostawiam wolne.

- To bardzo uprzejme z pana strony, panie Shelley. Myślałam, że może mnie pan zaknebluje.

Kuszące.

- Jesteśmy zobowiązani traktować panią humanitarnie. Ponieważ nasz rząd nie zgodził się na wniesienie oskarżenia przeciwko pani w związku z pani uczestnictwem w Komie, stanie pani przed trybunałem międzynarodowym, który rozważy dowody przeciwko pani i zdecyduje o karze.

Wygląda na oszołomioną. Może się jej zdawało, że porwaliśmy ją dla okupu, albo przypuszczała, że jesteśmy szwadronem śmierci, naślany przez Czerwień w celu przesłuchania jej, a potem wyeliminowania, ale teraz dociera do niej, że chodzi o coś całkiem innego.

- To skandaliczne. Nie mówi pan poważnie Chyba nie wyobraża pan sobie, że ktoś taki jak ja może zostać postawiony przed sądem.

- Tak się stanie - zapewniam ją. Dobrzy żołnierze gotowi są poświęcić za to życie.

- Dobrzy żołnierze? Żołnierze to towar. Można ich kupić po ćwierć miliona dolarów za sztukę, Ten samolot jest wart sto razy więcej od was wszystkich razem wziętych. A to jest nic. To mniej niż moje roczne subsydia polityczne. Uważa pan, że politycy chcą, żebym zeznawała przed sądem? Myśli pan, że koledzy po fachu pozwolą mu mówić? Nie pozwolą. Nie chcą niepokojów w swoich królestwach Wrobiono pana, Shelley. Nikt z nas nie pożyje na tyle dłużej, żeby ujrzeć wewnątrz sali sądowej. Cios się zbliża.

*

Odbywam naradę z moim starszym sierżantem nieopodal noszy Kendricka. W tym samolocie nie ma

gabinetu, sali konferencyjnej ani żadnej nadziei na prywatność. Jedynie warkot silników może zagłuszyć to, co Jaynie i ja mamy sobie do powiedzenia, ale hałas nie chroni nas przed wzrokiem innych. Harvey, Tuttle, Moon... starają się nie obserwować nas ostentacyjnie. Sheridan nie jest taka subtelna Patrzy na nas znacząco przez całą przestrzeń ładowni, częściowo ukryta w cieniu.

Obracam się, żeby nie widziała moich ust. Jaynie także się porusza, patrząc na mnie spod oka urażonym wzrokiem. Mamy dwustronne prywatne połączenie.

- Muszę panią zapytać, sierżant, kto jest nas/y m wrogiem?

Zadzierą brodę; jej wargi się wykrzywiają Pierwszy raz widzę Jaynie Vasquez wyraźnie rozgniewaną.

- Naszym wrogiem jest Thelma Sheridan, sir!

- Zgadza się, sierżant, a pani pozwoliła jej ze sobą pogrywać.

- Czerwień także jest naszym wrogiem. Kiedy Sheridan zasugerowała, że istnieje sposób...

- Czerwień nie jest naszym wrogiem. Nie jest naszym sprzymierzeńcem. Ona po prostu jest, jak pogoda.

- Nie ma wirusa, który usunie pogodę, sir.

- I nie ma także wirusa, który może wyeliminować Czerwień.

- Powiedziała...

- Jest obłąkana.

- Może i jest, ale konsorcjum, o którym wspomniała, musi zatrudniać najlepszych programistów świata.

- Programiści mogą kłamać tak samo jak wszyscy inni i mówić swoim pracodawcom to, co tamci chcą usłyszeć. Pamiętasz, Jaynie, co powiedziałaś tuż przed misją? Stwierdziłaś, że większość ludzi, którzy wiedzą o Czerwieni, nie będzie chciała się jej pozbyć. Będą chcieli ją kontrolować, wykorzystają, żeby móc kierować sprawami. To ma sens. Ma sens, gdyż ludzie pragną władzy. Jeśli im się wydaje, że mogą położyć łapę na nowej broni, nowej technologii, która pozwoli im zapanować nad światem lub otaczającymi ich ludźmi, to wykorzystają po temu wszelkie sposoby. To jedyny powód, dla którego mamy nadal na świecie broń jądrową - gdyż daje rządowi władzę. Pozwala im panować.

Jaynie jest rozdarta. Poznaje to po jej twarzy. Nie chce zaprzeczyć samej sobie, ale rozpaczliwie pragnie uwierzyć w konsorcjum Sheridan.

Naciskam mocniej.

- Jaynie, Nadzór próbuje wymyślić sposób na zablokowanie Czerwieni co najmniej od czasu, gdy znalazłem się w Dassari. Moja dziewczyna, Lissa Dalgaard, pracuje w grupie ekspertów, która stara się zrozumieć Czerwień. Do niczego nie doszli. Thelma Sheridan ma to gdzieś. Ona wierzy w to, w co chce wierzyć. - Klepię się po głowie, przypominając sobie, co mi powiedział Elliot. - To filtry mentalne. Wszyscy je mamy. Filtry Sheridan pozwalają jej wierzyć w fantastyczne rzeczy, a zaprzeczać tym, które są rzeczywiste. Skoro jest już bezpodstawnie przekonana, że Bóg nie ma nic przeciwko temu, że ona zamorduje milion ludzi, to czy potrzebowałyby faktów, żeby uwierzyć w coś tak banalnego jak magiczny cybereliksir?

Jaynie marszczy brwi, patrząc ponad moim ramieniem. Pozwalam jej na kilka chwil namysłu, a potem powtarzam:

- Pozwoliliście, sierżant, żeby ona z wami pogrywała. A kiedy dopuszczasz do siebie jej fantazje, to podważasz mój autorytet... chyba że taki jest twój cel? Chyba że się martwisz, że to Czerwień przemawia przez moje usta?

Wraca do mnie spojrzeniem.

- A czy to martwi pana, sir?

Nie muszę nic mówić. Gdy odwracam wzrok, poznaje odpowiedź.

*

Jestem zmęczony i obolały, więc siadam na chwilę. Chcę zadzwonić do Lissy, powiedzieć jej, że nadal żyję, ale jestem jedynie uprawniony do połączenia z Rawlingsem. Zastanawiam się, czy nie poprosić go o skontaktowanie się z Lissą, ale wiem, że nie zrobiłby tego. Nazwałby to naruszeniem zasad bezpieczeństwa. Przynajmniej jest bezpieczna, zamknięta głęboko w chronionym ośrodku, pod opieką majora Chena.

Wstaję i idę zobaczyć, co z Kendrickiem. Moon siedzi obok niego po turecku, patrząc na trzymany w dłoni monitor.

- Tętno mu skacze. Zmienia się cały czas. To zły znak.

Wspinam się do kokpitu, żeby sprawdzić kurs lotu,

O ile potrafię powiedzieć, jesteśmy tam, gdzie powinniśmy. Daję Nolanowi dziesięć minut na pożegnanie się z pułkownikiem. Po jego powrocie wysyłam Flynn. Kiedy wracam do Kendricka, straż przy naszym więźniu obejmuje Tuttle. Zawinięta w koc Harvey leży na pokładzie nieopodal pułkownika. Zdjęła hełm i odpięła martwą siostrę, ale nie śpi. Oczy ma szeroko otwarte, wpatrzone w sufit.

Jayne siedzi obok Moona przy posłaniu Kendricka. Siadam po drugiej stronie. Po czterdziestu minutach monitor nie wykazuje już tętna. Czekamy jeszcze dwadzieścia minut. Potem nie ma już wątpliwości. Wyjmuję kolejny worek na zwłoki. Kiedy wkładamy do niego ciało pułkownika i zapinamy zamek, nikt nic nie mówi. Niesiemy ciało na tył samolotu, kładziemy obok zwłok Ransoma i przywiązujemy.

Teraz ja jestem dowódcą. Powinienem coś powiedzieć, ale Nolan oszczędza mi tego, mówiąc przez gen-kom:

- Poruczniku, zbliżają się do nas dwa myśliwce.

*

Pokonuję sprintem przestrzeń ładowni i wspinam się na szczyt drabinki w chwili, gdy pułkownik Rawlings łączy się przez gen-kom.

- Sytuacja?

Z początku nic nie widzę, ale kiedy wzrok przyzwyczaja się do ciemności, dostrzegam Ilimę w fotelu pilota, Flynn za jej plecami, Pereza po drugiej stronie przejścia, a Nolana z przodu, w fotelu drugiego pilota. Wszyscy mają na uszach słuchawki interkomu, Flynn i Nolan także pętle audio, więc są połączeni z gen-komem.

- Wiemy, kim są? - pytam Nolana.

- Ilima mówi, że to Amerykanie. Nie zgłosili się.

Rawlings monitoruje przekaz z mojej nakładki. Widzi

i słyszy to samo co ja, więc nie powtarzam mu informacji. Opieram się o tył fotela Nolana, żeby wyjrzeć przez szeroki pas okienek. Myśliwce są doskonale widoczne, gdyż lecą równolegle do nas z włączonymi światłami nawigacyjnymi. Jeden znajduje się na naszej wysokości, drugi nieco wyżej i z tyłu.

- Flynn, daj mi swoje słuchawki. — Kiedy mam je na głowie, pytam Ilimę przez interkom: - Mamy na pokładzie jakieś środki obrony?

Patrzy na mnie urażonym spojrzeniem.

- Jesteśmy cywilnym samolotem, sir. Jeśli zechcą nas zestrzelić, to nie możemy im przeszkodzić.

Czekam, żeby piloci myśliwców skontaktowali się z nami, ale zachowują milczenie. Przypuszczam, że chcą w ten sposób podłamać nasze morale - trudno nam będzie myśleć o czymkolwiek innym, gdy nas nie odstępują.

Może powinienem się zwrócić się do Carla Vandy z żądaniem okupu... mam jednak wrażenie, iż on wie, że nie o to nam chodzi.

- Przynajmniej nie jesteśmy bezpośrednio na ich celownikach - odzywa się Nolan.

Ilima miażdży go wzrokiem.

- To się może zmienić w jednej chwili.

Odzywa się alarm. Patrzy na przyrządy.

- Dwa kolejne samoloty. Chyba Rosjanie.

Pułkownik Rawlings otwiera prywatne połączenie ze mną.

- Nic nie rób, Shelley. Nic nie mów. Trzymajcie się kursu.

A co innego mogę zrobić, do cholery?

Myśliwce trzymają się nas, gdy przelatujemy nad szczytem świata. Stoję w kabinie i obserwuję je przez godzinę

Kiedy zauważam, że Flynn drzemie, odsyłam ją na dół.

- Weź pled. Śpij, kiedy się da.

Potem siadam na jej miejscu, za fotelem Ilimy. Czuję w kręgosłupie piekący sygnał z protez, ale nie reguluję go. Pomaga mi nie spać.

Myśliwce nie odstępują nas, gdy zmierzamy na południe kursem, który zaprowadzi nas nad Atlantyk. Czas mija wolno. Robimy sobie przerwy. Jemy albo próbujemy jeść - ja nie mogę. Po sześciu i pół godziny w powietrzu docieramy nad Islandię i wciąż panuje noc. Niezmienna arktyczna zimowa noc, gwiazdzista i z tańczącymi nad nami światłami zorzy polarnej. Noc, która będzie trwała przez cały czas tego lotu, która podąży za nami w drodze do Afryki.

Patrzę na to zadziwiające niebo i myślę o Lissie, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek z nią porozmawiam, gdy odzywa się w końcu jeden z pilotów naszej eskorty:

- Vanda-Sheridan Globemaster 8-7-Z, to jest przechwycenie. Macie rozkaz zmienić dotychczasowy kurs.

- Utrzymaj kurs - mówi pułkownik Rawlings przez moje łącze.

- Trzymaj równo - polecam Ilimie.

Odpinam się, wstaję i opieram o jej fotel, żeby się upewnić, że nie zmienia kursu. Nolan siedzi nadal w fotelu drugiego pilota. On także ją obserwuje, gotów interweniować.

Amerikanin odzywa się ponownie.

- 8-7-Z, potwierdź otrzymanie rozkazu.

Ilima sięga po panel.

- Nie - mówię.

Mija kilka minut, a potem dwa rosyjskie myśliwce się wycofują. Jeden z amerykańskich wysforowuje się przed nas, buchając płomieniami dopalaczy, i przecina nasz kurs. Wpadamy w jego smugę kondensacyjną, podskakujemy i się kołyszemy. Trzymam się oparcia fotela Ilimy, starając się sobie przypomnieć, czy wszystko z tyłu jest przymocowane.

- 8-7-Z, jeśli nie zmienicie kursu, otworzymy ogień. Zestrzelimy was.

Odwracam się do naszego zdradzieckiego technika.

- Perez. - Wzdryga się na dźwięk swojego nazwiska; obserwuje mnie, błyskając w mroku białkami oczu. - Chcę, żebyś się odezwał ponownie przez radio. Jak poprzednio. Powiedz im, że jesteś zakładnikiem. Błagaj, żeby cię nie zabijali. Nie daj mi powodu, żebym ja cię zabił. Ilima, połącz go.

Perez mówi, wbijając wzrok we mnie:

- Tu Lucius Perez. Wraz z Thelmą Sheridan i Ilimą La-Salle jestem zakładnikiem na pokładzie tego samolotu. Proszę, nie strzelajcie. Jeśli to zrobicie, zabijecie nas wszystkich.

Ilima krzyczy.

Spoglądam na czas, żeby zobaczyć podwójne tory pocisków smugowych, które przelatują nad nami i rysują smugi nad kokpitem. Jasny gwint. Współczesne myśliwce mają laserowo sterowane rakiety. Musieli załadować pociski smugowe, żeby nas przestraszyć.

Ilima pochyła się, jej palce fruwać po klawiaturze.

Nolan i ja orientujemy się jednocześnie, co ona robi. Rzucamy się ku niej. Dopadam jej pierwszy i łapię ją za nadgarstek.

- Przestań!

- Nie rozumiesz? - mówi, kuląc się na fotelu. - Zabiją nas! - Skacze spojrzeniem ode mnie ku okienku. - Jezu, znowu to robią.

Jeden z odrzutowców wlatuje przed nas. Naszym samolotem rzuca ponownie. Muszę puścić rękę Ilimy i chwycić się siedzenia, żeby nie upaść. Zanim Nolanowi udaje się ją powstrzymać, Ilima wprowadza nowy kurs. Nasz C-17 zaczyna skręcać.

Łączę się z Rawlingsem.

- Pułkowniku, ma pan przy sobie kogoś, kto wie, jak pilotować ten samolot?

- Tak, poruczniku. Niech ją pan stamtąd wywali na zbity pysk.

Ilima kurczy się, kiedy sięgam w dół, odpinam jej pas i podrywam ją na równe nogi. Potem wpycham kobietę w ręce Jaynie, która właśnie wspięła się na drabinkę, żeby przejąć naszą pilotkę.

Zerkam na Nolana, zastanawiając się, czy powinienem przesadzić go na fotel pilota. Jest jednak na nogach równie długo jak ja, a to Flynn lubi duże zabawki.

- Flynn! Koniec przerwy. Natychmiast na górę.

Zjawia się biegiem.

- Awansujesz - mówię jej, gdy dociera na szczyt drabinki.

Wskazuję kciukiem fotel pilota. W mroku jej oczy robią się wielkie.

- Sir, nie wiem, jak...

- Ruszaj.

Przesuwa się obok mnie i opada na fotel.

- Przypnij się - polecam jej. - I nie martw się, Flynn. Na razie musisz jedynie zaprogramować autopilota.

Sięga po słuchawki interkomu, ale Rawlings mówi do mnie:

- Niech nałoży hełm, żebyśmy mogli skorzystać z kamery.

Wydaję polecenie przez gen-kom i Tuttle przynosi jej hełm. Podłączamy ją i po pewnym zamieszaniu Flynn zaczyna wstukiwać cyfry na klawiaturze. Po kilku sekundach samolot zmienia ponownie kurs i budzi się radio:

- 8-7-Z, utrzyмай ostatni kurs! Nie wracaj na poprzedni kurs albo was zestrzelimy.

Skoro nie zrobili tego do tej pory, to jestem całkiem pewny, że nie chcą tego uczynić.

Grożą nam kolejnymi pociskami smugowymi. Kołyszają nami w swoich smugach kondensacyjnych. Okazuje się jednak, że nie są gotowi zabić naszych zakładników.

Na razie.

*

Zajmuję miejsce drugiego pilota i odsyłam Nolana, żeby odpoczął. Miejsce za plecami Flynn zajmuje Samuel Tuttle.

Eskorta trzyma się nas. W długich odstępach czasu to jeden, to drugi myśliwiec odpada, żeby spotkać się z samolotem cysterną, ale nigdy nie zostawiają nas samych. Kontynuują swoje popisy, przelatują nam przed nosem, wzburzają powietrze wokół nas ogniem działek... dbają o to, żebyśmy nie spali albo przynajmniej nie spali długo.

Za każdym razem, gdy sytuacja uspokaja się na kilka minut, przyłapuję się na tym, że drzemię. Flynn siedzi za sterami. Rozjaśniła przyłbice, więc widzę, że ona także odpływa. Dzięki Bogu za autopilota.

Oboje się budzimy, gdy pułkownik Rawlings zgłasza się przez gen-kom.

- Shelley, Flynn. Nadszedł trudny moment.

Sprawdzam naszą pozycję: jesteśmy na wysokości północno-zachodniego wybrzeża Afryki, co oznacza, że przyszła pora na tankowanie. Wiedzieliśmy od chwili startu, że nie pokonamy całej trasy bez międzylądowania. ale w celu zachowania w tajemnicy naszej pierwotnej operacji plan wymagał, żeby miejsce naszego przyziemienia wynegocjowano z przyjmującym nas krajem już po tym, gdy znajdziemy

się w powietrzu.

- Jaynie - wzywam ją przez gen-kom. - Przyrowadź tutaj Ilimę. Będzie potrzebna, żebyśmy mogli wylądować,

-Nie - sprzeciwia się Rawlings. - Nie będzie lądowania. Pomimo obietnicy zapewnienia wam bezpiecznego przelotu, to zbyt ryzykowne. Załatwiliśmy wam tankowanie w powietrzu. Planowane spotkanie z cysterną za jedenaście minut.

Jestem na tyle przytomny, żeby wiedzieć, że to nie jest dobra wiadomość.

- Sir, te myśliwce nie pozwolą nam na spotkanie z tankowcem.

Spoglądam na gwiaździste niebo, wypatrując naszej eskorty, ale w tej chwili nie widać jej.

- Sądzę, że pozwolą. Po każdej interwencji z ich strony wasz samolot wyleci w powietrze razem z tankowcem. Zakładamy, że nie podejmą takiego ryzyka.

Jeśli jego zdaniem jest to pociecha, to chyba celu. Flynn patrzy na mnie przez przezroczystą przyłbicę. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby jej dodać otuchy.

- Rozumiesz mnie, Shelley?

- Tak jest, sir, rozumiem.

- To nasza jedyna możliwość.

- Zrozumiałem.

*

Jaynie spełnia mój wcześniejszy rozkaz i przysyła Ilimę do kokpitu. Pozwalam jej zostać. Zostawiam Flynn tam, gdzie jest, w fotelu pilota, zwalniam miejsce drugiego dla Ilimy i wręczam jej słuchawki. Przygląda się wskaźnikom, odnotowuje poziom pozostałego nam paliwa, odwraca do mnie woskową twarz i, patrząc błagalnym wzrokiem, wypowiada ledwo słyszalne słowa, które odczytuję tylko z ruchu jej warg:

- Musimy lądować, poruczniku Shelley.

Powstrzymuję ją gestem wyciągniętej dłoni, prosząc, żeby się wstrzymała. Potrzebuję interkomu.

Na fotelu za miejscem Flynn siedzi w pełni rozbudzony Tuttle, obserwując mnie z niepokojem. Nie chcę odsyłać go na dół - lubię go mieć za plecami - zwracam się więc do naszego współnika, Pereza. Dobrze się spisał, odgrywając przerażonego zakładnika. Nawet teraz to robi. Jest zgięty w pół i kiwa się lekko w fotelu, unikając mojego spojrzenia.

- Jaynie?

- Jestem.

- Perez schodzi na dół. Dopilnuj, żeby był odosobniony.

Technik kuli się, gdy klepię go po ramieniu, ale kiedy gestem każę mu wyjść, od razu zsuwa słuchawki z głowy i śpieszy ku drabinie.

Przejmuję jego fotel i interkom, a potem informuję Ilimę o cysternie, dodając:

- Jeśli będzie jakiś problem, jeśli nie uda się nam zatankować, musisz mieć przygotowane jakieś miejsce do lądowania.

- Niech mi pan da chwilę... dobra, mamy dosyć paliwa, żeby dolecieć do Wysp Zielonego Przylądka.

Pamiętam, że widziałem tę nazwę na mapach nawigacyjnych. Sprawdzam w mojej encyklopedii i upewniam się, że to grupa wysp u wybrzeża Afryki.

- Wyspy Zielonego Przylądka wyglądają nieźle. Ale nie zmieniaj kursu, póki ci nie powiem.

- Poruczniku - mówi błagalnym tonem - nie rozumie pan. Nie mamy paliwa na manewry.

Dysponujemy minimalnym zapasem. Musimy zmienić kurs już teraz.

- Nie, póki ci nie powiem.

Patrzę na zegarek. Cztery minuty do pojawienia się samolotu cysterny. Wyłączam interkom, dzięki czemu Ilima mnie nie słyszy.

- Rawlings. Sytuacja?

- Czekać.

Czekamy.

Mija minuta, potem kolejna. Łączę się indywidualnym linkiem z Rawlingsem.

- Co się dzieje, do diabła?

- Czekać.

Ponownie staję za Ilimą. Próbowwała już wcześniej zmienić samowolnie kurs naszego lotu. Jeśli będzie zbyt przerażona, zrobi to ponownie, a ja będę musiał ją powstrzymać — chociaż tym razem nie jestem pewny, czy tego chcę.

Przeglądam nocne niebo w poszukiwaniu świateł powietrznego tankowca.

- Minęło jedenaście minut. - odzywa się Tuttle.

Serce mi wali, każde uderzenie to bolesny cios w posiniaczoną klatkę piersiową. Boli mnie kręgosłup, więc się poddaję i cofam wskaźnik sygnału zwrotnego, ale nie za dużo. Nie chcę stracić czucia w nogach.

- Poruczniku? Co robimy? pyta Flynn przez gen-kom.

Dłoń Ilimy skacze ku panelowi sterownicemu. Nie wiem, co zamierza, ale nie chcę czekać, aż się przekonani.

Łapię ją za nadgarstek i wykręcam jej rękę za plecy.

- Rawlings? Gdzie tankowiec?

Kilka sekund mija bez odpowiedzi. Puszczam rękę Ilimy i mówię jej przez interkom:

- Zmień kurs.

-Nie zmieniać kursu! warczy Rawlings przez gen -kom. - Nie wylądujecie.

Sygnalizuję Ilimie, żeby się wstrzymała, i pytam ponownie Rawlingsa:

- Gdzie nasz tankowiec?

- W drodze. Został opóźniony. Spotkanie jest przełożone. Szacunkowy czas dwadzieścia dwie minuty.

Dwadzieścia dwie minuty to dla nas wieczność. Po dwudziestu dwóch minutach nie będziemy dysponowali żadnym marginesem bezpieczeństwa.

- Co się stało, Rawlings?

- Ktoś puścił farbę. Tankowiec opóźnił odlot, żeby dać czas na start towarzyszącemu odrzutowcowi pasażerskiemu. Leci nim gromada mediotów, poruczniku, uzbrojonych w aparaty i kamery. Innymi słowy, świadkowie.

Świadkowie czego? Naszej śmierci, gdy w samolocie zabraknie paliwa?

Mija kolejnych dziesięć minut, a potem włącza się alarm kolizyjny, anonsując powrót dwóch myśliwców. Nadlatują z góry i wyprzedzają nas, zajmując przestrzeń potrzebną dla cysterny powietrznej.

- Rawlings, patrzy pan na to? - Dzięki przekazowi z mojej nakładki widzi dokładnie to samo co ja. - Nie zamierzają nam pozwolić na uzupełnienie paliwa.

- Nie wylądуйте pan, poruczniku Shelley.

Nie odpowiadam. Nie ma potrzeby. Nie jesteśmy męczennikami. Rawlings musi wiedzieć, że jeśli będziemy mieli wybór między lądowaniem a zużyciem paliwa w powietrzu, to wylądujemy.

Kilka minut później Flynn zauważa odległe światła pozycyjne tankowca.

- Tam, sir!

Za cysterną błyszczą światła samolotu mediów. Lecimy szybko na spotkanie, ale myśliwce utrzymują swoją pozycję. Ilima spogląda na mnie.

- To się nie uda - mówi przez interkom. - Musimy lądować.

- Kontynuujcie lot - poleca Rawlings.

Oponuję.

- Sir, nie ma marginesu...

- Wiem o tym, poruczniku. Tak jak nasz wróg. Tak jak wszyscy dziennikarze w tamtym samolocie.

Nie poddawajcie się. Pozwolą wam zatankować, jeśli nie pozostawicie im wyboru.

Jest bardzo pewny siebie, ale nie ma go tutaj. Chcę zlekceważyć jego rozkaz. Wiem, że powinienem to zrobić ze względu na wszystkich na pokładzie tego samolotu... ale nie chcę zawalić misji.

- Musimy zmienić kurs - błaga Ilima.

Flynn uważa tak samo. Zwraca ku mnie wielkie oczy.

- Poruczniku Shelley?

Podnoszę wzrok, żeby wyjrzeć ponownie przez okienko na światła myśliwców. Utrzymują pozycję.

Obserwuję maszyny przez kolejnych dwadzieścia sekund, pół minuty. Nie wierzę, że pozwolą nam zatankować. Już mam polecić Ilimie, żeby zmieniła kurs na Wyspy Zielonego Przylądka, kiedy miga ikona neuronetki. Przynosi ze sobą wrażenie pewności i nagle wiem - po prostu wiem - że Rawlings ma rację.

- Trzymaj równo - mówię jednocześnie przez gen-kom i interkom, żeby wszyscy mnie słyszeli. - Będzie dobrze. Jeszcze kilka sekund i odlecą.

Dwadzieścia sekund później oba myśliwce odrywają się od nas i odlatują. To jak magia.

- O mój Boże - szepcze Ilima.

- Poruczniku? - odzywa się Flynn ze zdziwieniem w głosie. - Skąd pan wiedział?

- Nie wiedziałem. Miałem przeczucie.

Ostrzegawczy szept w głowie, przekonanie o tym, co się stanie. Podczas patrolu w Dassari nauczyłem się ufać temu doznaniu. Nadal mu ufam, bo dlaczego by nie? Odcinek trzeci jeszcze się nie skończył.

Samolot cysterna wyrównuje lot na tle gwiaździstego nieba. Flynn otrzymuje instrukcje, jak otworzyć gniazdo dokujące. Ilima obserwuje ją, potwierdzając każdy jej ruch.

I tankujemy.

Błyskające punkty światełek umiejscawiają myśliwce daleko na zachód od nas. Trzymały się blisko nas przez większą część lotu, więc kiedy tankowiec odlatuje, spodziewam się, że znowu się zbliżą, ale nie robią tego. Utrzymują dystans. Teraz obok nas leci samolot dziennikarzy, jego światła pozycyjne oświetlają nasze skrzydło po zachodniej stronie.

- Sytuacja, poruczniku?- pyta Jaynie przez gen- kom.-Wszystko w porządku?

Uśmiecham się. Znajdujemy się ponad pięćset kilometrów od zachodniego wybrzeża Afryki i mamy dość paliwa, by dolecieć do Niameju, gdzie czeka Ahah Matugo, który przejmie naszego jeńca.

- Jest dobrze. Wszystko w porządku, Dolecimy.

Głos Harvey dźwięczy w gen-komie:

- Hoo-yah!

Nolan wtóruje jej, ale kiedy przyłącza się do nas Moon. budzi się radio. W słuchawkach rozlega się nowy głos mężczyzny z amerykańskim akcentem, ale nie pilota, który rozmawiał z nami wcześniej. Z powodu hałaśliwych objawów radości nie jestem w stanie zrozumieć, co tamten mówi, wyłączam więc gen-kom i słyszę go, gdy powtarza swoje wezwanie:

- ...8-7-Z. Vanda-Sheridan Globemaster 8-7-Z. Poruczniku Jamesie Shelley... czy pan teraz dowodzi?

Tuttle i Ilima mają na uszach słuchawki interkomu. więc to słyszą. Tak jak Rawlings, gdyż śledzi przekaz pochodzący ode mnie. Otwiera pojedynczy link.

- Nie odpowiadaj, Shelley.

Nie zamierzam. Ale pytam pułkownika:

- Kto to jest? Wie pan, prawda?

- To nie ma znaczenia dla misji.

- Oczywiście, że ma. Zna moje nazwisko.

Nikt nie powinien wiedzieć, kim jesteśmy. Jesteśmy anonimowi. To dlatego kazałem, żeby Perez

rozmawiał w naszym zastępstwie przez radio, dlatego porozumiewam się tylko z Rawlingsem przez kodowany kanał i za pośrednictwem anioła. Rozmawiam przez pokładowy i interkom, ale to nie wychodzi na zewnątrz.

- Wie, że coś się stało z Kendrickiem.
- Opuść.

Obcy odzywa się ponownie:

-Poruczniku Shelley, sądzę, że pan Lucius Perez wsiadł na pokład samolotu z telefonem. Dlaczego go pan nie weźmie i nie włączy?

Wiem, o jakim telefonie mówi. Nolan przyniósł mi go po obszukaniu Pereza. Wsuwam rękę do kieszeni i wydaję urządzenie.

- Nie włączaj telefonu - ostrzega mnie Rawlings. - To naruszenie zasad bezpieczeństwa. Sygnał może być wykorzystany do namierzenia waszej pozycji.

- Obok nas leci samolot pełen dziennikarzy - mówię. - Nasza pozycja nie jest żadną tajemnicą. - Obracam i oglądam telefon. - Kto to jest, Rawlings? Skąd wie, jak się nazywam?

- Twoje jedyne zmartwienie to dokończenie misji.

Jeśli Rawlings nie udzieli mi odpowiedzi, sam ją znajdę.

Włączam telefon. Aktywuje się w półtorej sekundy. Po kolejnej dzwoni. Zsuwam słuchawkę interkomu z ucha, do którego przykładam telefon. Nie odzywam się.

- Shelley? - pyta kobieta drżącym, niepewnym głosem. - Shelley, jeśli tam jesteś, jeśli mnie słyszysz, to się nie bój.

Lissa.

Tętno mi przyśpiesza. Na przekór jej słowom panika ogarnia mnie szybciej, niż neuronetka może to zniwelować.

- Lissa? Gdzie jesteś?
- Nie możesz nic dla niej zrobić - odzywa się Rawlings.

Obserwuje pochodzący ode mnie przekaz, słyszy więc to samo co ja, łącznie z głosem Lissy w telefonie, co jednak nie oznacza, że muszę go słuchać. Przerwywam połączenie z pułkownikiem.

- Lissa?

Nie odpowiada. Zamiast niej słyszę głos, który dochodził wcześniej z radiostacji:

- Dobrze ci szło, Shelley, ale teraz to koniec.
- Kim jesteś?

- Nie musisz znać mojego nazwiska. Wystarczy ci wiedzieć, że zostałem sprowadzony, żeby uwolnić Thelmę Sheridan. Mam nadzieję, że nadal żyje?

Najemnik. Niewątpliwie oficer Uther Fen.

Tuttle patrzy na mnie ze swojego miejsca za plecami Flynn. Porusza ustami. Nie słyszę go, gdyż nie jestem podłączony do gen-komu, ale wiem, że informuje PGM o tym, co, jak mu się zdaje, się dzieje. Kiedy zaczyna wstawać, sygnalizuję, żeby przywarował. a potem kieruję ponownie uwagę na najemnika.

- Sheridan żyje - zapewniam go. - Gdzie jest Lissa?
- Ze mną.
- A ty?
- Spójrz przed siebie. Zobacysz nas.

Pochyliam się nad oparciami, żeby wyrzeć w noc, ale to Ilima pierwsza zauważa samolot, daleko przed nami.

- Coś tam leci - mówi przez interkom.
- To może być ktokolwiek — oponuję.
- Powiedz im, skarbie - mówi najemnik.
- Shelley? To nie jest twoja wina. Wydawało się nam, że jesteśmy bezpieczni, ale się przedarli.

Postrzelili Keitha... majora Chena... nie wiem, czy nadal żyje...

- Ciii, ciii, kochanie - mówi najemnik uspokajającym, ojcowskim tonem. - Powiedzmy mu tylko tyle, ile musi wiedzieć.

Sfingowałem swoją śmierć, żeby ochronić Lissę, ale to nie wystarczyło. Nikogo nie oszukałem.

System nerwowy mam przeładowany strachem, przerażeniem. Kiedy wyczuwam za sobą ruch, obracam się gwałtownie. Jaynie wróciła do kokpitu. Nie mam dla niej czasu. Odwracam się do niej plecami i wyglądam ponownie przez okno.

- Shelley? - odzywa się Lissa.

- Mów, skarbie.

- Chcą, żebyście wylądowali na Wyspach Zielonego Przylądka.

Za sprawą naszego kryzysu paliwowego Wyspy Zielonego Przylądka są mi znajome.

- Posłuchaj mnie... nie rob tego - dodaje, wypowiadając sylaby szybko, szeptem wzmocnionym przez telefon.

Widzę ją oczami duszy, siedzącą ze skulonymi ramionami, z przechyloną głową, z wargami ledwie poruszającymi się przy mikrofonie, gdy doradza mi to, co uważa za najlepszy kurs działania, podczas gdy najemnik góruje nad nią, nie słysząc szeptanych słów. zagubionych w brzęczeniu silników samolotu.

- Mów głośniej, kochanie - odzywa się tamten.

Lissa stosuje się do tego,

- Kocham cię, Shelley. - Głos ma spokojny, zrezygnowany.

Nie prosi mnie, żebym ją ocalił. Moja Lissa... Przeanalizowała sytuację i nie wierzy, żebym zdołał to zrobić.

- Wylądujemy za wami - odzywa się najemnik. - 1 dokonamy miłej, spokojnej wymiany dam.

Rozumie pan, poruczniku Shelley?

Nie. Nie rozumiem. Lissa mówi mi, żebym ją opuścił, a owo wewnętrzne przekonanie, któremu nauczyłem się ufać. każe mi grać na zwłokę. Opóźniać, opóźniać, odwlec wszelkie postanowienia najdłużej, jak się da, chociaż racjonalna część mnie wie. że zwlekaniem nic nie wskóram. Muszę współpracować albo Lissa umrze.

- Słuchasz mnie, Shelley? - pyta najemnik.

Jednocześnie na mojej nakładce budzi się znajoma ikona, gdy Rawlings przełącza mnie z powrotem na gen-kom.

- Poruczniku Shelley - mówi. - Niech mi pan odpowie.

Odpowiadam im obu:

- Słucham.

Pierwszy jest Rawlings:

- Nie może pan dla niej nic zrobić. Proszę zerwać kontakt i kontynuować misję.

Dzięki Bogu najemnik nie może go słyszeć.

- Musi pan współpracować, Shelley, jeśli chce pan jeszcze kiedyś zobaczyć śliczną Lissę.

Patrząc przez okno i myślę: Co ja, kurwa, mam zrobić?

Ikona neuronetki miga i czuję to bardziej dojmująco: Zwlekaj.

Odwracam wzrok od świateł odległego samolotu i staję twarzą w twarz z Jaynie. Jej spojrzenie poniżej krawędzi neuroskalpu jest czujne i zaniepokojone, kiedy tak naprawdę potrzebuję od niej zaufania.

- Sierzancie - mówię, trzymając telefon nadal przy uchu - mamy problem.

Jej dochodzący z gen-komu głos jest szorstki, oficjalny.

- Pułkownik Rawlings poinformował mnie o sytuacji, sir. Mam panu przypomnieć, że misja ma pierwszeństwo.

Misja ma pierwszeństwo. Wiem o tym. Nie negocjujemy z terrorystami - ale nie opuszczę Lissy. Nie

możę.

Najemnikowi nie podoba się to. co słyszy.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz. Shelley? Obchodzi cię Lissa czy nie?

I nie czekając na odpowiedź, uderza ją tak. żebym to usłyszał: trzask jego dłoni, krótki, ostry krzyk Lissy. wywołany szokiem i bólem.

Skóra mi cierpnie. Staram się nie wyobrażać sobie, co jeszcze mógłby jej zrobić, co zrobi. Chcę go dostać w swoje ręce. Pragnę mieć na sobie martwą siostrę, żebym mógł go zaczepić hakami ramiennymi i rozerwać na kawałki, ale on równie dobrze mógłby znajdować się w innym świecie, w innym wymiarze, gdyż nie ma mowy. żebym go dosięgnął.

- Vasquez - mówi Rawlings. - Zabierz telefon.

Jaynie zerka na Tuttle'a. Patrzę na nich oboje, kręcąc głową i ostrzegając: Nawet nie próbujcie. Neuronetka wychwytyuje myśl, przekładają na słowa i przesyła do gen-komu. Najemnik tego nie słyszy, ale Jaynie tak.

Opuszcza brodę, piorunując mnie wzrokiem, ale cofa się i pokazuje Tuttleowi, żeby zrobił to samo.

- Shelley, potrzebuję twojej współpracy - mówi najemnik przez telefon.

- Rozumiem. - Słyszę w tle Lissę; szybkie, zdławione oddechy, gdy stara się nie krzyknąć. - Nie musisz jej krzywdzić.

- To mnie nie zmuszaj do tego. Natychmiast zmień kurs.

Graj na zwłokę.

Przełączam się na interkom.

- Ilimo. - Zadziera brodę. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami z fotela drugiego pilota.

Obawiam się, że jest na skraju załamania nerwowego, więc staram się ze wszystkich sił mówić spokojnie. - Chcę, żebyś obliczyła nasz kurs. Wprowadź poprawkę na lot do Republiki Zielonego Przylądka.

Podnoszę wzrok na Jaynie, patrzę jej prosto w oczy i myślę: „Powiedz jej, żeby to zrobiła powoli. Opóźniaj”. Neuronetka odczytuje moją intencję i przekazuje przez gen-kom.

Zmiana żądań jednak dezorientuje biedną Ilimę.

- Wyspy Zielonego Przylądka? - pyta.

Spojrzenie mam skupione na Jaynie. Mówię:

- Zrób to po prostu.

Jaynie marszczy brwi. Wykrzywia wargi z frustracji. Jej pytający wzrok domaga się odpowiedzi: Co pan, kurwa, robi, sir? Czy to jakiś błyskotliwy plan ratujący nam tyłki?

Nie, nie mam żadnego pierdolonego planu oprócz gry na zwłokę, oprócz opóźniania wszystkiego w oczekiwaniu nie wiadomo na co, może na grom od Boga, który by naprawił świat, gdyż tak, jak się mają sprawy, nie widzę żadnego rozwiązania. Jeśli wyląduję w Republice Zielonego Przylądka, zdradzę misję oraz zaprzepaszczę życie moich żołnierzy, ich przyszłość, honor i postanowienia. Jeśli zgodzę się z życzeniem Lissy i nie wyląduję tam, skażę ją na męki, przerażenie i śmierć.

Graj na zwłokę.

Jaynie podejmuje decyzję. Rekwiruje Tuttle'owi słuchawki, a potem zwraca się przez interkom do Ilimy, podczas gdy ja osłaniam dłońią telefon, żeby najemnik jej nie słyszał.

- Zrób to powoli, Ilimo - instruuje ją. - Najdłużej, jak się da... i nie wprowadzaj nowego kursu bez polecenia.

Zakłopotane spojrzenie Ilimy wędruje z Jaynie na mnie. Kiedy zachęcam ją skinieniem głowy, sięga do panelu sterowniczego.

- To nie trwa długo - ostrzega mnie.

Tak sądzę, bo najemnik już okazuje podejrliwość.

- Pogrywasz ze mną, Shelley.

- Mój pilot opracowuje trasę.

- Ach, Lisso. - Jego głos brzmi głucho, gdy odwraca się od telefonu. - Twój Jimmy nie kocha cię tak mocno, jak się nam zdawało. Chyba to okablowanie zmieniło mu serce w kamień.

Może Lissa chwytła telefon, może on go jej podaje, ale głos jest ponownie wyraźny - wysoki i oszalały - bełkotliwe słowa przedzierające się przez łyzy:

- Nie, Shelley. Proszę, proszę posłuchaj mnie tym razem. Nie rób tego. Nie wracaj po Dubeya Lina. Najemnik odbiera jej telefon.

- Biedna przerażona dziewczyna - mówi z satysfakcją w głosie, gdyż zmusił ją do błagania, a nie ma zielonego pojęcia, o czym Lissa mówiła. Ale ja wiem. - Jesteś tam, Shelley?

Nie. Jestem z powrotem w Dassari i wiem, że nie potrafię nikogo ocalić, że głupotą jest starać się to zrobić, ale jak mogę nie spróbować?

- Ułatwię ci to, Shelley. Te pilnujące was myśliwce? Ich piloci woleliby się raczej nie włączać do naszej walki, ale nie pozwolą wam dotrzeć do wybrzeża. Kiedy wydaję rozkaz, zestrzelą was. Jeśli życie Lissy nie jest dla ciebie nic warte, to może zagrasz o własne?

Zmuszam się, żeby zebrać myśli, odpowiedzieć mu, zagrać na zwłokę.

- Chcesz, żebym uwierzył, że zamordujesz Thelmę Sheridan?

- To jest tak: jeśli przywiozę z powrotem panią Sheridan, dostanę premię, ale jeśli się to nie uda, to i tak otrzymam kupę forsy za to, że nie opuści nigdy tego samolotu.

Nie powinienem odczuwać ulgi. To błąd. Jaynie wyczytuje to z mojej twarzy i mruży nieufnie oczy. Jeżeli jednak najemnik mówi prawdę, to wskazuje mi drogę wyjścia. Nie muszę wybierać między Lissą a misją, bo misja jest skazana na niepowodzenie. Nie mamy czym się bronić przeciwko rakietom.

- On kłamie - odzywa się Rawlings.

Najemnik przedstawia dowód.

- Odrzutowce nadlatują. - Spoglądam na zachód i widzę, że odległe światła myśliwców zaczynają się przybliżać. - Przesuną się na wschód od was, żeby zredukować zagrożenie dla innych samolotów w tym obszarze powietrznym. Jeśli zajmą pozycję, zanim zmienicie kurs, to koniec.

Telefon wydaje pisk. Patrzę na niego wilkiem. Rozmowa skończona. Najemnik się rozłączył.

Myśliwce zbliżają się szybko od zachodu. Nie mamy wyboru. Nie mogę ani chwili dłużej grać na zwłokę.

- Zmień kurs, Ilimo. Na Wyspy Zielonego Przylądka.

- Nie rób tego - ostrzega ją Jaynie. Podchodzi do mnie, bliżej niż na wyciągnięcie ramienia. - Nie możemy mu wierzyć, Shelley. Piloci myśliwców grozili nam cały czas, ale nadal żyjemy.

Nolana nie ma w kokpicie - jest w ładowni - ale popiera Jaynie przez gen-kom:

- Vasquez ma rację, poruczniku. To pusta groźba. Nie zestrzelą nas, zwłaszcza w pobliżu samolotu pełnego dziennikarzy.

Moon zgadza się z tym:

- To bzdura, poruczniku.

Jakby to była demokracja.

Ale to nie bzdura, nie pusta groźba. To nasza nowa rzeczywistość.

- Niech to szlag! - wybucha Harvey w gen-komie. - Dłużej tego nie słucham. Ona musi się natychmiast zamknąć.

- Harvey! - warczy Nolan! - Cofnij się!

Niepotrzebny mi jeszcze jeden pierdolony kryzys Nie teraz.

- Co się tam dzieje, do cholery?

- Harvey — mówi Nolan. - Jesteś wolna. Moon, obejmij za nią służbę.

Przenoszę spojrzenie. Wyświetlam na nakładce menu. a Nolan wyjaśnia:

- To Sheridan, poruczniku. Siarka i ogień. Harvey wypaliła się w tym.

Mój hełm jest przytroczony do siedzenia w ładowni, z włączoną kamerą, która rejestruje wszystko, co się dzieje z Thelmą Sheridan. Przełączam się na wideo... i od razu tego żałuję.

Sheridan jest przywiązana do swojego miejsca, ale siedzi na nim jak na tronie. Plecy ma wyprostowane. Oczy szeroko otwarte, na twarzy wyraz cnotliwej determinacji, gdy wygłasza w ładowni kazanie:

- ...jest rzeczywiście - mówi wystarczająco głośno, żeby słowa niosły się ponad hałasem silników Ostrzegłam go. Powiedziałam mu, co się stanie. Dwadzieścia tysięcy dolarów. Pomyślcie o tym! Tylko tyle kosztuje pocisk, który zakończy wasze życie. - Zwraca twarz ku obiektywowi kamery hełmowej, jakby wiedziała, że ją obserwuję Chce pan umrzeć za cenę dwudziestu tysięcy dolarów. panie Shelley? Niech się pan natychmiast podda albo razem zginiemy w ogniu.

Wyłączam przekaz. Nie muszę słyszeć nic więcej.

- Cholera, Nolan! Słyszała, że rozmawiacie o naszej sytuacji? Nie omawiajcie problemów tam, gdzie jeniec może was słyszeć.

- Tak jest, sir. Przepraszam, sir.

Jaynie stoi o krok dalej, piorunując mnie wzrokiem Przekazuję jej paskudną prawdę:

- Sheridan ma rację. Przewidziała naszą sytuację, Wiedziała dokładnie, co robi Carl Vanda.-

Wskazuję gestem myśliwce w ciemności za oknem. - To on się za tym kryje.

Powstrzymał je do tej pory, gdyż miał nadzieję, że nie będzie musiał ich użyć.

Vanda uznał, że obecność Lissy zapewni moją współpracę.

To powinno było wystarczyć.

Teraz nie ma wyboru.

-Sheridan powiedziała, że żadne z nas nie pożyje wystarczająco długo, żeby postawić nogę w sali sądowej...

Rawlings przerywa mi:

- Poruczniku Shelley, zostaje pan pozbawiony dowództwa. Vasquez, Tuttle, aresztujcie porucznika.

Unoszę rękę, żeby powstrzymać Jaynie. kiedy ta rusza ku mnie. Tuttle stanowi mniejsze zagrożenie, gdyż w kokpicie nie ma dosyć miejsca, żeby się do mnie zbliżył.

- Rawlings kryje swój tyłek - ostrzegam ich. - Jeśli misja się nie powiedzie, to lepiej dla niego, żeby nas zestrzelono. Dzięki temu nie będzie komu zeznawać przeciwko niemu.

Mój wzrok przyciągają jaskrawe światła ukazujące się na zachodzie. Zerkam na myśliwce, oddalone o sekundy lotu. Rękę mam wciąż uniesioną w obronnym geście przed Jaynie, ale to Flynn powinienem się był obawiać. Flynn, która siedziała milcząca i nieruchoma w fotelu pilota przez cały czas, odkąd najemnik skontaktował się z nami przez radio. Sięga do kabury na moim udzie, odpinają i wyciąga berettę. To jedyna broń na pokładzie. Pozostałe uzbrojenie jest zamknięte w sejfie.

Nie myślę o tym, co robię. Po prostu odruchowo walę przedramieniem w przyłbicę Flynn. Jest przypięta do fotela, nie oddala się więc zbyt, ale jej uchwyt słabnie. Wykręcam pistolet z jej dłoni w chwili, gdy Jaynie rzuca się naprzód, żeby mnie złapać za ramię. Gdybyśmy mieli na sobie martwe siostry, pojedynek mógłby być wyrównany, ale jestem wyższy i silniejszy. Chwytam ją za kurtkę i odpycham mocno. Jaynie ląduje na tyłku w wąskiej przestrzeni między tylnymi fotelami, a ja mierzę z pistoletu prosto między jej oczy.

Kurwa mać.

Nie zamierzam zastrzelić Jaynie. Opuszczam bron i zdejmuję palec ze spustu w chwili, gdy myśliwce przemykają obok nas.

- Teraz, Ilimo! - wołam.

Uderzają w nas smugi kondensacyjne odrzutowców, wprawiając C-17 w drżenie i podskoki. Wciąż odczuwamy turbulencje, gdy kokpit przechyla się i zaczynamy skręcać w stronę Wysp Zielonego Przylądka.

Za oknami myśliwce zawracają i kierują się ponownie na zachód.

Pomimo turbulencji Flynn odpina pasy. Uważa, że ma kłopoty, i się nie myli. Przełazi przez oparcie fotela pilota, starając się oddalić ode mnie, a ja tracę równowagę i przewracam się na nią. Równie dobra pora na starcie z nią jak każda inna. Wsuwam beretkę do wewnętrznej kieszeni, zęby Flynn nie mogła dosięgnąć pistoletu, a potem chwytam ją za kurtkę i rzucając z powrotem na fotel.

- Powiedz, że to nie był twój pomysł, Flynn.

- Rozkazy pułkownika Rawlingsa, sir.

- Pułkownik Rawlings nie jest twoim dowódcą i gównem go obchodzisz.

Jaynie podnosi się w przejściu między fotelami. Opiera rękę na barku Tuttle'a, powstrzymując go.

- Tak jest, sir - mówi Flynn. - Przykro mi, sir.

- Opuść kokpit. - Wstaję i podnoszę ją. Jaynie usuwa się z drogi, gdy popycham Flynn w stronę wyjścia. ~ Wszyscy wynocha.

- Zostańcie na miejscach - sprzeciwia się Rawlings.

Nacieram na niego:

- Niech się pan rozłączy i przestanie wtrącać. To jest mój oddział i moja misja...

- Jasne jak cholera, że to twoja misja i twoim obowiązkiem...

- A czy pan także nie miał obowiązku? Nie było pańskim zadaniem ochronić Lissę? Pańskim i tych wszystkich pańskich tajemniczych spiskowców...

- Sam pan wszystko zdradził - mówi Rawlings. - Ten robot bojowy, którego pan zestrzelił, miał kamerę noktowizyjną. Zidentyfikowano pana za sprawą śladu termicznego, Shelley. Protezy są tak zimne, że nie ujawniły się w podczerwieni. Musiał pan wyglądać jak beznogi duch lewitujący nad śniegiem.

Ja.

Pierdolę.

- Dopuścił pan do tego? - pyta Jaynie z niedowierzaniem. Pomimo mojego rozkazu jest nadal w kokpicie, tak jak Tuttle. Tylko Flynn wyszła. - Nikt nie wpadł na to przed misją?

Nikt, gdyż nogi sprawują się tak znakomicie, że planiści naszej operacji nie myśleli o nich jak o zagrożeniu i nie poświęcili im specjalnej uwagi, ale ja powinienem był to zrobić. Żyję w dolinie niesamowitości. Znam różnicę. Wiedziałem o tym w lesie, kiedy sopte lodu wbijały się w moje kości.

Ale decydujący błąd popełniłem dużo wcześniej, w forcie Dassari, gdy próbowałem zignorować ostrzeżenie ze strony Czerwieni. Gdybym jej posłuchał i wyostał moich ludzi na czas, to stałbym w śniegach Lasu Apokalipsy na ludzkich nogach, a nie na pozbawionych życia tytanowych kończynach, które mnie zdradziły - a Lissa byłaby bezpieczna.

Zastanawiam się, czy żyje nadal.

Przyjmuję do wiadomości fakt, że wciąż żyjemy. Nie zestrzelono nas jeszcze.

Proszę, posłuchaj tym razem.

- Co teraz? - pyta mnie Jaynie.

Udzielam jej szczerzej odpowiedzi:

- Czekamy na Czerwień.

Ransom poparłby mnie, gdyby był tutaj, ale Jaynie musi to sobie przemyśleć. Kiedy się zastanawia, gen-kom milczy. Mam nadzieję, iż to oznacza, że podwładni ufają mojemu osądowi, ale łatwiej jest sobie wyobrazić, że Nolan, Harvey, Moon i Flynn organizują w ładowni zamach stanu.

Jak można sądzić z podejrzliwej miny Tuttle'a, gotów jest się do nich przyłączyć.

Wzdrygamy się wszyscy, gdy odzywa się alarm zbliżeniowy. Ilima wyłącza go natychmiast.

- Dwa kolejne myśliwce - informuje drżącym głosem. - Shikry, od wschodu.

Przenika mnie dreszcz. Po prostu wiem, że na to właśnie czekaliśmy. To znowu jest Dassari i zastanawiam się, jaką zasadniczą część siebie stracę tym razem.

Teraz jednak jest inaczej. Tym razem jestem posłuszny, wypełniam wolę mojego sztucznego boga. To

zapewni mi inne zakończenie... prawda?

Budzi się radiostacja. Przekaz ze scramblera, a potem słyhać głos najemnika:

— To koniec. Zdejmijcie ich.

Patrę na wschód i dostrzegam światełka shikrów. Ich piloci nie przejmują się tym, czy są widziani. Włączają dopalacze. Długie białe stożki płomieni odrzutu wynoszą maszyny na wyższy pułap, a potem myśliwce pikują wzdłuż wektora, który przetnie nasz kurs.

Na zachód od nas amerykańscy piloci także manewrują, ale nie ruszają na spotkanie shikrów. Jeden wyrywa prosto w górę i odlatuje. Drugi nurkuje w naszą stronę.

Widzę błysk towarzyszący wystrzeleniu pocisku. Widok sprawia mi ponurą satysfakcję. To oczyszczenie. Wiedziałem, że zagrożenie jest realne. Zostaniemy zestrzeleni.

I nie mogę już nic zrobić dla Lissy. Dla nikogo. Pozostały sekundy, podczas których rakietka mknie w naszym kierunku.

Nos C-17 ucieka gwałtownie spode mnie. Zataczam się i chwytam fotel pilota. Ilima wprowadziła nas w ostry lot nurkowy. Krople potu na jej policzkach odbijają światła panelu sterowniczego, kiedy stara się ominąć pocisk. Rakietka zbliża się i tak, ścigając nas. Widzę to ponad pochyloną głową Ilimy.

Potem coś się zmienia. Tor lotu rakietki się odchyła. Jej dziób idzie w górę, ogon opada i pocisk nie leci już za nami. Przemyka obok naszego kadłuba. Obracam gwałtownie głowę, gdy jeden z shikrów przelatuje obok. Gdy C-17 kołysze się w smudze kondensacyjnej, ściskam oparcia foteli, żeby ustać na nogach, i dostrzegam ponownie pocisk, którego ognisty ogon kieruje się na południe.

- Przekierował go! - krzyczy Ilima z niedowierzaniem i radością. - Pilot shikra zmienił jej kurs!

Amerykański pilot, który parę godzin temu groził nam zestrzeleniem, odzywa się ponownie w radiu, ale już nie straszy; jest na skraju paniki.

- Manewr unikowy, natychmiast!

Obserwuję oddalającą się raketę i nie wierzę własnym oczom. Znalazła nowy cel, zmierzając ku odległemu światłom samolotu, na którego pokładzie jest Lissa.

Ilima wyprowadza nas z lotu nurkowego, gdy w radiostacji odzywa się ponownie najemnik:

- Coście, kurwa, zrobili? Co jest. kurwa?

A potem na tle jego zdyszanych przekleństw słyszę jeszcze raz ją, moją Lisę; głos ma cichy z powodu oddalenia od mikrofonu i wysoki z przerażenia, gdy powtarza:

- Kocham cię, Shelley. Kocham cię. Kocham cię. Ko...

Nocne niebo zalewa wybuch oślepiającego żółtego ognia, oświetlając nasz kokpit blaskiem płonących dusz. Chwilę później trafia w nas fala uderzeniowa. Trzymam się mocno, żeby nie rzuciło mnie na sufit, a obok nas przelatują płonące szczątki.

Potem jest po wszystkim. Ponownie lecimy spokojnie, a za oknami widzę jedynie gwiazdy.

W radiu piloci wykrzykują oskarżenia pod swoim adresem. Ktoś z ziemi każe im wstrzymać ogień i nie wywoływać kolejnej wojny; to był wypadek. Pułkownik Rawlings wydaje rozkazy przez gen-kom, ale nie rozumiem, co mówi, bo to wszystko to sen. Sen.

Ktoś dotyka mojego ramienia.

- Poruczniku.

Odwracam się. Przede mną stoi Jaynie. Obok niej Tuttle. Jaynie kładzie mi dłoń na ramieniu, w oczach ma niepokój.

- Nie mógł pan nic dla niej zrobić, Shelley. To nie pańska wina.

Częściowo ma rację.

- Zapomnij o Wyspach Zielonego Przylądka - zwracam się do Ilimy. - Lecimy do Niameju.

Głos mam nieco ochrypły, ale Ilima i tak mnie rozumie. Zagryza wargę i kiwa głową.

Jaynie ściska mój bark.

- Shelley? Wezmę pańską broń. dobrze?

Nie czeka na odpowiedź. Wsuwa dłoń pod moją kurtkę i wyciąga pistolet z kieszeni, do której go schowałem, po czym przekazuje szybko Tuttle'owi. Ten odwraca się i opuszcza kokpit.

Skoro to sen, to dlaczego nie mogę się obudzić?

*

Siedzę skulony u szczytu drabinki, trzymając głowę w dłoniach. Po półgodzinie neuronetce udaje się narzucić mojemu mózgowi inny stan, którzy odczuwam jako spokojną akceptację. Lissa jest raną, która nie przestanie nigdy krwawić, ale moja tęsknota za nią została stłumiona i ukryta za chemiczną kurtyną. Wycieram twarz rękawem i prostuję plecy.

Mam misję do wypełnienia.

Patrzę w głąb ładowni - i zwieram się wzrokiem z Thelmą Sheridan, przywiązaną nadal do siedzenia. Wypowiada słowa, które słyszę jedynie częściowo z powodu nieustannego wibrującego ryku silników, ale gdy porusza ustami, moja nakładka opatruje to treścią: „Diabeł zawsze będzie się upominał o pańską duszę, poruczniku Shelley”.

To nie o moją duszę musi się martwić.

Nolan, Harvey, Tuttle, Flynn i Moon tłoczą się kilka miejsc dalej od Sheridan. Moon ma bandaż na głowie; musiało mu się dostać, gdy wpadliśmy w falę uderzeniową. Perez siedzi możliwie jak najdalej od wszystkich.

Wstaję i schodzę po drabince.

- Schodzi - mówi Flynn przez gen-kom.

Nolan porusza się. Staje między mną a Sheridan.

- Dobrze się pan czuje, poruczniku? - pyta przez gen -kom.

- Nic mi nie jest. - Robię krok, chcąc go ominąć; rusza, żeby zastąpić mi drogę, trzyma mnie za ramię. Patrzymy sobie w oczy, wymieniając niewypowiedziane pytania. -Nie zamierzam jej zabić, Nolan.

- Dobrze to słyszeć, poruczniku, bo inaczej niepotrzebnie przechodzilibyśmy przez to piekło.

Mimo to nie jest całkiem przekonany. Kiedy podchodzę do Sheridan, trzyma się blisko, tak na wszelki wypadek.

Sheridan prostuje plecy i przybiera śmiałą minę, ale zauważam nerwowe drżenie jej krtani, lekką zmianę w jej wzroku. Odzywa się pierwsza, nadal zawiadująca:

- Sądzi pan, że pan wygrał, poruczniku Shelley. Nie wygrał pan.

- Wiem o tym, proszę pani. - Kucam przed nią, żeby łatwiej jej było usłyszeć to, co mam jej do powiedzenia. - Chcę, żeby pani dokładnie zrozumiała, co panią czeka. Lecimy do Niameju. Kiedy tam wylądujemy, zostanie pani przekazana przedstawicielom władz. Dopilnują, żeby trzymano panią w strzeżonym ośrodku do czasu postawienia pani przed sądem i wysłuchania zeznań, które udowodnią pani udział w Dniu Komy. A potem resztę życia spędzi pani w więzieniu.

Zanim jeszcze kończę mówić, zaprzecza ruchem głowy.

- Nie. - Jej spojrzenie odpływa. - Nigdy nie dojdzie do tego procesu, którego tak bardzo pan pragnie. Nigdy. Wszystko, czego pan dokonał, wszyscy ci polegli, pańska dusza -wszystko poszło na marne.

Boi się. Chce także, żebym ja się bał, ale jestem zbyt odrętwiały, żeby poddać się jej grze.

- Będzie pani sądzona - upieram się. - I skazana. A wszyscy pani pomocnicy? - Przysuwam się bliżej. - Żywię kurewską nadzieję, że poda pani trybunałowi ich nazwiska. Dzięki temu, gnijąc w więzieniu, będzie pani wiedziała, że nie jest sama.

Jej niespokojne spojrzenie zwierza się z moim.

- Wykorzystano pana, poruczniku Shelley. Czerwień pana wykorzystwała i nie ocali pana przed nadciągającym huraganem.

- Tak jest, proszę pani. Myślę, że ma pani rację.

*

Wracam do kokpitu, gdzie zastaję Jaynie w fotelu drugiego pilota, obok Ilimy. Vasquez obraca nieco fotel w moim kierunku. Słabe światło maluje przesadne cienie wokół jej oczu, gdy przygląda mi się badawczo swoim zwyczajowo pytającym spojrzeniem. Będzie się pan trzymał, sir? Mogę wierzyć, że nie palnie pan sobie w łeb?

Opadam na miejsce po przekątnej od niej, wyłączam gen-kom i nakładam słuchawki.

- Jaka jest nasza obecna pozycja?

- Jesteśmy jakieś półtorej godziny lotu od Niameju, gdzie mamy pozwolenie na lądowanie.

Amerykańskie myśliwce zostały odwołane, zanim dotarliśmy do wybrzeża, ale shikry towarzyszą nam cały czas, tak jak samolot dziennikarzy.

Następne słowa trudno mi wypowiedzieć.

- Kiedy ci mówiłem, żebyś grała na zwłokę, nie wiedziałem, że nadlatują shikry. Nie wiedziałem, że to się tak skończy.

Ucieka spojrzeniem w bok, a potem patrzy na mnie z podejrzliwym błyskiem w oczach.

- A myślał pan, że co się stanie?

Kręcę głową. Nie chcę tego powiedzieć, gdyż uważam, że to naiwne... ale sądziłem, że to się jakoś rozwiąże. Jakoś.

Jaynie nie naciska. Przeciwnie, jako dobry podoficer zaznajamia mnie z sytuacją.

Mówi się, że shikry przysłał Matugo na wypadek, gdyby Amerykanie zdecydowali się nas zestrzelić.

Postanowili to zrobić.

Kiwa głową.

- Miał pan rację w tej sprawie. Mówili poważnie. Gdyby nie kazał pan zmienić kursu, zestrzeliliby nas. zanim zjawily się shikry.

Shikry przekierowały raketę przeznaczoną dla nas - to jedyny powód, dla którego wciąż lecimy - ale kiedy pocisk oszczędził nas. wziął na cel samolot z Lissą. Chcę wierzyć, że to był wypadek, błąd w systemie namierzania.

Opieram się w swoim fotelu, aż nazbyt świadomy wyczerpania. które obejmuje wszystkie komórki mojego ciała.

- To był popierdolony koniec odcinka trzeciego.

- To nie był finał.

Oczywiście ma rację.

- Zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym. kto pisze scenariusz, który odgrywamy?

Jaynie wbija w pokład pochmurne spojrzenie, zastanawiając się chwilę nad odpowiedzią. Potem podnosi wzrok.

- Myśli pan, że to Czerwień?

- Sheridan pragnie wierzyć, że do procesu nigdy nie dojdzie, ale Czerwień go chce. Tam zmierza fabuła.

Lissa weszła jej w paradę. Przeszkadzała w misji. Kiedy żyła. moja lojalność była nieokreślona, zamknięta w czarnej skrzynce niezdecydowania. Poświęciłbym Lissę, żeby postawić Thelmę Sheridan przed sądem? Czy też zdradziłbym swoich żołnierzy?

Zwierzam się Jaynie:

- Nadal nie wiem, co bym zrobił, gdyby Lissa żyła.

Zadziiera głowę.

- Po co o tym myśleć? Decyzja nie należała do pana. Nawet król Dawid nie roztrząsa boskich zamysłów.

Prawda. Czerwień ma własny plan. Spoglądam w noc za oknem, wspominając coś, co Lissa powiedziała mi przed całymi tygodniami, gdy odkrywała to wszystko., że nikt, z nas się nie liczy wobec miliardów ludzi na świecie. Także ona. Nie w planach Czerwieni.

Lissa.

Pamięć o niej jest dla mojego mózgu jak mina ładowa. Obchodzę ją na paluszkach. Nie zbliżam się zbyt. Zamiast tego myślę o zadaniu.

- Jeszcze półtorej godziny? - pytam, żeby się upewnić.
- Mniej więcej.
- Dobra, idę sprawdzić, czy jesteśmy przygotowani.

Samolot dziennikarzy ląduje w Niameju przed nami. Jest trzecia siedem w nocy. Temperatura na zewnątrz wynosi dwadzieścia osiem stopni. Przebraliśmy się wszyscy w letnie mundury polowe, które mieliśmy ze sobą - szare moro bez dystynkcji.

Ekwipunek mamy w plecakach - wszystko oprócz broni, którą zostawimy w szafce pancерnej, oraz amunicji, którą zostawiamy na wierzchu. Hełmy będą w wyściełanych futerałach. Nie będziemy ich mieć na głowach. Musimy pokazać twarze i przyznać się do tego, co zrobiliśmy. Nadal jednak jesteśmy połączeni dzięki pętlom audio i wszyscy mają neuroskalpy - z wyjątkiem mnie.

Kiedy sprzęt jest spakowany, przypinamy się do martwych sióstr.

Przekazuję aresztantkę pod opiekę Jaynie. Sheridan ma nieobecne spojrzenie, jakby nic z tego nie działo się naprawdę.

- Nie wygraliście - przypomina mi, gdy Jaynie ujmuję ją za ramię. - Będzie odwet.
- Tego właśnie chcemy - odpowiadam. - Po to panią przywieźliśmy tutaj. - Spoglądam na Jaynie. - Sierżant, pójdzie pani za nami z panią Sheridan. Ilima i Perez wyjdą ostatni.
- Tak jest, sir.

Dwa worki z ciałami Kendricka i Ransoma przesunięto na środek ładowni, w pobliże rampy. Ustawiam między nimi Nolana i Tuttle'a. Harvey idzie na lewo, a za nim Moon; Flynn idzie tuż za mną. Porządnie złożone egzozkielety poległych dają do niesienia Flynn i Moonowi.

- Gotowi! - warczę. - Przyklęknać!
- Nasza szóstka opada na jedno kolano.
- Chwycić mocno! - Hakami ramiennymi naszych martwych sióstr zaczepiamy pętle worków. - Powstań!

Worki obwisają jedynie nieznacznie.

Spoglądam na Pereza, który stoi przy sterowniku rampy. Kiedy kiwam głową, włącza mechanizm opuszczający pochylnię, wpuszczając do ładowni noc - tę samą nieskończoną noc - spychaną przez pierścień płonących reflektorów.

Światło pada na szeregi czarnoskórych żołnierzy w brązowych mundurach bojowych, ustawionych w idealnym podwójnym szyku. Nie wiem, czy są tutaj, żeby nas powitać czy aresztować, ale w odległym punkcie półkola stoi mężczyzna, którego poznaję na podstawie zdjęć i filmów; to mój były wróg, Ahab Matugo. Wysoki, dystyngowanie wyglądający mężczyzna, na tyle młody, że jego włosy są nadal czarne. Ma na sobie trzyczęściowy garnitur, jak większość polityków. Oficjele stoją za nim, mężczyźni i kobiety, wszyscy formalnie ubrani. Chociaż jest trzecia nad ranem, wyglądają na rozbudzonych.

Za żołnierzami i urzędnikami znajdują się dziennikarze, część z nich wyrzygał niewątpliwie z siebie samolot, który wylądował przed nami.

Zastanawiam się, jak dalece pozwoli się to rozpowszechnić tej historii i w jaki sposób Czerwień ją rozegra.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek dojdzie do odcinka czwartego.

Jeśli tak, liczę ze wszystkich sił, że nie będę w nim występował.

Ze wzrokiem skierowanym wprost przed siebie wydaję ostatni rozkaz jako dowódca przetrzebionej połączonej grupy bojowej CLIIS.

- Naaaprzód marsz!

**POŁĄCZONA
GRUPA BOJOWA**

.....
WERSJA POSZERZONA

Od paru godzin panuje milczenie. Siedzę obok Jaynie w kabinie pasażerskiej malutkiego wycarterowanego odrzutowca, który przewozi nas z powrotem za Atlantyk. Nolan siedzi po drugiej stronie przejścia, opierając głowę o zagłówek fotela, oczy ma zamknięte. Harvey, Moon, Tuttle i Flynn zajmują miejsca za nami. Brzęczenie silników jest stałym tłem dźwiękowym, ale to błogi biały szum w porównaniu z hukiem C-17.

Przebywaliśmy w Niameju niecałą dobę - na tyle długo, żeby złożyć zeznania potwierdzające wierność nagrań wideo z kamer hełmowych i mojej nakładki. Adwokat przedstawił nam prawne możliwości - mogliśmy poprosić o azyl - ale wszyscy wybraliśmy powrót do domu. Sąd wojskowy uczyni z motywów naszego działania kwestię publiczną.

Bawię się wskaźnikiem na nakładce, kontrolującym intensywność sygnału zwrotnego z protez, sprawdzając, jak bardzo mogę go przesunąć, zanim zacznę się pocić. To umysłowe ćwiczenie, które wymaga sporego skupienia i wypędza duchy z mojego umysłu.

Obok mnie siedzi Jaynie; ramiona ma skrzyżowane na piersi, głowę odchyłoną i zamknięte oczy. Sądzę, że śpi, ale się myślę.

- Jak długo zamierza pan tak siedzieć i się torturować? - pyta. Trafne, jasne pytanie, tak nieoczekiwane, że aż podskakuję. - Powinien pan pracować nad strategią, która oszczędzi nam więzienia.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek powiedział jej o suwaku sygnału zwrotnego, ale ustawiam go na rozsądnym poziomie, unikając jej wzroku.

- Uważasz, że istnieje taka strategia?

Czuję się schwyty w życiowe błędne koło: najpierw wpakowałem się w kłopoty w obronie zasad. Poszedłem do wojska, żeby uniknąć więzienia. Usiłowałem nauczyć się nowego życia, a kiedy się do niego przyzwyczaiłem, porzuciłem je na rzecz obrony innej zasady, poświęcając po drodze Lissę. Teraz wracam do punktu wyjścia.

- Innowacja - mówi Jaynie - Koordynacja. Inspiracja To jest motto połączonych grup bojowych.

- Wiem o tym.

- Więc proszę nie zakładać, że nie ma rozwiązania.

Minął jedynie dzień od czasu, gdy byliśmy zamknięci

w C-17. Wiem z całą pewnością, że niekiedy nie ma wyjścia, ale nie mówię tego, tylko to, co Jaynie chce usłyszeć.

- Zeznam, że uczyniliśmy to, co należało zrobić, oraz że postąpiliśmy tak, bo ludzie, którzy powinni byli to uczynić, zaniechali tego... nie licząc jednak, że ta prawda ocali nas przed więzieniem.

Jej wąskie brwi schodzą się, kiedy patrzy na mnie wilkiem.

- Liczę na pana, Shelley. Jest pan Lwem z Czarnego Krzyża, cholernym królem Dawidem..

- Nie jestem królem Dawidem! To bzdura, która zabiła Ransoma.

- Tak czy inaczej, jest pan naszym dowódcą i musi pan nas bronić od chwili, w której postawimy nogę na pasie startowym lotniska Dulles. Wiem, że znowu pan oberwał, i przykro mi z powodu Lissy, ale własnoręczne przybicie się do krzyża nie zmieni tego.

- Zrobię, co będę mógł! Przy okazji, kiedy to ostatni raz widziałaś, że unikam walki?

- Niech to nie będzie pierwszy raz. Samo stwierdzenie, że postąpiliśmy właściwie, nie będzie się zbytnio liczyło. Musi pan w to uwierzyć. Musi pan sprawić, żeby inni w to uwierzyli, albo przegramy.

Kolejna bitwa? Może tego mi trzeba. Mój nastrój poprawia się z powodu antycypacji. Zerkam na ikonę neuronetki, zastanawiając się, czy kieruje mną Czerwień, ale ikona się nie świeci. Więc może to ja sam pragnę odwetu. Naprawdę zostało jeszcze wiele do zrobienia.

- Załatwiliśmy tylko jednego rekina - dumam głośno. - Jeszcze dużo ich zostało.

Oczy Jaynie zwięża podejrzenie.

- Czy Bóg podszeptuje panu znowu jakieś plany?

- Nic oczywistego. Nie wiem jednak naprawdę.

- I nie przeszkadza to panu? Że Czerwień mieszka kątem w pańskiej głowie?

- W tobie też, Jaynie, i ty o tym wiesz. Nienawidzisz tego, że nie wiesz, czy sama dokonujesz wyboru, czy też jest ci on podsuwany tylko po to, żeby trwało przedstawienie.

Odwraca się ode mnie, wściekły wzrok wbija w zagłówek przed sobą, przesuając obie dłonie po gładkiej powierzchni neuroskalpu. Przez chwilę sądzę, że zamierza go zdjąć, ale jest emocjonalną ćpunką. Wszyscy jesteśmy.

- Jeśli cię to pocieszy, Jaynie, to uważam, że Czerwień wtrąca się jedynie od czasu do czasu. To program marketingowy, pamiętasz? W celu zoptymalizowania świata i nas wszystkich. Tak przynajmniej uważała Lissa. Co nie oznacza, że każdy otrzyma dobry los...

- Święta prawda.

- Być może jednak szanse wzrosną.

Odwracam się, żeby wyrzeć przez iluminator. Na zewnątrz panuje nadal noc, ale wydaje mi się, że z tyłu dostrzegam różowy blask świtu.

- Pan poważnie z tym polowaniem na kolejne rekiny?

- Jak cholera. A zacznie się od sądu wojskowego.

Rozmawiamy o tym wszyscy i zgadzamy się, że nasza strategia będzie sprowadzała się do tego, że nie pójdziemy na żadne układy. Chcemy zmusić sąd do kierowania się dowodami, do wymienienia z nazwiska każdego urzędnika zaangażowanego w ochranianie Thelmy Sheridan, dzięki czemu przy odrobinie szczęścia - albo wpływu Czerwieni na wymiar sprawiedliwości - nastąpią kolejne dochodzenia i oskarżenia, jak reakcja łańcuchowa, która spali mnóstwo wpływowych osób.

W samotności nad Atlantykiem łatwo jest wierzyć, że mamy szansę. Ale później, gdy trzysta pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża dołącza do nas eskorta myśliwców marynarki wojennej, dociera do mnie skala przedsięwziętej przez nas misji. Myśliwce mają nas ochraniać, zapewnić bezpieczny przelot na lotnisko. Mamy teraz wrogów.

Kiedy lecimy w głąb lądu, przeszukuję wzrokiem niebo, ale chociaż dzień jest pogodny, nie dostrzegam żadnych innych samolotów. Korytarze powietrzne, zatłoczone wcześniej przez cywilny ruch pasażerski, są dziwnie puste - pewny znak, że Koma nie rozluźniła swojego uchwytu.

Myśliwce odlatują, gdy lądujemy na Dulles. Skręcamy z pasa startowego i niemal natychmiast się zatrzymujemy. Wyglądam przez iluminator na sznur pojazdów żandarmerii; ich światła alarmowe błyskają. Zasłaniany przez cielska pojazdów, żandarmi w kamizelkach i gnatach, z ztkh w dłoniach, przeczesują okolicę. Jaynie przechyla się nade mną, żeby przyjrzeć się podjętym środkom ostrożności.

- Spodziewają się kłopotów.

— Nie z naszej strony. — Wiedzą, że jesteśmy nieuzbrojeni. Nasza kapitulacja została uzgodniona. - Martwią się, że jakiś rekin zamierza nas pożreć. Odstraszają więc ich pokazem siły, jak myśliwce marynarki - zniechęcająca akcja uprzedzająca - a to oznacza, że mamy więcej zmartwień na głowie niż tylko wyrok sądu wojskowego.

Rekiny rządzą z mroku. Za sprawą tego, co się szykuje, mają wszystko do stracenia, a nic do zyskania, będą więc próbowały nas uciszyć. Jeśli się im uda, przerwą proces. Muszą, gdyż istnieje ryzyko, że pociągniemy je za sobą.

Nadchodząca walka nie ograniczy się do sali sądowej.

Powinno być ciekawie.